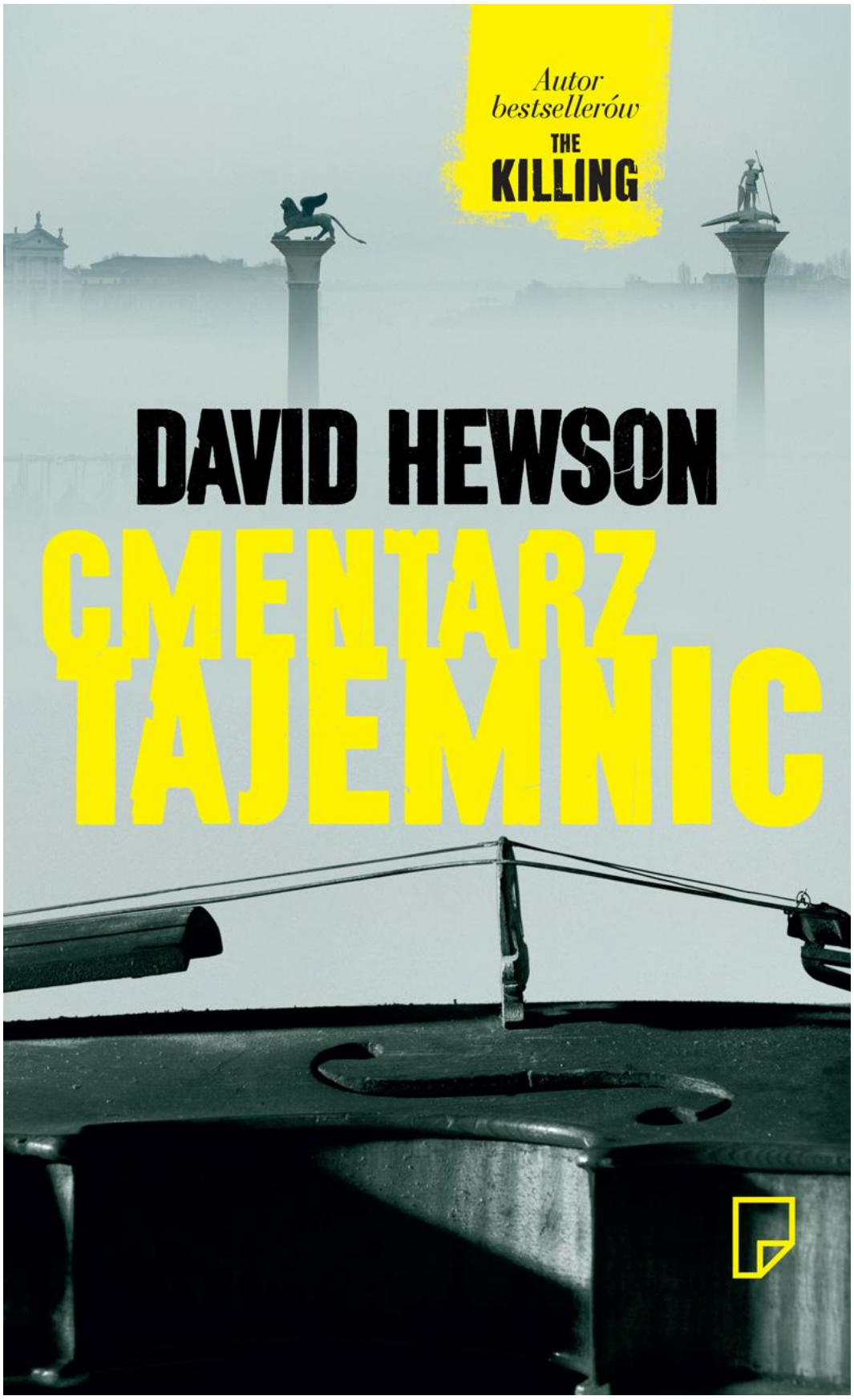
Autor bestsellerów
THE KILLING
DAVID HEWSON
CMENTARZ TAJEMNIC

Hewson David

Cmentarz tajemnic

Dla Helen, Catherine i Thomasa,

których muzyka mnie tutaj przywiodła

San Michele 1

Wiedział, że trzeba się ubrać na czarno. Lekki tani garnitur z supermarketu Standa. Lśniące półbuty. Okulary przeciwsłoneczne, podróbki ray-banów model Predator, skradzione japońskiemu turyście, który dopiero co wysiadł z autokaru na Piazzale Roma.

Rizzo zapalił papierosa, stojąc przy stróżówce obok bramy cmentarza San Michele. Była pierwsza niedziela lipca. Zaczynało się lato, znad nieruchomych wód laguny unosił się nieświeży zapach, a jaskółki świergotały, jakby chciały ogłosić nadejście nowej pory roku. Cyprysy, rząd wykrzykników wzdłuż ściany cmentarza, kołysały się w delikatnych podmuchach wiatru. Z prawej strony w cieniu arkad ułożono starannie jedna na drugiej puste sosnowe trumny. W promieniu słońca padającym na narożnik jednej z nich coś się poruszyło. Mała jaszczurka o nakrapianym grzbiecie wybiegła na spłachetek światła, zatrzymała się na chwilę, po czym uciekła i skryła się w pęknięciu ceglanego muru.

Ot, robota, pomyślał Rizzo. Pieniądze za obejrzenie trupa.

Dozorca cmentarza wyszedł z biura. Tak długo wpatrywał się w papierosa, którego trzymał Rizzo, że ten w końcu go zgasił. Był to niski i gruby czterdziestolatek w przepoconej białej koszuli, o gęstych przetłuszczonych włosach oraz rzadkim wąsiku przypominającym grzebyk złamany na pół i przyklejony nad pulchnymi ustami.

– Ma pan dokumenty?

Rizzo przytaknął i uśmiechnął się niezręcznie. Dozorca patrzył na niego wrogo, jakby podejrzewał, że coś jest nie w porządku. Rizzo miał dwadzieścia pięć lat, ale w tym ubraniu mógł uchodzić za trzydziestolatka. Tak czy inaczej, wyglądał dość młodo jak na kogoś, kto zgłasza się po odbiór nieboszczyka niczym po bagaż z dworcowej przechowalni.

Wyciągnął dokumenty, które Massiter dał mu tego ranka. Spotkali się w jego wielkim, świetnie urządzonym apartamencie w budynku obok galerii Peggy Guggenheim. Według Anglika papiery nie wzbudzały podejrzeń. Dużo za nie zapłacił.

– Jest pan krewnym? – spytał dozorca, wpatrując się w linijki drobnego druku.

– Kuzynem – odparł Rizzo.

– Nie ma innych krewnych?

– Nikt nie został.

– Hm. – Stróż złożył dokumenty i wetknął je do kieszeni. – Mógł pan poczekać jeszcze cztery tygodnie. Byłoby dziesięć lat. Co do dnia. Widziałem wielu ludzi zjawiających się tu za późno. Mało kogo przed terminem.

– Obowiązki.

Dozorca się skrzywił.

– No pewnie. Zmarli muszą się dziś dostosować do terminarzy żyjących. Nie inaczej. No a jednak... – Posłał mu porozumiewawcze spojrzenie, w którym można było dostrzec cień sympatii. – Pan przyjechał. Ale zdziwiłby się pan, po ilu z tych biedaków nikt się nie zgłasza.

Mija im dziesięć lat w ziemi, a potem do miejskiego ossuarium. Nie ma wyboru, wie pan, brakuje miejsca.

Każdy wenecjanin wie, jak to z tym jest, pomyślał Rizzo. Chcesz zostać na San Michele, musisz trzymać się zasad. Ta mała wysepka, leżąca między Murano a północnym brzegiem miasta, była przepełniona. Sławni ludzie, których przyjeżdżali oglądać turyści, spoczywali w spokoju. Wszyscy inni mieli zezwolenie na dziesięć lat. Gdy tylko dzierżawa kawałka gruntu z grobem wygasała, od krewnych zależało, czy przeniosą prochy w inne miejsce, czy zostawią sprawę służbom komunalnym.

Anglik też świetnie o tym wiedział. Z powodów, których Rizzo nie chciał znać, załatwił papiery ekshumacyjne na tyle wcześnie, by dobrać się do trumny jako pierwszy. Może był jeszcze ktoś inny zainteresowany gnijącym trupem, kto zamierzał odczekać do samego końca dziesięcioletniego terminu. A może nie. Rizzo i tak nie widział w tym sensu. Pewnie chodziło o to, by się upewnić, że w trumnie faktycznie są zwłoki. Tak naprawdę jednak nie interesowało go to za bardzo. Skoro znalazł się facet skłonny płacić dwa miliony lirów za pomachanie komuś przed nosem plikiem podrobionych dokumentów, Rizzo o nic więcej nie pytał. Zawsze to jakaś odmiana od wyciągania portfeli ludziom w tłumie na placu Świętego Marka.

– Mamy tu procedury dotyczące takich spraw – powiedział dozorca. – Wszystko musi być na tip-top.

Rizzo poszedł za nim. Minęli schludny zestaw lśniących nowością trumien i znaleźli się w promieniach palącego słońca. Przeszli przez pierwszą strefę cmentarza, w której leżeli zmarli bez terminu ekshumacji, i dotarli do części, gdzie trwał bezlitosny cykl tymczasowych pochówków. Zielonymi płachtami zaznaczano groby tych nieboszczyków, którym kończył się termin i którzy mieli zostać usunięci. Na każdym z malutkich kamieni nagrobnych była fotografia. Ludzie starzy i młodzi, utrwaleni w czasie, patrzyli w obiektyw, jakby wierzyli, że śmierć nigdy o nich się nie upomni.

Mężczyźni zatrzymali się w sekcji *Recinto 1, Campo B* pośrodku pachnącego oceanu kwiatów. Dozorca wskazał jeden z nagrobków z imieniem i nazwiskiem dziewczyny zapisanymi w odwrotnej kolejności, jak wszędzie na tym cmentarzu: Gianni Susanna. Zmarła zaraz po osiemnastych urodzinach. Grób był pusty, ziemia świeżo rozkopana.

Rizzo nie mógł oderwać oczu od portretu w owalnej ramce przyczepionej do marmurowego kamienia. Susanna Gianni była najpiękniejszą dziewczyną, jaką widział w życiu. Zdjęcie zrobiono w plenerze w słoneczny dzień, być może tuż przed śmiercią. Nie wyglądała na chorą. Ubrana w czerwony podkoszulek, z długimi ciemnymi włosami opadającymi jej na ramiona. Twarz i szyję miała opalone, a usta rozchylone w naturalnym, szczerym uśmiechu. Wyglądała jak dziewczyna, która właśnie kończy szkołę – niewinna, ale ze spojrzeniem kogoś, kto co nieco już przeżył i poznał kilka sztuczek. Rizzo przymknął oczy przesłonięte szkłami okularów, próbując uspokoić gonitwę myśli. Wiedział, że to nienormalne, ale poczuł sztywnienie w spodniach na widok tej obcej dziewczyny, która zmarła dziesięć lat temu z zupełnie nieznanych mu przyczyn.

– Chce pan ten kamień? – Głos dozorcy przedarł się przez tę trochę straszną, trochę rozkoszną zadumę. – Jak pan go chce, to pan go bierze razem z trumną. Załatwił pan łódź, prawda?

Rizzo nie odpowiedział. Wepchnął ręce głęboko do kieszeni taniej marynarki i wysunął jej poły przed siebie, zastanawiając się, czy facet coś zauważył.

– Gdzie ona jest? – spytał.

– Niech pan każe sternikowi płynąć dookoła, będzie wiedział, gdzie cumować.

– Gdzie ona jest? – powtórzył Rizzo. Anglik dał mu dokładne wytyczne.

– Mamy takie specjalne miejsce... – powiedział dozorca z westchnieniem, jakby już wiedział, co się za chwilę wydarzy.

– Proszę mi je pokazać.

Stróż odwrócił się i ruszył bez słowa ku opustoszałemu zakątkowi cmentarza. Po prawej przepłynął jeden z wielkich promów kursujących do Murano i Torcello. W rozedrganym powietrzu unosiły się mewy. Gdzieniegdzie między nagrobkami chodzili ludzie, niektórzy z nich nieśli kwiaty. Rizzo był tu wcześniej tylko raz – z byłą dziewczyną na grobie jej babci. Atmosfera cmentarza go przygnębiła. Postanowił, że po śmierci zniknie w blasku płomieni, w nagłym uderzeniu ognia krematoryjnego pieca w jednym z zakładów na lądzie. Nie będzie leżeć w suchej ziemi San Michele w oczekiwaniu na termin ekshumacji.

Mężczyźni podeszli do małego niskiego baraku z pojedynczym oknem. Dozorca wyjął z kieszeni klucz na łańcuszku i otworzył drzwi. Rizzo zdjął okulary i wszedł za nim do środka. Jego oczy, atakowane dotąd przez słoneczny blask, zaczęły się przyzwyczajać do mdłego światła samotnej neonówki.

Trumna spoczywała na stojaku pośrodku pomieszczenia – zszarzała, wyblakła i martwa. Wyglądała tak, jakby przez tych kilka lat pod ziemią całkowicie wyschła wraz ze wszystkim, co w niej było.

– Jak mówiłem – odezwał się dozorca – niech pan tu przyśle ludzi. Będą wiedzieli, co robić. Mówię panu, pan nie chce tego oglądać.

Instrukcje Anglika były jasne.

– Otwieraj pan.

Dozorca zaklął cicho, skrzyżował ramiona na piersiach i spojrzał gniewnie znad trumny w ciemny róg pomieszczenia.

– Nie ma mowy – wymamrotał. – W co ty pogrywasz, chłopcze?

Rizzo sięgnął do kieszeni i wyciągnął dwa banknoty po sto euro. Massiter przygotował go na wypadek nieprzewidzianych kosztów.

– Niech pan posłucha – powiedział. – Gianni to moja bliska rodzina. Zobaczę moją kochaną kuzyneczkę po raz ostatni i już mnie nie ma, w porządku?

– Niech to szlag... – Dozorca schował pieniądze i podniósł oparty o ścianę łom. – Mam zdjąć wieko? A może była ci tak bliska, że sam masz ochotę to zrobić?

Papieros – tylko na to miał teraz ochotę. W małym pomieszczeniu brakowało powietrza. Z wnętrza trumny dobiegał gęsty, przenikliwy odór.

– Zdejmuj pan – rozkazał, wskazując brodą skrzynię.

Dozorca chrząknął, uniósł łom i wcisnął go pod wieko. Robił to, prawie nie patrząc. Otwierał je milion razy, pomyślał Rizzo. To jak praca w rzeźni albo w kostnicy. Po jakimś czasie człowiek zupełnie przestaje się zastanawiać nad tym, co robi.

Żelazne narzędzie wchodziło w spojenia drewnianej skrzyni, za każdym razem powoli unosząc wieko o kilka centymetrów, aż pokazały się pogięte zardzewiałe gwoździe. Dozorca podważył pokrywę ze wszystkich stron i po raz ostatni spojrzał na Rizza.

– Jesteś pewny, chłopcze? Na zewnątrz, w świetle dnia, same z was chojraki. Ale tutaj, jak przychodzi co do czego, spuszczacie z tonu.

Rizzo nie lubił, gdy zwracano się do niego „chłopcze”. Powtórzył:

– Zdejmuj pan.

Dozorca ostrożnie umieścił łom pod wiekiem, nacisnął go i pokrywa się uniosła. Drewno pękło na dwie części z nagłym przeszywającym trzaskiem. Rizzo podskoczył mimo woli. Cząstki kurzu uniosły się w powietrze wraz z natarczywym, ohydnym smrodem, w którym dało się wyczuć ludzki składnik. Tylko jedno spojrzenie, pomyślał. Tylko tyle żądał Anglik.

Nachylił się i popatrzył do środka. Twarz dziewczyny skrywał cień. Długie włosy były teraz szare, cienkie i suche. Leżały po obu stronach czaszki, upstrzonej resztkami ciała przypominającymi skrawki starej brązowej tkaniny. W oczodołach też coś tkwiło. Rizzo nie chciał pochylać się zbyt nisko. Pozostałości torsu dziewczyny oplatały strzępy materiału, który kiedyś musiał być białym całunem.

Naszła go obawa, że nie będzie potrafił odwrócić wzroku od jej czaszki, rozmyślając nad niegdyś piękną twarzą. Erekcja minęła bez śladu. Poczuł chłód. Obraz zafalował mu przed oczami. Wcale by się nie zdziwił, gdyby nagle zebrało mu się na wymioty – nie z powodu strachu czy obrzydzenia, ale przez niezdrową, dławiącą atmosferę tego miejsca. Zupełnie jakby stał w chmurze prochu powstałej z cząstek wszystkich istot, które w ciągu wieków przekroczyły bramy San Michele.

Nie wpatrywał się w czaszkę zbyt długo. Wychudłe ramiona nieboszczki skrzyżowane były na piersi i – ku zaskoczeniu Rizza – zamykały w objęciach jakiś duży przedmiot, sięgający jej od brody do pasa. Patrzył na niego świadom, że dozorca także się przygląda. Zanim uświadomił sobie wreszcie, co widzi, minęła dłuższa chwila. Susannę Gianni, kimkolwiek była, pochowano z ramionami zaciśniętymi na starym futerale na skrzypce. Obejmowała go czule, jakby tuliła dziecko.

Anglik nic o tym nie wspominał. Kazał tylko popatrzeć na ciało i zjeżdżać. A więc sprawa załatwiona, pomyślał Rizzo. Nikt nie będzie miał przecież pretensji, jeśli przy okazji trafi mi się mały prezent.

Sięgnął w dół i delikatnie rozchyliwszy martwe ramiona, zaczął wyciągać futerał z objęć wyschniętego ciała.

Dozorca spojrzał na niego, marszcząc brwi.

– Nie powinieneś tego robić.

Rizzo znieruchomiał i westchnął. Był zmęczony tym człowieczkiem, tym miejscem. Sięgnął do kieszeni i wyjął mały, poręczny sprężynowiec, który zawsze nosił przy sobie. Patrząc na grubaska, wcisnął guzik na rękojeści i wąska drzazga ostrza zalśniła w stęchłym powietrzu. Chwycił dozorcę za kołnierz, wpatrując się w jego przerażoną twarz. Pod naciskiem noża sflaczały płat skóry pod powieką stróża naprężył się. Pojawiła się kropla krwi.

– Czego mam nie robić? – zapytał spokojnie. – Przecież nic nie zrobiłem.

Grubasek zamarł w milczeniu. Chłopak sięgnął do kieszeni jego marynarki, wyjął tani plastikowy portfel i spojrzał w dokumenty. Dozorca mieszkał na północ od niego w jednym z komunalnych bloków dzielnicy Cannaregio. Rizzo mógł tam dojść na piechotę w ciągu pięciu minut.

– Będziesz rozsądny – syknął – albo tu wrócę i sam sobie wyprawisz pogrzeb. Co ty na to?

W szklistym spojrzeniu mężczyzny nie było nic prócz przerażenia. Rizzo puścił go i wrócił do trumny. Uniósł ramiona dziewczyny i wyciągnął futerał. Rękawem marynarki starł kurz z jego powierzchni i na wyblakłej papierowej etykiecie zobaczył imię nieboszczki. Zacisnął rękę na uchwycie. Futerał zaciążył mu w dłoni. Wewnątrz coś było. Może tylko kamienie. W dzisiejszych czasach nawet wariaci nie chowają swoich zmarłych ze skarbami.

Grubasek kulił się w ciemnościach i pewnie żałował, mocząc spodnie, że nie siedzi teraz w domu przy swojej żonce, równie tłustej jak on sam. Rizzo skrzywił się, a potem wyciągnął jeszcze kilka banknotów po sto tysięcy lirów i wepchnął je do kieszeni koszuli dozorcy.

– To twój szczęśliwy dzień, kolego. Załatwiam tu mały rodzinny interes, jasne?

Stróż sięgnął po banknoty i zaszeleścił nimi. Na ich widok odzyskał trochę rezonu. W jakimś sensie w ten sposób wyrównali rachunki. Rizzo nie miał nic przeciw temu. Ludzie i tak

okazywali sobie za mało szacunku. Założył swoje podrabiane ray-bany, odwrócił się i wyszedł.

W drzwiach dobiegło go wołanie:

– Czekaj! A gdzie przewoźnicy? Muszą się teraz tym zająć!

Rizzo odwrócił się ku pękatemu człowieczkowi stojącemu w mroku przy trumnie.

– Jacy przewoźnicy?

– No ci, którzy mają zabrać kości, na Boga! Przecież po to kazałeś ją wcześniej ekshumować, żeby zająć się wszystkim osobiście.

– Nic takiego nie mówiłem.

– Chryste! To co ja mam teraz z tym zrobić?

Rizzo wzruszył ramionami. Marynarka go cisnęła. Nie znosił kupować tanich łachów. Wolał ubierać się w to, co sprzedawali na placu Świętego Marka: rzeczy od Armaniego, Moschino, Valentino.

– A rób z tym, co chcesz – rzucił i spojrzał na niego. Może trochę przeciągnął strunę. Facet wyglądał, jakby miał zaraz wybuchnąć płaczem, a może nawet rzucić się na niego, choć wiedział, że Rizzo ma w kieszeni sprężynowiec, którego nie zawaha się użyć. Lepiej nie zatrudniać pomyleńców na cmentarzach, pomyślał. Ale może tylko oni biorą tę robotę.

– Zamknij się – powiedział. – Wyluzuj. Wyglądasz jak wariat. Straszysz ludzi.

Wyszedł szybkim krokiem i wrócił tą samą drogą, którą przyszedł – przez *Campo B* obok grobu Susanny Gianni. Nie spojrzał ponownie na kamień nagrobny i zdjęcie dziewczyny – coś mu mówiło, że to kiepski pomysł.

Na vaporetto płynącym z Murano było trochę pasażerów. Stanął w środkowej, niezadaszonej części statku i szybko zauważył odsuwających się od niego ludzi. Futerał cuchnął nawet mimo podmuchów bryzy znad laguny.

Łódź zwolniła, później się zatrzymała. Przed przystanią Fondamenta Nuove, do której płynęli, odbywały się regaty. Załogi sportowych łódek ścigały się wzdłuż nabrzeża, zachęcane okrzykami widzów siedzących w barach przy molo. Rizzo zaklął na ich widok. Skrzypce mu ciążyły. Smród się nasilał. Vaporetto kołysało się jak pijak na szarych płachtach fal.

Rizzo przymknął oczy. Gdy je otworzył, znów skierował wzrok na wyspę. Trzy policyjne łodzie zmierzały na sygnale w stronę molo. Nie wierzył własnym oczom. Dozorca, ten gruby pokurcz, nie mógł być aż tak głupi.

Wciąż ściskając uchwyt futerału, przechylił się przez metalową barierkę blokującą wyjście i zwymiotował w tłuste wzburzone wody. Mewy, jakby przyczepione do bladobłękitnego nieba, przyglądały mu się z zainteresowaniem. San Michele, biało-zielona plama pomiędzy miastem i niskim mocnym konturem Murano, falowała w oddali. Rizzo utkwił spojrzenie w jasnym budynku kościoła na wyspie, stojącym opodal przystani. Przysiągł sobie, że już nigdy więcej nie przekroczy jego progu.

Święto Wniebowstąpienia 2

Zapamiętaj tę chwilę: święto Wniebowstąpienia, czwartek, piąty maja roku Pańskiego tysiąc siedemset trzydziestego trzeciego. Lorenzo Scacchi, wysoki, przystojny młodzian w wieku lat dziewiętnastu i siedmiu miesięcy, stoi na szerokim kamiennym nabrzeżu San Giorgio Maggiore i spogląda na Zatokę Świętego Marka, gdzie doża odnawia swe zaślubiny z morzem. Na wodzie mnóstwo ludzi. Gondole o barwie nocnego nieba walczą o miejsce przy burcie złotoszkarłatnego bucintoro, który statecznie przepływa opodal Rio del Palazzo kursem na bliźniacze kolumny Marco Polo i San Teodoro oraz górującą nad miastem iglicę kampanili.

Powietrze przebiega drżenie. Mówi się, że doża jest chory i zastanawia się, kto mógłby po nim przewodzić Wielkiej Radzie. Najjaśniejsza Republika waha się między świetnością a rozkładem. Kto ocali miasto? Czy jakiś znakomity geniusz zdoła przywrócić mu chwałę, a plugawe tureckie hordy odeśle z powrotem na wschód?

Tego nie wie nikt. Ale cóż to! Bucintoro skręca, oddala się od filigranowej fasady pałacu i rojnego nabrzeża. Powoli sunie w poprzek zatoki, poruszany uderzeniami setki błyszczących złotych wioseł, które z jego burt wystają niczym odnóża egzotycznego, ozdobionego biżuterią owada. Płynie w kierunku młodzieńca, który stoi w rozkroku, z twarzą ku wodzie, na obmywanym falami nabrzeżu. Ręce wspiera na wąskich biodrach, a jego włosy błyszczą w promieniach słońca. Wioślarze, obróceni doń plecami, prują wody kanału, przechylając galerę. Następnie statek – ten ogromny, majestatyczny symbol władzy – zwalnia, dopływa do jasnoszarego brzegu wyspy, gdzie czeka młodzieniec, i zatrzymuje się z gracją. Chłopak stoi pewnie przez cały czas.

„Lorenzo!", woła doża łamiącym się starczym głosem, w którym jednak wciąż słychać potęgę jego pozycji. „Powtarzam swą prośbę, panie. W imię miłości do Najjaśniejszej! W imię wszystkiego, co drogie naszej Republice! Zastanów się, proszę! Wyprowadź nas z mroku, który nas spowija, ku światłości!".

Samotna chmura przepływa po doskonale lazurowym niebie i przez chwilę nikt nie może dojrzeć konsternacji malującej się na twarzy młodzieńca. Chwilę później nie ma po niej śladu – znika zastąpiona uprzejmym i pewnym uśmiechem, rozjaśniającym oblicze bardzo mądre i szlachetne jak na człowieka tak młodego.

„Pewnie, szefie", odpowiada chłopak z wyraźnym wiejskim akcentem i skromnym gestem rozkłada ramiona. Radosne okrzyki tysięcy wznoszą się nad laguną niczym grom wymierzony w niebo. Tak zostaje wybrany nowy doża, a wkrótce...

I co ty na to, droga siostro? Czy teraz przykułem twoją uwagę? Skoro – żebyś chciała czytać moje listy – muszę je pisać w tonie dwupensowych opowiastek, którymi na ulicach handlują nachalni żebracy i kalecy, to wiedz, że tak będę robić. Minął szósty tydzień, odkąd

opuściłem Treviso, zrządzeniem złośliwego losu zamieniony w sierotę. Nie pozwól, bym czuł się samotny na tym świecie. Jesteś mą siostrą, starszą ode mnie o dwa długie i ważne lata. Potrzebna mi twoja mądrość. Potrzebna miłość. Jeden list, na dodatek wypełniony skargami na niestrawność, nie wystarczy mi do szczęścia.

Wracam jednak do opowieści, nim cię ona znudzi! Z tego, co wyżej napisałem, możesz pominąć wszystko prócz początku. W rzeczy samej jest dzień Wniebowstąpienia, a ja faktycznie stałem pod wielkim kamiennym monolitem San Giorgio. Jak długo, powiedzieć nie umiem. Trzeba pisarza lepszego niż ja, by odmalować słowami obraz dzisiejszej Wenecji, porzucę więc wszelkie próby. Wiedz, że jest to miasto cudów. Choć już się z nim trochę obyłem, wciąż zadziwiają mnie różne wspaniałości, które, choć przekraczają najśmielsze wyobrażenia, są tu czymś codziennym. Gdy głowa rodziny ma okazję do świętowania i zdecyduje się sypnąć groszem – och, wybacz to wyrażenie! – nie pozostaje nic innego, jak stanąć i podziwiać. Zdaje się, że byłaś tu raz z papą. Sam nigdy nie wypuszczałem się zbyt daleko poza nasze miasteczko aż do smutnego dnia pogrzebu. Dla takiego chłystka z roli jak ja, któremu słoma wystaje z butów, to doprawdy niezwykłe miejsce.

Jest tu kilka osób, które chciałbym ci przedstawić. Wyobraź sobie naszego wuja Leona, chudego jegomościa w prostym ubraniu, stojącego nad wodą ze skrzyżowanymi ramionami i przyglądającego się przepływającej obok pałacu wielkiej barce. Wygląda, jakby widział już takie spektakle milion razy i nic pod słońcem nie jest w stanie go wzruszyć. Jest Wenecjaninem, człowiekiem światowym, który nigdy nie poszedłby w ślady naszego drogiego ojca, by wieść spokojne życie rolnika. Widowiska ma we krwi, żyje nimi. Spodziewam się po nim wiele. Będzie, jak sądzę, dobrym opiekunem i wprowadzi mnie w tajniki świata wydawniczego, tak bym mógł zarobić na przyzwoite życie.

Przy jego boku stoi angielski dżentelmen Oliver Delapole, szlachcic i arystokrata mniej więcej w wieku naszego wuja, czyli lat około trzydziestu pięciu, jednak o całkiem innej przeszłości. Pan Delapole jest człowiekiem zasobnym, który nosi się szykownie, może wręcz trochę ekstrawagancko, a odzienie opina mu się nieco na wydatnym brzuchu. Ma miłą, różową twarz, którą szpeci jedynie blizna – jak mniemam z pojedynku – biegnąca pod prawym okiem sierpowatą krechą. Jednak nie widzę w nim bynajmniej gwałtownika. Przeciwnie, uśmiecha się ujmująco i ma nieskazitelne maniery, przez co każdy mężczyzna – a także kobieta (bądźmy szczerzy, pochodzimy z ludu i mówienie o tych sprawach nie może nas onieśmielać) – rozstaje się z nim w wesołym nastroju.

Spośród mych uwag zapamiętaj szczególnie tę tyczącą się pieniędzy: to najważniejsze słowo w całej lagunie. Pan Delapole jest wcieleniem Kapitału i z tego powodu pół miasta uczepia się jego mankietu, gdy przechodzi ulicą, mimo że trasy dobiera ostrożnie. W zeszłym tygodniu przyszedł do nas w odwiedziny. Wychodząc, zostawił w sieni kapelusz. Popędziłem za nim z tym kapeluszem w ręku przez campo z nadzieją, że dopędzę go, nim dotrze do Canal Grande i zamówi kurs do domu u jednego z tych łobuzów gondolierów. Gdy bez tchu dopadłem go wreszcie, spytał miło, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu:„Czemu mnie tak gonisz, chłopcze? Czy jestem ostatnim człowiekiem przy groszu w Wenecji?”.

Dukaty otwierają drzwi – i to, szczerze mówiąc, właściwie większość drzwi w tym mieście – a pan Delapole hojnie szafuje złotem. Ponoć rozdaje pieniądze tak szybko, że dziurę powstałą wskutek aktów dobroci przed nadejściem kolejnych sum z Londynu wypełniać mu muszą lichwiarze. Zrozum, że nie jest to żaden zarzut. Jeśli szczęście dopisze, dom Scacchich wyda na koszt pana Delapole’a kilka dzieł nowych pisarzy i kompozytorów. Jak dotąd okazał on hojność panu Vivaldiemu, sławnemu muzykującemu księdzu z La Piety, podniszczonego kościoła znajdującego się przy nabrzeżu niedaleko miejsca, które ci dziś opisałem. Nie zostawił

również w potrzebie tutejszego artysty Canalego (zwanego przez wszystkich Canalettem, by odróżnić go od ojca, który parał się tym samym rzemiosłem). A Canaletto to doprawdy typ człowieka, który zapach srebra potrafi wywęszyć z odległości wielu mil. Gdy piszę te słowa, siedzi przed nami na dużej platformie z drewna i zmaga się z płótnem, które zawiśnie na ścianie jakiegoś bogacza.

Dziwny z niego jegomość: zapalczywiec, choleryk, a niektórzy uważają, że i szalbierz. Stosuje aparat własnego, jak twierdzi, wynalazku, zwany *camera ottica*. Chowa go pod czarną płachtą rozpiętą jak namiot, za którą pracuje, wychylając się jedynie co jakiś czas, by się przekonać, czy realny świat wciąż istnieje. Wygląda na to, że aparat rzuca obraz sceny poprzez pewnego rodzaju szklaną soczewkę na wewnętrzny ekran, skąd można go odrysować przed rozpoczęciem malowania. Raz z ciekawości wdrapałem się na platformę, by się przyjrzeć owemu urządzeniu, a artysta wychyliwszy głowę na dźwięk moich kroków, rzucił mi groźne spojrzenie i zaklął w weneckim stylu.

„Jak raz jeszcze jakiś cwaniaczek oskarży mnie o oszustwo, to przysięgam, tak łajzę trzepnę, że mu światło zgaśnie!", syknął na mnie tytułem ostrzeżenia.

Niezrażony, zerknąłem na mechanizm przez szparę w materiale. Rzecz to niezwykle sprytna.

„Jakże odrobinę nauki w służbie muzy można nazwać oszukiwaniem, panie?", zapytałem szczerze. „W ten sposób myśląc, trzeba by oskarżyć o to każdego malarza, jeśli nie użył dokładnie takich samych farb, jakie na swych ścianach stosowali Rzymianie".

To podziałało. Canaletto skinął mi głową w sposób, który uznałem za gest aprobaty.

„Teraz, panie", dodałem, „będziesz musiał wynaleźć jakiś rodzaj płótna alchemicznego, które samo pod działaniem obrazu nabierze odpowiedniego koloru. Wówczas zbędny stanie ci się pędzel!".

Usłyszałem złośliwy chichot z ust Gobba, służącego pana Delapole'a, na co wycofałem się i zszedłem ostrożnie z drewnianego rusztowania. Mam nadzieję, że udało ci się w życiu znaleźć przyjaciela. Ja chyba znalazłem. Luigi Gobbo to pokraczny typ mający, wierz mi lub nie, małego garba, na co przecież wskazuje jego nazwisko. Z tego, co wiem, przyłączył się do Anglika, gdy byli we Francji jakiś czas temu. W całej tej grupie Gobbo najmocniej stoi na ziemi i wciąż ma na podorędziu sprośny dowcip tudzież bezbożny komentarz. Gdy poznał moją historię, wziął mnie pod swe skrzydła i przyrzekł, że żadnemu weneckiemu łobuzowi nie pozwoli pozbawić mnie mojej chudej sakiewki. Lubię chłopa, choć wielu podobieństw między nami nie ma. Nasi rodzice, siostro, zapewnili nam podstawy wykształcenia. Przypuszczając, że Gobbo mógł także liznąć książek, zapytałem, czy nie jest aby spokrewniony ze sławnym Lancelotem i czy opuścił podłego Żyda, aby służyć u pana Delapole'a, człowieka z pewnością równie miłego co Bassanio, acz znacznie zamożniejszego[1]. Gobbo spojrzał na mnie jak na szaleńca lub, co gorsza, kpiarza. Angielscy dramaturdzy w jego edukacji nie brali udziału. Niemniej ma na sercu moje najlepsze dobro, a ja jego. W tym mieście można jednak odnaleźć przyjaźń.

Przejdźmy teraz do poważniejszych spraw (omówię je krótko, więc nie ziewaj, proszę, i nie odkładaj listu). Mija tydzień, odkąd Manzini ostatni raz pisał na temat nieruchomości (a ja zgadzam się, że to nie w porządku, iż musi układać się ze mną, a nie z tobą, lecz takie jest prawo). Nie mam wielkich nadziei. Nasi rodzice dużo zainwestowali w folwark i tę drogocenną biblioteczkę, którą oboje uwielbialiśmy. Gdyby pożyli dłużej, ich szczodrość z pewnością przyniosłaby teraz korzyści nam wszystkim. Jako że cholera zadecydowała inaczej, musimy najlepiej, jak się da, rozporządzić tym, co mamy. Chciałbym więc zawrzeć z tobą umowę, Lucio. Bądźmy szczerzy wobec siebie w naszych niepowodzeniach. Mówmy sobie prawdę o tych, którzy nas otaczają. I pracujmy wytrwale, byśmy byli godni nazwiska Scacchi – ty do chwili, gdy

jakiś hiszpański śmiałek wykradnie ci je, rzecz jasna!

Kocham cię, Lucio, moja najdroższa siostro, i oddałbym całą wieczność weneckich wspaniałości za jedną wspólną chwilę z naszymi rodzicami w starym folwarczku pośród dzikich łąk, gdzie był nasz dom. Nie jest to możliwe, musimy więc patrzeć w przyszłość.

Czekaj! Widzę, że sławny Canaletto znów spogląda gniewnie ze swej grzędy. Wianuszek grubych Holendrów otacza platformę jak stado kaczek i próbuje ją zdobyć, by zerknąć ukradkiem na cenne dzieło. Co za głupcy...

„Przeklęci przyjezdni!", wykrzykuje artysta, dodając wiązankę wyrafinowanych przekleństw, których nikt poza Cannaregio nie byłby w stanie zrozumieć. „Precz, mordy zakazane, rybni śmierdziele!".

„Śmiało, panowie, pomachajcie mu przed nosem florenami!", woła pan Delapole, ośmielając Holendrów. „Zapach przestaje przeszkadzać Canaletcie, gdy tylko wywęszy monetę w kieszeni!".

Mamrocząc złowrogo, intruzi oddalają się. Zapewne nasz malarz znajduje się poza zasięgiem ich sakiewek.

Podczas gdy Canaletto wymachiwał za Holendrami pięścią, sam wskoczyłem po kryjomu na platformę i z wielkim zdumieniem zobaczyłem, jak bardzo posunęła się praca nad płótnem w ciągu zaledwie niecałej godziny. Ten człowiek nie jest żadnym szalbierzem. Myślę, że to będzie znakomite dzieło. Marzę, by pokazać ci je pewnego dnia, gdy zadomowisz się już w Sewilli i znajdziesz czas oraz pieniądze na wizytę w swym rodzinnym regionie Veneto. Sprawdzimy wtedy, o ile zmniejszyły się nasze troski, a zwiększyły fortuny, odkąd bucintoro wpłynął na surowe płótno Canaletta. Cóż za talent, tak uwięzić w bursztynie wspaniałą chwilę, by dawała świadectwo naszych czasów ludziom nadchodzących stuleci. Ja mam jedynie moje słowa, a płyną one szczodrze z miłującego serca.

Imię z przeszłości 3

Giulia Morelli przeglądała raporty leżące na jej biurku. Kierowała popołudniową zmianą. W nowoczesnym budynku policji przy Piazzale Roma było gorąco i praca zaczynała ją nużyć. Czasem zastanawiała się, czy nie złożyć podania o przeniesienie. Wyniosłaby się do Rzymu, może do Mediolanu. Dokądkolwiek, gdzie tylko są jakieś pobudzające umysł wyzwania.

Zaczęła przeglądać leżące przed nią papiery i nagle poczuła, jak rozmyślania o latach stagnacji odpływają w dal. Nazwisko martwej dziewczyny krzyczało do niej z kartki. Giulia Morelli chwyciła telefon i wybrała numer oficera dyżurnego. Policjant już się przebierał przed zakończeniem zmiany i nie był specjalnie zachwycony perspektywą przedłużania swojego pobytu w przegrzanym komisariacie. Ton głosu szefowej pozbawił go jednak złudzeń, że uda mu się wyjść, nim porządnie zrelacjonuje sprawę.

Giulia słuchała przez pięć minut z narastającym zdumieniem. Odłożyła słuchawkę, podeszła do okna i zapaliła papierosa. Na zewnątrz ostatni pracownicy wychodzili z biur i spieszyli do swoich samochodów stojących na wielopiętrowym parkingu opodal mostu prowadzącego na stały ląd i do Mestre, gdzie większość z nich mieszkała. Obserwując ludzkie figurki, Giulia zastanawiała się nad tym, co usłyszała od oficera dyżurnego. To było niedorzeczne i pewnie nawet nie miało żadnego związku ze sprawą Susanny Gianni.

Pewien zdenerwowany grabarz wezwał policjantów na San Michele. Twierdził, że nie mógł nigdzie znaleźć dozorcy, kiedy grupa gości przybyła na ceremonię pogrzebową. Odnaleziono go wreszcie w budynku ekshumacyjnym, był czymś wyraźnie poruszony. Gdy grabarz próbował skłonić go do wyjścia, dozorca stał się agresywny, zaatakował dwie przybyłe na pogrzeb osoby i trzeba go było obezwładnić.

Oficerowi wezwanemu do zajścia pomimo prób nie udało się przesłuchać dozorcy. Według raportu przyczyną tego niefortunnego zdarzenia była nagła utrata panowania nad sobą spowodowana upałem. Sprawca otrzymał pouczenie i został zwolniony do domu. Uznano, że należy poinformować szefostwo cmentarza, lecz nie podjęto dalszych działań prawnych. W dokumencie odnotowano też pewien niezwykły szczegół, który oficer dyżurny potwierdził w rozmowie telefonicznej, choć nie umiał udzielić dokładniejszych informacji. Otóż w pomieszczeniu ekshumacyjnym stała otwarta trumna. Policjant odniósł wrażenie, że z jej wnętrza zabrano jakiś przedmiot, bowiem kształt długiego na około metr obiektu odciśnięty był na zwłokach Susanny Gianni.

Z troską i przenikliwością właściwą służbom mundurowym funkcjonariusz uznał co prawda zdarzenie za warte wzmianki, ale nic nie zrobił. Dopilnował jedynie, by nadzorcę cmentarza odwiozła do domu policyjna łódź, następnie zaś zezwolił na usunięcie trumny, a wraz z nią ciała Susanny Gianni. Nie nadeszło zgłoszenie ze strony rodziny, tak więc służby

komunalne zajęły się zwłokami jeszcze tego samego dnia. Trumna zamieniła się w popiół. To, co pozostało z Susanny Gianni – której nazwisko sprawiło, że w żyłach pani kapitan Morelli wzrosło ciśnienie – miało rozpłynąć się pośród morza prochów w miejskim ossuarium położonym na jednej z wysepek laguny.

Giulii po prostu zabrakło sił, żeby zwymyślać policjanta idiotę. Zadzwoniła po ścigacz patrolowy i pięć minut później zmierzała już przez Canal Grande w stronę Cannaregio, zachodząc w głowę, co mogło tak mocno i gwałtownie wstrząsnąć nadzorcą cmentarza, człowiekiem oswojonym przecież przez lata pracy z widokiem zwłok, i czemu stało się to w tak niezwykłych okolicznościach. Zastanawiała się także, kto i dlaczego zabrał z trumny zamordowanej dziewczyny tajemniczy przedmiot.

Kazała policjantowi stojącemu za sterem zacumować przy kościele Sant' Alvise i czekać na nią, po czym wysiadła z motorówki i podążyła szybkim krokiem na południe, w plątaninę uliczek pomiędzy blokami mieszkalnymi z epoki faszystowskiej. Z jakiegoś niejasnego dla niej samej powodu postanowiła wbrew regulaminowi przeprowadzić rozmowę bez świadków. Teraz, po dziesięciu latach, nie przypominała sobie wyraźnie wszystkich szczegółów sprawy Susanny Gianni. Pamiętała jednak, jak ostrożnie o niej mówiono, zwłaszcza w obecności stażystki, którą Morelli wówczas była. Na razie jednak nie widziała powodu, by wszczynać zamieszanie, przynajmniej dopóki nie znajdzie czegoś, o co warto zawalczyć.

Dozorca mieszkał na trzecim piętrze bloku leżącego na skraju osiedla. Budynek był utrzymany w czystości, lecz dość obskurny. Giulia wkroczyła w zaniedbany komunalny korytarz i włączyła światło. Szereg słabych żółtych żarówek zaświecił nad jej głową. Poszukała też włącznika przy schodach, lecz na próżno. Sama nie wiedziała, dlaczego zaciska dłoń na torebce, by poczuć kształt schowanego tam małego policyjnego pistoletu.

– Idiotka... – syknęła cicho i zaczęła wchodzić po schodach.

Trzecie piętro tonęło w ciemnościach. Żałowała, że nie wzięła latarki, i zastanawiała się, czemu właściwie tak bardzo zależy jej na tym, by przesłuchać faceta bez świadków. Ta sprawa miała dziesięć lat. Gliniarz, który przywiózł tu Giulię motorówką, nie był nawet kadetem, gdy Susanna Gianni zmarła.

Mieszkanie znajdowało się na końcu korytarza, gdzieś w atramentowoczarnej kałuży mroku. Policjantkę dobiegły stamtąd niewyraźne dźwięki. Zawołała głośno nazwisko dozorcy i zaraz pomyślała, że to chyba był błąd. Ze szpary w uchylonych drzwiach sączyła się mdła żółta poświata. Gdy podeszła bliżej, wyraźniej usłyszała przeciągły chrapliwy jęk, który mógł oznaczać wszystko, od ekstazy po konanie.

Morelli sięgnęła do torebki po policyjną krótkofalówkę. Nie było sygnału. Mussolini postawił tu solidne mury. Przełożyła radio do lewej dłoni, prawą wyciągnęła pistolet i szybko weszła do mieszkania, kryjąc się w cieniu przed światłem pojedynczej słabej żarówki.

W myślach sformułowała słowa, chłodne, oficjalne słowa, którymi posługiwała się, gdy chciała napędzić strachu drobnym złodziejaszkom, z jakimi najczęściej miała do czynienia. Lecz głos zamarł jej w gardle, nim zdążyła go z siebie wydobyć. Jednym rzutem oka objęła całą scenę – panował półmrok, a postać i twarz człowieka skrywał głęboki cień. Widziała jedynie szczupłe ramię i dłoń z długim zakrwawionym nożem. Dało się też wyczuć zapach tanich mocnych papierosów, może afrykańskich, oraz kwaśny lepki odór przerażenia.

Nagle jej umysł wypełniło wspomnienie pewnego obrazu, cholernego obrazu, który prześladował ją, odkąd zobaczyła go jako dziecko. Było to *Męczeństwo świętego Bartłomieja* pędzla Tiepola wiszące w prezbiterium kościoła San Stae. Obraz przedstawiał człowieka z ramionami wzniesionymi ku niebu w geście uniesienia oraz na wpół skrytego w mroku kata, który z uwagą obmacywał skórę świętego, decydując, gdzie zanurzyć ostrze. Giulię zaintrygował

ten obraz i spytała o niego mamę, ale ona nie chciała jej nic na jego temat powiedzieć – rzuciła tylko półgębkiem coś, czego Giulia nie zrozumiała: że człowiek ten ma zostać „oskórowany". Dopiero znacznie później sprawdziła to słowo w słowniku i w jednej strasznej chwili wszystko stało się jasne.

Dozorca cmentarza nie trwał jednak w stanie uniesienia. Giulia stwierdziła, że musi już być martwy, a przynajmniej miała taką nadzieję. Miał starannie, od ucha do ucha, poderżnięte gardło. Rana ziała szeroką krwawą wstęgą mięsa i ścięgien. Schowany w cieniu morderca kończył powoli pracę, dźgając i rwąc tkanki w krtani ofiary.

Giulia Morelli zacisnęła dłoń na kolbie. Broń wyślizgnęła się z jej spoconego uścisku. Palce zsunęły się z uchwytu i policjantka usłyszała metaliczny klekot upadającego na posadzkę pistoletu. Mogła tylko wpatrywać się w trupa, a jej umysł błądził, błądził...

Postać napastnika wyrosła nagle po lewej i Giulia poczuła mocne kopnięcie. Upadła na kolana i oczekując ciosu, zastanawiała się, czy będzie mieć dość odwagi, by spojrzeć w górę, ku niebu, ku pustce, jak święty na obrazie. Lecz tam w górze był morderca, a ona nie chciała oglądać jego twarzy.

Próbowała się odezwać, ale wszystkie sensowne słowa uleciały jej z głowy. Przed oczami zamigotało coś srebrzyście. Poczuła nagłą szpilę bólu w boku, a zaraz potem ciepło płynącej krwi. Krótkimi urywanymi wdechami chwytała powietrze. Czekała.

I wtedy radio w jej lewej ręce ożyło. Zdała sobie sprawę, że zaciska dłoń na przycisku SOS. W jakiś sposób to nikłe wołanie o pomoc przedostało się przez solidne, ułożone za Mussoliniego cegły i dotarło do czyichś uszu. Z oddali dobiegł ludzki głos. Gdzieś z dołu, z klatki schodowej, która dla Giulii mogła równie dobrze znajdować się na innej planecie, zabrzmiały kroki. Było za wcześnie na policję, ale nie wiedziała tego stojąca nad nią ciemna postać z nożem ociekającym krwią.

– Jesteś aresztowany – powiedziała Giulia Morelli. Miała niedorzeczną ochotę się roześmiać, nagle jednak zdała sobie sprawę, że została w pokoju sama. Towarzyszył jej tylko martwy dozorca, który gapił się na nią szklistym, pełnym przerażenia wzrokiem znad krwawej bruzdy.

Giulia pomacała ranę w boku. Wyliże się. Znajdzie tego faceta. Odkryje, co i dlaczego wykradł z grobu Susanny Gianni. Miała robotę do zrobienia. Masę roboty.

Stanęła chwiejnie na nogach. Przy drzwiach pojawili się jacyś ludzie. To pewnie dozorca bloku i sąsiedzi. Teraz trzeba zapanować nad sytuacją, pomyślała.

– Proszę niczego nie dotykać – zarządziła, usiłując zebrać myśli i pokierować wydarzeniami.

Gapili się na nią, zaskoczeni i przerażeni jednocześnie. Powiodła wzrokiem za ich spojrzeniem i zobaczyła krew przesiąkającą przez jej marynarkę. Czerwona struga lepkiej gęstej cieczy ściekała w dół na krótką spódniczkę i płynęła niżej, na kolana.

– Proszę niczego... – powtórzyła i poczuła, że oczy wywracają się jej do góry, zaś mętne światło żarówek pociemniało i zgasło.

4 Spritzu, spritzu, spritzu!

Trzy tygodnie po otwarciu grobu Susanny Gianni i morderstwie dozorcy cmentarza w Cannaregio Daniel Forster wyszedł z poczekalni lotniska Marco Polo z futerałem na skrzypce w jednej ręce, a walizką w drugiej. Futerał nie był stary ani cuchnący, lecz porządny, podobnie jak schowany w nim instrument, walizka natomiast z prawie całą garderobą Daniela była miękka i nieduża. Miał nadzieję, że wziął dość ubrań na najbliższe pięć tygodni.

Lot ze Stansted trwał dwie godziny i wiódł wysoko ponad ośnieżonymi Alpami, a zakończył się lądowaniem przy północno-wschodnim rożku Adriatyku. Choć Daniel skończył właśnie dwadzieścia lat, była to jego pierwsza zagraniczna podróż. Nowy paszport, wciąż nietknięty pieczątką celnika, spoczywał w kieszeni jego zielonej bawełnianej wiatrówki wraz z plastikową saszetką z logo taniej firmy podróżniczej, zawierającą trzysta euro, czyli prawie całą zawartość studenckiego konta.

Daniel miał prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, faliste włosy i miłą, niewinną twarz chłopaka, który nie wkroczył jeszcze w pełni w dorosłość. Rozglądając się niepewnie po sali przylotów, wyglądał jak świeżo upieczony przewodnik miejski, który wypatruje swojej pierwszej grupy. W pewnej chwili wielki człowiek w ciemnych spodniach i workowatym swetrze podszedł do niego i nachylił się, by spojrzeć mu w oczy.

– Pan Daniel? – spytał.

Daniel zamrugał, zaskoczony.

– Signor Scacchi?

Człowiek zaśmiał się tubalnym, gromkim śmiechem, który zdawał się dobiegać z przepastnych głębin trzewi. Miał wysmaganą wiatrem zaróżowioną twarz, która mogłaby należeć do rolnika albo rybaka, i nie przekroczył chyba jeszcze czterdziestki. W oddechu olbrzyma czuć było gorzko-słodki zapach alkoholu.

– Ja miałbym być signorem Scacchim?! A wyglądam ci na pawia? Myślisz, że umiem ćwierkać? No, chodź, śmiało.

Daniel wyszedł za nieznajomym z sali przylotów i gdy tylko znalazł się na zewnątrz, dostrzegł rozpościerające się zaledwie parę metrów dalej wody laguny. Kilkanaście smukłych taksówek wodnych o starannie wypolerowanych drewnianych kadłubach oczekiwało na klientów. Prowadzony przez nieznajomego minął je i wszedł na publiczne molo, przy którym cumowała stara niebieska łódź rybacka. Na jej dziobie, przytuleni do siebie jak para kochanków, siedzieli dwaj mężczyźni, a w środkowej części łodzi stała dziewczyna w dżinsach i purpurowej koszulce. Odwrócona tyłem do pomostu, krzątała się przy dwóch piknikowych pojemnikach na żywność, do których zaglądał ciekawie czarny field spaniel o krótkich uszach i płaskim nosie.

Bezskutecznie przeganiany przez dziewczynę, ciągle wtykał nos do środka.

Wielki mężczyzna, przewodnik Daniela, czekał, aż pasażerowie łodzi zwrócą na niego uwagę. Wreszcie uznał chyba, że to nigdy nie nastąpi, więc głośno klasnął i zawołał:

– Proszę o uwagę! Przybył nasz gość! Trzeba go przywitać!

Niższy z dwójki mężczyzn siedzących na pokładzie wstał. Daniel uznał, że to gospodarz, signor Scacchi. Ubrany był w dobrze skrojony brązowy garnitur i wyglądał na niespełna siedemdziesięciolatka. Jego opalona i pobrużdżona twarz sprawiała wrażenie wychudłej z niedożywienia. Wyglądał źle, podobnie jak jego młodszy towarzysz, który rozłożył się na poduszkach na rufie i popatrywał na przybysza pozbawionym wyrazu wzrokiem.

– Daniel! – rzekł starszy człowiek, ukazując w uśmiechu rząd mlecznobiałych zębów. Był niewysoki i trochę się garbił. – Wreszcie przyjechał! A widzisz, Paul? Widzisz, Lauro? Nie mówiłem? Dostał wiadomość zaledwie dziesięć dni temu od zupełnie obcych ludzi, a jednak przyjechał!

Dziewczyna odwróciła się w jego stronę. Miała szlachetną, pociągającą twarz o krągłych policzkach zbiegających się w delikatny podbródek oraz wielkie oczy w niezwykłym odcieniu zieleni. Złocistobrązowe włosy, długie i proste, opadały jej na ramiona. Przyglądała się Danielowi jak istocie z obcej planety, lecz w jej spojrzeniu kryło się przyjazne zaciekawienie, jakby jego obecność ją bawiła.

– Faktycznie przyjechał – powiedziała miękkim tonem, lekko zabarwionym weneckim akcentem, po czym machinalnie sięgnęła do torby po okulary przeciwsłoneczne.

– Kto by pomyślał... – mruknął Paul. Daniel uznał, że to Amerykanin. Miał na sobie wyblakłą dżinsową koszulę i błękitne spodnie. Rozparty z przodu łodzi, roztaczał wokół siebie aurę niezdarnego nastolatka i faktycznie na pierwszy rzut oka wyglądał młodo. Dało się jednak zauważyć, że jego zachowanie to tylko poza, jaką często przyjmują mężczyźni po pięćdziesiątce, by wyglądać dwadzieścia lat młodziej.

– Jasne, że przyjechał – odezwał się olbrzym, oddając bagaż Laurze i pomagając Danielowi wejść do kiwającej się łodzi. – Kto by nie przyjechał do Wenecji, jak się go zaprasza. Jestem Piero, skoro nikt się nie kwapi, by mnie przedstawić – oznajmił. – Błazen tej rodziny. Spokrewniony z nią w pokoleniu tak odległym, że nie ma co o tym gadać. A to moja łajba, ukochana Sophia, kobieta lojalna, szczera i gotowa do akcji na każde wezwanie... co chyba dowodzi, że jednak wcale nie jest kobietą. Zresztą ja się na tych sprawach nie znam i przyznaję to sam z własnej woli, zanim Laura mnie uprzedzi.

Pies trącił Daniela nosem w nogę. Piero pochylił się i czułym gestem zmierzwił sierść na łbie spaniela.

– A to Kserkses. Ma takie imię, bo jest prawdziwym królem bagien. Żadna kaczka nie umknie tym małym bystrym ślepkom, co, piesku?

Na słowo „kaczka” pies zaczął merdać krótkim ogonem. Piero z miłością podrapał go pod pyskiem, po czym sięgnął do jednego z pojemników na żywność i rzucił Kserksesowi kawałek salami.

Łódź się zakołysała, gdy Scacchi nachylił się i pokazał gestem, żeby nalewać alkohol.

– Spritzu, spritzu, spritzu! – zawołał.

– Już podaję – powiedziała Laura i sięgnęła do pojemnika po kilka butelek.

– Proszę siadać – huknął Piero. Jednym pociągnięciem linki zapłonowej ożywił silnik diesla i przeszedł na rufę do steru. Jeden z wodnych taksówkarzy popatrzył na ich małą pękatą łajbę i rzucił coś w weneckim slangu, z czego Daniel nie pojął ani słowa. Piero odpowiedział równie niezrozumiale i wyciągnął ku przewoźnikowi środkowy palec. Łódź odbiła od pomostu i chwilę później oddalała się już od lotniska, sunąc przez Lagunę Wenecką. Cały wszechświat

wyobrażeń i fantazji, które przez lata żyły w umyśle Daniela Forstera, miał się teraz stać rzeczywistością. W dali wyrastał z morza kontur Wenecji, ten przedziwny las kampanili i wież pałacowych, który rósł powoli, gdy się doń zbliżali pogrążeni w niecierpliwym oczekiwaniu.

– Polejcie spritzu – odezwał się Scacchi.

Laura wyjęła trzy butelki: campari, białe wino z regionu Veneto oraz gazowaną wodę mineralną. Następnie przygotowała pięć plastikowych kubeczków, napełniła je kostkami lodu, do każdego wrzuciła plasterek cytryny oraz wyjętą z małego słoiczka zieloną oliwkę, po czym podała tacę starcowi.

Scacchi popatrzył na Daniela z łobuzerskim błyskiem w oku.

– Wiesz, co to jest?

– Czytałem o tym – odpowiedział. – Zastanawiałem się, jak smakuje.

– Słyszycie? Co za włoski akcent, jak z książki! To spritz, mój chłopcze, i jest w nim wszystko, co trzeba wiedzieć o tym mieście. Popatrz. Campari to nasza potężna krew. Wino to miłość do życia. A woda jest jak nasza czystość... żadnych śmiechów, Paul! Oliwka przypomina, że jesteśmy istotami ziemskimi. I na końcu cytryna. Ona mówi, że jak nas ugryźć, to się odgryziemy. Proszę.

Podał Danielowi kubeczek wypełniony po brzegi ciemnoczerwonym płynem. Chłopak upił mały łyk. Poczuł głównie mocny smak campari z tą samą gorzko-słodką nutą, którą miał w sobie oddech Piero.

Laura uśmiechnęła się do niego zachęcająco.

– Przekąska – powiedziała, podając mu talerz pełen kanapeczek z serem i szynką parmeńską. Częstując się, Daniel zdał sobie sprawę, że nie potrafi określić wieku dziewczyny. Zapewne wybrała zwyczajne, niedrogie ubrania i niewyróżniające się okulary, by ją postarzały, lecz bez powodzenia. Miała góra dwadzieścia osiem lat, może mniej, z pewnością jednak – wbrew temu, na co wskazywał styl jej ubioru – nie przekroczyła trzydziestki.

– Za Daniela! – wzniósł toast Scacchi. Pozostała czwórka podniosła kubki. Kserkses cicho szczeknął. Łódź się zakołysała, więc gospodarz ostrożnie usiadł z powrotem na swoim miejscu obok Paula. – Niech przez tych kilka tygodni oczy otworzą ci się na świat!

– Za Daniela! – powtórzyli.

– To dla mnie zaszczyt – odpowiedział chłopak. – Mam nadzieję, że dobrze się spiszę.

– Ależ to oczywiste. – Scacchi machnął wychudłą dłonią. – Wiedziałem o tym już w chwili, gdy cię zapraszałem. Żebyś się nie nudził, znalazłem ci tu parę rozrywek. Resztę czasu będziesz miał dla siebie.

– Wykorzystam go dobrze.

– Jak tylko sobie chcesz – odparł Scacchi, ziewając. Następnie upił spory łyk spritzu, odstawił kubek na drewnianą ławkę okalającą wnętrze łodzi, oparł głowę na ramieniu Paula i bezceremonialnie usnął.

Sophia sunęła na silniku przez rozległe wody laguny. Opuściła kanał prowadzący do lotniska i popłynęła na skróty ku miastu, które wyglądało jak miniaturowa makieta na horyzoncie. Gdy Scacchi zasnął, zaległa cisza. Paul muskał czasem jego włosy. Piero pił. Laura poczęstowała Daniela papierosem. Wydawała się zadowolona, gdy odmówił, choć sama zapaliła i strzepywała popiół za burtę. Po pewnym czasie Paul także zasnął, oparłszy swoją głowę o głowę starego. Objął go we śnie czułym gestem, w którym dało się dostrzec jakby smutek czy żal. Piero i Laura wymieniali spojrzenia. Dziewczyna kilkakrotnie napełniała jego kubek. Lipcowy dzień gasł powoli, kładąc na odległe miasto różowozłote blaski.

Piero cicho gwizdnął i na rufę przybiegł spaniel. Pies stanął przodem do dziobu i wziął w zęby przyczepioną do steru pętlę, którą podał mu jego pan.

– *Avanti* – szepnął Piero i Kserkses natychmiast utkwił wzrok w linii horyzontu. – Płyń prosto, mój śliczny piesku. Papa chce odsapnąć.

Olbrzym usiadł przy burcie naprzeciw Laury i Daniela, równoważąc swoją masą ich ciężar.

– Widzisz to, Danielu? – spytał, patrząc na śpiących. – Kochają się jak dwa gołąbki. Nie przejmuj się Amerykaninem. To wybór Scacchiego – nie wiem, czy dobry, czy zły, a pogarda to paskudna, małostkowa sprawa. Mężczyzna zakochany w mężczyźnie... Ja tego nie rozumiem. Ale co mi do tego? Nic.

Daniel milczał.

– Z tobą też nie ma to nic wspólnego, mój ty nowy przyjacielu – dodał Piero. – Nie dlatego Scacchi cię tu zaprosił. Mówił mi o tym. I tak nic z tego nie rozumiem. Powiedział, że chodzi o tę twoją pisaninę...

– Monografię – podpowiedział chłopak.

– Właśnie. Ponoć jest świetna. Jasne? No ale... bądź cierpliwy. Widzisz tego psa?

Kserkses stał sztywno przy sterze ze skórzaną pętlą mocno zaciśniętą w pysku i nie spuszczał z oka linii horyzontu.

– Jest niesamowity – powiedział Daniel i naprawdę tak uważał.

– Mało tego. To dowód na istnienie Boga.

– Piero! – zganiła go Laura. – To bluźnierstwo.

Spojrzenie wielkoluda było nieco szkliste. Daniel nawet nie chciał myśleć, ile wypito tu campari w czasie długiej, powolnej drogi przez lagunę na lotnisko.

– Wcale nie. To dowód na istnienie Boga i zaraz wyjaśnię ci dlaczego. Widzisz, Danielu, to jest pies do pe. Oczywiście nie mogę powiedzieć na głos słowa na pe, bo zaraz puściłby ster i zacząłby tu wyć jak wilczyca w rui. Zbudziłby tych tam, zakochanych, a my pływalibyśmy w kółko. Wiesz, o co mi chodzi?

Daniel odwrócił się plecami do psa, by ten nie mógł go widzieć, i wykonał gest, jakby unosił do ramienia strzelbę i naciskał spust.

– Tak jest. Pochodzi z bardzo starej rasy. Kiedyś zabiorę cię moją wspaniałą łódeczką do Torcello i pokażę mozaikę z pra-pra-pra-do entej-dziadkiem tego psa. To dzieło z epoki, zanim w ogóle wymyślono pe! Może mi to wyjaśnisz, moja droga.

Laura klepnęła go w kolano.

– To się nazywa ewolucja, głupku.

– To się nazywa dzieło Boże. Bo Bóg, proszę ciebie, nie widzi czasu tak jak my. Jak tworzył spaniela, wiedział, że pewnego dnia inna z jego istot wymyśli pe. Więc w krwi tego psa umieścił wiedzę o pe, żeby była tam, jak już będzie potrzebna. Dzięki temu nie musiał wymyślać innego zwierzęcia. Dla Boga czas to tylko jeszcze jedno z jego stworzeń. Jak drzewa. Albo ludzie. Albo woda. Albo...

Wyciągnął przed siebie kubek.

– Spritzu! A poza tym...

Laura nalała do połowy, kręcąc głową z dezaprobatą.

– A poza tym, Piero, jesteś zalany w trupa.

Nagle olbrzym zmizerniał.

– No, chyba tak... – Chwycił powietrze w nozdrza, jakby wyczuwając jakąś zmianę, i popatrzył na psa stojącego przy sterze z uniesionym wysoko czarnym wilgotnym nosem. Łódź zmieniła kierunek i płynęła teraz na wschód, chociaż nikt tego nie zauważył. Piero poszedł na rufę i wyprostował ster, by wrócić na kurs.

– *Avanti*, Kserkses – powiedział łagodnie. – Na Sant' Erasmo popłyniemy później, jak

odstawimy tych dobrych ludzi do miasta. Do domu później.

Laura rzuciła mu kilka poduszek ze swojej części łodzi.

– Do domu... – powtórzył olbrzym, a potem popatrzył na Daniela. – Scacchi mówi, że ty nie masz domu. To prawda?

– Moja matka umarła w zeszłym roku, a ojciec zanim się urodziłem. Ale mam gdzie mieszkać.

– Nie masz krewnych?

– Nie, nie mam żadnych bliskich krewnych.

– A jednak udało ci się liznąć wiedzy. – Piero wydawał się zdziwiony. – To znaczy, że nie zawsze sprawdzają się mądre teoryjki.

Laura westchnęła z dezaprobatą, przeszła na drugą stronę łodzi, ułożyła poduszki w prowizoryczne posłanie, a później wróciła i usiadła obok Daniela.

– Człowiek, który nie ma domu, nie ma nic – stwierdził Piero. – Weźmy tego tam, Paula. To wybór Scacchiego, w porządku. Stary za to płaci, płaci tą chorobą, którą Amerykanin mu sprzedał. Ale tu nie jest jego dom. Paul nie ma domu. Gdzie go położą, kiedy umrze? Pewnie wróci w trumnie jakimś samolotem do Ameryki.

– Piero... – powiedziała Laura z ledwie słyszalną nutą przygany w głosie. – Śpij już, proszę.

– Tak – zgodził się olbrzym i złożył swoje wielkie ciało na ułożonych na wąskiej ławeczce poduszkach ze zręcznością, którą można osiągnąć tylko po latach praktyki.

Pies na rufie zaskomlał cicho, lecz nie wypuścił trzymanego w zębach skórzanego paska. Daniel spojrzał na Laurę. Dziewczyna uniosła kubeczek i powiedziała: *Salute*. Z lewej wyłoniła się wyspa San Michele, na której trwały niekończące się cykle wtórnego przetwarzania grobów. Daniel stuknął plastikowym kubkiem o kubek Laury, myśląc o pochowanych tam sławnych ludziach. Diagilew, Strawiński, Ezra Pound... Wenecja od dawna żyła w jego myślach, znał jej wszystkie dzielnice i całą historię, której uczył się miesiącami. Zastanawiał się, czy rzeczywistość go nie rozczaruje, czy nie ujrzy skansenu dla turystów. Już teraz coś mu podpowiadało, że tak nie będzie i że prawdziwe miasto, autentyczna laguna, okaże się inne niż obraz, który zbudował sobie w wyobraźni na podstawie lektury mnóstwa książek wypożyczanych z uniwersyteckiej biblioteki.

Jego myśli rozproszyły się i odpłynęły. Nagle zdał sobie sprawę, że Laura, w której teraz dostrzegł naprawdę piękną dziewczynę, wyciągnęła ku niemu szczupłą opaloną rękę.

– Jestem tu służącą – powiedziała – kucharką, pokojówką, pielęgniarką i wszystkim innym po trochu. Musisz wiedzieć, że Scacchi ma swoje słabostki, ale jest najmilszym człowiekiem pod słońcem. Proszę cię, pamiętaj o tym, jak będziesz z nim załatwiał jakieś sprawy.

– Dobrze – odpowiedział i potrząsnął niezdarnie dłonią dziewczyny, zastanawiając się równocześnie, czy Laura odnosiła się do jego zachowania, czy do czegoś, co powiedział pan domu. Nie wiedział też, czy nie powinien pocałować tej opalonej dłoni.

– A co do Piero – mówiła dalej – to jest święty głupiec. Paul i Scacchi są... macie takie powiedzenie w waszym języku... jak dwa groszki z jednego strączka. Tyle że jeden z nich znosi swój los odważniej niż drugi, chociaż może w grę wchodzi tu także poczucie winy. Kocham ich obu i będę wdzięczna, jeśli także spróbujesz ich pokochać podczas swojego pobytu u nas. Albo jeśli będziesz przynajmniej udawać.

– Jasne, oczywiście.

Poklepała go lekko w kolano.

– Głuptasie. Jak możesz tak mówić? Przecież jeszcze w ogóle nas nie znasz.

Uśmiechnął się.

– Więc co powinienem powiedzieć?

– Nic. Tylko słuchaj i czekaj. Wiem, że dla mężczyzn to bywa niełatwe. Ach, choroba!

Łódź znów zmieniła kierunek. Stojący przy sterze Kserkses drżał na całym ciele.

– I pomyśleć, że on pozwala psu doprowadzić nas do domu.

Laura ostrożnie przeszła na rufę Sophii i odebrała Kserksesowi ster. Pies pisnął z wdzięcznością, wskoczył na platformę przy tylnej burcie łodzi, podniósł nogę i wysikał się do wody. Później zaczął wpatrywać się niecierpliwie w Laurę, ale dziewczyna już nie zamierzała oddać mu steru. Uspokojony, przebiegł na środek łodzi, położył pysk na udzie Piero i zamknął oczy.

Trzech pijanych śpiących mężczyzn, pomyślał Daniel, i pies o imieniu Kserkses.

A do tego osobliwa, intrygująca kobieta, która wpatrywała się w niego z tyłu łodzi, ostrożnie kierując ją w stronę miasta... W myślach chłopak wielokrotnie odgrywał scenę swojego przybycia, lecz żadne z tych wyobrażeń nie było nawet zbliżone do rzeczywistości.

Nigdy nie przewidział też tego, co nastąpiło później. Gdy stara łajba powoli, lecz miarowo posuwała się wzdłuż nabrzeża dzielnicy Cannaregio, długa smukła motorówka policyjna podpłynęła do niej i zwolniła, zrównując prędkość. Laura tkwiła przy sterze nieporuszona, jakby w ogóle nie zwracając uwagi na drugą łódź. Na rufie policyjnego ścigacza stała szczupła kobieta o krótkich blond włosach. Miała na sobie dwuczęściowy kostium ze ściśle dopasowaną marynarką i spódniczką sięgającą kolan, a w ręku trzymała megafon. Daniel spojrzał na trzech śpiących mężczyzn. Kobieta również na nich popatrzyła, a potem przeniosła wzrok na Laurę, która po prostu uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

Było za głośno i dzieliła ich za duża odległość, lecz Daniel mógłby przysiąc, że policjantka zaklęła, po czym rzuciła jakiś rozkaz do człowieka przy sterze ścigacza. Łódź zakołysała się, gdy silnik zwiększył obroty, a potem wystrzeliła w przód na poduszce wzburzonej piany.

– Widzisz, Danielu – powiedziała Laura – nawet policja przybyła cię powitać.

Lecz on prawie nie słyszał jej słów. Sophia skręciła ostro i płynęła teraz w kierunku wylotu przesmyku, który Daniel uznał za kanał Cannaregio. Roiło się tam od małych łodzi. Nagle owiała ich para unosząca się z vaporetto linii 52. Laura pewnie prowadziła łódź na ruchliwej rzece. Przepłynęła pod osobliwym, złożonym ze skośnych wsporników mostem Tre Archi i skierowała ją na długą prostą ku odległemu Canal Grande. Po lewej mijali starszą część Cannaregio, gdzie znajdowało się dawniej żydowskie getto, a po prawej wokół stacji kolejowej leżały zatłoczone dzielnice handlowe i turystyczne.

– Wiesz, czemu tu jesteś? – spytała, z całkowitym spokojem manewrując wśród mnóstwa pływających wokół jednostek o najróżniejszych kształtach, rozmiarach i barwach.

– Żeby skatalogować bibliotekę signora Scacchiego – powiedział Daniel, przekrzykując zgiełk kanału.

– Bibliotekę! – Dziewczyna roześmiała się głośno, przez co wydała mu się dużo młodsza. – On naprawdę tak to nazywa?

Zbliżali się do skrzyżowania kanałów. Sophia podskoczyła na fali wywołanej ruchem łodzi kręcących się w tłocznym przesmyku.

– Więc dlaczego tu jestem? – zawołał, nie wiedząc, gdzie zwrócić spojrzenie.

Laura uśmiechnęła się do niego szeroko, a jej słowa utonęły w gniewnym huku sygnału vaporetto przeganiającego z drogi gondolę pełną japońskich turystów. Daniel nie był pewny, czy dobrze usłyszał. Nie chciał o to pytać, ale zdawało mu się, że powiedziała: „Żeby nas ocalić”.

Był to jednak zły czas na rozmyślania. Gwałtownie przyspieszając, skręcili i włączyli się

w strumień łodzi ciągnących przez Canal Grande. Nic – żadna fotografia, żadne malowidło, żadna książka – nie przygotowały go na ten widok. Przed nim rozpościerała się tętniąca arteria miasta. Po obu stronach wznosiły się wspaniałe budowle, gotyckie i renesansowe, barokowe i neoklasycystyczne – oszałamiający melanż stylów, w którym stulecia deptały sobie po piętach. Vaporetti, taksówki wodne, łodzie towarowe i gondole mrowiły się niczym owady ślizgające się po powierzchni stawu. Zdawało się, że ten świat istnieje na dwóch płaszczyznach: w wysoko wznoszących się pałacach i kościelnych wieżach oraz tu, na dole, na falujących czarnych wodach laguny.

– Trzeba powiedzieć jeszcze coś, o czym wszyscy zapomnieli – dodała Laura.

– Co takiego? – zapytał.

Dziewczyna zdjęła okulary i Daniel napotkał ciepłe spojrzenie zielonych oczu.

– Cóż... – powiedziała z zamyślonym uśmiechem, który sprawił, że chłopak na moment zapomniał o roztaczającym się wokół widoku. – Witamy w Wenecji, panie Forster.

Nowy dom młodzieńca 5

Wuj spogląda na mnie z ukosa, gdy określam to miejsce mianem Palazzo Scacchi. Tutaj jest to zwykły dom, mówiąc z wenecka – Ca' Scacchi, lecz w każdym innym miejscu na świecie bez wątpienia nazywano by go pałacem, choć może wymaga nieco pracy i opieki.

Mieszkamy w parafii San Cassian na granicy sestieri San Polo i Santa Croce. Dom nasz wznosi się nad małym rio San Cassian (każdy, z wyjątkiem Wenecjanina, nazwałby to kanałem) opodal niedużego campo o tej samej nazwie. Dom ma drzwi prowadzące, jak w każdym innym mieście świata, na ulicę, lecz także dwoje innych wychodzących na wodę. Znajdują się one na parterze, wykorzystywanym w charakterze piwnicy, co w tym mieście jest powszechne. Nad jednymi z nich biegnie okazały łuk, drugie zaś prowadzą do magazynu i zarazem warsztatu drukarskiego, który stanowi wkład rodziny Scacchich w gospodarkę kraju. Zakład ten mieści się w budynku przylegającym do domu od północnej strony, wysokim na trzy kondygnacje (dom ma cztery!). Jest wreszcie jeszcze jedno wyjście: drewniany mostek z poręczami biegnie nad kanałem na wysokości pierwszego piętra domu i łączy oboje wychodzących na wodę drzwi bezpośrednio z placem. Mogę więc wyjść sobie nań rano i przecierając zaspane oczy, zaraz znaleźć się przy studni stojącej pośrodku campo, skąd można zaczerpnąć świeżej wody. Mogę też dla odmiany wezwać gondolę z okna swej sypialni – czeka już na mnie, gdy zbiegam po schodach, a chwilę później jestem w samym środku najświetniejszej drogi wodnej na Ziemi, niemal dokładnie naprzeciw wspaniałego Ca' d'Oro! I czyż dom ten nie zasługuje na miano pałacu?

Jak mi powiedziano, budowla ma niemal dwieście lat. Jej cegły przypominają barwą drewno orzechowe, które przeleżało zimę pod śniegiem. Okna zwieńczone są eleganckimi łukami wspartymi na miniaturowych kolumnach doryckich. Stoją one po obu stronach zielonych okiennic skonstruowanych w taki sposób, aby nie wpuszczały okrutnego letniego skwaru. Ja sam mieszkam na trzecim piętrze w trzecim pokoju po prawej (przypadki chodzą trójkami, jak powiadają). Gdy leżę w nocy w łóżku, dobiega mnie chlupot fal, gadanina i śpiewy gondolierów, a czasem sprośne plotki ladacznic stojących na placu, których obecność obniża niestety reputację dzielnicy (lecz taka jest cena życia w mieście – założę się, że płacisz ją też w Sewilli). Rozumiem jednak, dlaczego wuj prowadzi swe interesy właśnie tutaj. Ceny nie są wysokie, a położenie bliskie sercu miasta, dzięki czemu klienci mogą łatwo tu trafić. Co więcej, drukarskie rzemiosło ma w tej okolicy długą tradycję. Scotto i Gardano, Rampazetto i Novimagio – wszyscy oni mieli tu w swoim czasie domy. Nad dzielnicą unosi się duch drukarstwa, mimo że niektóre stare nazwiska są teraz niczym więcej jak wyblakłymi napisami na okładkach woluminów u antykwariuszy na moście Rialto.

Och, siostro! Modlę się, by nadszedł dzień, gdy będę mógł osobiście pokazać ci te

wszystkie rzeczy, zamiast starać się je niezręcznie opisać w liście, który dojdzie pod twój hiszpański adres nie wiadomo kiedy. Wenecja przypomina naszą starą bibliotekę: rozciąga się w nieskończoność, niewyobrażalna, pełna ciemnych zaułków i zaskakujących cudów, czekających niekiedy na człowieka dosłownie tuż za progiem. Zeszłej nocy, grzebiąc w szpargałach zalegających w rogach piwnicy, natrafiłem na egzemplarz *Poetyki* Arystotelesa wydany tu w roku 1502 przez samego Aldusa Manutiusa. Leżał ukryty za stertą niewyprzedanych (i prawdę mówiąc, podrzędnych) kantat. Na stronie tytułowej widnieje symbol akademii Aldine, słynny kolofon przedstawiający kotwicę i delfina, o którym opowiadał nam ojciec! Pobiegłem ze swym odkryciem do wuja Leona i ujrzałem – ha, nie lada zwycięstwo – jak cienka równa linia jego ust wygina się w kształt przypominający uśmiech.

„To ci znalezisko, chłopcze! Opłacisz mi się, widzę. Wezmę za to porządną sumkę na Rialto".

„A czy mogę to najpierw przejrzeć?", spytałem z niepokojem. Wuj czasami bywa nieprzyjemny w obejściu.

„Książki są po to, żeby je sprzedawać, a nie czytać", odrzekł twardo.

Udało mi się jednak dostać tom na jedną noc, bowiem handlarze o tej godzinie już nie pracowali. Od tamtej pory, licząc na to, że znajdę jeszcze jeden podobny klejnot, przeszukałem dokładnie wszystkie zabałaganione zakamarki, lecz nie trafiłem już na nic godnego szczególnej uwagi.

Nasz wuj jest po pierwsze człowiekiem interesu, po drugie zaś wydawcą, niemniej ma także ucho do muzyki. Czasem prosi mnie, bym zagrał jakiś utwór z zeszytu z nutami, który idzie do składu. W ten sposób pewnego razu przypadkiem odkryłem, że on sam miał kiedyś pewne ambicje muzyczne. (Scacchi są z natury wszechstronnie uzdolnieni, moja droga, choć czasem los krzyżuje nasze życiowe plany).

Na pierwszym piętrze ponad głównym mostem w części domu, którą można by nazwać bawialnią, stoi starodawny klawesyn. Jego brzmienie... spróbuj sobie wyobrazić dźwięk, jaki wydawałoby kilka kur z Leghorn, takich, które już się ze starości nie niosą, gdyby łaskotać je w ich pierzaste piersi. Kko-klok, kko-klok, kko-klok... Kko-kloook!

Jednakże, jak mawia Leo, instrument to tylko połowa sukcesu. Nawet tak początkujący grajek jak ja potrafi wydobyć z tego pudła coś w rodzaju melodii. Muzyka to czy literatura, oczywiste jest, że większość utworów, które drukujemy, przelewamy na papier z chęci zysku. Autor płaci sam lub, jeśli udało mu się znaleźć mecenasa, jakiś naiwniak z przepełnioną sakiewką pokrywa za niego rachunek. Niektórzy jednak nieźle się zapowiadają. Trzy noce temu Leo położył przede mną kartkę papieru i burknął: „Zagraj!", po czym, gdy już skończyłem, spytał mnie o zdanie (a to dość niezwykłe).

Coś podpowiedziało mi, że najlepsza tu będzie odpowiedź dyplomatyczna.

„Ciekawa kompozycja, wuju, lecz nie umiem jej dobrze ocenić po jednej tylko kartce. Nie ma tego więcej?".

„Nie!", rzucił, uśmiechając się sardonicznie. Uniósł ku mnie prawą dłoń i wówczas wyraźnie ujrzałem to, co poprzednio jedynie zdarzało mi się dostrzec kątem oka. Palec mały i wskazujący miał potwornie wykrzywione, przygięte ściśle do dłoni, jakby tkanki, z których te palce się składały, postanowiły zrejterować. Zastanawiałem się niegdyś, dlaczego zestawianie czcionek idzie mu tak niesporo. Oto była odpowiedź. Dni jego muzycznej kariery należały już do przeszłości, przynajmniej jeśli chodzi o grę. „Nic więcej spod takiej dłoni nie wyjdzie!", dodał.

„Więc to twój utwór, wuju?". Usiłowałem nie dać po sobie poznać zaskoczenia. Między nami mówiąc, Lucio, rzecz była naprawdę niezła.

„Miałem tym zadziwić Rudego Księdza i jego dziewczynki z La Piety. Gdybym tylko

skończył, zanim powstał ten szpon...".

„Bardzo mi przykro. Może, gdybyś zechciał, mógłbyś podyktować mi swe pomysły, a ja spróbuję przelać je na papier".

„A jeśli oślepnę, to będziesz według moich wskazań malował, żebym mógł zmierzyć się z Canalettem?".

Najlepiej było już nic nie mówić. Wuj Leo ma niewielu przyjaciół i, o ile mi wiadomo, żadnej kobiety, a to wielka szkoda, jako że żona mogłaby złagodzić jego naturę. Praca jest dla niego całym życiem, a ma ciężkie zajęcie, które pochłania zbyt wiele czasu, by starczyło na romanse. Sami we dwóch musimy robić wszystko, co wiąże się z wydaniem każdego tomu, od złożenia czcionek po obsługę prasy drukarskiej, choć Leo zapewnia mnie, że wynajmie jeszcze kogoś do pomocy, jeśli zajdzie taka potrzeba. Skoro sam Aldus Manutius (czy też Aldo Manuzio, jak nazywają go miejscowi) nie mógł utrzymać się w Wenecji z wydawania książek, to czasem zastanawiam się, jak też mają sobie poradzić zwykli Scacchi.

Przeczytałem ponownie poprzednie zdanie i zaraz wpadłem w gniew! Do diabła z czarnowidztwem (wybacz mój język). Należymy do rodu Scacchich. Ten zawód, całkiem zresztą niezły, pozwala mi być blisko literatury i muzyki. Może sami artystami nie jesteśmy, lecz dzięki nam świat może poznać artystów, a to przecież nie byle co. Nie jest to jednak łatwy kawałek chleba. Dziś, zmęczony po wczorajszej całonocnej pracy, źle zrozumiałem wskazówki Leona i nieodpowiednio złożyłem szpalty podczas szykowania do druku małej broszury o naturze nosorożców. Wszystko trzeba było zrobić jeszcze raz na koszt wuja, nie dało się cofnąć mojej pomyłki (drukowanie to zajęcie, które za błędy karze bardzo surowo). Leo uderzył mnie, lecz niezbyt mocno, a zresztą na to zasłużyłem. Czeladnik jest wszak po to, by pobierać naukę.

Naprzeciw naszego domu w kościele parafialnym znajduje się obraz przedstawiający męczeństwo świętego Kasjana – jak pewnie pamiętasz, to patron nauczycieli. Dzisiejszego wieczora wpatrywałem się w niego bez końca. Jest to ciemne, ponure malowidło, którego nie ożywia żaden wesoły kolor (zdaje się, że to cecha wszystkich scen męczeństwa dominujących w tutejszych kościołach). Naga muskularna postać Kasjana znajduje się na pierwszym planie. Wokół niego – dręczyciele z szaleństwem wypisanym na twarzach, dzierżący w dłoniach pióra, noże, nawet rylce, za pomocą których zamierzają posłać go na tamten świat. Ksiądz wyjaśnił mi, że święty był ich nauczycielem, a uczniowie zwrócili się przeciw niemu, gdy zaczął głosić prawdy chrześcijaństwa.

Obraz ten jest ważną alegorią, wyjaśnił mi kapłan. A jednak nie mogę wyjść z zadziwienia. Co sprawiło, że podopieczni, i to nie jeden, ale wszyscy, napadli na swego mentora z zabójczymi zamiarami? Czy karał ich srożej, niż na to zasługiwali? Są to ludzie upadli, widać po twarzach. Lecz co ich doprowadziło do upadku? Na obrazie nie ma nigdzie śladu Szatana.

Czuję, że ton mego listu stał się ponury, więc zapewne odłożyłaś go już na bok i wyszłaś z nowymi przyjaciółkami potańczyć na fiestę. Ślę ci wyrazy miłości, droga siostro, i bardzo jestem rad, że twoje zdrowie się polepszyło.

6 Spotkanie z Anglikiem

Hugo Massiter miał pięćdziesiąt jeden lat. W oczach Rizza wyglądał jak postać wyjęta z jednego z filmów z lat sześćdziesiątych, które niekiedy późną nocą wyświetlała telewizja RAI. Kobiety są tam zawsze jaskrawo umalowane i noszą krótkie spódniczki, a faceci, starzejący się playboye, pozują na nastolatków i próbują udawać wyluzowanych na swój dziwny śródziemnomorski sposób. Massiter ubierał się dokładnie w tym stylu. Tego dnia miał na sobie beżowe spodnie o ostrym jak brzytwa kancie, białą koszulę, którą prasowano tak długo, że zaczęła przypominać obrus z drogiej restauracji, oraz – jako elegancki detal – błękitną bawełnianą apaszkę wystającą spod rozpiętego kołnierzyka.

Był wysoki i kiedyś musiał być przystojny. Twarz przecinały mu arystokratyczne bruzdy, a jego opalenizna miała dziwny odcień, typowy dla Brytyjczyków, którzy spędzają za dużo czasu na słońcu. Linia jego włosów cofała się i lśniące różowe czoło rosło z biegiem czasu na przekór wszelkim próbom ukrycia tego faktu. Gdy chciał, potrafił spontanicznie się uśmiechnąć i wyglądał wtedy na człowieka bardzo miłego. Najbardziej intrygujące były jednak oczy Massitera – duże i szare, o świdrującym spojrzeniu. Gdy patrzył, miało się wrażenie, że w jego wzroku jest jakaś prześwietlająca siła, która pozwala mu odkrywać ludzkie wnętrza. Kiedy Rizzo chciał wiedzieć, co Hugo Massiter naprawdę myśli, odpowiedzi szukał właśnie w zimnej szczerości jego oczu, które wydawały się odsłaniać jego prawdziwe intencje. Z powodu tych oczu Rizzo bał się Anglika. Czasem wyglądały, jakby nie należały do człowieka.

Od przedwczesnej ekshumacji Susanny Gianni minęły trzy tygodnie i Massitera powinny już zajmować inne sprawy. Anglik upił łyk wody mineralnej, po czym zaczął wpatrywać się w Canal Grande za oknem. Jego nieduże mieszkanie znajdowało się w dzielnicy Dorsoduro między Accademią i Salute. Mieściło się na drugim piętrze zaadaptowanego pałacu i Rizzo wiedział, że musiało kosztować fortunę. Massiter mógł sobie na nie pozwolić. Miał domy także w Londynie i Nowym Jorku. Sztuka była bardziej opłacalna niż kieszonkowe kradzieże, choć zdaniem Rizza, gdyby wszystkie karty wyłożyć na stół, moralna różnica między nim a Anglikiem byłaby naprawdę znikoma.

Massiter odwrócił się i popatrzył na niego. Chłopak znał ten wyraz twarzy. Mówił: „Wiem, kiedy kłamiesz". Odpowiedział w myślach: „Tak sądzisz?".

– Powiedz mi jeszcze raz, co się stało.

– Co mam panu powiedzieć? Opowiadałem już milion razy.

– Opisz ją.

Fakt, Massiter napędził mu stracha, ale były pewne granice.

– Niech pan posłucha: jeśli chciał pan fotkę, trzeba było mnie uprzedzić. W środku było ciało kobiety. Koniec tematu.

Po tych słowach Anglik coś sobie chyba przypomniał. Podszedł do antycznego biurka pod

oknem i wyciągnął z szuflady album. Wyjął jedno ze zdjęć, podszedł do Rizza i usiadł obok niego, bardzo blisko. Blada skórzana, luksusowa sofa głęboko westchnęła pod ciężarem mężczyzny. Rizzo wpatrywał się w modernistyczny obraz na przeciwległej ścianie, abstrakcyjny wir kolorów. Znów naszło go uczucie, że jest uwięziony w starym filmie. Może w którejś z lustrzanych szaf ciągnących się wzdłuż ścian stoi trup Felliniego. A może Massiter na parkingu przy Piazzale Roma trzyma staromodną alfę spyder, którą wypuszcza się w ciepłe dni wzdłuż wybrzeża, a wiatr rozwiewa mu resztki włosów. Pomijając łysinę, ten człowiek wydawał się odporny na działanie czasu.

– Przyjrzyj się temu zdjęciu.

Fotografia była dość nowa. Przedstawiała dziewczynę stojącą u wrót La Piety, wielkiego białego kościoła niedaleko placu Świętego Marka. Miała na sobie czarną sukienkę, w rękach zaś trzymała stare pękate skrzypce, które w tej chwili leżały sobie bezpiecznie w skrytce bagażowej na dworcu Mestre. Dzień był słoneczny. W tle stali inni muzycy i wyglądało na to, że zdjęcie zrobiono krótko przed koncertem albo zaraz po nim. Rizzo nie mógł oderwać oczu od dziewczyny: dosłownie promieniowała z fotografii, pełna życia i radości, z błyszczącymi oczami... Znów go naszło. Skoncentrował się. Dziewczyna uśmiechała się do kogoś po drugiej stronie aparatu. Pewnie do Massitera. On miał wtedy trochę więcej włosów, a jego biały spyder trochę mniej rdzy. Rizzo stwierdził, że jego pierwsze wrażenie na widok zdjęcia na nagrobku było trafne. Człowiek po prostu musiał siąść i się gapić, gdy na jego oczach Susanna Gianni zmieniała się z dziewczyny w kobietę. Emanowało z niej magnetyczne piękno, ukazujące się stopniowo niczym dzieło sztuki w trakcie tworzenia. Czy to dlatego Massiter miał na jej punkcie taką obsesję? Nie, to do niego nie pasowało. W jego szarych zimnych oczach nie było miejsca na tego rodzaju uczucia.

– Jesteś pewny, że to ta dziewczyna z trumny?

– Czy jestem pewny? Ona nie żyje od dziesięciu lat! Jak pan to sobie wyobraża?

– Jest choć trochę podobna?

– Jasne.

– A włosy?

– Tak. Włosy są identyczne. Kubek w kubek. – Massiterowi nie dało się chyba wyjaśnić, że zaszła pewna zmiana. Zmiana, której dziewczyna się nie spodziewała, gdy robił jej to zdjęcie pewnego słonecznego dnia dziesięć lat wcześniej.

– I w trumnie nic więcej nie było? Żadnego, powiedzmy, listu?

Rizzo spojrzał mu prosto w twarz, nie próbując unikać jego wzroku.

– Było tam ciało owinięte w całun. Nic więcej. Tylko to. Mówiłem już panu milion razy. Przykro mi.

Anglik westchnął i położył zdjęcie na stole. Rizzo usiłował się na nie nie gapić.

– No i jest jeszcze sprawa tego zabitego dozorcy.

Chłopak osłupiał. Modlił się, żeby nie popuścić w spodnie.

– Co takiego?

Zrobiło mu się zimno, gdy spoczęło na nim spojrzenie Massitera.

– Och, nie żartuj. Załatwili biedaczka tego samego dnia. Musiałeś coś o tym czytać.

Rizzo potaknął, zaskoczony własnym opanowaniem.

– Pewnie, że czytałem. Tyle że nie pokojarzyłem wątków.

Anglik zamrugał, po czym przejrzał plik leżących na stole wycinków prasowych i wyjął artykuł dotyczący zabójstwa. Tekst zilustrowano kiepskim zdjęciem dozorcy, na którym wyglądał dużo młodziej.

– Nie spotkałeś go? Wtedy na cmentarzu?

– Nie bardzo pamiętam – odrzekł, wpatrując się intensywnie w odbitkę. – Nie. Z nim akurat nie gadałem.

Massiter wydał z siebie westchnienie, które mogło oznaczać wszystko. Następnie wziął ze stołu białe tekturowe pudełko wypełnione arkusikami bibuły i spomiędzy nich z ostrożnością chirurga wyjął kolorowy obrazek. Była to mała prosta ikona z wizerunkiem Dziewicy podobna do obrazków, jakie antykwariusze skupują gdzieś na wschodzie, a potem sprzedają turystom. Rizzo znał kilku ludzi seryjnie tłukących tanie podróbki takich ikon w warsztacie w bocznej uliczce w dzielnicy Giudecca. Ten egzemplarz wyglądał jednak na oryginał. Aureola wokół głowy Dziewicy lśniła czystym złotem.

– Widzisz – zaczął Massiter, trzymając ikonę przed nim – w przyszłym tygodniu wystawię to na aukcji w Nowym Jorku. Zarobię pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt tysięcy dolarów. To stąd mam pieniądze, żeby opłacić ciebie.

Rizzo gwizdnął.

– Nieźle. Najwyraźniej siedzę nie w tej branży, co trzeba.

– Jesteś złodziejem – przypomniał mu bez ogródek. – Tak się poznaliśmy.

Faktycznie tak było. Pewnego sobotniego ranka przy Salute próbował wyciągnąć Anglikowi portfel, lecz ten był zbyt sprytny i przyłapał go na gorącym uczynku. A potem, ku jego zaskoczeniu, zaprosił go na kawę, zamiast zaprowadzić na komisariat. Naprawdę elegancki sposób na znalezienie człowieka do dziwnej brudnej roboty. Rizzo przypuszczał, że podobni do niego ludzie pracują też w Nowym Jorku i Londynie, i może nawet zostali zwerbowani w analogiczny sposób.

– Racja – powiedział.

Massiter włożył mu ikonę w dłonie. Wydawała się krucha i delikatna.

– To pochodzi z Serbii – rzekł. – Zastanawiałeś się czasem, ile takiego towaru można w dzisiejszych czasach zdobyć na Bałkanach?

– Raczej nie. – Zaskoczyło go, że można takie rzeczy nazywać „towarem". W końcu to sztuka, nawet jeśli kradziona. Oddał ikonę. Niezbyt komfortowo czuł się z takimi pieniędzmi w rękach.

– Domyślam się, że nie – powiedział Anglik. – Ta ikona pochodzi z małego klasztoru przy granicy Kosowa. Tak się składa, że znam grupkę chrześcijan, którzy ją zabrali. W tych kwestiach jestem całkowicie ekumeniczny. Interesy robię z każdym.

W to akurat Rizzo mógł uwierzyć.

– No tak, biznes to biznes.

– Wiesz, jacy oni są? Jacy są ludzie, którzy robią takie rzeczy?

Wiedział. W dzisiejszych czasach wszędzie było pełno tych bałkańskich popaprańców z Bośni, Kosowa, Albanii czy Serbii. Niektórzy byli zdolni wydłubać ci oczy łyżką, jeśli powiedziałeś *ciao* ze złym akcentem.

Skinął głową. Massiter usiadł na sofie i przysunął się do niego, po czym położył mu rękę na kolanie. Rizzo zauważył, że Anglik ma długie i mocne ramiona. Zastanawiał się, dlaczego wcześniej tego nie spostrzegł.

– W zeszłym roku jeden z tych... ludzi oszukał mnie. Na dużą sumę. Choć pomagam im robić interesy. Płacę na czas. Daję prezenciki. Głaszczę ich dzieci po brudnych zawszonych główkach.

Rizzo poczuł ucisk w piersi.

– Ja bym nigdy czegoś takiego nie zrobił, signor Massiter. Musi pan wiedzieć, że ja bym nigdy, nigdy czegoś takiego nie zrobił, choćby...

– Cisza.

Przytknął do ust złodzieja dwa palce. Wielkie szare oczy zalśniły przed Rizzem jak bliźniacze planety złożone z lodu i nienawiści.

– Okradli mnie – powiedział. – Zlekceważyli całe zaufanie, które im okazałem.

Rizzo zdał sobie sprawę, że od Massitera emanuje także zapach. Raczej perfumy niż płyn po goleniu. Pachniały prawie jak kadzidełko.

Massiter odjął palce od ust złodzieja. Włoch miał nadzieję, że się nie zsika.

– Kiepsko to sobie wymyślili – odezwał się.

Anglik przytaknął.

– Też tak sądzę. Wiesz, do czego zmierzam?

– Wiem – odparł Rizzo.

– Chyba jednak nie. – Upił łyk wody. Jego ręka była pewna i twarda jak skała. – Jesteś złodziejem. Przydajesz mi się w pewnych sprawach. Lekcja, której musisz się nauczyć, jest taka: ukraść coś, co przechodzi przez moje ręce, to źle. Ukraść coś, co już do mnie należy, to dużo, dużo gorzej.

– Niczego bym nie ukradł...

Massiter uśmiechnął się nagle ciepło jak gospodarz witający gości na progu domu. Już sam ten uśmiech mógłby mu zapewnić rólkę w każdym filmie.

– Och, dajże spokój, chłopie. Chcę ci tylko coś wyjaśnić. Niektóre przedmioty posiadam po to, żeby je później sprzedać. Inne – te piękniejsze – zatrzymuję wyłącznie dla siebie. Jeśli ktoś mi ukradnie te pierwsze, jestem zły. Jeśli te drugie... cóż, nic już nie powiem, bo byłoby to wulgarne.

Rizzo milczał. Massiter zaśmiał się.

– Wiesz, jaka jest różnica między nami?

– Pan jest mózgiem. Ja tylko sprzątam.

Anglik znów się zaśmiał i poklepał go po ramieniu.

– Nie, nigdy bym czegoś takiego nie powiedział. Z ciebie jest inteligentny chłopak. Różnica polega na tym, że ty kradniesz rzecz dla niej samej, podczas gdy ja... wchodzę w jej posiadanie z myślą, że jeśli jakość okaże się odpowiednio wysoka, to stanę się jej właścicielem. Ciebie interesuje przedmiot. Mnie – fakt posiadania.

– Kapuję – odparł niepewnie Rizzo.

– Ujmę to jeszcze zwięźlej. Ty jesteś złodziejem. Ja jestem kolekcjonerem. I niech tak zostanie, dobrze?

Anglik wstał i rozprostował nogi, jakby mu zdrętwiały.

– Dziewczyna miała przedmiot, który należy do mnie. Ona umarła, a mnie bardzo go brakuje. Dochodzą mnie różne słuchy, Rizzo. Dochodzą mnie słuchy, że ta rzecz może być teraz przeznaczona na sprzedaż, jeśli się wie, do których drzwi zapukać i jaką zaproponować sumę. Jestem ciekaw, gdzie ona jest. I zastanawiam się, jak tam trafiła.

W twarzy Rizzo nie drgnął nawet jeden mięsień.

– Co mam dla pana zrobić?

– To proste – odpowiedział, a jego twarz znów rozjaśnił szeroki uśmiech. – Obserwuj. Nasłuchuj. Bądź moimi oczami i uszami. – Spojrzał na duży drogi zegarek. Dochodziła pierwsza. – Potem opowiesz mi wszystko, czego się dowiedziałeś. No, a teraz zmykaj. Za chwilę będę przyjmował tu pewnych ludzi, którzy widzą we mnie wcielenie współczesnej solidności. A skoro za to płacę, to przy okazji się rozerwę i popatrzę, jak tańczą, kiedy gram.

Poza prawem 7

Intryga! Intryga!

No proszę – od razu cię zaciekawiłem. Nic z tego, co tu piszę, nie jest zmyślone. Twój nieszczęsny brat siedzi w samym środku intrygi i nie może sobie wyobrazić, jakie tajemnice i niebezpieczeństwa czyhają za rogiem.

Wczoraj Leo zawołał mnie do bawialni i z bardzo poważną miną obwieścił, że muszę wyruszyć w pewnej ważnej a poufnej sprawie na rzecz Domu Scacchich. Pozycja Vivaldiego, Rudego Księdza o wielkiej sławie, chwieje się. Wygląda na to, że opuściła go muza, podobnie jak kilka grających dlań dziewcząt. Wiadomo wszakże, iż reputacja księdza opiera się na niedużej orkiestrze złożonej z młodych muzykantek w La Piecie. Lecz cóż, choroba, kłótnie (mnóstwo kłótni) i narastające przez wiele lat wyczerpanie doprowadziły do katastrofy. Vivaldi musi otworzyć sezon koncertowy, a brakuje mu utalentowanych muzyków, którzy mogliby grać jego dzieła.

W jednej strasznej chwili przeszło mi przez myśl, że Leo rozkaże mi przywdziać habit i wstąpić w szeregi duchownych. Już miałem zacząć się wykręcać, powołując się na przerażenie, moczenie, nagłe sztywnienie rąk czy co tam jeszcze przyszłoby mi do głowy, lecz wuj pokręcił niecierpliwie głową, jakby czytał w moich myślach, i wyjaśnił: „Nie chodzi o ciebie, chłopcze. Jemu potrzebna skrzypaczka. A ja znam taką, która będzie w sam raz. Jestem jednak zbyt zajęty. Ty będziesz jej przewodnikiem i opiekunem. Weźmiesz gondolę w obie strony. Masz nie szczędzić pieniędzy. Władza Vivaldiego w tym mieście bez wątpienia słabnie, ale nawet jego cień ma wpływy".

„Więc chcesz, wuju, bym towarzyszył tej damie w drodze do kościoła? Czy ona jest chora?".

„Nie", odparł, a mnie wydało się, że w jego oczach zapłonęła iskierka lęku. „Ona jest Żydówką!".

Nie miałem pojęcia, jak to rozumieć.

„Żydówką? To przecież niemożliwe. Jakżeby jej pozwolono grać w chrześcijańskiej świątyni, wuju? Vivaldi nigdy by na to nie przystał".

„Vivaldi nigdy się o tym nie dowie! Mówimy tu o damie wielkiej urody i niezwykle utalentowanej. Zagra wszystko, co tylko ksiądz dla niej wymyśli, a nawet więcej. Gdyby była gojką, a do tego mężczyzną, śmiem twierdzić, że sale koncertowe napełniałyby się tłumami ludzi pragnących jej posłuchać. Lecz jest małą ładną Żydóweczką i nic tego nie zmieni. Nie szpeci jej haczykowaty nos ani broda. Jeśli tylko uda ci się dostarczyć ją bezpiecznie i nakłonić, by przed wejściem do kościoła zdjęła swą czerwoną chustę, Vivaldi nie będzie się dwa razy zastanawiać. A gdy tylko usłyszy, jak dziewczyna gra, mamy go w garści!".

Kiedy wybrzmiały słowa wuja, w ciężkiej od kurzu bawialni zrobiło się zimno. Nie wiem wiele o sprawach żydowskich, ale Żydom nie pozwala się chodzić po ulicach bez znaku mówiącego, kim są, nie mogą także pod żadnym pozorem wchodzić do kościołów. Grozi za to uwięzienie lub coś jeszcze gorszego. W więzieniu kończą również ci, co podburzają Żydów do łamania praw doży.

„Myślę, że plan zajęć nie jest aż tak napięty, wuju, byś nie mógł sam załatwić tej sprawy. Ja jestem zwykłym chłopcem. W dodatku nie znam miasta tak dobrze jak ty".

Oczy Leona, które cień zasnuwa często nawet wtedy, gdy jest zadowolony, zwęziły się w szparki i nie mogłem z nich nic wyczytać.

„To ja czuwam nad kalendarzem naszych spraw handlowych, Lorenzo. Kiedy cię wyciągnąłem z nędzy i uczyniłem swym czeladnikiem, zgodziłeś się spełnić każde moje polecenie. A teraz uprzejmie proszę, byś się wywiązał ze swych zobowiązań".

„Ale wuju! Co będzie, jeśli nas złapią?!".

„Wówczas będę bardzo rozczarowany i wyprę się wszelkiej wiedzy o twoich brudnych sprawkach. Niestety, nie można iść naprzód, jeśli się czasem nie umoczy nóg w błocie".

O tak, pomyślałem. Moich nóg.

„A poza tym, chłopcze, może to być dla ciebie znacznie lepsza rozrywka, niż byś się spodziewał".

„A jeśli odmówię?".

„Wtedy spakujesz tobołek i poszukasz własnej drogi przez życie. Los ten czeka cię, jeśli do jutrzejszego ranka nie zobaczę na moim biurku listu z podziękowaniami od Vivaldiego. W warsztacie pożytek z ciebie żaden: tylko rozchlapujesz tusz, a czcionki składasz do góry nogami".

To rzekłszy, wcisnął mi w rękę kilka monet – akurat na gondolę, o ile na spotkanie z mą żydowską podopieczną pójdę piechotą i w taki sam sposób wrócę – oraz zabazgrany karteluszek. Następnie zasiadł do czytania próbnych wydruków jakichś szarlatańskich recept medycznych przeznaczonych dla Arabów.

Wciąż żyję, siostro, i wciąż cieszę się wolnością, mogę zatem jeszcze napisać ten list, który, jak ufam, natychmiast spalisz. Widzisz więc, że przygoda ta na razie nie pochłonęła życia twego młodszego brata, lecz tej nocy marną mam szansę na spokojny sen.

Misja 8

Swój pierwszy dzień w Wenecji Daniel Forster za radą Scacchiego poświęcił na samotne zwiedzanie. O piątej wrócił do dużego domu przy placu San Cassian, a gdy godzinę później zabrzmiały kościelne dzwony, zawołano go na popołudniowy rytuał: spritz. Scacchi wypił trzy duże szklanki krwistoczerwonego płynu, Paul tylko trochę mniej, a Laura, zarazem służąca i gość, zadowoliła się jedną.

Pan domu wyglądał tego dnia lepiej. Jego twarz nabrała barwy, poprawił mu się też humor. Daniel wiedział co nieco o chorobie nękającej obu mężczyzn i wyobrażał sobie, że może bardzo zmieniać charaktery. Prośba Laury, by wziął to pod uwagę, była doprawdy zbędna.

– Czy wiesz, Lauro, jak Daniel do nas trafił?

Dziewczyna wymieniła spojrzenia z Paulem.

– Wspominałeś raz czy dwa, ale proszę, odśwież mi pamięć.

– Dzięki swojemu geniuszowi! Oto student w tym sławnym Oksfordzie pisze pracę o weneckim przemyśle drukarskim. I co dalej? Odkrywa, że jeden z pomniejszych domów drukarskich wciąż istnieje, choć teraz to już oczywiście tylko cegły i zaprawa. Wznoszę toast za twój zapał, Danielu! – Scacchi wzniósł szklankę. – Minęło ponad dwieście pięćdziesiąt lat, odkąd w tych murach wydrukowano ostatnią stronę, a jednak umiałeś nas wytropić.

Daniel przypomniał sobie tamtą chwilę w bibliotece uniwersyteckiej, gdy pod wpływem impulsu postanowił przejrzeć książkę telefoniczną Wenecji i posprawdzać adresy związane z jego projektem. Odnalazł wszystkie interesujące go nazwiska. Były rozrzucone po całym regionie Veneto. Scacchich było jednak tylko kilku, a jedna z rodzin ku jego zaskoczeniu wciąż mieszkała pod adresem, pod którym od początku szesnastego stulecia miał siedzibę sławny dom wydawniczy. Daniel był dumny z wyników swojego śledztwa. Po śmierci matki pogrążył się w badaniach naukowych, aby zająć czymś myśli, lecz także dlatego, że praca nad starymi książkami i zapisami nutowymi przynosiła mu prawdziwą satysfakcję. Jego życie na uniwersytecie toczyło się miarowo i było przyjemnie uporządkowane, choć przy tym dość samotnicze. Wcale o to nie zabiegając, zyskał opinię człowieka, który ciągle siedzi w książkach i żyje raczej we własnym świecie. Miał garstkę znajomych, chociaż nie mógł ich nazwać przyjaciółmi. Zdawał sobie sprawę, że między nim a innymi studentami istnieje pewien dystans. Ostatnich kilka lat życia opiekował się umierającą matką, a w tym czasie jego rówieśnicy szli naprzód i rozwijali się w dziedzinach, o których nie miał pojęcia. Czuł, że w pewnym sensie dopiero z dniem śmierci matki sam zaczął iść naprzód. Myśl ta napełniała go poczuciem winy i bólem.

Miękka dłoń dotknęła jego ramienia. Laura uśmiechała się.

Chyba się martwi, pomyślał.

– Przepraszam – mruknął. – Zamyśliłem się. Co pan mówił?

Scacchi gestykulował widelcem z nadzianym kawałkiem mięsa.

– Gdy przyszedł ten list, wprost zabrakło mi słów. Prawda, Paul?

– Słów to ci nigdy nie brakuje. Najwyżej czasem bywasz zaskoczony.

– Co za impertynencja! Ale nie dam się sprowokować. W tym mieście, Danielu, znają nas – a raczej wydaje im się, że znają – jako parę podstarzałych gejów, którzy żyją z okazjonalnego handlu antykami. Lecz ty ze swoimi komputerami i badawczym talentem odkryłeś coś, co było dla mnie tylko starą rodzinną plotką.

– Ale przecież musiał pan wiedzieć – powiedział Daniel – że w tym budynku mieściło się znane wydawnictwo.

Scacchi parsknął śmiechem.

– Pochlebca! To było bardzo dawno temu i w innej gałęzi rodziny. Nazwisko co prawda przetrwało, ale ten dom przez całe stulecia przechodził z jednego krewnego na innego, z jednej linii na inną. Ja jestem Scacchim dopiero w trzecim pokoleniu. Odziedziczyliśmy budynek po jakimś kuzynie, który zbankrutował. Przez wiele lat prowadziliśmy mały sklep w przybudówce, aż skończyła się koniunktura. Ja jestem ostatnim ze Scacchich. Po mnie nie będzie już żadnego. I nie będzie już Ca' Scacchi.

Zapatrzył się w swój talerz i dodał bezbarwnym tonem:

– Jakby to miało jakieś znaczenie.

Laura zjeżyła się.

– Dla nas to ma znaczenie, Scacchi. Nie chcę widzieć tej miny zbitego psa. Ona zupełnie do ciebie nie pasuje. A jeśli chodzi o to, dlaczego Daniel tu przyjechał, to nie wiem, czy pamiętasz, ale sam go zaprosiłeś. Ma pomóc skatalogować... – spojrzała na Daniela – ...bibliotekę.

– Ach.

Zapadła cisza. Daniel znów zaczął zastanawiać się nad skomplikowanymi relacjami panującymi w tym trio, a przede wszystkim nad rolą, jaką odgrywała w nim Laura. Była zarówno służącą, jak i przyjaciółką, powiernicą i opiekunką tych dwóch znacznie starszych od siebie mężczyzn. Rola ta musiała być czasem uciążliwa, ale widać było na pierwszy rzut oka, że Laura czerpie z niej spore zadowolenie.

Scacchi popatrzył na stół z zakłopotanym uśmiechem.

– Może trochę przesadzam. Mam nadzieję, że będzie to dla was pouczająca przygoda. Poza tym, Lauro, to przecież ja zapłaciłem za jego bilet, prawda? Dostaje tu ode mnie kieszonkowe, nie wspominając nawet o tym, co dla niego zorganizowałem w tym miłym kościółku La Pietà, by mógł rozruszać swoje kościste ręce. Jak widzisz, czytałem twoje listy bardzo uważnie, Danielu.

– La Pietà?

– Później do tego wrócimy. A teraz...

Stary człowiek wyjął z kieszeni pęk kluczy na kółku przyczepionym do łańcuszka umocowanego przy pasku.

– Chodźcie. Pokażę wam miejsca w Ca' Scacchi, w które żadne z was nigdy wcześniej się nie zapuściło.

Laura ujrzała zapał w jego twarzy. Gospodarz skierował się w stronę drzwi prowadzących do piwnicy na parterze.

– Schodzimy do magazynu? Są tam szczury? – spytała.

– Moja droga! One w Wenecji są wszędzie.

– To ja lepiej posprzątam ze stołu, dziękuję.

– Ja też odpuszczam – powiedział Paul. – Piwniczny pył drażni moje płuca.

Starzec wstał energicznie.

– Jak sobie chcecie. Chodź, Danielu. Sami zagłębimy się w ten podziemny świat.

Zeszli po wąskich schodach na parter. W ciemnościach, spowite chmurami kurzu stały skrzynie i starodawne meble. Żółte światło pojedynczej żarówki rozjaśniło pomieszczenie. Scacchi sięgnął po dwie duże latarki wiszące na ścianie u dołu schodów i skierował się ku drzwiom po lewej.

– Zstępujemy w trzewia domu – oznajmił. – Ciemno tam jak w trumnie. Nie ma okien. Prądu też brak. Trzymaj latarkę. Będę ci też wdzięczny, jeśli nie naniesiesz kurzu do salonu. W kwestii brudu Laura jest niesamowitą pedantką.

Daniel przeszedł za starcem przez starodawny próg. Ich latarki rzucały snopy żółtego światła. W sali panował chyba jeszcze większy bałagan niż w innych częściach piwnicy. Zakurzone płachty okrywały bezkształtne bryły, jedne małe, inne wielkości człowieka. Pomieszczenie było bardzo duże, rozciągało się na pełną długość i szerokość domu. Smugi światła wpadały przez spękane drewniane drzwi, które niegdyś musiały stanowić wejście do warsztatu od strony wody.

– Co to za miejsce, panie Scacchi? – spytał Daniel.

– Zapewne pozostałości po drukarni. Cały ten majdan wypełniał kiedyś wszystkie trzy piętra domu. Złożono go tutaj, kiedy interes się skończył. W czasach, gdy mieliśmy tu magazyn, po prostu zajęliśmy górę, a towar wjeżdżał windą. Tymi wąskimi schodami nie można za dużo wnieść. Po tym, jak mnie odnalazłeś, zacząłem się zastanawiać nad przeszłością tego miejsca i postanowiłem rozejrzeć się trochę na dole. Potem uznałem, że warto cię tu przyprowadzić, byś sam rzucił na to okiem. Spójrz...

Podniósł róg płachty, która przykrywała wysoki prostopadłościan stojący obok łuku drzwi wejściowych, fragment podstawy potężnej maszyny.

– Prasa drukarska? – spytał Daniel.

– Na to wygląda. O ile się orientuję, bezwartościowa. Nie ma teraz dużego popytu na takie śmieci. Świat pragnie dziś dzieł sztuki, a nie przedpotopowej maszynerii. Może są tu jakieś cenne dokumenty, ale to nie moja działka. Daj mi instrument, obraz albo figurkę z brązu, a zaraz to wycenię. Ale książki... słowa na papierze nigdy wiele dla mnie nie znaczyły. Niezły ze mnie Scacchi, co?

Daniel usłyszał pisk, a potem chrobot zwierzęcia uciekającego ku światłu sączącemu się przez szparę w drzwiach. Laura miała rację, jeśli chodzi o szczury, podobnie jak w większości innych spraw, pomyślał Daniel, i najczęściej ją ignorowano. Miał nadzieję, że Scacchi zdaje sobie sprawę z tego, jakie szczęście mu dopisało, gdy wybierał gosposię.

– A to chyba biblioteka – powiedział starzec, osłaniając twarz przed światłem latarki, przez co Daniel nie mógł odczytać jej wyrazu. – Oszust ze mnie. Przyznaj sam. Zwabiłem cię tutaj podstępnie, a teraz pokazuję ci jakąś zakurzoną salę, jakby to było złotonośne źródło.

– Nie! To nie tak! Ja bym przyjechał niezależnie od wszystkiego, nawet dla jednego świstka pożółkłego papieru. Przyleciałbym tu choćby po to, żeby odetchnąć tym powietrzem.

Scacchi poklepał niewielką stertę papierów leżącą przed nim. Tuman kurzu spowił ich obu. Z jakiegoś powodu gospodarz był smutny.

– Dlaczego tak mówisz, Danielu? Jesteśmy sobie obcy. Wywabiłem cię z domu pod fałszywym pretekstem. Sam przyznaj.

Chłopaka zdziwiło to, jak niewiele Scacchi pojmuje.

– Zawsze pragnąłem tu przyjechać. Moja matka była Angielką, ale kiedyś mieszkała i studiowała w Wenecji. Tak nauczyłem się włoskiego, wyrosłem na jej książkach i historiach. Gdy rozglądam się wokół...

Daniel zawahał się. Coś, chyba kurz, wpadło mu pod powieki.

– ...czuję, że widzę to miejsce jej oczami, że ona ciągle jest blisko mnie.

Scacchi kaszlnął i spojrzał na niego z ukosa. Pojawił się między nimi cień poufałości, choć żaden nie przyznałby się do tego.

– Powiadają, że naiwność jest słabością mężczyzny, lecz siłą dziecka – wymamrotał. – A ty, Danielu, masz dwadzieścia lat... i jesteś mężczyzną czy dzieckiem?

– Chyba kimś pomiędzy – odparł szczerze. – Ale idę dobrym kursem.

Stary człowiek odwrócił się i popatrzył w ciemność.

– A właśnie. Przypomniało mi się, że jutro zamierzam pokazać ci coś w kościele Świętego Rocha, jeszcze przed naszą wizytą w La Piecie, z której zresztą na pewno będziesz bardzo zadowolony.

– Jest pan bardzo miły.

Scacchi znów poklepał stertę książek. Tym razem zrobił to delikatniej, lecz chmura kurzu znów się uniosła.

– Bardzo miły? Naprawdę?

– No, bardzo to może przesada.

Starzec podniósł latarkę. Czas wracać.

– Danielu – powiedział. – Znajdź tu coś dla mnie. Coś, co będę mógł sprzedać. Śmiejemy się, żartujemy i zachowujemy, jakby jutra miało nie być – i w pewnym sensie dla mnie i Paula faktycznie nie ma jutra, a w każdym razie czasu zostało niewiele. Ale koniec jeszcze nie nadszedł, a na razie chciałbym, żebyś wyszukał mi tutaj coś, co będę mógł dobrze sprzedać. Zamierzam umrzeć pod tym dachem. Wolałbym nie pozbywać się domu, kiedy pierwszy lepszyAmerykanin będzie akurat miał ochotę zamieszkać w przerobionym *palazzo*. Poza tym chciałbym zostawić naszej kochanej Laurze pieniądze na dobry start w życiu. Bóg wie, że jej się należy. Ale na to potrzeba nam porządnej gotówki.

Daniel był wstrząśnięty. Zupełnie zaskoczyła go zmiana tonu Scacchiego.

– Nie miałem pojęcia... Musi pan natychmiast przestać wydawać na mnie pieniądze. Mogę pracować za darmo. Karmi mnie pan, kupił mi pan bilet. Proszę.

Gospodarz poklepał go po ramieniu.

– Ech, daj spokój, Danielu. Te grosze, które ci daję, niczego nie zmienią. Potrzebne mi są prawdziwe pieniądze. Jakaś opatrznościowa siła przysłała cię do mnie. Do tego magazynu. Poszukaj, a znajdziesz, wiem to.

Zapadło milczenie. Daniel delikatnie dotknął ramienia starego człowieka, któremu lekko zwilgotniały kąciki oczu. Wiedział, że gdyby była tu teraz Laura, znalazłaby odpowiednie słowa i właściwe gesty, by go pocieszyć.

– To jaskinia Aladyna – powiedział. Nic lepszego nie przyszło mu do głowy.

– Albo puszka Pandory.

– Tak czy inaczej, znajdę tu coś, co będzie mógł pan sprzedać.

Scacchi odwrócił się do wyjścia. Daniel podniósł kilka stronic, z których wcześniej uniosły się chmury pyłu, i obejrzał je w bladym żółtym świetle. Ślad atramentu biegł przez karty jak rozmazany makijaż. Magazyn był na poziomie wody, tuż przy *rio*. W przeszłości, i to pewnie nie raz, fale *acqua alta* przedostały się do tego pomieszczenia i zalały je na wysokość metra, niszcząc wszystko, czego dotknęły.

Wyprawa do getta 9

Na kartce, którą wręczył mi Leo, stało jedynie: „Dr Levi, Ghetto Nuovo”. Nic więcej – żadnych wskazówek ani poruczeń, co mam zrobić, gdy dotrę już do celu. Wyszedłem z Ca’ Scacchi krótko po południu i niespokojny udałem się od razu na campo do studni, aby wypić kubek stęchłej wody. Z drugiej strony placu, spomiędzy straganów, dobiegło mnie znajome przeciągłe gwizdnięcie. Był to Gobbo wysłany najwyraźniej po jakąś egzotyczną odmianę grzyba dla zaspokojenia epikurejskich gustów jego pana, chociaż znaczący uśmieszek, który nie schodził z jego twarzy, gdy obserwował mocno umalowane panie, zdradzał zgoła inne intencje.

„Gobbo, powiedz mi, gdzie jest Ghetto Nuovo”, poprosiłem.

„A po co ty chcesz tam iść?”, zapytał podejrzliwie. „Nie jesteś chyba Żydkiem w przebraniu?”.

Powierzyłbym mu największe sekrety, lecz nie życie. Jednym z weneckich wynalazków, który stanął mi w tej chwili żywo przed oczami, są pozłacane lwy z otwartą paszczą. Ujrzeć je można na rogach ulic i w ważnych budynkach. Wrzuca się do nich anonimowe donosy na współmieszkańców podejrzewanych o występek przeciw prawu. Doprawdy, nie miałem ochoty spowiadać się ludziom doży ze swych spraw, gdyby Gobbo coś wypaplał w jakiejś spelunie w Dorsoduro.

„Oczywiście, że nie jestem Żydem, głupku! Lecz mój opiekun jest drukarzem, a jakiś Żyd chce wydać pamiętniki. Skoro płaci, to je wydrukujemy, choćby były najnudniejsze”.

„No to świetnie”, rzekł z ulgą i klepnął mnie boleśnie w plecy. „Moim zdaniem”, wyprostował się, niemal zrównując się ze mną wzrostem, aby przydać wagi swym słowom, „tym ohydnym kreaturom zamordowanie naszego Pana po prostu uszło płazem”.

„Twój pęd do wiedzy nie przestaje mnie zadziwiać, Gobbo”, westchnąłem. „Nie sądziłem, że i teologia znajduje się wśród twych specjalności”.

Przez jego brzydką twarz przemknął uśmiech.

„Mówisz poważnie? Dziękuję! Ghetto Nuovo jest w Cannaregio. Najwyżej kwadrans wodą”.

Pokazałem mu drobne, które ściskałem w dłoni. Spojrzał na monety i skrzywił się.

„Leo to skąpy drań, co? Będziesz więc musiał przejść przez most Rialto i obok kościoła San Fosca. Nie zajmie ci to więcej niż pół godziny, chyba że ktoś da ci po drodze w łeb”.

„Dzięki...”.

„Sam także miałem podobnego pana w Turynie. Pchnąłem go kozikiem, a potem wyskoczyłem oknem, unosząc worek srebra. Następnym razem wybierz sobie hojnego opiekuna, kolego. To zaoszczędzi ci kopy zmartwień”.

„Jestem czeladnikiem, a nie służącym, Gobbo”.

„Och!”, zawołał, kłaniając się kpiarsko. „Proszę o wybaczenie, panie! Użyczyłbym ci swych pleców, byś mógł na nich jechać, ale raz, że to mi nie po drodze, a dwa – nie możesz

przecież podróżować z plebejuszem do kompanii. Poza tym...". Z alejki za kościołem mrugnęła do niego ladacznica o rozwichrzonych włosach i mocnym makijażu. „...mam teraz inne zajęcia".

Nie marnowałem więcej czasu na tę irytującą rozmowę, tylko poszedłem od razu na wschód przez labirynt „ulic", a raczej ciemnych zaułków, ku mostowi Rialto. Do tej pory nie napisałem ci nic o tym, w jaki sposób człowiek przemieszcza się po owym nobliwym mieście, w którym przyszło mi zamieszkać, a to dlatego, że nie chciałem cię martwić. Nie wiem jeszcze o nim na tyle dużo, by poruszać się bezpiecznie, i obawiam się, że wielu ludzi nigdy nie dożywa zdobycia tej pożytecznej wiedzy. Nawet za dnia Wenecja to prawdziwy koszmar dla idącego pieszo. Stanowi plątaninę bram i ciasnych uliczek, z których nieliczne tylko biegną prosto na więcej niż dziesięć kroków, a są po obu stronach zabudowane tak, że zmęczony i zdezorientowany piechur prawie nie widzi, dokąd zmierza. Chodnik nierzadko skręca i kończy się ślepą uliczką, a często można z łatwością runąć z niego wprost w tłuste wody kanału i nigdzie nie ma żadnego ostrzeżenia. Jeśli trafi się czasem mostek, wiedz, że będzie pozbawiony poręczy, wystarczy więc jeden fałszywy krok w ciemnościach i znów pływasz w zupie. W sobotnie noce, kiedy osteria za rogiem napełnia się po brzegi hałaśliwymi opojami, leżę w łóżku i nasłuchuję, jak próbują bezskutecznie przejść przez drewnianą kładkę, która prowadzi na Calle dei Morti, Ulicę Umarłych (nazwaną tak pewnie dlatego, że można nią wygodnie przenieść trumnę do kościoła). Przez dobre dwie godziny po północy słychać tylko: plusk, przekleństwo, plusk, przekleństwo... Ach, Wenecja.

Rialto nie jest jednak taką kładką. To jedyny most, którym można przekroczyć Canal Grande, musi więc lśnić chwałą Republiki. I rzeczywiście lśni. Tętni życiem wielkiej nadwodnej społeczności: stoją tam sklepy i domy, krążą przekupnie oraz naciągacze. Ci ostatni głośno reklamują towary, a rzeka poniżej roi się od łodzi.

Nie miałem jednak czasu, by dłużej zabawić wśród tego kwiatu ludzkiego rodzaju. Czekała na mnie Żydówka, a później konfrontacja z Vivaldim, toteż pobiegłem truchtem, rozpychając się łokciami w tłumie. Mijałem kościoły, place o nieregularnych kształtach oraz niskie prymitywne zabudowania Cannaregio, zmierzając tam, dokąd skierował mnie Gobbo. Wreszcie, za kolejnym rogiem ujrzałem znienacka Ghetto Nuovo. Był to widok tak dziwny, że aż stanąłem, oparłem się o najbliższą ścianę i zacząłem się zastanawiać, czy nie należałoby odwrócić się natychmiast na pięcie, pobiec z powrotem do Ca' Scacchi i spakować manatki.

Zobaczyłem przed sobą wysepkę różniącą się od innych tym, że dostępu do niej bronił drewniany most zwodzony – tak, jeden z tych, które podnosi się na noc. Stał przy nim, drapiąc się, znudzony żołnierz. Nad wyspą górowała pojedyncza linia gigantycznych sześcio- i siedmiopiętrowych zabudowań sprawiających wrażenie, jakby wyrosły tam same niczym żywe istoty. Z każdego okna zwieszał się sznur prania. Słychać było kakofonię wrzasków, śpiewów i kłótni dobiegającą z gardeł ludzi młodych i starych, tak głośną, jakby za ciemnymi wyblakłymi murami żyło całe miasto. Przez mgnienie oka pomyślałem, że chyba zabłądziłem i przypadkiem dotarłem pod więzienie Republiki. Ale nie. Obszedłem wokół to niezwykłe miniaturowe królestwo, nie większe, siostro, niż poletko na tyłach naszego gospodarstwa, gdzie ojciec latem uprawiał chyboczące się na długich łodygach karczochy, i zobaczyłem jeszcze dwa zwodzone mosty, które można podnieść, gdy zajdzie potrzeba, a przy każdym z nich samotnego strażnika. Ten malutki spłachetek ziemi, z każdej strony otoczony wodami kanałów, to właśnie Ghetto Nuovo. Patrząc na nie, znów przekląłem mego wuja, że nie przygotował mnie w żaden sposób na to, co zobaczę, tylko bezceremonialnie wypchnął na ulicę, nie zwracając uwagi na moje protesty.

Przywołałem całą pewność siebie, jaka się we mnie tliła, i podszedłem do strażnika.

„Chcę się widzieć z doktorem Levim, panie", powiedziałem. „Czy jest w domu?".

Żołnierz mało nie palnął mnie w głowę.

„Ty sobie myślisz, chłopaczku, że ja tu jestem sekretarzem tych obmierzłych bestii? Rusz zadek i sam znajdź swego parszywego Żydka. Nie zawracaj głowy żołnierzowi Republiki”.

Przeprosiłem gorliwie, kilkakrotnie dotykając daszka czapki, i ruszyłem na most. Następnie z lękiem w sercu i szeroko otwartymi oczami przeszedłem pod ciemnym łukiem bramy, by znaleźć się w krainie Żydów.

10 Nieudana rozmowa

Giulia Morelli zadzwoniła do drzwi zabytkowej kamienicy przy San Cassian. Otworzyła gosposia. Miała na sobie zwykły nylonowy fartuch. Na widok policyjnej legitymacji uśmiechnęła się nieswojo. Zamrugała oczami, jakby poraziło ją słońce.

Policjantka przypomniała sobie, kiedy ostatni raz przesłuchiwała Scacchiego. Było to na komisariacie na jego własny wniosek w obecności jakiegoś taniego prawnika. Z rozmowy nic nie wynikło. Scacchi był śliski jak węgorz, ale przy tym czarujący.

Popatrzyła na służącą, jakby kogoś jej przypominała.

– Czy my się już kiedyś nie spotkałyśmy?

– Raczej nie – odpowiedziała szybko dziewczyna. – Czego pani sobie życzy?

A jednak widziały się już wcześniej co najmniej raz, kiedy Giulia podpłynęła do łodzi, na której spał Scacchi, i uświadomiła sobie, że starzec może rzucić trochę światła na dziwne wydarzenia mające miejsce po ekshumacji Susanny Gianni. Gospodyni była wówczas na rufie i z nonszalancją zawodowca prowadziła łódź w stronę zatłoczonego kanału Cannaregio.

– Chcę porozmawiać z signorem Scacchim. Jest w domu?

– Tak. A w jakiej sprawie?

– Omówię to z nim osobiście. To kwestie poufne.

Pokojówka nasrożyła się.

– Jest teraz zmęczony i nikt mu nie będzie przeszkadzał. Czy policjanci nie mogą się wcześniej zapowiadać?

Giulia Morelli nie mogła powstrzymać uśmiechu. Dziewczyna była nieprzejednana i do tego stopnia zdeterminowana, by chronić Scacchiego, że przesunęła się, zasłaniając swoją sylwetką całe drzwi, jakby chciała powstrzymać napastnika.

– Przepraszam. Ma pani absolutną rację. Powinnam była zadzwonić przed wizytą. Zwykle spotykam się z ludźmi innego pokroju niż dżentelmeni, tacy jak pan Scacchi. Bywa, że się zapominam.

Postać w białym fartuchu nie poruszyła się. Z holu dobiegł dźwięk kroków.

– Chciałam tylko poradzić się Scacchiego w sprawie, która dotyczy jego specjalności. Nic poza tym.

Stary człowiek pojawił się za gospodynią. Dziewczyna nie wiedziała, że podsłuchiwał, widać to było po jej minie.

– Policji trzeba pomagać, Lauro – oznajmił i gestem ręki zaprosił Giulię Morelli do środka. – Może kawy, pani kapitan? Nie rozmawialiśmy chyba ze sobą od czasu, gdy szukała pani tej zaginionej błyskotki z Sankt Petersburga.

Policjantka poszła za nim do salonu i usiadła na wskazanej jej sofie. Gospodarz zagłębił

się w fotelu stojącym naprzeciwko. W pokoju był chłopak, którego także widziała na łodzi. Przeglądał jakieś stare papiery.

– Danielu! – zawołał Scacchi. – Oderwij się od swoich poszukiwań i chodź poznać wenecką policjantkę. Kapitan Giulia Morelli. Daniel Forster. Daniel jest z Anglii, a przynajmniej tak mu napisano w paszporcie, jednak stopniowo potwierdza się ukuta przez nas teoria, że tak naprawdę ktoś go podrzucił do tego zimnego kraju, gdy był niemowlakiem.

Chłopak, chociaż sprawiał wrażenie naiwnego, był dość przystojny. Czy to możliwe, że się zarumienił?

– Jesteś na wakacjach? – spytała Giulia.

– Prowadzi dla mnie pewne badania – wtrącił Scacchi.

– To praca, przy której czuję się tak, jakbym był na wakacjach – odezwał się Daniel prawie bezbłędnym włoskim. – Nie umiem wyrazić, jak jestem wdzięczny signorowi Scacchiemu za okazaną mi uprzejmość.

Giulia popatrzyła na starca. Wydawał się zakłopotany. Wiadomo było, że nie jest typem człowieka, który obdarza życzliwością byle kogo. Gosposia wróciła z dwiema filiżankami espresso. Scacchi powiedział:

– Pani kapitan przyszła tu w sprawach służbowych. Może lepiej przenieś się gdzie indziej, Danielu. I ty też, Lauro.

Wyszli, choć, jak wydawało się Giulii, raczej niechętnie. Gospodarz położył dłonie na kolanach, uśmiechnął się i spytał:

– No więc, pani kapitan, za co tym razem przyszła mnie pani aresztować?

– Scacchi – uśmiechnęła się szeroko. – Aresztowałam cię tylko raz, a w dodatku i tak nie mogłam, a raczej nie chciałam, wszcząć postępowania. Jesteś naprawdę niesprawiedliwy.

– Ach. Więc przychodzi do mnie najambitniejsza policjantka weneckich sił porządkowych i ja mam uwierzyć, że to wizyta towarzyska?

– Wcale tak nie twierdzę. Jak już wspomniałam twojej uroczej opiekuńczej gosposi, przychodzę po poradę. I mam inną w zamian.

Teraz, gdy konwenansom stało się zadość, twarz Scacchiego poszarzała i zmizerniała. Był chory. Plotki ewidentnie mówiły prawdę. Giulii zrobiło się żal starego.

– Na pewno wiesz, po co przyszłam.

– Jestem antykwariuszem, moja droga. Nie jasnowidzem.

– Chodzi o młodą Gianni. Znałeś jej rodzinę.

Popatrzył na nią chmurnie.

– To było dziesięć lat temu. Kto by chciał znowu rozgrzebywać tę straszną historię?

– Czytałeś o morderstwie cmentarnego dozorcy, prawda? W gazetach nie napisali, że parę godzin wcześniej ekshumował ciało tej biednej dziewczyny na podstawie sfałszowanych papierów. W dodatku w jej trumnie coś było, Scacchi.

– Co? – spytał natychmiast.

– Nie wiem. Jakiś wartościowy przedmiot osobisty. Dość duży. Według mnie za duży jak na biżuterię.

Rozłożył bezradnie ręce.

– Prosisz mnie o poradę na temat nieznanego przedmiotu, który zabrano, albo i nie, z trumny wyciągniętej z ziemi po dziesięciu latach. Co właściwie mam ci powiedzieć?

Giulia Morelli zawahała się. Miała tak mało informacji.

– Znałeś Giannich...

– Dość pobieżnie.

– Poznałeś tę dziewczynę. Może wiesz, z czym ją pochowali.

Pokręcił głową.

– Fantazje, moja droga.

– Być może. Musisz jednak wiedzieć coś jeszcze, Scacchi. Z powodu przedmiotu, który był w trumnie, zginął już jeden człowiek. Jeśli znajdzie się ktoś na tyle nierozsądny, żeby przyjąć tę rzecz, może być więcej trupów. Dzieje się coś dziwnego i groźnego. Przemyśl to i odezwij się do mnie.

Westchnął.

– Jesteś młoda. Ciągle masz romantyczną i odległą wizję śmierci.

Pomyślała o ostrzu, które zalśniło w powietrzu brudnego mieszkania, i trupie naprzeciw niej.

– Nie wydaje mi się.

Wpatrywał się w jej twarz badawczym zmęczonym wzrokiem.

– Czytałem w gazecie o twoim... wypadku. Cieszę się, że nie zostałaś poważnie ranna. Wybrała pani niebezpieczny zawód, pani kapitan.

Zastanawiała się, czy to groźba, lecz nieskazitelne maniery Scacchiego wykluczały taką możliwość.

– Czasem człowiek sam czyni z niebezpieczeństwa część swojego życia, nie wiedząc nawet jak i kiedy – odparła. – Zamierzałam po prostu przesłuchać wystraszonego dozorcę cmentarza, nie spodziewałam się, że wejdę do jego mieszkania w chwili popełniania morderstwa.

Scacchi zakaszlał. Był to suchy, martwy dźwięk.

– Tak, tego z pewnością się nie spodziewałaś, moja droga – powiedział. – Zdawało ci się, że dostrzegłaś ducha biednej zmarłej dziewczyny. A potem nie mogłaś oprzeć się pokusie, by za nim podążyć.

Giulia Morelli nie odpowiedziała. Zza drzwi dobiegły ją śmiechy Laury i Daniela. Śmiali się swobodnym serdecznym śmiechem, jaki policjantka rzadko miała okazję słyszeć. Popatrzyła na Scacchiego i pomyślała, że chyba musiała zwariować, szukając tu pomocy.

Gdzieś daleko dzwon kościoła Świętego Kasjana wybił południe.

Stare sprawy 11

Rizzo siedział w swoim małym obskurnym mieszkaniu za zamkniętymi drzwiami i przy zaciągniętych zasłonach. Mieszkał w zwyczajnym komunalnym bloku w Cannaregio, blisko dawnego żydowskiego getta. Większość jego sąsiadów stanowili starsi ludzie, którzy całkiem rozsądnie nie wtykali nosa w nie swoje sprawy. Było to znakomite miejsce na prowadzenie podejrzanych interesów.

Futerał ze skrzypcami leżał bezpiecznie w szafce bagażowej na stacji Mestre. Gdyby nawet ktoś go tam odkrył, nie byłby w stanie powiązać instrumentu z Rizzem. Ryzyko mogło pojawić się tylko w chwili, gdy będzie próbował wymienić skrzypce na pieniądze. Musiał znaleźć kupca, który pozna się na ich wartości i będzie gotów zapłacić wysoką cenę. W dodatku musiał uważać, żeby Massiter nie dowiedział się o jego nielojalnym postępku, co w plotkarskim świecie ludzi zajmujących się skradzionymi dziełami sztuki mogło się wydarzyć. Rizzo handlował czasem przemycanym tytoniem, koką, marihuaną czy jakimiś drobiazgami chwilę wcześniej wyciągniętymi z kieszeni turystów. Te chodliwe rzeczy mógł opchnąć jednemu z masy znanych sobie pośredników. Zabytkowe skrzypce to inna sprawa. Żeby dostać za nie pieniądze, których były warte, potrzebował czyjejś rady, najlepiej dodatkowo popartej własnym rozpoznaniem tematu.

Istniało jedno możliwe rozwiązanie. Trzy lata wcześniej okrężną drogą wszedł w posiadanie zdobionego antycznego zegara powozowego, a że nikt się nim nie zainteresował, nie dało się go sprzedać zwyczajnymi kanałami. Rizzo wykonał jednak kilka telefonów i namierzył trzy osoby, które mogły dać za antyk dobrą cenę: dwóch paserów, jednego z Mestre, drugiego z Treviso, oraz wenecjanina przedstawiającego się jako Arturo. Ten trzeci był skłonny pohandlować od czasu do czasu, lecz tylko przez pośredników, więc nigdy nie spotkali się osobiście. Zegar za śmieszną sumę wziął wreszcie paser z Treviso, lecz Rizzo na przyszłość skrupulatnie zanotował wszystkie trzy numery telefonów. Skorzystał z nich dzień po zdarzeniu na cmentarzu. Dzwonił anonimowo i opisywał instrument oraz jego cechy szczególne tak dokładnie, jak umiał, podawał także intrygujący napis na etykiecie. Pierwsi dwaj paserzy wyśmiali go, twierdząc, że skrzypce muszą być podrabiane. Nawet gdyby były autentyczne, mówili, i tak by ich nie kupili. Instrument tego kalibru może zainteresować tylko praktykującego i koncertującego muzyka, a ktoś taki nigdy nie zaryzykowałby publicznego wystąpienia z kradzionymi skrzypcami.

Arturo mówił w zasadzie to samo, ale w jego głosie zabrzmiało zainteresowanie. Zadawał szczegółowe pytania o kolor i wymiary, spytał także, czy instrument ma dwie równoległe smugi na pudle rezonansowym – najwyraźniej znak konkretnego wytwórcy. Gdy Rizzo odpowiedział twierdząco, Arturo zamilkł na chwilę, a później spytał dość nierozsądnie, jaka suma wchodzi w grę. Cena nagle wskoczyła Rizzowi do głowy: sto tysięcy dolarów. Arturo gwizdnął

i powiedział, że to dla niego za wysoka poprzeczka. Zresztą, stwierdził, nikt nie wyłoży takiej sumy za instrument, na którym nie można zagrać w sali koncertowej. Poprosił go jednak o imię i numer telefonu, a kiedy ich nie otrzymał, zaproponował, by ten zadzwonił później, gdy będzie już skłonny przystać na bardziej realistyczną kwotę.

Kiedy rozmowa dobiegła końca, obaj wiedzieli, że pewnego dnia, gdy Rizzo się zdecyduje, znowu będą rozmawiać. Sytuacja nie była jednak idealna. Rizzo wolałby mieć kilku kupców, z których każdy starałby się przelicytować pozostałych. W dodatku po jego trzech telefonach Massiter dowiedział się – był tego prawie pewien – że skrzypce wypłynęły na rynek. Próbować poszerzyć sieć kupców, to jakby wprost przyznać się Anglikowi do kradzieży, a o konsekwencjach takiego posunięcia Rizzo wolał nawet nie myśleć. Widział tylko dwa wyjścia: wyjąć zdobycz ze skrytki i rzucić w bagno za lotniskiem, żeby zbutwiała, ukryta na wieki w brudnych słonych wodach laguny, albo wycisnąć z Arturo najlepszą cenę i pozbyć się cholerstwa jak najszybciej. Żeby urzeczywistnić tę drugą możliwość, potrzebował informacji o skrzypcach. Najlepszym sposobem na ich zdobycie było zapoznanie się z historią ostatniego właściciela instrumentu.

Rizzo spędził dwie godziny w miejskiej bibliotece na przeglądaniu starych wydań „Il Gazzettino" i wyszedł z dziesięcioma skserowanymi wycinkami. W swoim czasie śmierć Susanny Gianni narobiła w mieście sporego zamieszania. Dziennikarze napisali mnóstwo artykułów, a każdy zilustrowano tym samym zdjęciem, które widział wcześniej na nagrobku. Może to właśnie fotografie z dawno czytanych gazet sprawiły, że twarz zmarłej dziewczyny tak go zahipnotyzowała na San Michele. Był taki okres, gdy pokazywano ją na pierwszych stronach prawie każdego dnia.

Gianni była wenecjanką, dorastała na Lido. Jej pełna poświęcenia matka dorabiała, jak twierdzą dziennikarze, sprzątając hotele przy plaży, żeby zapłacić za lekcje muzyki swojej córki. Gdy Susanna skończyła dwanaście lat, określano ją już mianem cudownego dziecka. Atmosferę sensacji podsycała matka, rozpowiadając plotkę, jakoby ich rodzina była daleko spokrewniona ze słynnym mistrzem Paganinim. O instrumencie napisano tylko raz. W recenzji z koncertu na zakończenie sezonu szkoły letniej w kościele La Pietà krótko przed śmiercią dziewczyny odnotowano, że jakiś bogaty adorator kupił jej znakomite i bardzo drogie skrzypce wykonane przez Giuseppe Guarneriego z Cremony. Nie podano jednak wartości instrumentu. Ponadto na żadnym zdjęciu Susanna nie trzyma w rękach niczego, co mogłoby przypominać skrzypce, które Rizzo wyjął z jej martwych ramion. Wiedział jednak, że musi to być ten sam instrument. Na etykiecie wyraźnie widniało nazwisko Joseph Guarnerius oraz rok 1733. Tak samo jak na zdjęciu w mieszkaniu Massitera.

Doniesienia prasowe koncentrowały się raczej na zdolnościach muzycznych Susanny Gianni niż na jej życiu osobistym. Nie było żadnej wzmianki o ciemnej stronie dziewczyny, choć znając „Il Gazzettino", Rizzo wątpił, by wydrukowali jakieś plotki, nawet gdyby do nich dotarli. Na początku ostatniego roku życia Gianni wszyscy spodziewali się, że dziewczyna będzie gwiazdą letniej szkoły finansowanej przez znanego mecenasa Massitera, a w przyszłości najprawdopodobniej zaistnieje na arenie międzynarodowej. Jednak skrzypaczka zniknęła po finałowym koncercie, na którym znakomicie zagrała. Dwa dni później znaleziono jej nagie ciało w *rio* opodal Piazzale Roma. Została ciężko pobita, lecz przyczyną śmierci było utonięcie. Ostatni raz widziano ją na pożegnalnym przyjęciu zorganizowanym przez Hugona Massitera w hotelu Danieli. Policja nie odnalazła żadnych świadków, którzy mogliby opisać, w jakich okolicznościach wyszła z przyjęcia, i wyjaśnić, po co poszła przez plac Świętego Marka na drugą stronę kanału do ciemnej dzielnicy w peryferyjnej części miasta, gdzie spotkała ją śmierć. Nie było też żadnej wzmianki o skrzypcach. Takiego szczegółu dziennikarze na pewno by nie

przegapili, pomyślał Rizzo, bo leżący obok ciała instrument nadałby scenie dramatycznej aury. Nie miał jednak pojęcia o sprawach związanych z muzyką. Może skrzypce zostawiła w szkole, a na ciele położono je dopiero przed pogrzebem.

Morderstwo to w Wenecji rzadkość. Brutalna napaść na Susannę Gianni i brak jakichkolwiek postępów w śledztwie były dla gazet największą sensacją od lat. Tydzień później sprawa zakończyła się równie dramatycznie, jak się rozpoczęła. W pałacu Grittich znaleziono wiszące zwłoki dyrektora muzycznej szkoły letniej. Anatol Singer, niepozorny łysiejący Rosjanin przed pięćdziesiątką, w pozostawionym liście przyznał się, że zaatakował dziewczynę po tym, jak odrzuciła jego zaloty. Po przyjęciu pożegnalnym zwabił ją do odludnego miejsca opodal Piazzale Roma pod pretekstem spotkania z amerykańskim agentem, który miał znaleźć dla niej pracę w Nowym Jorku. Susanna odepchnęła Singera, więc w pijackim szale zgwałcił ją, po czym wrzucił nieprzytomną do wody.

Rizzo uznał, że zachowanie tego człowieka było zbyt proste i logiczne jak na kogoś, kto zamierza się powiesić. Jako przestępca uważał przyznanie się do winy – niezależnie od okoliczności – za coś bardzo nienaturalnego. Gdyby nawet człowiek chciał oczyścić sumienie z ciążących mu zbrodni, to dlaczego właśnie tuż przed popełnieniem samobójstwa? Jaki w tym sens? Każda zbrodnia ma motyw. Jemu samemu zabicie cmentarnego dozorcy nie przyszło łatwo. Musiał to jednak zrobić, żeby ratować skórę, bo Massiter na pewno by go załatwił, gdyby dowiedział się o skrzypcach. A gdzie motyw w wyznaniu Singera? Tego rodzaju wątpliwości nie spędzały snu z powiek weneckim detektywom policyjnym, którzy ogłosili, że zamykają dochodzenie. W ciągu dwóch tygodni sprawa Gianni była równie martwa jak jej główni bohaterowie.

Ostatni skserowany tekst był artykułem wspomnieniowym o Susannie napisanym przez samego Hugona Massitera. Rizzo wpatrywał się w jego zdjęcie sprzed dziesięciu lat. Anglik miał na nim trochę więcej włosów, lecz stylu nie zmienił: jego szyję otaczała równiutko ułożona apaszka. W artykule opisywano go jako „znanego międzynarodowego znawcę sztuki oraz filantropa". Rizzo parsknął śmiechem. Trudno było ocenić, kto jest głupszy – pismaki czy gliniarze.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Odebrała jakaś kobieta, która zawołała Arturo do telefonu. Zabrzmiał znajomy głos, wysoki i cichy. Rizzo wyłożył swoją propozycję: osiemdziesiąt tysięcy dolarów amerykańskich, ani grosza mniej.

– Daj mi trochę czasu – odparł Arturo.

– Dwa tygodnie. Jeden facet z Rzymu już się ślini na myśl o tej rzeczy.

– Dwa tygodnie – powtórzył markotnie głos. – *Ciao*.

Złodziej rozejrzał się po ciemnym mieszkanku i uśmiechnął się. W powietrzu zapachniało sukcesem. Udało mu się nawet poznać nazwisko Arturo, które wypowiedziała służąca, odebrawszy telefon.

– *Ciao*, Scacchi – rzucił, po czym odłożył słuchawkę.

Czego ja się właściwie spodziewałem? Zapachu kadzidła w powietrzu? Dziwnych ludzi w egzotycznych ubraniach spoglądających spode łba na goja, intruza z zewnętrznego świata? Sam już nie wiem. Niezwykła natura zadania przepędziła z mojej głowy wszelkie wyobrażenia. Gdy przekraczałem drewniany most, szykowałem się na wstąpienie w mury wieży Babel. Zamiast tego jednak odkryłem świat zupełnie zwyczajny. Getto przypomina wszystkie inne zakątki miasta, jest tylko uboższe. Wysokie budynki wzniesione na okrągłej wysepce mają szerokość zaledwie kilku izb. Otaczają mały brukowany plac ze studnią pośrodku. Rośnie tam kilka rachitycznych drzew, przy których odpoczywają ludzie. Jedyną nietypową rzeczą jest to, że tak mężczyźni, jak kobiety ubierają się całkowicie na czarno. Siedzą na ławkach i przebierają różańcami albo czytają książki.

Spytałem młodego jegomościa o rzadkiej czarnej brodzie, gdzie mogę znaleźć doktora Leviego (a mówiłem bardzo wolno i wyraźnie, żeby mnie zrozumiał). Długim bladym palcem wskazał dom na rogu placu położony przy dziwnym chaotycznym zbiorowisku budynków zwieńczonych czymś, co wyglądało jak drewniana nadbudówka na arce Noego. Przeciąłem plac i wszedłem do kamienicy. Panowały tam zapachy kuchni, ziemniaków i kapusty, dało się też słyszeć głosy dobiegające z mieszkań młodych rodzin. Odczytałem listę nazwisk umieszczoną na ścianie i długo wspinałem się na ostatnie, szóste piętro. Mijałem półotwarte drzwi, za którymi trwały sprzeczki, dyskusje i dziecięce harce (raz też wydawało mi się, że słyszę łkanie). Wreszcie dotarłem na samą górę i z ulgą powitałem coś, co można by nazwać ciszą.

Zapukałem do jedynych na tym piętrze drzwi. Otworzył gładko ogolony młodzieniec o miłej inteligentnej twarzy, lśniących piwnych oczach i wysokim czole. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, uśmiechnął się, wyraźnie rozbawiony.

„Scacchi przysyła chłopaka", powiedział do kogoś w głębi mieszkania. „Widać brakuje mu ikry, żeby wziąć sprawy we własne ręce. Wejdź. Nie pożremy cię. Herbaty?".

Wszedłem do środka i znalazłem się w pokoiku tak ciemnym, że świece trzeba było w nim palić nawet za dnia. Unosił się tu przyjemny zapach, niewykluczone, że różanych perfum. Na podłodze leżał dywan, krzesła zaś miały miękką wyściółkę. Na jedynym stole stał świecznik oraz leżało kilka książek. W rogu, w cieniu zamkniętej okiennicy, siedziała sztywno wyprostowana dama. Chyba mnie obserwowała.

„Powinniśmy już iść, panie", rzekłem do mężczyzny. „Vivaldi nie znosi niepunktualności".

„Szybko przechodzisz do rzeczy, co? Chyba wreszcie znaleźli ci w tym mieście odpowiedniego człowieka, Rebeko. Zaopiekuj się nią dobrze, panie...".

„Lorenzo. Lorenzo Scacchi. Przysyła mnie mój wuj".

„No tak. Swoją drogą, przykro mi, że nie potrafię uleczyć jego przykurczu. Nawet

żydowscy medycy mają swe granice".

Zrozumiałem, że chodzi tutaj o spłatę jakiegoś długu. Nie ryzykowałem głową tylko po to, byśmy mogli przypodobać się Rudemu Księdzu, ale też by zmniejszyć rachunki Leona u jego lekarza.

„Jestem doktor Jacopo Levi. Mów mi Jacopo", rzekł do mnie, wyciągając rękę. „A pod opiekę oddaję ci moją ukochaną siostrę Rebekę, Lorenzo. Załatwiłbym tę sprawę sam, ale to tylko podwoiłoby ryzyko. Obawiam się, że to miasto jest zbyt niebezpieczne, by moja siostra mogła po nim chodzić sama. Uważaj więc. Nie chcę wyciągać żadnego z was z lochów doży".

„Zrobię, co w mojej mocy, panie", odrzekłem gorliwie i zobaczyłem, że dziewczyna podnosi się ze swego miejsca w rogu pokoju i podchodzi do nas, by stanąć w wąskiej smudze światła wpadającej przez okienko wychodzące na plac. „Zrobię wszystko, na co mnie stać, żeby...".

I wiesz co? Nie mam pojęcia, jakie słowa później jeszcze wypowiedziałem. Kilka następnych chwil rozmywa się w mojej pamięci, w której zapisały się jedynie obrazy – zaś nic tak przyziemnego jak słowa. Znów czuję się tak jak na początku naszej korespondencji, gdy próbowałem opisać cudowność Zatoki Weneckiej w dniu Wniebowstąpienia. Są takie zjawiska, które burzą szyki niezdarnych piechurów alfabetu. Tej damie Owidiusz mógłby zadedykować cały poemat i może zrobiłby to w innym wcieleniu. Moje skromne pióro opisać może jedynie fakty.

Rebeka Levi skończyła niedawno, jak mi powiedziała, dwadzieścia pięć lat, choć wygląda raczej na kogoś w moim wieku. Prawie dorównuje mi wzrostem. Jest bardzo szczupła, trzyma się prosto i ma silne ramiona (to skrzypaczka, jak wiesz). W czasie naszego pierwszego spotkania była ubrana w prostą czarną sukienkę z delikatnego aksamitu o rękawach z rozcięciem do łokcia, odsłaniającą ramiona, i sięgającą do kostek. Smukłą białą szyję dziewczyny otaczał złoty łańcuszek, a z jej uszu zwieszały się dwa szkarłatnoczerwone kamienie nieznanego mi rodzaju, na które zresztą nie zwróciłem szczególnej uwagi. Rebeka biżuterii bowiem nie potrzebuje. Jej twarz jaśnieje wśród ponurego otoczenia niczym oblicze Madonny na mistrzowskim obrazie, samą swą obecnością rozświetlającym ciemny zakątek kościoła. (Cóż za wynurzenia tu czynię – może ten list nie nadaje się jednak do wysłania).

Zacznę od podbródka, który jest delikatnie zaokrąglony i zawsze lekko uniesiony, jakby Rebeka zamierzała się odezwać. Na jej ustach błąka się wyraz dociekliwości, a zęby ma najbielsze, jakie w życiu widziałem, każdy niczym nieskazitelna perełka. Nos ma lekko zadarty. Jej cera ma blady odcień zimowego księżyca w pełni, jedynie policzki połyskują różem. Piwne oczy o kształcie drogocennych opali z cesarskiej korony migoczą, jakby się śmiały, a ich spojrzenie nigdy nie schodzi z osoby, z którą Rebeka rozmawia. Całą tę cudowność niczym rama klasycznego portretu wieńczy dzika burza lśniących włosów, rozrzuconych w nieładzie, które opadają w kaskadach jak nieokiełznany żywioł. Mają kolor świeżych orzechów, dopiero co zerwanych z drzewa w październiku, i opływają tę przecudną twarz, sięgając ramion. Podobne loki miały chyba jedynie te Cyganeczki, które lubiły droczyć się z nami na targu. Od czasu do czasu Rebeka przesuwa palcami po włosach; nie wiem, na ile ten gest jest wyrachowany, a na ile nieświadomy, zapewniam cię jednak, że na jego widok cały monastyr mnichów natychmiast zacząłby błagać o prawo powrotu do grzesznego świata.

Odzyskałem jasność myśli dopiero wtedy, gdy usłyszałem za sobą dwa znaczące kaszlnięcia Jacopa. Poczułem uderzenie gorąca i lekko zakręciło mi się w głowie. Miałem nadzieję, że w pokoju jest na tyle ciemno, że nikt nie zauważył rumieńców, które musiały pojawić się na moich policzkach.

„On umie mówić, prawda?", zapytała ze śladem obcego akcentu w głosie delikatnym

i melodyjnym jak dźwięk fletu.

Jacopo spojrzał na mnie z kpiarskim wyrazem twarzy.

„Przed chwilą umiał. Chyba nie zauroczyłaś kolejnego chłopca, co, staruszko? Skończyła mi się maść na złamane serca".

Zachichotała. Nie, będę szczery: parsknęła w sposób zupełnie nieprzystający młodej damie i ja także, nie mogąc się powstrzymać, wybuchnąłem śmiechem.

„Dobrze", powiedziała i w nagłym przypływie energii wyjęła z kieszeni sukienki czerwoną chustę, by skryć pod nią swe cudowne loki, po czym podniosła z podłogi poobijany futerał na skrzypce. „Lorenzo odzyskał głos. Możemy już iść?".

Jacopo pochylił się i pocałował siostrę – na ten widok serce wykonało salto w mojej piersi – po czym chwycił mnie za ramię.

„Uważaj na nią, mój chłopcze. Ten wasz ksiądz na pewno osłupieje z wrażenia i dopiero wtedy zacznie się zabawa. Lecz jeśli ktokolwiek cię zatrzyma, mów, że nic nie wiesz i że to ja, pod groźbą śmierci, kazałem wam tam iść. Zdziwiłbyś się, gdybyś usłyszał, w jakie brednie na temat Żydów wierzy się w tym mieście".

„Nigdy nic takiego nie powiem, panie!".

Oczy Jacopa zapłonęły nagłym gniewem.

„Wypełnisz moje polecenia co do joty, chłopcze, albo odejdziesz z kwitkiem. Sprawa wygląda może na zabawną, ale w rzeczywistości jest niebezpieczna i zawsze musimy o tym pamiętać!".

No i proszę. W ciągu jednego popołudnia spotkały mnie dwie groźby. Jedna ze strony mojego wuja, dobrego chrześcijanina, który obiecał mnie ukarać za niepopełnione przestępstwo. Druga od nieznajomego Żyda, który postanowił wybawić mnie od zbrodni, jakiej zamierzałem się dopuścić z pełną świadomością własnej winy.

„Dobrze więc", zgodziłem się, dając do zrozumienia tonem głosu, że umowa ta wcale mi nie odpowiada. „Skoro nalegasz, panie, to chyba nie mam żadnego wyboru".

„Znakomicie". Jacopo znów się rozchmurzył.

Gdy wyszliśmy na plac getta, nikt się nami nie zainteresował. Szybko przeszliśmy pod łukiem bramy, a później przez most. Minęliśmy strażnika i ruszyliśmy ku sercu miasta. Gdy byliśmy w pobliżu kościoła San Marcuola, gdzie można złapać tanią gondolę do dzielnicy San Marco, Rebeka znienacka chwyciła mnie za rękę i wciągnęła w ciemną uliczkę za stragan sprzedawcy ryb. Tam zerwała z głowy czerwoną chustę i potrząsnęła głową, wypuszczając włosy z więzienia, po czym przebiegła przez nie silnymi smukłymi palcami.

„Gdy ktokolwiek spyta, Lorenzo, jesteśmy kuzynami, niedawno przyjechaliśmy i jeśli kogoś przypadkiem uraziliśmy, to tylko z powodu naszej niewiedzy".

„Tak, pani".

„Lorenzo!".

„Tak, Rebeko".

Odpowiedź ta chyba ją zadowoliła.

„Czy ty się nawet trochę nie boisz? Bo ja tak".

Szczerze mówiąc, myśl o strachu w ogóle nie przyszła mi do głowy. Za bardzo byłem przejęty innymi sprawami, żeby rozważać koszta ewentualnej porażki. Ostrożnie sformułowałem odpowiedź:

„Mój ojciec mawiał zwykle, że to przez strach ludzie robią rzeczy, których inaczej by nie zrobili. To, czego najbardziej musimy się bać, nie leży wcale w otaczającym nas świecie, a w głębi naszych serc".

„Mądry człowiek", stwierdziła.

„Też tak myślę. Brakuje mi go, matki także. Muszę mieszkać z wujem, rodzice bowiem nie żyją”.

Popatrzyła na mnie z wyrazem twarzy, którego nie umiałem rozszyfrować.

„Przykro mi to słyszeć, Lorenzo. Powiedz mi, czy myślisz, że teraz ludzie będą widzieć we mnie Żydówkę?”.

„Nie”, odpowiedziałem szczerze. Lecz i tak będą się przyglądać, pomyślałem. Któż mógłby ich za to winić?

13 Przechadzka po mieście

Daniel szedł ku kościołowi La Pietà z futerałem na skrzypce w dłoni, ciesząc się na obiecane dawno temu zwiedzanie. Scacchi prowadził go powolnym miarowym krokiem na zachód od San Cassian, obok wielkiej gotyckiej bryły kościoła Frari z wysoką kampanilą, ku San Polo, gdzie mieściła się Scuola di San Rocco. Daniel znał to miejsce z książek, które wypożyczał na uniwersytecie. Scuole były charytatywnymi bractwami podobnymi do loży masońskich. Miały własne fundusze oraz posiadłości i konkurowały o to, której uda się zdobyć najlepsze dzieła sztuki. San Rocco to miejsce poświęcone Tintoretcie – jego obrazy pokrywały chyba każdy centymetr kwadratowy wnętrza.

Scacchi uparł się, by zapłacić za wstęp, po czym poprowadził Daniela schodami do Sala dell'Albergo, gdzie stanęli oczarowani obrazem zawieszonym wysoko pośrodku ściany, wyobrażającym świętego Rocha oraz wielkim panoramicznym przedstawieniem ukrzyżowania. Scacchi zacytował wypowiedź Henry'ego Jamesa na temat tego drugiego dzieła[2], i dodał:

– Nie myśl, że czytałem jakąś inną jego książkę. Stanowczo za nudne.

Później wrócili do głównego holu i Scacchi wskazał Danielowi obraz, który był powodem ich wizyty.

– Spójrz.

Obaj unieśli głowy. W rogu opodal drzwi do sali znajdowało się duże ciemne płótno przedstawiające dwie postacie. Młody przystojny blondyn o kręconych włosach i miłym uśmiechu trzymał kamienie w dłoniach i wyciągał ręce w kierunku drugiego mężczyzny stojącego wyżej. Był to zapewne Chrystus, na co wskazywała aureola jaśniejąca w ciemnościach wokół jego głowy. Stał zwrócony ku mężczyźnie poniżej, jakby rozważał słowa, które właśnie usłyszał.

– Temat, proszę? – powiedział Scacchi.

– Malarstwo to nie moja dziedzina – zaprotestował Daniel.

– Więc użyj głowy. Po to ją masz.

Odpowiedź nasuwała się sama, chociaż w dziele było coś osobliwego.

– To kuszenie Chrystusa na pustyni. Postać niżej to Szatan. Wyciąga ku głodującemu Chrystusowi kamienie w kształcie bochenków i proponuje mu, żeby zmienił je w chleb.

– Bingo! – zawołał Scacchi, uśmiechając się. – Data?

– Około 1570 roku?

– Nieźle, tylko dziesięć lat za wcześnie. A teraz powiedz mi, proszę, co w tym płótnie jest takiego niezwykłego.

Daniel wpatrywał się w obraz pod sufitem.

– Chyba to, że malarz skupił się prawie wyłącznie na Szatanie, nie na Chrystusie.

– Tak? – Scacchi oczekiwał na coś więcej.

– I o to, że Szatan jest taki... zwyczajny.

– Zwyczajny? Raczej nie. Spójrz jeszcze raz.

Starzec miał rację.

– Jest pociągający. Atrakcyjny – powiedział Daniel.

– Dokładnie! Porównaj to z *Kuszeniem świętego Antoniego*, które Bosch namalował jakieś osiemdziesiąt lat wcześniej. Masz tam diabły z ogonami i paszczami, demony gotowe wyżreć ci wnętrzności. A ten tutaj ma najwyżej parę piór za całe ubranie i uśmiecha się miło jak każdy poczciwy człowiek na ziemi. I o to mi właśnie chodzi, Danielu. Tu masz wszystko, co trzeba wiedzieć o weneckim Lucyferze. Ma tak przejmujący uśmiech, że trudno się z nim nie przyjaźnić. Dość nowoczesny pomysł, nie uważasz? Ale spójrz jeszcze na tamto płótno...

Scacchi wskazał owalny obraz na suficie pośrodku pomieszczenia.

– Postacie upozowane są dokładnie tak samo, a obraz przedstawia scenę, w której Ewa podaje przeklęte jabłko Adamowi. Moim zdaniem oskarżenie Tintoretta o mizoginię nie jest całkiem bezpodstawne. Gdy będziemy wychodzić, rzucimy jeszcze okiem na *Zwiastowanie* na dole. Biedaczka wygląda na nim tak, że bałbyś się wypuścić ją z kuchni, a co dopiero uczynić matką bożego syna.

Daniel z trudnością oderwał oczy od uśmiechniętego urzekająco Szatana z prośbą wypisaną na twarzy.

– Po co mnie tu przyprowadziłeś, Scacchi?

– Żeby cię czegoś nauczyć. Trzeba umieć rozpoznać Szatana, kiedy się go zobaczy, Danielu. Szczególnie w takim mieście jak to. Nie jestem żadnym moralistą i osobiście nie widzę w tym nic złego, jeśli człowiek stanie po drugiej stronie. Tym, co się moim zdaniem liczy, jest umiejętność podejmowania świadomych decyzji. Kiedy Diabeł do ciebie przyjdzie, masz trzy możliwości. Zrobić, czego chce, to, czego wymaga „dobro", albo to, co podpowiada ci własna natura. Może to być jedna z wymienionych rzeczy bądź coś zupełnie innego. Oczywiście trzeba zawsze wybierać trzecią możliwość. Lecz zdecydować możesz dopiero wtedy, kiedy poznasz się na jego – albo jej – prawdziwej naturze. Rozumiesz?

To wszystko wydawało się Danielowi dość odległe.

– Nie jestem pewny, czy kiedykolwiek spotkałem Diabła. Ani czy chciałbym.

Scacchi spojrzał na niego. Wydawał się nieco rozczarowany.

– Przemawia przez ciebie dziecko, którym ciągle trochę jesteś. Powinieneś uważać. Wenecki Lucyfer przyjdzie, kiedy nadejdzie jego lub jej czas. A teraz – popatrzył na zegarek – musimy lecieć. Muzycy nie cierpią spóźnialskich.

Wyszli ze scuoli i złapali vaporetto, z którego wysiedli przy San Zaccaria pośród tłumu turystów zmierzających do Pałacu Dożów i sławnego placu. Scacchi, jak oznajmił Danielowi po drodze, zapisał go do letniej szkoły muzycznej przy kościele tytułem drobnego prezentu, odprężenia po trudach przekopywania się przez papiery w piwnicy. Gdyby zajęcia nie spodobały się Danielowi, mógł je w każdej chwili porzucić, choć starzec miał nadzieję, że chłopak wytrwa. Szkoła była dość znana. Organizowano ją co dwa lata pod mecenatem międzynarodowej galerii artystycznej Massiters, którą założył i której nazwiska użyczył Anglik pomieszkujący sezonowo w Wenecji. Pojawiał się czasami w szkole, by poznać i pochwalić ludzi korzystających z jego hojności.

Kurs przyciągał młodych muzyków z całego świata częściowo z powodu reputacji szkoły, a częściowo za sprawą jej umiejscowienia w La Piecie, „kościele Vivaldiego", jak mówił znak przed budynkiem, co Scacchi szybko zdementował. Oryginalny kościół został przebudowany krótko po śmierci kompozytora, wyjaśnił. Białą klasycystyczną fasadę, fotografowaną każdego tygodnia przez tysiące turystów, dobudowano na początku dwudziestego wieku. Sam Rudy

Ksiądz pewnie nie rozpoznałby swojego kościoła po modernizacji, powiedział Scacchi, a już z pewnością obce by mu były bogate dekoracje okrągłego wnętrza, którymi zastąpiono ubogi, mroczny, średniowieczny wystrój, jaki wciąż zachował się w niektórych świątyniach miasta.

Wielkie podwójne odrzwia były otwarte, dzięki czemu turyści mogli spojrzeć do wnętrza nawy. Za stolikiem u stóp schodów siedziała ubrana w kwiecistą suknię kobieta w średnim wieku i sprawdzała zaproszenia. Gdy ujrzała Scacchiego, uśmiechnęła się promiennie i wylewnie go powitała. Powiedział coś do niej (zbyt szybko, by Daniel mógł zrozumieć), mieszając lokalny dialekt z włoskim, i wręczył jakiś dokument. Kobieta uniosła brwi i wzruszyła ramionami, po czym wypisała nazwisko Daniela na plastikowej plakietce i podała Scacchiemu nad stołem. Podziękował z uśmiechem.

– My, miejscowi, mamy zniżki na łodzie i autobusy – wyjaśnił triumfalnie – więc dlaczego nie rozszerzyć ich na mały kurs muzyki? Ci z zagranicy... – Machnął ręką ku tłumowi młodych ludzi mrowiących się wewnątrz kościoła. – ...oni śpią na forsie.

– Skoro już o tym mowa, signor Scacchi – odezwała się kobieta zza stołu – czy mam później przesłać fakturę do domu?

– Jak pani wygodnie – odparł. – Dżentelmen nie nosi pieniędzy przy sobie.

– Oczywiście...

Napisała coś na kawałku papieru i wrzuciła go do reklamówki z supermarketu wypełnionej już w połowie podobnymi kwitkami. Daniel wątpił, czy jego gospodarz kiedyś jeszcze zobaczy ten rachunek.

– Stale noś przy sobie plakietkę – poradziła mu kobieta.

Przypiął identyfikator do koszuli i ponaglony przez Scacchiego, ruszył za nim do wnętrza La Piety. Zatrzymał się tylko na chwilę przy żelaznej bramie prowadzącej do okrągłej sali, by posłuchać gwaru podnieconych młodych głosów mówiących po angielsku z mnóstwem różnych akcentów.

Scacchi przyglądał mu się.

– To w gruncie rzeczy nie ma znaczenia, prawda?

– Nie – odpowiedział Daniel. – Nie obchodzi mnie, że Vivaldi nie poznałby tego miejsca. Ja i tak czuję tu jego obecność.

– I tych, którzy przyszli po nim. Bardzo w niego wierzyli i w jakiś sposób udało im się przywołać go tu wprost z zaświatów. No cóż... – Scacchi zamyślił się. – Reinkarnację zawsze uważałem za głupi wymysł. Chociaż może coś w tym jest, że cząstka człowieka pozostaje niczym pył na dywanie. Wdychamy go i w ten sposób pochłaniamy się nawzajem, tak jak pochłaniamy ludzi zmarłych przed wiekami. Pewnie coś z nich przenika do naszych charakterów.

Ktoś stroił wiolonczelę. Dołączyły dwie pary skrzypiec.

– Nie jestem dość dobry – powiedział szybko Daniel. – Ci ludzie to inna liga.

– Bzdury! – sprzeciwił się. – Pisałeś mi w listach, że regularnie grasz i zdajesz egzaminy.

– To prawda, ale zdane egzaminy i talent to niekoniecznie to samo.

– Och, daj spokój. Potraktuj to jako zabawę. Trochę gry. Trochę teorii. Trochę kompozycji. Chyba co nieco komponujesz, prawda?

– Co nieco.

– A więc sobie poradzisz. Widzisz tego nadętego kogutka?

Starzec wskazał niską postać w czarnej koszuli i spodniach, z gęstą ciemną czupryną i kozią bródką wyglądającą jak przemieszczony wąs.

– Guido Fabozzi – odparł Daniel. – Widziałem go w telewizji.

– Szefował temu przedsięwzięciu cztery razy z rzędu. Odkąd zdarzył się wypadek...

Daniel poznał po jego spojrzeniu, że coś mu się przypadkiem wymknęło.

– Wypadek?

– Był pewien... problem. Ale od tamtego czasu minęło dziesięć lat. Nie jest to nic, czym powinieneś się martwić. Fabozzi to porządny człowiek, choć może trochę nadęty. Zamienię z nim parę słów i załatwię, by nie był dla ciebie zbyt surowy.

– Nie! Niezależnie od tego, czy mi się uda, czy nie, wolałbym, żeby to był wynik moich własnych starań. Proszę.

Scacchiemu chyba spodobała się ta odpowiedź. Lekko dotknął ramienia chłopaka. Następnie ponownie obrzucił kościół spojrzeniem i w głębi nawy wypatrzył człowieka w pastelowym ubraniu. Wskazał go chłopakowi.

– A oto szef we własnej osobie. Hugo Massiter. Pan na włościach. Pracujemy w tej samej branży, chociaż wątpię, czy mnie rozpozna. Chodź, nie ma na co czekać.

Przeszli na drugą stronę sali, kłaniając się uprzejmie młodym ludziom w tłumie, i stanęli pod wielkim, imponującym malowidłem na suficie, o którym Scacchi powiedział, że to *Triumf wiary* Tiepola. Daniel ocenił Hugona Massitera na około pięćdziesiąt lat. Ubrany był w interesująco anachroniczny sposób: jasna koszula i spodnie, błękitna apaszka i drogie okulary przeciwsłoneczne w plastikowej oprawce nasunięte na lśniące czoło. Rozmawiał ze szczupłą dziewczyną w białej koszuli i dżinsach, która z uwagą mu się przysłuchiwała. Scacchi odczekał chwilę, by Massiter uświadomił sobie jego obecność, po czym podszedł i uścisnął go.

– Signor Massiter – powiedział, uśmiechając się szeroko. – Znów zaszczyca pan to miasto swoją obecnością i hojnością. Jak mamy wyrazić naszą wdzięczność?

– Och, Scacchi, są na to różne sposoby. Może masz coś na sprzedaż? Myślę o pewnej konkretnej rzeczy. Musimy o tym porozmawiać.

Starzec pokręcił głową.

– Żałuję, ale nie mam nic takiego kalibru, jaki mógłby pana interesować. W dzisiejszych czasach handluję głównie drobnicą. Ale kto wie?

Massiter przedstawił dziewczynę, z którą rozmawiał. Była to Amy Hartston, miała osiemnaście lat i przyleciała z Portland w stanie Maine. Scacchi ukłonił się, a Daniel niezgrabnie uścisnął jej miękką dłoń. Długie jasne włosy splatała w kucyk, a z jej ust nie schodził uśmiech. Miała niesprecyzowany typ urody, który Danielowi przypominał jakiś gatunek amerykańskiego studenta.

– Nie pamiętam cię sprzed dwóch lat – odezwała się do niego po angielsku z akcentem amerykańskim, lecz elegancko wygładzonym, przypominającym nieco wymowę wyższych klas.

– Dwa lata temu mnie nie było. Po raz pierwszy jestem w Wenecji.

– Łał. – Wydawała się zdumiona. – Mieszkasz w Anglii, a nigdy tu nie byłeś?

– Nie każdy ma bogatego i hojnego ojca, moja droga – oznajmił Massiter.

– On się cieszy, że pozbył się mnie na wakacje – mruknęła. – To jak obóz młodzieżowy, tylko pod inną nazwą.

Anglik uśmiechnął się szeroko. Danielowi wydał się zbyt rozluźniony, zbyt przyjazny jak na właściciela wielkiej, dobrze prosperującej firmy działającej w drapieżnym świecie konkurencji w handlu dziełami sztuki.

– Ach, ta młodzież – powiedział. – Nie wyjaśnią. Nie przeproszą. Nie podziękują.

– Nic dodać! – Amy Hartston zgodziła się ze śmiechem.

– Hmm... – chrząknął, po czym spytał: – Mogę?

Nie czekając na odpowiedź, podniósł jej futerał, otworzył go ostrożnie i wyjął instrument. Daniel Forster zamrugał na widok skrzypiec, które Massiter uniósł wysoko, tak by wszyscy mogli je podziwiać w półmroku La Piety.

– Tego właśnie szukam, Scacchi – obwieścił. – No, prawie tego. Rozpoznasz? Nie patrz

na etykietkę!

Stary człowiek wziął skrzypce do rąk i zaczął je bacznie oglądać od podbródka po ślimak. Instrument miał płytkie pudło rezonansowe i był wąski pośrodku. W żółtawym sztucznym świetle miał barwę jasnego orzecha. Można też było na nim dostrzec ślady obić – niektóre z dawnych czasów, a kilka powstałych ostatnio zapewne wskutek braku ostrożności właścicielki.

– Nie cierpię salonowych gierek – zdenerwował się Scacchi. – Nie można dokonywać takich ocen w pośpiechu.

Massiter był niewzruszony.

– Ech, dajże spokój. To bułka z masłem dla kogoś takiego jak ty.

– Hmm – mruknął w odpowiedzi. – Wolałbym przyjrzeć się temu w dobrym świetle i w okularach, ale mimo to spróbuję zgadnąć. To na pewno Cremona. Nie ma symbolu świętej Teresy, więc to nie może być Andrea Guarneri, chociaż podobnie leży w ręce. Za to ta wąska talia... To musi być jego syn, Giuseppe. Początek osiemnastego wieku... Może rok 1720 albo coś koło tego.

Amy szeroko otworzyła oczy.

– Niesamowite. Jak pan to robi? Dla mnie to po prostu świetne skrzypce.

– Bo takie są – powiedział Massiter. – Chociaż nie z najwyższej półki. Ja szukam czegoś jeszcze lepszej klasy. Od drugiego Guarneriego.

Scacchi popatrzył na niego ze sceptycznym wyrazem twarzy.

– Chodzi panu o Giuseppe del Gesù? Na pewno pan wie, jak niewiele ich zostało na świecie. Gdyby któryś egzemplarz pojawił się na rynku, każdy by o tym wiedział.

Anglik prychnął.

– Tak, jeśli mówimy o rynku oficjalnym. Lecz my jesteśmy graczami, Scacchi. Wiemy, że są dwa rodzaje reguł. Jeśli sprzedasz coś tak po prostu, dopadną cię podatki i prowizja dla pośrednika takiego jak ja. Instrument, o którym słyszałem, to jedno z arcydzieł Guarneriego. Jest duży i gruby, wart fortunę, jednak chytry sprzedawca nie chce się ujawnić. Zabawne, nie uważasz? Zresztą ty też na pewno słyszałeś tę plotkę. Nie zaprzeczysz chyba.

Zawahał się. Daniel odniósł wrażenie, że pod stalowoszarym spojrzeniem Massitera starzec nie jest zdolny do kłamstwa.

– Na ulicy ciągle słyszy się takie głupoty, panie Massiter. Obaj wiemy, że nie można wierzyć w ani jedno słowo.

Anglik położył mu dłoń na ramieniu i mocno ścisnął.

– Oczywiście. Ale dasz mi znać, jeśli jakaś wiewióreczka szepnie ci coś do ucha, prawda? Moje pieniądze są równie dobre jak każde.

Starzec odsunął się o krok, by wyzwolić się z uścisku.

– Daniel jest u mnie w gościnie i będzie brał udział w zajęciach w pańskiej szkole. Gdyby miał mi pan coś do powiedzenia albo gdybym ja chciał coś przekazać, najlepiej będzie zrobić to przez niego. Ostatnimi czasy jestem dość słaby i telefony bardzo mi przeszkadzają.

Massiter przeniósł wzrok na Daniela, podobnie jak panna Hartston. Chłopak poczuł, że go oceniają.

– Więc dobrze – odpowiedział mężczyzna z niespodziewanym uśmiechem na twarzy, po czym odwrócił się do Amy. – A co do ciebie, moja droga, byłbym wdzięczny, gdybyś zechciała mi towarzyszyć jutro przy kolacji w Locanda Cipriani. Podają tam jeże morskie, ravioli z okonia i najlepsze rawki wieszcze, jakie w życiu jadłaś. Potem pokażę ci kilka przecudnych diabłów.

– Super! – odparła dziewczyna z błyszczącymi oczami.

Massiter zatarł ręce.

– Moja łódź odpływa o siódmej. A ty... – popatrzył na Daniela – ...możesz powtórzyć, jak

się nazywasz?

– Daniel Forster, proszę pana.

– Może chciałbyś do nas dołączyć, Danielu?

Chłopak zerknął na Scacchiego, a ten go zachęcił:

– Słodki Jezu, Danielu, tacy jak my mogą jadać na Torcello tylko wtedy, gdy ktoś inny pokrywa rachunek.

– Ale moja praca, Scacchi!

– Praca nie zając. Przyjechałeś tu także po to, żeby się trochę rozerwać.

– Więc ustalone! – oznajmił Anglik, zamykając temat. – A wy oboje zabierzcie skrzypce i nuty, które przygotowaliście na zajęcia z kompozycji. Cały ten cyrk sporo mnie kosztuje, więc mogę was chyba prosić, żebyście sami przygrywali sobie do kolacji. A teraz...!

Zaklaskał głośno, by wszyscy w przestronnej okrągłej sali mogli go usłyszeć.

– Zaczynajcie show, moje dzieci! *Avanti, avanti!* Grajcie, jakby to miał być wasz ostatni dzień na tym świecie!

Posmak mułu 14

Zazdrość jest doprawdy wstrętną słabością! Szczerze opisuję ci ludzi, których spotykam, a zaraz potem odbieram od ciebie list ociekający żmijowym jadem. Czy zareagowałem jak furiat, gdy opisywałaś mi tego przystojnego Hiszpana o błyszczących oczach na brzegu Gwadalkiwiru? Potrzebujemy spojrzenia z dystansu, siostro. Oboje jesteśmy w naszych osobnych światach tylko widzami, dziećmi przypadkowo wpuszczonymi na wielki bal maskowy, na którym w zasadzie nie powinno nas być. Czy mam ci opowiadać nabożne bajeczki dla umysłowo ociężałych?

Jeśli jednak chciałabyś posłuchać o czymś innym niż tylko o „cudownej Rebece", jak ją nazywasz (z czym się akurat zgadzam), to proszę, oto inny temat, choć rwie on nić mojej narracji bez żadnego innego powodu, jak tylko po to, by zadowolić twoją próżność.

Dzień po naszej wizycie w kościele La Pietà (o czym będzie w następnym liście) towarzyszyłem wujowi Leonowi w spotkaniu z panem Delapole'em w Venezia Triofante. Jest to jedna z tych modnych obecnie kawiarni, gdzie miastowi zdają się spędzać niedorzecznie dużo czasu każdego dnia na mieszaniu podawanego w małych filiżankach mulistego brązowego płynu, który wygląda, jakby go właśnie wydobyto z dna laguny. Przypuszczam, że w Sewilli nie ma kawy. Jest to wytwór Wschodu przywieziony tu, jak się zdaje, przez Arabów. Koran zakazuje im jego spożywania, a więc sprzedają go dobrym chrześcijanom, by psuć ich umysły i zęby. Prawie każda brama na placu Świętego Marka prowadzi teraz do jakiegoś *botteghe de caffe*. Chyba niedługo na jeden z nich przerobią także bazylikę. Nie masz nawet pojęcia, czego uniknęłaś dzięki temu, że Hiszpania leży tam, gdzie leży.

Triofante jest kawiarnią najpopularniejszą, lecz dlaczego – nie umiem powiedzieć, gdyż wszystkie są do siebie podobne: wyglądają jak przedsionek ubogiego francuskiego pałacyku: pełno tu luster i ozdób ze złoconego brązu, a siedzi się na niewygodnych krzesełkach. Być może ludzi przyciąga właściciel kawiarni, zadufany w sobie Floriano Francesconi, który, jeśli jest nie w humorze, arogancko wyprasza z lokalu każdego, kto mu się nie spodoba. Ma to być wyraz indywidualnego stylu. Nie wiem, czemu ten zarozumialec nie nazwie po prostu kawiarni swym imieniem, sprawa byłaby jasna.

Nie tylko my sięgamy w głąb kieszeni pana Delapole'a. Dołączył do nas dziwny młody Francuzik nazwiskiem Rousseau. Utrzymuje, że wpadł do miasta z krótką wizytą, choć zatroskany Gobbo twierdzi, że Rousseau nie miałby nic przeciw wciągnięciu na listę płac Delapole'a i wykonaniu dlań jakiejś pracy. Gobbo widzi w nim niebezpieczeństwo, co jest dość zabawne, bo ci dwaj ludzie nie mogliby się bardziej od siebie różnić. Monsieur Rousseau to moim zdaniem jegomość dość miły, ale zupełnie niezdolny do błahej pogawędki. Każdy zwrot rozmowy musi zawsze prowadzić go do jakiejś niejasnej aluzji, dosadnej alegorii czy kontrowersyjnego twierdzenia, a wszystko po to, by pokazać się w roli naprawdę bystrego

człowieka. Próbowałem wykrzesać z siebie sympatię do niego, ponieważ to inteligentny typ, lecz muszę przyznać, że to bardzo trudne.

Pan Delapole słuchał przez pewien czas jego francuskiej paplaniny, po czym uciszył go machnięciem ręki, utkwił swój przenikliwy wzrok w wuju i oznajmił:

„Ciągnie mnie do kariery muzycznej. Myślę napisać operę, Scacchi. Nie zechciałbyś jej wydać?".

„Panie Delapole!". Leo prawie podskoczył na krześle z radości. „Opera! Nie przypuszczałem, że pański talent znajduje tyle dróg wyrazu".

„Talent może znaleźć więcej dróg, niż człowiek się spodziewa", wtrącił Rousseau. „Ja na przykład raz przypadkowo spróbowałem sił w angielskim pentametrze i myślę, że tego całego Shakespeare'a mógłbym puścić z torbami...".

„Och, ucisz się", powiedział Delapole tak wesoło, że Francuzowi nie wypadało się obrazić. „Twoje talenty wszyscy znamy. Teraz chciałbym pomówić o własnych. Chodzi o operę, Scacchi. Ile by to wyszło za kilkaset libr czy jak tam wy, drukarze, to nazywacie?".

„Drogi panie!", znów zakrzyknął wuj, lecz tym razem przybrał pozę śmiertelnie urażonego. „Pieniądze nie są tu wcale najważniejsze! Dom Scacchich musi mieć tylko na opłacenie ciągle rosnących podatków na rzecz Republiki. Najważniejsza jest dla nas jakość dzieła, które będzie nosić nasz znak, i kwestia tego, jak powiększy ono wiedzę ludzkości. Naszej marki nie można tak po prostu kupić, trzeba na nią zapracować".

Na te słowa wróciłem myślą do dzisiejszego poranka, który spędziłem, składając kilka stron broszury *O różnorakich tajemnicach madagaskarskiego nosorożca*, po czym sięgnąłem po swą filiżankę pełną gorzkiego mułu. Myliłem się. Kawa jednak znajduje zastosowanie.

„Problem w tym", zamyślił się Delapole, „że opera jest tak... pospolita. Może coś mniejszego. Na przykład solowy koncert skrzypcowy. To by mi chyba pasowało".

Leo powolnym ruchem odstawił filiżankę na stół. „Przecież to mój ulubiony gatunek, miły panie! Nawet, jak pan wie, sam kiedyś coś podobnego pisałem".

„A do tego, jak sądzę", dodał Delapole, spoglądając cwaniacko, „jest też argument ekonomiczny. Mniejsza objętość, mniej papieru. Opłacalna rzecz".

Leo spojrzał na swą kawę. „Może w świecie rządzącym się rozsądniejszymi zasadami niż świat wydawniczy. Papier to tylko mała część kosztów. Łamanie, korekta, lata pracy dla pozyskania umiejętności potrzebnych, żeby wypatrzeć jedną błędnie postawioną nutę na pięciolinii...".

„Hmm...". Delapole był chyba wciąż niezdecydowany. „To może w takim razie napiszę książkę. Ale po angielsku, wówczas nie można by od ciebie oczekiwać, że przy wszystkich swych umiejętnościach dałbyś radę opanować tak powikłany i trudny język. Nie, musiałbym w tym celu posłać ją do Londynu".

Nad stołem zapadła niezręczna cisza, którą oczywiście przerwał za chwilę piskliwy głos Francuza: „Nie same nuty są ważne, drodzy przyjaciele!", oznajmił Rousseau. „Vivaldi to dobry muzyk, ale sądzę, że jego popularność ma też i inne źródła. Wystarczy pomyśleć o wszystkich tych cudownych kobietach ukrytych przed ludzkim spojrzeniem za ekranami, skąd wydają dźwięki tak przepięknie nieuchwytne i zmysłowe. La Pietà to zamtuz dla uszu! Tak właśnie! Zapiszę to sobie zaraz w notesie, gdy tylko wrócę do domu!".

Wszyscy popatrzyliśmy na Francuza. Nie uważam się za specjalistę w dziedzinie romansu, ale wydaje mi się, że w przeciwieństwie do Rousseau potrafię rozmawiać o, a nawet z, płcią piękną nie popadając w stan bliski apopleksji. (Tak, wiem, droga siostro, R... jest wyjątkiem, ale przyrzekłem nie wplatać jej do tej opowieści). Na samo wspomnienie słowa „zamtuz" nasz francuski znajomek wpadł w niezwykłe podniecenie, wydymał wargi i dyszał, na

policzki wystąpiły mu rumieńce, a nad pulchną górną wargą pojawiły się krople potu.

Delapole nachylił się ku niemu i szepnął akurat na tyle głośno, byśmy wszyscy usłyszeli: „A może one nie mają nic na sobie za tymi ekranami, Rousseau. Pomyślałeś o tym?".

Francuz zatrząsł się i wydał z siebie rżenie, którego nie powstydziłby się sześciotygodniowy źrebak.

„Ale, proszę pana", wtrącił się Gobbo, „jak o tym pomyśleć, te kobiety stoją tam nagie przez cały czas, czyż nie? Ubrania je tylko przesłaniają".

Cóż mi szkodziło włączyć się w tę absurdalną rozmowę.

„A to dowodzi", zasugerowałem, „że dziewczyny za ekranami w La Piecie muszą być, praktycznie rzecz biorąc, nagie. Skoro ich nie widzimy, to ich ubrania – jeśli w ogóle mają je na sobie – są dla nas zupełnie nieważne, podobnie jak i zasłony, za którymi... występują. Naga kobieta leżąca w tej chwili w łóżku w Pekinie nie jest mniej naga, bo jej nie widzimy".

„A to z kolei dowodzi", Delapole uśmiechnął się, odbijając piłeczkę, którą mimowolnie mu podałem, „że świat dosłownie roi się od rozebranych ślicznotek. Wystarczy spojrzeć, ile ich jest teraz w tej kawiarni! Gdybyśmy tylko umieli zdjąć te opercula z naszych umysłów, nic nie stałoby na przeszkodzie, by wielbić kobiety w całej ich cielesnej chwale!".

Oczy Rousseau prawie wyskoczyły z orbit. Obracał głowę w tę i we w tę, próbując objąć wzrokiem każdą damę w kafejce (a większość z nich to były starsze panie z centymetrową skorupą pudru na twarzy, okryte tyloma warstwami odzieży, że nawet biskup na pogrzeb bogacza ubiera się skromniej).

„Chyba... chyba...", wyjąkał, „będę musiał już iść. Nie zostaję w Wenecji zbyt długo, a jest tyle do zobaczenia".

Patrzyliśmy, jak odchodzi, i wymienialiśmy okrutne uśmiechy. Sztuczka była podła, lecz Rousseau jest jak stary pies, co kręci się wokół tylnych drzwi i prosi się o kopniaka. Nadchodzi dzień, kiedy nawet najłagodniejszego człowieka taka natarczywość wyprowadza z równowagi.

„A więc koncert!", zawołał Leo z nadzieją w drżącym głosie.

„Trudno znaleźć wolną chwilę, drogi kolego", leniwie odparł pan Delapole. „Tak mało czasu. Tyle do zrobienia".

Niedługo potem poszliśmy na molo, gdzie złapaliśmy gondolę do wynajmowanego przez Delapole'a domu, Ca' Dario, świetnej weneckiej rezydencji (i na pewno zasługującej na miano palazzo, lecz mimo to, z nieznanych mi przyczyn, określanej zwyczajnie jako Ca'). Siadłem obok Gobba, którego cała ta zabawa w podpuszczanie Rousseau, mówię to z żalem, mocno nakręciła.

„Znacie ludzi z tego kościoła, w którym grają muzykę?", spytał, konspiracyjnie trącając mnie łokciem.

„Od czasu do czasu drukujemy coś dla Vivaldiego".

„Dobrze", powiedział. „Myślę, że nasz francuski przyjaciel zasłużył na odrobinę rozrywki, zanim na dobre opuści miasto. Pan, panie Scacchi, będzie moim impresario".

Gondola skręciła w wielkie zakole Canal Grande. Ca' Dario pojawiła się nagle po lewej: rezydencja nieduża i lekko pochylona (nie ma w tym żadnego wstydu, każdy by się pochylił po dwustu pięćdziesięciu latach stania ze stopami w weneckim mule).

Popołudniowy upał zelżał. Roztaczał się przed nami wspaniały widok. Pomyślałem o Reb... ach, obiecałem przecież.

15 Kurz i pergamin

Laura nalegała, by towarzyszyć Danielowi w jego pierwszej wyprawie do zapuszczonego warsztatu. Z początku był wdzięczny, choć jej ubiór wprowadzał go w pewne zakłopotanie. Za dnia nosiła biały nylonowy fartuch z guzikami na przedzie, podobny do tych, jakich używają sprzedawcy sklepowi. W oczach Daniela wyglądał jak mundur albo jak stwierdzenie: „bez względu na to, co zrobicie, bym stała się częścią rodziny, ja i tak pozostanę służącą". Podawała w nim śniadanie. Miała go na sobie, gdy rozlewała szklaneczki wieczornego spritzu, zawsze po ostatnim uderzeniu dzwonu kościoła Świętego Kasjana wybrzmiewającym nad *rio*. Chowała się za nim jak za zasłoną. Z tego samego powodu zaraz po opuszczeniu domu zakładała okulary przeciwsłoneczne.

Oboje mieszkali na trzecim piętrze. Laura zajmowała duży pokój w tylnej części domu, a mała sypialnia Daniela znajdowała się obok warsztatu – trzecie okno od prawej, jeśli patrzeć od frontu. Każdego ranka spotykali się na korytarzu i wymieniali uprzejmości. W jej obecności nie potrafił się wyzbyć uczucia pewnego dyskomfortu, a pogłębiał je dodatkowo ten fartuch. Był środek lata i czasem robiło się nieznośnie gorąco. Laura znalazła proste rozwiązanie – nie wkładała pod fartuch nic oprócz bielizny i w takim stroju zajmowała się różnymi domowymi sprawami. Przy każdej prostej czynności, takiej jak podanie szklanki czy podniesienie tacki, odsłaniał się kawałek opalonej skóry i błyskała nieskazitelna biel tkaniny.

W piwnicy ten śnieżnobiały strój zabrudził się w ciągu paru minut, co i tak nie mogło jej powstrzymać.

– Dzięki za pomoc – powiedział Daniel – ale naprawdę nie chcę sprawiać ci kłopotu.

– Przeszkadzam ci?

– Nie – odrzekł zdecydowanie. – Tylko że mnie płacą za przerzucanie tego śmiecia, a tobie nie. Jestem wdzięczny, jednak to naprawdę nie jest konieczne.

Zrzuciła na podłogę stertę zniszczonych osiemnastowiecznych gazet. Prawie wszystko, co mogłoby przedstawiać jakąkolwiek wartość, wyglądało na zdewastowane przez wodę. Nadzieje Daniela na znalezienie w murach piwnicy prawdziwych skarbów zaczęły blaknąć w ciągu kwadransa od rozpoczęcia poszukiwań. Znaleźli jeszcze dwie latarki. Światło czterech żarówek całkiem dobrze rozjaśniało teraz pomieszczenie, lecz nie wydobyło niczego poza kurzem i zniszczonym pergaminem. W jaskini Aladyna nie było już chyba nic, czego nie zrujnowały upływ czasu oraz niepowstrzymane, wlewające się do wnętrza wody laguny.

Laura podeszła, założyła ramiona i spojrzała nań z ukosa.

– O co chodzi, Danielu? – zapytała, przechodząc na chropowaty angielski, jakby w ten sposób chciała dodać wagi swoim słowom. – Źle się czujesz w mojej obecności?

– Nie! Ale przyzwyczaiłem się pracować samotnie.

– Daj spokój! Czy to jakaś cenna umiejętność? Jesteś skazany na samotność?

Trafiła w sedno. Wiedział, że czasem bywa nieśmiały, lecz miał po temu powód. Dopiero wynurzał się z okresu „lat choroby", kiedy kursował między uniwersytetem i kanciapką, gdzie zamieszkał wraz z matką, gdy jej schorzenie zeszło się z ubóstwem. W jego życiu była luka, która oddzielała go od innych, ale nie czuł się jeszcze gotowy, żeby wyjaśnić to wszystko Laurze.

– To jest kwestia metody pracy – powiedział rozdrażnionym głosem.

– Metody pracy! Metody pracy! Taki z ciebie angielski patencik?

– Chodzi o logikę, Lauro. A swoją drogą, mówi się „pedancik". – Zdał sobie sprawę, że dziewczyna go zdenerwowała. – Sama popatrz – powiedział oskarżycielsko – weszłaś tu i zaraz zaczęłaś się szarogęsić. Bierzesz w ręce papiery, przeklinasz, rzucasz je, a potem biegniesz w drugi róg pokoju i robisz to samo!

Jej oczy zapłonęły.

– A niby dlaczego miałabym tego nie robić? Spójrz na ten bajzel!

Piwnica, choć wielka, usłana była stertami starodruków i pustymi pudełkami, co utrudniało poruszanie się – wystarczył jeden krok i już wpadało się na przeszkodę. Gdzieniegdzie stały też owinięte w płachty urządzenia.

– Patrz na to! – zawołała. – Zaraz znajdę skarb Scacchiego!

I nagle zaczęła biegać po pomieszczeniu. Chwytała papiery z każdej mijanej sterty, wskakiwała na stosy dokumentów jakby to były głazy na rzece, odbijała się od bezkształtnych korpusów tajemniczych maszyn i wykrzykiwała jakieś niedorzeczności, a jej fartuch brudził się coraz bardziej z każdą sekundą. Daniel spoglądał na nią bezsilnie. Dotychczas myślał tylko o bólu we własnym wnętrzu, nigdy zaś nie podejrzewał, że także Laurę trawi ukryta gorączka. Wreszcie dziewczyna zbyt mocno uderzyła w masywną bryłę starej prasy drukarskiej, krzyknęła z bólu i upadła na podłogę wyścielaną rozrzuconymi przed chwilą kartkami.

Wyciągnął do niej rękę i pomógł usiąść na najbliższej stercie papierów. Płakała, cała pokryta pyłem. Łzy rysowały długie ścieżki w kurzu na jej twarzy. Usiadł obok i położył jej rękę na ramieniu. Wiedział, że to niedorzeczne, ale czuł się winny temu wybuchowi emocji, który chyba w jakiś sposób sprowokował.

– To nie ma sensu – odezwała się, tłumiąc łkanie. Patrzyli oboje na rozrzucone papiery, szare zniekształcone kartki i pokrywający je rozmazany atrament. – Nic tu nie ma. Tracimy tylko czas, Danielu.

Podał jej czystą chusteczkę. Laura przetarła twarz, po czym zwinęła chustkę w kulkę.

– Przykro mi. Czy to, żeby znaleźć tutaj coś, co można sprzedać, jest dla niego takie ważne?

– Na to wygląda.

– Ale dlaczego?

Spojrzał na nią. Zdał sobie sprawę, że cały gniew skierowała ku sobie i że wcale nie wywołał go mimowolnie okazany przez niego chłód. Dziewczynie zależało równie mocno jak jemu na tym, by znaleźć skarb Scacchiego.

– Nie wiem. Przepraszam. Nie powinnam wyładowywać na tobie swojego rozczarowania.

– Nie przepraszaj. To dla nas obojga kłopotliwe.

Pokręciła głową.

– Oczywiście, że powinnam przeprosić. Nie możesz pozwalać się tak traktować.

– Ty możesz mnie traktować, jak ci się podoba, Lauro. Być tutaj... to najbardziej fascynująca rzecz, jaka mi się przytrafiła w życiu.

Na jej twarzy skrucha ustąpiła miejscu zakłopotaniu.

– Och, Danielu. Czy naprawdę tak niewiele czeka na ciebie w domu, że nasze błahe życie wydaje ci się takie ciekawe?

– Tak. – Zawahał się. – To znaczy nie.

– Chodzi o twoją matkę? Bardzo ją kochałeś...

– Oczywiście. Kiedy była chora, dużo mówiła o Wenecji. Studia tutaj ją uszczęśliwiały. Wierzyłem... – Nagle z zaskoczeniem stwierdził, że ta niespodziewana szczera rozmowa odkrywa coś także przed nim samym. – Chyba dlatego poszedłem na historię i zająłem się Włochami. I dlatego tak bardzo chciałem tu przyjechać.

Laura położyła w zamyśleniu palec na ustach.

– Myślę, że studiowałeś tak pilnie, by ją zadowolić, by czuła, że zostawia po sobie coś wartościowego na tym świecie.

Trafność jej spostrzeżenia poruszyła go. Tyle razy miał ochotę uciec z posępnego mieszkania przepełnionego odorem choroby. A jednak nie potrafił porzucić matki. Już raz zostawił ją mężczyzna. Daniel nigdy nie poznał swojego ojca, lecz skutki jego okrutnego czynu odcisnęły nieusuwalne piętno na nich obojgu.

– Kocham swoją pracę. Jest dla mnie jak...

– Jak inny świat, do którego możesz uciec. – Uśmiechnęła się, a on zaniemówił. Laura delikatnie położyła palce na jego ustach gestem, jakim starsza siostra uspokaja zaniepokojonego brata. – Daniel, biedaku. Jesteś więźniem swoich marzeń, jak my wszyscy tutaj.

Wpatrywał się w śmieci zaścielające całą podłogę piwnicy.

– Czy Scacchi żyje w świecie marzeń?

– Jest zdesperowany – odpowiedziała ponuro.

– Ale dlaczego? – zastanawiał się Daniel.

– Nie pytaj mnie. Ja jestem tu tylko służącą.

Prowokacyjny, jakby zgryźliwy ton jej głosu spowodował, że nagle wydała się młodsza.

– Jesteś kimś znacznie więcej i dobrze o tym wiesz.

Rzuciła jedno z dziwnych weneckich przekleństw, których powoli się uczył. Potem jeszcze raz przetarła twarz chustką, oddała mu ją i na powrót stała się dorosłą Laurą.

– Cały problem polega na tym, że on jest stary. A obaj są ciężko chorzy. Może nie ma w tym żadnej tajemnicy.

– Ale chyba nawet bez pieniędzy mogą postarać się o opiekę medyczną?

– Tu nie chodzi o medycynę. Sama nie wiem o co. On pewnie chce zawrzeć jakąś ostatnią transakcję, tak jakby chciał coś dokończyć. Naprawdę nie wiem!

Daniel popatrzył w sufit. Wydawało mu się, że zakurzony pokój śmieje się z nich.

– Mam już tego dość – obwieściła Laura. – Muszę ugotować obiad. Ty też nie trać czasu. Przynieś mi te ubrania. Wypiorę je.

– Nie. Nie poddam się. Jestem mu to winny. A poza tym tu naprawdę coś jest. Czuję to.

Nagły upór chłopaka rozbawił ją.

– Danielu! Gdzie się podziała twoja angielska logika?

Tym razem to on mógł sobie pozwolić na strofujące spojrzenie.

– Przecież ci nie pasowała.

– Przyłapałeś mnie. Co i tak nie zmienia faktu, że ten pokój jest pełen śmieci.

– To prawda. – Gdy teraz o tym pomyślał, sprawa wydała mu się oczywista. – Scacchi sam mi o tym mówił. Rzeczy zniesiono tu na dół, gdy górne piętra zaczęto wykorzystywać jako magazyn. Rzucono je na podłogę, bo były już w większości bezużyteczne, jeszcze zanim woda je zniszczyła. Przecież musieli wiedzieć, że gdy poziom wody się podniesie, tutaj wszystko może zostać zalane.

Laura rozłożyła ręce.

– No właśnie! Sam to przyznałeś. Możemy już wracać?

– Nie możemy – odpowiedział. – Jeśli znajduje się tu coś cennego, pochodzi z wcześniejszego okresu i w dodatku schowano to w miejscu, do którego woda na pewno nigdy nie dotrze.

– Ech! Tajemnice! Tajemnice!

Podszedł bliżej i ujął jej dłonie w swoje.

– Zastanów się, Lauro! Jesteś wenecjanką. Gdybyś chciała schować tu coś w bezpiecznym miejscu ponad poziomem wody, gdzie byś to ukryła?

Patrzyła mu w oczy, nie próbując wcale uwolnić rąk z uścisku. Wyglądało na to, że stara się szybko i logicznie myśleć, by trafić w sedno sprawy, którego sam poszukiwał.

– I co? – ponaglił.

– Tu są tylko nagie cegły! – odparła z niespodziewanym uśmiechem. – Jak można ukryć coś cennego w takim pomieszczeniu?

W jej głowie rodził się jakiś pomysł. Poznał to po jasnym wesołym błysku w jej oczach.

– Może... – zaczął.

– Może tak, może siak. Zbliża się kolacja. Muszę przygotować jedzenie. A ty zdejmij to brudne ubranie i daj mi je do prania. Chodź! – Dłoń dziewczyny popchnęła go natarczywie ku schodom. – Dalej!

– Lauro! – Jej nagły pośpiech zdezorientował go. – A co ze skarbem?!

– Bajeczki dla grzecznych dzieci – bąknęła. – Banialuki. Odpuść sobie, Danielu, przyjdziesz kiedy indziej.

Złoto Scacchich 16

Nie mogło być pomyłki: Daniel spostrzegł, jak Laura po śniadaniu odciągnęła Scacchiego na bok, podała mu kartkę i dyskretnie wskazała głową chłopaka. Nieco później stary człowiek objął go swoim wątłym ramieniem i odczytał listę pomniejszych zadań do wykonania: zabrać jakieś dokumenty z urzędu miasta, kupić znaczki pocztowe, odebrać naprawione tanie lustro z zakładu na Giudecce... Laura bezceremonialnie wyprawiła go z domu. Miał teraz spędzić cały ranek, skacząc z jednego vaporetto do drugiego, gdy ona będzie realizować w piwnicy jakiś tajny plan.

– Ależ panie Scacchi – zaprotestował – ja mam tu pracować nad pańską biblioteką!

– Jeszcze zdążysz. Niestety chyba ominie cię drugie śniadanie, więc przekąś coś w mieście. Tylko nic dużego. Pamiętaj, że umówiłeś się dzisiaj na kolację. Massiter nie należy do ludzi, których można ignorować.

Z tymi słowami przegonił go z domu z listą zadań w kieszeni wypisaną zgrabnym pismem Laury. Wrócił tuż po drugiej obładowany zakupami i gdy tylko postawił torby na podłodze holu, dziewczyna znalazła się przy nim. Jej włosy były matowe od kurzu, pokryte pajęczynami, a biały wcześniej fartuch teraz prawie całkowicie ubrudzony. Na jej ustach gościł uśmiech tak szeroki, że chyba po raz pierwszy widział coś podobnego u istoty ludzkiej.

– Wyglądasz jak kot z Cheshire – zauważył kwaśno.

– Nie mów zagadkami, Danielu – odparła zaskoczona. – Polowałam. Nie chcesz zobaczyć, co znalazłam?

– Jestem na ciebie zły, Lauro. Pozbyłaś się mnie stąd, żeby wszystko zapisać na swoje konto.

Poklepała go prawą dłonią, zsypując na jego czystą koszulę pokłady pyłu.

– Co za głupoty! Sam powiedziałeś, że wchodzę ci w drogę. Ja po prostu przygotowałam tło, na którym będzie mogła zalśnić twoja inteligencja. Chodź! Starzy słuchają muzyki na górze. Nie przeszkadzajmy im bez potrzeby.

Podała mu latarkę i poprowadziła schodami w dół, do piwnicy, w której na pierwszy rzut oka panował taki sam rozgardiasz jak dzień wcześniej.

– No i co? – spytała z uśmiechem. – Przekonajmy się, czy możesz być wenecjaninem. Jaki wybrałbyś schowek?

Daniel rozejrzał się po tym denerwującym go pomieszczeniu. Ponad poziomem podłogi nie było absolutnie żadnego miejsca, w którym można by coś przechować. Jedyne zabezpieczenie przed zalaniem, szafy, wyniesiono stąd dawno temu.

– To niemożliwe – mruknął.

– Jak to niemożliwe? Musisz starać się nas zrozumieć. Gdyby wenecjanin trzymał tutaj

coś wartościowego, to na pewno nie na widoku. Pamiętaj o bramie. Każdy złodziej mógłby się przez nią zakraść i to wziąć.

– Więc gdzie?

Wzięła od niego latarkę i raz jeszcze przebiegła światłem po murach.

– W ścianach, Danielu. W ścianach! Chodź.

Poszedł za nią na tyły pomieszczenia.

– Tutaj – wskazała. – W przedniej nie ma żadnych szczelin. Boczne też są jednolite. Lecz tylna oddziela nas od innych domów i wszystko jest tu możliwe. – Zaczęła sunąć dłonią po wilgotnej powierzchni ściany. – Robiłam to przez cztery godziny. Chciałam coś wymacać.

– I udało ci się?

Zobaczył radość w jej twarzy i poznał odpowiedź. Przeszli ponad dwie trzecie długości muru, zatrzymali się, a wtedy Laura ujęła dłoń Daniela i przyłożyła ją do ściany prawie półtora metra nad posadzką. W tym miejscu zaprawa między starymi cegłami miała inną konsystencję, była sypka jak mąka i jaśniejsza. Dziewczyna zaczęła grzebać w niej palcem. Substancja wysypywała się niczym piasek. Daniel bez słowa wrócił na środek pomieszczenia i wziął stamtąd łom, który zabrał ze sobą na wypadek, gdyby natknął się na jakieś uparte skrzynie.

– Czekałam z tym na ciebie – powiedziała triumfalnie.

Nie przejmując się brudem ani pajęczynami, pocałował ją szybko w policzek.

– Jesteś wspaniałą kobietą, Lauro. Mam nadzieję, że Ca' Scacchi to wytrzyma.

– *Avanti*, Danielu!

Odsunęła się, a on podszedł do ściany i zaczął wydrapywać zaprawę. Po dwudziestu minutach ciężkiej pracy ocenili, że otwór jest już wystarczająco duży. Laura oświetliła dziurę i oboje popatrzyli do środka. W sztucznym świetle żarówki zobaczyli pakunek zawinięty w stary brązowy papier, obwiązany sznurkiem i umieszczony z rozmysłem na podeście z cegieł, aby zawsze pozostawał ponad powierzchnią wody.

Daniel sięgnął w głąb i wyciągnął pakunek. Rozwiązał sznurek, odwinął brązowy papier i skierował światło na pierwszą stronę. Pająkowatymi, odchylonymi w tył literami napisano tam po prostu *Concerto Anonimo* i – rzymskimi cyframi – rok 1733. Daniel szybko przerzucił strony, wzbijając tuman kurzu.

– Co to jest? – szepnęła Laura.

– Cierpliwości – odpowiedział, z trudem panując nad gonitwą myśli, i usiadł na stercie papierów, aby baczniej przyjrzeć się znalezisku. Nawet po bardzo pobieżnym przejrzeniu wiedział, że wyjaśnienie – choć szczególnie niezwykłe – może być tylko jedno.

– To zapewne zapis nutowy koncertu skrzypcowego, oryginalny rękopis, którego nie oddano zecerom.

Laura pokręciła głową.

– Ale jest anonimowy. Czemu go ukryto?

– Tego nie wiem. – Daniel przebiegał wzrokiem nuty zapisane ręką dawno zmarłego kompozytora, który stawiał znaki wyciągnięte i pochylone, jakby zapisywał swoje dzieło ogarnięty twórczą gorączką. Na pierwszy rzut oka utwór miał w sobie coś z Vivaldiego, jednak charakter pisma był zupełnie inny. Danielowi zdarzyło się raz oglądać kopie rękopisów tego kompozytora w bibliotece uniwersyteckiej.

– Chodź! – rozkazała Laura. – Musimy mu powiedzieć!

Pobiegli ze swoim znaleziskiem na górę i ujrzeli Scacchiego w salonie, jak tańczy w objęciach Paula do delikatnego jazzu płynącego z zestawu hi-fi.

– Czas na spritz? – spytał z nadzieją w głosie. Jego skóra miała bardziej ziemisty odcień niż rano.

– Później. Daniel coś znalazł.

– My coś znaleźliśmy – sprostował chłopak.

Machnęła na niego ręką jak matka besztająca niemądre dziecko.

– Nieważne. Powiedz, czy o to ci chodziło.

Ciemne oczy starego człowieka nagle się ożywiły. Mężczyźni przestali tańczyć i podeszli, by obejrzeć kartki, które Daniel rozłożył na stole.

– Nie umiem czytać nut – odezwał się Scacchi. – Czy to jest coś warte?

Laura lekko pchnęła palcem jedną ze starych pożółkłych stronic.

– Jasne, że jest! Inaczej po co ktoś miałby to ukrywać?

– Oto kobieca logika – jęknął starzec. – Tu jest napisane, że to utwór anonimowy. Rozpoznajesz autora, Danielu?

– Nie. Ale wygląda na to, że jest to pełny zapis nutowy solowego koncertu na skrzypce z 1733 roku.

– Vivaldi? – zapytał Paul z nadzieją w głosie.

Daniel pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się. Styl podobny, ale po co Vivaldi miałby pisać anonimowo? Poza tym to nie jego charakter pisma.

– Mimo wszystko – powiedział Scacchi optymistycznie – coś z tamtych czasów, coś niebanalnego, na pewno musi być cenne?

Daniel zgodził się, lecz nie miał pojęcia, na ile można by to wycenić.

– Na pierwszy rzut oka to całkiem niezła kompozycja.

– Świetnie!A ty masz teraz znakomitą okazję, żeby dziś wieczorem szepnąć to i owo o waszym odkryciu Massiterowi, który może być idealnym kupcem.

Laura spojrzała surowo na starca.

– Nie możesz żądać od Daniela, żeby czymś tak cennym machał Massiterowi przed nosem. On to od razu chwyci, a biednego chłopaka wypchnie z łodzi na pożarcie rybom.

Scacchi nachmurzył się.

– Nie uderzaj w tak dramatyczne tony, Lauro. Oczywiście, że nie dam mu oryginału. Możesz chyba przepisać własnoręcznie kilka stron koncertu, Danielu? Massiter prosił cię o przygotowanie jakiejś kompozycji, więc powiesz mu, że to ona.

Daniel sprzeciwił się.

– Nie to miałem robić, panie Scacchi.

– To tylko mała sztuczka, chłopcze, na pobudzenie apetytu Massitera. On jest bystry, i tak przejrzy ją na wylot.

– Pióro! – wykrzyknęła Laura. – Papier!

Paul przyniósł przybory. Daniel wpatrywał się w białą kartkę i zabytkowe pióro.

– Och, dajże spokój – zwrócił się do niego Scacchi. – To przecież mała sprawa. Ja nie jestem Mefistofelesem, a ty nie jesteś Faustem.

Daniel sięgnął po linijkę i mocnymi pociągnięciami zaczął rysować atramentem kreski pięciolinii.

Santa Maria della Visitazione, czyli kościół pod wezwaniem Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny albo La Pietà, jak go chyba wszyscy nazywają, to sterta kamieni nieopodal Pałacu Dożów. Wieść niesie, że budynek jest tak słaby, iż pewnego dnia zburzy się go całkowicie, a w tym miejscu stanie coś bardziej stosownego. Bo widzisz, Wenecjanie muszą otaczać się splendorem szczególnie w miejscu tak widocznym.

Staliśmy w ciszy u progu kościoła. Do tej pory nasza podróż była bułką z masłem. Gdyby złapała nas straż miejska, jaką mogliby zastosować karę wobec Żydówki, która zapomniała o założeniu chusty, i jej nierozgarniętego towarzysza? Kilka ostrych słów dla Rebeki, a dla mnie wytarganie za ucho. Lecz przekroczenie bramy La Piety to była inna sprawa. Żydówka miała wejść do świątyni chrystusowej i to wcale nie w celu odbycia pokuty czy z zamiarem natychmiastowego nawrócenia. Czy Bóg zgładzi nas już po pierwszych krokach? Czy będziemy potępieni na wieki za straszliwą obrazę domu Pana?

Co do tej drugiej kwestii, odpowiedzi nie znam, lecz co do pierwszej, to muszę cię rozczarować. Gdy wreszcie zebraliśmy się na odwagę i przemaszerowaliśmy przez mroczny prostokąt kościelnego przedsionka, powitał nas jedynie dźwięk instrumentów strunowych, które zgrzytliwie torowały sobie drogę przez średnio trudny utwór. Nie uderzył żaden grom. Nie było grzmienia z wysokości. Weszliśmy do nawy La Piety i zobaczyliśmy tam małą orkiestrę kameralną złożoną głównie z dziewcząt odzianych w tanie ciemne sukienki i wymachującego nad nimi batutą Vivaldiego.

Muszę przyznać, że po słynnym Rudym Księdzu spodziewałem się czegoś więcej. Przede wszystkim już dawno zniknęły jego rude włosy i teraz, by zakryć łysinę, biedak zakłada przykurzoną peruczkę. Nosi co prawda intensywnie szkarłatny płaszcz, lecz twarz ma ziemistą i bladą, a jego oczy nieustannie zezują ku partyturze. Patrząc na jego jasne wysokie czoło, zamyśliłem się nad cudem tworzenia (człowieczego, nie boskiego). W jakiś sposób cała ta przepiękna muzyka wymknęła się z tak niepozornej postaci i poszybowała, by podbić świat. Przynajmniej na chwilę. Mówi się, że od napisania *Czterech pór roku* osiem lat temu Vivaldi nie odniósł znaczącego sukcesu i aby zarobić na chleb, musi jeździć jako dyrygent do Wiednia, a nawet dalej.

Staliśmy przez chwilę w cieniu, aż kompozytor zastukał swą małą batutą o podest i machnął ręką, by uciszyć niewielką orkiestrę.

„Wy tam!”, zakrzyknął w naszym kierunku. „Spóźniliście się”.

Rebeka wyszła na światło z futerałem na skrzypce w dłoni i miałem uciechę, patrząc, jak na twarzy Vivaldiego pojawia się wyraz podziwu. Ona tak właśnie działa na ludzi. Wślizgnąłem się do ławki, by mieć stamtąd dobry widok na to, co się będzie działo.

„Skąd jesteś, dziewczę? Na co możesz mi się przydać?”.

Skinęła skromnie głową.

„Pochodzę z Genewy, panie. Na drugie pytanie nie umiem dać odpowiedzi. Sam musisz osądzić".

„Hmm. Znam w Genewie trochę ludzi. Kto był twoim nauczycielem?".

„Tylko mój świętej pamięci ojciec, z zawodu cieśla".

Na jego twarzy pojawiło się wyraźne rozczarowanie.

„No dobrze", stęknął żałośnie. „Zagraj coś. Miejmy to już za sobą".

Rebeka otworzyła futerał i wyjęła z niego instrument o surowym wyglądzie, pomalowany na paskudny czerwonobrązowy kolor.

„On sam to wykonał?", zapytał Vivaldi. „To chyba najbrzydszy instrument, jaki w życiu widziałem".

Posłała mu godne podziwu surowe spojrzenie.

„Tak, panie. Kupiłby mi coś lepszego, gdyby nas było na to stać".

„O rety...", westchnął ten wymizerowany starzec i chwycił się chudą wyschniętą dłonią za brodę.

Nie mogłem odjąć oczu od Rebeki. Coś w tej wymianie zdań wydawało się ją niezmiernie bawić. Już teraz czułem, że oszołomi tego gderliwego starego księdza.

„To etiuda, którą grywaliśmy, panie", zapowiedziała słodkim głosem, po czym uniosła toporny smyczek i opuściła go na tę koślawą kłodę drewna gestem anioła, który mieczem rąbie demony. Tak właśnie! Możesz wyobrazić sobie, co zdarzyło się później: prawdziwy cud. Wycisnęła ze swych sfatygowanych starych skrzypiec tony tak słodkie, pasaże tak kipiące namiętnością, że w pewnej chwili pomyślałem, iż nasz sławny kompozytor osunie się na ziemię w omdleniu!

Prawda, jej występ był poniekąd wyreżyserowany (lecz cóż może być w tym złego, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności?). Rzucała się w poprzek oktaw z prędkością błyskawicy, nie myląc żadnej nuty. Grała dwu- i trójdźwięki, śmigała palcami w górę i w dół gryfu. Tu kilka nut melodii ludowej, tam nieco barokowej finezji. Wolne pasaże, szybkie pasaże, jasne i ciemne, głośne i ciche, porażały nas techniczną doskonałością, a przy tym niosły wielki ładunek emocji. Nie jestem skrzypkiem, a słuchając Rebeki, wątpiłem, czy w ogóle mam jakiekolwiek zdolności muzyczne. Umiem jednak poznać genialne wykonanie. Vivaldi miał rację co do instrumentu: te skrzypce nie były jej warte. Nikt nie mógł wątpić w doskonałość Rebeki i robiło mi się ciepło na sercu, gdy widziałem, jak muzyka wydusza ze starca emocje oraz życzliwość, tak że kiedy utwór dobiegł końca, ksiądz powstał, z szerokim szczerym uśmiechem zaklaskał w dłonie jak pięciolatek i krzyknął: „Hura!".

Rebeka, wciąż z tajemniczym uśmiechem na ustach, w milczeniu odłożyła instrument do futerału, a następnie popatrzyła na niego i powiedziała niewinnym głosem: „Mam nadzieję, że nadam się do czegoś, panie".

„Dobry Boże, dziewczyno!", wykrzyknął. „Jesteś cudem, którego mi było trzeba!".

„Dziękuję". Z zadowoleniem odnotowałem, że powiedziała to z naciskiem, a zarazem skromnie i otwarcie, co Vivaldi odczytał, mam nadzieję, jako drobną reprymendę za swoje wcześniejsze wątpliwości co do jej osoby.

„Ale co to był za utwór? Rozpoznałem nutę Conrelliego i wpływy ludowe. A reszta?".

„Nie wiem tego, panie. To rzeczy, których nauczył mnie ojciec". Zarumieniła się, gdy to powiedziała. Nie zrozumiałem dlaczego.

Stary ksiądz zaklaskał w dłonie.

„Nieważne. Żałosny jest ten twój instrument. Niemniej witam cię w mojej skromnej dziewczęcej orkiestrze". Na te słowa pozostałe muzykantki, dziwna zbieranina kobiet

przypominających zakonnice, które przed chwilą porzuciły habity, uśmiechnęły się do niej i zaczęły klaskać. „Jak się nazywasz?”.

„Rebeka”. Moje tętno przyspieszyło. W jej oczach pojawił się błysk paniki. „Rebeka... Guillaume”.

„Śliczne imię dla ślicznej panienki”, powiedział Vivaldi sympatycznym tonem. „Szkoda, że nikt nie będzie cię oglądać”.

„Słucham?”.

Vivaldi wskazał wielkie pozłacane ekrany biegnące wzdłuż ścian po obu stronach nawy. „To jest kościół, Rebeko Guillaume. Nie sala koncertowa. Ludzie nie mogą się gapić na orkiestrę, gdy powinni wsłuchiwać się w muzykę. Będziesz grać za tymi oto złotymi powiekami i obawiam się, że pozostaną one szczelnie zamknięte, gdy wierni mdleć będą z zachwytu, słysząc twoją grę”.

Na te słowa przechyliła głowę i znów wprawiła mnie w konsternację. Z jej twarzy nie można było wyczytać, co myśli.

„A teraz”, ogłosił Vivaldi, uśmiechając się od ucha do ucha, „przejdźmy do nowych kawałków!”.

To rzekłszy, rozdał muzykantkom nuty i zaczął je dokładnie objaśniać, instrument po instrumencie, umiejętnie i z uwagą, jakiej można oczekiwać po mistrzu. (Nie przypominało to w niczym sytuacji typu: „Wydrukuj to porządnie, bo inaczej tak cię kopnę w cztery litery, że wylecisz przez okno prosto do śmierdzącego kanału”, co regularnie zdarza mi się z Leonem). Obecność Rebeki mocno poruszyła starca. Rzucił się energicznie w wir muzyki, która pochłonęła go całkowicie, gdy ćwiczyli pasaż za pasażem i sekwencję za sekwencją, aż z czegoś, co na początku wydawało się niczym innym jak kakofonią, zaczęła wyłaniać się kompozycja. Grali prawie trzy godziny. Zaczęło zmierzchać, kiedy znów znaleźliśmy się na zewnątrz. Zależało mi na tym, żeby odprowadzić Rebekę z powrotem do getta, zanim strażnicy podniosą most zwodzony chroniący uśpiony świat przed Żydami.

Żwawym krokiem weszliśmy na pomost, by złapać pierwszą gondolę. Wypatrywałem na twarzy Rebeki śladu zadowolenia. Największy muzyk Wenecji docenił ją właśnie i zaprosił do swej orkiestry. A jednak nie dostrzegłem żadnej satysfakcji.

„Rebeko”, powiedziałem, gdy łódź skręciła w zakole kanału i na widoku pojawiła się pochylona sylweta Ca’Dario, wynajmowanej przez Delapole’a rezydencji o niespotykanych różowych oknach. „Osiągnęłaś dziś wiele. Grasz jak anioł i on o tym wie”.

„O tak”, odparła niskim zawziętym głosem. „Jak anioł zamknięty za zasłonami, gdzie nikt go nie zobaczy. Jedno więzienie zamieniłam na drugie i ktoś inny będzie cieszyć się należną mi sławą”.

Jej gniew zaskoczył mnie.

„Nie rozumiem. To taki zaszczyt...”.

„Co takiego? Dać się zamknąć jak ptak w klatce? Za kogo ten bufoniasty ksiądz się uważa?”.

„To Vivaldi. Nie zwykły muzyk. Kompozytor. Dyrygent. Artysta wyrastający ponad zwykłych ludzi”.

Przenikliwe spojrzenie jej ciemnych oczu wwierciło się we mnie. Czułem się pod jego siłą zupełnie obnażony.

„A ja to niby nie umiem komponować? Albo dyrygować? Myślisz, że nie chciałabym stać przed orkiestrą tak jak on i patrzeć, jak z podziwu otwieracie usta na mój rozkaz?”.

Biały łuk mostu Rialto, na którym mrowiła się ludzka ciżba, wyrósł przed nami.

„Pytał, czyją muzykę gram, Lorenzo. Otóż moją własną!”.

Siedziałem w łodzi kołyszącej się na tłustych falach Canal Grande, niezdolny zebrać myśli. Rebeka siedziała naprzeciw, na wąskiej ławeczce. Ściskając dłonią moje kolano, szeptała mi w twarz z zaniepokojeniem w głosie.

„Ale ja jestem tam podwójnie przeklęta, prawda? Nie tylko jako kobieta, ale i Ż...".

Nie trzeba było już nic mówić. Tak delikatnie, jak umiałem, przykryłem jej usta dłonią, zaskoczony ich słodką wilgocią. Przez sekundę dostrzegłem strach w jej oczach, chwilę później zrozumienie. Nie ma bardziej plotkarskiej natury nad gondoliera. Gdybyśmy ciągnęli rozmowę w tym tonie, tej samej nocy ktoś nakarmiłby nami ryby.

„Za chwilę wysiadamy, kuzynko", rzekłem głośno i gdy tylko zauważyłem, że zrozumiała, zdjąłem dłoń z jej cudownych ust. „Cieszmy się tym, co mamy, i nie ustawajmy w trudach".

Dziesięć minut później skryliśmy się w alejce opodal getta i Rebeka ponownie ukryła burzę włosów pod czerwoną chustą.

„Jest jeszcze jeden kłopot", syknęła, zanim wyszliśmy z powrotem w światło gasnącego dnia. „To i tak niemożliwe. Miałam nadzieję go przekonać, bym mogła grać tylko popołudniami, ale Vivaldi powiedział, że albo będę występować na wieczornych koncertach, albo wcale. Nocą nijak nie wydostanę się z getta. Jestem Żydówką, a getto to moje więzienie".

Przez chwilę pomyślałem, że zacznie płakać, ale opanowała się, a mnie opadły nieprzyjemne podejrzenia, czy ona przypadkiem nie gra na moich uczuciach. Potem powiedziała swarliwym tonem:

„Powiedz, Lorenzo, czy Żyd nie ma oczu? Rąk, narządów, ciała, zmysłów, emocji, namiętności? Czy nie jem tego samego jedzenia, nie rani mnie ta sama broń, nie cierpię tych samych chorób? Czy nie leczę się tak samo, czy nie jest mi równie gorąco w lecie i zimno w zimie jak chrześcijaninowi? Czy nie krwawię, gdy mnie ukłuć? Nie śmieję się, gdy mnie łaskotać? Nie umrę, jeśli otruć?". A potem dodała bardzo poważnie: „A jeśli mnie skrzywdzić, czy nie będę szukać zemsty?".

Wyraz mojej twarzy był zwierciadłem jej wzburzenia.

„Oczywiście", odrzekłem. „Lecz ja jestem tylko skromnym wieśniakiem z Treviso. Pozwolisz, że wykradnę myśl angielskiemu dramaturgowi, skoro mi ona dobrze tu posłuży? Jeżeli jesteś fałszywą, Rebeko, to chyba niebo samo z siebie szydzi. Nie wierzę temu"[3].

Staliśmy w ciemnej wąskiej uliczce tak blisko, że nasze dłonie niemal się stykały, i czuliśmy się jak dwa klauny, z których żaden nie wie, czyja kolej śmiać się, a czyja żartować.

„Jesteś nietypowym człowiekiem, Lorenzo", wyszeptała, spoglądając na mnie z tym swoim cwanym wyrazem twarzy.

„Biorę to za komplement, który zarazem czynię także tobie".

Prychnęła i na chwilę ujęła moją dłoń. Jej dotyk był ciepły, miękki i delikatny, i przejęło mnie uczucie, jakiego nigdy wcześniej nie zaznałem. „Przeze mnie tyle ryzykowałeś. Wszystko na nic".

Na to musiałem się roześmiać.

„Na nic? Rebeko, ja...". Ach, no nie. Znowu na chwilę zabrakło mi słów. „Tego popołudnia nie pragnąłbym być w żadnym innym miejscu na świecie. A jeśli chodzi o to, co dzieje się w Wenecji wieczorem, to pozwól mi się przez pewien czas zastanowić. Łatwiej ukryć tajemnicę w mroku niż w świetle dnia".

„Ale...".

„Nie". Byłem nieugięty. „Wszystko w swoim czasie".

W milczeniu poszliśmy powoli w stronę getta. Zatrzymałem się obok mostu, przy którym stał opryskliwy strażnik. Przyglądając się, jak Rebeka przechodzi na drugą stronę, rzucił:

„Jeszcze pięć minut i ta Żydóweczka znalazłaby się w szambie po uszy, chłopcze. Nie żebym miał coś przeciw temu, by na godzinkę czy dwie zajrzeć do jej celi".

Nie podążam za tutejszą modą, która każe nosić nieduży sztylet pod płaszczem. Wszak jeśli ktoś ostrożnie dobiera ścieżki, nie potrzebuje takiej ochrony. Podobnie nie wyobrażam sobie, że mógłbym nosić jakąś biżuterię, której celem jest zadawanie ran. Jednak tym razem ujrzałem oczami mojej duszy, jak spod kurty wyciągam ostrze, powoli wbijam w pierś tego wieprza, a potem rzucam broczące krwią ciało do kanału.

„Tak, proszę pana", odrzekłem pokornie, gdy te godne pożałowania fantazje przepływały mi przez głowę.

Wracałem ciemnymi wąskimi zaułkami miasta oraz mostem na ulicy San Cassian, gdzie na *campo* gromadziły się dziwki zachęcające lubieżnymi szeptami każdego, kto nadstawiał ucha. Zastanawiałem się całą drogę. W chwili, kiedy otwierałem drzwi Ca' Scacchi, wiedziałem już, jak można rozwiązać problem.

Canal Grande 18

Po szaleńczej sesji przepisywania nut i szybkim prysznicu wybiegł z Ca' Scacchi z sześcioma stronami zapisu solowego koncertu skrzypcowego w foliowej koszulce. Postanowił złapać vaporetto do San Marco. Laura wyszła razem z nim, ubrana w dżinsy i czerwony podkoszulek, z włosami spiętymi w kucyk.

– Dziś w nocy mam wolne – powiedziała. – I jutro też.

– Aha.

Scacchi i Paul życzyli mu powodzenia. Daniel i Laura złapali łódź na kanale i usiedli obok siebie na rufie. Po raz pierwszy dziewczyna nie założyła okularów przeciwsłonecznych i, nie wiedząc w zasadzie dlaczego, potraktował to jako swoje zwycięstwo.

– Randka? – zapytał z wahaniem.

Popatrzyła na niego.

– Co za bezczelne pytanie! Jadę spotkać się z matką. Robię to w każdą środę, skoro już cię to interesuje. Mieszka w domu pogodnej starości w Mestre.

– Przykro mi. Jest chora?

– Nie. Po prostu stara. Jestem późnym dzieckiem.

– Zachowałem się chamsko.

– To prawda.

– Byłem przekonany, że masz chłopaka.

Jej zielone oczy otwarły się szeroko.

– Chłopaka! Scacchi i Paul to dość mężczyzn na jedno życie. Teraz w dodatku pojawiło się trzecie dziecko i to nie mniej denerwujące niż pozostałe. Nie sądzisz, że mam nadmiar facetów?

– Ups... – powiedział cicho, uśmiechając się do tafli wody. Gniew Laury, wyraźnie udawany, bawił go. Dziewczyna kochała Scacchiego i Paula. Jego obecność też chyba sprawiała jej przyjemność, co nawet trochę mu przeszkadzało. W przeszłości unikał związków. Miał inne sprawy: matkę, studia i różne przypadkowe prace, niezbędne, żeby móc się utrzymać. Kiedy rozmyślał o osobie, którą pewnego dnia może pozna, zawsze widział przed oczami dziewczynę w jego wieku z futerałem na skrzypce w ręku, biegającą z koncertu na koncert i dzielącą z nim zainteresowania, czyli stare książki i muzykę. Wyobrażał sobie kogoś ulepionego mniej więcej z tej samej gliny, a nie cudownie dziwaczną służącą, w dodatku starszą od niego.

– Ups? – powtórzyła z szelmowskim błyskiem w oku. – Co to niby znaczy? To angielskie słowo?

Jakiś turysta gapił się na nią – tęgi brodaty człowiek po pięćdziesiątce, w szortach

i tenisowej koszulce, z kilkoma aparatami fotograficznymi zawieszonymi na szyi.

– Ups! – huknęła na niego wesoło, a ten wstał i przeszedł na środek łodzi. Oboje się roześmiali.

– Skoro już zadajemy sobie osobiste pytania, panie Forster, to proszę niniejszym o informacje na pański temat. Zapewne w Anglii czeka piękna jak lilia dziewczyna. No, gadaj.

Wiedział, że się mocno zarumienił.

– Przepraszam. Zapomniałam. Musiałeś przecież opiekować się matką. Wiele czasu ci to zajmowało?

– Wiele – odparł. – I nie żałuję ani minuty.

Laura zapatrzyła się w wodę.

– Więc teraz zaczyna się dla ciebie życie? Z grupką świrniętych nieznajomych z Ca' Scacchi?

– Niewykluczone.

Założyła ręce i zdecydowana skierować rozmowę na inne tory, mruknęła:

– Przypuszczam, że ta Amerykanka jest całkiem ładniutka. Locanda Cipriani... Mieszkam tu całe życie, a byłam tam tylko raz.

Daniel przywołał wizerunek Amy Hartston.

– Jest bardzo ładna – uściślił – w amerykańskim stylu.

– Wiem, wiem – syknęła. – Świetne zęby, świetne włosy, świetny tyłek. Uśmiech nieschodzący z ust. Zawsze miła. – Znów powrócił kiepski angielski akcent: – *'Ave a nice day!*

– Myślę, że to stereotyp.

– Ha!

– I mam nadzieję – dodał – że umie grać na skrzypcach lepiej ode mnie... – Pomachał foliową koszulką. – ... bo ten kawałek nie jest łatwy.

Laura przyjrzała się jego równym pionowym nutom na pięciolinii.

– Nie wygląda na szczególnie trudny.

– Nie wygląda? A ty znasz się na tych rzeczach?

– Nie. Ale widzę tu tylko coś jak ptasie gówienko, a nie takie pajęcze sieci, w które wpatrują się muzycy na koncertach.

Westchnął.

– To tak wygląda na początku, ale później przyspiesza. Zresztą, tak czy inaczej, wyjawię ci pewien muzyczny sekret. Czasami, droga Lauro, najwolniejsze części są najtrudniejsze. W ich cichych przestrzeniach nie ma się gdzie ukryć.

Popatrzyła na niego uważnie, w zamyśleniu.

– Są takie chwile – powiedziała wreszcie – że nie wiem, co o tobie myśleć. Masz takie dojrzałe i wnikliwe uwagi jak na młodego... Och! Patrz! Patrz, Daniel! Proszę podać mi nazwę tego domu.

Laura wskazywała pałacyk widoczny po stronie sterburty. Przyjrzał mu się. Nie potrafił go co prawda rozpoznać, ale stojący w pobliżu galerii Guggenheim budynek był nadzwyczajny. Mały, wąski, różowo-biały dziwoląg o trzech poziomach czerwonawych okien umieszczonych po prawej stronie elewacji jakby wytatuowanej okrągłymi kawałeczkami szkła. Siedział, lekko przekrzywiony, w wodzie, a z jego płaskiego dachu wystawały lejkowate kominy.

– Nie mam pojęcia, jak się nazywa – przyznał.

– Ha! Taki niby wykształcony. To jest jeden z najstarszych domów na Canal Grande. Nawet po tylu latach, kiedy tędy przepływam, wciąż zatrzymuję się na chwilę, żeby na niego popatrzeć. Ca' Dario. Piętnasty wiek. Jest przeklęty, jak głosi plotka. Przez te lata zdarzyło się w nim mnóstwo morderstw i samobójstw.

– I faktycznie jest przeklęty? – spytał.

Kąciki jej ust opadły w grymasie, który już nauczył się rozpoznawać.

– Kiedyś miewałam przez niego koszmary. Jak byłam mała.

Daniel badawczo oglądał nietypową architekturę Ca' Dario. Otaczające rezydencję karłowate pałacyki w ogóle tu nie pasowały.

– Dlaczego miałaś koszmary przez ten budynek?

– Byłam dzieckiem! W dodatku to wszystko pewnie mi się tylko przywidziało... Wracałam akurat z komunii, stałam z tyłu vaporetto w ślicznej białej sukience i czułam się jak najważniejsza osoba na świecie...

Zawahała się.

– I co?

– Był karnawał. Spojrzałam w okno. Tam. Na drugim piętrze. To podłużne okno, drugie od lewej. – Łódź sunęła teraz statecznie obok frontonu kamienicy. – Zobaczyłam twarz. Był tam jakiś człowiek, stał z uniesionymi rękami. Zdawało mi się, że krzyczy.

– Jak wyglądał? Młody? Stary?

– Nie pamiętam. To pewnie tylko przywidzenie.

– A może ten dom faktycznie jest nawiedzony.

Zaśmiała się, rozbawiona.

– Raczej nie. Chociaż parę lat temu prawie kupił go Woody Allen. To dopiero byłoby nawiedzenie!

– Złośliwa i bezczelna dziewczyna z ciebie, Lauro! – zauważył. – Można ten dom zwiedzić?

Pokręciła głową.

– To prywatna posiadłość. Ale zdaje się, że twój przyjaciel, pan Massiter, ma apartament w sąsiednim pałacu. Może pozwoli ci zerknąć przez okno. Tobie i twojej amerykańskiej przyjaciółeczce, rzecz jasna. *'Ave a nice day!*

Postanowił nie dać się podpuścić. Vaporetto opłynęło od prawej koniuszek lądu i przyklejony na nim wielki szary plaster bazyliki Salute. Laura wstała i przebiegła wzrokiem po molo, Daniel zrobił to samo.

– Massitera jeszcze nie ma – powiedziała, wskazując fragment chodnika oddzielony od publicznej przystani. – Myślę, że odbierze cię tam, gdzie cumują taksówki wodne. Co za maniery. Czemu nie mógł po ciebie przypłynąć?

– I tak jestem mu wdzięczny.

Spojrzała na niego ostro.

– Wdzięczny, wdzięczny. Za często jesteś komuś za coś wdzięczny, Danielu. A nikt niczego nie robi bez powodu, nawet Scacchi.

– Ale...

Nie zdążył dokończyć. W prawdziwie weneckim stylu dziewczyna przepchnęła się przez tłum. Okulary przeciwsłoneczne znów tkwiły na jej nosie. Gdy Daniel wyszedł na chodnik, była już tylko postacią w oddali, zmierzającą w stronę dzielnicy San Marco.

Czekał. Po dziesięciu minutach smukła lśniąca motorówka zacumowała dokładnie w miejscu, które wskazała Laura. Hugo Massiter siedział na rufie, pijąc szampana z Amy Hartston. Nim odpłynęli od molo, Daniel też trzymał już lampkę w dłoni i czuł się tak, jakby jego świat nagle się rozszerzył.

Spojrzał za siebie ku oddalającemu się brzegowi San Marco. Laura, mała czerwono-niebieska postać, stała w niewielkim parku i obserwowała go. Była pewna, jak sądził, że z tej odległości jest niewidoczna.

Wieczór nad laguną 19

Gdy mijali Arsenale w drodze na otwarte wody laguny, Hugo Massiter uzupełnił szampana w kieliszkach i zawołał, przekrzykując ryk silnika:

– Dmitrij!

Z przodu łodzi odwrócił się ku nim wysoki opalony młody mężczyzna o oczach ukrytych za dużymi czarnymi okularami.

– Tak, szefie?

– Cała naprzód!

Dmitrij wzruszył ramionami. Nos motorówki uniósł się ku niebu. Przeciążenie wtłoczyło Amy i Daniela głęboko w skórzane fotele, a na ich twarzach pojawiły się głupie uśmiechy.

Dziewczyna miała na sobie jasną wieczorową sukienkę o mocno wyciętym dekolcie, w której wyglądała elegancko i ponętnie, a przy tym dojrzale. Massiter był ubrany w kremowe spodnie i śnieżnobiałą bawełnianą koszulę. Okulary zamienił na założoną na bakier kapitańską czapkę z granatową kotwicą z przodu. Daniel nigdy wcześniej nie siedział tak blisko bogacza. Hugo – prosił, by go tak nazywać – był inny, niż chłopak się spodziewał. Wydawał się tak swobodny, tak beztroski, że prawie nierealny. Jego obecność, podobnie jak bliskość Amy, była dla Daniela ekscytująca. Znacznie poszerzył horyzonty od dnia przyjazdu do Wenecji. Wszystko, co przeżył wcześniej, wydawało mu się płaskie i dwuwymiarowe.

Motorówka skierowała się na północ i podskakując na falach, wpłynęła między boje wyznaczające kanał pomiędzy tłoczną, gęsto zabudowaną wyspą Murano po lewej a Sant' Erasmo – niską zieloną oazą ogrodów warzywnych, w której mieszkał Piero – po prawej. Daniel przypomniał sobie swoją pierwszą podróż przez szare wody laguny na pokładzie Sophii z trzema śpiącymi mężczyznami, psem u steru i Laurą, tajemniczą Laurą, która ukryła się na nabrzeżu San Marco tylko po to, by patrzeć, jak odpływa.

– Coś się stało? – spytała Amy, przekrzykując huk motoru i łoskot bijących o kadłub fal.

– Nie – odparł. – Po prostu jestem trochę oszołomiony tym wszystkim, co się dzieje. Przyjechałem tutaj tylko po to, żeby skatalogować bibliotekę.

Massiter podał im talerz bruschette z pomidorami, grzybami i anchois.

– Życie byłoby nudne, gdyby składało się tylko z przewidywalnych wydarzeń – powiedział. – Biblioteka?

Daniel zdał sobie nagle sprawę, że musi uważać na słowa. Niestety Scacchi nie poinstruował go bardziej szczegółowo, jak radzić sobie z Massiterem. Jego wskazówki były skąpe. Najwyraźniej chciał, aby to Daniel, mimo całej swojej naiwności, nadał kierunek układom z Anglikiem.

Ważąc słowa, opowiedział historię związaną ze swoją podróżą do Wenecji i zainteresowaniem prasami drukarskimi z czasów Republiki. Scacchi zaproponował pewną

sumkę za przejrzenie starych papierów, mówił, zanim wyrzuci je do śmieci. Wspomniał też, jak bardzo był zaskoczony i wdzięczny, gdy odkrył, że zapisano go do letniej szkoły muzycznej.

– I znalazłeś już coś? – zapytał szybko Massiter.

– Jeszcze nie – odparł Daniel, zastanawiając się równocześnie, jak łatwo przychodzi mu kłamstwo. – Papiery leżały w piwnicy i większość zniszczyła woda.

Massiter pokręcił głową.

– Co za szkoda! Widzisz, Scacchi jest zwykłym handlarzem antykami. Kiedyś zrobiliśmy jeden mały interes. Nie chciał się spoufalać. Nie dostałem nigdy od niego zaproszenia na obiad czy choćby na drinka. Słabością handlarza antykami jest to, że widzi w przedmiocie wartość dopiero wtedy, gdy się go przed nim położy. Mógł mieć pod nosem skarby, ale pozwolił im zgnić, chociaż wystarczyła odrobina uwagi.

Danielowi trudno było przyjąć tę surową krytykę, choćby nawet okazała się prawdziwa.

– Signor Scacchi okazał mi dużo dobroci. Gdyby nie on, ciągle siedziałbym w Oksfordzie i szukał jakiejś fuchy, żeby zapłacić rachunki.

I byłbym sam, dodał w myśli. Dryfowałbym przez jednobarwną egzystencję.

Massiter uniósł rękę w pojednawczym geście.

– Oczywiście, oczywiście. Nie chciałem nikogo urazić. Twoja lojalność dobrze o tobie świadczy. A teraz, Amy, powiedz mu kilka słów o sobie. To przy okazji odświeży także moją pamięć.

Dziewczyna uśmiechnęła się słabo i w kilku zdaniach opisała dorastanie w Maine, ojca, który był „grubą rybą w nieruchomościach", i lato w Wenecji stanowiące dla niej najciekawszy okres w roku.

– A twoje studia? – zainteresował się Daniel.

– Szkółka dla tępych bogatych panienek. Sama jestem zresztą jedną z nich.

– Gadanie – stwierdził stanowczo Massiter. – Amy grała tutaj, kiedy jeszcze była pryszczatą dwunastoletnią smarkulą, i zdumiewa mnie, jak szybko z roku na rok rosną jej umiejętności.

– No jasne. Bardzo chcieliby mieć jakąś gwiazdę w swojej szkole, Danielu. Szczególnie odkąd dziesięć lat temu zamordowano tę biedną dziewczynę. Niektórzy z młodych uważają, że jej duch ciągle nawiedza La Pietę. Sama tak kiedyś myślałam.

Massiter zapatrzył się w wodę. Po jego zachowaniu Daniel dostrzegł, że coś go trapi.

– Przepraszam – powiedział – ale ja nic o tym nie wiem.

– Naprawdę? – zdziwiła się Amy, nagle ożywiona. – To się zdarzyło, zanim się tu pojawiłam. Ależ to była historia! Ówczesny dyrektor szkoły napastował tę biedną dziewczynę, rzucił się na nią po koncercie finałowym i zamordował ją! A potem sam się zabił, gdy szli po niego gliniarze. Podobno naprawdę nieźle grała.

Massiter osuszył kieliszek i zaraz znów go napełnił.

– Nazywała się Susanna Gianni i była, moi drodzy, najznakomitszą skrzypaczką w jej wieku, jaką kiedykolwiek słyszałem. Nie ma dnia, żebym się o to nie obwiniał. Gdybym nie przyjął tego cholernego Ruska do pracy, Susanna żyłaby dzisiaj.

Jego szare oczy zwilgotniały. Amy położyła mu dłoń na kolanie zaskakująco dorosłym gestem.

– Hugo, przykro mi – powiedziała. – Nie sądziłam, że bierzesz to tak osobiście. Nie możesz się obwiniać za to, co zrobił ktoś inny.

– Cóż, niestety się obwiniam. Chociaż minęło dziesięć lat. Ale to nie jest temat na dziś. Spójrzcie. Dopływamy.

Wyspa była już blisko. Kilkaset metrów od przystani vaporetto w głębi lądu widać było

wieżę kampanili. Motorówka zwolniła, wykonała ostry zwrot w prawo i wślizgnęła się w wąską gardziel gęstego od glonów kanału. Massiter odpędził komara, spojrzał na zegarek i rozkazał Dmitrijowi, by przybił na chwilę do brzegu kawałek za restauracją w odosobnionym miejscu przy warzywnym poletku.

– Nie chcieli dać mi stolika wcześniej niż na dziewiątą. Co za afront! No cóż, możecie w takim razie teraz zasłużyć sobie graniem na kolację. Śmiało! Wyciągajcie instrumenty! Niech usłyszę, co dla mnie skomponowaliście!

Amy skrzywiła się.

– Rety, Hugo... Naprawdę muszę? Nie znoszę komponować. Jestem muzykiem, nie kompozytorką.

Popatrzył na nią, jakby obrażony.

– Chcesz powiedzieć, że nic nie przyniosłaś?

Otworzyła torbę i wyciągnęła z niej nuty.

– Mam tu trochę Vivaldiego. *Pory roku*. W szkole nigdy tego nie gramy. Myślałam, że może to będzie jakaś odmiana.

Massiter przeraził się.

– Dobry Boże, dziewczyno! Jeśli kiedyś jeszcze raz zechcę to usłyszeć, a nie zechcę na pewno, to pójdę do najbliższej pizzerii! Zaczynam się poważnie zastanawiać, czy nie kazać ci głodować tytułem kary. Kobiety! – Anglik był wzburzony.

– Może ja mam rozwiązanie – zaproponował chłopak.

– Mam nadzieję. Bo jeśli nie, dziś w nocy pójdziemy spać głodni.

Daniel wyciągnął foliową koszulkę z sześcioma stronami ręcznie zapisanych nut.

– Amy, byłby to dla mnie wielki komplement, gdybyś zechciała zagrać to, co ułożyłem.

– Dlaczego? – spytał Massiter. – Nie możesz sam zagrać?

– Mogę, ale niezbyt dobrze. Nigdy nie próbowałem udawać, że jestem świetnym skrzypkiem. Usłyszenie czegoś w głowie nie oznacza, że można to potem łatwo odtworzyć palcami.

– Muzycy! – zawołał Anglik. – Najbardziej uparte stwory na ziemi. No dobrze. Słyszałaś, moja droga. Graj albo wracamy do miasta i nie jecie kolacji.

– Dawaj – powiedziała ponuro i wyrwała mu kartki z dłoni, po czym przez całe pięć minut przeglądała je w milczeniu. Massiter trochę się uspokoił. Daniel z narastającą paniką wsłuchiwał się w brzęczenie owadów oraz ciche pluskanie ryb łowiących muchy, zastanawiając się, czy na pewno wszystko dobrze przepisał. Wyraz twarzy dziewczyny zmieniał się wraz z postępem lektury. Była teraz poważna i przejęta. Kiedy skończyła, zwróciła się do Daniela i zapytała:

– Co to jest, Danielu? Co to ma być?

– Solo na skrzypce – odparł bezmyślnie.

– To wiem! Podaj mi kontekst. Ten utwór brzmi jak coś z osiemnastego wieku, może Vivaldi, ale nie całkiem. Wydaje mi się, że to część znacznie większego utworu. Co to jest?

Massiter przyglądał się im uważnie. Daniel pojął, dlaczego Scacchiemu tak trudno jest ukryć cokolwiek przed spojrzeniem tych szarych oczu.

– To ma być solowy pasaż w stylu koncertów skrzypcowych Vivaldiego. Kawałek między dwa *ritornella*[4]. Bawiłem się formą. Chciałem napisać coś, co pasowałoby na tę okazję.

Amy zmrużyła oczy.

– A ja mam się domyślić, jak wygląda cała reszta? Jeśli najpierw nie usłyszę tego w głowie, będzie mi cholernie trudno wyobrazić sobie, jak ten kawałek wpasowuje się w całość.

Daniel przeklął się w myśli. Wybrał po prostu pierwszy z brzegu efektowny fragment

i nawet przez chwilę nie pomyślał, że ktoś go spyta o kontekst.

– Będzie dobrze – mruknął.

– Dobrze? – Nie kryła zaskoczenia. – Jak możesz napisać środek czegoś takiego i nawet nie wyobrażać sobie początku, nie wspominając już o zakończeniu? Nie rozumiem.

Massiter rozparł się w rogu łodzi.

– Muzyka albo głód, moja droga – rzekł. – Co wybieracie?

– Angole!

Podała nuty Danielowi i poprosiła, by przekładał dla niej strony, po czym wyjęła guarnera z futerału, wstała i po chwili skupienia zaczęła grać. Bogate, pełne tony smukłych skrzypiec rozbrzmiały, zagłuszając brzęczenie komarów. Massiter zupełnie znieruchomiał, przymknął oczy i słuchał. Muzyka zmroziła Danielowi krew w żyłach: dźwięk w porównaniu z tym, co wyobrażał sobie, przepisując nuty, zyskiwał nową głębię. Pasaż zaczynał się długim, powolnym, pełnym subtelnej dostojności lamentem i zaraz, po serii żywiołowych zwrotów, zaczął wznosić się wytrwale w górę skali, aż wpadł w furię szybkich, dumnych, mocnych dwudźwięków i tak dobiegł końca. Gdyby Daniel miał nazwać utwór jednym słowem, byłoby to, jak sądził, „zmartwychwstanie". Muzyka zaczynała się w krainie umarłych i wznosiła w równym tempie ku światu pełnemu życia, barwy i ruchu.

Amy usiadła, spojrzała na niego i spytała szczerze:

– Jak mi poszło? Mów prawdę. To twój utwór.

– Byłaś cudowna – wyjąkał. – Znakomita.

Pokręciła głową.

– O rety. Ten kawałek jest niesamowity, Danielu. Mogę sobie zatrzymać te nuty, żeby nad nimi popracować?

– Oczywiście.

– Trzymaj. Podpisz mi je. Jak kiedyś wpadnę w tarapaty, będę je mogła sprzedać.

Trzymał niezdarnie ręce na kolanach.

– Nie mam pióra.

Massiter przyglądał mu się jak jastrząb. Wyjął z kieszeni koszuli szylkretowe wieczne pióro i podał mu.

– Proszę – uśmiechnął się. – Weź moje.

Drżącą dłonią, pełen nienawiści do samego siebie, Daniel nabazgrał swoje nazwisko na pierwszej stronie.

– To było oszałamiające – rzekł Massiter. – Mówię o was obojgu. No, a teraz jedzmy.

Jak obiecał, kolacja była prawdziwą ucztą. Pochłonęli zawartość całego rzędu talerzyków, dzieląc się delikatesami. Jeżowce, kraby, krewetki i homary, pasta z kleksami atramentu kałamarnicy, podawany w całości piotrosz z widocznym odciskiem kciuka świętego Piotra na boku oraz raszpla, równie tłusta i słodka jak langustyny. Massiter rzucił kilka niepochlebnych uwag o białych winach z Veneto, po czym wybrał południowotyrolskie Alto Adige o mocnym krzemienistym smaku. Wypili dwie butelki, każdą z nich wieńcząc szklaneczką grappy. Rozmawiali o Wenecji, uniwersytetach i jedzeniu – o wszystkim poza muzyką, którą niedawno usłyszeli.

Po posiłku przespacerowali się do małej bazyliki. Massiter przekupił stróża, by ten wpuścił ich do środka i zapalił światła. Ich oczom ukazała się wskazana z dumą przez Anglika sławna mozaika przedstawiająca Sąd Ostateczny. Daniel był pod wrażeniem, gdy w rogu, dokładnie tam, gdzie zapowiedział Piero, ujrzał wizerunek małego psa, który mógł być przodkiem legendarnego Kserksesa, niezwykłego sternika i łowcy kaczek. Później, gdy na dobre zapadł już zmierzch, wyszli z bazyliki i zapatrzyli się w gwiazdy: był to idealny wieczór nad

laguną pod miękkim granatowym niebem.

Dozorca kręcił się w pobliżu z nadzieją na dodatkowy napiwek. Massiter zerknął na kampanilę i zaproponował, by wspiąć się na górę:

– Stamtąd światła Wenecji na horyzoncie będą do nas mrugać.

Amy siadła na starym kamiennym tronie przed bazyliką, westchnęła i powiedziała:

– Nie ma mowy, nie będę się wspinać tak wysoko. Ale wy idźcie śmiało. Poczekam tu na was.

Tak zrobili. Z latarkami w dłoniach weszli razem po krętych schodach na szczyt wieży. Z kampanili oglądali mały zamknięty świat laguny jak bogowie i mieli wrażenie, że gdyby wyciągnąć rękę, można by dotknąć każdego miejsca: pobliskiej wyspy Burano, leżących nieco dalej świateł Murano i San Michele oraz kościelnych wież odległego miasta.

Daniel wypił zbyt dużo wina, by się czymkolwiek przejmować. Uśmiechnął się do Massitera i podziękował mu. Mężczyzna wychylił się przez łukowato sklepione okno i zapatrzył w czerń wód. Następnie przemówił z nieoczekiwaną powagą w głosie:

– Jesteś narzędziem w rękach Scacchiego – powiedział. – Na pewno o tym wiesz, Danielu.

W jednej sekundzie jakby z nieba spadła na niego trzeźwość, a wraz z nią świadomość, że nie opuści tej wieży, dopóki nie wyjawi choćby cząstki prawdy.

– Nie rozumiem...

Massiter poklepał go lekko po ramieniu.

– Muzyka, chłopcze. To nie twój utwór. Nie ma takiej możliwości. Stary poluje. Czy wie, ile to może być warte?

Daniel milczał.

– Słuchaj, oczywiste jest, że nie ty to napisałeś. A rzecz może być znakomita. Powiedz mi więc, czego Scacchi chce, i się dogadamy.

– Nie wiem tego – odparł szczerze. – Tu nie chodzi o pieniądze.

– Chyba jednak chce dużo, skoro gra w takie gierki. Czemu po prostu nie podniesie słuchawki i nie porozmawia ze mną?

– On jest chory. Nie mam lepszego wyjaśnienia.

Massiter nachmurzył się.

– Tak, słyszałem. Biedny facet. No cóż... Więc o co może mu chodzić?

Daniel wziął głęboki oddech.

– To oryginalny kompozytorski zapis całego koncertu skrzypcowego. Trochę podobny do Vivaldiego, a jednak inny.

– Kto to napisał?

– Nie mam pojęcia. Jest opisany po prostu jako „Concerto Anonimo” i ma datę 1733, co plasuje go w czasach kariery Vivaldiego. Ale to nie może być on. Po co miałby komponować anonimowo?

Anglik popatrzył w gwiazdy.

– A gdzie tu haczyk? – zapytał wreszcie.

– Nie ma żadnego.

– Utwór należy do was? Nie jest kradziony? Znam się na gierkach Scacchiego.

– Znaleźliśmy go w jego własnym domu. Należy do niego. Myślę, że jest naprawdę znakomity. Nie zdawałem sobie zresztą sprawy, jak bardzo, dopóki nie usłyszałem wykonania Amy. Przyznaj, też to poczułeś, prawda?

Massiter się zaśmiał.

– No pewnie. Co za historia! To miasto nigdy nie przestanie mnie zaskakiwać.

– Kupisz go? – zapytał Daniel z nadzieją. – Jestem przekonany, że Scacchi da się namówić na szybką transakcję.

Hugo pokręcił głową.

– Cała sprawa jest naprawdę zabawna, ale mówiąc między nami, ile ten utwór może być wart? Zawsze można co prawda opłacić jakiegoś usłużnego doktorka, by doszukał się w tym kompozycji Vivaldiego, ale sam chyba rozumiesz, że sprawa wyszłaby na jaw. Scacchi mógłby pewnie dostać za to trochę grosza z uniwersytetu. Muzykolodzy byliby w siódmym niebie. Jednak to poniżej mojego progu zainteresowań.

Daniel nie wierzył własnym uszom.

– Przecież to cudowna muzyka! Sam tak powiedziałeś.

– Oczywiście! Scacchi może dojść do porozumienia z jakimś wydawcą i dostać procent za transkrypcję nut. Jednak jest pewien problem. Kompozytor, kimkolwiek był, od dawna nie żyje. Prawa autorskie do dzieła wygasły. Gdy tylko znajdzie się ono na uniwersytecie, każdy będzie mógł je wypożyczyć i zrobić własne wydanie na podstawie tych nut, nie płacąc nikomu ani pensa. I tak będzie, wierz mi. Nie ma czegoś takiego jak uczciwy naukowiec. Można z tego wyciągnąć dziesięć tysięcy dolarów od ręki i drugie tyle przez najbliższych pięć lat w odsetkach. Nic więcej.

Logika tego wywodu wydawała się niepodważalna.

– Nie ma innej możliwości? – zapytał Daniel.

Massiter uniósł latarkę i poświecił mu w twarz.

– Oczywiście, że jest. Widzisz, utwór nie jest tym, co chciałem kupić tego lata, o czym ty i Scacchi dobrze wiecie. Marzył mi się raczej jeden z tych dużych i pękatych guarnerów. Ale mogę zagrać i w taką grę. Tym, co trzeba zrobić, Danielu, jest użycie kamuflażu. Tak właśnie kręci się świat.

Noc robiła się coraz chłodniejsza. Chciałby już być na dole, lecz musiał wysłuchać Anglika. Scacchi rozpaczliwie potrzebował pieniędzy. Przy okazji była to też podniecająca przygoda i nowe doświadczenie. Chłopak chciał zagrać w tę grę też dla siebie, nie tylko przez wzgląd na potrzeby starego człowieka.

– Nie nadążam – powiedział.

Massiter westchnął, jakby rozmawiał z dzieckiem.

– Pomyśl. Nikt nie wie, kto jest autorem. Nikt tak naprawdę nie ma praw do utworu. Jeśli to upublicznić w takiej formie, będzie tyle warte, co kilka arkuszy starodawnego papieru. Zgadzasz się?

Daniel potaknął niepewnie.

– Tak więc – kontynuował Massiter – musimy zrobić z tego coś, co człowiek chciałby posiadać. Posiadać i sprzedać, jeśli taka jego wola. Sam udzieliłeś sobie odpowiedzi. Spytaj Amy. Ona wie, kto napisał ten koncert. Ty. – Pohukiwanie sowy zabrzmiało nad wieżą na czarnym niebie. Massiter ujął go pod ramię. – Posłuchaj. To bardzo proste. Jutro zamienię słówko z Fabozzim i oznajmię mu zmianę planu. Poproszę, żeby zawiesił bieżący program i skupił się na jednej pracy. Nowej. Skomponowanej przez cudowne dziecko, które wychynęło znikąd, niejakiego Daniela Forstera. Każdego dnia przepisujesz kawałek oryginału i zanosisz mu. Uczniowie ćwiczą twoje dzieło. A na finałowym koncercie po raz pierwszy przedstawiamy je światu. Pomyśl o rozgłosie! O poklasku! Zaczynasz lato jako studencik bez grosza przy duszy, kończysz w blasku sławy. Nie w roli bogacza, to prawda, ale czy kto się kiedy wzbogacił na muzyce?

– Ja nie jestem człowiekiem do takiej roboty, Hugo.

– Czego się boisz? Że prawdziwy autor się pojawi i będzie cię nawiedzał? Poza tym,

choćbyś już nigdy nie napisał ani jednej nuty, to będziesz miał piękny wpis w CV. Chociaż raz daj się ponieść zabawie, Danielu. Nie bądź takim sztywniakiem.

– To pewnie nielegalne...

– Och, dajże spokój. Czy kogoś okradasz? Nie autora. Nie ludzi, którzy będą płacić za płyty. Oni dostaną tę samą muzykę. Czy będzie inaczej brzmiała, jeśli na okładce pojawi się twoje nazwisko?

– Nie. Tyle tylko, że to...

– Niewłaściwe? – Massiter dokończył za niego.

– Tak – odparł, czując wstyd. Własna naiwność czasem go krępowała.

– Może. Ty i Scacchi musicie to sami osądzić. Jeśli o mnie chodzi, są tu tylko dwie możliwości. Albo pokazujecie dzieło światu i robicie na nim trochę grosza, albo oddajecie je za darmo. Daję wam wybór. Dla mnie to jest małe piwo, ale ta gra mnie bawi. Powiedzmy, że podpiszesz się pod dziełem, jak ci radzę. Wtedy ja zawieram z tobą poufną umowę, na mocy której otrzymam wszystkie przyszłe odsetki od tytułu. W zamian za to Scacchi dostanie, powiedzmy, pięćdziesiąt tysięcy dolarów teraz i drugie pięćdziesiąt pod koniec lata, kiedy wszyscy będą już z siebie bardzo zadowoleni. Sam ustalisz z nim swoją dolę. Potem wszystko należy do mnie – każdy grosz z procentów oraz sam manuskrypt. Gdyby sprawa wyszła na jaw, sytuacja byłaby bardzo niezręczna. Świetna propozycja. Całe ryzyko leży po mojej stronie, zaś mój zysk, nawet jeśli pomysł wypali, będzie minimalny. Tu chodzi o muzykę, Danielu, a na tym nikt nigdy nie zrobił prawdziwych pieniędzy. Nie powodują mną żadne egoistyczne interesy, rozumiesz to? Prawdę mówiąc, jestem po prostu filantropem z głębokimi kieszeniami. A więc co ty na to?

Na kwadratowej przestrzeni szczytowego piętra kampanili przez moment panowała cisza.

– Przemyśl to. – Szare oczy Massitera błyszczały w ciemnościach. – Jeśli się dogadamy, jutro Scacchi zaciśnie w swojej spoconej garści niezłą sumę. Przyznaj sam, że pokusa jest duża.

Daniel rozważał te możliwości. Przed nim falowała noc.

– Sto teraz, pięćdziesiąt potem – rzucił.

– Siedemdziesiąt teraz, pięćdziesiąt potem. Ani centa więcej.

Stary człowiek potrzebuje pieniędzy, powiedział sobie Daniel. Przecież to nie pójdzie na moje zachcianki.

– Umowa stoi – odparł. – O ile, rzecz jasna, Scacchi się zgodzi.

– Zgodzi się, zgodzi – rzekł Massiter uśmiechnięty od ucha do ucha. – Potrafi rozpoznać dobrą ofertę, gdy mu ją ktoś przedstawi.

Daniel uścisnął wyciągniętą dłoń Anglika i zdziwił się, że w przeciwieństwie do jego własnej jest ona zupełnie sucha i zimna jak kamień.

O Żydach 20

Instytucje mają reguły. Prowadzi je to do zguby. Getto nie jest tu wyjątkiem.

Rebeka opisała mi, jak doszło do powstania tego żydowskiego więzienia. Gdy władze Republiki Weneckiej zdecydowały się ponownie przyjąć Żydów do miasta, postawiły też pewne warunki. Jednym z nich było to, aby Żydzi trzymali się tylko niektórych zajęć, głównie bankowości. Mieli też mieszkać w wyznaczonym miejscu i zgodzić się na jego zamykanie każdego wieczora. W tym celu potrzebny był jakiegoś rodzaju bastion, wybrano więc wysepkę w dzielnicy Cannaregio, na której dawniej znajdowała się odlewnia żelaza określana mianem gheto, co pochodzi od terminu używanego na proces odlewania (wciąż nie wiem, skąd w nazwie wzięło się dodatkowe „t").

Oczywiście w Wenecji nic nie może być zbyt proste. Są tu więc, proszę bardzo, trzy rodzaje Żydów: aszkenazyjczycy przybyli z Niemiec, hiszpańscy sefardyjczycy oraz plemię pochodzące z Lewantu na wschodzie. Rebeka jest aszkenazyjką. Jej rodzina wywodzi się z Monachium, zbiegła jednak stamtąd, kiedy władze miasta oskarżyły Żydów o zatruwanie studni i roznoszenie zarazy. W Genewie, dokąd trafili, nie było dużo lepiej. Aszkenazyjczykom jako pierwszym pozwolono osiedlić się w Wenecji, lecz, szczęście w nieszczęściu, ufa się im najmniej. Sefardyjczycy, choć wciąż posługują się obok hebrajskiego i włoskiego innym, zupełnie odrębnym językiem, wydają się mieć w mieście pewne wpływy. Lewantyńczycy zachowują się niemalże jak prawdziwi obywatele Republiki – ponieważ większość z nich pochodzi z weneckich terytoriów takich jak Korfu czy Kreta, uważa się powszechnie, że dobrze służą państwu. I tak sefardyjczycy oraz lewantyńczycy mieszkają przeważnie we własnych, niedawno zbudowanych gettach, gdzie ograniczeń związanych z profesją przestrzega się mniej ściśle, aczkolwiek nakaz noszenia żółtych szarf i czerwonych chust wciąż obowiązuje, podobnie jak prawo przeciwko lichwie.

Rzecz jasna, nic o tym wszystkim wcześniej nie wiedziałem i sądziłem, że Żyd to po prostu Żyd. W rzeczywistości różnią się oni między sobą tak jak wszyscy inni ludzie. Mają swoje maniery, upodobania i antypatie, przesądy i dogmaty. Zapewne aszkenazyjczycy opowiadają sefardyjskie dowcipy, podobnie jak Wenecjanie wymyślają sprośne historyjki o *matti*, zwariowanych mieszkańcach Sant' Erasmo, wyspy pośrodku laguny, gdzie każdy, jak wieść niesie, jest drugiemu ojcem, matką, bratem lub siostrą. Tak mi się przynajmniej wydaje. W końcu wszyscy jesteśmy ludźmi.

Każda społeczność posiada własną synagogę – aszkenazyjczycy mają dziwną, łukowatą, drewnianą budowlę, o której już wcześniej wspominałem, umieszczoną obok i ponad domem Rebeki. Potrzeba przestrzeni mieszkalnej jest tak duża, że na ziemi nie starcza już miejsca na owe bożnice. Muszą być zatem konstruowane kilka pięter ponad labiryntami pokojów, w których gnieżdżą się mieszkańcy getta – niekiedy nawet po dziesięć osób na kwaterę. I jeszcze na tym

świątynia!

Jak udaje się Rebece i Jacopowi utrzymać własny pokój w tym żydowskim mrowisku? Zapewne pomaga jego pozycja lekarza, jest bowiem w mieście wielkie zapotrzebowanie na jego usługi, szczególnie gdy chodzi o choroby kobiece. W grę jednak, jak przypuszczam, wchodzi coś więcej. Rebeka i Jacopo różnią się od innych aszkenazyjczyków, których widuję na schodach podczas moich odwiedzin, a różnica ta nie wynika tylko z tego, że mieszkają w getcie zaledwie nieco ponad rok.

Większość mieszkańców getta życzy sobie jedynie więcej przestrzeni. Nie mają potrzeby wychodzić na zewnątrz w innym celu niż po to, by załatwić swoje interesy. Leviowie zaś, jak podejrzewam, mają większe ambicje. Dla nich prawdziwa droga do umocnienia własnej tożsamości wiąże się ze staraniem o wejście do społeczeństwa istniejącego poza trzema zwodzonymi mostami. Jest to pragnienie niemożliwe do zrealizowania, jak już wiesz, lecz przez to wcale nie mniej palące. Leviowie wyrażają również otwarcie sceptyczne poglądy względem własnej i innych religii, co jak przypuszczam, oddala ich od sąsiadów. Dzięki Bogu, że Żydzi na tyle są rozsądni, iż nie powołali inkwizycji i nie palą czarownic, bo gdyby tak było, Jacopo i Rebeka znaleźliby się zapewne na pierwszym miejscu listy. Powinnaś zobaczyć, jak barwa wstępuje na policzki Jacopa, gdy dowodzi on próżności modlitwy i palenia wotywnych świec w celu uzdrawiania chorych. Poniekąd ma chyba rację. Bo skąd niby świeca miałaby czerpać taką moc? A gdyby ją nawet posiadała, czemu jej działanie miałoby się ograniczać do wyznawców jednej tylko religii, a omijać pozostałych – protestantów, Żydów, Arabów i innych? Dla niego, przypuszczam, jeden jest tylko bóg: Nauka, wyniosła pani, bliska skądinąd alchemii, którą uprawiano w czasach i miejscach mniej oświeconych.

Wróćmy jednak do praw i ich oczywistych wad. Z getta nocą wyjść nie może nikt oprócz lekarzy (jakże praktycznym jesteśmy ludem, my, goje: gdy przychodzi ratować własne skóry, pozwalamy Żydom gnać nam z pomocą w każdej godzinie dnia i nocy). By wymknąć się na występ w La Piecie, Rebeka musi tylko przebrać się w obszerne szaty Jacopa i założyć na ramię jego żółtą opaskę, a wtedy ja przy bramie wzywam ją do nagłego przypadku. Zwodzony most opada. Zajmuję strażnika rozmową, by Rebeka nie musiała wypowiadać ani słowa, a gdy już znowu jesteśmy w mrocznym labiryncie zaułków miasta, zrzuca kostium i staje się panią skrzypaczką w drodze do kościoła. Tam olśniewa Vivaldiego oraz publikę, po czym na powrót przywdziewa przebranie, gdy odprowadzam ją do domu.

Korzystając z nieobecności Leona, który targował się właśnie w Ca' Dario z Delapole'em o to czy owo, pobiegłem do getta następnego ranka, by przedstawić mój plan. Rebeka słuchała z oczami błyszczącymi nadzieją. Grać za zakurzonymi ekranami La Piety to lepiej, niż nie grać wcale, zwłaszcza że zasłony znacznie zmniejszają ryzyko zdemaskowania.

Jacopo pokręcił głową i rzekł: „Za dużo naoglądałeś się komedii dell'arte, Lorenzo. To nie jest jakaś historyjka wyśniona w głowie dramaturga. To życie. I śmierć lub ruina, gdyby ktoś odkrył, jak bawimy się w kotka i myszkę nie tylko z państwem, lecz także z Kościołem. Tak w pałacu nad kanałem, jak w bazylice znajdą się mściwi ludzie".

„To jest Wenecja, Jacopo", odparłem z całą twardością i determinacją w głosie, jaką umiałem z siebie wykrzesać. „Świat plastyczny. Wszystko tutaj, łącznie z naszym życiem, przybierze taki kształt, jaki mu nadamy. Jeśli tego nie pojmujesz, możesz równie dobrze siedzieć zamknięty w getcie po wieki".

Spojrzał na mnie ostro, choć nie miał powodu. Może odezwałem się dość obcesowo, powiedziałem tylko samą prawdę. Na drodze każdego życia są rozstaje, chwile, w których trzeba podjąć decyzje ważące na całym dalszym losie, czy nam się to podoba, czy nie. Już samo obojętne przejście obok tych znaków naszego przeznaczenia stanowi podjęcie decyzji, i to takiej,

której niedługo potem się żałuje.

„Odważny jesteś, chłopcze, i masz serce we właściwym miejscu", oznajmił. „Ale czy chwila wieczornej rozrywki warta jest tego niebezpieczeństwa? Jeden fałszywy krok i zaraz do któregoś z tych wypolerowanych brązowych lwów, w których doża tak się lubuje, ktoś wrzuci zdradziecki liścik, a wówczas nim się obejrzymy, będziemy błagać o życie".

Rebeka, słysząc, jak się spieramy, ujęła nas obu za nadgarstki.

„Proszę, nie każcie mi podejmować decyzji za was. Nie mam prawa żądać czegokolwiek od żadnego z was".

Jacopo nachylił się i złożył na jej czole braterski pocałunek.

„Doprawdy, ujęłaś to jak dama, droga siostro. Powiedz mi więc, czy Vivaldi i ten jego kościół to sprawa warta ryzyka?".

Odsunęła się od niego, szukając słów, by to, co miała za chwilę powiedzieć, zabrzmiało możliwie łagodnie.

„Bracie, sam znasz już odpowiedź, bo czujesz to równie mocno jak ja. W ścianach tego kościoła jest życie!".

Jacopo Levi wpatrywał się we mnie badawczo w poszukiwaniu odpowiedzi. Nasza wspólna decyzja musiała opierać się na kwestiach wykraczających poza muzykę. Dla Rebeki godziny w La Piecie znaczyły wolność – tam nie była skrępowana przez wiążące ją kajdany płci i rasy. Jacopowi także udzielały się jej emocje, bowiem kochał swą siostrę najmocniej na świecie.

„Ja sam zaproponowałem takie rozwiązanie, Jacopo", rzekłem mu, „więc moje zdanie już znasz".

„No tak", odparł z ociąganiem, „więc wszystko zależy ode mnie. Cóż...".

Rebeka patrzyła na brata i starała się nie dać po sobie poznać, jak bardzo jej zależy.

„Nie ma pośpiechu, Jacopo", powiedziała miękko.

„Pośpiech?", zdziwił się. „A czy jutro rzeczy przybiorą inny obrót?".

Żadne z nas nie odpowiedziało. Jacopo sięgnął ku nam i chwycił nas oboje za ręce. Ujęliśmy się wszyscy za nadgarstki serdecznym, pokrzepiającym gestem, a później Rebeka ze łzami wzbierającymi w oczach uwolniła swą rękę, zdjęła z szyi łańcuszek i delikatnie założyła mi go przez głowę. Dotknąłem wisiorka, który był na nim – małego sześcioramiennego kształtu przypominającego dwa trójkąty złożone jeden na drugim, który Żydzi nazywają gwiazdą Dawida.

„Dobrym byłbym Żydem?", spytałem, czując, jak rożki gwiazdy wbijają mi się w skórę, i zastanawiając się, ile żydowskich szyi ten łańcuszek wcześniej otaczał.

„Nie ma czegoś takiego jak dobry Żyd czy dobry goj", stwierdził Jacopo. „Są tylko dobrzy ludzie. Póki świat tego nie pojmie, będzie nieszczęsnym miejscem".

„Amen!", rzuciłem bez zastanowienia i wszystkich nas sparaliżował atak chichotu.

Trzecia możliwość 21

Na prośbę Daniela zebrali się przy stole w salonie o dziewiątej. Laura położyła przed mężczyznami talerz pełen ciastek i postawiła filiżanki macchiato. Następnie sama usiadła w milczeniu i zaczęła popijać sok pomarańczowy. Wydawała się zatroskana, lecz Daniel nie wiedział czemu. Wypił swoją kawę dwoma długimi łykami i zdał sobie sprawę, że szybko uzależnia się od tego napoju plasującego się gdzieś między ostrą krótką szprycą espresso a szklanicą mlecznego cappuccino. Uzależnienie to było częścią procesu asymilacji. Czasem przyłapywał się na tym, że zaczyna myśleć po włosku.

Opisał wydarzenia z poprzedniego wieczora i przekazał ofertę Massitera. Gdy skończył omawiać jego warunki, Scacchi gwizdnął – był to osobliwy dźwięk powietrza przeciskającego się przez szpary między jego sztucznymi zębami. Daniel zauważył, że skóra starego człowieka ma tego ranka wyjątkowo żółty odcień.

– Pozwoliłeś tej dziewczynie zagrać utwór? – zapytała Laura. – Dlaczego? Czy ona niby lepiej gra od ciebie?

– Tak. Dużo lepiej. Według Fabozziego to najlepsza skrzypaczka w całej szkole.

– A gdybyś ty zagrał, Massiter nigdy by nie docenił tego kawałka?

Daniel nie umiał stwierdzić, czy krytykuje go, czy nie.

– Trudno powiedzieć.

– To mogliśmy równie dobrze iść do Massitera i podać mu utwór na tacy – zauważyła.

Scacchi rozłamał croissanta na pół i włożył do ust mały kęs.

– On daje dobrą cenę, Lauro. Wyobrażałem sobie, że najpierw rozpuścimy trochę plotek, które zrobią zamieszanie wokół dzieła, a potem ustawimy kupców przeciw sobie. Ale akurat o tych rzeczach Massiter wie więcej ode mnie. Trudno podważyć logikę jego rozumowania. Co więcej, nawet gdyby nam się udało, minęłyby całe lata, zanim zarobilibyśmy na utworze tyle, ile on gotów jest wyłożyć od ręki.

Zielone oczy dziewczyny otwarły się szeroko.

– Ale on nakłania was, żebyście popełnili oszustwo!

Scacchi pokręcił głową.

– To bardzo wąski punkt widzenia, moja droga. Mocą *thesauri inventio*, czyli prawa do posiadania przedmiotu znalezionego na własnej ziemi, dzieło należy w pełni do mnie i to daje mi także prawo do decyzji, w jaki sposób je upublicznię.

Zamachała rękami, wyrzuciła z siebie złożone weneckie przekleństwo i zwróciła się do Daniela:

– Nawet tego nie rozważaj, błagam cię! Wiem, wydaje ci się, że to wielka przygoda, w której wszyscy bierzemy udział, ale to także przestępstwo i ty na pewno zdajesz sobie z tego

sprawę.

– Nie sądziłem, że masz takie zdolności prawnicze – zauważył kwaśno Scacchi.

Daniel próbował odczytać wyraz jej twarzy. Nie był to gniew, lecz troska, troska o nich wszystkich.

– Jestem już na tyle duży, by samemu podejmować decyzje – odparł, licząc, że w ten sposób wyciszy spór.

– Tak mówią wszystkie dzieci – powiedziała ponuro Laura, wciąż się w niego wpatrując.

Scacchi postukał ręką w stół, jakby chciał zaprowadzić porządek.

– Nie proszę o nic więcej jak tylko drobne kłamstewko.

Paul pokręcił głową.

– Daj spokój, Scacchi. Jeśli Daniel się pod tym podpisze, będziemy robić ludzi w konia. Kropka.

– Będą tylko płacić dobrą cenę za wspaniałe dzieło sztuki – nalegał starzec. – Nie wiemy też wcale, czy pierwszy prawowity właściciel tego utworu nie pozostawił go w tym właśnie celu, żeby znalazca, kimkolwiek by był, mógł się na nim wzbogacić.

– Nie wiemy także, czy od początku nie był kradziony – sprzeciwił się Paul.

Arturo był nieporuszony.

– To nie ma znaczenia. A czy po tym, jak Massiter przedstawił nam wszystkie fakty, widzisz jakąkolwiek lukę w jego rozumowaniu? Bez praw autorskich będzie można na tym zarobić najwyżej parę groszy.

Paul westchnął.

– Może i tak. Masz rację co do praw autorskich. Na tym kawałku przez lata nie zarobimy tyle, ile daje Massiter.

– No właśnie – obwieścił Scacchi z triumfalnym spojrzeniem. – A więc postanowione.

– Co takiego niby jest postanowione? – wtrąciła się Laura. – Nawet nie spytaliście Daniela o zdanie. Zakładacie z góry, że on zgodzi się na ten żałosny pomysł.

– Daniel! – rzekł Scacchi. – To twój wybór. Oczywiście potraktuję cię uczciwie. Powiedzmy, dziesięć procent. Z wypłatą pod koniec sezonu, kiedy Massiter wpłaci drugą ratę.

Chłopak jednak pokręcił głową.

– No to piętnaście. Na pewno się dogadamy.

– Ja nie chcę twoich pieniędzy! Ani centa. Byłeś już dla mnie wystarczająco hojny.

Laura z niedowierzania przewróciła oczami.

– Danielu, nie udawaj, że kieruje tobą tylko wdzięczność. Może częściowo tak jest, ale ja myślę, że ty wciąż grasz w swojej głowie w jakąś romantyczną grę. A to nie jest bajka dla dzieci. To, co on ci proponuje, zrobi z ciebie przestępcę, niezależnie od tego, czy cię złapią, czy nie.

– To chyba jednak pewna przesada.

Rozjarzyły jej się oczy.

– Naprawdę? A co by na to powiedziała twoja matka, gdyby tu była?

– Nie znałaś mojej matki. Nie masz pojęcia, co by powiedziała.

– Ale znam jej syna. Nie byłby tym, kim jest, gdyby ona sama nie potrafiła odróżnić dobra od zła. Wiem też...

– Lauro! – warknął gniewnie Scacchi. – Dosyć tego. On jeszcze nawet nie wyraził zgody.

– Wcale nie musi. Widzę to po jego twarzy.

Starzec nachmurzył się.

– Decyzja należy całkowicie do ciebie, mój chłopcze. Jeśli jest jeszcze coś, czego chcesz, powiedz.

Daniel milczał, rozmyślając, jak zapalczywa i pełna emocji jest ta rozmowa. W jego

domu w Anglii rzadko kiedy dochodziło do sprzeczek i nikt nie mówił podniesionym tonem. W głosach brzmiało tylko znużenie, a pod koniec – wszechobecna rozpacz. Wenecję wyobrażał sobie właśnie w ten sposób: kolorowy świat, żywy i pełen czarującej niepewności tego, co przyniesie nowy dzień.

– Nie chcę już niczego. Jeśli się zgodzę, to dlatego, by wyświadczyć ci przysługę.

Na te słowa Laura zawołała:

– Daniel! Jeśli podpiszesz się pod tym... tym niby-cudem, ludzie okrzykną cię kłamcą jeszcze przed końcem lata. Będą się domagać kolejnych kompozycji, a ty nie będziesz ich miał.

– Już o tym myślałem – odparł. – Powiem, że ten koncert wyczerpał moją twórczą energię, a ja nie chcę wymuszać z siebie średnich utworów, tylko czekam na kolejny przypływ natchnienia. Lecz on nigdy nie nadejdzie. Za pięć lat będę jednym z wielu obiecujących niespełnionych twórców, nikim więcej.

– W sumie – ożywił się nagle Paul – to ma sens. Cudowne dzieci zwykle komponują najwyżej kilka genialnych kawałków, i tyle. Szkoda, że ludzie nie zdają sobie z tego sprawy.

Laura popatrzyła z niedowierzaniem na całą trójkę.

– Wy naprawdę chcecie to zrobić! Nie mogę w to uwierzyć. A może byś tak wyjaśnił Danielowi, Scacchi, w jakim celu tak naprawdę ma brać udział w tym całym oszustwie, zanim wyjdzie paradować jako książę łgarstw. Bo ja, zabij mnie, nie wiem.

Starzec najeżył się.

– I uważasz, że to jest twój interes?

– Uważam, że jesteście wszyscy moimi przyjaciółmi – odrzekła.

– Zrobi to, bo tak chce – powiedział ostrożnie Scacchi. – Tylko i wyłącznie pod tym warunkiem pozwolę, by rzecz doszła do skutku. W dodatku wszystko będziemy załatwiać na dystans. W tym domu nigdy dotąd nie gościłem Massitera i nigdy gościł nie będę. Daniel zostanie naszym pośrednikiem i załatwi z nim wszystko w innym miejscu.

– Ale dlaczego? – domagała się odpowiedzi z furią w głosie. – Po co ci te pieniądze? Do tej pory radziliśmy sobie jakoś i nie spotkała nas żadna nagła katastrofa. Dlaczego teraz?

Wpatrywał się w nią wzrokiem jakby specjalnie wyzutym z uczuć i wyglądało na to, że przygotowuje się, by powiedzieć coś, czego wolałby nie mówić.

– No więc? – dopytywała się.

Pchnął ku niej po blacie filiżankę, po czym założył ramiona.

– Lauro – zaczął powoli – przez te wszystkie lata, gdy byłaś częścią mojego domu, pokochałem cię szczerze i mam nadzieję, że i ty odwzajemniasz jakąś cząstkę tego uczucia. Jesteś trwałym punktem oparcia w tym gasnącym życiu, które wiedziemy wraz z Paulem. Gdyby ciebie brakło, bylibyśmy zupełnie zagubieni i pozbawieni wspaniałej przyjaciółki. Nigdy nie będę umiał w pełni wyrazić swojej wdzięczności wobec ciebie.

Patrzyła na niego pustym wzrokiem, jakby nigdy wcześniej nie słyszała nic podobnego.

– Niemniej – ciągnął – jesteś w tym domu służącą. Zatrudniam cię, byś wykonywała nasze polecenia. Nie należy do twoich zadań instruować nas, jak mamy prowadzić nasze interesy. Są sprawy, które nie powinny cię w żaden sposób obchodzić, a myśl, że jest inaczej, to z twojej strony bezczelność. Gdy tylko będę potrzebować twojej opinii, to, bądź spokojna, zapytam cię o nią, a odpowiedzi wysłucham z najwyższą uwagą. Teraz jednak proszę o sprzątnięcie ze stołu. Kawa już dawno wystygła, talerze są brudne. Później życzyłbym sobie, byś poszła na targ rybny i kupiła trochę świeżych kalmarów. Mam akurat na nie apetyt, a nikt nie potrafi lepiej przyrządzić ośmiornicy niż ty. Ruszaj więc! I koniec tych wszystkich bzdur!

Po policzkach nagle pociekły jej łzy, choć w oczach płonęła furia. Podniosła się, wolno podeszła do każdego z nich i zebrała resztki po śniadaniu, po czym bez słowa opuściła pokój.

Daniel słuchał, jak schodzi po schodach. Gdy dobiegł go trzask zamykanych kuchennych drzwi, zwrócił się z gniewem do starca:

– Scacchi! Odwołuję wszystko, co powiedziałem. Nie będę wypełniał twojej woli, skoro każesz mi tolerować takie okrucieństwo. Ona nie zasłużyła na podobne traktowanie, to z twojej strony niewłaściwe. Jak mogłeś w ogóle...

Paul uniósł się i poklepał go w ramię.

– Chłopcze, on rozumie to lepiej niż ty. Wcale nie musisz tego mówić. Nie wiem jak wy, ale ja idę nalać sobie drinka.

Scacchi siedział cichy, pogrążony w smutku, ze łzami w oczach. Daniel nagle poczuł do siebie odrazę za ten wybuch adrenaliny spowodowany nieoczekiwanym zaognieniem dyskusji.

Paul podszedł do barku, wziął napoczętą butelkę whisky Glenmorangie i wrócił do stołu z trzema szklaneczkami. Chłopak swoją nakrył dłonią.

– Domagam się wyjaśnienia.

Sącząc whisky, usłyszeli trzask zamykanych drzwi wejściowych.

– Więc je dostaniesz – powiedział Scacchi. – Najlepsze, na jakie mnie stać.

Wziął zbyt duży łyk mocnego trunku i zakaszlał. Paul poklepał go w plecy. Dwaj mężczyźni wydawali się bardzo delikatni, jakby od każdego gwałtownego ruchu mogły popękać im kości.

– Musisz pójść do lekarza. Obaj musicie – odezwał się Daniel.

– To nie jest sprawa dla lekarzy – odparł Scacchi. – Tobie i Laurze tak się wydaje i cieszę się z tego. Zrozum, Danielu, znienawidziłem się za każde wypowiedziane do niej słowo. Laura jest dla mnie, starego głupca, niemalże córką. Gdyby nie ona, pewnie bym już nie żył. Ale w pewne sprawy nie mogę jej mieszać, i to właśnie jedna z nich. Nigdy, przenigdy nie wolno ci pisnąć słówka o tym, co ci teraz powiem. Przysięgnij. Niech ona myśli, że wszystko to robimy po to, by kupić jakiś znachorski eliksir, który wypłucze nam tę gorzką trutkę z żył i znów będziemy cieszyć się tym, co nam zostało z życia. Nie może być niczego świadoma.

– To nie fair – rzekł Daniel. – Chcesz, żebym związał się przysięgą, nie wiedząc nic o jej konsekwencjach.

– Nie ma tu nic, co mogłoby jej w jakikolwiek sposób zaszkodzić. Wręcz przeciwnie. Szukam dla nas wszystkich najlepszego rozwiązania. Więc?

Daniel milczał.

– Do diabła z tym – mruknął Paul. – Powiedzmy mu i tak. To proste, jesteśmy bankrutami. *In crapola profunda*.

– Tyle już wiem – odpowiedział chłopak.

– Nie – Scacchi uśmiechnął się ironicznie. – Ty myślisz, że mamy mało pieniędzy. A to trochę poważniejsza sprawa. Pięć lat temu, kiedy zdiagnozowali u nas tę cholerną chorobę, nie sądziłem, że będziemy żyć tak długo. Myślałem tylko, jak wykorzystać ten krótki czas, który przede mną pozostał. Poszedłem do banku i próbowałem zastawić dom. Zaproponowali mi obraźliwą sumę, więc, jak ten dureń, postąpiłem po dżentelmeńsku i porozmawiałem z „ludźmi na poziomie". Wiesz, kogo mam na myśli?

Może być tylko jedno wyjaśnienie, pomyślał Daniel.

– Mafiosów?

– To chwytliwa dziennikarska nazwa. Ja jej raczej nie używam. Ale o to mniej więcej chodzi. Warunki umowy były bardzo dobre. Jednak kary za brak spłaty...

Paul nalał sobie kolejną szklaneczkę i nie patrząc na żadnego z nich, rzucił:

– Powiedz mu.

Scacchi jęknął, jakby z rozpaczy nad własną głupotą.

– W październiku mija termin spłaty. Od czasu, gdy zawarłem z nimi umowę, ceny nieruchomości w tej okolicy spadły, a w dodatku Ca' Scacchi wymaga pilnego remontu. Licząc wraz z odsetkami, różnica między wielkością mojego kapitału a sumą, którą mam spłacić, wynosi około ćwierć miliona dolarów. Żaden z nas nie spodziewał się, że dożyjemy chwili spłaty. Ubezpieczenie po naszej śmierci oraz sprzedaż domu miało dać łącznie sumę, z której będzie można oddać dług i dużą część zostawić dla Laury. Tak się jednak nie stało. Jeśli nie zwrócę im pieniędzy, zabiją mnie, czego akurat nikt, poza moim kochanym naiwnym Paulem, nie będzie żałował.

– Laura miałaby chyba inne zdanie na ten temat – powiedział Daniel zdumiony. – Ja zresztą także.

– Myślę, że nie znacie nas tak dobrze, jak wam się wydaje – oznajmił Scacchi. – Proszę, wysłuchaj mnie do końca. Kilka tygodni przed zabiciem mnie, zabiją Laurę, ponieważ uznają, że jej niezawiniona śmierć wymusi moją współpracę. Jeśli to zawiedzie, następnie zamordują Paula, który jest winny o tyle, że był stroną w umowie. Ci ludzie to przede wszystkim biznesmeni. Mordercami stają się tylko wtedy, gdy zmuszają ich do tego okoliczności. Oni myślą praktycznie. Chodzi im o zwrot długu, a nie o zemstę, ale obawiam się, że nie odejdą bez jednego albo drugiego. Ja...

Głos starca załamał się. Scacchi przyłożył dłoń do ust. Paul zabrał jego szklaneczkę, podszedł do barku i przyniósł kubek wody oraz tabletki, które starzec łapczywie połknął.

– Musisz iść na policję! – zawołał Daniel. – Pomów z tą kobietą, która tutaj była. Natychmiast!

Mężczyzna wzruszył kruchymi ramionami.

– Och, Danielu... Twoja niewinność jest czasem wzruszająca. To są Włochy. Policja na pewno rozpoczęłaby śledztwo. Ciągnęliby je dopóty, dopóki nie znużyłoby ich przesłuchiwanie trupów. Wierzę w uczciwość tej policjantki, ale ona porozmawia z kimś, kto uczciwy nie jest. Ludzie, o których mówimy, są dla pewnych policjantów jak członkowie rodziny. Pójść z tym do władz... Nie przeżylibyśmy tygodnia nawet w więzieniu.

– Przemyśleliśmy każdą możliwość – dodał Paul – wierz mi.

– I co teraz?

– Poszukujemy – powiedział wolno Scacchi – kreatywnego rozwiązania.

– Masz na myśli pieniądze za koncert?

– Nie. Tyle nie wystarczy. Ale może to być nasze ziarno. Z niego wyrośnie plon, którego potrzebujemy.

– Tak szybko? – zdziwił się Daniel.

– O, tak. Jestem zawodowym handlarzem dziełami sztuki. Mam powiązania. Na rynku w rękach pewnego głupca znajduje się przedmiot, którego wartości on nie zna. O tym właśnie mówił Massiter: Giuseppe del Gesù. Chodzi dokładnie o ten instrument. Tyle że ja wiem, gdzie on jest i ile za niego wytargować. Między tą sumą a prawdziwą wartością instrumentu znajduje się rozwiązanie naszych problemów. Z twoją pomocą zdobędziemy go i sprzedamy za największą możliwą sumę.

– Jesteście co prawda chorzy – odparł Daniel – ale możecie chodzić. Możecie sami załatwiać interesy. Wasze mózgi działają równie sprawnie jak każdego człowieka.

– To prawda – zgodził się Scacchi.

– A co do guarnera – chłopak mówił dalej – zapewne jest kradziony. W przeciwnym razie ten „głupiec", który go posiada, znałby jego prawdziwą wartość.

Scacchi zawahał się, zanim odpowiedział.

– Tak. Powiedzmy, że jest kradziony.

– Szukasz go, a policjantka o tym wie i dlatego się tu zjawiła?

Scacchi skrzywił się.

– Będę z tobą szczery. Ona wie, że na rynku coś jest, ale nie wie co. A kim my jesteśmy, by pouczać policję?

– I to właśnie przede wszystkim z tego powodu zaprosiłeś mnie tutaj? Nie z powodu biblioteki? Już od jakiegoś czasu wiedziałeś o skrzypcach i znalazłeś mnie, żebym przetarł ci do nich drogę.

Scacchi przemyślał ostrożnie swoją odpowiedź.

– Nic nie było tak ściśle zaplanowane. Przyznaję, taki pomysł zaświtał mi w głowie, ale nie zamierzałem go wprowadzać w życie, jeśli nie będzie to konieczne. Prawda, Paul?

Amerykanin uśmiechnął się. Daniel pomyślał, że obaj mężczyźni z zadowoleniem przyjęli tę rozmowę kończącą wszelkie podchody.

– Tak, Scacchi. Słuchaj, Danielu, przepraszamy. Zamierzaliśmy ściągnąć sobie tępawego dzieciaka z uniwerku, który pomoże nam sprzedać trochę śmiecia z piwnicy, a potem, jakby się poszczęściło, załatwi dla nas po cichu sprawę z tym człowiekiem sprzedającym skrzypce. Nie przypuszczaliśmy, że dasz się lubić. Ani że będziesz bystry.

– Ani że staniesz się częścią naszej grupy – dodał starzec – tak szybko i tak niezawodnie.

– Sam powiedz – powiedział Paul – cholerne z nas skurczybyki. Jesteśmy żałośni i nędzni, cała wina leży po naszej stronie, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. I niech mnie piekło pochłonie, jeśli jeszcze kiedyś się do tego głośno przyznam.

Daniel zaśmiał się i pozwolił Paulowi nalać sobie odrobinę whisky.

– Potrzebujemy cię – dodał Amerykanin. – Moglibyśmy próbować załatwić to sami. Gdybyśmy akurat mieli dobry dzień, może by się nawet udało. Ale... – Gestem wskazał siebie i Scacchiego. – Sam widzisz.

Starzec nachylił się i spojrzał Danielowi w oczy.

– To gra dla młodego sprawnego człowieka. Tu spotkanie, tam przesyłka... Ryzyko jest minimalne i gdy tylko będzie to możliwe, weźmiemy je na siebie. Lecz jeśli nie będę mógł na tobie polegać w związku ze sprawą autorstwa utworu albo przy okazji spotkania z człowiekiem od guarnera, byś na własne oczy zobaczył ten instrument i upewnił się, że on nas nie chce oszukać, to jesteśmy zgubieni, Danielu. Zapłacę ci za twoje poświęcenie. Podaj sumę.

Zapadło milczenie.

– Przemyśl to – rzekł Scacchi. – Nie zastanawiaj się jednak zbyt długo. Massiter czeka na odpowiedź.

– Przemyślę.

– To dobrze. Widzisz, próbowałem ci wszystko powiedzieć. Pokazałem ci tego mojego przystojniaczka Lucyfera. Jestem do niego podobny, nie sądzisz?

– Prawdę mówiąc, nie, Scacchi.

– Jak uważasz. Tak czy inaczej, pamiętaj, co ci mówiłem. Gdy diabeł składa propozycję, masz tylko trzy możliwości. Zrobić, co każe. To, czego wymaga „dobro”. Albo to, co sam chcesz.

– Pamiętam.

Daniel spojrzał na zegarek. Właśnie minęła dziesiąta. Nad decyzją tak naprawdę w ogóle nie musiał się zastanawiać. Odmówić, znaczyło opuścić ich, a on został już kiedyś opuszczony – w kołysce przez ojca, którego nigdy nie poznał. Gdy zrozumiał, jak straszne to było z jego strony, uświadomił sobie, że porzucenie kogoś na pastwę losu to jeden z najcięższych grzechów przeciw bliźniemu. Chodziło też o sprawy osobiste. Ponury świat Oksfordu został milion mil stąd. Daniel po raz pierwszy w życiu czuł, że kształtuje rzeczywistość wokół siebie, a nie tylko

przygląda się jej powolnemu rozpadowi.

– Będę potrzebował komputera z jakimś oprogramowaniem muzycznym. Nie przepiszę przecież tego wszystkiego ręcznie.

Scacchi popatrzył na Paula podekscytowany.

– Co ty na to?

– Znam jednego faceta na uniwersytecie – powiedział Paul. – Zrobi się.

– Dobrze. Moja zgoda zależy oczywiście od tego, czy dogadamy się co do ceny.

Mężczyźni poruszyli się nerwowo na krzesłach.

– To znaczy?

– Żadnych więcej tajemnic. Żadnych oszustw. Będziecie wobec mnie zawsze uczciwi, inaczej uznam, że wszystko między nami, w tym nasza przyjaźń, było łgarstwem. Co więcej, macie też znaleźć sposób na to, by Laura znowu była wesoła, co leży w interesie nas wszystkich.

Scacchi nachylił się nad stołem i uścisnął jego dłoń z twarzą rozpromienioną radosnym uśmiechem.

– Będziemy zawsze szczerzy. A co do Laury, nic nie sprawi mi większej przyjemności. Jesteśmy wenecjanami, Danielu. Nawykliśmy do małych eksplozji raz na jakiś czas.

– Całkowita szczerość – powiedział Paul. – A teraz zadzwonię w sprawie tego komputera.

Amerykanin poszedł do studia. Scacchi pozostał przy stole zamyślony i chyba wciąż jeszcze dręczony poczuciem winy.

– Dziękuję ci w imieniu nas wszystkich – rzekł. – Szczególnie mojej niewinnej Laury.

– To zmienia moje uczucia wobec ciebie – oznajmił Daniel.

– Rozumiem to. Czujesz się zawiedziony. Oszukany. Masz po temu dobre powody.

– Bardzo dobre.

– Ale jak stwierdził Paul – dodał Scacchi – jest w tym też trochę twojej winy. Gdybyś był tym naiwnym szczeniakiem, którego sobie wyobrażaliśmy, żadna z tych trudnych rozmów nie miałaby miejsca. Wpadłbyś do Wenecji i wyjechał, o niczym nie wiedząc.

– A ty byś przegrał. Nigdy nie nadarzyłaby się okazja na układ z Massiterem. Zdaje mi się, że tak naprawdę nie jesteś zbyt dobry w tych gierkach.

Starzec przytaknął, z uśmiechem przyjmując to spostrzeżenie.

– Zgadza się. Ty natomiast zdumiewająco szybko rozwijasz w sobie wielki talent do intryg.

Zaśmiali się obaj. Sztorm ucichł.

– No dobrze, a teraz przejdźmy do ważniejszych kwestii. W niedzielę Piero zabiera nas wszystkich na piknik na Sant' Erasmo. Będziesz honorowym gościem trójki dziwaków z Ca' Scacchi. Weź z sobą tę Amerykaneczkę. Wszyscy chcielibyśmy ją poznać.

– Amy? – Pomysł jakoś do niego nie przemówił. – Raczej nie. Prawie jej nie znam.

– To tylko jeszcze jeden powód, by ją zaprosić.

– Nawet nie jestem pewny, czy ją lubię.

Scacchi spojrzał na niego z ukosa.

– Danielu. Przyjmij moją radę, proszę. Musisz mieć szersze towarzystwo, niż ten dom może ci dać. Nie dławmy się tu wzajemnie. Taka jest natura starych, że pożerają młodych, kiedy tylko nadarzy się okazja. Musisz zrobić, co w twojej mocy, by uniknąć naszych bezzębnych paszcz.

Daniel wyobraził sobie Amy Hartston, jak siedzi w swojej eleganckiej sukni na Sophii z Kserksesem u steru. Piero opowiada jakieś bzdury, Scacchi siedzi w ramionach Paula, a Laura rozlewa spritz i syczy przez zęby: *'Ave a nice day*.

– Nie mogę się doczekać – mruknął skołowany.

Rebeka dostaje prezent 22

Komplikacje! Komplikacje! Jeszcze przed pierwszym wieczornym koncertem, gdy zdenerwowani szykowaliśmy się, by wprowadzić w życie nasz plan, okazało się, droga siostro, że mój wuj wplątał nas w sieci swojej intrygi. Wciąż trwają negocjacje z Delapole'em. Leo zażyczył sobie,byśmy towarzyszyli Anglikowi w spacerze łodzią po lagunie i na Torcello wraz z grupką muzykantek z La Piety (i Rebeką wśród nich), które będą dostarczać rozrywki.

Cudaczna była z nas kompania: Delapole bez ustanku uśmiechał się pobłażliwie i rozdawał monety na prawo, lewo i w środek – wioślarzom, skrzypaczkom, każdemu poza Leonem. Gobbo ubrany w lśniące fatałaszki wyglądał jak pawian cyrkowca. Rousseau paplał do wszystkich wokoło, wciąż mając nadzieję na zatrudnienie. Rebeka bez czerwonej chusty poczuła się dość odważna, by samodzielnie dotrzeć na nasze spotkanie, i dołączyła do trzech innych skrzypaczek, prostych dziewczyn, które sprawiały takie wrażenie, jakby rzadko widywały dzienne światło. Rzuciła mi porozumiewawcze spojrzenie, po czym utkwiła wzrok w falach. Oboje wiedzieliśmy, że w grupie takiej jak ta najlepiej będzie naszą znajomość utrzymać w tajemnicy.

Letni upał zelżał, gdy skif minął dzielnicę San Marco i wypłynął na wody laguny. Powietrze było niezwykle klarowne. Na zachodzie leżały pokryte czapami śniegu góry, na północy Torcello, zaś na wschodzie równa modra płaszczyzna Adriatyku prawie nieskażonego falą, jakby sam ocean oddawał się popołudniowej drzemce.

Gdy tylko odbiliśmy od małego molo przy Ca' Dario, muzykantki zagrały jeden z mniej znaczących utworów Vivaldiego. Po co się trudziły, tego nie wiem, bowiem prawie każdy na pokładzie zagłuszał je rozmową, jakby były tylko dekoracją. Rudy Ksiądz doznałby apopleksji, gdyby to zobaczył.

Miasto oddaliło się. Grupka skrzypaczek grała niestrudzenie, czerwone wino z Veneto płynęło szczodrze, a towarzystwo z rumieńcami na twarzach porozkładało się na poduszkach na rufie. Delapole nie mógł oderwać oczu od dziewcząt, szczególnie od Rebeki. Dziwi mnie, że Anglik, przystojny, dający się lubić jegomość w kwiecie wieku, nie ma żadnej kobiety. Choć może ma, lecz ukrywa ją przed nami. Albo nosi w sobie sekret podobny do smutnej tajemnicy Edypa. Jednak nie tylko on wybałuszał oczy. Również wuj Leo otwarcie podziwiał Rebekę ze spojrzeniem niemalże lubieżnym.

Około trzeciej wpłynęliśmy w wąski kanał wiodący do serca wyspy. Kapitan skierował dziób łodzi na wysoką wieżę bazyliki. Torcello było poprzednią stolicą Republiki, lecz straciło swą pozycję wskutek malarycznej natury bagien. Teraz mieszka tam garstka chłopów i starzejących się duchownych, którzy usiłują naciągnąć odwiedzających na dukata lub dwa.

Przybiliśmy do brzegu obok bazyliki i ruszyliśmy ku niej całą grupą. Rebece w przebraniu gojki nikt nie bronił wstępu do świątyni, lecz nie zabawiła tam długo, i rozumiem

dlaczego. Zachodnią ścianę pokrywa wielka mozaika przedstawiająca Sąd Ostateczny. Rzecz jest spektakularna i miejscowi pewnie dygoczą ze strachu za każdym razem, gdy ją oglądają. Gromada zezowatych diabłów uwija się, spychając grzeszników w czeluście piekieł, a wraz z nimi istoty wszelkich ras na ziemi, które nie mają bladych twarzy i nie są chrześcijanami. Rebeka popatrzyła na wszystkich tych Saracenów i Maurów idących na zatracenie tylko dlatego, że zrządzeniem losu urodzili się inni, po czym przeprosiła i wyszła na zewnątrz. Gdy odczekawszy stosowną chwilę, podążyłem za nią, ujrzałem ją na olbrzymim tronie wykutym w kamieniu. Miejscowa babina chowała w mieszek monetę, której zażądała w zamian za umożliwienie jej tej wątpliwej przyjemności.

„Czy ty wiesz, co to jest, Lorenzo?".

„Wygląda na jeden z tych spękanych rzymskich kamieni, jakich wszędzie pełno".

„Nie bądź tak cyniczny. Ta dobra pani mówi, że jest to ni mniej, ni więcej tron Attyli!".

„Hmm. A mnie się dotąd zdawało, że Hunom nigdy nie udało się podbić Italii".

„Może to łup wojenny?".

Bardzo była poruszona myślą, że tron spowija mgła historii, a ja nie miałem serca wyjawić jej prawdy, iż jest to jeszcze jedno oszustwo, spreparowane, aby przyciągnąć turystów.

„Być może".

„Ha!". Machnęła ręką w powietrzu. „Czuję, jak moc tego kamienia wpływa do moich żył! Drżyj, niewolniku! Moja władza rozciąga się od Morza Kaspijskiego po Bałtyk! Zwą mnie władcą od Galii po Konstantynopol!".

„W rzeczywistości", postanowiłem poprawić, „zwą cię *flagellum Dei*, biczem bożym".

„Czuję, że duch Attyli wcielił się we mnie! Klękaj przed swym suwerenem, kmiotku! Wszak mam we władaniu twoją duszę!".

Uśmiechając się jak prostaczek, przyklęknąłem na jednym kolanie.

„Oczywiście, kłaniam ci się, można pani. A może panie? Lecz jeśli sama nie przyjmujesz istnienia Boga, jak możesz wierzyć w reinkarnację?".

„Bezczelna szumowino! Uważasz, że duch ludzki jest tak wątły, iż sam nie umie powędrować z pokolenia na pokolenie bez pogardliwego poszturchiwania z nieba? Wszak jesteśmy wywarem gotowanym przez wiedźmy ze wszystkich ludzi, którzy byli przed nami, a one mieszają ich jak wino i mięso w gulaszu. Wdychamy opary naszych przodków z każdym oddechem. Ja posiadam temperament Cezara, spryt Attyli, a słownictwo – czasami – ruskiej baby. Sam się wsłuchaj w swoje wnętrze, kundlu, to usłyszysz!".

„A oblicze?".

Zawahała się na to.

„Sama nie wiem. A ty co myślisz?".

Słowa same wyskoczyły mi z ust:

„Heleny Trojańskiej, bez najmniejszych wątpliwości".

Nagle jej twarz przybrała wyraz, który powiedział mi, że zepsułem zabawę. Och, droga siostro! Pewnego dnia będę musiał odnaleźć w sobie siłę, by na głos wypowiedzieć, co dzieje się w mym sercu.

Nie mam pojęcia, jak się ma twoje życie uczuciowe – nie ma o tym prawie żadnej wzmianki w tych świstkach od ciebie, które mają uchodzić za listy. Sam nie wiem, czy powinienem życzyć ci, byś doświadczyła tej przepięknej tortury, czy też modlić się, by cię ona ominęła, a życie twoje płynęło rozsądnie i spokojnie.

„Wracają, Lorenzo".

Grupka opuściła bazylikę i skierowała się z powrotem do skifa, wśród nich rozświergotany jak kanarek Rousseau, który wymachiwał w popołudniowym powietrzu długim

chudym palcem.

„Lepiej do nich dołączmy".

W moim głosie zabrzmieć musiała przypadkiem nuta żalu. Bacząc, czy na pewno nikt nie widzi, Rebeka przyłożyła dłoń na chwilkę do mojego policzka.

„Nie martw się, Lorenzo. Niedługo znów wymkniemy się do miasta jak nocni złodzieje. Nie czas na sercowe bolączki. A poza tym...". Wstała i wyprostowała się niczym starożytna rzymska cesarzowa oglądająca ziemie swojego imperium. „Siedziałam na tronie Attyli. Fortuna nam sprzyja. Jesteśmy niezwyciężeni!".

Spisuję te słowa, siostro, i nie wiem, czy po tym, jak przebiegniesz po nich wzrokiem, ktokolwiek jeszcze będzie je czytać. Wątpię, czy kiedyś znów dane mi będzie ujrzeć Rebekę tak cudowną. Na Torcello, ze złotą wieżą bazyliki oraz czerwonymi dachami stłoczonymi w tle, z ramionami skrzyżowanymi na piersi oraz płonącymi oczami wyglądała jak bogini. Zapragnąłem rzucić się do jej stóp i żebrać o rękę. Zamiast tego jednak spoglądałem czujnie ku towarzyszom wycieczki zmierzającym ku łodzi, którzy już zaczęli interesować się naszą nieobecnością.

„Musimy iść, Rebeko", rzekłem, żałując, że w moim głosie musi brzmieć niepokój.

Miała jednak rację, gdy mówiła, że sprzyja nam fortuna. Skrzypaczki przez większą część drogi powrotnej zabawiały nas grą, której Rebeka poświęciła całą duszę, piłując ten swój surowy kawał opałowego drewna i wydobywając z niego dźwięki, jakich ów tani, nic niewarty instrument żadnym sposobem nie miał prawa wydać. Stopniowo nawet grupka Delapole'a, wszyscy zdrowo już podchmieleni, zdawać sobie zaczęła sprawę, że dzieje się coś niezwykłego. Gadanina umilkła, ucichł nawet Rousseau, i gdy nasz skif halsował zygzakiem w poprzek laguny, chwytając w żagle delikatną bryzę, zaś ognista słoneczna kula muskała góry widoczne na zachodzie, nikt już nic więcej nie mówił, tylko wszyscy wreszcie słuchali muzyki.

Okrążyliśmy wielkie wały dzielnicy Arsenale, przepływając tak blisko, że widać było ognie palone przez robotników za bramą stoczni, gdzie powstawały nowe okręty wojenne Republiki. Inne skrzypaczki szepnęły coś Rebece. Dziewczyna wysunęła skromnym ruchem swoje krzesło do przodu i gdy mijaliśmy La Pietę, zaczęła grać te same etiudy i ćwiczebne pasaże, które słyszałem podczas przesłuchania u Vivaldiego.

Moc i wirtuozeria tego wykonania pozbawiła nas tchu. Przepłynęliśmy obok Salute i zobaczyłem Rudego Księdza, który wyszedł przed kościół i stanął na skraju kamiennego nabrzeża, wytężając słuch, by pochwycić dźwięki tej muzycznej nawałnicy przewalającej się nad nami, szczęśliwymi, na wodzie. Nawet wuj Leo wydawał się poruszony, choć o ile cała reszta urzeczona była umiejętnościami Rebeki, on najbardziej podziwiał jej twarz i figurę. Wypił więcej niż inni, przez co nie stał się przyjemniejszy w obejściu.

Rebeka skończyła grać, gdy mijaliśmy przystań przed Ca' Dario. Może sprawiła to moja wyobraźnia, lecz zdawało mi się, że wiwaty i aplauz dobiegają nas zewsząd – z gondoli na kanale, ulic, pomostów, okien pałaców – a nie tylko od strony naszej gromadki. Byłem przez to dumny, ale również niespokojny.

Delapole powstał, nieco chwiejnie przeszedł z rufy na przód łodzi i kurtuazyjnym ojcowskim gestem ujął ramię Rebeki.

„To ty jesteś prawdziwym cudem tego dnia", oznajmił. „Wszystkie te mozaiki i katedra zupełnie ulotniły mi się z głowy. Teraz słyszę w niej brzmienie twoich skrzypiec. Jak się nazywasz?".

„Rebeka Guillaume. Dziękuję, panie". Zerknęła na mnie i spostrzegłem, że zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa związanego z uznaniem. W dodatku zaczęło zmierzchać. Musieliśmy się spieszyć, by dotrzeć do getta przed zapadnięciem zmroku.

Delapole wziął jej skrzypce.

„Znam się trochę na tych sprawach i widzę, że ten kawał drewna nie jest ciebie godzien. Powiedz, Rebeko, gdyby przez chwilę świat mógł spełnić wszystkie twoje zachcianki, jaki wybrałabyś instrument?".

„Taki, który w dzisiejszych czasach jest zupełnie niemodny, panie. Wykonany przez Guarneriego, ale nie Pietro żyjącego w tym mieście, choć i jego wyroby są świetne. Ma on w Cremonie kuzyna Giuseppe del Gesù, który robi wielkie, pękate instrumenty. Pospólstwo uważa je za brzydkie. Raz grałam na jednym z nich w Genewie. Miał najmocniejsze, najbardziej brawurowe brzmienie, jakie tylko mogą mieć skrzypce".

„A więc zrobisz przyjemność bogatemu człowiekowi, Rebeko Guillaume. Gobbo, rankiem ruszasz do Cremony. Pomówisz z tym Giuseppem. Powiesz mu, że mamy tu znakomitą muzykantkę, która uważa, że te jego duże brzydkie skrzypce będą dla niej w sam raz, a potem będziesz się z nim targować do upadłego".

„Panie!", Rebeka przyłożyła dłonie do ust. „W żadnym razie nie mogę przyjąć takiego prezentu. Jest wart więcej, niż moja rodzina zarabia przez rok".

„Pieniądze, pieniądze". Anglik nonszalancko machnął dłonią w powietrzu. „Na co by były człowiekowi, gdyby co pewien czas nie mógł trochę wydać na sztukę i piękno?".

W oczach Leona dosłownie zalśniły błyskawice. Wuj nasz pomyślał zapewne, że pieniądze, które spodziewał się zarobić jako prowizję drukarską, idą właśnie na skrzypce Rebeki.

„Nie", rzekła z naciskiem. „Tak być nie może".

„Tak więc po prostu dostarczę ci je, drogie dziewczę, a ty, jeśli zechcesz, zrobisz z nich sobie ozdobę nad kominek. No, dalej! Świętować będziemy w środku! Trunki! Zakąski! A ciebie, Rousseau, poproszę o piosenkę, ładną paryską serenadę".

Spojrzałem porozumiewawczo na Rebekę. Słońce było już w połowie zasłonięte przez budynki San Marco. Musieliśmy szybko ruszać z powrotem do getta.

Bez większego trudu udało się jej wykręcić z przyjęcia. Wszyscy byli na najlepszej drodze do kompletnego upojenia za wyjątkiem Gobba, który mełł w ustach przekleństwa na misję czekającą go rankiem. Zanim wyszliśmy, Rebeka podeszła do niego i dała mu ostatnią wskazówkę:

„W Cremonie zdarzają się fałszerze", powiedziała mu. „Musisz być pewny, że rozmawiasz osobiście z Giuseppem. Kup tylko instrument z etykietą. Ma być na niej oznaczenie IHS oraz napis *Joseph Guarnerius fecit Cremone, anno*...[5], a potem rok wytworzenia".

„Coś jeszcze ci załatwić przy okazji?", odparł Gobbo z brzydkim uśmieszkiem. „Sukieneczkę lub dwie? Miły perfumik? Na pewno wiedziałabyś, jak się z tym obejść".

Bardzo słusznie odwróciła się na pięcie i ruszyła ku drzwiom, odprowadzana przez małe oczka Gobba.

Ostatnimi monetami, które znalazłem w kieszeni, opłaciłem gondoliera, by dotrzeć wprost pod kościół San Marcuola. Stamtąd pospieszyliśmy do Cannaregio, gdzie, już blisko getta, Rebeka wciągnęła mnie za kołnierz w wąską, pogrążoną w półmroku uliczkę. Stanęliśmy tam, patrząc sobie w oczy.

„Lorenzo", wyszeptała. „Będę mieć guarnera! Po raz pierwszy w życiu instrument odpowiadający moim umiejętnościom!".

Przypomniałem sobie tron Attyli i pomyślałem, że może faktycznie z tego szarego pradawnego kamienia emanuje jakaś bajkowa siła.

„W pełni na niego zasługujesz. Nie możemy jednak zapominać o niebezpieczeństwie, które z tego płynie. Dla nas, ale i dla Jacopa. Musimy być czujni".

„Tak, żeby umrzeć ze starości w łóżku, nie próbując nigdy sięgnąć nieba. Och, Lorenzo.

Niczego się w życiu nie wygra bez ryzyka. Ale obiecuję: od tej chwili będę skromną, cichą, nierzucającą się w oczy dziewczynką".

Zaśmiałem się, a ona parsknęła. Zwalczyłem pragnienie, by chwycić ją w ramiona, i powiedziałem po prostu:

„To chyba rozsądne".

„Chcę jednak, by koncert, który skończyłam komponować w zeszłym tygodniu, został opublikowany i wykonany, Lorenzo. Myślę, że jest bardzo dobry. Leo nada się do tego w sam raz".

„Koncert? Co ci chodzi po głowie? Jeśli upublicznisz swoje nazwisko jeszcze szerzej niż do tej pory, w La Piecie w mgnieniu oka przejrzą naszą grę!".

„Powiedziałam tylko, że chciałabym, by wydano i grano mój utwór. Niekoniecznie pod moim nazwiskiem. Przynajmniej na razie".

To rzekłszy, objęła mnie delikatnie i pocałowała w policzek.

„Jest dużo do omówienia. I dużo musisz się nauczyć. Lecz jeśli zaraz nie przekroczymy bramy mojego więzienia, to wszystko i tak szlag trafi".

Potem Rebeka Levi, znana też jako Guillaume, minęła mnie i wyszła z powrotem na ulicę. Niezdolny rozsądnie myśleć, pobiegłem za nią.

Nieuregulowany dług 23

Była dziesiąta rano, kiedy Scacchi, Daniel i cichy zakłopotany Fabozzi usiedli przy małym stoliku koło okna w kawiarni Florian, oczekując Massitera. Było szaro i pochmurno. Za oknem turyści ustawiali się do zdjęć wśród stad gruchających gołębi, a sprzedawcy głośno zachwalali swoje tandetne pamiątki. W cenniku, który Daniel wziął ze stołu, sumy okazały się tak śmiesznie wysokie, że trudno było upić łyk, nie myśląc o kosztach.

Fabozzi nie chciał rozmawiać pod nieobecność szefa. Po dobrych pięciu minutach niezręcznego milczenia pojawił się zdyszany Anglik i przeprosił za spóźnienie. W ostrym sztucznym świetle kawiarni wyglądał nieco starzej.

– Ten kanał cuchnie – oznajmił, zamówiwszy podwójne espresso i biszkopty. – Zupełnie nie rozumiem, jak można tu mieszkać i przez cały rok wdychać wyziewy ze ścieku.

Grupka starszych Amerykanów przy stoliku obok zadźwięczała filiżankami i popatrzyła na Massitera, który uśmiechnął się do nich brzydko.

– Przesada! – zawołał Scacchi. – Ten smród jest całkowicie współczesny i sztucznie wytworzony, a pochodzi z tych cholernych fabryk na *terra firma*, które dzień i noc pompują szlam. Canal Grande nigdy przez te wszystkie wieki nie był naszą *Cloaca Maxima* i sam dobrze o tym wiesz.

Massiter zanurzył biszkopcik w kawie.

– Raz sprzedałem pewnemu hollywoodzkiemu producentowi statuetkę Cloaciny – powiedział rozbawiony. – Ćwierć miliona dolców. Wyjaśniłem mu, że to bogini górskich strumieni.

Scacchi zachichotał.

– A nie latryn?

– Czasem w tym biznesie – rzekł wesoło Massiter – ważny jest dobór faktów.

– Ona faktycznie była boginią. Pamiętasz starą rzymską modlitwę?

Wziął głęboki wdech i głośna recytacja rozbrzmiała w bogato zdobionym złoconym pomieszczeniu:

Świetna Cloacino, pani miejsca tego,
Spójrz łaskawym okiem na sługę swojego.
Niech płynie ofiara ma spójna, lecz miękka,
Nie bluźnierczo twarda, ni ohydnie prędka.

Scacchi dopił kawę i mruknął:

– Niestety ostatnimi czasy nie bardzo pomaga.

Amerykanie odstawili filiżanki i wyszli.

– O rety – zatroskał się Massiter. – Musisz uważać na dietę, Scacchi.

Starzec spojrzał na niego kwaśno – obaj wiedzieli, że to niewystarczająca porada.

Fabozzi, który przysłuchiwał się tej wymianie zdań z niedowierzaniem, sięgnął do skórzanej dyplomatki, wyjął kartki i położył je na stole.

– Panowie – rzekł żywo – może przejdziemy do interesów? Jestem w szkole od dwóch dni i pracuję, na mocy nowych zarządzeń, z niekompletnym utworem. Czy ktoś powie mi, kiedy mogę spodziewać się całości? I co robić, gdy już spłynie?

Wszyscy popatrzyli na Daniela. Chłopak szybko zaznajomił się z komputerem, który wypożyczył Paul, i stopniowo rozpisywał oryginał na osobne części nadające się dla orkiestry. Była to jednak długotrwała męcząca praca, a mógł ją wykonywać tylko przez cztery godziny dziennie. Później głowę miał pełną nut i oderwanych tematów muzycznych. Nie był w stanie pisać dalej, dopóki większość z nich nie ulotniła się z jego umysłu.

– Myślę, że będzie pan go miał do końca tygodnia, panie Fabozzi – oznajmił.

– Myślisz? – spytał Massiter.

– Nie. Gwarantuję. Lecz nie wcześniej.

Dyrygent nachmurzył się.

– Ta sprawa jest nietypowa, jeśli mogę tak rzec, panie Massiter. Zatrudniono mnie do prowadzenia letniej szkoły według ustalonego planu. Nagle, ledwie zacząłem, pan zmienia zdanie i każe mi ganiać za czymś, co pierwszy raz widzę na oczy i co w dodatku jest chyba niedokończone!

– Oczywiście, że jest dokończone – powiedział Massiter i lekko poklepał Daniela w ramię. – Ale w większości znajduje się w głowie naszego geniusza. Będziesz otrzymywał kolejne partie wraz z ich powstawaniem, Fabozzi. Chyba są dość dobre, prawda?

– Jak dotąd cudowne! Nie mogę jednak ocenić czegoś, czego nie widziałem w całości! Dlaczego nie oddać rękopisu kopistom i wszystkim oszczędzić czasu?

Scacchi i Massiter wymienili spojrzenia.

– Rozsądne pytanie – uznał starzec. – Z tego, co rozumiem, ma pan teraz całą pierwszą część rozpisaną na instrumenty i kawałek drugiej. Chyba nie martwi się pan, że reszta nie dotrze? Daniel pragnie sam napisać wszystkie partie. To jego warunek. Po co miałby oddawać swoją cenną pracę jakimś dorabiającym na godziny kopistom, skoro potem musiałby nuta po nucie wszystko sczytywać?

Dyrygent skrzywił się. Daniel był wdzięczny Scacchiemu za pomysłowe wyjaśnienie. Sam nie umiałby tak przekonująco skłamać.

– Trudno mi dyskutować – powiedział Fabozzi – kiedy kompozytor siedzi tu przede mną i obserwuje mnie jak z loży.

– Mogło być gorzej – zauważył Massiter. – Mógłby sam grać.

Daniel absolutnie sprzeciwił się takiej możliwości. Był zbyt zajęty przepisywaniem nut. Co więcej, teraz, gdy już opracował znaczną część koncertu, zauważył, że nawet najłatwiejsze kawałki znacznie przewyższają jego możliwości.

– Spójrzcie tylko! – obruszył się Fabozzi. – Milczy. Skąd mam wiedzieć, czy prowadzę zajęcia dobrze, czy źle?

Daniel wziął głęboki oddech.

– Panie Fabozzi, przysłuchiwałem się temu, co osiągnął pan do tej pory, i nic nie mówię dlatego, że jest to znakomita praca. Cała ta sytuacja jest dla mnie równie zaskakująca jak dla pana. Przyjechałem tutaj, by katalogować bibliotekę, a zamiast tego pan Massiter usłyszał przypadkiem jakieś moje amatorskie kawałki i zdecydował o włączeniu ich do programu. Może powinienem był odmówić... Ciągle nie jest za późno.

Twarz Fabozziego zbielała.

– Nie! Nie! Tego bym w tej chwili nie zalecał.

Daniel dobrze wiedział, że sława, którą mógł przynieść koncert, nie stanie się tylko jego udziałem. Fabozzi, choć protestował, sam mógł bardzo skorzystać na utworze, biorąc pod uwagę jego pozycję w tym układzie.

Massiter pokręcił głową.

– Muszę wyznać, że twoja reakcja zaskoczyła mnie, staruszku. Masz przed sobą nieznane nikomu dzieło o niemałej wartości i możesz być pierwszym na świecie dyrygentem, u którego zostanie wykonane. Czy kompozytor to jakaś primadonna, która będzie krzyczeć na ciebie z widowni? Czy będzie śledzić każdą nutę, każdy pasaż, po czym rozerwie twoją wersję wykonania na strzępy? Nie! Cierpliwie wysłucha, a potem będzie bić brawo. O co ci właściwie chodzi, jeśli mogę spytać? Może lepiej, by to Daniel przejął twoją pracę, do czego zresztą moim zdaniem jest w pełni uprawniony?

– Nie! Nie! – zaprotestował Fabozzi. Danielowi zrobiło się przykro na widok tego małego człowieczka. Był w niełatwej sytuacji. – Chodzi mi wyłącznie o kilka wskazówek co do celu i kierunku pracy.

Daniel uśmiechnął się przyjaźnie.

– Więc niech pan słucha, panie Fabozzi. Wyobrażam to sobie jako próbę uchwycenia takiej muzyki, jaką mogliby grać w kościele La Pietà, powiedzmy, w 1730 roku, gdyby Vivaldi miał syna albo utalentowanego ucznia. Słyszy pan w tym jego nutę, mam nadzieję, a także coś z Corellego. Ale brzmi tu także motyw zmiany. Ruch od baroku ku klasycyzmowi. Słyszę to w głowie...

Przerwał. Zawczasu przygotował sobie ten krótki opis dzieła, spodziewając się w pewnym momencie takiego pytania. Teraz jednak, po tylu godzinach transkrybowania kolejnych partii koncertu, słyszał przemykające przez jego głowę nuty i mógł dalej mówić bez przygotowania.

– Widzę kogoś, kto jest świadkiem końca jednej ery i nadejścia następnej. Pamięta pan, że był to czas, gdy Republika zaczynała chylić się ku upadkowi. Zatem widzę siebie jako młodego ucznia Vivaldiego, który pilnie słucha jego nauk, ale dostrzega także postępujący gwałtownie wokół siebie rozkład. Z tego powodu dodaje do dzieł własny komentarz. Znajdzie pan więc w tym utworze miłość i fascynację, niekiedy gniew, a także niecierpliwość młodości.

Scacchi i Massiter mieli na twarzach jednakowy wyraz podziwu.

– No proszę – rzekł Anglik. – Chciałbyś czegoś więcej?

– Nie – szczerze odparł Fabozzi. – To już jakiś punkt zaczepienia. Danielu, to bardzo dobrze, że będzie się mnie kojarzyć z twoją muzyką. Tylko sama metoda pracy wydaje mi się dość niezwykła.

– Nie jestem dobrym mówcą – odpowiedział chłopak z równie szczerym przekonaniem w głosie – ale to nie znaczy, że nie podobają mi się pańskie dokonania. Przeciwnie, dzięki panu ta muzyka brzmi lepiej, niż mógłbym ją sobie wyobrazić.

Dyrygent uśmiechnął się szeroko.

– Widzisz? Więc ruszaj, mój drogi – ponaglił Massiter. – Licznik bije, a ja płacę. Masz dużo materiału do przepracowania, ja zaś chcę, żeby koncert finałowy był absolutnym hitem.

– *Sì* – odpowiedział Fabozzi. Nie zyskał może dużo wskazówek, lecz chyba więcej, niż oczekiwał. Wstał od stolika, przecisnął się między turystami wypełniającymi kawiarnię i wyszedł na *piazza*, by znów znaleźć się na nabrzeżu, skąd już tylko krótki spacer dzielił go od La Piety.

Massiter uśmiechnął się do Daniela.

– Kto by pomyślał. Niezły jesteś w te klocki. Miej tę opowiastkę w pamięci, gdy zaczną się pojawiać dziennikarze. Już pociągnąłem za kilka sznurków. Dobra historyjka na sezon

ogórkowy. Myślałem, że można by okrzyknąć cię nowym Vivaldim. „New York Times” będzie chciał wkrótce usłyszeć słówko. Również londyński „The Times” i „Corriere della Sera”, ale to dopiero w przyszłym tygodniu. Nie ma sensu robić szumu, skoro jeszcze nie można kupić biletów, prawda?

Daniel poczuł się niepewnie na tę myśl.

– Chyba nie będą szczególnie zainteresowani...?

– Jak podgrzejemy atmosferę, będą – odparł Massiter. – Trochę przesady, szczypta promocji. Parę darmowych przelotów i noc czy dwie w odpowiednim hotelu. Oni tym żyją. Powiedz to samo, co powiedziałeś przed chwilą, lecz rozwiń temat i nie ujmuj go tak bezpośrednio, jeśli możesz. Dosłowne opisy... to nie dla prasy kulturalnej. Pomyślą, że jesteś filister.

– Zgadzam się. Dobrze ci idzie – dodał Scacchi. – Mówiłeś naprawdę wiarygodnie.

Daniel ostro spojrzał na starego człowieka.

– Bo ja naprawdę tak myślę. – Dzieło urosło w nim, gdy przepisywał je nuta po nucie ze starych kart na ekran komputera. Niektóre części nie chciały opuścić umysłu. – To, co powiedziałem, uważam za prawdziwe. Wydaje mi się, że ten utwór tak właśnie powstał. Ale... jest w nim coś więcej. Może chodzi o jakiś zagraniczny element. Jeszcze tego w pełni nie ogarniam.

– Ogarniesz! – zapewnił Massiter. – Ogarniesz!

– Nie pamiętam jednak, bym zobowiązał się do robienia z siebie publicznego widowiska z udziałem prasy. Chcę żyć spokojnym życiem, kiedy to wszystko się skończy.

Twarz Massitera stężała nagle.

– To zakłada nasza umowa, Danielu. Dałem bardzo jasno do zrozumienia, że dla dobra nas wszystkich musimy wycisnąć z utworu tyle, ile tylko można. Tak czy inaczej, ten interes nie zwróci mi się przez lata, a pewnie nigdy.

Daniel nagle poczuł odrazę do Hugona Massitera, tego zadufanego w sobie, cudacznie ubranego człowieka.

– Ten „interes”, jak go pan określa, jest dziełem sztuki – powiedział – a nie towarem, który można kupić i sprzedać jak jakieś świecidełko na Rialto.

Massiter wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę spojrzeniem, które miało, jak sądził Daniel, wywoływać przerażenie. Potem zwrócił się do starego człowieka.

– Mam nadzieję, że cieszysz się pieniędzmi, Scacchi?

– Człowiek zawsze się cieszy z pieniędzy, panie Massiter – ostrożnie odparł starzec.

– Więc zamień z chłopakiem kilka słów. – Szare oczy Massitera przesunęły się po nich obu. – Twój dług ciągle jest nieuregulowany. A ja dostanę, za co zapłaciłem. Zawsze dostaję.

Manzini przestał odpowiadać na moje listy. Musimy, droga siostro, spodziewać się najgorszego. Albo ten łotr zabrał wszystkie pieniądze, które udało mu się znaleźć w folwarku naszych rodziców, i uciekł, albo – co zdaje mi się bardziej prawdopodobne – odkrył, że nie ma tam nawet tyle pieniędzy, by myśleć o kradzieży, toteż nie traci czasu na odpisywanie takim, co nigdy nie zapłacą mu za usługi. Mam nadzieję, że te nowiny nie są dla ciebie zbyt wstrząsające. Już od jakiegoś czasu spodziewałem się takiej sytuacji i próbowałem cię jakoś na nią przygotować. Sami musimy wytyczać własną drogę przez świat. Jedyną spuścizną naszych rodziców pozostają nam charakter oraz wykształcenie, a obie te rzeczy cenniejsze są niż wszelkie złoto, które można otrzymać w spadku.

Czy udało ci się znaleźć jedzenie lepsze niż te fantazyjne hiszpańskie danka, o których piszesz? Na to liczę, wychowano nas bowiem na prostej strawie z Veneto – polencie i mięsie – a nie drogich przyprawach i cudacznych jarzynach z Maroka. Wcale mnie nie dziwi, że od czasu do czasu masz zawroty głowy, skoro wciąż obstajesz przy jedzeniu tego paskudztwa.

A teraz historia na pokrzepienie ducha! Gobbo zemścił się na Rousseau, co – ze wstydem wyznaję – działo się na moich oczach. O wszystkim opowiem. Jednak najpierw ostrzeżenie. W opowieści tej pojawiają się wątki prostackie w rodzaju tych, które słyszeliśmy czasem od świniarza Pietra, tego starego szelmy, kiedy taty nie było w pobliżu. Jeśli nie chcesz narażać swego serca i umysłu na sprawy do pewnego stopnia brudne, lepiej przerwij lekturę.

Ach! Jednak czuję, moje małe piórko, że czytelniczka wcale nas nie opuściła! Bardzo dobrze...

Po naszej wycieczce na Torcello grupka pana Delapole'a zagustowała w muzyce. Nic dziwnego, skoro sam Delapole oznajmił, iż ta właśnie dziedzina sztuki odtąd zaprzątać będzie jego uwagę. Ku mojemu zaskoczeniu Leo nie przejął się tym za bardzo. Dom Scacchich może drukować sprośne ballady i dzieła operowe równie dobrze jak Shakespeare'a czy broszurki o pochodzeniu nosorożców.

Gdy tylko Leo doszedł do wniosku, że Delapole zapewne nigdy nie spisze swojego utworu – bogacze mają dość czasu, lecz zbyt mało ochoty, by go sobie uprzykrzać pracą – uznał, jak sądzę, iż uda się go namówić do zapłaty za wydanie jakiegoś nieznanego dzieła, dzięki czemu będzie mógł cieszyć się sławą, gdy publika doceni wielkość utworu.

Niedawno zagrałem w pewną małą grę. Zeszłego wieczora udałem, że znalazłem na progu Ca' Scacchi jakieś nuty (był to utwór Rebeki) leżące jak porzucone dziecko. Załączony był do nich anonimowy list od początkującego kompozytora, który obecnie tkwi w pułapce innego zawodu i zapytuje, czy Dom Scacchich nie zechciałby przedstawić jego dzieła szerszej publiczności. Gdyby Leo się na to zdecydował, mówił dalej list, jego zadanie polegałoby na powieleniu nut na własny koszt (to sugestia, by wuj zaczął nagabywać Delapole'a o fundusze)

oraz zorganizowaniu koncertu. Gdyby zaś Wenecjanie uznali, że utwór ma zalety, wówczas kompozytor obiecywał ujawnić się i odwołać do ich szczodrości, od której zależeć miała jego kariera, a później spłacić swego dobroczyńcę dwakroć większą sumą niż ta wydana na publikację oraz zrzec się na jego korzyść prawa do wszystkich przyszłych wydań.

Leo przeczytał list, rzucił ohydne przekleństwo pod adresem naciągaczy i cisnął pakunek w jakiś ciemny kąt. Oczywiście zabiorę go stamtąd, a później zagram mimochodem kilka taktów i zobaczę, czy uda mi się podsycić apetyt wuja. Słyszałem już fragment zagrany na skrzypcach kompozytorki. Jest oczywiście znakomity.

Gobbo powrócił z Cremony z instrumentem pod pachą. To faktycznie brzydka rzecz. Wielka i spasła, którą widziałoby się raczej pod brodą pachołka, a nie najcudowniejszej damy w Wenecji. Po obu stronach pudła rezonansowego równolegle do strun biegnie ciemna skaza. Jest to, jak zapewnia nas Gobbo, znak rozpoznawczy instrumentów Guarneriego.

Skrzypce zagrały pierwszy raz podczas popołudniowego koncertu w La Piecie. Rebeka jest na tyle pewna siebie, że za dnia sama chodzi grać. Bez zwrócenia naszej uwagi udało jej się przedostać do kościoła i z powrotem. Jednakże jej obecność zaznaczyła się kapitalnie. W trywialnym programie Vivaldiego – wolałbym już, żeby ksiądz został przy starych rzeczach, zamiast wciskać nam te swoje nowe miernoty – ton jej skrzypiec brzmiał wyraziście jak trąbka. Nie mam pojęcia, czy Delapole zwrócił na niego uwagę, czy nie. Gobbo wtajemniczył nas w swój plan, więc umysł Anglika zaprzątnięty był bez wątpienia innymi sprawami.

Gobbo zdawał sobie sprawę, że ja i Rebeka ukrywamy coś w związku z La Pietą. Sprytny z niego chłopak, lecz nie podejrzewa skali naszych manipulacji. Tak czy inaczej, bezlitośnie wyżął mnie z wszelkiej szczegółowej wiedzy na temat kościoła, planu pomieszczeń i tego, co dzieje się przed, w trakcie i po koncertach. Gdy ostrożnie opowiedziałem mu tyle, ile mogłem, wziął się do dzieła.

Po zakończeniu koncertu, gdy wyszli już zarówno dyrygent, jak i muzykantki, ruszyliśmy do drzwi. Delapole wziął Rousseau na stronę, powiódł go w ciemny zakątek i oznajmił dobre nowiny.

„Panie", rzekł (piszę, jak to sobie wyobrażam, ale na pewno musiało się dziać podobnie), „otrzymałem wiadomość oraz pamiątkę dla ciebie od pewnej osoby, która chciałaby odnowić znajomość".

„Panie Delapole", zapiał Rousseau nerwowo, „nie wiem, o czym pan mówi".

„O damach, które towarzyszyły nam w naszej jakże przyjemnej wycieczce na Torcello. Jedna z nich oświadczyła mi, że znajduje twe oblicze, posturę i oczytanie niezwykle pociągającymi i byłby to dla niej zaszczyt, gdybyś zechciał tu poczekać na jej nadejście. Zdaje mi się, że świadomość twojej obecności za tą okrutną zasłoną, która nie pozwala ci jej dojrzeć, jest dla niej bardzo... pobudzająca".

Francuz zaczął dyszeć. Wywrócił oczy w górę ku brudnemu sufitowi.

„Czy to możliwe? Która to?".

„Tego nie wiem", odparł Delapole ze wzruszeniem ramion. „Na liściku nie widniało żadne imię. Było jedynie to...".

Na te słowa sięgnął do kieszeni i wyciągnął pojedynczą jedwabną podwiązkę wydzielającą subtelny aromat orientalnych perfum. Rousseau nieomal zemdlał na miejscu.

„Ejże, panie", Delapole poklepał go w ramię. „Pan wiesz, jak rozpoznać, że kobietę trawi gorączka namiętności. Wszakże dla was, Paryżan, żadne to arkana".

„No cóż, tak", wyjąkał Francuz. „Oczywiście, oczywiście".

„Na pewno będzie więcej fiku-miku w tydzień, niż większości z nas trafia się przez całe życie. Ciekawe, czy po tak szczodrym zasiewie nie zapełnisz pan całego świata potomstwem".

„Och!”. Sądzę, że w tej chwili wreszcie dotarło do Rousseau pełne znaczenie słów Delapole’a. To już nie były niewinne żarty przy kawiarnianym stoliku.

„Że niby tutaj?”, wykrzyknął Rousseau. „W kościele?!”.

„Miejsce dobre jak każde inne. Akt miłości to czyn Boży, nieprawda? A skoro Bóg wszystko widzi, to dostrzeże cię równie wyraźnie u swego progu jak w domu uciech. Poza tym, jak wynika z mojego skromnego doświadczenia z kobietami – możesz mnie pan poprawić w tej materii, rzecz jasna – to chyba wybór niecodziennego miejsca potrafi w nich rozbudzić skrajne pożądanie, którego po prostu nie odczuwają pod domową pierzyną. Oczywiście mogę się mylić...”.

„Ach, nie”, zapewnił go Rousseau. „Jest właśnie tak, drogi panie”.

„W takim razie jesteś pan chyba największym szczęściarzem na ziemi. Bo skoro tę damę tak przejęła twoja osoba pomimo zgiełku panującego na łodzi, to, no cóż, chyba dosłownie zedrze z ciebie ubrania tu, w domu bożym, zaledwie kilka kroków od tłumów ludzi spacerujących po promenadzie”.

Jeśli wyobrazisz sobie pisk koszatki, której niegrzeczne dziecko wykręca ogonek, to będzie dźwięk, jaki w tym momencie wydał z siebie monsieur Rousseau.

„Powodzenia”, rzekł Delapole z przyjacielskim szturchnięciem.

„To pan wychodzi?”.

Anglik roześmiał się.

„A za kogo pan mnie bierzesz? Chyba słyszę jakieś dźwięki tam, zza ekranu”.

Odszedł raźnym krokiem – dzięki temu, że w suficie są tylko małe okienka, wewnątrz kościoła panował mrok – i trzasnął głośno starymi drewnianymi drzwiami, a później na paluszkach dołączył do reszty naszej grupki ukrytej w cieniu wielkiego pulpitu wbijającego się klinem w nawę niczym dziób statku.

Bardzo mocno staraliśmy się powstrzymać od chichotania. Rousseau stał w bladym świetle padającym z brudnego czerwonego okienka i trząsł się na każdy dźwięk dobiegający zza ekranu.

„Mon-sjer!”, rozległ się delikatny falset, a ja wepchnąłem sobie pięść do ust, by zdusić śmiech. Z ciemności wyłoniła się jakaś postać. Ubrana była w błyszczące tanie jedwabie w ledwie dostrzegalnym odcieniu błękitu. Jej głowę okrywał woal. Od razu dostrzegłem, że jest to przebrany Gobbo. Lecz chłopak, gdy patrzeć z przodu, był całkiem smukły: z ukrytą twarzą i niewidocznym garbem mógł uchodzić za jedną z muzykantek z łodzi.

„Mademoiselle”, zaćwierkał Rousseau, „właśnie dowiedziałem się o twoim liściku do mnie. Nie wiem, co powiedzieć”.

Postać w jedwabnej sukni postąpiła krok naprzód, wyciągnęła rękę (okrytą rękawem, dzięki Bogu, gdyż Gobbo to włochaty typ) i gestem zachęciła Rousseau, by się zbliżył.

„Nie wezwałam cię tu, byś coś mówił, panie. Czyny mówią głośniej niż słowa. Doszły mnie wieści, że gdy trącałam struny, ty przeniosłeś się do słodkiego świata namiętnych wizji. Może źle mi powiedziano? Może jednak nie podobam ci się?”.

W trzech krokach stanął przy niej.

„O, nie. Twój talent i twoja obecność wprawiają mnie w stan bliski ekstazy!”.

„Bliski, panie? Słyszałam, że wy, Francuzi, znacie takie sztuki, iż my, weneckie dziewczyny, czujemy się jak w niebie. Nie tylko «w tył, w przód, dukat na poduszce», co uprawiają miejscowi”.

Jego głowa zakołysała się na boki, a z ust dobiegło ciężkie westchnienie. Następnie powiedział:

„Moja słodka, niczego nie pragnę bardziej, niż ujrzeć twoje oblicze. Serce mi pęka, gdy

pomyślę, jaką cudowność okrywać musi ten woal".

„Panie!", syknął Gobbo. „Ty masz swoje zwyczaje. My mamy swoje. W Wenecji jest nie do pomyślenia, by dziewczę, oddając się mężczyźnie, ujawniło swoją tożsamość, zanim połączenie się dopełni. Co bowiem, jeśli nasze zbliżenie nie przypadnie nam do gustu? W ten sposób możemy zapomnieć o popełnionym błędzie".

„Rozumiem", przytaknął Francuz.

„Więc zbliż się i czyń mi honory".

Wstrzymaliśmy oddech, kiedy podeszli do siebie. Gobbo z rozmysłem pozostawał w kręgu światła, dzięki czemu mieliśmy znakomity widok na to, co się dzieje, lecz głowę skrywał w cieniu.

Rousseau przyklęknął.

„Co chcesz, żebym zrobił, pani?", zapytał.

„Och, pocałuj mnie! Cóż by innego?".

Powstał, zmarszczył się komicznie i próbował otoczyć ramionami skrytą wśród jedwabi kochankę.

„Mon-sjer! Gdzie twoje maniery? W Wenecji żaden mężczyzna nie pocałuje damy w usta, póki zjednoczenia nie przypieczętuje cielesny pakt. Czy to jakieś paryskie gierki? Jeśli tak, to szczerze mówiąc, wydają mi się one obleśne. Być może omyliłam się w swoich sądach".

„Nie, nie, nie. Jestem tylko nienawykły do waszych obyczajów, pani. Co mam więc zrobić?".

Gobbo wyprostował się z chrząknięciem.

„To, co każdy wenecki dżentelmen zrobiłby w takiej sytuacji. Rozchyl moje suknie i odnajdź miejsce, które nas wkrótce zjednoczy, a potem złóż na nim pocałunek w dowód oddania".

Rousseau wahał się.

„Tak to się robi w Wenecji?".

„Na całym świecie prócz Francji, o ile się nie mylę. Nasycę twe zwierzęce galijskie chucie, gdy tylko konwenansowi stanie się zadość, panie, lecz trzeba postępować po kolei. Tylko tak jest właściwie".

„A więc dobrze", jęknął Francuz i opadł na kolana. Następnie ostrożnie wsunął głowę pod brzeg sukni Gobba.

To, co stało się później, rozmywa się w chaosie. Mnóstwo wypadków zbiło się w krótkiej chwili i doprawdy nie umiem powiedzieć, kto pierwszy zaczął wrzeszczeć: Rousseau, gdy jego głowa dotarła do celu i znalazła horror zamiast radości, ci z naszej grupki, którzy nie mogli już dłużej powstrzymać szaleńczego śmiechu, bo płuca groziły rozerwaniem, czy ojciec Antonio Vivaldi, który właśnie tę chwilę wybrał, by wrócić do La Piety, być może w poszukiwaniu zagubionego arkusza nut, i trafił na rubaszną komedię dell'arte rozgrywającą się przed jego oczami.

Mający talent do improwizacji Gobbo natychmiast zapanował nad sytuacją. Wysunął się do światła, ściskając wciąż pod suknią głowę Rousseau, na co Vivaldi zaczął szaleńczo i furiacko wrzeszczeć, aż ochrypł.

„Wynoście się, szumowiny!", krzyknął ksiądz i przeżegnał się, dysząc niczym osaczony przez myśliwych jeleń. „Macie natychmiast opuścić ten kościół, inaczej wezwę woźnych i każę was wybatożyć!".

Gobbo uniósł suknię i odkrył Rousseau kulącego się w jej fałdach z twarzą tuż przy czymś, co opisać mogę jedynie jako wyprostowany fizyczny organ, którego zwykle nie pokazuje się publicznie na poświęconej ziemi.

„Ale ojcze! Ojcze!”, ryczał Gobbo, wróciwszy do swego zachrypłego tenoru, z wyrzutem i bólem w głosie. „Miej litość! Mój żabulek nie zagrał jeszcze na fleciku!”.

Reszta to zamieszanie i chaos. Wymknęliśmy się czym prędzej. Rousseau skierował się na wschód ku Arsenale, a my, pochyleni, zanurzyliśmy się w boczne alejki Castello, kuląc się ze śmiechu, pozbawieni tchu i dręczeni – przynajmniej ja – w pełni zasłużonym atakiem kolki. Dużo chyba mówi o Wenecji fakt, że dwudziestoletni mocno zdeformowany sługa ubrany w niebieską jedwabną sukienkę nie zwrócił niczyjej uwagi, pędząc uliczkami z szaleńczym rechotem.

Jak doszła nas wieść następnego dnia, Rousseau spakował kufry i umknął do Paryża, przysięgając zemstę Wenecji, jawiącej mu się odtąd jako przedsionek piekła. No cóż. Naprawdę chciałem go polubić, ale on sam mocno to utrudniał.

Gdy wróciliśmy do domu, Leo był w dobrym nastroju. Zszedłem więc do piwnicy, rozwiązałem sznurek, którym obwiązane były nuty Rebeki, i najlepiej, jak umiałem, zagrałem wujowi kawałek utworu. Siła tej muzyki jest zdumiewająca nawet pomimo mojego amatorskiego piłowania. Ma w sobie moc i płynność Vivaldiego. Słychać w niej wykorzystanie jego zasady ritornella, czyli powtarzania jednakowych motywów, lecz płynie w niekończących się wariacjach wsuniętych niczym zakładki między strony, czasem powoli, czasem gnając jak sam diabeł.

Leo, jak zawsze chytry, myśli o tej muzyce to samo co ja. Wydaje mi się, że jego umysł zaczął działać, co może, jak sądzę, wyjść nam na korzyść.

Zysk Rizza 25

Rizzo stał na stacji Mestre, wpatrywał się w szare stalowe skrytki i zastanawiał, czy zysk wart jest ryzyka. Wydawało mu się, że przedmiot zamknięty za metalowymi drzwiczkami naśmiewa się z niego. Stopniowo zaczynał nienawidzić tego pozbawionego ozdób brudnego pudła i leżącego w nim kawałka drewna. Na pozostałych swoich interesach mógł zarobić niewiele, najwyżej kilkaset dolarów. Natomiast ta wabiąca dziwną mocą rzecz, którą wyciągnął z martwych ramion Susanny Gianni, należała do całkiem innej kategorii. Pewnie była nawet więcej warta niż to, co zamierzał zapłacić Scacchi. Rizzo wiedział, że mógłby złapać samolot do Rzymu i tam spróbować znaleźć lepszą cenę, ale znał też swoje ograniczenia. Jedyni ludzie, z którymi kontaktował się w stolicy, zajmowali się trawką, tytoniem i kontenerami z najróżniejszym towarem, które wykradano liniom transportowym. Skrzypce nic by dla nich nie znaczyły. Poszukiwanie odpowiedniego kupca mogłoby się ciągnąć miesiącami, a w tym czasie Massiter odkryłby, co stało się tamtego dnia na San Michele. Powinien posłuchać głosu rozsądku i szybko dobić targu ze Scacchim, realizując w ten sposób interes życia.

I znów instrument go rozdrażnił. Rizzo zawsze wierzył, że na końcu jego złodziejskiej kariery jest pewien cel, punkt zwrotny. Że nadejdzie taki dzień, kiedy będzie mieć dość pieniędzy, by otworzyć jakiś mały bar albo restauracyjkę na placu Santa Margherita w pobliżu uniwersytetu. Wtedy będzie mógł legalnie okradać zarówno turystów, jak i studentów. Sam sobie będzie szefem. Będzie mógł flirtować z kobietami, które wejdą do środka i usiądą w oczekiwaniu na obsługę. To marzenie tkwiło gdzieś w głębi jego umysłu – ciepłe, pokrzepiające, i do dnia, w którym wyjął zakurzony futerał z trumny Susanny Gianni, zupełnie niemożliwe do zrealizowania. Kieszonkowca takiego jak on nigdy nie byłoby na to stać. Za osiemdziesiąt tysięcy dolarów od Scacchiego mógłby jednak otworzyć dwa bary, może nawet więcej. Jego złodziejskie dni odeszłyby do przeszłości. A jednak, chociaż bliska realizacji, myśl ta wcale go nie cieszyła. Był, i zawsze będzie, mordercą i złodziejem, bo taką ma naturę. Te ohydne skrzypce przypominały mu o tym. Były jak zatrute jabłko. Zdawało mu się, że mógłby umrzeć od jednego kęsa.

Rizzo pomyślał o policjantce. Gdyby nadarzyła się okazja, załatwiłby ją bez żalu, chociaż wtedy znalazłby się na celowniku wszystkich gliniarzy w mieście. A teraz węszyła, dociekała, poszukiwała. Ponoć na ulicy zadawała pytania o przedmiot, który ktoś zabrał z pewnej trumny na San Michele. Może się zbliży. Może naprawdę trzeba ją będzie zabić. Ale najpierw Rizzo musiał pozbyć się tego cholernego instrumentu, od którego wszystko się zaczęło.

Stacja była prawie całkiem pusta. Jak łatwo byłoby zabrać futerał, złapać autobus na lotnisko, wyjść na bagna i cisnąć go w błoto. Massiter nigdy by się nie dowiedział. Dzięki codziennej rutynowej pracy – kradzieżom plus okazjonalnym zleceniom od Anglika – zawsze miałby co włożyć do garnka. Potem przypomniał sobie, jak chłodno Massiter próbował

zastraszyć go w swoim wielkim mieszkaniu nad kanałem, na którego ścianach wisiały dziwaczne malowidła i ciągnące się od podłogi do sufitu lustra. Może za jednym z nich był ukryty trup Felliniego. Przypomniał sobie chłodną dłoń na swoich ustach i poczuł, jak obejmuje go narastający płomień gniewu.

– *Bastardo* – powiedział cicho do siebie. Spojrzał na zegarek. Nadszedł czas, żeby spotkać się z człowiekiem Scacchiego w umówionym miejscu. Nie zamierzał paradować po Wenecji z futerałem na skrzypce i wystawiać na pokaz własnej perfidii. Podszedł do sklepu dla turystów i kupił dużą torbę podróżną. Następnie otworzył skrytkę, wyjął zakurzony przedmiot i ostrożnie umieścił go w torbie. Zapach zniknął. Teraz futerał wyglądał jak stary rupieć. Ciążył jednak w ręku. Wydawało mu się, że cały świat krzyczy: „Morderca! Złodziej! Morderca!”.

Złapał autobus na Piazzale Roma. Starodawny guarner spoczywał mu na kolanach ukryty głęboko w torbie. Rizzo patrzył na szarą powierzchnię wody, gdy autobus mknął wąskim paluchem sztucznego lądu łączącym Wenecję z *terra firma*.

Chłopak chciał się pozbyć tych skrzypiec najszybciej, jak to tylko możliwe, najlepiej jeszcze tego samego dnia, jeśli człowiek Scacchiego zechce je wziąć. Nigdy w życiu nie interesował się muzyką, nie był też na żadnym koncercie. Jednak teraz, gdy przyglądał się tankowcom i liniowcom manewrującym na redzie niczym spasłe tancerki, które chcą wprosić się na parkiet, obsesyjnie zastanawiał się nad brzmieniem tego cholernego instrumentu.

Zamieszanie w kościele 26

Fortel przychodzi nam łatwo. Staliśmy się zuchwali. Strażnicy są tak tępi albo tak leniwi – a może i jedno, i drugie – że udało nam się wzbogacić getto o nowego lekarza! Jacopo już nie musi ukrywać się w swoim pokoju, gdy my przemykamy przez wenecką noc. Po prostu powiedziałem błaznowi przy moście, że pewien chory szlachcic potrzebuje usług doktora Roberta Leviego. Ten machnął ręką i wpuścił mnie bez zastanowienia. Rebeka narzuciła zapasowy płaszcz i wyszliśmy w pośpiechu, nie oglądając się za siebie. Przebranie jest znakomite, bo gdyby nawet żołnierze powzięli jakieś podejrzenia, któż śmiałby zatrzymać lekarza idącego na pomoc wpływowemu człowiekowi? Wenecjanie troszczą się przede wszystkim o dobro własne, interes kraju mając na drugim miejscu. Zupełnie ich omamiliśmy. Teraz martwię się już tylko o to, że popadniemy w taką rutynę, iż pewnego dnia Rebeka, narzekając na gorąco, odrzuci kaptur, potrząśnieniem głowy uwolni cudowne sploty włosów i w ten sposób zdradzi, jakie z nas perfidne łajdaki.

Zeszłego wieczora po koncercie postanowiliśmy poszwendać się nieco przed powrotem do domu. Był to wspaniały wieczór, ciepły, lecz nie duszny. Pełny księżyc odbijał się w gładkiej czarnej powierzchni wód zatoki, gdy nasza płynąca przez Canal Grande gondola mijała plac Świętego Marka.

Rebeka wciąż w przebranu gojki nalegała, byśmy zatrzymali się w pobliżu Ca' Dario. Ciekawiło ją to miejsce, które musieliśmy w pośpiechu opuścić w dniu naszej wycieczki na Torcello. Zapłaciliśmy gondolierowi za dowiezienie nas do molo przy Salute i bocznymi uliczkami dotarliśmy do małego campo za domem. Dopisało nam szczęście – Gobbo nie przyłapał nas razem i nie zaczął zadawać niezręcznych pytań. W jasnym blasku księżyca naliczyliśmy wspólnie osiem dziwnych lejkowatych kominów na Ca' Dario, typowych dla niektórych starych domów. Na tyłach znajduje się otoczony murem prostokątny ogród. Dom widziany od przodu z kanału jest niesamowitą, przekrzywioną trzypiętrową budowlą. Parter przeznaczono oczywiście na składowanie i przenoszenie towarów. Trzy piętra są z zewnątrz niemal identyczne: każde ma po lewej stronie cztery łukowe okna sięgające od podłogi do sufitu, obok pojedyncze okrągłe czerwone okienko, a od północnej strony budynku jeszcze jedno okno o wielkiej powierzchni zwieńczone łukiem. Całą fasadę pokrywają ryciny, grawerunki i takie wzory, w jakich gustują afrykańscy żeglarze, przez co Ca' Dario lśni pomiędzy stojącymi po obu stronach większymi rezydencjami niczym niezwykły klejnot w skrzyni pełnej poślednich kamieni. Dom musiał kosztować Delapole'a fortunę, ale z tego, co wiem, może on sobie pozwolić na trwonienie pieniędzy. Co ciekawe, chyba nikt nie zna prawdziwego właściciela rezydencji. Dario od dawna nie żyje, zaś według niektórych budynek jest nawiedzony, jako że był scenerią dla co najmniej dwóch morderstw. Tak jakby cegły i zaprawa miały moc przenoszenia nasion ludzkiego przeznaczenia...

Ciekawość Rebeki jest wielka. Zdaje mi się, że ona liczy, iż pieniądze Delapole'a w jakiś sposób pomogą uprawomocnić jej muzyczne ambicje. Leo i Anglik wyszykowali już plan. Wkrótce w La Piecie odbędzie się koncert. Delapole zapłaci za reklamę, dzięki czemu publika zainteresuje się licznymi plotkami rozpuszczonymi na temat dzieła i jego tajemniczego kompozytora. Wedle tych opowiastek to pewien nieśmiały skromny obywatel, mężczyzna (koniecznie mężczyzna!) niechcący ujawnić swojej tożsamości, póki nie będzie pewny, że miasto zaaprobowało jego styl. Tak zatem dzieło zostanie w całości odegrane, a Vivaldi (za pewną sumę) raczy bezpośrednio pokierować wydarzeniem. Następnie zada się pytanie publiczności, czy utwór ma zalety, czy też zasługuje jedynie na szybką śmierć w kominku. Jeśli wybiorą to pierwsze, kompozytor za jakiś czas ujawni się publicznie. Natomiast w drugim przypadku zwróci się na powrót ku swemu obecnemu zajęciu i nigdy więcej nie napisze nuty na pięciolinii, wdzięczny wspaniałej Republice za zwrócenie uwagi na jego amatorską pisaninę.

To wszystko, rzecz jasna, czcze gadanie. Nikt nie ma wątpliwości, że dzieło będzie sensacją. W przeciwnym razie – po co Vivaldi marnowałby na nie swój talent? Artyści mają z pieniędzmi wiele wspólnego, lecz ich godności kupić nie sposób. Cel Rebeki pozostaje wciąż ten sam: pewnego dnia zostać dostrzeżoną jako muzyk i kompozytor tak wielki jak Vivaldi lub inna ze sław tego miasta. Niemniej, choć nie mówię jej tego wprost, nie bardzo rozumiem, w jaki sposób zamierza to osiągnąć. Jeśli nawet uda jej się ujawnić swoją tożsamość, nie zdradzając zarazem naszych postępków, to czy miasto będzie gotowe zaakceptować kobietę, Żydówkę i w dodatku cudzoziemkę jako następczynię ludzi pokroju Vivaldiego? Spójrz prawdzie w oczy, Lorenzo. Naprawdę kiepsko to widzę, choć chciałbym, żeby było inaczej. Człowiek dorasta z różnymi przesądami, które płyną w jego krwi. Wizja Rebeki stoi w sprzeczności do wszystkiego, co wpaja się nam na temat sposobu, w jaki kobieta i mężczyzna żyją w zbiorowości ludzkiej. No cóż, jak mawiała matka, wszystko wyjdzie w praniu.

Gapiliśmy się na pałac Delapole'a przez dobre trzydzieści minut, po czym poszliśmy na San Cassian, gdzie pokazałem Rebece, oczywiście z zewnątrz, swój dom. Później zaszliśmy do Giacomo dell'Orio, którego bryła przykucnęła na osobnym placyku w pewnej odległości od kanału. W tych dniach tak otwarcie wałęsamy się po mieście, że bez zastanowienia weszliśmy do środka, gdzie trafiliśmy na wiekowego dozorcę, który z wielką ochotą wyjawił nam sekrety tego miejsca. Jest tam fascynujący dach, tak zaprojektowany, by przypominał kil statku, oraz rząd kolumn przywiezionych, jak sądzę, z Bizancjum – jedna ma starożytny kapitel z kwiatowym ornamentem, inna jest z gładkiego prastarego marmuru. Ci Wenecjanie potrafią ukraść wszystko, przysięgam.

Wśród obrazów jest kilka dość przeciętnych męczeństw oraz jedno nowiutkie dzieło, które właśnie wieszał na ścianie jego twórca. Rzecz była tak żałosna, że brakło mi słów. „Artysta" (to określenie jednak dość naciągane) dostrzegł nasze zainteresowanie i zapytał mnie, co sądzę. Obraz miał chyba przedstawiać umarłą, niesioną do grobu Dziewicę, zaś na pierwszym planie ukazano jakieś zamieszanie.

„Chyba nie rozpoznaję tej sceny", wyznałem. „Może mógłbyś nas oświecić, panie?".

Malarz był prostakiem, przygarbionym typem o dziobatej twarzy, na której malował się nieco szalony wyraz. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, kto komu musiał szepnąć słówko, by ta praca została powieszona w publicznym miejscu.

„No jakże, przecież to scena pohańbienia Dziewicy przez Żyda, którego Bóg natychmiast karze za grzech. Patrz pan!".

W rzeczy samej, obok trupiobladego sztywnego ciała Dziewicy stała postać biedaczka, który stracił dłonie na skutek jakiejś cudownej boskiej interwencji. Bardzo chyba przy tym osobistej, gdyż reszta żałobników, wcale go nie zauważając, zajęta była niesieniem

nieszczęsnego ciała na miejsce spoczynku.

„Nie pamiętam tego zdarzenia z Pisma, panie”, stwierdziła słodko Rebeka.

„Sama tylko Biblia nie jest ścieżką do Boga”, bardzo poważnie rzekł szaleniec. „Niektórzy z nas czytają więcej niż inni”.

„Niektórzy mają też lepszą niż inni wyobraźnię”, pozwoliłem sobie zauważyć. „Nie rozumiem jednak, dlaczego ten człowiek ją pokalał. W jakim celu?”.

„Ponieważ jest Żydem, rzecz jasna”.

Rebeka spytała:

„I bez żadnego innego powodu?”.

„A po cóż jeszcze jakiś powód Żydowi?”.

„Chyba by się przydał, panie”, odparłem, „bo czy Maria nie była Żydówką? A Chrystus pół-Żydem?”.

Nawet w panującym w kościele półmroku zauważyłem, jak krew wstępuje w ospowe blizny na jego twarzy.

„Dlaczego więc”, ciągnąłem wobec jego narastającej furii, „jeden Żyd miałby robić coś takiego drugiemu? Chyba że... chyba że... on w tej martwej białej postaci w ogóle nie ujrzał człowieka, a tylko sądził, że to woskowa albo zrobiona z tłuszczu figura dziecka, i chciał podkraść trochę do swojej lampy. Ale wówczas za co Bóg miałby go tak karać? Jestem zupełnie skołowany”.

„Bluźnierstwo!”, zawołał szaleniec i zobaczyłem, jak z drugiego końca nawy stary dozorca kieruje ku nam zaniepokojone spojrzenie.

Rebeka pociągnęła mnie za ramię, ale ja nie chciałem odpuścić.

„Wcale nie, panie. Skoro wieszasz na ścianie dziecięce bohomazy i twierdzisz, że to Dziewica, nie popełniam żadnego bluźnierstwa, mówiąc, że to bohomazy. Komentarz odnosi się do twego talentu bądź jego braku, a nie do Dziewicy”.

„Bluźnierstwo!”.

Dozorca zmierzał ku bocznym drzwiom. Rebeka poganiała mnie ukradkiem. Potrafię rozpoznać, kiedy czas się wynieść.

Uciekliśmy w noc. W samą porę. Do kościoła biegli już żołnierze, gdy skręciliśmy za róg i rozpłynęliśmy się w bezpiecznym mroku skrywającym San Cassian, skąd mogłem przywołać gondolę, by powrócić z Rebeką, przeistoczoną szybko w Roberta, do getta.

Gdy weszliśmy na ostatnią znajomą prostą przed mostem, zwróciła się do mnie i powiedziała:

„Zgubisz nas oboje, Lorenzo, przysięgam!”.

„Głupstwa”, odparłem. „Ten człowiek to oszust. Kiepska sztuka to kiepska sztuka, a domalowanie Dziewicy, żeby nikt się nie zdobył na oskarżenie, jest zwyczajnie nieuczciwe”.

„A więc jeśli napiszę kiepski koncert, to będziesz gwizdał razem ze wszystkimi?”.

„Nawet głośniej niż inni, bo ja lepiej od nich wiem, na ile cię stać”.

Znów parsknięcie. Podeszliśmy do mostu, Rebeka naciągnęła kaptur, a ja raz jeszcze zacząłem przemyśliwać sprawę. Podpity strażnik nie przejął się nami.

Odprowadziłem ją do drzwi. Jacopo otworzył i zobaczył w naszych twarzach wesołość.

„Łobuzy z was”, powiedział. „Przed końcem roku ludzie będą oglądać wasze głowy na nabrzeżu”.

Rebeka pocałowała go w policzek.

„Raczej będą padać mi do stóp z wdzięczności, drogi bracie, gdy zrozumieją, że Serenissima ma kolejnego mistrza”.

„Oczywiście”.

Nasze oczy się spotkały. Chciał coś powiedzieć siostrze, lecz nie miał serca. Obaj wiedzieliśmy, co to było.

Transakcja 27

Sprzedawca zaproponował pusty magazyn na terenie wielkiej opuszczonej stoczni w dzielnicy Arsenale. Daniel cierpliwie wysłuchał dokładnych instrukcji Scacchiego, choć wiedział, że jeśli zajdzie taka konieczność, zacznie działać spontanicznie. To w końcu właśnie przede wszystkim dzięki jego talentowi do improwizacji udało im się pozyskać pieniądze Massitera. Ostrożność Scacchiego, pomyślał, jest zrozumiała w jego wieku. A jednak nie zamierzał czuć się przez nią skrępowany.

– Upewnij się, że skrzypce są oryginalne – nalegał mężczyzna. – Opisałem ci znaki rozpoznawcze. Przyjrzyj się też etykiecie.

– Wiem – odparł niecierpliwie, przez co wenecjanin spojrzał na niego z wyrzutem.

– Ten facet to bandyta, Danielu. Nie graj z nim w żadne gierki.

– Ale zależy mu na pieniądzach. Nie mamy się czego bać.

– Ty nie czytasz gazet, prawda?

To go zbiło z tropu.

– A o co chodzi?

– Nieważne – westchnął Scacchi. – Proszę cię tylko o jedno: bądź czujny. Teraz, gdy to ma się wydarzyć, żałuję, że sam nie mogę tam iść.

Pieniądze spłynęły od Massitera zgodnie z umową. Dolary w gotówce, banknoty o wysokich nominałach, leżały ukryte w bezpiecznym miejscu gdzieś na piętrze w sypialni kochanków. Scacchiemu wciąż brakowało dziesięciu tysięcy dolarów, ale liczył, że jeśli poprosi tu i ówdzie, weźmie krótkoterminową pożyczkę i sprzeda parę rzeczy, w ciągu kilku dni będzie dysponować całą kwotą. Daniel, zgodnie z jego decyzją, miał kazać sprzedawcy zadzwonić w piątek i jeśli obie strony dojdą do porozumienia, transakcja zostanie zrealizowana następnego dnia. Wówczas, o ile wszystko pójdzie zgodnie z planem, wycieczka na Sant' Erasmo będzie okazją, by oblać zakup. Jeśli skrzypce faktycznie okażą się guarnerem, trudno było przewidzieć, co mogłoby pójść źle.

– Obiecałem, że załatwię to za ciebie, Scacchi – powiedział twardo chłopak.

– Ty dotrzymujesz słowa, wiem. Ale ten człowiek nie. On jest oszustem z wyboru, a nie, jak my, z konieczności. Zawsze powinieneś obawiać się takich ludzi. Nie jestem jedynym Lucyferem spuszczonym z uwięzi w tym mieście.

Daniel zaśmiał się. Wyglądało na to, że starzec ze zdenerwowania nie potrafi się uśmiechnąć.

Wyszedł w gorące popołudnie. Vaporetto wypełnione było turystami i rozdrażnionymi wenecjanami. W parne, upalne dni lata miasto potrafiło dopiec. Wydawało się, że nie ma ucieczki spod władzy słońca i unoszącej się powoli znad laguny wilgoci.

Na przystani pod zadaszeniem zauważył zaczytaną Giulię Morelli, policjantkę. Zaniepokojony, zapatrzył się w wodę i nie odezwał się. Kobieta jednak, co było nieuniknione,

uniosła głowę i uśmiechnęła się, rozpoznając go.

– Daniel – powiedziała, wstając na powitanie. – Miło cię znowu widzieć.

– Nie sądziłem, że tak często tu pani przychodzi.

Wzruszyła ramionami i schowała książkę do torby.

– Policjantów wszędzie pełno. To jedna z tych naszych nieprzyjemnych cech. A swoją drogą, gratuluję!

Zdezorientowany chłopak zamrugał. Nie mógł pozbyć się obrazu skradzionych skrzypiec.

– Chodzi mi o koncert, który zapowiada pan Massiter – wyjaśniła.

– Oczywiście. To wielki zaszczyt.

– A jaki nieoczekiwany. Nie miałam pojęcia, że jesteś kompozytorem. Scacchi nic o tym nie wspomniał, kiedy się spotkaliśmy.

– To drobny utwór, tak przynajmniej sądziłem.

– Nie dla signora Massitera. On dostrzega twoją wartość. Musi ci to bardzo pochlebiać.

Daniel niespokojnie rozejrzał się po molo i z ulgą zauważył powoli nadpływającą łódź.

– Tak – mruknął.

Giulia Morelli zerknęła na zegarek.

– Czy Scacchi kupił coś ostatnio? Może o czymś słyszałeś? Chciałabym wiedzieć.

– Słucham?

– Jakiś przedmiot. Antyk. Tym się w końcu zajmuje, prawda?

Daniel poczuł kroplę potu na brwi.

– On chyba przeszedł na emeryturę.

Giulia roześmiała się.

– Ludzie tacy jak Scacchi nigdy nie odchodzą z zawodu, Danielu. Na pewno o tym wiesz.

Vaporetto, kołysząc się na falach, dopływało do molo. Daniel patrzył, jak szczupła dziewczyna w niebieskim mundurze przedsiębiorstwa transportowego ACTV kładzie rękę na barierce, gotowa otworzyć przejście dla pasażerów.

– Dokąd się pani wybiera? – zapytał.

– Kilka tygodni temu z wnętrza pewnej trumny skradziono przedmiot, a świadka kradzieży zamordowano. Przypadkiem znalazłam się na miejscu zbrodni i sama prawie zginęłam. Dla mnie sprawa jest więc poniekąd osobista. Chcę tu upiec własną pieczeń, jak wy, Anglicy, powiadacie.

– Co to ma wspólnego ze Scacchim? Albo ze mną?

– Być może nic. Nie wiem.

Obserwował rzekę ludzi wylewającą się z łodzi i wystraszył się na myśl, że policjantka wejdzie za nim na pokład, by ciągnąć to przesłuchanie przez całą drogę do San Marco, a wtedy trzeba będzie porzucić wszystkie poczynione plany i jakoś odwrócić jej uwagę.

– Proszę się nie gniewać, ale muszę płynąć do La Piety. Mam tam do omówienia kilka trudnych spraw związanych z koncertem. A i tak nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

Nie odpowiedziała. Nadszedł czas, by wejść na pokład.

– Dołączy pani?

– Ja? – odrzekła, rozbawiona. – Ja nie wsiadam na łódź, Danielu. Zobaczyłam cię po prostu, jak stałeś z głową w chmurach, i postanowiłam podejść, porozmawiać. Nigdzie się nie wybieram.

– Więc o co pani chodzi?

– O prawdę, rzecz jasna. I o to, żeby cię ostrzec. Nie wiem, co sobie myślisz, ale to nie jest zabawa. Zginął człowiek. Jeszcze tego nie rozgryzłam, wiem tylko, że to nie jest żadna gra.

Wszedł na trap. Jej szczupła ręka przytrzymała go z zaskakującą siłą.

– Niebezpiecznie jest być niewinnym, Danielu. Zapamiętaj przynajmniej tyle. Proszę.

Uwolnił się od jej uścisku i nie oglądając się, wszedł na pokład. Morelli nie zamierzała iść za nim. Cały przygotowany przez niego plan, którego szczegółom przyglądał się teraz w myślach, będzie mógł zostać zrealizowany. Miał czas na wizytę w La Piecie po drodze. Trzeba było zaprosić Amy. Zaczynał też odczuwać, choć przyznawał to niechętnie, pewne ojcowskie zainteresowanie utworem, który, o czym wszyscy zostali już poinformowani, nosił teraz jego imię.

Muzycy skończyli właśnie próbę jednego z wolniejszych pasaży otwarcia drugiej części koncertu, kiedy wszedł do kościoła. Zwróciły się ku niemu wszystkie twarze i poczuł zaniepokojenie, słysząc szmer podziwu ze strony zgromadzonych.

– Daniel, Daniel! – zawołał Fabozzi z podium. – Pozwól na słówko!

Człowieczek, znowu ubrany na czarno, lecz tym razem w wysokich półbutach, zbiegł z podium, by go powitać. Wydawał się wniebowzięty.

– Zaczynamy się z tym oswajać, drogi kolego! – wykrzyknął. – Zaczynamy rozumieć, co miałeś na myśli!

– Świetnie – odrzekł Daniel z całą pewnością siebie, na jaką go było stać. – Słuchałem chwilę, stojąc przy drzwiach – skłamał. – Brzmi znakomicie.

– To ty jesteś znakomity! – Nigdy wcześniej nie widział dyrygenta tak bardzo zadowolonego z siebie i swoich muzyków. Przez chwilę żałował swojej decyzji o niedołączeniu do orkiestry. Gdy spoglądał na pełne zapału młode twarze wykonawców, widział, że Fabozzi jest świetny w tym, co robi. – Och, Danielu, proszę, zostań z nami.

– Zostanę, na pewno. Ale dopiero wtedy, gdy oddam całość koncertu, panie Fabozzi. A to stanie się w ten weekend, jeśli zachowam obecne tempo. Obiecuję, w przyszłym tygodniu.

– A my tego dopilnujemy. Prawda, Amy?

Dziewczyna wynurzyła się z grupy i przyłączyła do nich. Miała na sobie jasnoniebieską jedwabną koszulę i dżinsy. Włosy związała z tyłu głowy, żeby nie przeszkadzały w graniu. Jej twarz jaśniała i była pełna życia.

– Oczywiście. Nie chciałbyś usłyszeć, jak gramy? Chociaż wolałbyś raczej zostawić to swoje arcydzieło i uciec, czyż nie? Przynajmniej tak czasami mi się wydaje.

– Będę tu siedział cały dzień i patrzył, jak grasz – zapewnił – jeśli ty obiecasz, że nie będziesz narzekać, kiedy skończą ci się nuty.

– Ha! – Zaśmiała się. – Tu mnie masz.

Coś między nimi zaiskrzyło i najwyraźniej Fabozzi poczuł się z tym niezręcznie.

– Wybaczcie – powiedział – muszę jeszcze przyjrzeć się temu pasażowi, zanim znowu zaczniemy. *Ciao!*

Kiedy dyrygent zniknął, Daniel został sam na sam z Amy i próbował napomknąć o wycieczce.

– Tak się zastanawiałem... – zaczął.

– Tak?

– Organizujemy... eem... taki mały wypad. Z grupką moich znajomych. Płyniemy łodzią w tę niedzielę na jedną z wysp. Chyba nic szczególnie interesującego. Pewnie nie chciałabyś jechać.

– Okej.

– Oni nie są tacy jak Massiter. I łódź też jest całkiem inna. Miejscowi. Nie sądzę, by wydali ci się imprezowym towarzystwem.

– Powiedziałam „okej”.

Zarumienił się. Był tego niemal pewien.

– Eem... No to super.

– Więc kiedy? I gdzie?

– To znaczy, że pojedziesz?

Skrzyżowała ręce i zerknęła na niego.

– Chcesz się ze mną umówić, prawda?

– T-tak!

– Więc z wielką chęcią pojadę. Ale kiedy? I gdzie?

Zdawało mu się, że jego policzki płoną.

– Dowiem się dokładnie. Przyjdę jutro i ci powiem.

– Super. Trzymaj. – Wyjęła notes z tylnej kieszeni, napisała numer na kartce, wyrwała ją i podała Danielowi. – Zawsze możesz też zadzwonić. Ci twoi przyjaciele pozwalają ci korzystać z telefonu, prawda?

– Oczywiście!

Amy Hartston uśmiechnęła się.

– Świetnie! – Jej pewność siebie jest w takich sytuacjach niezachwiana, pomyślał, i to pewnie dzięki licznym doświadczeniom. – No to do niedzieli. A teraz siadaj i słuchaj albo uciekaj, Danielu. Twoje nuty to czasami prawdziwa udręka. Chwilami wydaje mi się, że wcielił się w ciebie duch Paganiniego. Obojgu nam zależy, bym grała tak przekonywająco, jak tylko można.

To powiedziawszy, odwróciła się i wróciła do muzyków, którzy przygotowywali się do wznowienia próby – stroili instrumenty, wertowali nuty i mamrotali pod nosem, przeglądając uważnie kartki. Przez sekundę Danielem Forsterem zawładnął osłabiający atak poczucia winy. Podziw, jaki ci ludzie mieli wobec niego, był zupełnie niezasłużony. Z drugiej strony, powiedział sobie, bez jego pilnych poszukiwań i układów z Massiterem nie staliby się nigdy częścią tego wspaniałego zdarzenia, które właśnie nabierało kształtu w sali kościoła La Pietà. Mieli wobec niego dług, choć może inny, niż im się wydawało.

Wszyscy na powrót zatopili się w muzyce i nikt nie zauważył jego wyjścia. Daniel ruszył wzdłuż bulwaru Riva degli Schiavoni. Plansza z logo Campari stojąca obok przystanku vaporetto na wyspie Lido migotała w rozgrzanym powietrzu po drugiej stronie laguny. Gdzieś dalej za molo, po przeciwnej stronie wąskiego spłachetka lądu, tłumy wczasowiczów leżały na plaży, gapiąc się w płaską powierzchnię błękitnego Adriatyku. Wydawało się, że laguna zawiera w swoim obrębie cały wszechświat, i to w większości przez niego nieodkryty.

Gdy dotarł do kościoła San Biagio i zgodnie ze wskazówkami zszedł z nabrzeża, znalazł się wśród miejscowych: kobiet z torbami pełnymi zakupów oraz mężczyzn siedzących na ławkach, którzy przyglądali się przepływającym łodziom i palili.

Skręcił w lewo i poszedł wzdłuż Canale dell’ Arsenale. Zmierzał do wybrukowanej kocimi łbami alejki za mostkiem. Tam przed jego oczami rozpostarła się obszerna wyludniona dzielnica Arsenale. Do opuszczonego magazynu prowadziło cuchnące kocim moczem przejście. Daniel pchnął na wpół rozwalone drzwi i wszedł do środka. Panował tam zapach mocnych papierosów i wody po goleniu.

Stanął w świetle padającym od wejścia. Odczekał chwilę i zawołał:

– Jest tu ktoś?

Z cienia wynurzył się człowiek, który stanął obok niego w słońcu i zaproponował papierosa. Byli mniej więcej tego samego wzrostu i postury, obaj wysocy i raczej słabo umięśnieni, choć tamten był starszy. Miał twarz o ziemistej, nieco ospowatej cerze i nosił za duże okulary przeciwsłoneczne w plastikowych oprawkach.

– Nie, dziękuję. Jestem Daniel.

Człowiek parsknął.

– Przedstawiasz mi się?

Forster przesunął dłonią po brodzie, zastanawiając się nad słowami Scacchiego i policjantki. Niełatwo rozpoznać złodzieja, a co dopiero mordercę.

– Masz tę rzecz?

– Przecież ją chciałeś, no nie? A ty masz pieniądze?

Daniel wzruszył ramionami.

– Ja jestem tylko pośrednikiem. Muszę zobaczyć, że to jest to, czego on chce.

Człowiek cisnął niedopałek w kąt magazynu.

– Jest na pewno. Łap.

Tania nylonowa torba poleciała w jego kierunku. Ledwie zdołał ją chwycić.

– Skoro jest, jak twierdzisz, kolego, to powinieneś lepiej się z tym obchodzić.

Tamten znów wszedł w cień i zapalił kolejnego papierosa.

– Te, chłopaczku, nie mów mi, co mam robić z czymś, co jest moje. Kupisz, rób z tym, co chcesz. Tymczasem się przymknij.

Daniel nic nie odpowiedział. Otworzył torbę i wyjął starodawny, pokryty dziwnie śmierdzącym nalotem futerał. Był ciężki. Chłopak klęknął w świetle padającym od wejścia, położył futerał na ziemi i otworzył go. W środku spoczywały najbardziej niezwykłe skrzypce, jakie w życiu widział. Były masywne, tak jak uprzedzał go Scacchi. Miały też smugi biegnące po obu stronach pudła rezonansowego równolegle do gryfu. Daniel podniósł instrument i w bladym świetle spojrzał przez lewy otwór w kształcie litery f. Wewnątrz, wykonany czarnymi literami na brązowym materiale etykiety, widniał napis: *Joseph Guarnerius fecit Cremone, anno 1733*, oraz litery *IHS*, a ponad nimi mały krzyżyk.

Skrzypce były brzydkie w porównaniu do tradycyjnych instrumentów, ale leżały w ręku miękko i elegancko. Nie zrobiono ich, by je podziwiać, lecz żeby na nich grać. Nie było najmniejszej wątpliwości, że instrument jest oryginalny.

– No i co? – ochrypły głos z ciemności zagadnął z weneckim akcentem.

– Po rynku krąży sporo podróbek.

Mężczyzna prychnął.

– To nie jest żadna podróbka.

– Jesteś pewny? Naprawdę wiesz, co tu masz?

Facet podszedł do drzwi i przez krótką chwilę zdawało się, że ma zamiar chwycić skrzypce i wyjść, lecz chyba odrzucił tę myśl w momencie, gdy się pojawiła. Daniela to zastanowiło.

– Dwa pytania, Angliku. Bierzesz? Jeśli tak, gdzie forsa?

Nie zamierzał polubić złodzieja, lecz głębokość odczuwanej antypatii zaskoczyła go. Tego człowieka zdawało się ogarniać szaleństwo. Policjantka ostrzegła go zapewne w dobrej wierze. Lecz widział zarazem, że złodziej jest wystraszony i zależy mu na tym, by mieć już tę transakcję za sobą.

– Jeszcze jedna próba – powiedział Daniel. W futerale leżał smyczek, który chłopak wziął do ręki i wysunął z osłony. Włosie było luźne i, co ciekawe, suche. Kręcąc śrubą, naciągnął je i umieścił guarnera przy podbródku.

Oczy oszusta zapłonęły wściekle.

– Hej! Nie pozwoliłem ci grać na tym cholerstwie!

– To instrument. Myślisz, że wyłożę taką sumę, nie usłyszawszy, jak gra?

Włoch odsunął się i siadł na niskiej brudnej ławce przy drzwiach. Daniel uniósł smyk i ostrożnie zagrał fragment prostej sonaty Händla.

Długo później, gdy był na to czas i gdy oddzielił go od tego wydarzenia potrzebny dystans, próbował zanalizować, co się stało. Przede wszystkim, jak sądził, w grę wchodzić musiała niezwykła akustyka stuleciami nasiąkającego wodą średniowiecznego magazynu, w którego rogach grało echo. Trzymał w rękach wiele instrumentów, lecz brzmienie tych skrzypiec było znacznie bogatsze i pełniejsze niż innych. Jego moc uniosła się znad pękatego brzydkiego pudła jak dżin uwolniony z butli. Nawet przy słabych umiejętnościach Daniela skrzypce ryczały niczym rozjuszony lew. W rękach doświadczonego muzyka, takiego jak Amy, efekt byłby z pewnością piorunujący.

Zagrał kilka taktów Händla, przerwał, po czym mocno uderzył smykiem w struny i przywołał jedną linię z koncertu, który teraz nosił jego imię. Opadł na niego czarny woal głębokiego skupienia. Przez sekundę wyobraził sobie, że siedzi w wielkiej otwartej sali o dziwnych oknach w obecności prawdziwego kompozytora dzieła. Jednak tajemnicza postać, niedostrzegalna, stała za jego plecami. Raziło go dziwne światło padające z okien. Skądś, głośniejszy od muzyki, doleciał krzyk. I wtedy umiejętności i pamięć zawiodły go, a wraz z nimi odpłynął sen na jawie. Nuty wybrzmiały i zamilkły. Daniel uniósł smyczek.

Złodziej stał nad nim, trzęsąc się z gniewu, ale i ze strachu. Trzymał w dłoni wąskie ostrze błyskające w promieniach słońca.

– Dość! – syknął. – Koniec tego cholernego grania.

Spojrzał na niego krótko, po czym odłożył skrzypce do futerału i zapiął smyczek w miejscu jego mocowania w wieku. Uniósł brudne pudło i wysunął je przed siebie.

– Podróbka – rzekł pewnym głosem. – Ale bardzo dobra. Na tyle dobra, że możemy się jakoś jeszcze dogadać. No ale to jednak nie oryginał. Tyle chyba przynajmniej usłyszałeś?

Nóż przeciął powietrze kilka centymetrów od jego twarzy.

– Nie okłamuj mnie!

Daniel odczekał chwilę, po czym powiedział lekko:

– Jeśli chcesz, możesz je sobie zabrać z powrotem.

Po dłuższej chwili, po tym, jak w gęstym od oparów powietrzu magazynu rozpłynął się każdy, najlżejszy nawet szept wibrujących dźwięków skrzypiec, złodziej skinął głową, jakby się poddawał, złożył nóż i schował go do kieszeni.

– Dobrze – Forster z trudem powstrzymał uśmiech. – Teraz możemy pogadać.

Najsmutniejsza strata 28

Siedzę w swoim małym pokoju, trzecim po prawej na trzecim piętrze, i z żałobą w sercu wpatruję się w okno, za którym jest plac San Cassian, nasłuchując odległych głosów dziwek i chodzących zygzakiem ulicami pijaków. Nic innego nie umiem, jak łkać i przeklinać wszelkie stworzenie.

Tego popołudnia krótki list przyszedł z Sewilli. Moja ukochana siostra Lucia nie żyje. Piszą o jakimś niedomaganiu żołądka. Cóż hiszpańskie konowały wiedzą o tych sprawach? Gdyby zapadła na zdrowiu tu, w Wenecji, Jacopo postawiłby ją na nogi jednym wiedzącym spojrzeniem i łyżką lekarstwa. A teraz leży zimna w obcym grobie. Nigdy już nie usłyszę jej śmiechu ani nie poczuję ciepła miękkiej dłoni.

Dlaczego nie żyje? Czy to zemsta Boga za to, że z Rebeką bawiłem się w chowanego w Jego domostwach przez ostatnich kilka tygodni? Czy to wyroki Boże, czy może tych bogatych światowych mężów, co to się sami obwołali Jego ambasadorami? Jakież bóstwo chciałoby wywrzeć pomstę na dwójce takich szczeniaków jak my: młodych, głupich, szczęśliwych, przepełnionych życiem, które jest, jak każą nam wierzyć, najważniejszym darem Boga?

A jednak... moja siostra odeszła. Hiszpańskie zakażenie skradło jej drogocenne życie. Przez moją głowę gonią możliwości, decyzje i działania, które mogłem przedsięwziąć, by Lucia wciąż żyła, uśmiechała się i wymagała od świata, by ją zabawiał. Na próżno. Czas ciąży nam bezlitosnym, nieskończonym jarzmem. Nie ma sposobności, by się dowiedzieć, kiedy lwia paszcza zamknie się szczelnie wokół człowieka, więc trzeba w każdej godzinie żyć pełnią życia, a niech księża troszczą się, co będzie potem. Po cóż miałbym się zamęczać myślami, dlaczego porzuciłem Boga? Czy nie bardziej zasadnym jest pytanie, dlaczego On opuścił mnie, zostawił na pastwę własnych mrocznych rozmyślań?

Gdy już jako tako doszedłem do siebie, przekazałem wieść Leonowi. Popatrzył na mnie dziwnie. On chyba też wiele stracił w życiu. Coś w wyrazie jego twarzy powiedziało mi, że śmierć Lucii uczyniła ze mnie jego wspólnika, towarzysza szeptanego sekretu o naturze ludzkiego życia. Podszedł do stołu, przy którym siedziałem pogrążony w rozpaczy, i położył mi rękę na ramieniu.

– Lorenzo, doprawdy bardzo mi przykro to słyszeć. – W jego oczach nie było łez. Odkąd dałem mu utwór Rebeki, wydawał się nim bez reszty zaprzątnięty. – Nie powinieneś się jednak dziwić.

Uczułem, jak narasta we mnie bezmyślny gorący gniew.

– Nie dziwić się, wuju? Moja siostra miała dwadzieścia jeden lat i była zdrowa jak ryba, kiedy wyjeżdżała do Hiszpanii! To oczywiste, że się dziwię.

– Tak, tak, chłopcze. – Męczy mnie, gdy ktoś się do mnie zwraca jak do młodzika. Już miałem mu to powiedzieć, gdy rzekł nagle coś, co odebrało mi dech. – Musisz jednak coś

wiedzieć, Lorenzo: to zawsze się tak kończy. Gdy kogoś kochasz, osoba ta odejdzie w taki czy inny sposób. Bądź samotnikiem i naucz się, jak gasić ból serca. To moja rada.

W dorastaniu każdego człowieka jest taka chwila, gdy zaczyna pojmować, że dorosłość nie równa się mądrości. Ja byłem chyba zapóźnionym uczniem w tej dziedzinie. Leo jest głupcem, skwaszonym, krótkowzrocznym głupcem. Zamieszkuje jednobarwny wszechświat, gdzie jedyne ciepło i radość pochodzą z własnych skrytych rozważań. Nikogo niczym nie obdarza i co za tym idzie, niczego nie otrzymuje w zamian.

A przy tym kradnie. Popatrzyłem na papiery rozłożone na stole, które zdawały się pochłaniać go znacznie bardziej niż moja strata. Jednym z nich był frontyspis części koncertu Rebeki, który wrócił od kopistów, jakich musieliśmy nająć, by sprostać terminowi ustalonemu przez Delapole'a. W miejscu na imię kompozytora ujrzałem ku swemu zdumieniu nazwisko „Leonardo Scacchi". Przecież powinno być puste, zważywszy na okoliczności.

– Wuju! Nie możesz tego zrobić!

– Oczywiście, że nie – odparł z wyraźną nutą sarkazmu w głosie. – Na pewno nie od razu.

– W ogóle! To nie twoje dzieło.

– Nie? A kto o tym wie? Jeśli ktoś wystąpi i obwoła się jego twórcą, to na jakiej podstawie mamy mu uwierzyć? Po co w ogóle były te gierki? Idę o zakład, że tu odbywają się jakieś małpie targi. Nie wyobrażaj sobie, że postąpię tak, jakby sobie tego życzył nasz anonimowy żartowniś. Czemu mam nie popatrzeć, jak ten utwór wygląda z moim nazwiskiem na okładce? Sam także mógłbym być muzykiem, gdyby nie przeklęty szpon. A na te zabazgrolone kwitki, które ktoś podrzucił pod drzwi, i tak trzeba było nanieść mnóstwo poprawek. I nic mi się za to nie należy?

Brakło mi słów, więc pospiesznie wyszedłem z domu i przez chwilę siedziałem w parafialnym kościele. Nie powiedziałem księdzu nic z tego, co się zdarzyło, bo nie wiedziałem, jak w stanie wielkiego wzburzenia przyjmę współczucie, które pewnie by mi okazał.

Zamiast tego klęczałem w ławce godzinę lub dłużej, jakby pogrążony w medytacji. Me wynurzenia straciły swój cel. Nie odbierze ich już piękna dłoń w Sewilli. Przestałem być uprzejmym kronikarzem braterskich uczuć, który dla swej siostry fakty oczyszcza z brudów. Teraz niech myśli płyną z mojej duszy z całą mocą zawartej w nich prawdy, jak bezlitosna i gorzka by była.

Przyznaję więc przed sobą, że moja siostra od dawna nie była najważniejszym tematem moich rozważań. Mój umysł buntował się przeciw jej niesprawiedliwej śmierci, nie mógł się na nią zgodzić. Siedziałem w kościele imienia świętego Kasjana i wpatrywałem się w stare malowidło, które niegdyś opisywałem Lucii – mistrz cierpiący męki z rąk uczniów. W ciemnościach pozwoliłem, by moja wyobraźnia podniosła się niczym Lucyfer powstający z krainy potępienia. Leo był mistrzem, ja uczniem. W mojej prawej ręce dłuto, w lewej ostre pióro, którego końcówka tnie jak najostrzejszy sztylet.

Ile istnień każdego dnia ginie w wyobraźni? Miliony ludzi, jak sądzę, którzy następnego ranka wstają do swoich zajęć, nieświadomi potwornego losu, który stał się udziałem ich wyśnionych postaci w umyśle innego człowieka zaledwie kilka godzin wcześniej. Stalówka i dłuto. Miecz i skalpel. Gdyby Leo mógł zajrzeć do mojego umysłu i zobaczyć, jakież wyczyniałem cuda z jego wiotkim ciałkiem, padłby bez ducha z przerażenia. Lecz nikt nie zna myśli innych. Następnego dnia przy śniadaniu Leo obdarzył mnie ujmującym uśmiechem i rzekł:

– Jadę do Ca' Dario zamienić słowo z tym twoim znajomkiem Gobbem. Muszę mieć władzę nad Delapole'em, chłopcze. Muszę trzymać go mocno w garści.

Wymuszona transakcja 29

Rizzo przeklinał swojego pecha. Anglicy chyba go prześladowali. Początkowo zdawało mu się, że chłopaczek od Scacchiego to zwykły smarkacz. Szybko jednak zmienił zdanie. Daniela nie zastraszyły groźby i nie bał się straty tego cholernego instrumentu. Czyżby dostrzegł, jak bardzo Rizzo pragnie pozbyć się skrzypiec, i dlatego zdecydował się zbijać cenę? Zresztą po chwili to już właściwie nie miało znaczenia. Gdy Rizzo usłyszał grę chłopaka, chciał wrzeszczeć aż do utraty tchu. Wtedy właśnie postanowił, że już nigdy nie dotknie tego pieprzonego instrumentu. Pozostawało tylko pytanie, ile pieniędzy uda mu się zgarnąć od ręki.

– A więc chcesz mówić o interesach. – Chrząknął. – No to mów.

Daniel nie trzymał już skrzypiec w wyciągniętej ręce, ale postawił je na ziemi między nimi.

– Trudno oszacować wartość tej rzeczy. Nie wiem.

Kłamanie nieźle mu idzie, pomyślał, ale nie tak dobrze, jak sądzi.

– Skoro tego nie wiesz, to o czym tu mówić?

Tamten położył długą bladą dłoń na podbródku gestem, który Rizzowi przypomniał Massitera.

– Nie mam pojęcia, jak moglibyśmy to upłynnić.

Złodziej zamachał w powietrzu papierosem.

– To już twój problem, kolego. Ja chcę tylko wiedzieć, ile dajesz. Tu i teraz. Ustalimy tu, między nami, sumę i razem wyjdziemy. Ile mi za to dasz?

Młody Anglik zamrugał, zastanawiając się. Rizzowi zależało na pozbyciu się skrzypiec za wszelką cenę, ale chciał dostać forsę w twardej gotówce.

– Nie mamy w zwyczaju nosić przy sobie dużych sum – odparł Daniel, znów kłamiąc.

Chwycił go za ramię, nachylił się i wypuścił mu w twarz gęstą chmurę papierosowego dymu.

– Nie chrzań. Nie handluję takimi rzeczami, ale wiem, że są dużo warte. Sam powiedziałeś: może to podróbka, a może nie. Nie wiem. Ale taki bystrzak jak ty mógłby się postarać, by wyglądały na autentyk. Wtedy wzrosłaby ich wartość.

– To prawda. Ale także całe ryzyko byłoby po naszej stronie.

Rizzo nie odpowiedział.

– Dobra. Dwadzieścia tysięcy dolarów – zaproponował Daniel. – Gotówką. Jeszcze dzisiaj.

– Chcesz mnie obrazić?

– Wcale nie. Chcę, żebyśmy obaj wyszli na swoje.

– Taa. – Chłopak nawet gadał jak Massiter.

– Więc ile chcesz?

– Pięćdziesiąt kawałków. Gotówka. Teraz.

Daniel skrzywił się.

– Takie pieniądze nie leżą u nas ot tak.

– Więc?

– Powiedzmy, czterdzieści tysięcy. Myślę, że możemy to razem załatwić. Jeśli pójdziesz ze mną, w ciągu godziny zakończymy sprawę.

Czterdzieści tysięcy dolarów to wciąż pokaźna suma. Mógłby za nią otworzyć bar.

– To kawał grosza za podróbkę, nie sądzisz, Danielu? – Chciał, by ten angielski dzieciak przynajmniej zdawał sobie sprawę, że on wie, kiedy się go robi w konia.

– Racja – zgodził się. – To kawał grosza. Bierzesz?

Rizzo spojrzał na stojący na ziemi futerał i skrzywił się.

– Idziemy po pieniądze od razu. Ja idę z tobą.

– Jasne.

– Ty je niesiesz – mruknął. – Już mi się rzygać chce od tego cholerstwa.

Poszli na przystanek Arsenale i razem wsiedli na pierwsze vaporetto. Tramwaj dla odmiany był w połowie pusty. Zajęli miejsca pod otwartym niebem na rufie, na twardych niebieskich krzesełkach. Rizzo pozwolił mu usiąść po prawej, od strony nabrzeża dzielnicy San Marco. Rozbrzmiewająca w głowie nuta ostrożności podpowiadała mu, że lepiej nie być widzianym z tym dziwnym przebiegłym chłopaczkiem. W zasadzie nie było powodu do obaw, ponieważ to Daniel trzymał futerał (nylonowa torba została w magazynie), a w dodatku nie odzywali się do siebie i nikt nie mógłby ich ze sobą powiązać.

Wtedy łódź przepłynęła obok La Piety i serce Rizza na chwilę zamarło. Pod kościołem zobaczył zbiegowisko, medialne wydarzenie z reporterami, fotografami i tłumem młodych muzyków trzymających w rękach instrumenty. To show Massitera, powinien pamiętać. Massiter też tam był, stał pośrodku zgromadzenia. Łatwo mógł ich obu wypatrzeć. Ale o co miałby podejrzewać swojego chłopca na posyłki, skoro ten siedzi tylko na rufie vaporetto obok jakiegoś bladego dzieciaka, który, tak się akurat składa, trzyma na kolanach futerał na skrzypce? Nie było się czym przejmować. Massiter stał odwrócony do nich plecami. Gdyby coś zauważył, te jego szare lodowate oczy już świdrowałyby łódź. Na wszelki wypadek Rizzo mruknął coś na temat upału, wszedł do nadbudówki i siadł między Danielem a wyjściem z łodzi. Nie warto kusić losu.

Wysiedli na przystanku pod kościołem San Stae i poszli w kierunku Rialto. Złodziej nie miał pojęcia, gdzie mieszka stary, chociaż nietrudno byłoby się dowiedzieć. Tylko raz wcześniej robili ze sobą interesy i też odbywało się to przez pośrednika. Młody Anglik kazał mu trzymać się z daleka od domu Scacchiego. Włoch nie miał nic przeciw temu, ale i tak chciał się dowiedzieć.

Zamówili po piwie w malutkim barze na *campo* przy San Cassian, naprzeciw kościoła. Rizzo wziął drugie. Daniel odmówił. Poza nimi nikogo nie było.

– Idę po pieniądze. Skrzypce zostawię tutaj, potem przyjdę z gotówką. Będziesz mógł przeliczyć w toalecie, jeśli zechcesz.

Zaśmiał się. Chłopaczek chwilami był zabawny: chyba zdawało mu się, że występuje w amatorskim przedstawieniu.

– Zabierz to i wróć z tym, co mi się należy.

Daniel uśmiechnął się.

– Dzięki za zaufanie.

Rizzo, po raz pierwszy, odkąd wyszedł tego ranka z domu, zdjął okulary. Popatrzył na

pośrednika.

– A co tu ma do rzeczy zaufanie? Jak mnie oszwabisz, przyjdę i cię załatwię. Rozumiesz?

Dzieciak pobladł nieco, po czym skinął głową. Wreszcie zrozumiał.

– Przynieś po prostu forsę. A potem nigdy więcej się nie spotkamy.

– Okej.

Rizzo przyglądał się, jak chłopak skręca w lewo na most nad niewielkim *rio*, a następnie wolno podszedł do drzwi, by nie stracić go z oczu. Nie spodziewał się, że to będzie aż tak proste: Daniel przeszedł przez most, wyjął klucz i otworzył drzwi domu sąsiadującego ze sklepikiem z pamiątkami. Złodziej wpatrywał się w plątaninę budynków na rogu. Wejście było skromne, ale, jak sądził, musiało prowadzić do wielkiego starego pałacu nad kanałem. Nawet przez chwilę nie wątpił, że pośrednik wróci z tym, co jest mu winien.

Usiadł z powrotem i powoli dokończył piwo. Piętnaście minut później przyszedł Daniel z reklamówką z supermarketu Standa, w której spoczywał pakunek owinięty w czarną folię, oklejony taśmą i wypełniony pakietami podobnymi do ułożonych ściśle jedna obok drugiej cegieł.

Zza baru przyglądał im się barman. Rizzo wziął trzecie piwo. Daniel odmówił.

– Tak jak mówiłem – powtórzył – gdybyś chciał sprawdzić...

Tylko pokręcił głową.

– Jesteśmy kwita. Możesz iść.

Daniel wyszedł z baru z widoczną ulgą. Rizzo usiadł przy jednym ze stolików na zewnątrz i położył sobie na kolanach torbę z pieniędzmi. Alkohol szumiał mu już trochę w głowie. Dał się wyrolować, ale rozgoryczenie, jakie odczuwał, miało przyczyny wyłącznie osobiste, nie finansowe. Wiedział, że to minie. Pieniądze pomogą.

Gapił się na młodą dziewczynę przechodzącą w pobliżu, wcielenie weneckiej cudowności ze smukłymi nogami i burzą długich brązowych włosów. Gwizdnął i roześmiał się, gdy na moście przyspieszyła kroku. Czuł się dobrze. Było już za późno na znalezienie banku i zdeponowanie pieniądzy, więc postanowił załatwić to jutro. Będzie się spokojnie przyglądał nadskakującemu mu bankierowi.

Dom Scacchiego zaintrygował go. Wpatrywał się w półprzymknięte okiennice. Nie miałby nic przeciw temu, by zajrzeć do środka. Pewnie wypróbowywali nowo nabyte skrzypce. Może obliczali, ile na nich zarobią. Nie przeszkadzało mu to. Coś podpowiadało Rizzowi, że ten instrument to ciemna sprawa i z zakończonej właśnie transakcji nie wyniknie dla Daniela nic dobrego.

Siedział przed malutkim barem i upijał się zwolna, bezczynnie obserwując dom. Przyjechał dostawca z jedzeniem. Facet z firmy gazowniczej zadzwonił, by umówić się na odczytywanie liczników. Jakaś kobieta z torbami pełnymi zakupów przeszła przez plac. Rizzo pożałował, że tyle wypił. Nagle zaśmiał się pozbawionym wesołości konwulsyjnym śmiechem, który przeszedł w atak kaszlu.

Barman stanął w drzwiach i popatrzył na niego.

– Dzieje się coś zabawnego?

– Nic – odparł. Czuł się weselej niż kiedykolwiek od czasu wizyty na cmentarzu San Michele. Pozbył się skrzypiec. W ich miejsce dostał żywą gotówkę, a w rozgrzanym powietrzu nad laguną wyczuwał zapach zmian.

Samotny w Arsenale 30

Ile tajemnic może pomieścić głowa, nim ogarnie ją niemoc? Dla mnie to już za wiele. Umysł ludzki stworzony jest, by oszukiwać tak siebie, jak innych. Te uwagi czynię w myślach, odkąd nie mam już śmiałości przelewać ich na papier. Gdy spoglądam w przeszłość, zastanawiam się, czemu powiedziałem Lucii tak wiele. Republika ma sposoby, by dostać list w swoje ręce. Żywię tylko nadzieję, że założenie, które przyjąłem nieświadomie i z którego wynikły moje głupie poczynania, iż żaden szpieg nie zainteresuje się historyjkami dziewiętnastolatka wysyłanymi do siostry w Hiszpanii, okaże się słuszne.

Trwają przygotowania do ustawionego koncertu. Gobbo zabrał mnie do tawerny za Ca' Dario i wszystko szczegółowo mi opowiedział. Leo i Delapole będą głównymi organizatorami – mój wuj zajmie się sprawą od strony muzycznej, a Anglik zrealizuje przedstawienie i wyłoży pieniądze.

– Dlaczego oni to robią, Gobbo? – zastanawiałem się, popijając bez przekonania kwaśne czerwone wino z kubka, który przyjaciel wcisnął mi w rękę.

– Dla mojego pana to rozrywka bogacza – odrzekł. – Takie zabawy trzymają zamożnych przy życiu, Scacchi. Bez tego umarliby z nudów. Zaś co do twojego wuja, sam sobie odpowiedz. Co jest dla niego powodem wszelkich działań? Rzecz jasna, pieniądz. Pewnie ma nadzieję wycisnąć go z każdego kompozytora, jaki tylko się pojawi. A i Delapole nie miałby nic przeciw temu. Bogactwo to dobra rzecz i przy tempie, w jakim wydaje pieniądze, musi być pewny, że się ono nie wyczerpie.

Gobbo mylił się co do Leona, lecz nie wytknąłem mu tego. Złoto faktycznie powoduje moim wujem, aczkolwiek w grę wchodzą także głębsze motywy.

– A gdy już koncert odniesie sukces?

– No cóż – rzekł, uśmiechając się. – Będą wyciskać grosz z tego przedsięwzięcia do samego końca. Jeśli dobrze rozumiem, plan jest taki, by odczekać, aż ludzie – ciekawi, kim jest kompozytor – będą się ślinić jak marynarz, co się naprasza kurewce z Dorsoduro. Potem odczekają jeszcze trochę, tak dla rozrywki. Wreszcie ogłoszony zostanie kolejny koncert – bilety płatne z góry – na którym nareszcie ujawni się twórca. Trochę dobrego teatru: oto, za czym przepada Wenecja, a mój pan sądzi, że rozegra to znakomicie. Zapewne, jak mu się wydaje, gdyby tylko zechciał, sam mógłby skrobnąć sztukę czy koncercik, ale w dzisiejszych czasach chyba każdy tak uważa. Stary Leo również myśli podobnie, a i nasz francuski znajomek twierdził, że nie ma takiego zajęcia na świecie, któremu nie dałby rady sprostać.

Przez moją głowę przesunęły się obrazy tego, co może się stać na planowanej uroczystości. Z kim jednak mógłbym o tym pomówić poza rodzeństwem Levich, które było zbyt blisko tych spraw, by patrzeć na nie trzeźwo?

Śmierć Lucii i cała sieć pozorów, jaką wokół siebie rozwinęliśmy, dodawała jeszcze goryczy do mojego gorzkiego już nastroju. Przyszedłem po Rebekę zgodnie z ustaleniami, ale od chwili, gdy odegraliśmy pod okiem strażników tę samą co zawsze scenkę, by wymknąć się do La Piety, prawie nie rozmawialiśmy. Po raz pierwszy nie mogłem słuchać jej gry. Zamiast tego ruszyłem nabrzeżem do bram dzielnicy Arsenale, gdzie robotnicy w pocie czoła szykują kolejne okręty dla floty. Gdy tak pracowali w żarze bijącym od koksowników, w powietrzu rozbrzmiewały przekleństwa w językach, których nigdy wcześniej nie słyszałem. Było to ekscytujące, ale też trochę straszne. Zrozumiałem, jak musi się czuć Rebeka, gdy uwalnia się choć na chwilę z getta. Wenecja stała się poniekąd moim więzieniem. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek dane mi będzie wyrwać się z niego.

Siadłem na nabrzeżu, wcielenie mizerii. Na godzinę, może dłużej, pogrążyłem się w jałowych rozmyślaniach, po czym powlokłem się z powrotem do kościoła i zastałem przyjaciółkę z lśniącym nowością futerałem, w którym spoczywał instrument podarowany hojną ręką Delapole'a. Jej los na tym świecie przez ostatnich kilka tygodni bardzo się poprawił. Zaczęła mi się przyglądać i chyba zauważyła, że coś mnie dręczy, bo ujęła na chwilkę moją dłoń i wyprowadziła z San Marco z powrotem ku Arsenale, zatrzymując się dopiero przy wielkiej bramie przy opustoszałych miejskich ogrodach. Tam usiedliśmy pod baldachimem pachnących oleandrów i przyglądaliśmy się łodziom przepływającym przez lagunę. Na Lido, odległej wyspie, która stanowi zaporę przed potęgą Adriatyku, paliło się kilka świateł. Nocne powietrze gęste było od piżmowego aromatu, jaki wydają kwitnące drzewa. Czarne sylwetki rozświergotanych jerzyków odcinały się na tle księżyca. Zdawało mi się, że nie umiem wypowiedzieć zdania złożonego z więcej niż trzech słów.

Wreszcie Rebeka odwróciła się ku mnie z zatroskaną twarzą.

– Lorenzo – powiedziała – jesteś moim najdroższym przyjacielem. Co cię trapi? Nigdy wcześniej cię takim nie widziałam.

Jestem mężczyzną i nie wolno mi płakać. W każdym z nas kotłują się wielkie namiętności, lecz wstrzymujemy je, by pokazać innym oblicze nowoczesnego chrześcijanina, zaś wszelkie przeżycia, uczucia i emocje zamykamy szczelnie w sercu. Gdy przemierzam ulice tego miasta i widzę blade twarze cnotliwych ludzi złapanych w pułapkę codziennych nawyków i obowiązków, czuję, jakby otaczali mnie umarli. Ich spojrzenia wzywają, bym do nich dołączył.

Opowiedziałem Rebece o losie siostry tak jasno i szczegółowo, jak tylko potrafiłem. Mówiłem o naszej rodzinie i mojej miłości do Lucii. I zapłakałem z rozpaczy i gniewu. Miotałem się po nabrzeżu jak szaleniec, przeklinając siebie, przeklinając ludzkość, przeklinając Boga. Jej. Mojego. Każdego, którego umiałem wymienić. Po mojej twarzy spływały łzy. Tej nocy zaznałem obłędu. Miał smak soli i śliny, szumiał jak krew gotująca się w uszach i zionął w piersiach czarną dziurą.

Gdy wreszcie ucichłem, usiadłem znów obok Rebeki i rękawem otarłem załzawioną twarz. Nie dotknęła mnie. Nie mogłem jej za to winić. To ja byłem odmieniony, nie ona. Jakaż kobieta chce oglądać mężczyznę zachowującego się w taki sposób? Znów ją błędnie osądziłem.

– Lorenzo – powiedziała głosem bardzo spokojnym. – Twój gniew nie jest skierowany przeciw losowi, Bogu czy Wenecji. Jest skierowany przeciw sobie. Pytasz, czemu nie mogłeś uchronić Lucii przed jej przeznaczeniem. Chociaż wiesz, że na to pytanie nie ma odpowiedzi, wciąż pożera ono twoją duszę. Czujesz się odpowiedzialny i przypisujesz sobie winę, która zwraca twój gniew do wnętrza. Jak sądzę, jest to jedno ze stadiów żałoby. Jacopo i ja także jesteśmy sierotami. Myślisz, że nic mi na ten temat nie wiadomo?

Była to rozumna odpowiedź, a gdybym i ja był w owej chwili rozumny, za taką bym ją poczytał. Jednakże z taką ilością goryczy w głosie, że samego mnie to zdziwiło, powiedziałem:

– Jak mogłaś winić siebie za śmierć swego ojca? Czy winiłaś Boga, tak jak ja winiłem go przez ostatnich parę tygodni? Czy wkroczyłaś do jego domu i potrząsnęłaś mu pięścią przed twarzą?

– Lorenzo, sam wiesz, że to niepoważne. – W jej głosie wybrzmiała nuta rozczarowania. – Lucia nie żyje z wyroku losu, a nie z powodu Bożej zemsty.

– Wiem – odparłem. I tak było. Lecz w każdym z nas czai się demon irracjonalności, który nigdy nie zasypia.

Potrząsnęła mną, co mnie zaskoczyło, po czym ujęła mnie pod ramię.

– Chodź, pokażę ci prawdziwe oblicze Boga, byś sam mógł zdecydować, jak jest.

31 Nieznośny stan łaski

Skrzypce były kupione. W domu zostało około trzydziestu tysięcy dolarów z pieniędzy Massitera z widokiem na kolejnych pięćdziesiąt tysięcy przed końcem lata. Jak Daniel przypuszczał, ta dodatkowa rezerwa powinna ułatwić negocjacje Scacchiego z wierzycielami. Jednak nawet jeśli tak było, stary człowiek nic o tym nie wspominał. Gdy tylko instrument trafił w jego ręce, wylewnie podziękował Danielowi i zapewnił, że nie ma już potrzeby, by mieszać go w jakiekolwiek dalsze krętactwa. Nalegał na utrzymanie całej tej operacji w tajemnicy przed Laurą, tym bardziej że umówił się już na sprzedaż skrzypiec. Jednym machnięciem ręki oddalił sprawę guarnera i jego nabycia oraz zachęcał Daniela, by wreszcie skupił się na przyjemnościach.

Wyglądało na to, że dla Scacchiego i Paula cały ten epizod należał już do przeszłości. Ich zdrowie trochę się polepszyło. Byli w rozrywkowym nonszalanckim nastroju. Laura też wydawała się odprężona i zadowolona. W ciągu kilku dni katastrofa oddaliła się od Ca' Scacchi głównie dzięki zabiegom Daniela, co z wdzięcznością wyznał pan domu, gdy skrzypce znalazły się w jego rękach.

A jednak chłopak nie umiał dzielić ich nastroju z przyczyn, których nie mógł im wyjawić. Zdawało się, że Giulia Morelli zapadła na chroniczną fascynację jego osobą. Od epizodu przy przystanku vaporetto zaczepiła go jeszcze dwukrotnie, raz, kiedy chodził zamyślony po galerii Guggenheim, a później, bardziej natarczywie, w La Piecie. W obu wypadkach nie zadawała bezpośrednich pytań, a w muzeum posunęła się nawet do udawania, że jej obecność jest przypadkowa. Lecz ze sposobu wypowiedzi i delikatnych prób sondowania wynikało jasno, że podejrzewa Scacchiego o zaangażowanie w jakąś transakcję, która miała miejsce niedawno, a Daniel brał w niej udział.

Ostatnia rozmowa odbyła się w ławce z tyłu kościoła. Zaledwie kilka metrów dalej Fabozzi rozmawiał cicho z muzykami. W pewnej chwili chłopak przerwał jej i zaproponował kontynuowanie dyskusji na zewnątrz. Tam, na schodach La Piety, w ostrym świetle letniego słońca, zażądał od niej wyjaśnień.

– Mam coś wyjaśniać? – zapytała, rozbawiona. – Przecież ty wiesz, czego ja szukam, Danielu. Przedmiotu, który pojawił się na rynku, i informacji, kto zamierza go nabyć.

– Mówiłem pani tysiąc razy. Nic mi o tym nie wiadomo i o ile się orientuję, Scacchi też nic o tym nie wie. Jeśli sądzi pani, że jest inaczej, niech pani wypytuje jego, nie mnie.

Roześmiała się.

– A jaki miałoby to sens? On kłamie dla zasady. Lubię jego towarzystwo, ale on mówi prawdę tylko wtedy, kiedy jest mu to na rękę.

– Więc po prawdę przychodzi pani do mnie, a gdy ją daję, bierze ją pani za fikcję.

– Wiesz, kogo widzę, kiedy patrzę na ciebie?

– Nie. I nie interesuje mnie to.

– Widzę uczciwego i niewinnego młodego człowieka, który wpadł w pułapkę zastawioną na niego przez świat. Ten świat ekscytuje go, przynajmniej w pewnym stopniu, lecz też przeraża. Sama się zastanawiam dlaczego. Co cię tak przeraziło, Danielu?

– Nic, co mogłaby pani zrozumieć. Mam na głowie koncert. To duża odpowiedzialność.

– No tak! Koncert. Widzisz, to też jest dla mnie zagadką. Skąd pochodzi ta muzyka? Powiedz mi, proszę. Interesuje mnie to nie tylko jako oficera policji, lecz także zwykłą melomankę.

Zatarł ręce, kończąc w ten sposób przesłuchanie.

– Dość, pani kapitan. Jeśli ma mi pani coś jeszcze do powiedzenia, proszę o wezwanie na komisariat. To samo tyczy się Scacchiego.

– Jak chcesz, możesz mu powiedzieć o naszych małych pogaduszkach.

Daniel zaklął cicho, po czym odwrócił się na pięcie i wszedł z powrotem do kościoła. Ulżyło mu, że policjantka nie poszła za nim, a przy tym trochę go to zaskoczyło.

Przygotowania do koncertu były na dobrej drodze. Skończył transkrybować nuty. Fabozzi rozpływał się nad końcowym efektem. Wszystko wskazywało na to, że premiera odniesie wielki sukces. Daniel udzielił kilku wywiadów dziennikarzom z zagranicznych czasopism, którzy pławili się w luksusach za pieniądze Massitera w hotelu Cipriani. W tych krótkich rozmowach wyrażał się jasno, że w dającej się przewidzieć przyszłości nie należy się spodziewać z jego strony żadnych nowych dzieł. Mimo to nastąpił wyciek informacji, do którego przyczynił się Massiter, na temat zaskakującej natury i jakości utworu. Bilety zostaną wyprzedane co do jednego nie tylko przed koncertem w Wenecji, lecz także we wszystkich większych salach koncertowych świata. Ryzyko wpadki było znikome. Morelli dużo podejrzewała, lecz nic nie wiedziała. Daniela jednak dręczył niepokój – martwił się o mieszkańców Ca' Scacchi, którzy żyli w przyjemnym śnie i balansowali na granicy błogiego samozadowolenia. Chociaż było to irracjonalne, nie potrafił pozbyć się myśli, że zupełnie nowa katastrofa czyha tuż za rogiem.

Gdy nastał niedzielny ranek, wszyscy stali na molo przy kościele San Stae w oczekiwaniu na Sophię. Zapowiadał się gorący, suchy, słoneczny dzień. Scacchi był ubrany w ciemną marynarkę, jasne spodnie i staromodny filcowy kapelusz trilby. Paul miał na sobie koszulę i dżinsy oraz bejsbolową czapeczkę. Laura wybrała zwykłe tanie spodnie z tych, pomyślał Daniel, jakie można kupić na bazarze, oraz prosty bawełniany top. Wraz z Paulem pomagał jej nieść zapasy: koszyki pełne panini, kiełbasy, szynki i sera, kilku rodzajów owoców oraz brązowe torebki z gorczycą, listkami cykorii i mlecza oraz sałatą, która posypana parmezanem uświetnia każdy posiłek. Było też coś do picia – parę butelek białego wina spoczywało wśród kostek lodu w dużej przenośnej lodówce obok trzech litrów campari i dwóch gazowanej wody mineralnej. Więcej, niż potrzeba, pomyślał Daniel, by sześć dorosłych osób mogło pogrążyć się w błogostanie na cały dzień.

Scacchi i Paul usiedli obok siebie na ławce. Daniel stał przy dziewczynie i obserwował ruch łodzi na kanale. Vaporetti przepychały się między barkami towarowymi i statkami śmieciarskimi, mijając niskie ciemne gondole wiozące miejscowych na przystanek promów, *traghetto*, przy kasynie miejskim. Laura wróciła od fryzjera w praktycznej krótkiej fryzurze z lokami opadającymi na szyję. Rozjaśniła włosy, co natychmiast zauważył. Nigdy za to nie widział jej z makijażem. Może dlatego, że bez niego lepiej wygląda, pomyślał. Czasem wyszukiwał okrężne wyjaśnienia, gdy proste odpowiedzi miał przed nosem.

– Płynie! – zawołała. – Daniel! Patrz!

Błękitna Sophia sunęła wśród wodnego ruchu w równej prostej linii. Na rufie przy sterze

widniała masywna postać Piero. Kserkses stał sztywno wyprostowany na dziobie z nosem w powietrzu, otwartym pyskiem i zwisającym językiem. Daniel zachichotał.

– Co cię tak bawi? – zapytała Laura.

– Zastanawiam się, co Amy pomyśli sobie o tym wszystkim. To będzie coś innego niż nasza wycieczka z Massiterem.

– Będzie musiała nas zaakceptować takimi, jakimi jesteśmy.

Daniel spojrzał na nią surowo.

– Będziesz się dobrze zachowywać, prawda? To nasza gwiazda.

Laura obruszyła się.

– Zawsze dobrze się zachowuję!

Nie odpowiedział. Sophia szła pod ostrym kątem w stronę molo. Kserkses wpatrywał się w deski pomostu. Wyskoczył, precyzyjnie wybierając odpowiednią chwilę, i zaczął węszyć w piknikowych koszach.

– Cuma! – krzyknął Piero. Laura złapała linę, zanim Daniel zrozumiał, co się dzieje. Zacumowała łódź i pomogła Scacchiemu i Paulowi wejść na pokład. Kserkses z lekceważeniem przyglądał się niezgrabnie gramolącym się ludziom, po czym w ostatniej chwili sam wskoczył. W ciągu pięciu minut wszyscy byli już na swoich miejscach z jedzeniem w ręku. Łódź zawróciła na kanale i popłynęła ku San Marco, gdzie, jak wcześniej zostało ustalone, miała czekać Amy. Zajęli, najwyraźniej mimowolnie, te same miejsca, co w czasie ich pierwszego wspólnego rejsu z lotniska: Paul i Scacchi razem na dziobie, a Daniel z Laurą na ławce przy lewej burcie. Kserksesa początkowo bardziej interesowały koszyki z jedzeniem niż goście, lecz chwilę potem porzucił je na korzyść pieszczot Paula.

Wpłynęli w długi zakręt kanału, jaki miejscowi określają po prostu słowem *volta*. Interesujący budynek, który wcześniej pokazywała Laura, pojawił się po prawej.

– Oto twój pałacyk – powiedział Daniel, wskazując ręką.

– Jaki on mój – sprzeciwiła się.

Scacchi usłyszał ich słowa.

– To ciekawe. Nie miałem pojęcia, że znasz Ca' Dario.

– Nie znam. Daniel wymyśla jakieś bajki.

– Przecież sama mówiłaś, że...

– Mówiłam – przerwała – że to tylko głupie wymysły małego dziecka.

– Mów jak na spowiedzi! – zażądał Scacchi. – Zgłębimy twoją psyche, moja droga.

Popatrzyła gniewnie na Daniela, jakby winiąc go za taki obrót rozmowy.

– Naprawdę nie ma o czym mówić. Byłam dzieckiem. To stało się w dzień mojej komunii. Miałam na sobie białą sukienkę, a w dodatku trwał karnawał, więc wszyscy byli w kostiumach. Vaporetto mijało ten dom i wtedy spojrzałam do góry. Zobaczyłam w oknie na drugim piętrze – wskazała dokładnie – o, w tamtym, czyjąś twarz. I to wystraszyło głupiutką małą dziewczynkę, którą wtedy byłam.

– Ha! – wykrzyknął triumfalnie Scacchi. – Karnawałowa postać? To bez wątpienia lekarz czasu zarazy. Nie wstydź się, Lauro. Każdy boi się tych długich dziobów i białych policzków. O to w końcu chodzi, prawda?

– To nie był lekarz od zarazy ani w ogóle żaden przebieraniec. To było coś innego. – Zamilkła.

– Czyli?

– Mężczyzna. Miał ręce i twarz całe we krwi. Patrzył przez okno prosto na naszą łódź, na mnie, i wrzeszczał. Jakby przed chwilą był świadkiem najpotworniejszej rzeczy na świecie.

Scacchi uniósł brwi.

– Twoja sukienka komunijna nie była chyba aż tak brzydka? Wiem, że wenecjanki lubią nadmiernie stroić swoje pociechy, ale...

Dziewczyna sięgnęła do jednego z pudeł, wyjęła croissanta i cisnęła nim w starego. Lecz w czasie, gdy rogalik leciał do celu, Kserkses wyskoczył w powietrze z kolan Paula i z niezawodną precyzją chwycił pocisk w paszczę, po czym zaczął go chciwie przeżuwać. Pasażerowie *moto topo* Sophii wybuchnęli śmiechem.

– Spritzu! Na miłość boską, spritzu! – zawołał słabym głosem Scacchi.

– Nie – ucięła krótko Laura. – Za wcześnie. W dodatku byłeś niedobry.

– Jak sobie chcesz – mruknął i z zadowoleniem przyjął szklaneczkę wody mineralnej wraz z napomnieniem:

– Nie chcę, by przyjaciółka Daniela zobaczyła tu pijacką bandę.

Daniel wiedział, że wolałaby zmienić temat rozmowy, ale chciał poznać odpowiedź na jeszcze jedno pytanie.

– Więc jak myślisz, Lauro, co widziałaś?

Zastanowiła się, zanim odpowiedziała.

– Jakieś karnawałowe bzdury. Może przywidzenie. Przypominam ci po raz kolejny: byłam dzieckiem. Moja mama nic nie zauważyła, podobnie jak inni ludzie na łodzi. Wiedzieli tylko tyle, że nagle na pokładzie rozwrzeszczała się jakaś dziewczynka.

– No tak. – Zawahał się. Laura nigdy nie mówiła o swojej przeszłości, właściwie nic nie wiedział o jej życiu poza Ca' Scacchi. – Czym zajmowała się twoja matka?

Zapłonęło ostre zielone spojrzenie.

– Pracą.

– A ojciec?

– Piciem. Póki żył.

Dwaj mężczyźni na dziobie patrzyli na nich z zakłopotaniem, po czym zajęli się własną cichą rozmową.

– Rozumiem – powiedział Daniel.

– Faktycznie rozumiesz?

– Nie. Przepraszam, Lauro. Nie chciałem być nachalny. Zastanawiałem się tylko, kim jesteś, kiedy nie zajmujesz się nami.

– Jestem prostą nudną gosposią, szczęśliwą i przeklętą jednocześnie, bo moi pracodawcy są też najwyraźniej moimi dziećmi. Zaś moja przeszłość jest mętna jak woda w tym kanale.

– A twoja przyszłość? – Poczuł, że chyba naciska ją zbyt mocno, lecz pytał mimo wszystko.

– Już teraźniejszość jest pełna rzeczy, którymi się trzeba zająć, nie sądzisz?

Zamierzał odpowiedzieć, gdy wskazała na pomost. Szybko zbliżali się do San Marco. Sophia dopłynęła do przystani, gdzie niedawno wsiedli na łódź Massitera. Stała tam Amy, nie spostrzegła ich jeszcze. Daniel zauważył z niepokojem jej kremową jedwabną suknię i kapelusz przeciwsłoneczny z opadającym rondem. Wyglądała, jakby szykowała się na przyjęcie weselne socjety, a nie kilka godzin na upapranym pokładzie wśród wiejskich atrakcji przygotowanych zapewne przez Piero na Sant' Erasmo.

– O rany... – westchnął.

Laura klepnęła go mocno w kolano.

– A ty mnie pytasz, czy będę grzeczna! Masz być angielskim dżentelmenem, mój chłopcze, albo będziesz się tłumaczył.

– To nie był mój pomysł – mruknął, po czym uśmiechnął się szeroko, wstał i powitał Amy. Scacchi także się podniósł i głośno oznajmił wszystkim, w tym też turystom zebranym na

brzegu:

– Uwaga! Oto Amy Hartston, sławna amerykańska skrzypaczka! Brawa! – Zaczął klaskać i po chwili dołączyła do niego spora grupa stojących w pobliżu osób.

Opalone policzki dziewczyny nabrały ciemniejszego odcienia. Daniel żałował, że nie widzi jej wzroku ukrytego za ciemnymi okularami we włoskim stylu, które nie za bardzo jej pasowały. Wyciągnął do niej rękę i bardzo ostrożnie pomógł zejść do łodzi. Zajęła miejsce naprzeciw Laury pośród szmeru powitań.

– Spritzu! – zażądał Scacchi. – Spritzu!

Laura nawet nie drgnęła i tylko krzywo się uśmiechała, a gdy Daniel już zamierzał usiąść obok, szturchnęła go lekko. Jednym spojrzeniem przekazała mu wiadomość. Od razu przeszedł na drugą stronę łodzi i usiadł obok Amy, która na ławeczce starannie udrapowała jedwabne fałdy sukni wokół nóg pod zaintrygowanym spojrzeniem Kserksesa. Podano alkohol.

– Dokąd płyniemy? – spytała wreszcie.

– Do raju – odparł Piero, podkręcając obroty małego silnika, aż motor zakrztusił się jak astmatyczny osioł. – Daleko od tego ropiejącego wrzodu pełnego niegodziwości i tępogłowych miejskich sukinkotów.

Laura machnęła na niego.

– Bzdury. Sam pracowałeś za młodu w mieście, Piero.

– Tak – przyznał – ale tylko w kostnicy. A tam miałem do czynienia jedynie ze zmarłymi, którzy byli bardzo przyzwoici i ugodowi. Natomiast co do żyjących... Hej! *Pisquano!*

Taksówka wodna odbiła z rykiem od sąsiedniego molo i Sophią gwałtownie zakołysało. Boczna fala przechyliła ją o niemal czterdzieści pięć stopni. Wszyscy chwycili się burty, Kserkses zaszczekał gniewnie, a drink Amy chlapnął na elegancką suknię.

– Cholera! – syknęła z wściekłością.

Laura sięgnęła do torby, przeszła na drugą stronę łodzi i kazała Danielowi zająć swoje miejsce. Następnie, cmokając, zaczęła ścierać plamę wilgotną chusteczką, ale nic to nie dało. Na sukni była teraz szeroka smuga koloru jasnej krwi ciągnąca się od brzucha do kolan Amy.

Daniel widział zgaszoną furię na jej twarzy i przyglądał się, jak pozwala sobie pomóc Laurze, która natychmiast przyjęła rolę służącej. La Pietà przesunęła się powoli za jego plecami. Na horyzoncie leżała wyspa Sant' Erasmo, długi niski paluch zieleni.

Dopijając drinka, zupełnie bez żadnego powodu zaczął myśleć o Giulii Morelli i jej natarczywych pytaniach. Wyjął paczkę papierosów z torby Laury i po raz pierwszy w życiu zapalił.

Pod powałą arki 32

Dzwony San Girolamo ogłosiły dwunastą, gdy wślizgnęliśmy się z powrotem do getta. Żydzi muszą kłaść się spać wcześnie. W niemal żadnym oknie nie paliło się światło, a w budynku panowała cisza, kiedy wspinaliśmy się po schodach. Jacopo, jak zawsze zajęty, odwiedzał chorych. Nocą upał był znośny. Rebeka rzuciła nasze płaszcze na fotel przy kominku, po czym ujęła moje ręce i spojrzała mi w oczy.

– Lorenzo – rzekła – jak sądzisz, gdzie jest ten Bóg, skoro nie znajduje lepszego zajęcia niż podglądanie nas niczym zwykły donosiciel? W każdym kościele? W każdej alkowie? Przygląda nam się teraz? Czy tym tylko jest? Uskrzydlonym wszechwidzącym sługą państwa?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Więc czym? Świętym cierniem, który drażni sumienia, żebyśmy wciąż zważali na nasze niegodziwości?

– Kpisz ze mnie. Będę już szedł.

Wciąż mnie jednak trzymała.

– Jak sobie życzysz, Lorenzo. Lecz chciałam ci coś pokazać. To jeden z najstarszych bogów. Miałam nadzieję, że jeśli go ujrzysz takim, jakim naprawdę jest, może obojgu nam wyjdzie to na dobre.

Milczałem. Rebeka miała na sobie czarną suknię koncertowej muzykantki z okrągłym dekoltem i cienki srebrny łańcuszek na szyi. Wyraz jej twarzy był poważniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Była ode mnie starsza ledwie sześć lat, jednakże w tamtej chwili czułem się niczym dziecko w towarzystwie dorosłego.

– Chodź – powiedziała, biorąc mnie za rękę. – Bądź dzielny. Nie patrz w dół. Do piekła może nie dolecisz, ale po upadku z tych sześciu pięter będzie ci wszystko jedno.

Podążyłem za nią ku wielkiemu pionowemu oknu w bocznej ścianie pokoju. Rozciągał się z niego widok na róg placu i galimatias budowli z nasadzonym na wierzch łukiem synagogi, którą pokazała mi przy wcześniejszej okazji.

– Bądź tak cicho, jak tylko potrafisz, żeby nikt nas nie usłyszał. I uważaj na kroki. Cały czas idź za mną.

To rzekłszy, otwarła okno, uniosła nogę i już była poza domem na płaskim daszku krytym dachówką nie większym niż balkon. Wyszedłem za nią i stałem, nie mając się czego chwycić poza jej ramieniem. Tak chwialiśmy się przez chwilę nad wielką czarną paszczą przestworu rozpościerającego się o krok od nas.

– Spokojnie – szepnęła mi w ucho, pomacała wokół w poszukiwaniu poręczy, którą zaraz znalazła, i kazała iść za sobą.

Z pewnością nie była to pierwsza jej eskapada. Musiała niekiedy siadywać na placu i wpatrywać się w to skupisko rynien i daszków – wśród nich nawet biegnącą po ścianie drabinkę

do prac konserwacyjnych. Oznaczała w pamięci każdy punkt, ustalając drogę, którą podąży, gdy zdecyduje się wreszcie zdobyć ten dziwny mały szczyt, jak zaciekawiona kozica. Szedłem niepewnie w ślad za nią, nie spoglądając w dół, i starałem się nie chwytać zbyt często jej dłoni. Raz czy dwa poślizgnąłem się i ujrzałem pełną napięcia twarz w blasku księżyca spoglądającą na mnie z góry.

Po dwóch, może trzech minutach, które wydawały mi się, mówię szczerze, długie jak cały wieczór, podciągnąłem się i zobaczyłem ją na małym balkonie w pobliżu szczytu drewnianej arki. Było tam okienko w ołowianej ramie. Przeświecał przez nie żółtawy woskowy blask oddalonych świec.

Rebeka przytknęła mi palec do ust i rzekła:

– Sza. W środku są mężczyźni. Lecz nie będą tam długo.

Czekaliśmy, aż dobiegł nas dźwięk zamykanych drzwi, a wówczas przecisnęliśmy się przez okno i zeskoczyliśmy na podłogę wąskiego korytarza, który zdawał się wciśnięty pod powałę budowli i biegł wzdłuż jej ściany. Naprzeciw niej stały rzędem proste drewniane ławki. Za nimi, wzdłuż niemal całej długości korytarza, zamontowano wielkie uchylne panele, bardzo podobne do tych w La Piecie, za którymi kryły się muzykantki. Lecz „nawa" synagogi znajdowała się jedno piętro poniżej nas, co odkryłem, uchyliwszy najbliższy ekran i wsunąwszy przezeń głowę do głównej sali. Poczułem się tak, jakbym się raptem znalazł w sennej fantazji, gdzie wymiary są zupełnie pomieszane – jak dziecko spoglądające do środka bogato zdobionego domku dla lalek, a może jak liliput pełznący po dachu tajemnej katedry, która z wierzchu jest z surowego drewna, lecz pod skórą chowa złote bogactwa.

– Tam się modlicie? – spytałem Rebekę, która siadła na ławce i założyła ramiona, ciekawa mojej reakcji.

– Oni się tam modlą – odparła. – Kobietom wstęp zakazany. My musimy czekać tutaj. Możemy spoglądać przez ekrany, niewidoczne, niewarte ich uwagi. Żydowski Bóg jest bardzo zapracowany, Lorenzo, przynajmniej Bóg aszkenazyjczyków. Nie pytaj mnie, czy gdzie indziej jest tak samo. On ma czas jedynie dla mężczyzn, a w dodatku bardziej od innych lubi brodatych rabinów.

Rozejrzałem się po synagodze. Była piękna i zupełnie inna od wszystkiego, co dotąd widziałem w Wenecji. Wtem coś mnie zastanowiło:

– Nie ma tu żadnych malowideł, Rebeko. Gdzież się podziały wszystkie wspaniałe sceny męczeństwa? Tycjan i Veronese głodowaliby, gdyby się narodzili pośród Żydów. Co mogliby robić?

– Fałszywe bożki, Lorenzo. Nie wolno nam umieszczać obrazów w świątyniach. Jednak jest tu kilka malowideł, jeśli się przypatrzysz. W dodatku chyba mogą cię zaciekawić.

Wykręciłem głowę i spostrzegłem, że miała rację. Na ścianach zawieszono szereg małych pejzaży.

– Zobacz – powiedziała, wskazując jeden z nich. – Mojżesz wiedzie swe plemię przez Morze Czerwone.

Powiodłem wzrokiem za jej palcem.

– Ależ tam nikogo nie ma.

– Mówiłam ci. To zakazane. Nie można nam także czynić wyobrażeń Boga ani wypowiadać jego prawdziwego imienia, a brzmi ono Jahwe, gdybyś chciał wiedzieć. No i proszę. Powiedziałam.

Byłem zmieszany. Synagoga nie przypominała żadnego chrześcijańskiego kościoła, jaki w życiu zwiedziłem, a jednak wyraźnie czułem, że jest miejscem uświęconym. Zacząłem zastanawiać się nad tym, czy taka sama sakralna aura spowija meczety lub świątynie Hindusów.

Czy poczucie świętości wypływa od Boga, czy może raczej z człowieka? Czy przypadkiem nie stwarzamy go wedle obrazu nas samych?

Ogarnęło mnie jednoczesne wrażenie świętości, jak i zwyczajności tego miejsca. Oto, wskazała Rebeka, arka, w której przechowuje się prawo. Oto wieczne światło oraz wyniesiona platforma, skąd odczytuje się kazania, podobnie jak ambona w kościele. Było to miejsce przygotowane do odprawiania codziennych rytuałów, przez które Żydzi, dokładnie tak samo jak wszyscy inni ludzie stąpający po ziemi, ustalali swe miejsce w świecie oraz odpowiadali sobie na pytanie, dlaczego człowiek żyje i umiera, walczy i miłuje.

Rebeka usiadła blisko mnie i wpatrywała się intensywnie w moją twarz, kiedy przesuwałem wzrokiem po świątyni i zastanawiałem się, czym dla mnie jest. Miałem na sobie białą koszulę z rozpiętym kołnierzem, spod którego wyzierał wisior z gwiazdą Dawida, prezent od niej. Sięgnęła ku niemu i wzięła do ręki. Pochlebiało jej, jak sądzę, że go noszę.

– Myślisz, że Bóg tu jest, Lorenzo? – spytała. – Że chowa się za Torą, a oblicze ma niczym grom, bo dwoje nieszczęsnych śmiertelników weszło tam, gdzie inni im zakazali?

– Nie – przyznałem szczerze. Miała oczywiście rację. Żałoba zaćmiła mój umysł. Lucia nie żyła z powodu zrządzenia losu, a nie działań jej głupiego brata. – Lecz myślę, że Bóg z nami jest. Nie twój Bóg i nie mój, ale taki, który istnieje jako coś prostszego, a i bardziej zawiłego zarazem. Nie jesteśmy zwierzętami, Rebeko. Kiedy słyszałem śpiew siostry przy moim łóżku, gdy widzę twoją grę w La Piecie... Cokolwiek by twierdził Jacopo, nie zgadzam się, że nasze życie da się rozpisać jak liczby na stronie. Miłość nie jest dla mnie przypadłością krwi, jak na przykład paraliż. Człowiek to coś więcej, niż widać, a gmachy takie jak ten buduje, bo stara się wyjaśnić swoje oszołomienie własną niedoskonałością.

– Jacopo... – mruknęła z cichym śmiechem. – Jest moim bratem i kocham go szczerze. Moja szalona natura jest lustrzanym odbiciem jego rozwagi. Lecz pewnego dnia jakaś kobieta chwyci jego serce w pułapkę, a wtedy wszystkie mądrości, które wygłasza, runą jak klocki dziecięcego zamku.

Ogarnęło mnie przyjemne poczucie pełni. Rebeka uzdrowiła mnie. Cóż w tym dziwnego? Leviowie to rodzina lekarzy.

– Dziękuję ci – powiedziałem i ostrożnie, z braterską delikatnością złożyłem na jej bladym ciepłym policzku pocałunek. Nie poruszyła się. Świątynia trwała w ciszy, od czasu do czasu słychać było tylko skwierczenie lamp na dole.

– A oto kolejny fragment Boga. – I zawahawszy się tylko na chwilę, szybkim ruchem rozpięła guziczki z tyłu sukni. Pozwoliła czarnej tkaninie opaść i w stłumionym blasku sączącym się zza ekranu ukazała się pełnia jej piersi, barwa skóry jak u marmurowego posągu stojącego w pałacu bogacza oraz smukłość i doskonałość figury.

– Tutaj.

Wzięła moją dłoń i przyciągnęła do siebie, rozsuwając palce. Spoczęły na ciepłym i cudownym miejscu. Poczułem życie pulsujące pod moim dotykiem. Uwięziony w delikatnym uścisku jej kwietny pąk nabrzmiał i usłyszałem chrapliwy urywany oddech.

Uniosłem dłoń ku jej włosom i żałując, że nie możemy zapisać każdej z tych chwil na wieczność, pocałowałem rozchylone usta. Nasze wargi połączyły się ściśle, oddechy zeszły w jeden.

Odsunęła się nagle z wyrazem niecierpliwości na cudownej twarzy, po czym wyprostowała się, jednym płynnym ruchem ściągnęła suknię przez głowę, na chwilę przycisnęła ją skromnie do piersi, po czym schyliła się, by rozłożyć ostrożnie na nagich deskach podłogi, tworząc nam łoże. Przysięgam, że w tej sekundzie mógłbym umrzeć. Płuca łaknęły powietrza, krew przestała krążyć w normalny sposób.

– Lorenzo – powiedziała, chwytając mnie i rozpinając mi guziki sprawnymi ruchami dłoni. – Weź mnie teraz, a będę twoja na zawsze.

Zacząłem wyrzucać z siebie jakieś słodkie głupstwa, a ona roześmiała się, uciszyła mnie i nakazała działać. Objąłem nagie plecy, wyczuwając pod palcami smukłość kształtów. Jej ciało przywarło do mnie, kiedy się rozebrałem, i zsunęliśmy się na podłogę, spleceni w uścisku. W taki sposób w wąskim korytarzu piętra aszkenazyjskiej synagogi w weneckim getcie na wyspie zostawiłem za sobą dzieciństwo, z wielką ochotą i radością wkraczając w świat dorosłych.

Później, w najmniej oczekiwanych sytuacjach, gdy składałem wiersz z czcionek czy spacerowałem samotnie po Rialto, pojawiały się w mojej głowie sceny tego, co się wówczas działo. Akt ten był dla mnie rozmazaną wstęgą namiętności, ciągiem pomieszanych obrazów i odczuć. Przypominałem sobie wstrząsające doznanie, gdy język Rebeki badał moje usta. Wspominałem nagłe zaskoczenie i równie nagły poryw namiętności, kiedy jej ręka poprowadziła moją ku tajemnemu zakątkowi, gdzie wśród gęstych loków odnalazłem nieoczekiwanie studzienkę ciepła i wilgoci.

Czego by przyszłość nie szykowała dla nas obojga, ta noc żyć będzie we mnie zawsze. Rebeka otworzyła przede mną okiennice świata i już nigdy nie będę taki sam. Lecz jeden obraz rysuje się w mojej wyobraźni najwyraźniej. Ekstaza i agonia łączą się w akcie miłości podobnie jak w życiu. W chwili, gdy nasze ciała poruszały się w jednakowym rytmie, tak że moglibyśmy być jedną istotą, otworzyłem oczy, ciekaw wyrazu jej twarzy w chwili uniesienia. Ujrzałem widok hipnotyczny i wstrząsający. Z mocno zaciśniętymi powiekami i półotwartymi ustami sprawiała wrażenie umarłej. Długi jęk dobiegający z jej gardła mógł być ostatnim oddechem na tej ziemi. Francuzi mówią na to „mała śmierć” i mają dużo racji. Patrzyłem tak na nią i moje własne narastające okrzyki stopiły się z jej jękami na tym wąskim ciemnym poddaszu na bezładnej stercie szat, które ledwie łagodziły twardość desek.

Ujrzałem mą miłość w chwili uniesienia i widok jej twarzy spowodował, że pomyślałem o Lucii, odległej umarłej Lucii. I to była najważniejsza lekcja Rebeki – skoro życie jest ulotne jak uderzenie skrzydeł motyla, te chwile cudowności dają nam powód, by trwać. To właśnie może być dar od Boga.

33 Konkurs węgorza

Piero powoli oprowadzał gości po swojej posesji. Pokazał im niedużą winnicę i poczęstował winem własnej produkcji, kwaskowatym i młodym, ale zdatnym do picia. Były tam też pola karczochów i fasoli. Róg działki zajmowała wysiewana zimą cykoria gatunku Treviso o masywnych, sercowatych, czerwonych bulwach, rosnących znakomicie na bogatej glebie wyspy.

Jedli i pili, może trochę za dużo. Później Piero zapowiedział „zabawę" i z wiadrem w dłoni podkradł się na brzeg małego kanału wpływającego w głąb lądu z laguny. Po chwili wszedł do domu, a pięć minut później wyszedł z wiadrem wypełnionym po brzegi czymś, co wyglądało jak czarna woda. Pod jej powierzchnią widać było stworzenia o długich wijących się ciałach.

– Atrament kałamarnic – oznajmił. – Patrzcie, jak zaczernia wodę. Sam je złowiłem! Tak samo jak węgorze!

Amy popatrzyła na nich zaniepokojonym wzrokiem.

– Zanim stanie się coś więcej, chcę powiedzieć tu i teraz, że ja tego nie jem.

Piero wpatrywał się w mętną zawartość wiadra.

– O nie, nie, nie! To nie jest do jedzenia! To będzie *gara del bisato!*

Daniel na widok narastającego zdziwienia w twarzy Amy przetłumaczył:

– Konkurs węgorza?

– *Sì!* Przyjedźcie znowu w październiku po zbiorach winogron. Wtedy odbywa się to jak należy. Ale i tak wam pokażę. Patrzcie!

Uklęknął przy wiadrze, wziął głęboki wdech i zanurzył prawie całą głowę w wodzie. Czarny płyn zabulgotał od dziko wijących się istot. Na atramentowoczarną powierzchnię wypłynęły bąbelki powietrza. Kserkses siedział cierpliwie przy boku pana i przyglądał się tak, jakby był to najzwyklejszy widok na świecie. Po niesamowicie długiej chwili Piero wreszcie wynurzył twarz. Wielki węgorz zaciśnięty mocno w jego zębach wił się, próbując uciec. Z dziwnym uśmiechem przyklejonym do twarzy Piero obrócił głowę, żeby wszyscy zobaczyli rybę. Nie padło ani jedno słowo. Potem znów nachylił się nad wiadrem, otworzył usta i wypuścił oszołomionego węgorza z powrotem do kotłującej się czarnej wody. Następnie otarł usta rękawem, upił pokaźny łyk wina, uśmiechnął się szeroko do Amy i powiedział:

– Twoja kolej.

– Za nic w świecie.

– Scacchi?

Starzec otworzył usta i palcem pokazał swoje bardzo żółte i bardzo sztuczne zęby. Piero rozłożył ręce z rozumiejącym westchnieniem. Paul potrząsnął głową. Laura wpatrywała się w niego zszokowana, lecz także trochę zaciekawiona.

– A ty się zastanawiasz, czemu nazywają was *matti*[6]? – powiedziała. – Myślałam, że to tylko mity.

Najeżył się.

– To jest tradycja. Wy, miastowi, nie bylibyście w stanie tego zrobić. Umiecie tylko chwytać zębami jabłka z miski podczas dziecięcych zabaw.

Laura zaklęła cicho, podeszła do wiadra i odgarnęła do tyłu krótkie włosy.

– Nie! – zawołała Amy. – To obrzydliwe!

– Posłuchaj. Jeśli udało się takiemu kmiotkowi, uda się i mnie.

– To nie takie proste – powiedział chytrze Piero. – Jest na to specjalny sposób. Chcesz, by kmiotek ci go zdradził?

Daniel, słysząc wulgarne przekleństwo z ust Laury, ucieszył się, iż Amy go nie zrozumiała. Laura bez dalszych ceregieli włożyła głowę do wiadra. Na powierzchni znowu zabulgotało. Jej kasztanowe włosy pociemniały od atramentu i chłopakowi przyszła do głowy nieoczekiwana myśl, że to chyba ich naturalny kolor.

Wynurzyła głowę, dysząc i krztusząc się. W ustach niczego nie miała.

– Mówiłem ci! Jest na to sposób – rzucił Piero, triumfując. – Jeśli chcesz, bym ci powie...

– Zamknij się! – Znów zanurzyła twarz w atramentowej wodzie, trwała tak przez kilka sekund, po czym się wyprostowała. Z jej ust furiacko usiłował się wyrwać wielki, potężny węgorz. Piero podskoczył, krzycząc z radości. Scacchi i Paul, zafascynowani całą sytuacją, zaczęli bić brawo. Daniel dołączył do nich. Amy po prostu wpatrywała się zszokowana.

Laura wypuściła węgorza. Nie trafił do wiadra, lecz pomknął w suchą trawę, nagle podobny do węża. Dziewczyna wyprostowała się ze zwycięskim okrzykiem i zamachała rękami w powietrzu. Czarna woda poplamiła jej skórę i włosy. Wyglądała jak początkujący mim, któremu rozmazał się makijaż. Brawa zabrzmiały jeszcze głośniej. Piero odśpiewał krótką przyśpiewkę w niezrozumiałym dialekcie, w której dało się rozpoznać jedynie słowo *bisati*, po czym Laura usiadła, wzięła serwetkę i otarła usta.

– I jak smakuje? – zaciekawił się Daniel.

– Śluzowaty. Ale nie polegaj tylko na moim słowie. Spróbuj sam.

– Nie! – Amy prawie wrzasnęła na niego.

Daniel zastanawiał się. W pewnym sensie chodziło tu o opowiedzenie się po jednej ze stron.

– Zrobię to – rzekł stanowczo.

Scacchi popatrzył na niego.

– Nie musisz. To tylko jedno z tych wyspiarskich wariactw.

– Proszę...

Piero, wyczuwając jego determinację, ustawił wiadro na ziemi. Daniel podszedł, uklęknął i zapatrzył się w powierzchnię, która falowała od poruszeń ryb. Nie dało się dostrzec, co jest pod wodą. Równie dobrze mogło tam być tylko parę węgorzy, jak tuziny.

– W tym wszystkim chodzi o to... – zaczął gospodarz, ale Daniel nie czekał. Wziął głęboki wdech i zatopił głowę w wiadrze. Zamknął oczy i otworzył usta, próbując zorientować się, na czym polega sztuczka Piero. Woda była lodowato zimna. O policzki ocierały się miękkie śliskie kształty. W pewnej chwili wąskie ciało uderzyło o jego usta. Łapczywie próbował chwycić je zębami, ale silny węgorz uwolnił się w jednej chwili i zanim z braku powietrza Daniel musiał wynurzyć głowę, żaden inny już nie podpłynął. Chłopak podniósł się, zdyszany i roztrzęsiony.

Amy się odwróciła, nie chcąc na to patrzeć. Reszta grupy nie mogła oderwać od niego oczu, a najbardziej zainteresowany był Scacchi. O dziwo, stary człowiek wydawał się

zmartwiony.

Daniel popatrzył w górę na Piero i wydyszał:

– Mów.

– Musisz gryźć, Danielu – wyjaśnił wielkolud. – Nie delikatnie. Nie jak jakiś paniczyk, co zjada przekąskę. Węgorz to najbardziej śliska istota pod słońcem. Musisz go gryźć, jakbyś chciał pożreć. Inaczej po prostu się wyślizgnie. Wszystko albo nic.

Zdał sobie sprawę, że Laura zrozumiała to instynktownie. To właśnie różniło go od mieszkańców laguny – poczucie dystansu i niechęć do pełnego angażowania się w sport zwany życiem.

Daniel znów zanurkował, otworzył usta i przygotował się. Piero miał rację. Stworzenia kpiły z niego, ocierając się smukłymi tłustymi ciałkami o jego policzki. Nagle jedno z nich, wielka sztuka, musnęło jego górne zęby, a wtedy zamknął szczękę, zagryzł tak mocno, że przebił się przez skórę ryby, i trzymał z całej siły.

Wynurzył się, otworzył oczy i wyrzucił ręce nad głowę. Węgorz walczył w jego ustach z niezwykłą siłą i skręcając długie ciało, tłukł go po włosach i uszach, by wydostać się na wolność. Daniel wyprostował się. Kontur miasta widniał w oddali, a słońce kończyło już swoją podróż, by zajść za górami. Dopiero wtedy chłopak otworzył usta i pozwolił węgorzowi uciec. Posmak śluzu i błota był ohydny. Laura pojawiła się u jego boku ze szklaneczką spritzu. Daniel upił łyk i zauważył, że gorzko-słodki drink w jakiś dziwny sposób współgra ze smakiem węgorza.

– Wspaniale – powiedziała, klepiąc go mocno po plecach, a on usłyszał w jej głosie sarkastyczną nutę. – Teraz ty i Piero jesteście braćmi krwi. Możesz być świetnym *matto* z Sant' Erasmo. A do tego kompozytorem!

Zakrztusił się lekko, roześmiany, a przez głowę przemknęła mu myśl, że mógłby tę dziwną kobietę wziąć w ramiona i wciąż czując na języku zmieszane smaki żywej ryby i campari, pocałować w nagłym wybuchu namiętności. Ten pomysł był zupełnie dziwaczny, choć też pociągający. Może węgorz miał działanie halucynogenne.

Coś przewróciło się w jego żołądku. Poczuł głębokie natarczywe bulgotanie. Beknął i uświadomiwszy sobie, co się dzieje, pognał nad kanał. Gdy tylko dotarł nad wodę, zaczął gwałtownie wymiotować. Później usiadł i przyglądał się, jak resztki wymiocin odpływają powoli na fali niemrawego przypływu. W głowie ciągle kręciło mu się od alkoholu i dziwacznego spotkania z węgorzem. Coś trąciło go w nogę. Kserkses wpatrywał się w niego z komicznym wyrazem troski w oczach. Daniel pogłaskał psa po wilgotnej sierści, zaśmiał się i zamknął powieki. Gdy je otworzył, była przy nim Laura, sama. Przetrząsała torebkę w poszukiwaniu miętówek.

– Czujesz się lepiej?

– Tylko fizycznie. Poza tym jest mi cholernie wstyd.

– O rany. – Wręczyła mu cukierka. Przyjął go z wdzięcznością.

– Przepraszam.

– Za co? – spytała ze zdumieniem.

Spojrzał za siebie ku pozostałym imprezowiczom, którzy zwijali piknik i szykowali się do powrotu na łódź.

– Zachowałem się jak kretyn.

– Głuptas. Jesteś przewrażliwiony na swoim punkcie. Chyba nie sądzisz, że z tego powodu Amy pomyśli źle o tobie?

Taki pomysł nie przyszedł mu nawet do głowy. Miał na myśli coś innego, lecz nie chciał tego powiedzieć.

– Danielu – nagle spoważniała. – Mam dla ciebie radę. Już czas, byś się nauczył, jak dążyć do czegoś prawdziwego. Te gierki, w które bawicie się ze Scacchim, nie wystarczą. – Zawahała się. – Musisz się nauczyć, jak to jest kogoś kochać. No proszę. Powiedziałam to.

Poczuł falę ciepła na policzkach. Spojrzał na dłoń Laury spoczywającą na ziemi i zastanowił się, czy nie wziąć jej w swoją.

– Wiem o tym – powiedział, nie ruszając się. – I ja...

– Dobrze – przerwała mu. – To tajne życie, które prowadzisz, nie sprzyja zdrowiu. Nawet Scacchiego tajemnice po jakimś czasie męczą. Jutro ma podzielić się ze mną jedną z nich. Będę mu za to wdzięczna. Wasza trójka pichciła coś razem pod moją nieobecność i chciałabym wiedzieć, co to takiego.

Tylko jedną tajemnicę Scacchi mógł mieć na myśli, a był nią zakup skrzypiec, które zresztą, jak sądził Daniel, zostały już sprzedane nowemu właścicielowi. Nie rozumiał, czemu Scacchi postanowił wyjawić to Laurze akurat w tym momencie.

– W dodatku Amy jest taka miła. I interesuje się tobą, Danielu. Tobą. Nie muzyką, którą niby napisałeś.

– Ale... – Jego umysł zawirował.

– Świetnie – oznajmiła z uśmiechem i zanim wstała, pogładziła go po mokrych włosach. – Więc ustalone. Dziś w nocy odprowadzisz ją do hotelu. Wybierz się z nią do miasta. Ucieknij od nas na chwilę.

– Laura! – zawołał, ale już jej nie było. Poszła do łodzi, w której Kserkses siedział przy sterze, gotowy odbijać od brzegu.

Plotki na temat autora 34

Wenecja uwielbia tajemnice i tą także się zainteresowała. Oto niektóre z teorii, jakie rozpowiadają w kawiarniach, choć żaden Wenecjanin poza salą prób kościoła La Pietà nie słyszał jeszcze ani jednej nuty utworu.

Tajemnicza postać to nikt inny jak sam Vivaldi próbujący ożywić skarlałą karierę odrobiną widowiska i nowym imieniem na frontyspisie. Albo jest to Niemiec Georg Händel, o którym nie słyszano w mieście, odkąd sensacyjnie zadebiutował tu *Agrippiną* ponad dwadzieścia lat temu. Mieszka teraz w Londynie. Wieść niesie, że przemycił do Wenecji nową rzecz, aby wybadać grunt przed powrotem, bowiem obawia się, iż wśród Anglików moda na operę we włoskim stylu jest w odwrocie. Niemiec powątpiewa, czy lekcje, których wyuczył się u Corellego i Scarlattiego, pozwolą mu jeszcze długo opłacać angielski czynsz. Krąży ponoć, jak słyszałem, satyra na jego styl zwana *Operą żebraczą* i bardzo ją tu sobie cenią.

Poza tymi dwiema reszta plotek to potok bredni. Kompozytor jest miejscowym gondolierem, a talenty swoje zdobył, śpiewając podczas wiosłowania przez Canal Grande (pokażcie mi gondoliera, który odróżni basy od altów, a położę stos dukatów pod bazyliką po śniadaniu i pójdę o wysoki zakład, że znajdę je tam w porze kolacji). Dzieło to zaginiony *opus* Corellego wydobyty z jego grobu, gdy ciało ekshumowano podczas prac budowlanych w rzymskim Panteonie. Wikary z kościoła Świętego Krzyża opowiada kompanom od kieliszka, jak to pisał ten utwór na parafialne organy nocami, gdy trzoda Boża rozeszła się już na noc do domów. Jeden jegomość słyszał od innego, którego absolutnie pewny informator musi pozostać w sekrecie, że półślepy zegarmistrz z malutkiego kramiku na Rialto w bólach składał dzieło nuta po nucie w ciągu wielu lat, cierpiąc przy tym na nieuleczalną chorobę, która niebawem pozbawi go słuchu. Teraz biedaczek nie pożąda już niczego poza tym, by usłyszeć swój utwór odegrany w La Piecie przez wyśmienitą orkiestrę Vivaldiego, nim skona z pokrzepiającą świadomością, że pozostawione światu w spuściźnie muzyczne arcydzieło żyć będzie po wieki.

Wreszcie najdurniejsza plotka ze wszystkich: autorem jest jeden z wielmożów miasta – może nawet sam Delapole – który do tej pory skrywał ślady swej muzycznej wielkości, a teraz toczy tę grę, by sprokurować największe *entreé* wszech czasów. Następnie, gdy już się ujawni, spuści na miasto deszcz pieniężnych i muzycznych bogactw, co pozwoli odrestaurować Republikę i przywrócić jej dawną chwałę, uleczyć paraliż, sprawić, że Canal Grande zapachnie piękniej niż łono perskiej kurtyzany i tak dalej, i tak dalej.

Słucham tych bajęd, kiwam głową z mądrą miną i nie daję się ponieść emocjom. Raz, gdy Gobbo ze znajomkami zabawiali się przytaczaniem owych plotek w miejscowej tawernie, kusiło mnie, by wtrącić teorię jeszcze bardziej szaloną: że może twórcą jest kobieta. Lecz uznaliby, że postradałem zmysły. Ręce kobiety nie mają innych zajęć prócz tych, któreśmy jej wyznaczyli. Zawsze tak było i zawsze będzie.

A zatem uśmiecham się i zgrywam głupka. Tylko ja i Rebeka znamy prawdę. Nie wyjawiła jej nawet Jacopowi, by się nie zamartwiał na zapas. I gdy my pozostajemy cisi, wokół dzieła rośnie przemysł. Stronice z różnymi fragmentami wychodzą spod pras Scacchiego, niektóre nawet złożone moimi niezgrabnymi dłońmi. Na stronie tytułowej, gdzie Leo łakomie przypasowywał swoje nazwisko, jest teraz jedynie puste miejsce, powyżej zaś tytuł przepisany z jej własnego manuskryptu – *Concerto Anonimo* – oraz rok.

Gdy wpatruję się w tę białą lukę, wypełnia mi się ona twarzą Rebeki. W gąszczu starych krzewów porastających zaniedbane nieużytki w odległej północnej części miasta czy nad gettem, gdzie nikt ich nie widzi, para namiętnych kochanków spędza popołudnia. Także w jej pokoju, gdzie zakradamy się, kiedy Jacopo wychodzi – także tam wijemy się nadzy wśród prześcieradeł, które okręcają się wokół nas niczym becik wokół niemowlaka, który rzuca się i wierci w uścisku głębokiego czarownego snu.

Oto prawdziwe sekrety Rebeki. Ciemny błysk oka, ruch biodra, miękka pełnia piersi. To tajemnice istniejące poza słowami, a nawet poza dźwiękami, jakie mogłaby wydobyć z podarunku Delapole'a. Mam wrażenie, że od naszej pierwszej nocy upłynęło całe życie, i wciąż nie mogę wyjść ze zdumienia, iż ujawniła te sekrety właśnie mnie.

Scysja 35

Dźwięki kwartetu smyczkowego niosły się po wodzie od strony dzielnicy San Marco. Był już wieczór i na plac wyszli muzycy grający dla turystów. Sophia, meandrując i walcząc z przypływem, wróciła przez lagunę niespiesznie. Księżyc, tłusty srebrny dysk na aksamicie, przyciągał wodę swoją mistyczną niewidzialną mocą.

Podróż przebiegała właściwie w milczeniu. Mężczyzn zmogło zmęczenie. Daniel siedział przez całą drogę obok Amy. Nakłoniła go do tego Laura, która sterowała łodzią. Pożegnanie na molo taksówek wodnych było krótkie. Daniel i Amy poszli na *piazza* i wypili po filiżance espresso przy stoliku przed jedną z kafejek opodal zatłoczonego patio kawiarni Florian's. Słuchali kwartetu jazzowego zarzynającego nuta po nucie Duke'a Ellingtona i obserwowali obfotografowujących się wzajemnie turystów. Później przespacerowali się po promenadach handlowych i dotarli do cichej dzielnicy mieszkalnej położonej na północnym brzegu kanału od strony centrum, w miejscu, w którym zaczyna się *volta*.

Daniel stanął na stopniach u wejścia do Pałacu Grittich. Zmusił go do tego głos rozsądku. Jednak nie chodziło tylko o to. Ten hotel popatrywał na niego z góry, z innego świata, świata luksusu i bogactwa, do którego on nie należał. Był świadomy błota pokrywającego jego dżinsy i smaku brudnej wody w ustach. Czuł też, że jego umysł jest zawieszony między dwiema możliwościami, a każda z nich mogła okazać się beznadziejna.

Amy spoglądała na niego lekko podenerwowana.

– Wstąpisz na górę? – spytała. – Na chwilkę?

Potrząsnął głową.

– W takim stanie?

– Daniel! Mój stary płaci prawie cztery tysiące dolców tygodniowo za apartament w tym hotelu. Gdybym chciała, mogłabym tu paradować nago.

Zawahał się.

– Mieszkasz tu sama?

– Pierwszy raz pozwolili mi tu przyjechać bez opieki. Nawet dwa lata temu musiała być ze mną mama. A miałam szesnaście lat. Wyobrażasz to sobie?

Owszem, wyobrażał to sobie, i poczuł się stary. Jednak niegrzecznie byłoby odmówić. Zastanawiał się też, co powiedziałaby Laura, gdyby wrócił do Ca' Scacchi zbyt wcześnie.

– A więc tylko na chwilkę – zgodził się. Weszli do Pałacu Grittich, zignorowali uniesione brwi obsługi i poszli do windy, zostawiając ślady błota na dywanie. Wjechali na czwarte piętro do apartamentu Amy. Był dziesięć razy większy niż sypialnia Daniela. Część pomieszczenia zajmowała luksusowa przestrzeń wypoczynkowa z oknami wychodzącymi na kanał.

– Muszę wziąć prysznic – oznajmiła dziewczyna i skierowała się do łazienki. Chwilę

później rozległ się szum płynącej wody. Daniel znalazł drugą łazienkę, otworzył opakowanie z gratisową szczoteczką do zębów i usiłował wymyć z ust posmak węgorza i błota. Później wrócił do okna. Hotel stał naprzeciw Punta della Dogana położonego na samym końcu cypla Dorsoduro. Nieco po prawej kładł się wielki cień kościoła Salute. Dało się też dostrzec osadzony krzywo na skraju rzeki Ca' Dario, budowlę o osobliwym kształcie podobną do wielkiego średniowiecznego domku dla lalek. W oknie na pierwszym piętrze paliło się światło. Daniel pomyślał o postaci, którą widziała Laura podczas karnawału, gdy na ulicach pełno było ludzi w maskach i kostiumach. Anonimowość w Wenecji to rzucenie się w wir przygody, takiej jak zagryzanie wijącego się walczącego węgorza. W życiu potrzebne są od czasu do czasu mocne przeżycia, a także umiejętność decydowania.

Drzwi łazienki otworzyły się. Amy wyszła z naręczem brudnych ubrań, które wrzuciła do wyścielanego lnianą tkaniną kosza na pranie, po czym podeszła do lodówki. Wyjęła butelkę wódki Stolicznaja i dwa schłodzone kieliszki z zamrażarki. Napełniła je, po czym podeszła do okna. Alkohol był tak zimny, że wyglądał jak olej. Tworzył w kieliszku wklęsły menisk. Daniel spróbował i natychmiast zakaszlał. Wódka była niczym lodowaty ogień.

Amy miała na sobie tylko hotelowy szlafrok. Wciąż mokre blond włosy ściągnęła z tyłu.

– Na co patrzysz? – zapytała.

– Na kanał. Masz stąd wspaniały widok.

– Racja.

Zastanawiał się, czy przez cały czas, odkąd tu zamieszkała, choć raz stanęła przy oknie.

– Popatrz. – Podszedł do lewej części panoramicznej szyby, a ona zbliżyła się i stanęła przed nim, gdy wskazywał coś w oddali. Bez zastanowienia położył miękko rękę na jej ramieniu okrytym wilgotnym materiałem.

– Tam, nad kanałem, za Salute. Widzisz ten mały dom? Ten przekrzywiony? Z wysokimi oknami?

– Jasne. I co?

– Nie wydaje ci się niezwykły? Przyciągający?

– Chyba tak.

Amy oparła się o niego plecami i ułożyła głowę pod jego brodą.

– Dan?

– Słucham?

– Nie chciałbyś też wziąć prysznica? Strasznie się ufajdaliśmy. Zapamiętamy tę pierwszą randkę. Dużo się działo.

– Faktycznie – zgodził się i nic już nie powiedział.

Odsunęła się i odwróciła twarzą do niego. Z zadowoleniem zauważył, że w jej oczach nie ma gniewu, a jedynie oczekiwanie na odpowiedź.

– Zamierzam się wykąpać po powrocie do domu – powiedział. – Będę mógł się przebrać w czyste ciuchy.

Uśmiechnęła się krzywo.

– Normalnie tak nie postępuję, jeśli to właśnie sobie myślisz. Nie jestem taka... – Urwała.

– Nigdy bym tak nie pomyślał, Amy.

– To w czym rzecz? Czy coś ze mną jest nie tak?

– Nie! – skłamał. Skrzyżowała ramiona gestem, który już rozpoznawał. – To dzieje się za szybko – dodał. – Zbyt gwałtownie.

– Jestem tu jeszcze tylko dziewięć dni. Co to ma być? Jakieś średniowiecze?

Na kanale zabrzmiała syrena vaporetto. Daniel zapragnął być na pokładzie, sam, bezpieczny na rufie.

– Ja tylko...

Wpadła w gniew.

– Nie rozumiem cię, Dan. Jest tak, jakby dwóch ludzi żyło w jednym ciele. Jeden z nich pisze muzykę, która brzmi tak dojrzale, pewnie, jakby wiedział wszystko, co trzeba na każdy temat. A drugi to ty. Nie mam pojęcia, kim ty jesteś.

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj!

Odstawił pusty kieliszek i dotknął jej włosów.

– Nie, Amy. Muszę. Jesteś cudowna. Kiedy na ciebie patrzę...Kiedy słucham twojej gry na skrzypcach...

Uniosła swoją twarz ku jego twarzy ruchem, który miał być uwodzicielski. Jeśli jakiekolwiek namiętne uczucie zaczynało się w nim budzić, teraz znikło w jednej chwili. Ciągle reagowała jak nastolatka, była nadąsana i zraniona. Czekała, aż dotknie jej ust. Odsunął się niezręcznie, a ona posłała mu rozgniewane spojrzenie.

– Dlaczego nie chcesz mnie dotknąć?

– Bo jest późno. Oboje jesteśmy zmęczeni. Wypiliśmy trochę za dużo. A poza tym muszę przemyśleć wiele rzeczy. To sprawy, o których na razie nie mogę z tobą rozmawiać.

Gniew w jej spojrzeniu rozjarzył się jeszcze mocniej.

– Ale możesz o nich rozmawiać z nimi, co?

– Nie wiem, o kogo ci chodzi.

– O tych cudaków, Dan! Towarzystwo z łodzi. Tę kobietę. Jezu, to był prawdziwy cyrk!

– To moi przyjaciele – odparł chłodno.

– Dajże spokój! Ty nie jesteś jednym z nich, Dan. Jesteś podobny do nas. Do mnie i Hugona. Widzisz to przecież, prawda?

– Powiedziałem ci – powtórzył – to moi przyjaciele.

Podeszła do lodówki i ponownie napełniła swój kieliszek.

– Nie bądź naiwny. Jeśli pozwalają ci się z sobą przyjaźnić, to dlatego, że tak im się podoba. Może już lepiej idź sobie!

– Jak sobie życzysz – odrzekł automatycznie.

– Nie. – Stanęła przed nim, zanim dotarł do drzwi. – Muszę ci coś powiedzieć. Tamtego dnia, kiedy spotkaliśmy się w kościele, podjęłam pewną decyzję. I to nie z twojego powodu, po prostu czuję, jak mój umysł się tutaj budzi, i zaczynam widzieć rzeczy, które powinnam była dostrzec już dawno temu. Cały ten szajs, który pakowali mi do głowy w szkole, wszystkie brednie moich starych... Teraz wyrwałam się z tego więzienia. To jest moja wielka szansa, by zacząć wzrastać, i myślałam, że będzie się to działo przy tobie. Ale nie to nie. Niejedna ryba w morzu. Nie mogę się opędzić od Hugona.

– Hugona? – Daniel był wstrząśnięty, ale nie z zazdrości, lecz troski o nią.

– Tak. Facet w wieku mojego ojca. Pomyślałam sobie, że ci powiem.

– Och, Amy... – Jego ręka bezwiednie wyciągnęła się ku jej wilgotnej szyi.

– Nie dotykaj mnie, ty padalcu!

– Przepraszam.

– Znowu przepraszanie, niech cię szlag. Możesz już iść?!

Nie radził sobie z nienawiścią w oczach innej osoby. Dobrotliwość i spokój, które były w nim, zanim przyjechał do Wenecji, teraz opuściły go całkowicie.

– Jednego nie rozumiem: po co ten pośpiech?

Był zszokowany tym wybuchem furii i kiedy w jej oczach zabłysły łzy, Daniel domyślił się, że dostrzegła jego reakcję.

– Mam osiemnaście lat, Dan – odezwała się cicho. – Całe życie przeżyłam w kokonie bogatego dzieciaka i było mi w nim bardzo zimno. Chcę kogoś kochać. Chcę, by ktoś kochał mnie.

Dotknął jej policzka, otarł łzę. Nie odsunęła się.

– Nie wiem wiele o tych sprawach, Amy. Wiem jednak, że nie możesz tego żądać. Trzeba czekać, aż się zdarzy.

– Co? – znowu uniosła się gniewem. – Jak jakaś starzejąca się pokojówka? Jak ta twoja Laura? Na co ona czeka? Cokolwiek to jest, jakoś nie nadchodzi. Z żadnej strony. Starzeje się, wycierając talerze, i za każdym razem, gdy spogląda na zegarek, coraz bardziej zmienia się w starą pannę.

Daniel cofnął rękę i poczuł nagłą potrzebę, by znaleźć się z daleka od Amy Hartston. Nie znał odpowiedzi to pytanie, które zresztą, zdał sobie sprawę, nurtowało go znacznie wcześniej, zanim Amy ujęła je w słowa.

– Zapomnijmy, że to się wydarzyło. – I ruszył ku drzwiom, odprowadzany potokiem wściekłych słów. Wśród nich często pojawiało się imię Hugona Massitera. Najwyraźniej chciała go zranić, ale nie rozumiał, dlaczego akurat w ten sposób. Nie mogła przecież wiedzieć o sprawie ustawionego koncertu. Nie, Amy wykrzykiwała to imię jako imię rywala, a to znaczyło, jak sądził, że nie rozumiała ich uczuć – ani jego własnych, ani Hugona. Massiter był faktycznie na swój sposób przebiegły, ale według Daniela nie posunąłby się do uwodzenia nastolatek, które zapewne znał, odkąd były dziećmi. To niemożliwe. Po prostu niemożliwe.

Lekcja tańca 36

Noc była ciepła i wilgotna. Daniel nabrał ochoty na spacer, nie poszedł więc na przystanek vaporetto, lecz ruszył na północ, odnalazł wąską uliczkę prowadzącą na most Accademia, jedyny przed Rialto, i wszedł na jego schody. Stał na szczycie delikatnie wygiętego drewnianego łuku i myślał o ostatnich słowach Amy. Później ruszył na długi spacer w kierunku San Cassian. Przeszedł przez plac Frari, przy którym w mroku kościoła Świętego Rocha jarzyły się oczy Lucyfera. Zanurzył się w boczne uliczki dzielnicy San Polo. Wreszcie, zdawszy się na los i intuicję, trafił na *campo* przy kościele Świętego Kasjana. Ciemność maskowała brzydotę starego budynku. Plac był pusty. Gdyby nie światło elektrycznych żarówek w oknach domów, tak mogłaby wyglądać Wenecja dwieście czy trzysta lat wcześniej. To z tego powodu, jak sądził, jego matka pokochała miasto i przekazała tę miłość swojemu synowi. Z pyłu na drogach przezierały widmowe ślady stóp kolejnych pokoleń ludzi głowiących się nad zagadką życia. Czuło się tutaj moc umarłych. Gdy Daniel patrzył na malowidła w kościele Świętego Rocha albo słuchał uwodzicielskiej muzyki noszącej teraz niesprawiedliwie jego imię, odczuwał podziw wobec tych, którzy przemierzali te ulice przed nim. Jego własne ślady były tak nieznaczne...

Zatrzymał się przed barem, w którym wcześniej przekazał pieniądze tajemniczemu złodziejowi. Lokal był już zamknięty, zaciągnięto rolety. Wenecjanie wcześnie chodzili spać. Potem, wciąż zamyślony, kilkoma krokami przeszedł przez most i otworzył drzwi do Ca' Scacchi. Głośne natarczywe dźwięki jazzowego big-bandu niosły się z pokoju na piętrze. Zerknął ostrożnie do środka, nie chcąc, by ktoś go zobaczył. Scacchi siedział wyczerpany na sofie i przyglądał się, jak Paul powoli i wdzięcznie tańczy z wyobrażonym partnerem, stawiając na dywanie pewne, dokładne kroki.

Wyczerpany zdarzeniami długiego dnia powoli wszedł po schodach na górę. Muzyka grała tak głośno, że niosła się klatką schodową i wypełniała cały dom aż po trzecie piętro. Skierował się w stronę swojego pokoju, kiedy za plecami usłyszał Laurę. Najwyraźniej trzeźwa i pogodna znów była na służbie w białym uniformie.

– Daniel? – spytała zatroskanym głosem. – Czemu wróciłeś tak wcześnie?

Zatrzymał się na półpiętrze i przynajmniej raz Laura wydała się zaskoczona wyrazem jego twarzy.

– Dość tego! – oznajmił. – Wróciłem, i tyle.

– Myślałam – zaczęła, może nie z uśmiechem, lecz na pewno nie obojętnie – że ty i Amy... Jest taka miła i ładna. No i utalentowana.

– Gdybym tego chciał, z pewnością dałbym ci znać. Ale ty nalegałaś...

Jej zielone niewinne oczy uśmiechnęły się do niego.

– Chyba jesteś zdenerwowany – stwierdziła. – Podać ci coś? Drinka?

– Nie! Mam już dość alkoholu na jeden dzień. Chyba zresztą na cały miesiąc.

– To może herbatę. Anglicy lubią herbatę.

– Jestem tego świadom. – Idei herbaty nie potrafił się oprzeć. – Tak. Poproszę herbatę.

– W moim mieszkaniu jest mała kuchnia. Nie przeszkadzajmy dżentelmenom na dole. Jak widzisz... – nagle uniosła głos do ogłuszającego krzyku, który pomknął w dół schodów – ...zorganizowali tam sobie małą imprezkę!

Poszedł za nią do dużego wysprzątanego mieszkania, delikatnie pachnącego perfumami. Ściany pomalowano na biało, a wnętrze było skromnie umeblowane. W rogu obok zlewu była kuchenka, a na szafce mikrofalówka. Pośrodku dominował gustowny kwadratowy stół z czterema krzesłami, a pod ścianą stała sofa. Za półotwartymi drzwiami do sypialni przyćmione światło lampy padało na podwójne łóżko nakryte kapą w kwiatowe wzorki. Muzyka Scacchiego przedostawała się przez podłogę natarczywym dudnieniem.

– Earl grey czy darjeeling?

– Hmm... Earl grey. – Usiadł na niskiej kremowej sofie i przyglądał się jej krzątaninie przy kuchni.

– Jaki jest Pałac Grittich?

– Wielki. I szykowny.

– Tylko tyle masz do powiedzenia? Amy pewnie ma apartament. Musi być cudowny.

– Jest... nie w moim guście.

– Hmm. – Podeszła do stołu, energicznie zamieszała herbatę w dzbanku i usiadła obok niego z dwiema filiżankami w ręku. Na dole muzyka jeszcze się wzmocniła, słychać było bigbandowe bębny. Dobiegł ich ironiczny śmiech Paula. Daniel nie chciał wiedzieć, co się tam dzieje. Nieraz z odgłosów dochodzących z sypialni mężczyzn można było wnioskować, że mimo choroby ciągle potrafią tryskać wigorem.

– Lubisz jazz? – spytała, najwyraźniej nie chcąc już dalej drążyć tematu Amy.

– Nie słucham go zbyt często.

– Nie słuchasz? – Kiedy mówiła, spomiędzy guzików fartucha błysnęła opalona skóra. Daniel zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił błędu. – Jazz jest przecież do tańczenia, nie uważasz?

– Nie wiem.

– Chodź!

Odstawiła filiżankę i pociągnęła go, by wstał.

– Lauro, ja nie umiem tańczyć.

– To świetnie! Wreszcie znalazło się coś, czego mogę nauczyć mojego bystrego Anglika!

– Ja nie potrafię...

Wyprowadziła go na środek pokoju. Na dole, jakby na zamówienie, muzyka zmieniła się na żywszą. Laura wyciągnęła ramiona przed siebie i kiedy podszedł, znalazł się w jej lekkich objęciach.

– Ruszaj się – zarządziła.

– Jak?

Miała świeżo umyte pachnące włosy. Popatrzyła na niego pełna energii, chciała się ruszać.

– W taki sposób.

Zakręciła nimi lekko, prowadząc. Starał się nadążać, ale nadepnął jej na palce i zaczął chichotać. Zatrzymali się przy stole. Laura spojrzała na niego rozbawiona i zmieszana.

– Daniel – zauważyła łagodnie. – Zdaję sobie sprawę, że Anglicy nie słyną z wdzięku i poczucia rytmu, ale ty będziesz niedługo sławnym kompozytorem. Przynajmniej powinieneś spróbować.

– Ech, przestań – westchnął beznadziejnie. Zobaczyła zmartwienie w jego twarzy.

– Przepraszam. Nie powinnam w ten sposób żartować.

Stali w bezruchu, każde z prawą ręką na ramieniu, a lewą na talii drugiego. Daniel nigdy jeszcze nie był tak blisko niej. Twarz Laury, lekko przechylona, była zachwycająca. Gdy się uśmiechała, w kąciku ust pojawiały się urocze linie. Ta kobieta przed nim i dziewczynkowata Amy nie miały ze sobą nic wspólnego.

– Ona gra koncert, Lauro, i myśli, że jestem jego autorem. Pożąda muzyki albo umysłu, który za nią stoi, a nie mnie.

Szybkie rytmy na dole zastąpił wolniejszy utwór. Zaczęli się miękko kołysać.

– Ani przez chwilę w to nie wierzę. Chociaż sobie na to zasłużyłeś. Ostrzegałam cię przed tym oszustwem, ale za moje wysiłki Scacchi zmył mi głowę.

– Myślał o twoim dobru, Lauro – odpowiedział ostrożnie. – Myślę, że jesteś dla niego najdroższą osobą, droższą nawet niż Paul.

Jej oczy pociemniały.

– Skoro tak, to czemu ma przede mną tajemnice? Nie, nie powinnam narzekać. Jutro czeka nas rozmowa.

– To dobrze... – Postanowił nagle i bezczelnie zmienić temat rozmowy. – Ile masz lat, jeśli mogę spytać?

Jej oczy zabłysły zaskoczeniem, lecz nie było w nich gniewu.

– Nie mam jeszcze trzydziestki i tak pozostanie przez kilka lat.

– Aha.

Czekała przez chwilę, ale chłopak najwyraźniej nie zamierzał już nic powiedzieć.

– Danielu, kiedy dżentelmen zadaje takie pytanie damie, ona zazwyczaj spodziewa się jakiegoś komentarza w odpowiedzi, a nie grobowej ciszy.

– Nie wyglądasz nawet na dwadzieścia cztery.

– Kłamczuch!

– Nie, mówię poważnie. Przynajmniej czasami tak jest. Choć w innych sytuacjach...

– No ile? Czterdzieści? Pięćdziesiąt? Siła twoich komplementów z każdą chwilą się zmniejsza.

– Niechcący. A mówiąc zupełnie szczerze, Lauro, myślę, że jesteś jak kameleon. Przyjmujesz taką postać, jaka ci odpowiada, czy to pokojówki, czy kucharki albo starszej siostry, albo... – Powstrzymał się. – Nigdy nie dałbym ci czterdziestki, nawet kiedy starasz się paskudnie wyglądać. Najwyżej trzydzieści pięć.

Uniosła w górę subtelny nosek, jakby dobiegł ją brzydki zapach.

– Nigdy wcześniej, panie Forster, nie tańczyłam z człowiekiem, który nazywał mnie paskudą. A już na pewno nie z takim, który przychodzi cały ubrudzony błotem z laguny i cuchnie mu z ust *bisato crudo*.

W tyle jego głowy narastała dzika ochota, żeby ją pocałować. W wyobraźni widział ich nawet razem, tak jakby umiał oddzielić umysł od ciała i przyczepić go jak kamerę do ściany nad mikrofalówką, obok obrazka Dziewicy z Dzieciątkiem. Muzyka na dole umilkła. Daniel i Laura zatrzymali się, wciąż lekko objęci.

– Wracając do tego, co mówiłem – dodał z ożywieniem – Amy jest zdeterminowana. Jeśli nie będzie mieć mnie, zadowoli się kimkolwiek.

– Ach tak, rozumiem. W końcu to Wenecja, miasto romansów. Cudowna klisza. Amerykanie ciągle się na to nabierają. *‘Ave a nice day!*

Zaczęli się śmiać i Danielowi wydało się, że Laura obejmuje go trochę mocniej.

– Kiedy zwiedza się Wenecję, trzeba obowiązkowo się zakochać – ciągnęła. – Wy,

cudzoziemcy, wierzycie w to, odkąd wymyślono tę waszą Grand Tour[7].

– Wiem – odpowiedział nieobecnym głosem, pogrążając się w myślach.

– Ach, rozumiem. Zastanawiasz się, jakim cudem służąca opowiada o takich sprawach? Co tacy jak ona wiedzą o Grand Tour?

Daniel poczuł się, jakby stał na krawędzi wysokiego klifu i patrzył w dół na doskonały błękit oceanu, zastanawiając się, czy skoczyć. Powoli i delikatnie uniósł dłoń z jej ramienia, odgarnął kasztanowe włosy z szyi i dotknął miękkiej ciepłej skóry. Zastygła w bezruchu. W pokoju zapanowała cisza i słychać było bicie ich serc.

– Nie – odparł. – Myślałem właśnie, że u źródła każdej kliszy leży ziarno prawdy. Inaczej nie powstałaby ta o zakochaniu się Wenecji. Ale mnie to spotkało.

Laura wpatrywała się w milczeniu w jego pierś. Powoli uniósł palce ku jej policzkowi i przesunął bokiem dłoni w górę, do kącika jej zasłoniętego przez loki oka. Poczuł tam kropelkę wody. Jakby zażenowana tym odkryciem dłoń powędrowała dalej ku jej włosom, które wślizgnęły się między palce jak jedwab.

– Danielu... – Jej głos był niski i pozbawiony emocji. Żałował, że nie widzi jej twarzy. – Jestem idiotką. Nie zaprosiłam cię tu z tego powodu. Nie miałam żadnych ukrytych intencji.

– Wiem – powiedział. Delikatnie i czule pocałował jej policzek i smakując pojedynczą słoną łzę, usłyszał, jak Laura powoli bierze oddech.

– Jestem szczęśliwa w samotności – stwierdziła.

– Ja także byłem.

Jego palce zatańczyły po policzku dziewczyny jakby zaskoczone gładkością skóry. Kiedy uniosła głowę, by popatrzeć mu w oczy, w jej spojrzeniu czaiło się coś, co przypominało lęk.

– To chyba nie jest właściwe.

– Zgadzam się. Chyba nie jest.

Uśmiechnęła się do niego i Daniela zadziwiło jej piękno.

– Co w ciebie wstąpiło?

– Determinacja. W końcu sama powiedziałaś, że przyjechałem tu w konkretnym celu. Żeby was uratować.

– Mnie nie trzeba ratować! Ja...

Nachylił się i ich usta spotkały się z dokładnością i precyzją zegarowego mechanizmu. Objął ją i jego dłonie poczuły doskonałe krzywizny jej bioder. Dotknęła jego brzucha, sięgnęła w dół, wyjęła mu koszulę ze spodni i położyła dłoń na ciepłym bladym ciele.

Przestali się poruszać, by popatrzeć na siebie z dojmującą świadomością, że ciągle jest czas, by się cofnąć. Jej usta były półotwarte, oczy śledziły jego spojrzenie.

Daniel rozpiął górny guziczek jej białego fartucha i powoli to samo zrobił z pozostałymi. Ubranie rozchyliło się. Strząsnęła je z ramion i stanęła tam w śnieżnobiałej bieliźnie kontrastującej z opaloną skórą.

– Minęło dużo czasu – szepnęła. – Boję się.

– Czekaliśmy na siebie, Lauro. Czujesz to?

Nie odpowiedziała. Nalegał:

– Wierzysz w to, prawda?

– Nie wiem, w co mam wierzyć. – Przesunęła dłoń w górę po jego piersi i poczuła bicie serca. – Pewnej nocy miałam sen. Znowu byłam na łodzi przy Ca' Dario.

– I co?

– Kiedy spojrzałam w górę w tamto okno, ponownie zobaczyłam człowieka i to byłeś ty! W agonii. Ręce miałeś całe we krwi. Krzyczałeś.

– A więc oboje śnimy o sobie.

Kąciki jej ust uniosły się i po twarzy przemknął cień tęsknoty. Strzepnęła grudkę błota i trawy z rękawa jego koszuli.

– Chciałabym zapamiętać tę noc, panie Forster – oznajmiła oficjalnie – ale nie z powodu pańskiego zapachu. Do łazienki, mój drogi. W tej chwili.

Czuł, że nie ma powodu do pośpiechu. Gdy wrócił, czekała w sypialni pod kwiecistą narzutą. Pokój rozjaśniała pojedyncza lampa. Nagi wślizgnął się do łóżka i natychmiast znalazł się w jej ramionach.

– Nie jestem... specjalistą – wyszeptał.

– A ja niby tak, bo jestem starsza od ciebie?

– Nie wiem. Ale to nieważne.

Usiadła na nim i ujęła jego twarz w dłonie.

– Pamiętaj mnie, Danielu.

– Oczywiście! Ja...

Położyła mu palce na ustach, a drugą ręką sięgnęła w dół, poruszając się w sposób, który i tak by go uciszył. Delikatnie szukała najlepszej pozycji, a kiedy na niego opadła, metalowe sprężyny taniego podwójnego łóżka zaczęły skrzypieć w rytmie ich poruszeń. Słowa zniknęły, zastąpione najbardziej elementarną rozmową, którą prowadzili rozgorączkowanymi dłońmi i poszukującymi językami. Kiedy usłyszał jej narastający jęk, poczuł, że musi do niej dołączyć. W słodkim dusznym zachwycie leżeli razem całe wieki, spleceni niczym jedna istota. Później żar powrócił i reszta nocy składała się tylko z dwóch ciał, jasnego i ciemniejszego, które poszukiwały i znajdowały nienazwane niebo.

Nie pamiętał chwili, gdy wysunęła się z jego ramion. Jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że to się nie może stać. Że śpiąc, musi trzymać ją mocno w objęciach, by nie opuściła jego świata i nie wkroczyła w inny, dokąd nie będzie mógł za nią podążyć. Lecz tej nocy trudno było mu odróżnić rzeczywistość od snu. Zupełnie jakby ich dwa światy zlały się ze sobą i przemieszały tak dokładnie, że stały się jednością.

Nagle usiadł w lepiącej się pościeli, sam, w pełni rozbudzony, ze strasznym dźwiękiem huczącym w głowie. Mały zegarek z budzikiem stojący przy lampce nocnej pokazywał trzecią piętnaście. Dźwięk powrócił i Daniel rozpoznał go z narastającą paniką. Gdzieś poniżej Laura wrzeszczała, przejęta najwyższą grozą.

Rzucił się ku sofie, wciągnął dżinsy i pognał schodami w dół z umysłem tężejącym z przerażenia.

Była w sypialni na drugim piętrze, którą Scacchi dzielił z Paulem. Znów miała na sobie biały domowy fartuch, tyle że pokryty krwią. Karmazynowe plamy pokrywały materiał. Na jej twarzy dostrzegł krew, a w dłoni długi kuchenny nóż ciemny od posoki.

Paul leżał na boku na podłodze i zaciskał dłonie na potężnej ranie brzucha. Oczy miał szeroko otwarte i szkliste. Scacchi siedział w fotelu w rogu pokoju z rękami przyciśniętymi kurczowo do piersi i wpatrywał się w nicość.

Daniel popatrzył na nią i powiedział:

– Lauro. Oddaj mi ten nóż. Proszę.

Już go nie rozpoznawała. Przyglądał się z umysłem porażonym paniką, jak opada na kolana z rękojeścią zamkniętą w dłoniach, jakby zamierzała zabić każdego, kto chciałby odebrać jej broń.

Na zewnątrz w oddali zawyła syrena. Daniel wpatrywał się w łkającą postać na podłodze, a jego świat rozpadał się na części.

Popołudnie okazało się nadzwyczaj przyjemne. Lekki wiatr wiał z północnego wschodu znad opustoszałej laguny, więc powietrze nad promenadą było świeże jak w marzeniach każdego Wenecjanina. Ten, do kogo spłynęły pieniądze z biletów – czyli, jak sądzę, głównie Delapole – musiał być zachwycony. Sprzedano wszystkie czterysta miejsc La Piety. Otworzono szeroko wysokie podwójne drzwi kościoła, aby ci, którzy nie zdołali kupić biletu lub nie mogli sobie na niego pozwolić, także skorzystali z rozrywki. Muzykantki z orkiestry siedziały za ekranami, a przestronne wnętrze pochłaniało wszelkie dźwięki, które się stamtąd wydobywały. Chodziło o coś więcej niż tylko muzykę. W umysłach miejscowych zalęgła się wizja nowego mistrza w mieście. Rousseau ostrzegał nas, że być może fortuna Republiki powoli się kończy. Pod widoczną wspaniałością nietrudno dojrzeć pierwsze oznaki rozkładu niczym zmarszczki na twarzy piękności, która najlepsze czasy ma już za sobą. Miasto wołało o geniusza i miało nadzieję, że okaże się nim tajemniczy kompozytor.

Spóźniliśmy się, a to przez niezwykłą sprzeczkę między Leonem i Delapole'em. Anglik wraz z towarzyszącym mu Gobbem przybył tuż przed południem do Ca' Scacchi i, początkowo uśmiechnięty, miłym tonem wypytywał o ustalenia, jakie Leo poczynił z Vivaldim w związku z popołudniowym koncertem. Mój wuj odpowiadał grzecznie, choć może nie wylewnie. Myślę, że ma pewne trudności z utrzymywaniem dobrych stosunków z ludźmi, którzy na niego łożą. Pożądając ich pieniędzy, nienawidzi równocześnie ich samych, gdyż czynią go zależnym od swej łaski. To zaklęty krąg Leona, którego jak sądzę, nigdy nie uda mu się przerwać, bowiem dobrze zna samego siebie, co rozsierdza go jeszcze bardziej.

Tak więc, gdy Delapole zapytał o odpis takiego czy innego fragmentu nut, Leo uśmiechnął się po raz pierwszy w czasie rozmowy i stanowczo pokręcił głową.

– Nie, mój panie. Tego zrobić nie mogę.

– A czemuż to? Sam zapłaciłem za te nuty.

– Oczywiście. I jesteśmy za to dozgonnie wdzięczni, choć myślę, że inwestycja ta zwróci ci się, panie, z nawiązką z wpływów za bilety. Lecz ja nie jestem właścicielem tej muzyki, bym mógł ją rozdawać. Należy do twórcy, który powierzył mi nad nią pieczę. Póki nie otrzymam odeń wskazówek, pozostanie pod moją opieką, a nie będzie rozrzucana po ulicach jak groszowy plotkarski brukowiec.

Twarz Delapole'a, zwykle obraz angielskiego spokoju, zapłonęła jasną czerwienią furii.

– To niepoważne. Ja jestem mecenasem tego człowieka. Chyba coś mi się za to należy!

– Jeśli on tak zadecyduje – odparł Leo z krzywym uśmieszkiem. – To doprawdy nie leży w mojej mocy.

– A co się stanie z nutami muzyków po koncercie? Chyba dasz mi pan jedne z nich?

– Zostaną spalone co do sztuki – wuj obwieścił z triumfem. – Podobnie jak płyty

drukarskie. Jako wydawca z reputacją...

Gobbo zakaszlał w tym momencie bardzo znacząco i przyznam, że sam miałem kłopot, by zachować powagę. Leo celowo działał Delapole'owi na nerwy, a w dodatku sam sobie dokładał pracy na przyszłość, kiedy dzieło trzeba będzie powielić, złożyć i wydrukować ponownie.

– ...uważam za swój obowiązek chronić prawa tych, którzy wybrali mnie jako pośrednika w drodze do szerokiej publiczności. Jeśli nasz maestro tak zadecyduje, wydrukuję milion egzemplarzy tego utworu i rozdam żebrakom na ulicach. Póki jednak nie mam instrukcji...

– Nie słyszałem chyba większej bzdury, Scacchi. Jeśli spalisz nuty, to co z tego pozostanie?

– Och, oczywiście oryginał, panie. Nic więcej, jako że wątpię, by geniusz, który zdecydował się pozostać w anonimacie, posłał kopię własnego rękopisu.

– A gdzie właściwie jest ten oryginał?

Ach, jakże Leo sycił się tą chwilą.

– Pod moją pieczą, rzecz jasna. Tam gdzie nikt go nie znajdzie.

Delapole uniósł laskę, piękny drewniany przedmiot o rączce z kości słoniowej, i trzasnął nią w stół naszego skromnego biura. Zapewne wolałby zdzielić po głowie wuja i, szczerze mówiąc, nie mógłbym go wówczas winić. Delapole jest człowiekiem hojnym – przekonała się o tym Rebeka. Przekazanie mu kilku kartek, by mógł je sobie włożyć do notesu, nic by przecież nie kosztowało i nie złamałoby żadnej poważnej zasady.

– Grasz ze mną w gierki, Scacchi, jakbym był jakimś londyńskim prostakiem. To wielki błąd.

Leo rozłożył ramiona, jakby mówił: Cóż ja mogę na to poradzić?

– Chodźcie – ponaglił nas. – Spóźnimy się na wielką uroczystość, panie Delapole. Stańmy w blasku niezasłużonej chwały i zobaczmy, co też z tego wyniknie. Ten utwór to nie *succes d'estime*[8], zapewniam was. Zadowoli zarówno ludzi wykształconych, jak i masy. Gdy tylko się to stanie, nasz tajemniczy muzyk z pewnością zapragnie, by świat poznał jego imię, a wówczas złoży panu należny hołd.

– Harrymf.

Anglicy niekiedy wydają ten zagadkowy dźwięk. Delapole zwolna uspokajał się. Mniemam, że czuł się raczej zraniony niż urażony. Możni nie lubią, gdy się ich wyprowadza w pole. Leo powinien teraz wzmóc czujność.

Tak zatem usiedliśmy w gondoli Delapole'a, która utorowała sobie drogę przez flotę statków na kanale, minęła plac Świętego Marka i popłynęła dalej, by zacumować przy molo opodal La Piety. Wenecja była w karnawałowym nastroju. Aktorzy z niewielkiej trupy ustawili prowizoryczną scenę niedaleko kościoła, gdzie wcielali się w typowe barwne role: Scaramuccia i Pantalona, Poliszynela i Arlekina. Nieszkodliwa rubaszna rozrywka dla plebsu tłoczącego się na nabrzeżu. Tu sprzedawca łakoci, tam wróżbitka. Różnorakie łodzie cisnęły się na lagunie, walcząc o skrawek miejsca, by móc przybić i wyładować jeszcze więcej ludzi na zatłoczony chodnik. Młodzi i starzy, bogacze i biedota, oszuści i ludzie prawi, pięknisie i obrzydliwcy. Wenecja dawała światu przedstawienie mieniące się wszystkimi kolorami: cynobrem szlachetnych sukni z jedwabiu, szorstką szarością marynarskich kaftanów, czernią i bielą bluz arlekinów oraz złocistą jak słoneczne promienie barwą warkoczy krzykliwych ulicznic pracujących pod długim wąskim nosem doży.

Uśmiechnąłem się na ten widok. Pomyśleć, że Rebeka wzbudziła takie poruszenie. Gdyby tylko wiedzieli...

Leo przecisnął się przez tłum i zawołał:

– Panie! Panowie! Anglik Delapole, któremu zawdzięczamy środki pozwalające nam słuchać tych cudów, prosi uprzejmie o przejście, by mógł zająć swe miejsce.

Wywołało to wśród mas serdeczne ciche komentarze. „Ano, ci Anglicy nie tacy źli", „Bez wątpienia dżentelmen. To nas obdarzył takim debiutem, a mógł przecież pomyśleć o rozkoszach dla uszu swoich ziomków", „Po trzykroć wiwat Delapole! Wiwat, nasz angielski dobroczyńca!".

To ostatnie, rzecz jasna, padło z ust idącego za nami Gobba. Podniósł się aplauz i zabrzmiały pochwalne okrzyki. Wśród tego wszystkiego blady przystojny Delapole jaśniał dumą. Z tłumu wyciągały się ręce ludzi pragnących poklepać go po ramieniu, machano kapeluszami, w powietrze poleciały goździki. Delapole zamachał ciżbie chustką, mamrocząc słowa, których spodziewać się można po Angliku:

– Jacy mili! Och, doprawdy, tacy uprzejmi!

Leo miał rację. Wystarczyło trochę pochlebstw i jego uraza zniknęła. Gdy przecisnęliśmy się przez drzwi do nawy, gdzie słuchacze zajęli już miejsca, wszystkie głowy odwróciły się ku nam. Muzykantki tym razem nie kryły się za ekranami. Stały niczym mała orkiestra na niskim marmurowym podeście przed ołtarzem, odziane jednakowo w czerń i rozmieszczone tak, by tworzyć łagodny łuk. Siedziały skromnie i wyglądały bardzo młodo. Rebeka znajdowała się pośrodku, skupiając spojrzenia wszystkich obecnych. Serce podskoczyło mi w piersi. Ujawniliśmy się publicznie; prosiliśmy się o katastrofę. Gra stopniowo wymykała nam się spod kontroli.

Vivaldi stał oczywiście przed muzykantkami z batutą w ręku, zwrócony ku widowni z szarą, pozbawioną wyrazu twarzą.

– Patrzcie – szepnął do nas Leo. – Dzieło jest tej miary, że sam Vivaldi czuje zazdrość. Wystawia muzykantki na widok, bo ma nadzieję, że ich piękno odwróci uwagę od brzmienia muzyki.

Delapole wskazał zarezerwowane dla nas miejsca w pierwszym rzędzie.

– Dość gadania – powiedział głośno, tak żeby wszyscy słyszeli. – Zajmijmy miejsca i niech lud Wenecji osądzi, czy zmarnowaliśmy jego czas, czy nie.

Szmer braw rozległ się w sali, kiedy podeszliśmy do ławki. Usiadłem obok Gobba u jej końca i próbowałem nie patrzeć na Rebekę. Wydawała się całkowicie pochłonięta wydarzeniem i chyba w ogóle mnie nie zauważyła. Może rozmyślnie na mnie nie patrzyła. To nie była Rebeka, jaką znałem. Włosy, tak rozczesane, by wydawały się proste, związała z tyłu głowy. Policzki miała przyozdobione różem. Ot, zwyczajna, niema, posłuszna skrzypaczka z prowincjonalnej orkiestry. Przez chwilę mnie to zastanawiało, aż wreszcie zrozumiałem: nigdy nie podjęłaby takiego ryzyka, gdyby wiedziała, że Vivaldi wyprowadzi orkiestrę ku widzom, czyniąc z niej jako solistki postać skupiającą wszelką uwagę. Przyszła, by grać za ekranem, a gdy się okazało, że będzie musiała wystąpić publicznie, postanowiła jakoś się zamaskować. Dzięki temu mogła uniknąć niezręcznych pytań, gdyby ktoś ją rozpoznał. Mimo niespodziewanego obrotu losu w jej postawie nie było choćby cienia niepokoju.

Vivaldi odchrząknął. Widownia w sali zamilkła, następnie uciszyli się także ludzie stojący na zewnątrz. Wówczas dyrygent przemówił.

– Drodzy ziomkowie – rzekł. – Jest to okazja wyjątkowa. Nie przywykłem dyrygować, gdy grane są kompozycje innych twórców, a i te muzykantki nie ćwiczą wiele prócz moich własnych utworów. Zatem proszę was oraz naszego anonimowego kompozytora o wybaczenie, jeśli popełnimy w czasie koncertu jakieś błędy lub przeoczenia. Nasz angielski przyjaciel... – Delapole skinął skromnie głową. – ...był uprzejmy roztoczyć mecenat nad tym wydarzeniem, abyśmy mogli wyrobić sobie osąd na temat tego dzieła o zupełnie dla nas nieznanej proweniencji. Być może jego twórca jest teraz w tej sali. Nie wiem tego.

Uważnie wpatrywałem się w Rebekę. Nawet nie drgnęła jej powieka.

– Nie ma to zresztą znaczenia. Tu, na kartach przed nami są nuty. Nuty godne uwagi, jak sądzę, w przeciwnym razie nie chciałbym być z nimi kojarzony. Na ile godne uwagi, musicie ocenić sami. Mam nadzieję, że nie będziecie bić brawo z ciekawości i tylko po to, by kompozytor się ujawnił, lecz z prawdziwego podziwu, uczciwie rozważywszy zalety i wady koncertu. Zostaliśmy zaproszeni, jeśli pozwolicie, do tej sali, by oglądać obraz bez podpisu, smakować wino bez etykiety. Czy to Veronese, czy trzeciorzędna kopia? Czy będzie smakować znakomitym rocznikiem z Trentino, a może to szklanka lombardzkiego deresza? Nie mogę dać wam żadnych wskazówek prócz tej, że rzecz jest warta rozważenia. A co więcej...

– No grajcież wreszcie! – zawołał ktoś od drzwi. Zabrzmiał zgodny pomruk. Delapole szepnął do Leona głośniej chyba, niż zamierzał:

– Człowiek najwyraźniej boi się zacząć. Czy myśli, że to pogrąży jego reputację?

Leo nic nie odpowiedział. Nie mógł odwrócić wzroku od orkiestry oraz, obawiam się, od Rebeki. Vivaldi pojął, iż już dłużej nie może grać na zwłokę. Machnął ręką w powietrzu. Muzykantki powstały. I tak oto nastąpiła publiczna premiera *Concerto Anonimo*, pierwszego dzieła Rebeki Levi z getta, i nikt prócz dwóch osób w całej sali nie wiedział, kto jest jego autorem.

Ten koncert był zupełnie inny niż wszystkie wcześniejsze, zarówno te w Wenecji, jak i w innych miastach świata, gwarantuję! Rebeka stała przed pozostałymi muzykantkami wyprostowana, z determinacją w spojrzeniu ciemnych oczu, i zerkała czasem na dyrygującego Vivaldiego (chociaż wątpię, by potrzebowała jego wskazówek – pewnie wolałaby zarazem i grać, i dyrygować, a do tego jeszcze równocześnie komentować dla widowni co znakomitsze partie).

W uniesieniu słuchałem, jak muzyka, którą tak amatorsko próbowałem odtwarzać na naszym starym klawesynie, odnajduje swój prawdziwy dom. Niekiedy instrument Rebeki wzlatywał bystro i zręcznie niczym afrykańska jaskółka, tkał przenikające się nawzajem tematy i fantazje, szybował i nurkował, obierając kierunki, jakich nikt nie umiał przewidzieć. Chwilę potem osiadał w głębi powolnych pasaży, z pozoru prostych, lecz ciężkich mrocznymi brzmieniami, których wcale nie było łatwo zagrać. Wreszcie Rebeka rozpoczęła solowy popis, myślę, że improwizowany, gdyż Vivaldi nie uczynił nic, tylko uniósł brew i pozwolił jej grać z głębi serca i rozognić powietrze dźwięcznymi tonami, które wydobywała ze znakomitego podarunku Delapole'a.

Gdy muzyka wybrzmiała i Rebeka usiadła, przez chwilę panowała absolutna cisza. Spojrzałem na Anglika. Miał na twarzy wyraz tak szczerego zachwytu, jakiego nigdy wcześniej u nikogo nie widziałem, i nie ukrywał łez. Nawet Leo zdawał się poruszony tym, co słyszał, i wpatrywał się w Rebekę – podobnie jak większość widowni – z otwartym podziwem. Na moment złowiłem jej spojrzenie. Wydawała się zaniepokojona, zaś szczególnie wystraszyła się, kiedy ciszę przerwał narastający grom aplauzu – pozdrowień i braw, dzikich okrzyków oraz zawołań *Encore! Encore!*[9] – grożący zawaleniem wątłych murów La Piety na nasze głowy.

Vivaldi pozwolił, by zgiełk ten trwał minutę, może dłużej. Z niezadowoleniem spostrzegłem, że przez cały czas bardzo intensywnie wpatrywał się w Rebekę. Wreszcie uniósł ręce, by uspokoić tłum, i oznajmił:

– Dałbym wam więcej, moi drodzy, lecz utwór ten nie do mnie należy, toteż nie mogę nim rozporządzać. Wenecja właśnie wydała opinię. Teraz trzeba już tylko czekać, aż nasz bohater się ujawni, byśmy mogli go jeszcze bardziej wielbić.

Jeśli się nie mylę, ostatnie zdanie wyrzekł z nutą ironii. Vivaldi wyglądał jak człowiek złamany. Nie stracił po prostu korony – on, choć nierozmyślnie, abdykował. Nie potrafił jednak odjąć spojrzenia od solistki i nie tylko ja to zauważyłem. Leo miał dziwny wyraz twarzy.

Zamknąłem oczy i starałem się zachować w pamięci te chwile chwały Rebeki. Lecz jedyne, co przychodziło mi do głowy, to przeczucie jakiegoś strasznego zakrętu na naszej niebezpiecznej ścieżce.

38 Krótkie przesłuchanie

Massiter spoglądał spode łba na członków ekipy dochodzeniowej przetrząsających pokój, w którym zginął Paul. Daniel był rozbity i źle się czuł. Dochodziła ósma rano. Nieprzytomnego Scacchiego zabrano łodzią-ambulansem do Ospedale al Mare na wyspie Lido, gdzie pozostawał w stanie krytycznym. Laura już wcześniej udała się na posterunek policji, podobno po to, by złożyć zeznania. Mimo że dwudziestu ludzi badało każdy zakątek Ca' Scacchi w poszukiwaniu informacji, dom wydawał się pusty.

– Niech to szlag, niech to szlag... – mamrotał Massiter. Jest autentycznie wstrząśnięty napaścią, pomyślał Daniel. W ostrym świetle poranka wydawał się starszy i prawie filigranowy. – Co za pech – mruknął.

– Co masz na myśli, Hugo?

– Znam ludzi z policji. Zadzwonili do mnie po tym, jak zaszły te straszne wydarzenia. Staram się pomóc.

– Oczywiście – powiedział Daniel bez zastanowienia.

– To już coś. Tego Amerykanina w ogóle nie znałem, ale Scacchiego uważam za przyjaciela.

Układy między tą dwójką były chyba bardziej złożone, niż się zdawało, uznał Daniel.

– Z pewnością – rzucił.

– A oni przysyłają tę... ekipę! Żadnego z nich nawet nie znam!

Policjanci mieli na sobie ciemne ubrania i zdawali się całkowicie pochłonięci domem, nie jego mieszkańcami. Cichy człowiek o ziemistej cerze przez pół godziny przesłuchiwał Daniela i wyglądał na znudzonego własnymi pytaniami, jak gdyby znał już odpowiedzi i po prostu oczekiwał potwierdzenia. Chłopak skłamał w kilku miejscach: powiedział, że kiedy zbudził go wrzask, był we własnej sypialni, i że nic cennego raczej nie zniknęło. Choć policjanci przeszukali każdą szafę i szufladę, także w sąsiednim magazynie, nie znaleźli ani starodawnych skrzypiec, ani wyblakłego manuskryptu, ani paczki dolarów, którą Scacchi musiał gdzieś ukryć. Daniel instynktownie przeczuwał, że tych rzeczy nie ma już w domu.

Wreszcie, ku jego konsternacji, przybyła Giulia Morelli, by przejąć dowodzenie nad śledztwem. Ukłoniła się z powagą Danielowi, spotkawszy go w salonie, lecz nie odezwała się do niego, a później zajęła się swoimi sprawami.

– To robota złodziei – powiedział zdecydowanie po części do siebie, po części do Massitera. – Kimkolwiek byli, ukradli rękopis.

Starszy mężczyzna popatrzył ponuro.

– Cholernie dobrze, że go wcześniej skopiowałeś. Inaczej naprawdę mielibyśmy problem. Czy coś jeszcze zniknęło?

Daniel popatrzył na niego.

– Zamordowano mojego przyjaciela. Drugi walczy o życie. Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie ten rękopis. Chcę, by znaleźli człowieka, który za to odpowiada.

Massiter wydawał się urażony.

– To nie pomoże Scacchiemu. Ani nie zwróci nam muzyki. Tu było coś jeszcze, prawda?

– Nie wiem – odparł gniewnie. – Scacchi lubił mieć swoje tajemnice.

– A pieniądze?

– Już ci powiedziałem. Nie wiem.

Może Scacchi chciał w jakiś sposób wykiwać tych samych ludzi, których zamierzał uspokoić, kupując guarnera? Daniel uznał, że skrzypce zostały zabrane z domu, choć przecież nie rozmawiali o tej sprawie, odkąd instrument trafił w ich ręce. Pewnie wszystkie pieniądze, które za niego dostał, wydał już na coś innego. Ale na co?

– Muszą się dowiedzieć o rękopisie – oznajmił stanowczo Daniel. – Pójdę im powiedzieć.

Massiter chwycił go za ramię i syknął do ucha tak głośno, że Morelli, która stała po drugiej stronie pokoju i przeszukiwała biurko, spojrzała na nich.

– Nie wolno ci tego zrobić, głupku! Powiesz im o utworze, a obaj skończymy jako oszuści!

– Nie obchodzi mnie to.

Twarz Hugona stwardniała, nabrała groźnego wyrazu.

– Musisz wiedzieć jedno. Obaj podpisaliśmy umowy, zgodnie z którymi jesteś autorem utworu. Jeśli im teraz wyznasz prawdę, przedstawią nam zarzuty o przestępstwo. Jako obcokrajowcy zapewne w parę chwil znajdziemy się w celach. Ty jesteś pionkiem, ale wyobraź sobie, jak się będą cieszyć, kiedy przymkną mnie.

Daniel wyrwał się z jego uścisku.

– Myślałem, że masz znajomości.

– Weneccy przyjaciele – odparł Massiter, uspokajając się nieco. – Dobrzy na słoneczną pogodę.

Morelli wróciła do papierów na biurku Scacchiego, ale zerkała czasem w ich stronę. Anglik miał rację: tkwili w pułapce własnego oszustwa. To pewnie dlatego, podejrzewał Daniel, tak szybko zjawił się w Ca' Scacchi, kiedy tylko dowiedział się o zdarzeniu.

– A więc? – spytał Massiter.

– W porządku, nic im nie powiem – rzekł chłopak. – Przynajmniej na ten temat.

Potem odwrócił się na pięcie i przeszedł przez pokój. Pani detektyw odłożyła plik listów napisanych ozdobnym zamaszystym pismem gospodarza.

– Kiedy będzie można zobaczyć Scacchiego? – spytał Daniel, kiedy Hugo stanął u jego boku.

– Obawiam się, że jest w śpiączce.

– Wy się znacie? – Massiter spojrzał na nich ze zdziwieniem.

– Jestem kapitan Morelli. – Policjantka wydawała się zachwycona jego obecnością. – Byłam na każdym pańskim koncercie. W tym roku to Daniel jest gwiazdorem, tak przynajmniej piszą w gazetach.

Chłopak skrzywił się.

– Gazety...

– Przykro mi – powiedziała. – To wstrząsające zdarzenie. Nie powinnam teraz gadać o błahostkach. Ale będzie pan kontynuował prace nad koncertem, prawda?

– Oczywiście – odparł Hugo, wpychając się między nich. – Scacchi by sobie tego życzył.

Już zaczęli mówić o starym człowieku w czasie przeszłym.

– To dobrze. – Uśmiechnęła się lekko. – My już prawie skończyliśmy. Przepraszam za niewygody. Łączę się z wami w smutku. Nie znałam Amerykanina, ale zawsze lubiłam towarzystwo Scacchiego. Będę się modlić za jego wyzdrowienie.

– Znalazła coś pani? – spytał Massiter z nadzieją w głosie.

Potrząsnęła głową.

– Nic. To stary dom, ale nie ma tu nic szczególnie wartościowego. Przypuszczam, że przez lata sprzedano wiele rzeczy. Czy twoim zdaniem czegoś tu brakuje, Danielu?

– Niczego nie zauważyłem. Ale to musiał być napad rabunkowy.

Oczy Giulii zwęziły się.

– Dlaczego? Co tu było cennego dla złodzieja?

– Nie wiem – odrzekł pospiesznie.

– A gdzie dowody? Nie ma wybitych szyb, żadnych śladów włamania. Jeśli to był złodziej, Scacchi i Amerykanin musieli go wpuścić do środka.

Daniel usiłował coś szybko wymyśleć.

– Muszę pani o czymś powiedzieć. Nie wiem, czy to istotne.

Policjantka skinęła głową.

– Chodzi o coś, czego nie ma w twoich zeznaniach? Czytałam je. To wyglądało bardzo prosto. Byłeś w łóżku. Usłyszałeś krzyk. Zobaczyłeś, co zobaczyłeś.

– Nie chodzi o mnie. – Był świadomy obecności Massitera przy swoim boku. – Scacchi pożyczył od pewnych ludzi pieniądze. Martwił się, że zrobią coś jemu i Paulowi, jeśli nie uda mu się ich oddać.

– Pewnych ludzi?

– Chyba chodzi o przestępców – wyznał Daniel.

Rozbawiło ją to.

– Scacchi znał jakichś przestępców? Myślałam, że był kimś w rodzaju handlarza dziełami sztuki, jak pan, signor Massiter.

– Nie był raczej w mojej lidze – Anglik pociągnął nosem.

– Ale jednak... – ciągnęła kobieta. – Handlował przedmiotami, które miały pewną historię, i zajmując się nimi, nadawał im wartość. Wyobrażam sobie, że większość sprzedawców dzieł sztuki tak robi. Będę z tobą szczera. Jak się zapewne domyślasz, nie jest tak, że nic nie wiemy o Scacchim. Nie jesteśmy głupkami.

– Więc wie pani, z jakimi ludźmi mógł się zadawać?

– Oczywiście! I raczej wiedziałabym, gdyby ktoś z nich miał powody, by się na niego zdenerwować. Nie ma sensu milczeć na temat niewywiązujących się dłużników. Plotka wzmacnia siłę nacisku i służy jako straszak na ich wspólników, gdy trzeba wymierzyć karę.

– Więc jest trop – zauważył. – Może pani pomówić z tymi ludźmi. Dowie się pani, kim byli wierzyciele.

Rzuciła mu pobłażliwe spojrzenie.

– Zrobiłam to krótko po tym, jak stąd wyszłam. Może i nie przelewało się w tym domu, ale nie znalazłam żadnych dowodów, by Scacchi był winny komukolwiek choćby centa.

– To nieprawda! On sam mi to powiedział!

– A nigdy w życiu nie skłamał?

Giulia czekała na odpowiedź, ale Danielowi zabrakło słów. Odwróciła się ku Massiterowi.

– Czy pan mnie pamięta?

Zerknął na nią.

– Nie, przykro mi.

– Nie ma powodu. Wówczas właśnie skończyłam studia. To było dziesięć lat temu, kiedy miała miejsce tragiczna sprawa tej dziewczyny, skrzypaczki. Jak ona się nazywała...

– Susanna Gianni – odparł miękko Massiter.

– Racja. Dobrze pan pamięta niektóre rzeczy. Pracowałam nad tamtą sprawą. Byłam przy tym, jak pana przesłuchiwano. Bardzo poruszył mnie pański żal.

– To była wielka strata. Zastanawiałem się, czy nie zadedykować jej tegorocznego koncertu.

Wzruszyła ramionami.

– Dlaczego teraz? Po tylu latach? Już pewnie wszyscy o niej zapomnieli.

– Nie ci z nas, którzy ją znali – odciął się Massiter.

– Więc może powinniście zorganizować prywatne spotkanie wspomnieniowe we własnym gronie. Po co wyciągać jej nazwisko przed publicznością, która jej w ogóle nie kojarzy? Biedaczka nie żyje i trzeba się z tym pogodzić. Czasem te sprawy mają w sobie coś ostatecznego, co warto uszanować. Wie pan, co to było w tym przypadku, prawda?

Hugo przestąpił z nogi na nogę i spojrzał na zegarek.

– Nie do końca rozumiem, o co pani chodzi.

– Chodzi mi o to, że po morderstwie Gianni przez tydzień wszyscy funkcjonariusze policji przetrząsali miasto w poszukiwaniu zabójcy. I nagle zupełnie niespodziewanie on sam się ujawnił. Znaleźliśmy ciało tego pańskiego dyrygenta... i list z wyznaniem winy! Wyobraża pan sobie, jak wielką wdzięczność moi przełożeni poczuli do tego człowieka? W jednej chwili chaos. W następnej porządek. A w dodatku nie trzeba wydawać ani grosza na proces.

– To było koszmarne lato – powiedział głucho Massiter.

– Tak – odparła. – Jednak dużo się wtedy nauczyłam. Na przykład tego, że mądrość to synonim prostoty. Że poszukiwanie tajemnic i spisków tylko zamula wodę, która na początku jest przejrzysta. Pierwsze rozwiązanie przeważnie jest... trafne. Tak, to chyba dobre słowo.

Oboje zamilkli. W zachowaniu tej kobiety było coś na poły żartobliwego, na poły groźnego, co kazało im wzmóc czujność.

– Panowie. – Nachyliła się i położyła rękę na ramieniu Daniela. Czuł jej perfumy. Zajaśniał przed nim szeroki doskonały uśmiech policjantki. – Zgodzicie się ze mną, prawda? Po co niepotrzebnie przewracać kamienie, spod których wyłazi tylko czarne robactwo, które wije się nam potem pod nogami.

Ton jej wypowiedzi nagle go rozwścieczył.

– Chcę, żeby człowiek, który to zrobił, został znaleziony! Ma stanąć przed sądem!

– Oczywiście! – Kobieta najwyraźniej stroiła sobie z niego żarty.

– Chcę...

– Spokojnie – przerwała stanowczo. – Już przecież dostałeś, czego chcesz. Mamy winowajcę. Pewnie w ciągu kilku dni przedstawimy zarzuty. Wkrótce potem sprawa będzie w sądzie. Papierki... zawsze są z tym kłopoty.

– Co takiego?

– Sam widziałeś. Miała w ręku nóż. Jest cały pokryty jej odciskami palców.

– To żałosne – Daniel podniósł głos. – Laura była członkiem rodziny. Kochali się.

– Rodzina. Tyle powodów do kłótni. Pieniądze. Namiętności. Nienawiść. Ona jest teraz w więzieniu dla kobiet w Giudecce. Możesz się z nią zobaczyć. Nie mam nic przeciw temu.

Miał ochotę chwycić tę kobietę za ramiona i trząść nią, aż odzyska rozum. Miał ochotę na nią nawrzeszczeć, ale wiedział też, że tego by właśnie chciała.

– Bardzo się pani myli – rzekł, usiłując zachować spokój. – Scacchi wyzdrowieje i sam wszystko opowie.

– Niewykluczone. Ale do tego czasu sam z nią porozmawiaj – nalegała.

– Danielu – Massiter chwycił go za ramię. – Lepiej daj teraz spokój...

– Nie!

Stała przed nim prawie uśmiechnięta. Wiedział, że posiada jakąś cenną informację i czeka na odpowiedni moment, by ją ujawnić.

– Jest coś jeszcze? – spytał.

– To proste, Danielu. Proste jak wszystkie wielkie tajemnice. Służąca się przyznała. Tutaj, kiedy spisywaliśmy jej zeznania, a później znowu na posterunku. Nie podała motywu. Chyba jest trochę szalona. Kto by się przejmował? Przyznała się. Czy mogłoby być jakieś wygodniejsze rozwiązanie?

Po koncercie wypadliśmy na słońce, mrugając niczym jeńcy wypuszczeni z baśniowej jaskini, którzy cały dzień spędzili pod ziemią. Delapole był bohaterem dnia. Tłum także Rebekę chciał uczynić bohaterką, lecz uciekła przez nikogo niezauważona. Szukałem jej na próżno i przez cały ten czas moje nerwy szarpała niepewność. Co będzie, jeśli jednak ją rozpoznano? Co planował Leo? Zaś przede wszystkim, w jaki sposób udało nam się osiągnąć to, czego najbardziej pragnęła i na co w pełni zasługiwała, i to bezkarnie? Jakim cudem nie zawalił się nam na głowę cały świat?

Dwie godziny później byłem już w domu. Wuj, żłopiąc wino, wyglądał jak hiena, która natrafiła na świeżą padlinę. Potwierdziły się moje najgorsze obawy. Skinął na mnie, bym siadł przy stole, przyszpilił mnie wesołkowatym spojrzeniem i rzekł:

– No i co teraz pocznie Vivaldi, jak sądzisz? Nie należy do tych, co lubią stać w czyimś cieniu.

– Nie mam pojęcia, wuju. Zależy, kim jest kompozytor i czy wyda nowe dzieła. Być może jest stary...

– Stary! Stary! Brzmiało ci to jak muzyka starca? Tu ktoś zmienia nam przed nosem reguły gry, a na to nie porwałby się nikt po trzydziestce.

– Skoro tak twierdzisz... Lecz zastanawiam się, ilu ludzi to zauważy. Dla nich to tylko przepiękna muzyka w świetnym wykonaniu, nie zadają sobie takich pytań.

Leo uśmiechnął się cwaniacko.

– A może powinni. Bo ja zadałem Vivaldiemu jedno pytanie.

Krew ścięła mi się w żyłach. Nic nie rzekłem.

– Spytałem, czemu wystawił jako gwiazdę tę ładnie przebraną skrzypaczkę, którą mu posłałem, Rebekę... Guillaume, tak ją chyba nazywał. Teraz już dziewczyna uważa się za prawdziwą gojkę z różem na policzkach.

Odpowiedziałem po dłuższym namyśle.

– Chyba żaden z nas nie powinien rozwodzić się nad sprawą Levich, wuju, bo możemy obaj znaleźć się w ciemnicy.

W jednej chwili jego ręka wystrzeliła nad stołem. Chwycił mnie za kołnierz i pociągnął ku sobie, tak że moja twarz znalazła się na grubość palca od jego twarzy. Był zdumiewająco silny i tak mnie zaskoczył, że nie stawiałem oporu.

– Nie graj ze mną, chłopcze! Spytałem Vivaldiego, jak długo uczyła się swojej partii. Popatrzył na mnie tym swoim wyniosłym spojrzeniem i rzekł: „Żebyś wiedział, Scacchi, to prawdziwy cud. Dzień, może dwa, nie więcej. Tak jakby znała ten kawałek, nim dałem jej nuty".

Odrzucił mnie z powrotem na krzesło. Wierciłem się, desperacko usiłując uniknąć przesłuchania.

– Masz mnie za prostaczka, Lorenzo? Ów rękopis ktoś niby „podrzucił pod drzwi”? A cały ten czas, który ty i ta ślicznotka spędzaliście z sobą?

– Nie wiem, o co ci chodzi, wuju.

– Ha! To ona. Wiesz o tym bardzo dobrze. I powiem ci coś. Dziewczyna nigdy nie może się przyznać, że napisała tę muzykę. Choćby płakała, prosiła i nawet rzuciła się do stóp samemu doży, miasto rozerwie ją na strzępy, gdy tylko się dowie, że Rebeka „Guillaume” wyprowadziła je w pole. Żydówka na tym świecie nie pisze muzyki i nie kpi z Kościoła. Jedyną nadzieją dla niej i dla jej muzyki jest zdać się na litość człowieka, który wymyśli podstęp, by ją ukryć.

Było oczywiste, kogo miał na myśli, a ja już dobrze wiedziałem, jakim jest panem dla swoich sług. Mój umysł zawirował.

– A ty – warknął – ty zwiesz się moim ciałem i krwią, a jednak stać cię na takie sztuczki. Jedno spojrzenie na piękną Żydóweczkę i wszelka lojalność idzie w diabły, co?

Obraz w kościele po drugiej stronie *rio* znów stanął mi przed oczami, tyle że tym razem zrozumiałem już, jak uczeń może mieć mordercze myśli wobec mistrza.

– Czy jeszcze czegoś żądasz ode mnie, wuju? – zapytałem.

– A co masz do zaproponowania?

– Nic, wuju.

– No to się wynoś. Sam rozmówię się z Levimi i zobaczę, co da się zrobić. Co do twoich wycieczek z tą damą, możesz o nich zapomnieć. Masz tu dużo roboty. Zaczniesz od wysprzątania piwnicy. Uważaj na szczury, gryzą. Zostaniesz w murach tego domu, aż ci powiem, że możesz wyjść.

Poszedłem do swego pokoju i patrząc na wieczornych spacerowiczów na ulicy San Cassian, pozwoliłem, by mój gniew rozwiał się jak dym w mroku. Leo jest niczym pająk. Plecie w ciemnych zakamarkach sieć, czuwa wśród cieni, a gdy zaplączą się w nią ofiary, wyskakuje. I ta próżna pewność siebie będzie stanowić jego zgubę.

Nasłuchiwałem, jak dwa piętra niżej pije wino i mówi do siebie. Od czasu do czasu rozbrzmiewał zimny metaliczny dźwięk jego śmiechu. W łożu towarzyszy mu obecnie tylko czerwone veneto, a po skonsumowaniu romansu z nim zasypia. Po północy, kiedy dobiegło mnie chrapanie, wybiegłem w noc do getta.

40 Pani kapitan robi postępy

Giulia Morelli siedziała przy biurku, na którym w równych stosach piętrzyły się raporty, i myślała o Ca' Scacchi, Danielu Forsterze oraz o tym, co zdarzyło się kilka tygodni wcześniej w mieszkaniu przy Sant' Alvise. Czuła, że wszystko to jest w jakiś sposób z sobą powiązane. W rozwikłaniu tej zagadki miała własny interes. Przynajmniej od czasu, kiedy w małym ciemnym pokoju śmierć zajrzała jej w oczy. Nawiedzało ją wspomnienie chwili, gdy klęczała naprzeciw martwego dozorcy cmentarza i czekała na moment, gdy podąży tą samą drogą co on. Zupełnie jakby nawiedził ją jakiś duch. Wypędzić go mogły tylko egzorcyzmy odczynione za pomocą wszelkich środków, które okażą się konieczne.

Pokojówka Scacchiego kłamała, to było zupełnie oczywiste. Kłamali także obaj Anglicy, chociaż w przypadku młodszego nie rozumiała, z jakiego powodu ją oszukuje. Była w jego sypialni, widziała prawie nietknięte prześcieradło i porównała je ze splątaną gmatwaniną pościeli na łóżku kobiety. Nietrudno odgadnąć, gdzie spędził tamtą noc. Czy pokojówka kłamała, żeby go kryć? To chyba niemożliwe. Daniel zbyt mocno wierzył w jej niewinność, za bardzo zależało mu na wyzdrowieniu Scacchiego, który oczyściłby ją z zarzutów.

Massiter to inna sprawa. Jego nazwisko pojawiało się w każdym z raportów na jej biurku, lecz nie dało się wysnuć z nich żadnych wniosków. Bez wątpienia brał udział w przemycie nielegalnych przedmiotów. Mieli doniesienia z setek źródeł, które to potwierdzały. Krążyły też pogłoski o unikaniu podatków i zuchwałych defraudacjach. Jego nazwisko padło w tylu rozmowach, że nie mógł to być zbieg okoliczności. A jednak nie było przeciw niemu nawet skrawka dowodu. Mimo to jakiś ambitny detektyw mniej więcej cztery lata temu załatwił nakaz rewizji jego mieszkania niedaleko Salute. Wyszedł stamtąd z pustymi rękami, a teraz zajmował się papierkową robotą w Padwie.

Massiter wszędzie miał przyjaciół, ludzi stojących w cieniu. Zdawała sobie sprawę, że ostrzegają go za każdym razem, gdy ktoś podejmuje przeciw niemu jakieś działania. Lecz przecież musiał mieć piętę Achillesa, a ona wiedziała, co nią jest. Jeśli pogłoski mówiły prawdę, w Mestre miał jakąś dziuplę czy mały magazyn, gdzie ukrywał trefne towary, zanim szły dalej. Feralny detektyw, którego kariera marniała teraz w Padwie, przeczesał miejskie księgi w poszukiwaniu zakupionego lub wynajmowanego przez Massitera *magazzino*, ale nic nie znalazł. Jednak ta nielegalna jaskinia Aladyna musiała istnieć. Anglik zajmował się przedmiotami materialnymi. Nie dało się ich przerzucać przez miasto na skrzydłach.

Podeszła do okna i popatrzyła na tłum ciągnący w kierunku stacji. Kończył się letni dzień. Miasto mrowiło się od turystów. Gdzieś za szybą, dwa, trzy kilometry stąd, znajdowały się wszystkie odpowiedzi. W tym też takie, których już od lat nikt nie poszukiwał. Morelli wróciła

do biurka i otworzyła ostatnią teczkę z napisem „Susanna Gianni”. Przypomniała sobie spojrzenie oficera z archiwum, kiedy poprosiła o te akta. Dla ludzi dotkniętych tą sprawą nie straciła ona na aktualności. Giulia nie mogła zapomnieć tygodnia gorączkowych działań dekadę wcześniej, gdy wydawało się, że maniakalny zabójca grasuje po mieście. I nagle zakończono dochodzenie po odkryciu ciała dyrygenta. Znajdowała się wtedy w ekipie, która weszła do Pałacu Grittich, by obejrzeć zwłoki. Pokój był nieskazitelnie wysprzątany, a pozycja nieboszczyka doskonała. Przepatrzyła jego bagaż i znalazła w nim trochę miękkiej homoseksualnej pornografii oraz numer telefonu do, jak się okazało, gejowskiego alfonsa w Mestre. Otworzyła jego szafę i poczuła ciężki mdły zapach ubrań. A później rozmawiała z ludźmi, którzy go znali i potwierdzili jej przypuszczenie, że gusta seksualne Anatola Singera nie obejmowały kobiet w żadnym wieku, a już na pewno słodkiej nastolatki rozkwitającej pod jego opieką.

Nie ujawniła jednak żadnego z tych faktów, co wciąż ją prześladowało. Była na miejscu, gdy przeszukiwano apartament dyrygenta, widziała, co znaleziono i co zabrano. Szła krok w krok za kapitanem dowodzącym sprawą, starym Ruggierem, który teraz spędzał czas na wygodnej emeryturze w Toskanii. Przyglądała się, jak kataloguje każdy najdrobniejszy przedmiot, i czytała zeszyt z raportem, zanim opuścili hotel. Nie było żadnego samobójczego listu. Wszyscy to wiedzieli, lecz nikt nie zaprotestował, kiedy Ruggiero wyciągnął ten list z niebytu, oznajmiając, że sprawa jest zamknięta. Giulia nigdy nie wzięła nawet centa łapówki, jeśli nie liczyć darmowego drinka w pobliskim barze, lecz przez ten jeden akt milczącej zgody wciąż czuła się splamiona, jakby była najpodlejszym gliniarzem w Veneto, który stale trzyma wyciągniętą łapę.

Zapatrzyła się w napisany na maszynie raport i znów zaczęła go czytać, choć teraz znała go już chyba na pamięć. Prawie godzinę później, gdy od bezowocnego wysiłku rozbolała ją głowa, rozległo się pukanie do drzwi. Stanął w nich umundurowany sierżant o czujnym wyrazie twarzy.

– Tak?

Zadreptał w miejscu, niepewny siebie w jej obecności, jak wielu jego kolegów.

– Mówiła pani, że mamy rozejrzeć się tu i ówdzie, żeby coś znaleźć w związku z tym zabójstwem.

Sierżant miał w ręku teczkę. Nastrój zaczął jej się właśnie poprawiać.

– Tak jest.

– Przyskrzyniliśmy w nocy jednego złodziejaszka, który wyciągał portfele amerykańskim turystom na placu Świętego Marka.

– I co?

– Gdy go spytałem, czy wie cokolwiek o tym, co zaszło w domu Scacchiego, zbladł jak ściana. Po prostu zrobił się biały, jakby nie mógł w to uwierzyć. Coś w tym jest, ale, do diabła, nie wiem co.

Podeszła do drzwi, wzięła akta i zaglądając do dokumentów, poszła za policjantem piętro niżej do pokoju przesłuchań.

– Znasz tego gościa?

– Rizza? No pewnie. Trzecia liga. Kieszonkowiec. Chłopak na posyłki.

Sierżant miał koło trzydziestu lat, był wysoki i wyprostowany, miał bladą szczerą twarz. Wyglądał na człowieka godnego zaufania. Nowi zawsze tak wyglądali.

– Czy on ma jakieś... powiązania?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Nie należy do żadnego z miejscowych gangów, jeśli o to pani chodzi.

Nie o to jej chodziło, lecz nie ciągnęła tematu.

– Co jeszcze wiemy?

– Poza tym, że zbladł jak ściana? A potrzeba czegoś jeszcze?

Patrzyła tylko na niego i czekała na odpowiedź. Sierżant wzruszył ramionami.

– Gdy go przyskrzyniliśmy, miał przy sobie książeczkę bankową, z której wynikało, że złożył w piątek na koncie czterdzieści tysięcy dolarów amerykańskich.

Stanęli przed drzwiami pokoju przesłuchań.

– Wiadomo, gdzie był o wpół do czwartej tej nocy?

Uśmiechnął się.

– O, tak. Był tutaj. Złapaliśmy go o trzeciej, jak próbował oskubać jednego faceta na placu Świętego Marka. Dziwne. Gość wygląda mi raczej na lepszego fachowca. Może coś go trapi. To zwykły łobuz z sąsiedztwa. Nie łazi po dużych domach, żeby zabijać ludzi. To przerasta jego wyobraźnię.

– Jest żonaty?

– Stuprocentowy samotnik. Ma jakieś czynszowe mieszkanie niedaleko starego getta. Nic tam nie ma poza kilkoma rzeczami, które nigdy nie wrócą do właścicieli. Gdyby nie te pieniądze w banku i to, że tak się spietrał, tobym pani w ogóle nie zawracał głowy.

Kiedy dotknęła rękawa jego bluzy, prawie podskoczył. Rozbawiło ją to.

– Tak czy inaczej, dziękuję. Jestem zobowiązana. Będziecie wysuwać zarzuty?

– No pewnie. A po co niby się tym zajmujemy? Żeby się delektować ich towarzystwem?

– Myślałam sobie tylko...

– Tak, tak. Wiem, co pani sobie myślała.

– ...że może warto by chwilę odczekać. Niech będzie przekonany, że wszystko się dobrze ułożyło.

– „Może warto by”? Mówi pani w trybie przypuszczającym. Czemu właściwie miałbym go puścić?

Pokiwała głową. Stała przed nią decyzja, którą pewnego dnia i tak musiałaby podjąć: powinna znaleźć kogoś godnego zaufania, kogoś, z kim mogłaby się podzielić swoimi pomysłami.

– Jak się pan nazywa, sierżancie?

– Biagio.

– No cóż, dzięki.

Giulia Morelli pchnęła drzwi, wkroczyła do pokoju przesłuchań, rzuciła okiem na faceta, odpędziła ręką chmurę papierosowego dymu, od którego w powietrzu było gęsto, po czym podeszła do okna i otworzyła je, wpuszczając ledwie wyczuwalny zapach spalin z pobliskiego parkingu. Wpatrywała się w szary krajobraz, aż minęły jej ciarki. Nauczyła się ignorować instynkt. Liczyły się tylko fakty. A jednak, chociaż wiedziała, że to wariactwo, wyczuła w nim zabójcę, którego ostatnio spotkała w mieszkaniu przy Sant’ Alvise: tanie mocne papierosy, może afrykańskie, i kwaśny odór strachu. Takie drobne fakty, do tego nic nieznaczące w świetle prawa...

– Zgaś – warknęła na postać po drugiej stronie stołu.

– Co?

Sięgnęła ku niemu, wyrwała mu papierosa z ust i zdusiła go na plastikowej powierzchni blatu. Rizzo wyglądał na wstrząśniętego.

– Zaraz!

Spojrzała mu w oczy. W mieszkaniu było ciemno. Nie udało jej się z bliska przypatrzeć mężczyźnie nad ciałem dozorcy. Jednak wyczuła ten zapach i coś jeszcze, co emanowało z jego osoby. Była pewna, że to on.

– Pamiętasz mnie?

Spojrzał spode łba.

– Nie miałem przyjemności. O co chodzi?

Miała dużo czasu. Tyle, ile chciała. Nie było potrzeby wykładać wszystkich kart na stół.

– Jesteś też głuchy czy tylko tępy? – szczeknęła. – Czterdzieści kawałków w banku, a ty próbujesz obrobić jakiegoś jankesa na oczach dwóch gliniarzy. Jezu. Gdyby był paragraf na głupotę, dostałbyś dożywocie.

Wąskie oczy Rizza otworzyły się nieco szerzej. Na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi, a ona wiedziała dlaczego. Spodziewał się przesłuchania w sprawie morderstwa, a pytano tylko o zwykłą kradzież. Stracił czujność.

– Pani posłucha... – zaoponował. Mówił szorstką miejską gwarą.

– Wszystko w swoim czasie! – Zamilkł, kiedy na niego krzyknęła. Spojrzała na sierżanta. – Ma pan jego rzeczy. Proszę je tu dać.

Biagio uśmiechnął się, z zadowoleniem oglądając pokaz, po czym podał jej czerwoną plastikową kuwetę. Wyjęła z niej książeczkę czekową, zerknęła na nią i rzuciła na podłogę.

– Ty suko! – wrzasnął Rizzo. – To moje pieniądze!

– Dużo za nie w mamrze nie kupisz – syknęła.

Rizzo wyciągnął ręce do sierżanta.

– Słuchaj pan. Ja się poddaję. Zabierzcie tę zwariowaną wiedźmę i dajcie tu normalnego gliniarza. Ten Amerykanin sam się prosił. Jasne?

– Nie ma tak łatwo – powiedziała, po czym podniosła jego telefon komórkowy, malutki, popularny wśród młodzieży model. Nacisnęła guzik. Piknął i ożył.

– Co pani robi? – spytał spokojnie.

– Dzwonię do kuzyna w Nowym Jorku. Nie masz nic przeciw temu, co? Takie śliczne je robią, że aż nie można się oprzeć przed naciskaniem guzików. Och, no proszę! Wcale z ciebie nie jest taki samotnik!

Oczy Rizza znów zwęziły się w szparki. Pobladł. Może nie zbielał tak, jak opisywał to sierżant, ale miała już skalę porównawczą.

– O czym pani mówi?

Pokręciła głową.

– Mundurowi przetrząsnęli twoją miejscówkę i uznali cię za zwykłego, samotnego, antyspołecznego śmiecia. A to tylko dlatego, że nikogo nie znasz, zaś twoje jedyne dziewczyny mieszkają w pisemkach obok łóżka.

Milczał. W długich mrocznych korytarzach umysłu Giulii Morelli echem rozbrzmiewał szept: „Musi się udać, musi się udać, musi się udać”.

– Ale my znamy prawdę, nie? Spójrzmy... Ten nasz samotnik ma tu cztery osoby, które tak kocha, że ich numery są pod przyciskami szybkiego wybierania, by mógł zadzwonić, gdy tylko najdzie go ochota. – Odwróciła telefon ekranikiem ku niemu. – Kim oni są, Rizzo?

– Krewni – burknął. – Znajomi.

– No tak. – Popatrzyła na numery, licząc na dobry trop. Pierwsze dwa były z Mestre. Trzeci rzymski. Tylko ostatni miejscowy.

– Może powinniśmy do nich zadzwonić?

– Jak sobie pani chce. Moi starzy mieszkają w Mestre. Rozwiedzeni. Dwa numery są do nich, jasne? A w Rzymie mam przyjaciółkę.

– A ostatni?

Nie odpowiedział. Wcisnęła guzik i odczekała kilka sygnałów, aż ktoś podniósł słuchawkę, po czym bez słowa przerwała połączenie. Rizzo szczerzył do niej zęby.

– Lubię pizzę – powiedział. – Dzwonisz, masz. Całkiem taniutko. Poleciłbym, ale wy,

gliniarze, chyba nie lubicie za cokolwiek płacić, no nie?

Wsłuchiwała się w zgiełk za oknem i żałowała, że nie pracuje w jakimś lepszym miejscu. Jedyne, co ją trzymało w tym mieście, to brak samochodów. Znów zajęła się telefonem.

– Zeszłej nocy zamawiałeś pizzę.

– Może. – Nagle wróciła jego pewność siebie.

– To było stwierdzenie, a nie pytanie. Patrz, to ostatnich dziesięć połączeń wraz z godziną.

– Racja. – Znowu pobladł. Wcisnęła kilka guzików, posłuchała, po czym znów rozłączyła się bez słowa.

– Bank – rzuciła i znów wybrała numer.

Rizzo zaklął i spojrzał na sierżanta.

– To sprawy prywatne, człowieku – jęknął. – Mam jakieś prawa.

– Ho, ho – powiedziała wesoło Giulia. – Obstawiasz wyścigi? Nie dość ci forsy? Musisz jeszcze bawić się w konie? Naprawdę smutne. To objaw poważnej obsesji na punkcie rzeczy materialnych.

Znów spojrzała na listę numerów. Życie towarzyskie Rizza nie kwitło. Był tylko jeszcze jeden niepowtarzający się numer. Pozostałe to kolejne połączenia z bankiem. Wcisnęła guzik, słuchała dobre trzydzieści sekund, po czym rozłączyła się. Następnie przyciągnęła krzesło do stołu, oparła się łokciami o niebieski plastikowy blat i uśmiechnęła się.

– Skąd znasz Hugona Massitera? Co dla niego robisz?

Pokręcił głową.

– Kogo? O co chodzi tej babie? Co to za durne gierki?

– Skąd znasz Hugona Massitera? – powtórzyła. – Co dla niego robisz?

Rąbnął rękami w stół. Nawet nie mrugnęła.

– Dość tego – oznajmił. – Albo mnie oskarżycie, albo wypuścicie. Wszystko mi jedno. Niech mi tylko ta suka zniknie sprzed oczu. Próbuje tu wyczyniać jakieś kretyńskie sztuczki.

Znowu wybrała numer i tym razem uniosła telefon tak, że oboje usłyszeli dwa piknięcia sygnału oczekiwania, po których nastąpił szczęk włączającej się automatycznej sekretarki. Massiter łagodnym głosem podawał prozaiczne wyjaśnienie, dlaczego nie może odebrać. Odczekała, aż komunikat dobiegnie końca, po czym, na chwilę przed piknięciem, powiedziała:

– Zostawię mu wiadomość i zaproszę do nas. Wszystko sobie od razu wyjaśnimy.

– Nie! – wrzasnął i wyrwał jej telefon z rąk. W mgnieniu oka był przy nim sierżant. Zacisnął ramię wokół szyi Rizza. Zastanawiała się, czemu się trudzi. Złodziej nie był agresywny. Po prostu się bał. Jak wszyscy, z którymi miała do czynienia.

Morelli wstała, przeszła w róg pokoju, podniosła telefon i przerwała połączenie. Gdy wróciła do stołu, sierżant puścił już mężczyznę, który siedział z pochyloną głową i ponuro spoglądał na nią zmrużonymi oczami.

– Kawy? – zaproponowała.

– Nie – burknął.

– Piwa? Soczku pomarańczowego? Prosecco?

– Nic nie chcę!

Skinęła na sierżanta.

– Przynieś kawę. Ja się tu nim chwilę zajmę.

Biagio chrząknął, po czym wyszedł z pokoju. Policjantka usiadła naprzeciw Rizza. Pocił się. Ona czuła się świetnie.

– Powiedz tylko, że mnie pamiętasz. To wszystko.

– Pani jest wariatką.

Pokręciła głową, położyła na stole swoją torbę, sięgnęła do środka i wyjęła mały policyjny pistolet, ten sam, który wyślizgnął się z jej ręki przy Sant' Alvise.

Rizzo wpatrywał się w niego, gdy uniosła pistolet i obróciła go w dłoni.

– Już mi się nie trzęsą ręce – powiedziała. – Powinnam ci za to podziękować. Może uda mi się ciebie uratować, Rizzo. Rozumiesz?

– Pier...

W jednej chwili zerwała się, sięgnęła nad stołem i chwyciła go mocno za spotniałą rękę, a wylot lufy przycisnęła mu mocno do policzka.

– Milcz i słuchaj. Nie ciebie chcę dorwać. Nic mnie nie interesujesz. Może nawet zapomnę, co zrobiłeś tamtego dnia. To zależy od tego, ile wiesz. I co będziesz mówić.

Odsunęła pistolet od jego twarzy. Lufa zostawiła ślad, kółko odciśnięte na zaczerwienionej skórze. Morelli usiadła i uśmiechnęła się.

– Zanim on wróci, powiedz mi, że mnie pamiętasz. Wtedy zyskamy coś, nad czym będzie można pracować. Coś, co być może ocali ci życie.

Rizzo gapił się na drzwi i czekał, aż się otworzą. Dygotał.

Więzienie 41

Dolary przywożone przez turystów rzadko kiedy znajdowały drogę na drugą stronę kanału do Giudekki. Wąska promenada, przy której zatrzymało się vaporetto, zasłana była budowlanym gruzem. Stare materace, wózki z supermarketów i reklamówki zaśmiecały chodnik. Na przeciwległym brzegu rozpościerała się dzielnica Dorsoduro, inny świat, odległy i bogaty. Daniel spojrzał na znajomą linię brzegową, popatrzył na plan miasta i skierował się na zachód ku Molino Stucky, ohydnemu potworowi z czerwonej cegły. Przez pięć minut brnął wśród worków pełnych śmieci i usypanych przez robotników kopców chłamu, po czym skręcił i z ulgą oddalił się od nabrzeża. Poszedł wzdłuż biegu małego *rio*, przy którym mieściły się niewielkie prywatne zakłady wytwórcze. Lichy drewniany most prowadził do Fondamenta delle Convertite oraz dawnego klasztoru, stanowiącego obecnie część zabudowań więziennych.

Zatrzymał się na chwilę, by spojrzeć na owalną tablicę umieszczoną nad białym marmurowym wejściem. Napis na niej głosił: „Istituto Penale Femminile". Nad łukiem wejścia przyczepiono na wysięgniku małą kamerę. Daniel nigdy nie przypuszczał, że odwiedzi to miejsce. Nawet teraz, półtora dnia od strasznego i dziwnego wypadku w Ca' Scacchi, wciąż miał wrażenie, że to sen, mgnienie koszmaru, krótka chwila majaczenia między tym, jak zbudził się w łóżku Laury, a tym, jak postawił stopy na podłodze. Wstrząs jeszcze nie nadszedł. Tego ranka przez godzinę wpatrywał się w nieprzytomną twarz Scacchiego w Ospedale al Mare i modlił się o odpowiedzi. Omówił z obsługą cmentarza sprawę transportu ciała Paula do jego bardzo starej matki w Minneapolis, czego Amerykanin życzył sobie w testamencie. Wysłuchiwał próśb i gróźb Massitera. Był na pierwszej całościowej próbie koncertu, po której poczuł się oczarowany, a zarazem zmrożony dziwną, nieodpartą mocą muzyki. Takie szczegóły nie występują w snach, lecz tylko w surowej nieuniknionej rzeczywistości.

Przesunął palcami po włosach i na chwilę zamyślił się nad stanem swoich ubrań. Zdał sobie sprawę, że Laura zawsze kontrolowała, czy wszystko jest w porządku. Wciąż poszukiwał jej akceptacji, nawet teraz. Pozwolił zarejestrować swoją obecność szaremu oku kamery, zapowiedział się przy recepcji i oczekiwał, aż go wywołają. Kwadrans później został wezwany do małego pokoju z pojedynczym zakratowanym oknem. Usiadł przy niskim stole. Strażniczka stała w cieniu w odległym kącie pomieszczenia. Laura miała na sobie proste niebieskie ubranie, a włosy ściśle związała z tyłu głowy. Jej cera była blada i doskonała. Daniel Forster widział niepewność w jasnym nerwowym spojrzeniu, a siła emocji, które poczuła na jego widok, niemal zaparła mu dech. Właśnie wtedy zdał sobie sprawę, wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej, z łączącej ich więzi.

Przycisnęła dłonie płasko do stołu. Wyciągnął rękę i ujął je. Powoli, z rozmysłem, wyswobodziła palce z jego uścisku.

– Daniel, nie – odezwała się miękko.

Znowu wydawało mu się, że śni. W swojej wyobraźni widział, jak pomaga jej wstać, a potem wychodzą oboje przez drzwi wprost w gorące promienie słońca ku nowemu życiu bez przeszłości, tylko z jasną niekończącą się przyszłością.

– Brakuje mi ciebie – powiedział wreszcie.

Odwróciła głowę i zobaczył łzę w kąciku jej oka. Strażniczka zakaszlała. Na zewnątrz jakaś łódź z warkotem płynęła przez *rio*.

– Widziałeś go dzisiaj? W jakim jest stanie? – zapytała Laura.

– Nieprzytomny.

Posłała mu przeszywające spojrzenie.

– Przez cały czas? Nie obudził się nawet na chwilę, nie rozmawiał z policją?

Ten jej nagły zwrot ku sprawom praktycznym z jakiegoś powodu uraził go.

– Nie, nie odzyskał przytomności, by im powiedzieć, że oszalałaś, jeśli o to ci chodzi. Podobno miał więcej niż jeden wylew. Nie wiadomo, czy kiedykolwiek będzie jeszcze mówić. Dlaczego ty to robisz?

Jej oczy zabłysły oskarżycielsko.

– Myśl o Scacchim, Danielu. Nie o mnie. Powinnam była ich ochronić.

– Przykro mi, Lauro. Nie wiem, co powiedzieć. Nie wiem, co myśleć. Czuję, że popadam w obłęd, bo nic z tego nie rozumiem. Zupełnie nic. A ty nie chcesz mi pomóc przejrzeć przez tę mgłę. Sama ją tylko zagęszczasz. Powiedz mi dlaczego.

Westchnęła i usiadła wygodniej w twardym więziennym krześle.

– Czy on nie wyzdrowieje?

Nic nie odpowiedział, jedynie pokręcił głową. Laura zamknęła oczy. Po jej policzkach popłynęły cienkie strużki łez.

– Jesteś mi winna wyjaśnienie – naciskał. – Jemu także. Musisz powiedzieć im, jak było naprawdę.

Wyglądała na urażoną.

– Nic nikomu nie jestem winna. Kochałam Scacchiego. Być może kocham także i ciebie, Danielu. Po prostu nie wiem. Ale nie mam długów u nikogo. Za to ty zawsze rozumiałeś mniej, niż ci się zdaje. Nie było cię tam. Skąd wiesz, że nie powiedziałam prawdy?

– Skąd? – prawie się roześmiał. – Bo pamiętam, jak siedzieliśmy na łodzi Piero, kiedy byłem młodszy, kiedy byłem innym człowiekiem, a ty bardzo serio mówiłaś mi, że kochasz obu tych mężczyzn i byłabyś zobowiązana, gdybym ja także nauczył się ich kochać, a przynajmniej gdybym się postarał. Teraz twierdzisz, że masz na swoich rękach ich krew. Nie mówisz prawdy, Lauro, i nie rozumiem dlaczego. To szaleństwo.

– Nie możemy się już nigdy więcej spotkać, Danielu – powiedziała niskim stanowczym głosem. – Nigdy. Sprawia mi to taki sam ból jak tobie.

– Lauro!

– Powiem strażnikom, by nie udzielali ci pozwoleń na widzenia. Nigdy więcej się nie zobaczymy. Ani tu, ani nigdzie indziej. Teraz już idź, zajmij się swoim koncertem. Zapomnij o nas. Korzystaj z życia. Znajdź ludzi, którzy są do ciebie podobni. Porozmawiaj z Amy. Z kimkolwiek. – Wysunęła się do przodu i jej twarz znów znalazła się w świetle. Nigdy nie widział w niej takiej determinacji. – Jeśli tu zostaniesz, ta sprawa cię pożre, a ja znienawidzę samo wspomnienie o tobie za to, że nie posłuchałeś mojej rady. Mówię ci to z miłości, Danielu. Idź i nie oglądaj się za siebie.

Gwałtowność uczuć w jej głosie zmroziła go.

– Zasługuję na jakieś wyjaśnienie – wymamrotał.

– Bardzo niebezpiecznie jest domagać się czegoś, na co się zasługuje – odpowiedziała stanowczym tonem. – Możesz szeptać do aniołów, a zatańczyć z demonami. Posłuchaj mnie. Mam ich krew na swoich rękach. Kiedy się budzę, widzę ich twarze wpatrujące się we mnie, słyszę w głowie ich głosy. To moje piekło i nie chcę się nim dzielić z nikim. A teraz idź!

Nachylił się i ujął jej dłonie.

– Nie opuszczę cię, Lauro.

Wyrwała palce z jego uścisku i wstała, nagle przemieniona. Z jej ust trysnął strumień przekleństw. Zaczęła szaleńczo wywijać rękami w powietrzu.

Daniel wciąż siedział na krześle i czekał, aż eksploduje mu głowa. Przysypiająca strażniczka ocknęła się, podeszła do niego i położyła mu rękę na ramieniu.

– Lepiej, żeby pan stąd poszedł. Jak to potrwa trochę dłużej, trzeba będzie coś zrobić, a to nie jest miły widok.

Nie poruszył się. Laura uciekła w kąt i skurczyła się w małą niebieską postać na podłodze. Rękami objęła kolana, ukryła twarz jak dziecko. Usłyszał, że łka. Przymknął oczy.

– Proszę pana... – Dłoń strażniczki wciąż spoczywała ciężko na jego ramieniu. Daniel Forster wstał z krzesła.

– Lauro? – rzekł, tłumiąc łzy. Nie poruszyła się, wydawała tylko urywane, pozbawione znaczenia dźwięki.

Wyszedł na zewnątrz w gorące popołudnie, usiadł na brzegu brudnego kanału, zapatrzył się w śmieci unoszące się na wodzie, po czym ukrył twarz w dłoniach i zaczął szlochać.

Kłótnia brzemienna w skutki 42

Lorenzo! – Zrobiło się już późno. Rebeka była zmęczona i blada. – To wielkie ryzyko!

W wyrazie jej twarzy ujrzałem coś obcego, co mnie zaskoczyło. Rebeka wyglądała inaczej.

– Nie miałem wyboru. Musimy pomówić.

Uspokoiła się nieco, zrozumiawszy, że za moim brakiem rozwagi stoi uczucie.

– Jak ci się podobało? – zapytała. – Vivaldi docenił moje wysiłki. Moje wysiłki! A zachowanie publiczności!

– Myślę... – Nadszedł czas, by ostrożnie dobierać słowa. Być może miała własne pomysły, dzięki którym można by pokrzyżować plany, jakie w tym czasie szykował Leo. – Czuję, że oddali twojemu dziełu sprawiedliwość nie większą niż ta, na jaką zasługuje. I że niecierpliwią się, by poznać tożsamość artysty, który je stworzył.

– Racja.

Moje ostatnie zdanie najwyraźniej ją przygnębiło.

– Czy wiesz, co dalej robić? – spytałem. – Im dłużej będziesz się wstrzymywać, tym większe będzie wołanie ludu, by autor przyznał się do dzieła.

– Liczyłam, że Jacopo będzie miał jakiś pomysł. Lecz zamiast tego, kiedy już zdobyłam się na odwagę i wyznałam mu wszystko, popatrzył na mnie, jakbym popełniła grzech. Lepiej niż inni wyczuwa niebezpieczeństwo. Był już taki, nim zbiegliśmy z Genewy, i to zapewne ocaliło nam życie.

– Myślisz o ucieczce? – Jednym skokiem przemierzyłem pokój, ukląkłem przed nią i położyłem dłonie na jej podołku. – Nie mów o tym, Rebeko, nie chcę tego słuchać.

– Więc chcesz, byśmy tu zostali wobec zagrożenia? Gdzie twoja miłość do mnie, Lorenzo?

To były twarde, okrutne słowa, a z jej twarzy wyczytałem, jak dalekie od prawdziwych myśli. Coś między nami było źle i mogłem się jedynie domyślać co. Dotknąłem jej miękkiego bladego policzka.

– Oddałbym za ciebie życie, Rebeko, i poświęcił nasze szczęście, gdyby to miało znaczyć, że będzie ci się wiodło. Ale nie uciekaj ot tak. Zaś jeśli jednak postanowisz uciec, zaklinam cię, pozwól mi być twoim przewodnikiem.

Odsunęła się ode mnie, jakbym wyrzekł obietnicę, którą już wcześniej słyszała. Zakładałem, że Rebeka jest w sprawach miłości równie niedoświadczona jak ja. Zakładałem zbyt wiele rzeczy.

– Według Jacopo to niemożliwe. Nigdy nie zaaprobują Żydówki jako autorki takiego dzieła, choćby im to objawić czarno na białym. Jeśli teraz wystąpię i się ujawnię, narażę się

najpierw na drwiny, później zaś na gniew, gdy zrozumieją, że ich oszukałam. Jeśli sprzyjało mi szczęście, nikt mnie w kościele nie rozpoznał. Przeklęty Vivaldi, tak mnie wystawić na pokaz... Lecz jeśli znajdę się w oku publiki, gra skończona. Dla nas wszystkich. Przed nastaniem mroku w paszczę lwa wleci karteczka, zaś rankiem rozmawiać będziemy ze śledczymi doży.

Trzymałem mocno jej dłonie. Spoczywały spokojnie w moich.

– Powiedz mi, czy się mylę – rzekła chłodno.

Wówczas pojąłem: pośród dowodów miłości jest też taki, że jedna strona nie potrafi łatwo skłamać drugiej. Lecz jeśli potrzebne są dowody, czyż można mówić o miłości?

– Nie – odrzekłem. – Nie mylisz się. Chciałbym szczerze zaprzeczyć, lecz Jacopo ma właściwy ogląd sprawy. Musi być jakieś miejsce na tym świecie, gdzie będziesz mogła ze swym rękopisem w dłoni chodzić wolna po sali pełnej wielbicieli. Lecz nie jest tym miejscem Wenecja. Ani żadne inne miasto, które znam.

Mówi się, że prawda może ranić. Wysunęła dłonie z mojego czułego uścisku.

– To co my teraz poczniemy, Lorenzo?

– Bądź spokojna. Nie wychylaj się. Mamy jeszcze kilka dni.

W pokoju zabrzmiał gorzki śmiech, jakiego jeszcze z jej ust nie słyszałem.

– A czy dużo się zmieni za trzy czy cztery dni? Oczywiście, że nie. Własnymi uczynkami pociągnęłam za sobą w dół ciebie i Jacopa. Ależ byłam głupia. Myślałam, że na tym świecie wystarczy tylko talent, by płeć, rasa i pochodzenie stały się dla mas nieistotne. Lecz sądzą nas zarówno po tym, kim jesteśmy, jak i po tym, czego potrafimy dokonać. Może sprawy miałyby się inaczej, gdybym była nałożnicą doży, ale biedna Żydówka nie ma szans. To świat gojów i mężczyzn. Powinnam była o tym wiedzieć od początku.

Jej ciemne oczy wypełniły gniew i żal. Nie mogłem jej winić. Rebeka za swe dzieło pożądała chwały, jak sądzę, lecz bardziej niż czegokolwiek innego pragnęła poczucia własnej prawdziwej tożsamości w społeczeństwie, które odmawiało jej prawa do istnienia.

– Nie mierz nas wszystkich tą samą miarą, którą masz dla tłumu – rzekłem. – Są tacy na świecie, którzy ci pomogą, pokochają cię i zrobią jeszcze więcej.

– Kto?

– Na przykład Vivaldi. Widziałem, jak patrzył na ciebie na koncercie. Czy myślisz, że on nie wie?

– Nie, nie sądzę.

– Chyba się mylisz. Grałaś jak gwiazda. Znałaś utwór na wylot. Jakże byłoby to możliwe?

Miałem rację i właśnie zdała sobie z tego sprawę.

– I zatrzyma ten sekret dla siebie?

– Zatrzymał. W przeciwnym razie nie byłoby nas teraz tutaj.

– Miejmy nadzieję, że go nie ujawni. – Dręczył ją niepokój. – Jest coś jeszcze, Lorenzo. Widzę to w twojej twarzy.

– Leo.

– Twój wuj?

– On także nas przejrzał i chciał wymóc na mnie potwierdzenie swoich domysłów. Oczywiście zaprzeczyłem, ale nie uwierzył w ani jedno moje słowo. Niedługo odezwie się do ciebie i dlatego właśnie tu przyszedłem. Miejcie się oboje na baczności. Znam swojego wuja lepiej niż inni. Jemu nie można ufać.

Westchnęła zaskoczona.

– Nie można ufać? Lorenzo, to dzięki niemu znalazłam się w orkiestrze Vivaldiego! Dzięki niemu poznałam Anglika i gdyby nie on, te skrzypce wciąż leżałyby w jakimś cremońskim warsztacie. Wyświadczył mi tyle przysług!

– Temu nie przeczę. Lecz Leo także widzi siebie w roli muzyka. Gdyby tylko dać mu choćby cień szansy, skradłby dla siebie całą twoją chwałę.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Sądzi, że ma jedyną kopię twojego koncertu.

– Bo tak jest! – Mówiła tonem, jakim przemawia się do dziecka. – Myślisz, że miałabym pieniądze na wykonanie kopii, nawet gdybym zdobyła się na odwagę? Zresztą po co się kłopotać. Mogę odtworzyć to wszystko z głowy nuta po nucie, a pewnie przy okazji to i owo ulepszyć.

Nigdy wcześniej się nie kłóciliśmy. Dopiero dużo później, kiedy ta scena rozgrywała się w mojej głowie raz za razem, pojąłem, jak niewiele rozsądku miała każda ze stron.

– Nie znasz go!

– A ty znasz? Najwyraźniej doskwiera ci fakt, że jesteś czeladnikiem, i w związku z tym ubarwiasz swoje widzenie świata.

– Widziałem, jak na ciebie patrzy!

Zaśmiała się triumfalnie.

– A więc o to chodzi. To prawdziwy powód twojej nienawiści, w dodatku żałosny. Spędzisz życie w nędzy, Lorenzo, jeśli będziesz się unosił gniewem wobec każdego mężczyzny, który na mnie spojrzy. Co miałabym niby zrobić? Nakryć się woalem jak muzułmanki? Czy ta chusta, którą wy, goje, każecie nam nosić, nie wystarczy?

W swoim gniewie wyrządziła mi wielką niesprawiedliwość.

– Przyszedłem tu, by cię ostrzec. Leo skrywa swą prawdziwą naturę.

– Pokaż mi człowieka, który jej nie skrywa – powiedziała cicho i zapatrzyła się w noc za oknem.

– Rebeko...

Wstała i odeszła ode mnie.

– Jestem zmęczona i ta kłótnia jeszcze bardziej mnie nuży. Jest zbyt dziecinna, bym trwoniła na nią czas.

Na te słowa poczerwieniało mi przed oczami. Wstałem, wyprostowałem się i z narastającą wściekłością patrzyłem na jej plecy, którymi się do mnie obróciła.

– Zapewne jak i moja miłość. Zatem obojgu nam wyświadczę przysługę i usunę ci ją sprzed oczu.

Krzyknęła i odwróciła się na pięcie, by spojrzeć mi w oczy. Na jej rzęsach zalśniły łzy.

– Lorenzo! Nie mów takich rzeczy! Po co mamy zadręczać się wzajemnie, czy nie wystarczy, że świat nas dręczy? Kobieta ma troski i zmartwienia, których nawet się nie domyślasz. Gdybym ci powiedziała, że ja... że my...

Zawahała się i ucichła, a jej milczenie wprawiło mnie w gniew. Nie poznawałem nas w tej rozmowie. Wydarzenia nas przemieniły, lecz byłem za głupi, by to zrozumieć. Postąpiłem więc po męsku i ukryłem swoją słabość za tak zwaną siłą. Odwróciłem się od jej wyciągniętych rąk i skierowałem ku drzwiom.

– Znasz moje zdanie, Rebeko – usłyszałem własny głos, nie mając pojęcia, w jaki sposób te słowa nabierają kształtu w moich ustach. – Nie mam nic więcej do dodania.

Wyszedłem, nie zważając na jej wołania, bym wrócił, i pognałem w dół schodów jak szaleniec. Gdy obudziłem się następnego ranka z głową obolałą od wina, które wypiłem po powrocie, ujrzałem Leona w wesołym, miłym nastroju ubranego w najlepszy strój. Bez wątpienia zamierzał spotkać się z Levimi. Nim wyszedł, wysłał mnie do piwnicy z instrukcjami, gdzie wysprzątać i co przenieść, co wyrzucić i co odkurzyć. Nakazał nawet poprawić murarkę w jednym miejscu w ścianie, gdzie cegły słabo siedziały. Słuchałem go, patrzyłem w jego oczy i myślałem, jak niebawem chciwie będą spoglądać na ciało Rebeki. Wiedziałem przy tym, jakim

jestem głupcem, że takie rozważania zajmują mi głowę w czasie, kiedy miałem inne ważne sprawy.

Gdy Leo wyszedł, było łatwiej. Zostawiłem piwnicę i przeszukałem dom. Od razu znalazłem nuty Rebeki złożone w bezpiecznej skrytce za obrazem przedstawiającym starożytne Ateny, który zajmował większą część ściany od strony kanału w dużym pokoju na dole. Żeby utworzyć kryjówkę, Leo musiał wyjąć część cegieł. Głupiec z niego.

Kiedy wziąłem nuty do ręki, poczułem emanującą z atramentu obecność ukochanej, lecz musiałem zachować rozwagę, więc czym prędzej złożyłem je bezpiecznie w schowku, który wuj nieświadomie mi zasugerował. Utwór spoczął w piwnicy, z dala od wszystkich. Leo nienawidził szczurów. Jak w przypadku magnesu, podobne odpycha podobne.

Następnie opuściłem dom i skierowałem się do Ca' Dario, myśląc o tym, jak najlepiej przeprowadzić rozmowę z Anglikiem. Jeśli Rebeka miała zdać się na dobroczyńcę, powinien to być przynajmniej ktoś, w kim można pokładać zaufanie.

Muzyka w ciemnościach 43

Ca' Scacchi był pusty, krążyły po nim tylko duchy i zapach Laury. Gdy Daniel nie mógł już dłużej znieść samotności, poszedł do La Piety, gdzie o piątej po południu miało się zacząć drugie pełne próbne wykonanie koncertu. Miasto zamieniło się w tłoczne rojowisko ludzi. Pewni siebie miejscowi przepychali się między osobami stojącymi w kolejkach przy przystankach vaporetto, a wałęsający się bez celu turyści przystawali nagle bez powodu w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. Daniel stopniowo nabierał do nich lokalnego podejścia. Prześlizgiwał się przez ludzką masę jak niewidoczny duch, jakby żył w innym planie rzeczywistości, i zastanawiał się, czy jakaś drobina szaleństwa, które nawiedziło Laurę, płynie teraz w jego żyłach.

Pod kościołem zebrał się spory tłumek ludzi usiłujących na próżno wprosić się na próbę. Kobieta w przejściu rozpoznała go i natychmiast skoczyła na nogi, zagradzając wejście.

– Signor Forster? – Wydawała się strapiona. – Co stało się ze Scacchim? Takie potworne rzeczy wypisują w gazetach. Nie wierzę w ani jedno słowo.

– Jest w ciężkim stanie.

– Widział go pan? Ja też mogę go odwiedzić?

– Oczywiście. Leży w Ospedale al Mare. Tylko że... – Daniel rozłożył ręce we włoskim geście, którego szybko się nauczył.

– Nie przeżyje? – spytała.

– Nie wiadomo.

– Pójdę. I dziś w nocy pomodlę się za niego. To dobry człowiek, panie Forster. Pan pamięta o tym, choćby nie wiem, co mówili. On chciał coś dla pana zrobić. No ale to chyba sam pan rozumie.

Daniel zastanawiał się, czy do końca pojmował motywy kierujące Scacchim. Laura ostrzegała go przed tak naiwnym podejściem.

– Powinna go pani odwiedzić – powiedział do kobiety.

– Może on tak naprawdę słyszy, kto to wie? Ci doktorzy! A ona? Ta, co to ponoć zrobiła?

– Nie wiem – odparł, wymigując się od odpowiedzi.

– To zwykłe bzdury. Czasem ją widywałam, jak zdołała się wyrwać z domu. Taką krzywdę mogłaby zrobić Scacchiemu albo jego przyjacielowi jak panu czy mnie.

Przypomniał sobie wyreżyserowaną tyradę Laury tego popołudnia. To był zwykły teatr i oboje świetnie o tym wiedzieli.

– Zgadzam się.

– Wypuszczą ją! Pójdę sama do tych głupich policjantów i im przygadam!

Tłumek robił się niespokojny. Para Japończyków próbowała przemknąć się przez drzwi,

lecz zatrzymał ich strumień weneckiej gwary.

– Precz! Precz! Kupujcie bilety na piątek albo zjeżdżajcie.

Japończyk spojrzał na nią chmurnie.

– My tu nie być piątek.

– To poczekajcie, aż utwór przyjedzie do was – odrzekła. – A na pewno przyjedzie, jeśli jest taki dobry, jak mówią. Spytajcie samego kompozytora. Signor Forster?

Przez tłum przebiegł pomruk i ludzie stłoczyli się wokół niego. Daniel poczuł ciepło na policzkach, zaczął przepraszać i szybko pobiegł ku drzwiom. Wnętrze kościoła było chłodne i ciemne. Właśnie zaczęto grać pierwszą część utworu. Znalazł krzesło po prawej od wejścia i pozwolił pochłonąć się muzyce. Znów zamyślił się nad jej tajemniczym pochodzeniem.

Wykonanie trwało prawie godzinę, ale Daniel już na początku stracił poczucie czasu. Dzieło zachwyciło go, kiedy usłyszał je w całości zagrane przez muzyków, którzy już zapoznali się z jego motywami i niuansami. Miało moc i wymagało zręczności, lecz jego prawdziwa siła nie tkwiła w sprawach technicznych. Przez większość czasu Daniel słuchał z zamkniętymi oczami, niesiony na fali wzbierających emocji. Muzyka rozpościerała się od powolnej, statecznej tragedii po błyskotliwe pasaże migoczące pięknem i życiem. Utwór przypominał najlepsze dokonania Vivaldiego, lecz brzmiały w nim młodość i nowoczesność. Chłopak był pewien, że szybko zyska status dzieła klasycznego, które zapragną grać skrzypkowie większej klasy niż Amy, wykonująca go zresztą znakomicie. Gdy o tym pomyślał, jego determinacja gwałtownie wzrosła. Pewnego dnia ujawni matactwo niezależnie od zdania Massitera. Nawet gdyby po wydarzeniach w Wenecji zupełnie zniknął z publicznego widoku, oszustwo i tak pozostanie z nim na zawsze. Nie mógł nieść na swoich barkach jarzma kłamstwa, zachowując pewność siebie, dłużej niż to konieczne. Sprawa źle odbijała się na stanie jego ducha. Wenecka gra według reguł Scacchiego i Massitera trwała już zbyt długo.

Próba dobiegła końca pokazem fajerwerków zaprezentowanym przez Amy, która ostatnie pasaże wykonała ze zdumiewającą energią i stanowczością. Wydawało się, że ich kłótnia w pałacu Grittich należała teraz do innej rzeczywistości. Nie chciał już myśleć o żadnych nieporozumieniach między nimi. Kiedy wybrzmiały ostatnie dźwięki, wyczerpana Amy usiadła wśród braw, które bili inni muzycy. Zresztą wszyscy członkowie orkiestry wydawali się wymęczeni pracą, jakby sami się zahipnotyzowali własnymi dokonaniami.

Poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Kobieta pilnująca wejścia prosiła go do telefonu. Gdy wrócił, Amy chowała właśnie skrzypce do futerału. Zrównał się z nią i wyszli w miękkie światło wczesnego wieczoru. Na lagunie mrowiły się vaporetti. Jakiś większy prom odbijał od Torcello. Po drugiej stronie wody, na Lido, rozjarzyło się logo Campari. Był przepiękny wieczór.

– Och, Dan. – Popatrzyła na niego z mieszaniną żalu i współczucia. – Nie wiem, co powiedzieć. Przeczytałam o tym w gazecie. Hugo powiedział mi, że pojechał do was po tym, jak to się stało. To niewiarygodne.

– Wiem. – Odnalazła trafne słowo: niewiarygodne.

– Jak się sprawy mają u was?

– Laura siedzi w więzieniu.

Otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

– Laura? Chodziło mi o starszego pana. Jak możesz o niej myśleć po tym, co zrobiła?

Zdał sobie sprawę, że dziecko długo się w człowieku nie ukryje, i przeklął się w duchu za swoją głupią naiwność.

– Ona nic nie zrobiła, Amy. Kochała ich obu i nie potrafiłaby ich skrzywdzić za nic w świecie. Byłaś z nami na łodzi. Przecież wiesz, że tak jest.

Skrzyżowała ramiona i westchnęła.

– Przyznała się, a policja zamierza ją oskarżyć. Tak mi powiedział Hugo. Czemu nie chcesz się zmierzyć z faktami, Dan?

– Z chęcią bym się z nimi zmierzył, gdybym tylko na jakieś trafił.

– To dlaczego miałaby się przyznawać do czegoś, czego nie zrobiła?

– Dlatego, jak sądzę, że obwinia się za to, co się stało, i z jakiegoś powodu koniecznie chce wziąć na siebie odpowiedzialność.

– Ale to wariactwo!

– Tak. To wariactwo. Może to jest właśnie odpowiedź na twoje pytanie. Ona ich kochała, Amy. Zwłaszcza Scacchiego. Nie rozumiem tego, ale oni w jakiś sposób ocalili się nawzajem i to spowodowało, że zawarli między sobą pewnego rodzaju pakt.

– Podobno stary jest nieprzytomny. Nie może nawet im wyjaśnić, co się stało.

– Nie wyjaśni. – Zapatrzył się w neon Campari na drugim brzegu i pomyślał o Scacchim i Paulu na łodzi, Kserksesie u steru i nieustającym potoku śmiechu i spritzu.

– Jak to nie wyjaśni? Przecież wyzdrowieje!

Daniel usiadł na schodach. Zdziwiona Amy dołączyła do niego.

– Nie. On nie żyje. Dostałem telefon, kiedy grałaś. Zmarł o czwartej po południu. Serce nagle przestało bić. Nie sądzili, że to się stanie tak szybko. W piątek będzie pogrzeb na San Michele.

– Chryste – powiedziała miękko Amy, objęła go i zanurzyła swoją ciepłą twarz w jego szyi.

– Chciałem tam być – powiedział do siebie. – To jest najgorsze. Gdyby miał umrzeć, chciałem być przy nim w tej chwili. Czuję się, jakby mnie oszukano.

Odsunęła się od niego i spojrzała mu w oczy.

– Dan...

– Jakby mnie okłamano. Jakby wszyscy mieli mnie za głupca.

– Głupca? Nie słyszałeś, co przed chwilą graliśmy? Nikt tak nie myśli.

Widział, że ostrość jego słów zaskoczyła Amy. Przestała go obejmować i otarła załzawioną twarz rękawem bluzki.

– Powiedz mi to, kiedy będziesz wyjeżdżać – rzekł. – Nie teraz.

– Ja nie...

– Proszę, Amy. Miej dla mnie cierpliwość. – Zauważył, że promenadą zbliża się znajoma postać w białej koszuli i jasnych spodniach. – Albo spytaj Hugona, co mam na myśli. Chyba jesteście sobie bliscy.

– Co dokładnie masz na myśli?

– Sama to powiedziałaś – powiedział chłodno. – Chyba jest zainteresowany.

Wstała, głęboko obrażona.

– Dość tego! Gówno mnie obchodzi, za kogo się uważasz, Dan! Czasem zachowujesz się jak kompletny palant.

Massiter wszedł na schody La Piety i szedł ku nim. Ukłonił się uprzejmie Amy i skinął głową Danielowi.

– Słyszałem nowiny. To wielka strata, Danielu. Scacchi był moim przyjacielem.

– Tak.

W szarych oczach Anglika nie było żadnych emocji. Daniel nie umiał opędzić się od jednej gorączkowej myśli krążącej mu po głowie: że śmierć Scacchiego i Paula wynikała w jakiś tajemniczy sposób z układu, który zawarli z Massiterem. Może był to okrutny przejaw wypełniającej się w ten sposób sprawiedliwości.

– Chciałbym go uhonorować. Zamierzam zadedykować piątkowy koncert jego pamięci.

Daniel potrząsnął głową, zdumiony.

– Myślałem, że planowałeś zadedykować go tej dziewczynie, Hugo. Ile będzie dedykacji?

– Tak. Ale niestety ta cholerna policjantka miała rację. Susanna Gianni od dawna nie żyje i spoczywa w grobie. To Scacchi jest teraz w naszych sercach. Powinniśmy go uczcić.

– Dlaczego to robisz? – Daniel nie czuł już przed nim strachu. Zastanawiał się, co spowodowało tę nagłą zmianę w ich relacjach.

– Co takiego?

– Ta szkoła. Koncert. Cały ten show. Co ty z tego masz?

Massitera zaintrygowało to pytanie.

– Nie potrafię malować, Danielu. Nie umiem pisać ani zagrać choćby jednej nuty. Lecz w pewnym sensie to wszystko należy do mnie. Czy to tak trudno pojąć? Lubię widzieć swoje nazwisko na rzeczach, którymi się zachwycam. Jestem dumny z tej linijki drobnego druku. – Przestał się uśmiechać. – I lubię myśleć, że wszyscy jesteście moimi dłużnikami.

Amy, stojąc u boku Massitera, przestąpiła z nogi na nogę. Już są blisko siebie, pomyślał Daniel. Przyjdzie taka chwila, gdy i ją Massiter zaliczy do swoich własności, jak zaliczył jego.

– Zadedykuję koncert jego pamięci, Danielu. Ty możesz mieć nazwisko na utworze, ale to ja płacę muzykom. Wynajmuję salę. Mam swoje prawa.

– Oczywiście – przytaknął chłopak.

– To będzie objawienie.

– Właśnie tak – zgodził się. – Objawienie.

Potem, nie odzywając się już więcej, Daniel Forster zszedł po schodach La Piety i poszedł w prawo, ku bocznym uliczkom miasta i labiryntowi wąskich zaułków, który wreszcie po wielu błędnych skrętach wyrzucił go przed pustą skorupę Ca’ Scacchi.

Rozmowa z Anglikiem 44

Wszedłem tylnymi drzwiami magazynowymi i zastałem Gobba w kuchni strojącego sobie żarty z pokojówki. Obrzucił mnie jednym spojrzeniem i przestał dworować.

– Dobry Boże, Scacchi, wyglądasz, jakbyś przespał noc na klepisku, ale to nie w twoim stylu. Co się stało?

– Chciałbym widzieć się z twoim panem w pewnej ważnej sprawie.

– Jeśli chodzi o pieniądze, kolego, to zapomnij. Naszego Olivera już mdli na myśl o Wenecjanach uczepionych jego sakiewki. Jakiś złodziejaszek zwiał z pieniędzmi zarobionymi na tym jego koncercie. Tak mu dziękuje miasto. W jednej chwili poklepują go po plecach, w następnej skubią do czysta. Nie mogło się to przytrafić w gorszym czasie. Przestał z tego powodu dostawać fundusze z Londynu. Banki zaczęły kręcić nosem, a my mamy całą masę miejscowych do spłacenia. – Popatrzył na mnie chłodno. – Jeśli jesteś tu w sprawie długów, które ma u Leona, to nie przejdziesz przez te drzwi. Przyjaźń się kończy, kiedy pan zaczyna rzucać garnkami. Nie zamierzam stracić pracy tylko dlatego, żebyś mógł mu położyć na stole kolejny rachunek.

– Nie chodzi o pieniądze, Gobbo. A przynajmniej nie zamierzam domagać się ich od niego. W rzeczy samej być może na tym, co powiem, będzie mógł parę groszy zarobić.

– Naprawdę? – Brzydki był z niego jegomość, zwłaszcza gdy się tak cwaniacko uśmiechał.

– Tak, naprawdę. A teraz ruszaj i powiedz mu, że proszę o dziesięć minut i nie chcę ani grosza.

Zniknął w drzwiach prowadzących do domostwa i na pierwsze piętro, do pokoju z widokiem na kanał, który służył jako główne miejsce spotkań. Czekałem, znosząc dziecinne uśmieszki służącej, aż wezwano mnie do wielkiego pomieszczenia z mnóstwem luster, które ostatnio widziałem w dniu naszej wycieczki na Torcello. Zdawało się, że wspaniałość tego miejsca przybladła nieco w ciągu tych paru tygodni. Szkłom przydałoby się czyszczenie. Meble były stare i porysowane. Wynajmowane domy to chyba nie to samo, co prywatna własność. Sala, w której przebywaliśmy tylko we trzech, zdawała się pusta i zimna. Jedynie zgiełk znad kanału za oknami przydawał tej scenie odrobinę życia.

Delapole popatrzył na mnie radośnie.

– Scacchi! Nie widziałem cię od dnia triumfu! Cóż za wykonanie! Szkoda, że jakiś miejscowy złodziejaszek pozbawił mnie dochodu. A pieniądz by się przydał. Mam dom w Whitehall, nieruchomość w Norfolk i Bóg jeden wie, ile akrów ziemi w Irlandii. Ale szepnij tylko słówko tym jakże światowym bankierom, a wszystkie moje zabezpieczenia stają się tyle warte, jakby leżały na wyspie Lilliput. Czytacie tu chyba Jonathana Swifta?

– Tłumaczenie zabiera jakiś czas, panie, lecz dużo o nim słyszałem.

– Sakramencko dobra rzecz, choć do końca wszystkiego nie rozumiem. Jednak szczególnie trafił do mnie taki fragment.

Zamachał przed sobą ręką jak kłaniający się dżentelmen, po czym wyrecytował:

Na pchle, nauka tak powiada,
Żerują mniejszych pchełek stada,
Na tych zaś jeszcze mniejszych grono,
I tak to idzie w nieskończoność.[10]

Fragment był zabawny i nawet się uśmiechnąłem.

– No i proszę – powiedział zadowolony z mojego rozbawienia. – Nie takie trudne, prawda? A swoją drogą, myślę, że nie jestem pchłą, lecz psem, tym pierwszym psem, na którym żeruje pierwsza pchła. Przynajmniej, jak bym nie próbował, nie potrafię wyczuć krwi, którą dałoby się ssać. Na razie chleb i woda, aż z Londynu przyjdzie koperta.

Stojący w rogu Gobbo spojrzał na mnie i uniósł brew. Nie sądzę, by Delapole był tak zubożały i łatwowierny, jak chce, by inni myśleli. Żaden arystokratyczny fircyk nie dałby rady podróżować samotnie wskroś Europy przez trzy lata albo i dłużej, gdyby nie miał głowy na karku. Przynajmniej taką miałem nadzieję, jeśli mieliśmy wspólnie stworzyć plan przechytrzenia mego wuja.

– A teraz, młody Scacchi – oznajmił – jestem do twoich usług.

Już wcześniej powtarzałem sobie w głowie te ułożone z góry słowa. Wkraczałem na pełną pułapek ścieżkę negocjacji, po której obu stronach ziały głębokie czeluście.

– Panie – zacząłem – za pozwoleniem, chciałbym pomówić z tobą na osobności.

– Co takiego? A nie przy twoim przyjacielu? Cóż, urazisz go tym niechybnie.

Gobbo faktycznie wyglądał na wstrząśniętego. Nie mogłem go za to winić.

– Nie w tym rzecz, panie. Nie chodzi tu o brak zaufania, po prostu będzie lepiej, jeśli tego, co chcę powiedzieć, wysłucha jak najmniej par uszu.

– E tam – sprzeciwił się Delapole. – Dwie pary uszu to niewiele więcej niż jedna. Młody Gobbo wie o mnie takie rzeczy, że gdybyś się o nich dowiedział, chłopcze, twoje włosy stanęłyby w płomieniach. Nigdy nie zawiódł mojego zaufania. Jeśli on tego nie może usłyszeć, to i ja nie mogę. Bo jeśli trzeba będzie działać, do kogóż się zwrócę, jeśli nie do mojego służącego?

Tu miał rację.

– Jak sobie życzysz, panie. Wiedz jednak najpierw, że przynoszę ci te nowiny nie bez oporu. Ujawniam je z bólem, a czyniąc to, pozostawiam siebie i tych, których cenię, na twojej łasce. Pokazałeś się, panie Delapole, jako dobry i hojny człowiek, i nie ośmieliłbym się korzystać z tych godnych podziwu zalet więcej, niż dotąd skorzystałem.

Rzucił znużone spojrzenie za okno na ruch statków na wodzie.

– Od razu widać, żeś nie Wenecjanin, Scacchi. Trzy okrągłe zdania i ani jednej prośby o pieniądze.

– Nie chodzi mi o twoje pieniądze, panie, lecz o poradę, mądrość i bezstronność. Obawiam się bowiem, że osobie, którą obdarzyłeś swoją dobrocią, zostanie wyrządzona poważna niesprawiedliwość.

Po tych słowach na jego bladej angielskiej twarzy pojawił się wyraz zaciekawienia. Przysunął do starego orzechowego stołu, stojącego pośrodku pokoju, wysokie krzesło i skinął na mnie i Gobba, byśmy do niego dołączyli. Usiadłszy, wziąłem głęboki oddech i opowiedziałem całą historię tak dokładnie i klarownie, jak sam ją pamiętałem, pomijając te tylko szczegóły, które uznałem za nieistotne dla sprawy, wśród nich naturę mojej relacji z Rebeką Levi. Opuściłem także chwilowo informację o jej pochodzeniu.

Popadłszy w rytm opowieści, rozluźniłem się nieco. Na twarzach Delapole'a i Gobba zauważyłem wielkie zdumienie wywołane moimi rewelacjami. Obu ich intrygowała wirtuozeria Rebeki w La Piecie, ale prawda o autorze cudownego koncertu wprawiła ich w osłupienie. Gdy im opisałem, jak Leo uchwycił się jedynego rękopisu i poszukiwał sposobu, by wykorzystać go do swoich celów, Gobbo gwizdnął.

– No proszę... – powiedział z satysfakcją. – A mówiłem ci, że to zły człowiek, Scacchi. To widać po jego lisich oczkach. Nikt nie powinien traktować krewnego tak, jak on traktuje ciebie, zwłaszcza żeś niedawno stał się sierotą i rzucono cię w takie miejsce.

– Rzeczywiście, mówiłeś mi, przyjacielu – zgodziłem się. – A ja cię wysłuchałem. Lecz nie zmienia to faktu, że on jest moim wujem, a ja jego podopiecznym. Ma prawo tak mnie traktować i gdyby chodziło jedynie o to, w ogóle nie zawracałbym wam głowy swoimi troskami. Nie mogę jednak siedzieć bezczynnie, gdy krzywdzi inne osoby, w dodatku tak bardzo utalentowane.

Delapole miał zafrasowaną minę. Nic dziwnego, gdyż pominąłem najistotniejszy punkt mojej historii, bez którego nie miała ona sensu.

– Nie rozumiem, Scacchi. Przyznaję, to bardzo nietypowe, by młoda dziewczyna napisała taki utwór. Pewnie podniosłyby się głosy protestu, szczególnie wśród ludzi starszego pokolenia. Lecz cóż miałoby ją powstrzymać przed powstaniem i rozpętaniem burzy? Napisała to. Zapewne ma więcej kompozycji. Będzie trochę gwizdów, rzecz jasna, choć dziś to raczej Vivaldi je zbiera. Czemuż ona po prostu nie weźmie oddechu i nie ruszy w bój?

Posłał mi spojrzenie ponad starodawnym wypolerowanym stołem i wiedziałem, że nie pomyliłem się co do niego. Delapole potrafił przejść wprost do sedna sprawy. Za fasadą angielskiej fircykowatości krył się sprawny umysł.

– Dlatego, że to niemożliwe. Ona jest Żydówką, o czym nie wie nikt, poza jej własnym kręgiem oraz mną i Leonem.

Jego podłużna blada twarz wpatrywała się we mnie ze zdziwieniem.

– Żydówką? Dobry Boże. Jesteś tego pewny, chłopcze? Jako Anglik nie jestem szczególnie zorientowany w tych materiach. Jeśli nie noszą opaski albo tej tkaniny na głowie, to niech mnie, jeśli któregoś rozpoznam. Co tam, przysięgam, że po ciemku mógłbym nawet zacząć rozmowę z Murzynem i nigdy bym...

– Jestem pewny, panie. Każdej nocy, gdy miała grać u Vivaldiego jako Rebeka Guillaume, potajemnie wyprowadzałem ją z getta pod fałszywym pretekstem.

Gobbo jęknął.

– Ech, Scacchi. Siedzisz w tym teraz po uszy.

Delapole wciąż nie wyglądał na przekonanego.

– Ale czy to taki wielki problem? Tak, jest kobietą. Tak, jest Żydówką. A do tego piekielnie dobrym muzykiem i prawdziwą pięknością. Nie żyjemy w mrocznych wiekach. Co to za różnica?

– Może nie ma żadnej w Londynie, panie – mruknął Gobbo – lecz w Wenecji doża narzuca swoje reguły. Żydzi mają żyć tam, gdzie im się każe. Po zapadnięciu nocy pozostają za murami. Od naszych kościołów mają się trzymać z daleka, bo ich obecność je plugawi. Złamać te zasady, oznacza sprzeciwić się doży, a wszyscy wiemy, dokąd to prowadzi.

– Wciąż nie rozumiem – utrzymywał Delapole. – To przecież drobnostka wobec tak wielkiego talentu. Mogłaby nawet przydać całej sprawie kolorytu. Muśnięcie melodramatu nigdy nie wyrządziło artyście krzywdy.

Nic nie odpowiedzieliśmy. Spojrzał nam w twarz i chyba właśnie nasze ponure milczenie ostatecznie go przekonało.

– No dobrze – zgodził się. – Przyjmuję waszą wykładnię faktów. Niekiedy tęsknię za ojczystą ziemią. Szczypta angielskiego pragmatyzmu wyświadczyłaby wam nieocenione dobro. A jednak zdumiewa mnie, że gdy Wenecjanie znaleźli się w posiadaniu pierwszej, jak sądzę, znakomitej muzykantki na świecie, zamierzają wrzucić ją do ciemnicy i wykrzykiwać jakieś bzdury wśród kadzidlanego dymu. Gdybym chciał żyć zwyczajem hiszpańskim, pojechałbym do Hiszpanii.

Gobbo zerknął na mnie z ukosa. Delapole nie rozumiał powagi sytuacji. Doża w swej interpretacji prawa był bezstronny: wrzuciłby do więzienia gadatliwego Anglika równie łatwo jak żydowską oszustkę, gdyby tylko zechciał.

– Myślę, panie – zaczął ostrożnie jego służący – że byłoby najlepiej zatrzymać tę sprawę między nami i nie lekceważyć wymiaru sprawiedliwości Republiki poza tymi murami. Jesteś w tym mieście osobą znaną, a to czyni cię łatwym celem plotki.

Na te słowa Anglik bardzo się zdenerwował.

– Ach, więc w taki sposób okazują swoją wdzięczność, co? Nabazgrzą moje nazwisko na bileciku z fałszywymi oskarżeniami, który wrzucą w jeden z tych idiotycznych lwiopodobnych pisuarów? Na Boga, nie powinni tak okrutnie się obchodzić z tą biedną dziewczyną. Winisz swojego wuja, Scacchi, lecz gdyby miasto nie stało po jego stronie, nie śniłby nawet, że można tak postępować. To miejsce jest zepsute jak przegniłe jabłko i ma na niego zły wpływ.

– Zgadzam się z tym, panie – odpowiedziałem, potakując. – Ale co my teraz zrobimy?

– Powiedz mi, w jakąż to gierkę gra teraz stary Leo.

– Kiedy tylko nadarzy się sposobność, zamierza ujawnić się jako kompozytor.

– Ustalono, że zostanie to obwieszczone za tydzień od dziś – wtrącił Gobbo. – Miało to nastąpić prędzej, lecz Vivaldi żongluje datami. Jak sądzę, czuje, iż w ten sposób jego los zostanie przypieczętowany, lecz już nie może zrezygnować. Trzecia po południu w La Piecie. Będzie spore poruszenie.

– Obawiam się – dodałem – że nim to nastąpi, Leo zaproponuje Rebece jakiś układ. Zawłaszczy sobie tytuł oraz pieniądze, w zamian za co utrzyma sekret dziewczyny w tajemnicy, a być może wręczy jej też jakąś sumkę. Nie wiem. On trzyma w ręku wszystkie karty.

– W rzeczy samej – zgodził się ponuro Gobbo.

– A dziewczyna? – spytał Delapole. – Co ona o tym sądzi?

– Tego nie jestem pewny, panie.

– Decyzja należy do niej, Scacchi. Jeśli Leo przedstawi jej układ, który ona uzna za zadowalający, na przykład że będzie wciąż swobodnie komponować, gdy on zbierać będzie laury, to nic nie możemy i nie powinniśmy robić.

– Zgadzam się, panie. Lecz dobrze znam Rebekę...

Jasnoniebieskie oczy Anglika wpatrywały się we mnie intensywnie.

– ...i nie mam najmniejszych wątpliwości, że panna Levi zapragnie mieć całą chwałę lub żadnej. Ryzykowała bardzo wiele, by przemycić swoje dzieło poza getto. Gdyby nawet podpisała podobną ugodę, to zapewne odrętwiałaby do tego stopnia, iżby nic już nie mogła w życiu stworzyć ani zagrać.

– Hmm...

Wstał i podszedł do okna. Obserwowaliśmy go. Delapole był tu panem. Obaj polegaliśmy na jego wskazówkach. Gobbo szturchnął mnie wesołkowato w ramię, jakby mówił: Wszystko będzie dobrze.

Czekaliśmy na decyzję. Po całych pięciu minutach Anglik wrócił do stołu, zdecydowanym ruchem usiadł na krześle i popatrzył na mnie.

– Rozumny człowiek pomyśli dwa razy, nim zakrzyknie „niesprawiedliwość” w ludzkiej

gromadzie, która się na niesprawiedliwości opiera. Jestem tu obcy, ale co nieco już wiem.

Zasępiłem się, choć nie mogłem zaprzeczyć jego logice.

– Szukam jedynie twojej porady, panie, nic więcej. To właśnie fakt, że jesteś obcy, przywiódł mnie tutaj. Gdybyś był Wenecjaninem, donos na mnie zmierzałby do urzędników doży w momencie, w którym opuściłbym ten pokój, a Rebeka Levi zostałaby porzucona na pastwę losu.

Uśmiechnął się.

– Potrafisz mówić gładkimi zdaniami, chłopcze. Raz czy dwa nawet przygadałeś temu rozświergotanemu pawiowi Rousseau, a on nie był głupcem.

– Dziękuję, panie. Lecz nie pomyślę o tobie choćby krztynę gorzej, jeśli nie będziemy już nigdy poruszać tej sprawy.

– Och, dajże spokój. – Wyciągnął rękę nad stołem i poklepał mnie po dłoni niemal ojcowskim gestem. – Jesteś zbyt poważny, Scacchi. Mógłbyś od czasu do czasu się uśmiechnąć.

Serce zabiło mi żywiej.

– A więc pomożesz mi?

Spojrzał na Gobba.

– Zajmijcie się tym, by umówić dziewczynę na spotkanie. I proszę za dnia. Nie zamierzam bawić się w żadne podchody. Dopóki nie poznam jej zdania, nie będę mógł dalej działać. Tak, Scacchi. Zrobię, co będzie się dało, choćby miało to być żałosne i nieudaczne. – Klasnął w dłonie. – No proszę! Kolejny uśmiech! Zaraz uleczymy cię z melancholii, młody Scacchi. Gobbo, biegnij po trunki do karczmy. A ja potrzebuję chwili samotności. Tę łamigłówkę można rozwiązać na wiele sposobów. Musimy tylko dobrze sprawę przemyśleć i trafnie przewidywać.

Wstał. My także.

– Panie – rzekłem z ukłonem. – Na zawsze pozostanę twoim dłużnikiem. Podobnie panna Levi.

– Jeśli dług jest formą przyjaźni, to chyba jestem najbardziej kochanym i kochającym człowiekiem na świecie. A teraz zmykajcie. I rozwesel go, Gobbo.

W rzeczy samej starał się to zrobić na swój sposób. Zaprowadził mnie do jednej z obskurnych karczm przy *rio* i przedstawił swoim dwóm przyjaciółkom. Obie były ładne, miały wielkie oczy i proste czarne włosy, nosiły szkarłatne suknie i zachowywały się wyzywająco.

Gobbo zabrał mnie potem na stronę i rzekł:

– No dalej, Scacchi. Chyba zaliczymy ten kurs za friko. Obie uważają, żeś jest milutki.

– Nie chciałbym cię urazić – odparłem – ale nie jestem w nastroju do tych rzeczy, Gobbo.

– W nastroju, w nastroju... To ci właśnie nastrój poprawi!

– Przykro mi.

– Ech... – Popatrzył na mnie. – Oby była tego warta, przyjacielu. Twoja Żydóweczka kochaneczka może nas wszystkich wykończyć, jeśli Delapole przeciągnie strunę.

Dopiłem wino i wyszedłem na zewnątrz. Był przyjemny poranek i nie chciałem go psuć, ulegając namowom Gobba. Już wkrótce zaś mój umysł zajmowały znacznie pilniejsze sprawy. Gdy wróciłem do Ca' Scacchi, Leo siedział przy biurku i oczekiwał mnie. Przysiągłem sobie wtedy, że nigdy więcej nie pozwolę mu się uderzyć. Wymyślił jednak karę znacznie subtelniejszą.

– Lorenzo – rzekł z udawaną uprzejmością. – Naprawdę straciłem co do ciebie nadzieję. Proszę tylko o prostą rzecz – abyś został w biurze, ale ty nie chcesz zrobić nawet tego. Jednak jako człowiek szczodry zamierzam wynagrodzić cię przygodą.

Wyraz triumfu na jego twarzy bardzo mnie zasmucił. Jeśli znalazł czas na rozmowę

z Rebeką, nie zamierzał wyjawić mi jej rezultatów.

– Przygodą, wuju?

– W Rzymie mieszka pewien sędzia śledczy nazwiskiem Marchese. Spodziewa się, że jego pamiętniki nadadzą się w sam raz na lekturę dla pospólstwa. Przywieziesz mi rękopis, bym się mógł z nim w wolnej chwili zapoznać.

– Z Rzymu? Wuju, to dobre dwa dni drogi powozem. Tu na miejscu jest dużo pracy.

– W rzeczy samej, lecz po tym, jak się dziś rano zachowałeś, nie sądzę, byś ją umiał wykonać. A więc Rzym. Dwa dni w jedną, dwa dni w drugą. Jeden dzień na omówienie mojego cennika oraz warunków wydawniczych z signorem Marchesem. Jeśli się pospieszysz, zdążysz wrócić na wielki dzień. Wtedy wszystko zostanie ujawnione. Nie chciałbyś się spóźnić, prawda?

Zabrakło mi słów. Miał mnie w swych sidłach. Gdybym odmówił, wyrzuciłby mnie z domu jako beznadziejnego czeladnika i straciłbym wszystkie możliwości, nawet te niewielkie, jakie miałem obecnie, aby pomóc Rebece.

– Śmiało, chłopcze. Musisz złapać łódź do Mestre i wsiąść w wieczorny powóz. Jeśli się na niego spóźnisz, Bóg wie, kiedy uda ci się wrócić.

Pobiegłem do pokoju, spakowałem torbę i zabrałem dokumenty oraz żałośnie lekką sakiewkę, którą dał mi Leo. I tak moje ciało wyjechało do Rzymu, dusza zaś pozostała w Wenecji. A ściślej w Ghetto Nuovo.

Postacie w lustrze 45

Apartament wyglądał jak zrobiony ze szkła. Amy Hartston kołysała się lekko, na wpół pijana. Zjedli kolację w Da Fiore – smażone jeżowce z polentą, turbota, homary i całe rzeki mocnego białego wina. Wpatrywała się w swoje odbicie w wielkim oknie wychodzącym na kanał. Vaporetti przecinały wodę z nielicznymi pasażerami na pokładach. Samotna gondola z grupką turystów, którym przygrywał akordeonista stojący na dziobie, płynęła w stronę mostu Accademia. Coś ją w tym widoku niepokoiło. Zaczynała się zadomawiać w Wenecji, za mocno wiązać z tym miastem. Jej umysł pływał. Martwiła się z powodu Daniela. Po ostatniej dziwnej rozmowie na schodach kościoła zaczęła się go obawiać. W jego oczach czaił się mrok wywołany czymś więcej niż tylko żałobą.

Odwróciła się i popatrzyła na Hugona Massitera. Nalewał właśnie dwie lampki koniaku z butelki wyjętej z prostego modernistycznego barku z przydymionego szkła i satynowanego metalu. Jej przemowa o zainteresowaniu nią Hugona wydawała się teraz odległa i dziecinna. Jednak w Amy pozostała odrobina determinacji – nie zamierzała wyjeżdżać z Wenecji taka sama, jak przyjechała.

Podszedł do niej z dwiema koniakówkami. Jego postać bez końca powielały lustra biegnące wzdłuż ścian. Czuła, że Massiter otacza ją, pochłania swoją potężną obecnością.

Wzięła lampkę i upiła duży łyk. Poczuła w głowie ciężar. Chwycił ją za ramię i podprowadził do okna. Z jakiegoś niezrozumiałego dla niej powodu nie chciała już patrzeć na kanał.

– O co chodzi, Amy? – zapytał uprzejmie.

– Nie wiem.

– Ach – odrzekł, jakby jej odpowiedź wszystko wyjaśniała. – Rozumiem.

– Co rozumiesz, Hugo?

– Niepotrzebnie przyjęłaś moje zaproszenie. Myślisz, że to była zła decyzja. Przepiękne dziewczę. Ohydny staruch.

– Nie!

Drażnił się z nią. Nie mogło być inaczej. Jak na swój wiek Hugo świetnie się trzymał.

– O co więc chodzi?

Usiadła na jasnej skórzanej sofie.

– Sama dobrze nie wiem.

Zaśmiał się lekko.

– Ależ oczywiście, że wiesz, moja droga. Po prostu nie chcesz o tym mówić. A może chcesz?

– Przejmuję się tym utworem. Koncertem.

Zamrugał zaskoczony.

– Czyżby coś źle szło? Nie podoba ci się sposób pracy Fabozziego?

– Nie! Jest wspaniały. Wszyscy to wiemy.

– Ale?

Upiła łyk brandy i przez chwilę miała wrażenie, że alkohol oczyścił jej myśli.

– Nie wydaje mi się, by Daniel to skomponował, to niemożliwe. Jest oszustem. I to go stopniowo pożera. On się rozpada na kawałki. To się dzieje na naszych oczach. Musisz to dostrzegać.

Hugo potrząsnął głową i usiadł obok niej.

– O czym ty mówisz? Daniel jest smutny z powodu śmierci przyjaciela, nic w tym dziwnego. To wcale nie oznacza, że oszukuje.

– Tu chodzi o coś więcej niż śmierć Scacchiego. – Spodobała jej się pewność, którą usłyszała we własnym głosie. – Wiedziałam o tym, jeszcze zanim się to stało, chociaż nie chciałam się do tego przed sobą przyznać. Chyba już w czasie naszej wyprawy na Torcello tamtej nocy, kiedy pokazał ci nuty. Daniel nie mógł napisać tego utworu. Jego w nim nie ma. Za każdym razem, gdy go słyszy, chce uciekać.

Hugo popatrzył na nią.

– Naprawdę tak ci się wydaje?

– Ja to wiem.

– Więc kto to napisał, Amy?

– Nie mam pojęcia. Może ktoś to ukradł. Może dlatego zamordowano Scacchiego.

– Ale pokojówka... – zaoponował.

– Poznałam tę pokojówkę, Hugo. Ona nikogo nie zabiła. Po prostu oszalała po tym, jak to się stało.

Uzupełnił lampki.

– To bardzo smutne wieści. Ale niezależnie od tego, czy są prawdziwe, czy nie, nie możemy pozwolić, żeby zakłóciły koncert i wpłynęły na twoją przyszłość.

– Do diabła z tym! Ja się martwię o Daniela. Słyszałeś, co mówił.

Massiter był zagubiony. Czasami, pomyślała, jest zbyt ufny.

– Nie rozumiem.

– Ta sprawa go zżera. Dan się do tego nie nadaje, a po tym, jak odszedł Scacchi, nie pozostał mu nikt, kto mógłby mu wskazać drogę.

Wpatrywał się w nią nierozumiejącym wzrokiem.

– On wszystko wygada, Hugo. Sam to powiedział: objawienie. Gdybyś chciał znać moje zdanie, on pozwoli, by rzeczy potoczyły się swoim trybem, bo nie chce skrzywdzić nikogo z nas, a potem, kiedy cykl koncertów dobiegnie końca, zrzuci ciężar ze swojej piersi.

Anglik odchylił się z westchnieniem na oparcie sofy.

– To ci dopiero...

Wpatrywała się w niego i zastanawiała, czy jego otwarte niedowierzanie może się udzielić także jej. Ale przecież wiedziała, że Daniel kłamie. To wyjaśniało wszystko, czego się o nim dowiedziała, włączając w to, o ironio, jego wrodzoną uczciwość.

– Hugo – powiedziała. – Musisz mu pomóc. On przechodzi przez piekło. Musisz go z niego wyciągnąć.

Skrzywił się.

– Jeśli masz rację, popełnił oszustwo. Podpisał umowy prawne, w których jest wymieniony jako kompozytor utworu. Niektórym ludziom to się nie spodoba. Wyłożyli już pieniądze. W sprawę włączy się policja. Być może pójdzie do więzienia.

– Lecz jeśli nie zrzuci z siebie ciężaru, on go zgniecie. Proszę cię. Nie mogę znieść, kiedy widzę go w takim stanie. Porozmawiaj z nim. Po koncercie on zapewne sam nam to powie. Pójdzie na policję, wyjaśni sprawę. Ale teraz musi podzielić się z kimś tą tajemnicą. Ona go rozbija na kawałki.

– No dobrze. – Skinął głową. – Porozmawiam z nim po pogrzebie Scacchiego. Myślisz, że to będzie odpowiednia chwila?

– Super! – Pocałowała go lekko w policzek, wyczuwając zapach drogiej wody po goleniu. Hugo Massiter popatrzył na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Nie zazdroszczę młodym – stwierdził. – Wypełniacie najcenniejszą część życia bólem i cierpieniem z byle powodu.

– To chyba nie jest byle powód. Tu chodzi o podszywanie się pod autora utworu. No i przecież Scacchi umarł.

– To prawda. Ale czemu tak się tym przejmujesz?

– Lubię Dana – odparła, zaskoczona tym pytaniem. – Jest w pewnym sensie wyjątkowy. Taki... przyzwoity.

– Ale przed chwilą nazwałaś go oszustem.

– Racja. Właśnie z tego powodu, że jest przyzwoity, tak źle się z tym czuje.

Hugo pokręcił głową.

– Tyle komplikacji. Wy, młodzi...

– Jasne – odparła ze śmiechem. – A ty nigdy przez to nie przechodziłeś. Byłeś już dorosły w chwili przyjścia na świat. Nigdy się nie zakochałeś? Nie miałeś złamanego serca? Nie leżałeś nigdy w łóżku przez całą noc z grzesznymi myślami, które nie mogły wylecieć ci z głowy?

Wyraz zaciekawienia przemknął przez jego twarz.

– Nie, kiedy byłem w twoim wieku. Wtedy podróżowałem. I żyłem, moja miła. Życie jest wszystkim. Nic innego nie ma znaczenia.

Dało się w tym wyczuć zaproszenie do dalszego wypytywania. Zawahała się, nim je przyjęła.

– Ale...

Hugo spojrzał na nią ostrożnie.

– Naprawdę chcesz, bym ci powiedział?

– To twój wybór. Nie chcę na ciebie naciskać.

Westchnął i rzekł:

– Raz prawie się ożeniłem. Właśnie mieliśmy się zaręczyć. Wierzyłem, że ten mój świat będzie idealny. Lecz nagle wszystko się rozpadło i nie ma dnia, bym nie zadawał sobie pytania dlaczego.

Jego szare oczy na moment zwilgotniały. Pojawił się przed nią inny Hugo Massiter: podatny na zranienia, niemal żałosny.

– Przykro mi – powiedziała. – Nie powinnam była pytać.

– Faktycznie. Ale skoro już spytałaś, to słuchaj. Może jestem podobny do Daniela. Trzymałem to w tajemnicy zbyt długo. Lecz niech to pozostanie między nami, Amy. Proszę, nie mów nikomu.

– Oczywiście.

Wziął głęboki oddech, jego nozdrza zadrgały. Wyglądał bardzo smutno.

– Miałem się zaręczyć z Susanną Gianni. Dziewczyną, która zginęła dziesięć lat temu. Wspominałaś o niej, kiedy byliśmy na Torcello.

– Co takiego? Och, Hugo!

– Wiem – rzekł chłodno. – Ona miała osiemnaście lat, a ja czterdzieści jeden. Co ja sobie

wyobrażałem? Wszyscy zadawaliby to samo pytanie, gdyby tylko mieli okazję.

– Mnie nie o to chodziło – zaoponowała Amy. – Zupełnie nie o to.

– Nie musisz się tłumaczyć. To pytanie na pewno by padło. Nawet ze strony jej matki, która oczywiście znała moje zamiary, chociaż pieniądze ułatwiały wiele spraw. Zrozum, Susanna była doskonała. Mogłaby grać w największych salach świata. Bylibyśmy najszczęśliwszą parą.

– Czy ktoś się dowiedział?

– Chyba nie. Byliśmy dyskretni. Zadziwieni sobą nawzajem. Wiedzieliśmy, że pewnego dnia zadziwimy również świat. Więc utrzymywaliśmy to w tajemnicy. W niedzielę po ostatnim koncercie zamierzaliśmy złożyć oświadczenie i uciec, zanim przyjadą paparazzi. Ale ten przeklęty dyrygent się dowiedział. Teraz to widzę: od samego początku jej pożądał i jakoś udało mu się ją zwabić po koncercie. Czekałem i czekałem, lecz ona już się nie pojawiła. Później, następnego ranka...

Popatrzył na swoje dłonie.

– No i stało się. Oto sekret starego człowieka, który sądził, że zabierze go ze sobą do grobu. A jednak ci go wyjawiłem. Proszę, wyjaśnij mi to.

Ujęła jego ciepłe, gładkie, miękkie dłonie.

– Nie potrafię – powiedziała.

Delikatnie dotknął jej policzka. Nie poruszyła się.

– To dlatego otaczasz się tymi przedmiotami, Hugo? – spytała, rozglądając się po apartamencie. – Tymi wszystkimi rzeczami?

– Być może – odparł. – W Londynie mam *Ucztę u Kleopatry* Tiepola. To chyba najpiękniejsza rzecz, jaką posiadam. Lecz mimo wszystko jest to zwykły przedmiot, Amy. Przecudny, ale nie ma w nim ciepła, życia. A jak mówiłem, życie jest wszystkim.

Przesunął palec po jej policzku.

– Czy ja ci ją przypominam?

– W żadnej mierze – odparł natychmiast. – Grała lepiej, niż ty kiedykolwiek będziesz. Ale ty jesteś piękniejsza. Masz więcej pewności siebie i charakteru. Susanna była jak białe płótno, a ja miałem zdecydować, co ma na nim być.

Poczuła suchość w ustach. Zaczęła ją trochę boleć głowa.

– To dobrze czy źle, Hugo?

– Ani dobrze, ani źle. Taka już po prostu była. Ty też jesteś tym, kim jesteś. Podziwiam i kocham was obie.

– My nie możemy... – zaczęła.

– Świat jest taki, jakim go stworzymy – przerwał jej, po czym łagodnie przesunął prawą rękę nad dekolt jej wieczorowej sukienki, sięgnął w dół i przez zwiewny materiał ujął jej pierś. – Nigdy nie byłaś z mężczyzną, Amy, prawda?

– Nie – odpowiedziała, oddychając płytko.

– To dobrze – stwierdził zdecydowanie. Zdjął rękę z jej piersi i przesunął w dół. Ujął rąbek materiału przy jej kolanie i uniósł go, odsłaniając nogi dziewczyny. Powoli, jakby przeprowadzał jakieś badanie, wsunął ręce między jej uda, muskając kciukami miękką skórę, po czym skierował palce do góry, napotykając tkaninę bielizny. Uniósł jeszcze wyżej wieczorową sukienkę, aż odsłonił to, czego dotykał, i delikatnym okrągłym ruchem wsunął badawcze kciuki pod materiał.

Amy westchnęła, sama nie wiedząc, co ten dźwięk oznacza. Hugo pieścił ją niecierpliwymi palcami. Po chwili wysunął je i jednym ruchem wziął dziewczynę na ręce. Trzymał ją jak dziecko, wpatrując się w jej oczy w drodze do sypialni, gdzie każda ściana była niczym lustro.

Widziała ich odbicie w zwierciadlanych powierzchniach i patrzyła w nie cały czas, kiedy położył ją na łóżku, zrzucił ubranie i ukląkł przy niej z twarzą nabiegłą czerwienią. Kiedyś widziała nagiego chłopaka, lecz nie przyjęła jego propozycji. Massiter był w porównaniu z nim wielki, niemal przerażający rozmiarem.

Popatrzyła na niego.

– Hugo – powiedziała. – Musisz się zabezpieczyć.

– Nie wydaje mi się – odparł, chwycił obiema rękami przód jej sukienki i rozdarł cienki materiał jednym gwałtownym gestem, który sprawił, że jej ciało podskoczyło na łóżku. Wyswobodziła się z bielizny w obawie, że ją też podrze. Jego twarz znalazła się przy szyi Amy. Poczuła ostre ugryzienie i krzyknęła cicho z bólu.

– Hugo – powtórzyła, odsuwając go tak, by mógł popatrzeć w jej twarz. – Boję się.

– Nie ma czego. Przy mnie już nigdy nie będziesz się bać.

Chciało jej się płakać. Chciała uciec z tego pokoju. Przypomniała jej się poprzednia sobota, kiedy tak otwarcie oddała się Danielowi, ale on odmówił i w ten sposób uruchomił machinę wydarzeń.

Oparła mu głowę na piersi. Nie chciała patrzeć mu w oczy.

– Ja... nie chcę – powiedziała cicho.

Jego ręce znów ruszyły, palce badały, szukały, penetrowały.

– Och, moje kochanie, ale ja chcę – odrzekł. – A teraz, jeśli pozwolisz...

Zatrzymałem się u Marchesego na Kwirynale niedaleko miejsca, gdzie w swym pałacu papież ukrywał się przed upałem i malarycznymi wyziewami Watykanu. W mojej głowie panował wielki zamęt, więc z wdzięcznością przyjąłem fakt, że mój gospodarz okazał się znakomity. Marchese zamieszkiwał małą patrycjuszowską rezydencję wraz z żoną oraz jedynym służącym Lanzą. Był człowiekiem posuniętym w latach i przygarbionym, wyróżniającym się rozwichrzoną strzechą białych włosów oraz dziwacznym chodem. Oczy miał jednak jasne, a spojrzenie ostre i dociekliwe niczym u dziecka. Choć obdarzony wesołym usposobieniem, zapewne w latach swojej świetności rzadko kiedy wypuszczał z rąk ściganego przestępcę.

Dotarłem na miejsce po dwóch dniach, z których każdy wypełniało dziesięć godzin podróży. Z wdzięcznością przyjąłem kąpiel, suty posiłek i łóżko, na które padłem wyczerpany. Mogę przysiąc, że gospodarze nigdy nie mieli dzieci, gdyż tak się o mnie zatroszczyli, jakbym był ich potomkiem. Wciąż jeszcze nie dotarło do mnie, że już jestem w Rzymie z jego wszystkimi perspektywami i możliwościami, gdyż opadłem na wygodną otomanę na drugim piętrze domu i natychmiast zsunąłem się w objęcia głębokiego snu bez snów, by zbudzić się dopiero na pianie koguta oraz miękkie i ciepłe dotknięcie słońca lśniącego za zasłonami.

Ranek spędziłem, przeglądając rękopis Marchesego. Leo miał jednak pewne zasady i nie wydałby byle czego. Lecz już po krótkiej chwili zauważyłem, że to akurat zlecenie nie będzie stanowić żadnego problemu, a nawet może okazać się zyskowne. Marchese pisał stylem nieco chaotycznym, co jednak dałoby się poprawić w redakcji. Tekst był żywy. Pominąwszy kilka dłużyzn, które opuściłem w lekturze, historie z życia miejskich szumowin były naprawdę interesujące.

Większość ludzi płaci Domowi Scacchich z próżności – chcą ujrzeć swe nazwisko w druku. W ich oczach, jak sądzę, ten rządek liter na pierwszej stronie gwarantuje nieśmiertelność, choć pewnie zmieniliby zdanie na widok stosów niesprzedanych egzemplarzy zalegających w naszej piwnicy. Motywy Marchesego były jednak inne. Pragnął wyłożyć własne metody śledcze z nadzieją, że inni skorzystają na tej nauce i z biegiem czasu opracują doskonalsze sposoby, jak postawić winnego przed obliczem sprawiedliwości. Według niego prawo jako takie jest procesem, którym rządzi los. W większości wypadków najpierw znajduje się jakąś nieszczęsną ofiarę, a następnie poszukuje dowodów jej winy. Marchese twierdzi zaś, że pierwszym krokiem powinno być ustalenie faktów i zastanowienie się, do jakich wniosków one prowadzą, a nie podążanie tropem rozpuszczonej w tłumie plotki, co kończy się aresztowaniem pierwszego z brzegu człowieka o podejrzanym wyglądzie. Nie powiedziałem tego głośno, lecz mnie pomysły jego wydają się zbyt rewolucyjne jak na gorącokrwistych Włochów, którzy mają potrzebę natychmiastowej satysfakcji. Być może Niemcy lub Anglicy mogliby wprowadzić powolną i żmudną praktykę zalecaną przez Marchesego. Wątpię jednak, czy spodobałaby się

tym, co kręcą się pod bocznym wejściem do pałacu doży i swoje chytre intrygi łączą ze złym humorem starca. Wielu jest też pechowców, którzy do pałacu wchodzą, lecz już z niego nie wracają.

Każdemu rozdziałowi Marchese nadał jakiś intrygujący tytuł: *Toskański fragment i rozsypane kamelie* albo *Egipski kot, który szczekał nocą*. Sędzia śledczy mierzy jednak ponad czczą rozrywkę. Informuje mianowicie czytelników o procedurach, które określa mianem techniki kryminalistycznej. Twierdzi zarazem, że podając opisy przestępców, których udało mu się pojmać, obali mit, jakoby byli oni źli z natury bądź na skutek życiowych wyborów i przez to stanowią odrębny gatunek, zupełnie różny od tego, do którego należą zwykli szarzy obywatele przemierzający ulice miast.

– Największe złudzenie – rzekł mi, wymachując grubym pomarszczonym palcem przed moją twarzą – to wiara, że ten świat jest czarno-biały, a ludzie dzielą się na szlachetnych i grzeszników. To absurdalne przypuszczenie pozbawione podstaw. Każda sytuacja ma wiele aspektów, a człowiek działa pod wpływem całego wachlarza cech, zarówno zacnych, jak i wstrętnych, które są, jak mniemam, głównie dziedziczone. Różnice między ludźmi polegają na tym, że wybierają oni inne wersje wydarzeń składających się na rzeczywistość i zwracają uwagę na inne cechy otoczenia. Ja mogę równie łatwo stać się mordercą jak ty. Wyłącznie zrządzenie losu i brak pokusy oraz, mam nadzieję, twardość charakteru dzielą nas od szafotu. Zawsze miej się na baczności przed tymi, co to będą cię przekonywać, że świat dzieli się na dwa obozy: dobrych i złych. Są to głupcy albo jeszcze gorzej, manipulatorzy usiłujący poszerzyć swoje wpływy przez ogłupianie biednych nieszczęśników, którzy winą za swoją obecną nędzę obarczają jakichś odległych wrogów.

Wciągnął powietrze. Przepyszny zapach dobiegał z kuchni. Górę mięsa z ziemniakami i dwie lampki wina później znów zasiedliśmy w fotelach. Byłem syty, śpiący i zadowolony, że udało mi się odwrócić myśli od Wenecji. Co by się działo z Rebeką i Leonem, jakiego by postępu dokonał Delapole w celu pokrzyżowania niecnych planów mojego wuja, nic, co mógłbym wymyślić lub uczynić w Rzymie, nie mogło na to wpłynąć.

– Co do pieniędzy – rzekł Marchese, podsuwając ku mnie flaszkę grappy, na co zakryłem swój kieliszek dłonią – opłacę tylko koszta bieżące i nie dam ani grosza więcej. Dobrze wiem, że wy, Wenecjanie, zamieniacie się w diabły, jak przychodzi do targowania.

Nie miałem ochoty targować się z tym uroczym jegomościem, chociaż pieniędzy z pewnością mu nie brakowało. Postanowiłem odłożyć na bok nadmuchany cennik, którego Leo używa w charakterze gambitu otwierającego, i aby skrócić sprawę, pokazałem mu od razu realne ceny, takie, jakie proponuje większość weneckich wydawców.

Klepnął mnie lekko w ramię.

– Dajże spokój, Lorenzo, przecież w tego rodzaju interesach zawsze jest miejsce na negocjacje. Jaki będzie rabat, jeśli zapłacę od ręki gotówką?

Machnąłem ręką, czując opadającą mnie po obfitym jedzeniu i piciu senność.

– Taka jest cena, panie. Nie traćmy już na to więcej czasu.

Spojrzał na mnie i westchnął.

– Muszę ci powiedzieć, że jesteś chyba najbardziej nietypowym Wenecjaninem, jakiego w życiu spotkałem. A może najprzebieglejszym?

– Nie pochodzę z miasta, jestem wieśniakiem z Treviso. Brak mi cierpliwości do tej całej słownej żonglerki.

– Hm, chyba jednak tak nie jest, skoro prowadziłeś ją ze mną przez cały czas. Wciąż byłeś myślą w domu, choć zarazem jak zawodowiec załatwiałeś ze mną sprawy.

Nic nie rzekłem. Nie mogłem dać się pociągnąć za język.

– No więc dobrze! – Wstał z fotela i wyciągnął rękę. – Podajmy sobie ręce na przypieczętowanie umowy i miejmy już za sobą niskie sprawy pieniądza. Potem pójdziemy odetchnąć rzymskim powietrzem. Żar się leje z nieba, synu, ale nie wypuszczę cię, jeśli nie zwiedzisz kilku miejsc. Co ty na to?

Uścisnąłem wyciągniętą ku mnie dłoń. Wśród ludzi, z którymi robiłem interesy, Marchese był pierwszym rzymianinem, i to w dodatku stuprocentowym.

– To będzie dla mnie, jak wszystko w twoim towarzystwie, wielka przyjemność, panie.

I tak ruszyliśmy na spacer po największym mieście świata. Z Marchesem jako przewodnikiem Rzym nabrał życia: ważne miejsce tu, fragment starego posągu ówdzie. Chodziłem u boku Cezara i Augusta, drżałem w obecności Nerona i stałem w milczeniu pod murami Koloseum. Czułem się jak dziecko w towarzystwie hojnego miłego wujka posiadającego klucz do najcudowniejszych tajemnic w ogrodzie świata. Na brzegu Tybru Marchese pokazał mi miejsce, gdzie przed wiekami stał drewniany most, Ponte Sublicio, którego Horacy wraz z towarzyszami tak mężnie bronił przed wielką armią etruskiego króla Larsa Porsenny. Później zaprowadził mnie na wyspę na rzece, gdzie mieści się żydowskie getto. Jego mieszkańcom zakaz wychodzenia po zmroku narzucił już papież Paweł IV, który około stu siedemdziesięciu lat temu stłoczył ich przymusowo w tych murach pod groźbą śmierci.

Dowiedziawszy się tego, zamyśliłem się, co mój przewodnik wziął za zmęczenie (on sam, choć kuleje, wydaje się mieć nieprzebrane zapasy sił i wystarczy mu krótki postój co jakiś czas). Wróciliśmy więc na Kwirynał.

W domu gadaliśmy o tym i owym. Marchese popatrywał na mnie czujnie. Wreszcie odstawił szklankę i rzekł:

– Lorenzo, coś odciąga twoje myśli od naszej rozmowy.

– Przepraszam, panie – odparłem. – Mam pewne osobiste sprawy, którymi nie chcę cię kłopotać. Wybacz, proszę, jeśli chwilami wydaję się nieobecny.

– Czasami lepiej jest opowiedzieć o tych rzeczach drugiemu człowiekowi.

– Niekiedy tak. Lecz nie w tym przypadku. Gdybym jednak mógł, bez wahania omówiłbym je z tobą, panie, jako że rzadko mam okazję spędzić dzień w towarzystwie tak wspaniałego człowieka, który rano był mi obcy, zaś wieczorem jest już, a taką żywię nadzieję, moim przyjacielem.

– Gdybyś miał co do tego wątpliwości, poczułbym się bardzo urażony. A żeby dowieść naszej przyjaźni, proszę cię jak przyjaciela, byś pomógł mi rozstrzygnąć jeszcze jeden dylemat. Możesz zająć się tym w wolnej chwili: przed snem, w powozie do Wenecji albo później, kiedy uznasz za stosowne.

Podszedł do półki z książkami, sięgnął po gruby tom i wyjął zza niego plik kartek. Gdy mi je podał, zobaczyłem ten sam staranny charakter pisma, które rano widziałem na innych rękopisach.

– To brakujący rozdział książki, którą ci pokazałem, Lorenzo. Nie wszystkie moje śledztwa zakończyły się sukcesem, lecz nie dlatego schowałem ten fragment. Wahałem się, czy pokazywać go komukolwiek, i wciąż nie wiem, czy powinien ujrzeć światło dzienne. Musisz mi pomóc. Przeczytaj go, a ja postąpię wedle twojej decyzji.

Wziąłem plik kartek, po czym wstałem i życzyłem dobrej nocy jemu i jego żonie. To był długi dzień. Wiedziałem, że jutrzejsza podróż będzie męcząca. Jednak leżąc w łóżku, w cichym pokoiku na Kwirynale, nie potrafiłem zasnąć. Zapadłem w półsen, a obrazy starożytnego Rzymu prześladowały mnie: Cezar ginący w deszczu krwawych ciosów, Kaligula zamordowany przez własnego przybocznego, głowa i dłonie Cycerona oderżnięte przez siepaczy Augusta i wystawione publicznie na mównicy Forum...

Później starożytne sceny odpłynęły, a w ich miejsce ujrzałem Rebekę, nagą, pobladłą i przerażoną. Dłońmi przykrywała łono i nie potrafiła wydobyć z siebie słowa. Byliśmy w jej pokoju w Wenecji, jakby tuż po naszym ostatnim spotkaniu i kłótni, kiedy zdawało mi się, że chciała coś powiedzieć, wyjawić, ale nie miała możliwości i zabrakło jej odwagi. Otworzyłem usta, lecz nie umiałem wydobyć głosu. Jej oczy błagały mnie o pomoc. Nie potrafiłem ruszyć ku niej z miejsca. Wtedy z wysiłkiem, od którego łzy pociekły po jej policzkach, odjęła bladą dłoń od swego łona, pokazała mi jej wnętrze i wyrzekła cztery słowa: „Nie pojawiła się krew".

Przebudziłem się roztrzęsiony jak w febrze.

Nie mogłem już zasnąć. Szukając czegoś, czym mógłbym zająć rozgorączkowane myśli, sięgnąłem po rękopis Marchesego, zapaliłem świecę i zacząłem czytać.

Godzinę później zrozumiałem znaczenie snu i jeszcze dużo, dużo więcej. Z zimnym przerażeniem ściskającym serce pobiegłem korytarzem i zacząłem walić w drzwi do pokoju gospodarza, domagając się, by mnie wpuścił.

Trudne pytania 47

Giulia Morelli siedziała przed kawiarnią przy San Cassian i patrzyła na wiercącego się na twardym plastikowym krzesełku Biagia. Sierżant nie był na służbie, miał na sobie cywilne ubranie i w dodatku musiał znosić towarzystwo pani detektyw.

– Wyglądasz na spiętego – zauważyła. – Spokojnie, ja nie gryzę.

Zaklął.

– Jak ja mogłem się na to zgodzić. Co jest nie tak z pani ludźmi?

– Powiem ci w swoim czasie – odparła. – Wiesz, czemu tak postępuję?

– Tak – mruknął.

Po przesłuchaniu Rizza wysondowała przeszłość Biagia: studiował w Rzymie, swoim rodzinnym mieście. W Wenecji znalazł się przez przypadek. Nie miał tu żadnych krewnych. Nie mógł tkwić w żadnej przestępczej siatce, chyba że by się do niej dostał w ciągu dwóch lat, odkąd wstąpił do miejscowej policji, co wydawało się mało prawdopodobne. Musiała komuś zaufać, a on wydawał się najlepszym wyborem.

– Kiedy zdobędę dowody – powiedziała – i wszystko stanie się tak jasne, że nie uda się zatrzymać dochodzenia, wtedy mogę liczyć na sukces. Gdybym teraz wyskoczyła ze swoimi podejrzeniami, zawiesiliby mnie w tej samej chwili, w której wypowiedziałabym niewłaściwe nazwisko. Oboje byśmy tego pożałowali.

Skinął głową i spojrzał kwaśno na wiekowe ceglane ściany Ca' Scacchi na drugim brzegu *rio*. Giulia czuła, że może mu zaufać. Nie znaczyło to jednak, że będzie z nią ochoczo współpracował.

– Ten angielski chłoptaś nigdzie się nie wybiera. Tkwimy tu już od godziny. Nawet nie wystawił nosa, by przynieść coś sobie na śniadanie.

– Masz rację – przyznała i zaczęła się zastanawiać nad zachowaniem Daniela. Jeżeli w gazetach napisano prawdę, chłopak był genialnym muzykiem. Jego kompozytorski debiut, mistrzowskie dzieło w stylu barokowego koncertu skrzypcowego, miał zostać po raz pierwszy wykonany w kościele La Pietà w najbliższy piątek. Jednak on zachowywał się tak, jakby stracił poczucie miejsca i czasu. Z pewnością bardzo poruszyła go śmierć Scacchiego i Amerykanina, lecz ta apatia spowodowana była czymś więcej niż tylko żałobą. Morelli kazała Biagiowi śledzić Daniela. Okazało się, że chłopak poszedł do La Piety w poniedziałkowy wieczór, a cały wtorek spędził w Ca' Scacchi, wychodząc tylko po wino i mrożoną lasagnę. Wykonał zaledwie jeden telefon: do firmy pogrzebowej (policjantka dyskretnie założyła mu wcześniej podsłuch na linii). Teraz była środa, jedenasta rano. Najważniejsza chwila w jego życiu miała nastąpić za dwa dni, a on zachowywał się jak pustelnik. Zupełnie nie przykładał wagi do prawie namacalnego napięcia, zagęszczającego się wokół murów La Piety, a widocznego w postaci napływających

wciąż zagranicznych dziennikarzy.

– On tam może siedzieć w nieskończoność – jęknął Biagio.

– To fakt.

Miała nadzieję, że będzie można śledzić Daniela i przyłapać go z opuszczoną gardą w miejscu dalekim od domu, który pewnie uważał teraz za swoją twierdzę. Jednak Biagio miał rację. Najwyraźniej Daniel Forster na dobre wycofał się w głąb skorupy Ca' Scacchi.

– Chodź – powiedziała, rzuciła na stół kilka monet i ruszyła na drewniany mostek w kierunku starego domu. Sierżant zerwał się, by za nią nadążyć.

Gdy Daniel otworzył drzwi, zobaczyli upiora z rozwichrzonymi włosami i zaczerwienionymi oczami. Z ust cuchnęło mu winem. Omijał spojrzeniem wzrok policjantki.

– Czego chcecie? – spytał.

– Porozmawiać.

– Nie mam nic nowego do powiedzenia.

– Pewnie nie, ale może my mamy? Możemy wejść?

Skinął głową i z niechęcią otworzył szerzej drzwi. Poszli na górę do salonu z oknami wychodzącymi na *rio*. Na stole, prócz piętrzących się brudnych talerzy, stały dwie opróżnione butelki po winie. Daniel wskazał, by usiedli w głębokich fotelach przy wygasłym kominku.

– Brak ci twojej gospodyni – zauważyła. – Cuchnie tu jak w mieszkaniu samotnego faceta.

Zapatrzył się w pobojowisko na stole.

– To prawda. Ja ciągle... – Rozejrzał się po pokoju, jakby był on jakimś okrutnym złudzeniem. – Ciągle nie mogę uwierzyć, że oni już nie wrócą.

Zastanawiała się, czy wejść na górę, by zobaczyć, czy rozkopana pościel wciąż leży na łóżku w sypialni. Nie było jednak takiej potrzeby. Nic się tu nie zmieniło od jej ostatniej wizyty. Zupełnie możliwe, że dywan w pokoju Scacchiego wciąż jeszcze pokrywały plamy krwi.

– Z tego, co wiem, pogrzeb odbędzie się w piątek na San Michele, na kilka godzin przed twoim koncertem. Musisz się zebrać do kupy. Żyjący nie mogą pozwolić, by rozpacz pochłaniała ich za bardzo, bo w ten sposób obrażają zmarłych. A przynajmniej pamięć o nich.

– Dziękuję za kondolencje – odparł płasko. – Zapamiętam pani słowa.

– Dobrze. – Zdała sobie sprawę, że chyba lubi Daniela Forstera, choć był wobec niej chłodny. – Powiedz mi, kto według ciebie zabił twoich przyjaciół?

Przekrzywił głowę, jakby nagle pogrążył się w myślach.

– Przecież pani sama dała mi odpowiedź. Laura. Uznała pani, że sprawa została zamknięta zaraz po tym, jak się zaczęła.

– Ależ nie! – roześmiała się. – Ja ci po prostu przekazałam słowa pokojówki. Sam je zresztą słyszałeś, kiedy ją odwiedziłeś na Giudecce.

Spojrzał na nią nienawistnie.

– Chyba nie sądzisz, że strażniczki są głuche, prawda? – spytała. – Mają uszy. Potrafią mówić.

– Niech was szlag trafi.

Biagio, który raczej nie zamierzał wtrącać się do tej rozmowy, pokiwał karcąco palcem.

– Uważaj na słowa – napomniał. – Rozmawiasz z damą.

Uniosła brew na ten nagły przejaw pruderii.

– Dziękuję, Biagio, chyba dam sobie radę. Myśl o mnie, co chcesz, Danielu, ale ja rozumiem, dlaczego czujesz się skrzywdzony. Wydaje ci się, że wszyscy wokół ciebie zawiedli. Oszukali cię.

Zapatrzył się w okno. Zapowiadał się kolejny gorący, duszny dzień. Może jako

obcokrajowiec wyraźniej odczuwał wysoką temperaturę niż miejscowi.

– Czy ta rozmowa jeszcze długo potrwa? Zamierzam za chwilę wyjść.

– Niezbyt długo – odparła. – To zależy od ciebie. Spytam cię jeszcze raz: kto zabił twoich przyjaciół?

Pokręcił wolno głową gestem wyrażającym rozpacz i gniew.

– Dlaczego pani mnie tak dręczy? Ma pani Laurę. Chce mi pani powiedzieć, że już nie zamierza wysuwać przeciw niej oskarżenia?

– Oczywiście, że nie! – Odczekała, aż chłopak przyswoi sobie tę myśl. – Dziś rano podpisałam jej zwolnienie. Może iść, dokąd chce. Być może nawet w tej chwili tu jedzie.

Znowu spojrzał na nią gniewnie.

– Niech się pani nie bawi kosztem ludzi, których kocham.

– Ach... – Westchnęła, złożyła dłonie i wpatrując się w milczeniu w swoje palce, kalkulowała. Czekała, aż Daniel straci kontrolę.

– Powiedziała pani, że to Laura jest odpowiedzialna – oznajmił, gdy już nie mógł dłużej znieść ciszy.

– Nie, Danielu. Ona sama tak twierdzi, natomiast ja nawet przez minutę w to nie wierzyłam. Można ją oskarżyć najwyżej o utrudnianie nam pracy, chociaż to byłoby dość okrutne. Tamtej koszmarnej nocy dziewczyna zobaczyła, że jeden z mężczyzn, których kocha, nie żyje, a drugi umiera. Myślała o sobie jako ich opiekunce i chyba miała poczucie winy. Lecz ja jestem detektywem i musiałam wziąć pod uwagę inną możliwość: próbowała ochronić prawdziwego mordercę. Być może ciebie.

Znowu zaklął. Biagio poruszył się na krześle, ale milczał.

– Jeśli uważa mnie pani za winnego, proszę mnie aresztować.

– Nie, oczywiście, że to nie ty – ciągnęła. – To niemożliwe. Tamtej nocy byłeś z nią w łóżku. Po co którekolwiek z was miałoby wstawać zaraz po tym, jak się kochaliście, i mordować pracodawcę oraz jego przyjaciela? To nie miałoby sensu.

– Błądzi pani po omacku – mruknął.

– Nie. Po prostu spojrzałam na pościel.

Sięgnął po paczkę papierosów leżącą na stoliku kawowym, wyjął jednego trzęsącą się ręką, zapalił, kilka razy zaciągnął się płytko i zakaszlał.

– Ta praca sprawia pani przyjemność? – spytał.

– Jak najbardziej! Nie widać?

– Dlaczego?

– Ponieważ czasami, nie zawsze, ale czasami, udaje nam się wyprowadzić sprawy na prostą. Dostrzegamy rozdarcie w tkaninie świata i dajemy radę je załatać. Nie potrafilibyśmy inaczej. Mielibyśmy zamknąć oczy i przejść obojętnie obok? Już i tak bardzo wielu ludzi zachowuje się w ten sposób, Danielu. Dlaczego miałabym postępować tak jak oni?

Zgasił papierosa i milczał.

– Jesteś zupełnie inny niż twoi przyjaciele, których spotkałam tamtego smutnego ranka. Ukrywasz się tu, jakby słońce było twoim wrogiem, a w tym czasie signor Massiter podbija salony. Tu lanczyk, tam spotkanko. Wiesz, że jadł nawet kolację z burmistrzem? Porusza się wśród śmietanki towarzyskiej, chociaż nie ma nawet szczypty twojego talentu. On tylko na nim żeruje.

– Ludzie tacy jak Hugo Massiter to... – chwilę szukał trafnego określenia – ...zło konieczne.

– Oczywiście. Ale też zło zwycięskie. Znasz tę młodą skrzypaczkę z Ameryki?

W jego oczach znów zabłysła iskra zainteresowania.

– Amy?

– Właśnie. Traf chciał, że jadłam śniadanie niedaleko jego mieszkania w Dorsoduro, zanim tu przyszłam. Wyszła stamtąd o bardzo wczesnej porze. I to spojrzenie. Wiesz, jakby... A zresztą, kim my jesteśmy, by osądzać te sprawy w dzisiejszych czasach.

– Śledzi pani Hugona? – spytał.

– Tego nie powiedziałam. Po prostu przypadkiem zobaczyłam, jak Amerykanka wychodzi z jego mieszkania. Była rozczochrana. Trochę jakby smutna. Sama nie wiem. Powinieneś ją o to spytać, kiedy się spotkacie.

Jego oczy znów zmatowiały.

– Może.

– Czy sądzisz, że signor Massiter gustuje w młodych dziewczynach?

Daniel Forster westchnął ciężko.

– Nie mam pojęcia. Niech pani myśli, co chce, ale ja tak naprawdę nie znam Hugona Massitera. Nigdy wcześniej go nie spotkałem przed przyjazdem do Wenecji.

– Wydaje mi się, że zainteresował się Amy. Chyba z wzajemnością.

– Skoro pani tak twierdzi.

Zaniepokoiło go to, pomyślała, ale nie w taki sposób, jak sądziła. Nie było w nim ani śladu zazdrości, tylko troska.

– Proszę mi powiedzieć, kto według pani zabił Paula i Scacchiego.

Wzruszyła ramionami.

– Ktoś, kto miał dobry powód, rzecz jasna, i albo chciał czegoś od nich, albo uznał, że należy ich ukarać za takie czy inne przewinienie.

– Mówiłem pani o pieniądzach, które Scacchi pożyczył, a pani zarzuciła mi kłamstwo.

Jego zamiłowanie do przesady i skłonność do unikania prostych faktów były denerwujące.

– Nie. Powiedziałam, że nie ma na to dowodów, więc to mało prawdopodobne.

– Więc kto?

Odczekała chwilę, by pytanie nabrało mocy. Po nie do końca zadowalającym przesłuchaniu Rizza jedno było pewne: Massiter gorączkowo poszukiwał jakiegoś instrumentu muzycznego, który pojawił się na czarnym rynku. Niezależnie od tego, jak mocno go naciskała, Rizzo utrzymywał, że nie jest winny śmierci dozorcy cmentarza i napaści na nią. Nie udało się też rozjaśnić sprawy samego instrumentu, chociaż jeśli się nie myliła, Rizzo musiał osobiście zabrać go z trumny Susanny Gianni. Jednak żadna z tych porażek nie martwiła jej. Rizzo nie mógł już się jej wymknąć. Będzie do niego wracać raz po raz, przy każdej okazji naciskając trochę mocniej, aż pewnego dnia pęknie i wyśpiewa prawdziwe rewelacje, a o to przecież od samego początku chodziło.

– Od czasu do czasu Scacchi zajmował się kradzionymi antykami – powiedziała Danielowi. – Wiedziałeś o tym? Prowadziłeś w jego imieniu negocjacje związane z jakimś przedmiotem tego rodzaju?

Jego młoda twarz poczerwieniała lekko.

– Mówił mi, że handluje antykami. To wszystko.

– Jaki chwytliwy zwrot! Odpowiedz jednak na moje pytanie, Danielu. Czy zajmowałeś się ostatnio jednym z tych przedmiotów? To może być istotne. Nie martw się. Ja nie szukam złodzieja. Zamierzam ująć mordercę.

– W domu były pewne rzeczy, które wolał trzymać w ukryciu – odpowiedział pokrętnie.

– Ciągle tu są?

– Nigdzie nie znalazłem nic wartościowego – wyznał. – Szukałem dosłownie wszędzie.

– Dlaczego to robiłeś? Miałeś zamiar to sprzedać?

– Nie! – Zamilkł.

– Więc po co?

Przeklął jej wścibstwo. Jego twarz stała się jak maska.

– Dla własnej satysfakcji – powiedział. – Jestem muzykiem, nie oszustem.

– Muzykiem, który rzadko kiedy chodzi na próby własnych utworów. Czy zamierzasz w ogóle pojawić się na premierze? I na przyjęciu, które się po niej odbędzie?

Znów wpatrywał się w okno.

– Pojawię się. Czy zadała pani już dość pytań?

– Nie. A czy ty udzieliłeś dość odpowiedzi?

– Tyle, na ile pani zasługuje – odparł.

Spojrzała na Biagia. Sierżant był coraz bardziej niespokojny. O trzeciej zaczynał służbę. Rozmowa zmierzała donikąd.

– Właściwie miałam nadzieję, Danielu, że to ty ich zabiłeś. Sprawa rozwiązałaby się ładnie i prosto, a sam wiesz, jak policjanci to lubią.

Popatrzył na nią.

– Co takiego?

– Jesteś jedyną osobą, która ma dający się dowieść motyw, oczywiście poza pokojówką, ale oboje wiemy, że nie ma sensu jej winić.

Jego oczy zabłysły nienawiścią. Zaskoczyło ją to.

– Powinieneś zająć się jak najszybciej kwestią nieruchomości – powiedziała – a nie topić smutki w winie. Wczoraj rozmawiałam z prawnikiem Scacchiego. Stary podzielił dom na trzy części. Jedną zapisał kochankowi, jedną pokojówce i jedną tobie. Tej zmiany w testamencie dokonał tydzień temu. Kochanek nie żyje. Pokojówka natychmiast zrezygnowała ze swojego udziału, gdy tylko jej o tym powiedziałam. Więc zostajesz ty jako jedyny beneficjent ostatniej woli Scacchiego.

Oczy Daniela Forstera rozszerzyły się z niedowierzaniem.

– Ten dom jest twój wraz ze wszystkim, co się w nim znajduje. Nie ciążą na nim żadne długi ani zobowiązania. Stary człowiek zrobił z ciebie swojego dziedzica, chociaż poznał cię ledwie kilka tygodni wcześniej. Jak sądzisz, dlaczego to zrobił?

Rumieńce ustąpiły z jego twarzy. Giulia była przekonana, że w tej chwili czuł wielką wściekłość i gniew na swojego nieżyjącego dobroczyńcę, tak jakby Scacchiemu z miejskiej kostnicy udało się zrobić mu dziwnego psikusa.

– Dlaczego, Danielu?

Myślami był gdzie indziej i nie miała pojęcia gdzie. Po chwili, gdy zwrócił na nią wzrok, w jego spojrzeniu zauważyła siłę, jakiej nigdy wcześniej nie widziała.

– Czy po powrocie z pracy do domu czuje pani, że zwiększyła ilość dobra w świecie?

– Oczywiście. W innym razie nasza praca nie miałaby sensu.

– A jak to pani rozumie?

– Nie kradnę – odpowiedziała natychmiast. – Nie biorę łapówek. Nie uznaję za winnego człowieka, którego tylko podejrzewam, i nie odwracam wzroku od poczynań tych, których uważa się za stojących poza prawem.

– Więc tym jest dla pani dobro? – spytał. – To rzeczy, których się nie robi?

– W tym mieście tak – odparła stanowczo i natychmiast pożałowała zbyt szybkiej i nieprzemyślanej odpowiedzi.

Daniel Forster założył ramiona i uśmiechnął się. Wstała, popatrzyła chmurnie na Biagia i przeprosiła niewyraźnie, że musi już iść. Na stole położyła wizytówkę.

– Odezwij się do mnie, Danielu. Możesz pomóc i mnie, i sobie. Dzwoń tylko na mój numer komórkowy. Pamiętaj, co powiedziałam o tym mieście. Weź pod uwagę, w jakim towarzystwie się obracasz.

Temperatura na zewnątrz wzrosła o kilka stopni. Niedługo w Wenecji nie będzie się dało wytrzymać. W umyśle policjantki panował wyjątkowy chaos. Biagio zerknął na nią zagadkowo.

– No i? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

– Zastanawiałem się, jak to jest, kiedy to ktoś wyprowadza panią w pole.

– No to już wiesz. Cwany angielski skurczykot.

– Spodobał mi się – powiedział sierżant. – Wygląda na wystarczająco uczciwego.

– Wystarczająco na co?

Rzucił jej szorstkie spojrzenie.

– Na to, żeby nam pomóc, jeśli będzie potrafił. To znaczy, jeśli zechce i znajdzie powód.

Miał rację. Bez Daniela Forstera tkwili w miejscu. Podejrzenia, które krążyły po jej głowie dniem i nocą, wkrótce zblakną. Wtedy może stracić szansę na zajęcie choćby biurka w Padwie.

– Znajdę mu powód... – mruknęła.

Lecz Biagio stał w cieniu wejścia do pobliskiego budynku i rozmawiał przez komórkę. Klął z twarzą wykrzywioną wściekłością. Wreszcie rozłączył się i odwrócił do niej.

– Co się stało? – spytała, bojąc się odpowiedzi.

– Dziś rano znaleźli Rizza. Pływał twarzą w dół w jednym ze starych doków koło portu. Jeden strzał w głowę. Zapewne zeszłej nocy.

Zamknęła oczy. Żałowała, że nie zdążyła wydobyć z faceta wszystkich faktów.

– Cholera.

Patrzył na nią w milczeniu.

– Trzeba prześwietlić Massitera – powiedziała. – Dowiedz się, co robił tej nocy.

– Nie mogę – odrzekł natychmiast. – Sprawa ma już oficera prowadzącego. Nie możemy się do niej zbliżyć, nie ujawniając tego, co już wiemy.

– Kto ją dostał?

– Raffone.

Ogarnęła ją złość. Morderstwo Rizza przydzielono najgorszemu detektywowi w mieście, który w dodatku zapewne był skorumpowany.

– Jezu. Komuś naprawdę zależy na wynikach. Co według ciebie powinniśmy zrobić?

Biagio wyprostował się. Giulia Morelli pomyślała, że wcześniej mogła poprosić go o opinię. Najciemniej jest pod latarnią.

Wskazał głową dom Daniela.

– Ma pani sprawę Scacchiego. Niech ją pani wykorzysta. Coś wymyślimy, żeby skłonić dzieciaka do współpracy. Jak się nad tym zastanowić, nie ma innego wyjścia.

Popatrzyła na niego.

– Spodobał ci się, prawda?

– Jasne – zgodził się. – A pani nie?

Daniel Forster nie wszystko jej powiedział, tego była pewna. Jednak równocześnie czuła, że nie może go za to winić. Po prostu nie mogła uwierzyć, by kierował nim jakiś samolubny, nieuczciwy motyw.

– Tak – uznała. – Ale jeśli będzie trzeba, Biagio, złamiemy go. Jeżeli sytuacja będzie tego wymagać.

Sierżant popatrzył na zegarek i nie odezwał się. Myślał zapewne o swojej zmianie,

o powrocie do prawdziwej pracy.

– Mówiłeś komuś? – spytała.

– O czym?

– O Rizzu.

Biagio popatrzył na nią ponuro.

– Trzymaliśmy faceta na komisariacie. Pani myśli, że tam da się utrzymać coś w tajemnicy?

– Nie – odparła. Informacje mogły wyciec na milion sposobów. Musiała nauczyć się komuś ufać. – Przepraszam.

– Nie ma sprawy. Pani posłucha. Ciągniemy to jeszcze przez tydzień. Potem albo coś znajdziemy, albo odpuszczamy i zapominamy o całej sprawie. Zgoda?

– Oczywiście – skłamała Giulia Morelli.

Demon, który wymknął mi się z garści 48

Wyimek z pamiętników Alberta Marchesego, sędziego śledczego z dzielnicy Kwirynał, na urzędzie w latach 1713–1733, usunięty na żądanie autora.

Jak już wiesz z tej lektury, drogi czytelniku, przestępca jest człowiekiem zupełnie zwyczajnym. W swoim czasie więcej niż dwustu łotrów posłałem do więzienia, a około trzydziestu na szafot. Wyznam, że przy mojej wiedzy o naturze człowieka nie czuję ani zbytniego współczucia z powodu ich losu, ani też satysfakcji. Życie w dużej mierze określa rzut kośćmi. Żaden z tych zbrodniarzy nie był urodzonym diabłem. Gdyby mieli innych rodziców i żyli w innym czasie, gwarantuję, że byliby wzorowymi obywatelami. Wyjątkiem mógłby być może stary Franelli, który był równie wściekły jak ogar świniopasa i dwa razy bardziej niebezpieczny. Lecz ten, komu przyjdzie do głowy zadusić własną żonę i podać danie z jej poćwiartowanego ciała krewnym przybyłym na przyjęcie urodzinowe nieboszczki, jest po prostu obłąkany i trudno w ogóle nazwać go człowiekiem. Nawet Brazzi, szubrawiec o sprytnych rękach, do których kleiły się sakiewki podróżnych spacerujących po Palatynie, miał swoje szlachetne oblicze i cytował melancholijne wersy z Petrarki, kiedy podpisywałem się pod katowskim dla niego zaproszeniem (drobne kradzieże można by mu wybaczyć, lecz doprawdy nie powinien był dźgać nożem jegomościa z Mediolanu. Rozumiem, że typki z północy potrafią człowieka zirytować, lecz morderstwo mimo wszystko pozostaje morderstwem).

Kiedy zastanawiam się, czy przez te wszystkie lata napotkałem człowieka, dla którego określenie „zły" byłoby faktycznie odpowiednie, przychodzi mi na myśl tylko jeden taki zbrodniarz. Ze wstydem muszę wyznać, że o ile mi wiadomo, pozostaje on na wolności. To nie jest zwyczajny przestępca. Nie znam jego prawdziwego nazwiska ani przeszłości. To bez wątpienia jedna z najbardziej zwyrodniałych kreatur, które nosi ziemia, człowiek do tego stopnia skrzywiony, że działa celowo i świadomie przeciwko ludziom niewinnym, w pełni zdając sobie sprawę z bólu i cierpienia, jakie zadaje. Ten, o którym mówię, nurza się w bestialstwie (nie ma na to lepszego słowa) z tej przyczyny, że w dokonywaniu rzeczy potwornych i oglądaniu ich skutków znajduje radość. Bogactwo, wpływy, dominacja – zarówno psychiczna, jak i seksualna – wszystko to przystawki do głównego dania. W jednej masce na twarzy mami świat, w drugiej go pożera.

Każdego innego złoczyńcę, którego spotkałem w swoim nietypowym zawodzie, mogłem do pewnego stopnia zrozumieć. Bieda, żądza, chciwość – wystarczy otworzyć Biblię – popychały ludzi do złego, odkąd Ewa dała jabłko Adamowi. Lecz ten zbrodniarz wymykał się nie tylko mojemu rozumieniu, lecz chyba i boskiemu. Powiecie, że mówię to, ponieważ był obcokrajowcem, w dodatku Anglikiem. Mylicie się jednak. Człowiek ten – a znałem go jako Arnolda Lescaliera, choć wątpię, by było to imię nadane mu przy chrzcie, jeśli w ogóle został

ochrzczony – naznaczony był rysą zła, która biegła przez jego duszę niczym skaza szpecąca blok szlachetnego marmuru. Nic więc dziwnego, że poznaliśmy się w Teatro Goldoni, gdzie średniej jakości aktorska trupa usiłowała zabawić nas przekładem dawnego utworu o niejakim Fauście dokonanym przez Anglika Marlowe'a. Dramat był nawet interesujący, a wciągnąłby mnie jeszcze bardziej, gdybym wiedział, że inteligentny dowcipny Anglik, którego przedstawiono mi w przerwie, mógłby stanowić inspirację dla dramaturga. Powiecie: doktor skazany przez los na drodze do Hadesu? Skądże znowu. Mimo wszystkich swoich wad Faust pozostawał człowiekiem. Mister Lescalier natomiast miał więcej wspólnego z Mefistofelesem, chłodnym i wyrachowanym pomagierem diabła. Zdolny był równocześnie uśmiechać się i podrzynać ci gardło, by potem pojmać opuszczającą skrwawione ciało duszę i zamknąć ją w butelce dla swego pana.

Rzecz jasna, nic na to nie wskazywało, kiedy się poznaliśmy. Na pierwszy rzut oka Lescalier był zadbanym jasnowłosym Anglikiem po trzydziestce, nieco zgorzkniałym, o twarzy pozbawionej wyrazu. Nosił fircykowate ubrania, jakie często mają na sobie arystokraci odwiedzający Rzym – mnóstwo jedwabiu i świecidełek. Wyglądał na jednego z tych jegomości z dwiema chustkami w każdej kieszeni, co to nigdy nie wytrą nosa przy ludziach. Obrazowi temu przeczył jeden szczegół, na który powinienem był zwrócić uwagę, a mianowicie jego sługa: niesłychanie brzydki mały Włoch (jego imienia nigdy nie poznałem). Uznałem wówczas, że dzięki umiejętności twardego stąpania po ziemi ocalił swego naiwnego pana przed zakusami rzymskiej łobuzerii. Rozpowiadał, że Lescalier jest nieślubnym dzieckiem bogatego angielskiego lorda, który posłał go na kontynent w celu zdobycia edukacji. A zdobywał ją, jak się zdawało, rozdając pieniądze wszystkim wokoło w zamian za możliwość wstąpienia do takiego czy innego kręgu towarzyskiego. Lescalier uwielbiał malarstwo, rzeźbę, muzykę, taniec i wszystko, co Rzym miał do zaoferowania. Powiedział mi, że przed przybyciem do naszego nobliwego miasta zwiedził Paryż, Genewę, Mediolan i Florencję, które mimo wielu zalet nie mogły się równać z Rzymem. Później odkryłem w jego słowach ziarno prawdy. Anglik znany jako Debrett (dziwne zamiłowanie do francuskobrzmiących nazwisk) oskubał kilku szlachetnych wielmożów w Mediolanie i zbiegł. Słyszałem też o podobnych wydarzeniach w Genewie, gdzie działał łotr nazwiskiem Lafontaine.

Mister Lescalier oczarował wszystkich, których tamtej nocy poznał. Panie pragnęły być mu matkami. Panowie patrzyli na niego jak na młodszego brata, który właśnie przybył do miasta i potrzebował przewodnictwa oraz ochrony przed okrutnymi realiami życia. Nim wieczór dobiegł końca, miał zaproszenia na kolacje do sześciu najważniejszych domów Rzymu (ja nie włączyłem się do gry tylko z powodu wstydu, że moje skromne progi nie mogą się równać z salonami tych, których miał na swojej liście). Lescalier przemknął przez kafeterie i gospody miasta jak huragan i dopiero dobrych siedem miesięcy później odkryliśmy, jakie tragedie i zniszczenia spowodował.

Był styczeń, rok 1733, ten sam, w którym piszę te słowa. Niebawem miałem odejść z urzędu. O trzeciej w nocy obudziło mnie walenie do drzwi. Pogoda była podła. Miękki śnieg, zimny jak grób, opadał, wirując, z czarnego nieba, a ostry wiatr mroził ciało do kości. Moim jedynym marzeniem było pozostać w ciepłym łóżku. Pocałowałem kochaną Annę, prosząc, by nie wstawała, sam zaś poszedłem załatwić sprawę z przybyszem. Taki jest już los sędziego śledczego, że musi być na każde skinienie obywateli w dzień i w nocy. Nie ma jednak powodu, by ciężarem tym dzielić się z żoną.

Osobę w drzwiach rozpoznałem natychmiast – była to pokojówka księżnej Longheny, ładna młoda dziewczyna całkowicie oddana swej pani. Biedaczka była zupełnie rozhisteryzowana i zalana łzami. Bełkotała coś bez związku i wymachiwała rękami. Longhena, gruba, szpetna i bogata wdowa o naturze poniekąd perwersyjnej, mieszkała na tym samym wzgórzu co ja, trzy ulice dalej, na granicy mojej jurysdykcji. Szczerze mówiąc, nigdy nie

przepadałem za tą kobietą, a ostatnio wydawała mi się jeszcze bardziej wulgarna niż zazwyczaj. Zupełnie rozsypała się po śmierci męża i wieść niosła, że dość otwarcie szukała pocieszenia w ramionach młodych mężczyzn (grzech tkwi, rzecz jasna, w braku dyskrecji, nie w samym akcie – wszak to Rzym).

Posłałem Lanzę do kuchni, by przyniósł dziewczynie kubek grappy, i kazałem jej usiąść. Gdy sługa wrócił, wypiła trunek jednym haustem i po minucie szlochów i jęków uspokoiła się na tyle, by móc odpowiedzieć na najważniejsze pytania.

– Jest późno, dziewczyno – rzekłem. – W czym rzecz?

Zwróciła na mnie oczy pełne żalu.

– Och, panie. Chodzi o moją chlebodawczynię. Ona nie żyje, spotkała ją straszna śmierć.

– Nie żyje?

– Zamordowana, panie. Przez tego, który ją ponoć wielbił goręcej niż inni.

– Lanza! – Sługa miał już w pogotowiu nasze ciepłe płaszcze, szale i kapelusze. Ten człowiek stał u mego boku przez trzydzieści lat i nigdy mnie nie zawiódł. – Chodź, dziewczyno. Musimy obejrzeć, o czym mówisz.

– Panie! – Jej otwarte szeroko oczy zeszkliły łzy. – Nie mogę. Nie każ mi więcej wracać do tamtego pokoju. Prędzej umrę.

– Bzdura! – ryknąłem ze zniecierpliwienia, bo chciałem już zabrać się do rzeczy. – Skoro miała miejsce zbrodnia, trzeba ją osobiście zbadać, a ty opowiesz mi, jak ją odkryłaś. Tylko tak znajdziemy winnego. Chodź!

Lanza chwycił coraz głośniej zawodzącą nieszczęsną pokojówkę za ramię i ruszyliśmy przez noc, walcząc z wiatrem, słotą i oblodzonym brukiem. Ledwo trzymaliśmy się na nogach. Mimo złej pogody przed żelazną bramą posiadłości księżnej zebrał się mały tłumek ludzi szepczących złowrogo o morderstwie i zemście. Straż nocna jeszcze się nie pojawiła. Ogłosiłem swoje przybycie i przepchnąłem się do wejścia. Dom był potężną dwupiętrową budowlą z małym portalem w stylu Palladia. Frontowe drzwi stały otworem. Z wnętrza sączyła się blada poświata małego świecznika. Z ręką na sztylecie przeszedłem przez próg i zacząłem nasłuchiwać. Niektórzy przestępcy nie spieszą się z opuszczeniem miejsca zbrodni, więc trzeba być przygotowanym.

Rezydencja okazała się zupełnie opustoszała. Znikąd nie dobiegał żaden dźwięk. Lanza podążał za mną wraz ze służącą, która krztusiła się teraz i łkała rytmicznie w sposób zwiastujący nadejście załamania nerwowego. Gdybym tylko wsłuchał się w te szlochy! Ja jednak, podejrzewając spisek (służący częściej maczają palce w zbrodni, niż można przypuszczać), zacząłem ją przesłuchiwać.

– Gdzie jest reszta ludzi? Kucharze? Służący?

– Zgodnie z zaleceniem pani opuścili dom na noc. Powiedziała, że kiedy będzie się z nim spotykać, mam zostać tylko ja, na wypadek gdybym była potrzebna, ale nie powinnam się pokazywać. On się tak szybko sprawił... Uciekłam, żeby ratować życie!

Chyba nie muszę wyjaśniać, kim okazał się ów „on”.

– Więc gdzie ona jest?

– Nie...! – Popatrzyła z przerażeniem na schody, po czym skuliła się na ziemi, kryjąc twarz w dłoniach. Wiele razy widziałem podobne sztuczki w wykonaniu łotrów pragnących uniknąć wykrycia. Sprawiedliwość wymaga żelaznej ręki, jeśli ma pozostać bezstronna. Kazałem Lanzie podnieść dziewczynę siłą, jeżeli okaże się to konieczne, i poprowadzić za mną na górę.

Zapachu ludzkiej krwi nie można pomylić z żadnym innym. Weszliśmy na schody i już w połowie drugiego piętra rozpoznałem ten smród. Na końcu korytarza zza półotwartych drzwi pokoju sączyło się niewyraźne światło. Była to zapewne główna sypialnia pani. W mroźnym

przeciągu, który nas owiewał z otwartego okna, wyczułem odór morderstwa. Widziałem w swoim czasie wystarczająco dużo trupów, by ta straszna sytuacja nie wzbudzała we mnie lęku. Bez słowa ruszyłem korytarzem. Lanza pociągnął dziewczynę za mną. Jej wrzaski narastały, aż doszliśmy do drzwi, gdzie rzuciła się na podłogę i przypadła do moich kolan.

– Błagam cię, signor Marchese, na miłość Boga, nie każ mi wracać w to miejsce!

Jestem w tych sprawach bardzo cyniczny. Nie mam wyboru.

– Skoro jesteś niewinna, drogie dziecko, to czegóż się obawiasz? Jeśli twojej pani stała się krzywda, powinnaś pomóc nam odnaleźć sprawcę, a nie stawać na drodze.

Twarz jej stężała, a w oczach zabłysła pogarda.

– Odnaleźć sprawcę, panie? Chciałbyś pojmać diabła?

– Jeśli tylko będzie się dało zamknąć kajdany na jego nogach.

Jej pierś zafalowała, chyba wskutek ataku ponurego śmiechu.

– I sądzisz, że będzie siedział w celi i biernie oczekiwał dopełnienia swego losu?

Jej dziwna przemiana zirytowała mnie.

– Ruszaj – rozkazałem i Lanza dźwignął ją na nogi, po czym we troje weszliśmy do sypialni świętej pamięci księżnej Longheny.

Byłem świadkiem tego, jak topór oddziela człowiekowi głowę od tułowia. Oglądałem sceny najokrutniejszych ze zwyrodniałych zbrodni, jakie zdarzyły się w Rzymie. Nic jednak nie przygotowało mnie na ten widok. Lanza puścił dziewczynę, pobladł i skoczył w stronę kominka, gdzie potężnie zwymiotował w dogasające węgle. Biedna pokojówka uklękła na podłodze, skryła twarz w dłoniach i zaczęła wyć w taki sposób, w jaki skowyczy zwierzę stojące wobec rzeźnickiego noża.

Oczywiście miała rację. Nikt nie powinien żywić nadziei, że po wejściu do tego pomieszczenia wyjdzie z niego o zdrowych zmysłach. Księżna Longhena, lub też to, co z niej pozostało, leżała naga na łożu jak mały wieloryb wyrzucony na plażę w lepkim oceanie krwi. Gardło kobiety było poderżnięte od ucha do ucha i nadawało jej twarzy wygląd karnawałowej maski klauna o wymuszonym uśmiechu. Brzuch miała otwarty od mostka do łona. Płaty otłuszczonego ciała rozchylono, eksponując narządy wewnętrzne, z których wiele wyrwano z ich naturalnych umocowań i rozrzucono po sypialni w taki sposób, jak niegrzeczne dziecko ciska zabawkami o ściany pokoju.

Zachowałem spokój, choć Lanza ciężko dyszał w rogu pokoju, a dziewczyna zawodziła szaleńczo. Był to z mojej strony popis fałszywego opanowania. Gdzieś w głębi mojego umysłu, jakby niczym w zamkniętym pokoju wyobraźni, prawdziwy Marchese wrzeszczał i skowyczał razem z nią. To jego ogląd wydarzeń był prawdziwy: wiedział, że takie okrucieństwo i przemoc nie pochodzą ze świata, w którym żyjemy. Jednakże w każdej chwili muszę pozostawać sędzią śledczym, a w związku z tym trzymać emocje na wodzy.

Wykonałem krok w stronę łoża. Przy boku zmasakrowanego ciała leżało coś małego i czerwonego, kształt znajomy, choć nigdy niespotykany w takich okolicznościach. Nachyliłem się i na zbroczonej krwią narzucie zobaczyłem malutki ludzki płód z przygiętą jakby w skupieniu głową. Miał zamknięte oczy, zaciśnięte piąstki i podkulone nóżki, a od jego brzucha wciąż jeszcze ciągnęła się pępowina. Ujrzałem tę scenę i usiłowałem uspokoić myśli, kiedy poczułem dłoń na ramieniu. To była dziewczyna, którą coś przyciągnęło ku łożu, mimo całej potworności sytuacji. Spojrzałem w jej oszalałą twarz i przez myśl przeszło mi pytanie, jak się jej będzie żyło w szpitalu dla umysłowo chorych. Odwróciłem wzrok i oboje wpatrywaliśmy się w cielesne resztki leżące na splamionej satynie oraz malutkie ciałko, najdziwniejszą chyba ofiarę ludzkiej brutalności.

Przez chwilę przyglądaliśmy się tej nieruchomej miniaturce człowieczego cudu i nagle

wszechświat wykonał salto. Płód poruszył się. Jego kończyny ożyły – przebiegł przez nie jeden krótki konwulsyjny skurcz – zaś oczy, wciąż przesłonięte błoną jak u jaszczurki, otworzyły się. Na ustach pojawił się bąbelek zmieszanego z krwią śluzu. A potem dziecko, malutki chłopczyk narodzony z księżnej Longheny za pomocą krwawej parodii cesarskiego cięcia, umarło na naszych oczach.

Padłem na kolana i z pustką w głowie usiłowałem odnaleźć słowa modlitwy. W tej pościeli zgasły dwa życia: jedno umęczone i zmarnowane, a drugie tak ulotne, że łaska Boża chyba nie zdążyła objąć jego krwawego krótkiego jak mgnienie oka istnienia.

Kiedy się podniosłem z głową niczym labirynt pełen szamoczących się myśli, dziewczyna patrzyła na mnie. Już nie szlochała i nie krzyczała. Jej twarz pełna była nienawiści, której przyczynę znałem.

– Nie sądziłem... – wyjąkałem.

– Tego dokonał Anglik – odparła głosem pozbawionym emocji. – Moja pani wezwała go, by mu oznajmić, że nosi jego dziecko. Kazała wyjść wszystkim poza mną, bo chciała przekazać tę nowinę w prywatności.

– Ale dlaczego...?

Podłoga sypialni wydała mi się stroma, jakby ogarnęła ją jakaś szaleńcza furia. Pokój napierał na nas i swoją masą ciężko osiadał na naszych barkach.

Dziewczyna znów patrzyła na łoże, tym razem już bez strachu.

– Nie chcę żyć z taką trucizną w głowie – powiedziała, kierując słowa w przestrzeń przed sobą.

Mój umysł wirował, a myśli biegły we wszystkie strony. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, co się dzieje, aż było za późno. Podeszła do okna, otworzyła je szeroko i skoczyła w noc z drugiego piętra. Pamiętam ohydny dźwięk, gdy jej ciało upadło na marmurowy taras poniżej. Musiałem zebrać wszystkie siły, by za nią nie podążyć. Tamtej nocy znalazłem się w objęciach zła i poczułem jego brudzący dotyk. Tyle razy już się z nim spotkałem, a jednak, o ironio, nigdy nie dostrzegłem jego prawdziwego oblicza.

W taki oto sposób morderca wymknął mi się, podobnie jak moim kolegom po fachu w innych miastach. Jeśli znów pojawi się w Rzymie, czeka go proces. Wątpię jednak, by to się stało. Ten człowiek jest zbyt sprytny. Oszukuje, odwołując się do lepszej części ludzkiej natury: hojności, upodobania do sztuki, gościnności wobec przemiłego obcokrajowca. Stanowi znacznie przebieglejszy rodzaj łotra niż zwykły opryszek.

Oczywiście to Lescalier zapłodnił księżną. Jak się później okazało, miał romanse w całym Rzymie. Może ksiądz albo lekarz potrafiłby wyjaśnić mi, dlaczego wieść o dziecku tak wytrąciła go z równowagi. Nie planował morderstwa, ale moje późniejsze śledztwo wykazało, że i tak zamierzał wkrótce opuścić Rzym, nawet gdyby nie popełnił tej przypadkowej zbrodni. *Modus operandi* był podobny we wszystkich miastach, w których zebrałem wieści o jego działaniach. Najpierw pojawiał się jako zasobny, lecz naiwny przybysz, i aby zdobyć poważanie, rozdawał na prawo i lewo pieniądze skradzione we wcześniejszym porcie przeznaczenia. Następnie, gdy już udało mu się omotać wszystkich liczących się ludzi, przystępował do rabunków i wyłudzeń: pożyczał, kradł, uwodził, aż sieć oszustw rozpościerała się tak szeroko i otaczała tak wielu, że zaczynała owijać mu się wokół szyi. Wtedy uciekał, zaś po dalszych kilku tygodniach kolejny angielski arystokrata pod następnym fałszywym nazwiskiem pojawiał się gdzieś w Europie w kręgach towarzyskiej śmietanki. Co ciekawe, podobno w Paryżu i Genewie zabił dwie ciężarne kobiety. Jedna z ofiar była całkowicie niewinna – po prostu traf chciał, że spotkała go w niewłaściwych okolicznościach. Jakiż demon zagnieżdżony w pogmatwanym umyśle może spowodować taki wstręt wobec idei macierzyństwa? Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Gdy staję

przed takimi okropieństwami, złożoność ludzkiego zwierzęcia wymyka się mojemu rozumowaniu.

Jednakże jeśli komuś uda się go postawić przed sądem, kupię bilet na proces. Gdy w czasie rozprawy nastanie chwila ciszy, przypomnę sobie najstraszniejszy widok z owej nocy: ciało biednej pokojówki na marmurowym tarasie rezydencji księżnej Longheny, dziewczyny, która zginęła przez nadęcie i głupotę rzymskiego sędziego śledczego, co literę prawa postawił nad zwyczajne ludzkie współczucie.

Z tym obrazem przed oczami porzucę swe oddanie tak zwanej sprawiedliwości, dobędę sztyletu, podejdę do ławy oskarżonych i jednym ruchem wypruję psubratu flaki.

Wątpię, mój wydawco i przyjacielu, czy zdecydujesz się to wydrukować. Wiedz jednak, że wśród wszystkich historii, które miałem do opowiedzenia, ta jest chyba najbardziej kształcąca.

Sant' Erasmo 49

Poranny prom z przystani przy Fondamenta Nuove pełzł w ślimaczym tempie przez bezmiar laguny, aż dowiózł go do molo oddalonego o piętnaście minut piechotą od małego gospodarstwa Piero. Adriatyk jaśniał na wschodnim horyzoncie bladoszarą linią. Znad wody ku równym warzywnym grządkom ciągnącym się wzdłuż ścieżki szła orzeźwiająca bryza.

Daniel czekał w domu przez godzinę, ale nie przyszła. Według słów Giulii Morelli wypuszczono ją dzień wcześniej. Gdyby planowała wrócić do Ca' Scacchi, na pewno już by się pojawiła. To, co mówiła w więzieniu, było absolutnie jasne. Wiedziała, gdzie on mieszka, więc pojechała w inne miejsce, może do matki w Mestre, może do mieszkającego niedaleko krewnego.

A może nawet do Piero.

Próbował sobie ją znów wyobrazić wśród tych zielonych pól, podczas wycieczki na wyspę, zanim rozpadł się ich świat. Pamiętał ją z wyrazem triumfu na twarzy po groteskowej zabawie z węgorzami. Przypomniał sobie smak ryby w swoich ustach i jej spojrzenie, gdy stawił czoło wiadru pełnemu atramentowej wody falującej od ryb. Właśnie w tamtej chwili oddał się we władanie miasta, a w konsekwencji także jej.

Chata w oddali rosła. Za poletkiem karczochów, gdzie zielone kwiatostany chyliły głowy na lekkim wietrze, nie dostrzegł kobiecej postaci. Był tam tylko Piero, majstrował przy kawałku drewna w ogrodzie. Obok niego z zadartym nosem stał Kserkses i wpatrywał się z uwielbieniem w swojego pana. Nagle odwrócił łeb i głośne szczekanie przerwało ciszę wyspy. Piero podniósł wzrok. Z tej odległości Daniel nie potrafił rozpoznać wyrazu jego twarzy, ale mimo to wyczuł niezadowolenie.

Spaniel przypadł do niego i zaczął wspinać mu się na uda.

– Siad! – zawołał gniewnie pokryty drewnianymi wiórami Piero. – Przeklęty pies.

– W porządku– odparł chłopak i wyciągnął rękę. Wielki człowiek uścisnął ją po chwili wahania. Miał skórę naszpikowaną kawałeczkami drewna.

– Nie zrozum mnie źle, ale czemu tutaj przyjechałeś? W mieście masz chyba mnóstwo roboty. Trzeba przygotować pogrzeb i jest też ten koncert, o którym ciągle słyszę. Co cię tu, w tym grajdole, może interesować?

– Pomyślałem, że odwiedzę przyjaciela – ostrożnie zaczął Daniel – który przypomina mi weselsze czasy.

Piero skinął głową, przyjmując to wyjaśnienie. Podszedł do prostego stołu stojącego przed domem, wyjął plastikową butelkę i nalał czerwonego wina do dwóch papierowych kubków.

– Trzymaj – powiedział. – Za nieobecnych towarzyszy.

Gdy wypili, chłopak zauważył dzielący ich niemal namacalny dystans. Uświadomił sobie,

że choć Piero był kuzynem Scacchiego, nie został wymieniony w testamencie. Może to było źródłem jego niechęci.

– Chcę pomówić z tobą o paru sprawach. Wolałbym uniknąć jakichkolwiek nieporozumień. Nie ja napisałem ten testament. Nawet nie wiedziałem, że istnieje. Powiedz mi, jak widzisz sprawę nieruchomości, i załatwimy ją po twojemu.

Grube brwi zmarszczyły się i Daniel natychmiast zrozumiał swój błąd.

– Pieniądze? Proponujesz mi pieniądze Scacchiego? A na co mi one?

– Przepraszam. Chodzi o to... Nie ucieszyłeś się na mój widok.

– Racja. – Dopił wino i nalał sobie jeszcze. – Nie cierpię śmierci i wszystkiego, co się z nią wiąże. Kiedyś pracowałem przy zmarłych. Nie będzie mnie ani w piątek, ani na San Michele. Znam to cholerne miejsce już nazbyt dobrze. Ale mam tu coś. Chciałem to wysłać pocztą, jednak skoro przypłynąłeś, oszczędzisz mi trudu.

Wrócił do własnoręcznie wykonanej ławki. Z kupki strużyn podniósł ciemny przedmiot z poplamionego drewna i położył na stole.

– Wyrzeźbiłem to dla Scacchiego. Gdyby żył, na pewno by mu się nie spodobało, ale w tej sytuacji nie może mnie powstrzymać. Obiecaj mi, że znajdzie się z nim w trumnie. Staremu przyda się wszelka możliwa pomoc w miejscu, do którego się wybiera.

Rzeźba przedstawiała zawiły krzyż wykonany ze skręconego korzenia drzewa oliwnego.

– Racja. To piękna rzeźba.

– Prezencik od głupka dla mądrego kuzyna. On od początku miał mnie za tępaka. Wrzuciłby to do kominka i jeszcze by narzekał, że się kiepsko pali.

Daniel przesunął palcami po gładkim drewnie i zdał sobie sprawę z ogromu pracy, jaką trzeba było włożyć w tę rzeźbę. Piero miał rację: Scacchi poświęcał mało uwagi drobnostkom.

– Osobiście położę to obok niego. Przyrzekam. Może jednak przemyślisz jeszcze swoją decyzję? Żaden ze mnie specjalista od pogrzebów, ale możesz potem żałować.

– Nie. Człowiek odchodzi wraz z ostatnim oddechem. Nie ma sensu żegnać się z martwym ciałem. Scacchi jest ze mną tam, gdzie powinien: w mojej głowie, wciąż żywy, i tam pozostanie, aż do niego dołączę. Nie muszę się przekonywać na pogrzebie, że on naprawdę nie żyje. Ale ty idź. Jesteś młody. Dla ciebie to inna sprawa. I... – Piero zmagał się ze słowami. – To jest takie dziwne. Scacchi nie żyje, Paul także. Dlaczego?

Oczekiwał odpowiedzi, której nie mógł otrzymać.

– Nie mam pojęcia.

– Faktycznie, nic dziwnego. Głupek ze mnie. Scacchi był trudnym człowiekiem. Wplątywał się w tajemnicze interesy i zadawał z ludźmi, z którymi lepiej nie mieć nic wspólnego. Wiem to. Sam czasem bywałem jego chłopakiem na posyłki, co tym gorzej o mnie świadczy.

Daniel milczał. Piero przyjrzał mu się uważnie.

– Ciebie traktował tak samo, co? Nie zaprzeczaj. Wszyscy byliśmy w pewnym stopniu jego zabawkami. Kochałem tego starucha trochę tak, jak kocha się psa, który nie umie być posłuszny. Lecz kiedy czegoś zapragnął, stawaliśmy się pionkami na jego szachownicy i wydaje mi się, że w tym tkwi odpowiedź na pytanie, dlaczego zginął. Musiał kogoś oszukać i wreszcie posunął się o krok za daleko.

– Laura... – zaczął Daniel.

– Laura! Co za kretyni z tych policjantów! Tak po prostu wsadzili ją za kratki. Czy oni w ogóle mają mózgi?

– Ona się przyznała. Co innego mieli zrobić?

– Na początku mogliby przemyśleć, co usłyszeli. Wierzą we wszystko, co mówi im byle

oprych? Oczywiście, że nie. Ale kiedy biedna, oszalała z żalu kobiecina wymyśla bujdy na resorach, spijają każde słowo z jej ust i pakują ją do więzienia. W tym czasie prawdziwi kryminaliści chodzą po mieście wolni jak ptaki. Zastanawiasz się, czemu mieszkam na Sant' Erasmo? Żeby być z dala od deszczu głupoty, który dzień i noc pada na ludzi po drugiej stronie zatoki.

Daniel odstawił papierowy kubek na stół i zasłonił go ręką, gdy Piero chciał dolać wina.

– Gdzie ona teraz jest? – zagadnął. – Muszę z nią porozmawiać.

– Nie wiem. Czemu mnie pytasz?

– Jesteś jej przyjacielem. Znasz ją. To dla mnie ważne.

– Nie wiem! – Gniewny ryk wielkoluda rozległ się nad niziną.

Kserkses położył uszy po sobie i odbiegł w głąb ogrodu. Chłopak nic nie powiedział. Po chwili Piero przeprosił.

– Nie chciałem się unieść, mam nerwy w strzępach. Zadajesz pytania i spodziewasz się ode mnie odpowiedzi, ale ja wiem nie więcej od ciebie.

– Gdzie ona może być? Mówiła o starej matce w Mestre.

Piero rzucił mu miażdżące spojrzenie.

– Matka w Mestre? Laura była sierotą, Danielu. Do pracy u Scacchiego przyszła prosto z domu dziecka wiele lat temu. Nie ma żadnej matki. Pewnie mieszka u jakiegoś mężczyzny.

– Ale sama mi mówiła...!

– Zdumiewa mnie twoja zdolność wierzenia we wszystko, co ci się mówi. Jakim cudem nie zwinęli ci dotąd koszuli z grzbietu?

– Więc kim ona jest? Gdzie może być?

– Daniel, Daniel... Ile razy mam ci mówić, że tego nie wiem. Poza tym...

Czekał, ale najwyraźniej Piero nie zamierzał mówić dalej.

– Poza tym...?

– Zależy ci na niej i chodzi o coś więcej niż przyjaźń. Mam rację?

– Tak sądzę. Ona chyba czuje do mnie to samo.

Piero upił łyk wina i splunął na ziemię.

– Co za szczyny. Takie się zrobiło w zeszłym tygodniu. Cały świat się taki zrobił. Jak to możliwe, że Laura cię kocha? Nie jest głuchoniema ani ślepa. Gdyby chciała się z tobą skontaktować, na pewno by to zrobiła. A jednak jej nie ma. Nie zostawiła żadnej informacji ani tobie, ani mnie. Czy tak zachowuje się kobieta, której zależy?

Daniel zdusił gniew.

– Pewnie się boi. Obawia się ludzi, którzy zamordowali Scacchiego. Może chce mnie przed nimi w jakiś sposób uchronić. Nie wiem, dlatego właśnie muszę z nią porozmawiać. Jeśli powie mi prosto w twarz, że nie chce mnie więcej widzieć, tak się stanie, ale nie zostawię jej tak po prostu. Nie zostawię.

– Chyba nie masz wyboru. Ja nie mogę ci pomóc. Mi również nie dała znaku życia. – Piero popatrzył na psa ucinającego sobie drzemkę na brzegu kanału i odetchnął słonawym powietrzem. – To chyba jest w atmosferze, toksyny z tych wszystkich brudnych fabryk w Mestre. Wszyscy od nich zwariowaliśmy. Tamtego dnia, kiedy tutaj przyjechałeś, myślałem, że jesteś jednym z nas. Widziałem, jak rozgrywasz nasze małe gierki. Kochaliśmy cię. Scacchi nawet bardziej niż inni. Ale wszyscy się myliliśmy. – Odwrócił się do Daniela i położył mu ręce na ramionach. – Ty tutaj nie należysz. Kiedy zakończysz swoje sprawy, wracaj do domu. Tu nie czeka na ciebie szczęście, tylko cierpienie albo coś gorszego. Jedź stąd, póki jeszcze możesz.

Daniel wpatrywał się w siedzącego przed nim mężczyznę, który nagle wydał mu się zupełnie obcy.

– Gdybym cię nie znał, odczytałbym to jako groźbę.

– Nie. Jest właśnie odwrotnie. To mądra rada człowieka, który się o ciebie troszczy i nie chce, byś spędził życie, goniąc za widmami i ścigając nieuchwytne cienie. Posłuchaj mojej rady, proszę.

Daniel zamknął oczy i zaczął się zastanawiać, czy istnieje jakieś wyjście z tego labiryntu. Piero miał rację. Wszędzie unosiły się widma: wiatr niósł śmiech Scacchiego i Paula, a Laura stała przed nim, ze zdziwieniem wpatrując się w węgorza trzepoczącego w jego ustach. No i Amy, zagubiona smutna Amy, porzucona przez wszystkich już na starcie.

– Posłucham cię. W przyszłym tygodniu na dobre wyjadę z Wenecji.

Dwa wielkie ramiona zamknęły się wokół niego i przycisnęły do potężnej piersi Piera. Gdy olbrzym go puścił, chłopak dostrzegł w jego oczach łzy.

– Gdybym tylko mógł cofnąć czas... – powiedział mężczyzna. – Oddałbym wszystko, żeby było inaczej...

– Nie – odparł Daniel, zaskoczony tym nagłym wybuchem żalu. – Zrobiłeś wszystko, co mogłeś, by mi pomóc. Zawsze będę pamiętał ciebie i te wszystkie wspaniałe rzeczy, które razem przeżyliśmy, Sophię i całą naszą ekipę...

– O rety! – Znów go uścisnął, a tym razem po policzkach popłynęły mu łzy.

Daniel wyswobodził się z objęć, ciekaw, jak Scacchi dawał sobie radę w takich sytuacjach.

– Obiecaj mi jedno, Piero.

– Co tylko chcesz!

– Zapamiętaj mnie takim, jakim jestem. Nie takim, jakim inni będą mnie przedstawiać.

Piero klepnął go w ramię i jeszcze raz napełnił kubki kwaśnym czerwonym winem. Potem znów zaczął wpatrywać się w rozkołysane kwiaty karczochów i psa na brzegu polanki, który już nie spał i z nadzieją machał ogonem.

– Znam cię – stwierdził, nie patrząc na niego. – Nie jestem aż takim głupcem, za jakiego wielu mnie bierze.

Pospieszny powrót 50

Nie mógłbym winić Marchesego, gdyby uznał mnie za szaleńca. O czwartej nad ranem, kiedy słońce wschodziło nad miastem, zacząłem nieskładną opowieść o człowieku, którego znałem jako Olivera Delapole'a, on zaś – Arnolda Lescaliera (jego tożsamość potwierdzała blizna pod okiem). Wyjaśniłem, dlaczego muszę natychmiast wracać do Wenecji. Sędzia śledczy słuchał mnie cierpliwie, gdy otwarcie i szczerze wykładałem sprawę. Powstrzymanie i ujęcie Delapole'a było rzeczą pierwszorzędnej wagi, lecz zarazem musiałem zadbać, by Rebece i jej bratu udało się wymknąć z sieci doży, a to z powodów, których Marchese nie mógł poznać.

Jak mogłem się spodziewać, sędzia od razu dostrzegł lukę w mojej opowieści.

– Widzę, że bardzo się przejąłeś tą sprawą, Lorenzo. Ten człowiek to bez wątpienia potwór, lecz nie typowy gwałciciel. Nie musisz się obawiać o dziewczynę, nic nie powinno wydarzyć się podczas zwyczajnego spotkania.

– Lecz on może coś na niej wymusić – argumentowałem słabo. – Ona jest taka wrażliwa.

– Wrażliwa? Z twojej opowieści wyłania się silna osoba.

– Pamiętam, w jaki sposób na nią patrzył, kiedy się poznali, panie. Uważa ją za atrakcyjną. Jeśli tylko będzie miał okazję, użyje wszystkich możliwych sposobów, by ją zniewolić.

– Ach! – Twarz starego człowieka mówiła wszystko. – Więc ty i ta dama...?

– Proszę, przyjacielu. Nie ma czasu na plotki. Kocham ją i nic nie trzeba dodawać.

W zamyśleniu przyłożył palec do policzka i zdałem sobie sprawę, jaką grozę musiał budzić wśród tych, których ścigał. Nic nie mogło ujść jego uwadze.

– Lescalier... Delapole... czy jak tam się naprawdę nazywa... spotka w ciągu tygodnia wiele kobiet, Lorenzo. Rzecz jasna, musimy donieść na niego władzom. Powinieneś być jednak zadowolony, gdyż nie dokonał jeszcze żadnego przestępstwa, przynajmniej o żadnym nie wiadomo, i nie wie, że mamy go na celowniku, przez co jeszcze przez jakiś czas będzie grał rolę angielskiego fircyka. Chyba że...

Ukryłem twarz w dłoniach, niezdolny do wypowiedzenia choćby słowa.

– Chłopcze – powiedział stary człowiek i tym razem w jego głosie brzmiała nuta zniecierpliwienia. – Nie mogę nic doradzić, nie znając faktów.

Miał rację. Zachowywałem się jak dziecko. Myślałem o moim ostatnim spotkaniu z Rebeką i o tym, jak usiłowała przekazać mi prawdę, lecz w końcu, odepchnięta przez mój chłód, nie odnalazła w sobie dość siły. Zastanawiałem się nad treścią snu. Wyciągnięta dłoń i te cztery słowa: „Nie pojawiła się krew".

– Fakty... – Faktów żadnych nie znałem, miałem tylko przypuszczenia, lecz te dojrzały w mojej głowie i byłem pewny ich wiarygodności. – Fakty są takie, że dziewczyna będzie mieć

dziecko. Moje dziecko. Wciąż wraca do mnie wizja Rebeki wyznającej to Delapole'owi, by odrzucić jego awanse, a dalsze konsekwencje możemy sobie obaj wyobrazić.

Stary człowiek pobladł zupełnie i chwycił mnie za ramię.

– Dobry Boże, Lorenzo! Czy jesteś tego pewny? Bowiem to zasadniczo zmienia obrót rzeczy!

– Myślę, że tak właśnie jest. O tym, jak sądzę, chciała mi powiedzieć przed moim wyjazdem, lecz pokłóciliśmy się, bo usiłowałem ją nakłonić – ja sam! – by porozmawiała z Anglikiem i poprosiła go o pomoc w pewnej prywatnej kwestii.

Marchese jęknął, a na jego twarzy pojawił się wyraz determinacji.

– Dziecko... No cóż, sam wiesz, jak on na to reaguje. A przynajmniej tak ci się zdaje, bo to, co przelałem na papier, było może dziesiątą częścią tego, co ujrzałem i czego się dowiedziałem. Gdybym zapisał wszystko, czytający to człowiek nigdy więcej nie potrafiłby zasnąć w obawie, że ten potwór może stanąć w drzwiach. To diabeł wcielony. Musimy go zatrzymać!

– Ale jak?

Marchese miał już w głowie przygotowany plan.

– Rzym i Wenecję dzieli prawie czterysta kilometrów, jeśli jechać powozem. Ja kupię bilet na pierwsze wolne miejsce, jakie znajdę, i jeśli dobrze pójdzie, dotrę na miejsce jutro po północy. Umiesz jeździć konno?

– Dorastałem na gospodarstwie, panie. Wskaż mi konia.

– Znakomicie! Mój sąsiad ma przyzwoitą szkapę. Dobrze mu za nią zapłacę. Pojedziesz górskim szlakiem przez Perugię do Rawenny na wybrzeżu, a stamtąd do Chioggii, gdzie wsiądziesz na statek. Jeśli dopisze ci szczęście, wyprzedzisz mnie o dobre sześć godzin.

Podszedłem z nim do drzwi. Od progu zaczął wołać do swego sąsiada, by wstał z łóżka i szykował konia. Był przyjemny rzymski poranek, wiała lekka bryza, a niebo przyozdabiało kilka pierzastych strzępków chmur. Świetny dzień, by cwałować z prędkością wichru. W oknie na piętrze sąsiedniego budynku pojawiła się brodata twarz człowieka, który zaczął kląć na nas półżartem.

– Dalejże, Ferrero! – odkrzyknął Marchese. – Wyłaź z nory i pomóż człowiekowi czynić sprawiedliwość na tym świecie!

Wkrótce potem sąsiad stał z nami na ulicy. Szanując reputację sędziego, natychmiast spełnił jego prośbę.

Gdy dzwon na letnim pałacu papieża wybił szóstą, byłem gotowy do drogi. Przedtem jednak Marchese udzielił mi ostatniej rady:

– Lorenzo, kiedy przybędziesz na miejsce, idź prosto na posterunek straży albo do sędziego śledczego. Powiedz im o poważnym niebezpieczeństwie grożącym twojej kobiecie, przed którym muszą ją uchronić. Powiedz też, że z Rzymu jedzie sędzia śledczy, by stanąć na drodze mordercy i wprawić w ruch maszynerię sądowniczą. Wierz mi, kiedy zobaczą moje dokumenty i usłyszą, co mam do powiedzenia, Anglik położy głowę na pieńku.

Spojrzałem mu w oczy, lecz nic nie powiedziałem. To była zbyt złożona sytuacja, bym był w stanie dodać coś więcej. Nie mogłem tego uczynić, dopóki Rebeka nie będzie bezpieczna od szponów zarówno Delapole'a, jak i doży. Marchese dostrzegł moje wahanie i po raz pierwszy się zaniepokoił.

– Posłuchaj mnie, synu. Znam tego człowieka. Widziałem jego dokonania. Jeśli z nim zadrzesz, obedrze cię żywcem ze skóry.

– Tak jest, panie – powiedziałem tylko i wskoczyłem na siodło, po czym popędziłem chudą srokatą kobyłę Ferrera w dół ulicy.

W czasie drogi układałem w głowie najlepszy plan, jaki umiałem wymyślić. Pójść do straży i opowiedzieć im o przestępstwach Delapole'a nie wchodziło w grę, póki Rebeka i Jacopo byli w mieście. Zanim Marchese przybyłby z dowodami, uwierzyliby raczej bogatemu angielskiemu arystokracie niż dwójce Żydów i sierocie czeladnikowi, który właśnie porzucił mistrza. Przy swej umiejętności zwodzenia ludzi Delapole natychmiast wydałby nas i ujawnił naturę naszych zbrodni, po czym zbiegłby ze wszystkim, co dotąd udało mu się ukraść. Moim pierwszym celem musiało być odnalezienie Rebeki i zapewnienie jej bezpieczeństwa, a później umożliwienie ucieczki, zanim chwiejna konstrukcja kłamstw zawali nam się na głowy.

Gdy dotarłem do Chioggii, zostawiłem zdyszanego konia i umiejętnie przekonując kapitana, dostałem się na pokład rybackiego skifu, jednej z tych łodzi, które co godzinę wyruszają w rejs w poprzek laguny, by zacumować przy rybnym targu opodal Canal Grande, gdzie wyładowują połów. Sternik miał wysadzić mnie na ląd w południowej części Cannaregio, w pobliżu kościoła San Marcuola, skąd mogłem dotrzeć do Ghetto Nuovo w ciągu paru minut. Wydawszy polecenia, sporządziłem prowizoryczne posłanie z kurtki i ukołysany miarowymi uderzeniami fal o kadłub łodzi, zapadłem w głęboki sen.

Gdy zbudziłem się dwie godziny później, zmierzaliśmy ku szerokiemu zatłoczonemu kanałowi, który już tak dobrze znałem. Gdybym teraz wysiadł na prawym brzegu i przeszedł kilka metrów uliczką, mógłbym wejść do Ca' Scacchi i pozdrowić wuja. Relacje Delapole'a z Leonem musiały już być dość napięte. Moje zresztą także. Jaka by przede mną leżała przyszłość, nie było mi pisane życie drukarskiego czeladnika.

Zwinięto mały żagiel, dzięki któremu przebyliśmy lagunę, i resztę drogi pokonaliśmy na wiosłach, manewrując wśród masy statków. Gdy minęliśmy wąskie gardło kanału Cannaregio, serce podskoczyło mi w piersi, bo wyczułem w pobliżu obecność Rebeki. Skif podpłynął do pomostu przy kościele. Kapitan z przyjaznym wyzwiskiem i klepnięciem w plecy życzył mi powodzenia.

Wyskoczyłem na deski pomostu i znów znalazłem się na stałym lądzie, o ile tego określenia można w ogóle użyć w Wenecji. Następnie przeszedłem przez plątaninę ciemnych uliczek i dotarłem do mostu, którym niegdyś po raz pierwszy wkroczyłem do świata Żydów. Strażnik ziewnął i machnął ręką, bym wchodził. Gdy tylko zniknąłem mu z oczu, przeszedłem na drugą stronę *campo* i pognałem w kierunku mieszkania Rebeki, wbiegając po dwa stopnie naraz.

Ku mojemu zdumieniu drzwi zastałem półotwarte. Pchnąłem je i ujrzałem Jacopa, jakim nigdy wcześniej go nie widziałem. Siedział przy stole ze szklistymi oczami zupełnie pijany, nachylony nad stojącą przed nim flaszką wina.

– No proszę! – wykrzyknął. – Kogo my tu mamy!

Moje serce zmroził chłód. Jacopo był w mieszkaniu całkiem sam. Wszedłem i zamknąłem za sobą drzwi.

– Gdzie jest Rebeka? Muszę ją zobaczyć w gardłowej sprawie.

Jedyną odpowiedzią był gorzki śmiech. Następnie Jacopo postawił na stole pusty kubek i wlał weń trochę wina.

– Gardłowej, tak? Nie tak szybko, chłopcze. Najpierw do gardła wlejemy toast.

Nie przyjąłem wyciągniętego ku mnie kubka. Oczy Leviego patrzyły z nienawiścią. Niemal poczułem, jak moje misterne plany rozsypują się niczym zamek z piasku.

– Gdzie ona jest? Mów, proszę!

– Prosisz? Och, dajże spokój, Lorenzo. Jeden toast. Wreszcie uśmiechnął się do nas los. Za parę dni ruszamy w drogę. Będziemy salonowymi pieskami twojego angielskiego przyjaciela. Ona pisze muzykę, on ją podpisuje, a ja podążam w ślad za nimi. To tak miło z jego strony, że zdołał ją przekonać, nie uważasz? Nie miał wielu argumentów.

Mówił zagadkami.

– Nie rozumiem – powiedziałem. – Zamierzacie wyjechać tak szybko?

– Teraz jesteśmy nowymi zabawkami pana Delapole'a, nie wiesz o tym? Mamy spełniać wszystkie jego zachcianki i chyba nie tylko te związane z pożądaniem sławy i bogactwa. Czasem spogląda na nią bardzo jednoznacznie.

Chwyciłem go za ramiona.

– On nie jest tym, na kogo wygląda, Jacopo. Nie możemy pozwolić, by się do niej zbliżył.

– Ach! Więc nagle nie jest tym, na kogo wygląda. Myślałem, że to dotyczy twojego wuja. Z którym, nawiasem mówiąc, udało mi się ustalić całkiem dobry układ, zanim twój angielski koleżka wszedł w paradę. Przy starym Leonie pewnego dnia moglibyśmy poczuć się godnie – chciał wydawać i milczeć, aż Rebeka będzie gotowa przyznać się do autorstwa. Prawdziwy dusigrosz, racja, ale uczciwy. Źle go osądziłeś, Lorenzo. A ja, będąc na jego miejscu...

Przez chwilę myślałem, że mnie uderzy. Lecz on nie zniżyłby się do tego nawet w takim stanie. Zamiast tego chwycił mnie mocno za kołnierz i przyciągnął moją twarz do swojej. Czułem wino w jego oddechu.

– W jego miejsce mamy teraz Anglika, który wie o nas wszystko i doniesie, jeśli nie zrobimy, co nam każe. Niech to diabli!

Cisnął cynowym kubkiem o ścianę i sklął mnie szpetnie.

– Kto dał ci prawo?! Kto pozwolił ci handlować naszym losem?!

– Myślałem, że Leo mi ją odbierze – odrzekłem nie do końca uczciwie i natychmiast się poprawiłem: – Zbałamuci w zamian za swój patronat.

Jacopo patrzył na mnie ze zdumieniem i politowaniem.

– Leo?! Ten człowiek żyje w świecie własnych snów, Lorenzo. Nie widzisz tego? Zresztą gdyby moja siostra zgodziła się na taką cenę wyzwolenia, kim ty niby jesteś, by o tym decydować?

To pytanie mnie rozwścieczyło.

– Jestem kimś, kto ją kocha!

– Ha!

– ...oraz ojcem jej dziecka – dodałem cicho.

Twarz poczerwieniała mu ze złości. Chwycił kubek, który napełnił dla mnie, i przyciągnął go do siebie.

– Twoje szaleństwo pogłębia się z każdą chwilą. Idź stąd, Lorenzo. Twoja obecność tutaj jest dla mnie obelgą.

– Delapole to łotr i morderca! Nie możemy mu pozwolić, żeby się do niej zbliżył!

– Na to już trochę za późno. Nie widziałem jej, odkąd dwa dni temu, zwiedzeni twoimi słowami, poszliśmy go odwiedzić i wysłuchaliśmy listy rozkazów i zaleceń, które nam wyrecytował w zamian za wolność od kajdanów doży. Być może Rebeka właśnie pakuje mu walizki, Lorenzo. Tak, pewnie to właśnie robi. Jest jego pokojówką. On jutro stanie się jej właścicielem i zaraz potem razem ruszymy w obce krainy, nie wiem dokąd.

Mój duch upadł. Straszne obrazy przesunęły mi się przed oczami.

– Ona mu się nigdy nie odda, choćby... – zacząłem.

– Och, dziecko! – Był wściekły. – Twoja niewinność jest bardziej irytująca i niebezpieczna niż armia zbrodniarzy! Czyś ty się jeszcze na nas nie poznał, Lorenzo? Ciągle nie rozumiesz, czym jesteśmy?

Chciałem powstrzymać łzy. Chciałem wyjść z tego pokoju i podniosłem się z miejsca. Jego silne ramię ściągnęło mnie z powrotem.

– Wysłuchasz wszystkiego, choćbym miał cię przybić gwoździami do podłogi! Jak ci się

zdaje, dlaczego udało się nam uciec z Monachium i przetrwać, kiedy tylu zginęło? I jak dokonaliśmy znów później tego samego w Genewie? Co nas dzieli od wszystkich innych żydowskich rodzin w getcie? To, jak wyglądamy? Jak się zachowujemy? Czy jaką mamy przeszłość?

Mały ciemny pokój zdawał się na mnie napierać. Bałem się, że draperie i wszystko, co wisi na ścianach, opadnie na mnie i zadusi.

– Upiłeś się, Jacopo – rzekłem cicho. – Idź spać i pomów ze mną znowu, kiedy rozsądek wróci ci do głowy.

– On mnie nigdy nie opuszcza – odparł gorzko. – Nie mógłbym sobie na to pozwolić. Powiedz, jak według ciebie piękna kobieta może uciec z pokoju siepaczy, którzy zamierzają ją zabić? Jakim sposobem taka para jak my może zrzucić szaty biedaków i przywdziać się w aksamit?

– Nie będę tego słuchać!

Chwycił mnie za ramiona i wypluł mi w twarz słowa.

– Będziesz słuchać do końca! Sądzisz, że w czasie nocnych wizyt lekarskich u starzejących się dam Republiki przepisuję tylko tabletki? A może też pocieszam te wymalowane matrony i kładę je do łóżka? Lorenzo, my stanowimy wcielenie pragmatyzmu. Staramy się utrzymać, jak tylko się da, w tej wąskiej przestrzeni, którą wy, goje, nam pozostawiacie. Jednak jeśli to nie wystarcza, kurwiąc się, pokonujemy kłopoty i uciekamy w kierunku kolejnego przystanku na drodze. Liczyłem, że ten będzie ostatni.

W tych słowach brzmiała prawda, choć Jacopo wypowiadał je z nienawiścią.

– Jeżeli Rebeka dostrzeże szansę dla siebie w pościeli Anglika, to będzie jej decyzja. Nie twoja, nie moja. Konieczność to surowa pani, Lorenzo. Jeśli nie słuchasz jej rad, płacisz wysoką cenę.

Wyglądał na zadowolonego, że powiedział, co miał do powiedzenia. Patrzył na mnie z posępną żałością w oczach, którą widać w spojrzeniu każdego pijaka na świecie. Gardził sobą samym równie mocno jak mną.

– Być może to wszystko prawda – odrzekłem. – Lecz nie mam czasu, by jej słuchać. Dowiedziałem się wielu rzeczy od człowieka z Rzymu. Delapole jest zwyrodniałym mordercą najgorszego sortu.

– Twoje fantazje stają się męczące, chłopcze – wymamrotał. – Zjeżdżaj. Mój pobyt w tym mieście miał być nieco dłuższy, a ty pokrzyżowałeś mi plany. Jesteś mącicielem i głupcem, ale wydaje ci się, że dobre intencje to usprawiedliwiają. Nużysz mnie. Idź stąd. Jestem zajęty piciem.

– Jacopo...

– Idź, zanim przestanę panować nad sobą i zrobię coś, czego będę żałował!

Tak więc zostawiłem go wśród czarnych myśli, wina i pustki. Słońce było już prawie za horyzontem, kiedy wyszedłem na ulice miasta. Nad Wenecję zakradała się noc. Oblicze księżyca jaśniało w mętnej czarnej powierzchni kanałów. Przemykałem wśród ciemności niczym złodziej, biegnąc na południe w stronę Dorsoduro i Ca’ Dario.

Owocna rozmowa 51

Chłopak się zmienił. Giulia Morelli siedziała obok niego w sali na piętrze Scuola di San Rocco i próbowała rozeznać się w sytuacji. Zostawiła mu wiadomość na automatycznej sekretarce, w której niejasno dała do zrozumienia, że ma dla niego pewną propozycję. Nie sądziła, że odezwie się tak szybko i że będzie tak zdeterminowany. Żal i wątpliwości, które przepełniały go podczas ich spotkania poprzedniego dnia, zniknęły.

Powiodła spojrzeniem za jego wzrokiem i przyjrzała się obrazom wiszącym w rogu sali. Wciąż jeszcze mogła wygrać to rozdanie.

– Uwielbiam to miejsce – powiedziała. – Mogłabym tu siedzieć godzinami. Jest tak, jakby ktoś wymalował całą historię na tych ścianach.

– Tak pani sądzi? – Wydawał się zaskoczony.

– Pewnie. Policjanci też mogą interesować się malarstwem. A także muzyką. Mógłbyś załatwić mi bilet na swój koncert?

– Myślałem, że nie bierze pani łapówek.

– To prawda! – Zaśmiała się. – Jesteś dzisiaj bardzo cięty. Nie masz przekrwionych oczu. Chyba nie mieszkasz już na dnie butelki taniego *rosso*.

– Wino skwaśniało w zeszłym tygodniu – powiedział niejasno. – Bilet będzie na panią czekał w kasie. Tylko jeden?

Wzruszyła ramionami.

– Więcej mi nie potrzeba. Jestem typem samotnika. To miło z twojej strony.

– Żaden problem.

Utkwił wzrok w niezbyt rzucającym się w oczy obrazie, na który wcześniej nie zwracała specjalnej uwagi.

– Na co patrzysz? – spytała.

– Oglądam pomieszczenie – skłamał. – Ciekawi mnie, czemu się pani tutaj podoba.

– Tak jak mówiłam, jest tu cały kosmos. Wszystkie emocje. Każda opowieść świata, dobra i zła.

Jego oczy nie odrywały się od płótna.

– Opowiedz mi o tym obrazie – poprosiła.

– To *Kuszenie Chrystusa*. Nie zauważyła go pani wcześniej?

Przyjrzała się dwóm postaciom na płótnie Tintoretta i z początku nie uwierzyła Danielowi. Lecz ten obraz nie mógł przedstawiać nic innego: był tam Chrystus spowity mrokiem i wątpliwościami oraz Lucyfer z kamieniami w wyciągniętych rękach.

– Nie – odparła zaskoczona. – Nie zwróciłam uwagi. Wisi tu mnóstwo znaczniejszych prac. Poza tym... – Zamilkła, szukając odpowiednich słów. – Jest dziwny. Chrystus stoi w cieniu, za to Lucyfer w świetle. W dodatku jest przystojny.

– Scacchi nazywał go weneckim Lucyferem. Ostrzegał mnie, że pewnego dnia go spotkam i będę musiał dokonać wyboru.

Działo się coś ważnego, czuła to.

– I spotkałeś jego diabła?

– Możliwe. Może właśnie w tej chwili siedzi tu przy mnie.

– Ach – westchnęła przyjemnie zaskoczona. – To dlatego spotykamy się tutaj, a nie w Ca' Scacchi?

– Nie. – Uśmiechnął się szczerze i Giulia znów musiała przyznać rację Biagiowi: Daniel Forster był uczciwym człowiekiem, choć może bardziej pokrętnym, niż jej się na początku wydawało. – Prawda jest taka, że zmęczyło mnie przesiadywanie w wielkim pustym domu i czekanie na głos drugiego człowieka. W dodatku uwielbiam to miejsce tak samo jak pani. I tak jak uwielbiał je Scacchi. Po pewnym czasie twarze z obrazów zaczynają mówić.

Milczała w oczekiwaniu.

– Pani ma pewnie coś, czym chce mnie skusić – zagadnął. – Przynajmniej tak pani uważa, sądząc po wiadomości na sekretarce.

Westchnęła.

– Oboje pragniemy tego samego, Danielu: dowiedzieć się, kto zamordował twoich przyjaciół. Mam pewne podejrzenia, ale żadnych dowodów. Mogłabym oczywiście postawić cię w stan oskarżenia i spróbować zmusić do współpracy.

– Proszę bardzo – odpowiedział sucho. – Czy pani wie, że Scacchi nie żywił specjalnego szacunku do policji?

– Miał powody, by nas niekiedy unikać. To chyba logiczne.

Pokręcił głową nieprzekonany.

– Nie o to chodziło. Scacchi miał ambiwalentne podejście do spraw moralnych i z tego powodu nie potrafił zadawać się z ludźmi o podobnym sposobie myślenia, zaś pani, jak sądzę, z definicji należy do tego gatunku. Prawo nie jest tu czarno-białe, prawda?

– Niektórzy z nas starają się, by było – zaoponowała.

– Może. Jednak krzywdzi pani Scacchiego, twierdząc, że nie lubił policji, bo szkodziła jego interesom. Nie mieliście mu nic do zaoferowania. On sam nie potrafił dokładnie określić własnych przekonań i potrzebował oparcia w niewzruszonych wartościach innych ludzi. Chyba dlatego mnie polubił, niemal zaadoptował. To, co brał za moją niezłomność i niezachwianą szczerość, było dla niego filarem, na którym mógł się oprzeć. Przynajmniej na jakiś czas.

Nie potrafił odwrócić wzroku od malowidła. W jego oczach nie widziała emocji.

– Pomylił się – dodał stanowczo. – Całkowicie się pomylił. Dlatego teraz tutaj jesteśmy.

– Powinniśmy o tym dłużej porozmawiać – powiedziała.

– Nie. Podobnie jak w jego przypadku, nie macie dla mnie niczego interesującego.

– Więc odnalazłeś dziewczynę? Tę pokojówkę?

Zyskała jego uwagę. Dwie postacie na płótnie poszły w zapomnienie.

– Znam sytuację, Danielu. Nie wróciła do Ca' Scacchi. Nie masz pojęcia, gdzie jest. Chcesz z nią porozmawiać. Musisz zrozumieć, dlaczego cię porzuciła.

– To jest sprawa osobista – odparł zimno. – Nie pani zakichany interes.

– Wcale nie przeczę. Jednak możemy sobie pomóc. W zamian za twoją współpracę powiem ci, gdzie można ją znaleźć.

Patrzył w głąb sali, rozważając jej propozycję.

– Proszę mówić, będę współpracować.

– Nie! Wyglądam na idiotkę?

– To tak mi pani ufa?

– Ech, Danielu. Naprawdę bardzo się starasz, żeby nie opuściła cię wściekłość. Jesteś zakochanym młodym człowiekiem i masz to wypisane na twarzy. Jeśli powiem ci, co wiem, rzucisz w kąt całą resztę – i moją sprawę, i swój koncert, na który ludzie czekają tak niecierpliwie, jakby mieli mrówki w spodniach. Oboje możemy stracić więcej, niż sądzisz. Pomyślałeś o tym? Ona się przyznała. Był powód.

Odwrócił się od policjantki i zapatrzył w ścianę naprzeciwko.

– Straciła głowę. Oszalała z żalu.

Czy on naprawdę w to wierzył? Sama także brała pod uwagę taką możliwość, chociaż nie wszystko do siebie pasowało.

– Może. Tego nie wiemy ani ty, ani ja.

Jego oczy poszarzały.

– W takim razie nie ma pani pojęcia, gdzie ona jest, inaczej wyciągnęłaby to z niej pani. Koniec. Mam dość tych gier.

Giulia Morelli sięgnęła do torby i wyjęła fotografie, które wyciągnęła rano z kartoteki policyjnej i z archiwum kostnicy.

– To nie żadna gra – zaprzeczyła. – Mamy już trzy trupy, nie dwa. Trzeci człowiek zginął na krótko przed naszym spotkaniem. Sądzę, że też był powiązany ze sprawą. Nic nie wskazuje na to, by miał być ostatni. Wenecki Lucyfer to nie tylko jakaś postać na obrazie. On żyje. Jest tutaj. Krąży wśród nas. Dyszy nam w kark, śmieje się w twarz. Widziałeś tego człowieka?

Podała mu zdjęcie Rizza sprzed dwóch lat, gdy złodziej wpadł na jakiejś drobnej kradzieży na Lido. Daniel popatrzył na nie bez większego zainteresowania, ale Giulia nie dała się zwieść. Wiedziała, że chłopak zna tę twarz.

– Zwykły drobny złodziejaszek, który czasem robił interesy z naszym demonem – powiedziała, nie licząc na żadną reakcję. Następnie podała mu drugie zdjęcie zrobione na stole sekcyjnym poprzedniego dnia. W skroni Rizza ziała czarna krwawa dziura. Martwe oczy wpatrywały się w obiektyw.

– Tak teraz wygląda – dodała, wpatrując się w twarz Daniela.

Chłopak zbladł jak ściana. Zastanawiała się, czy zwymiotuje.

– Możesz układać się z diabłem, który to zrobił, albo ze mną. W tym drugim przypadku, gdy to się skończy, będziesz mógł spróbować pogodzić się z Laurą. O ile wciąż będziesz żył.

Nie mrugnął. Znowu wpatrywał się w ścianę.

Wbrew sobie wpadła w złość. Chwyciła go za brodę i odwróciła jego głowę od obrazu, tak że musiał spojrzeć jej w oczy.

– Nie mam już na to czasu ani cierpliwości. Musisz w tej chwili dokonać wyboru. Mądrego wyboru.

Umowa 52

Siedział w apartamencie Hugona Massitera i wpatrywał się w swoją zwielokrotnioną w lustrach postać. Była ósma rano. Za godzinę powinni wyjść na konferencję prasową, którą zwołano na życzenie Forstera. W południe czekał ich pogrzeb Scacchiego. Rozpoczęcie koncertu ustalono na ósmą wieczorem, później odbyć się miało przyjęcie.

Poprzedniego wieczora Daniel udał się do jednego z czynnych do późna sklepów na Castello i za pieniądze znalezione w kieszeni marynarki Paula kupił drogi garnitur z granatowego lnu, pasującą do niego białą koszulę oraz czarny jedwabny krawat. Miał teraz fryzurę bardziej pasującą do biznesmena. Massiter uniósł brew.

– Wyglądasz jak przedsiębiorca – zdziwił się. – Jak jakiś broker, a nie kompozytor.

– Przykro mi. To dla mnie nowe sprawy.

– Następnym razem służę pomocą. Musisz zacząć myśleć o tym, jak się ubierasz. Porada doświadczonego człowieka nie zaszkodzi. Usiądź.

Daniel spojrzał na bladoniebieski garnitur i różową koszulę Massitera, pomyślał o czekającym ich pogrzebie i zaczął się zastanawiać, czy coś powiedzieć. Gospodarz wskazał mu sofę, zanim chłopak zdążył się odezwać.

– Po pierwsze, dziękuję za przybycie. Nie będę udawał, że się nie martwię. O co ci chodzi? Skąd taka zmiana nastroju? Co dokładnie chcesz im powiedzieć?

– Co tylko będziesz chciał, Hugo. Chyba na tym to miało polegać.

Massiter pokręcił głową.

– Nie rozumiem. Od nieszczęśliwej śmierci Scacchiego zachowywałeś się jak pustelnik. Teraz nagle się pozbierałeś i aż nie możesz się doczekać rozmowy z dziennikarzami. Oczywiście cieszę się z tego, ale też jako osoba, która najmocniej wspiera cię w tym przedsięwzięciu, mam chyba prawo dowiedzieć się, co zamierzasz powiedzieć.

– Wszystko, tylko nie prawdę – odparł Daniel. – Nie to chciałeś usłyszeć?

Massiter spojrzał na niego uważnie.

– Amy twierdzi, że coś cię gnębi. Już podejrzewa, że nie jesteś autorem utworu i obwieścisz to publicznie, by załatać dziury w swoim sumieniu. Czy o to chodzi? Bo jeżeli tak, obaj poniesiemy poważne konsekwencje takiego działania. Wciąż masz zobowiązania wynikające z umowy, jaką zawarłem ze Scacchim. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów – niemała suma, którą sam zresztą wynegocjowałeś. Co więcej, pozwól, że to powtórzę, jest jeszcze kwestia oszustwa. Jesteś współwinny. Gdybyś chciał teraz zrobić mi na złość, obaj znajdziemy się po niewłaściwej stronie policyjnego śledztwa. Chyba nie chcesz pójść do więzienia?

– Nie – natychmiast odparł Daniel. – Nie chciałbym też, byś ty poszedł, Hugo. Byłeś dla mnie miły, dla Scacchiego także.

– To tylko interesy – zaprzeczył Massiter. – Zrozum to dobrze. Nic więcej, tylko

przyjemny biznes. Cieszyłem się twoim towarzystwem i, na co liczę, ty moim także. Sądzę też, że czegoś się mogłeś ode mnie dowiedzieć. Mogę przekazać ci wiele rzeczy. Natomiast ty, mówiąc wprost, musisz się jeszcze wiele nauczyć.

Chłopak skinął głową.

– Wiem. Ale robię postępy, prawda?

Oczy Massitera pociemniały.

– Tak – zgodził się. – Szczerze mówiąc, większe, niż się spodziewałem.

– Dziękuję za komplement.

Daniel zamyślił się nad tym, jak blisko jest dom, który tak zafascynował i przeraził Laurę. Mówiła, że Massiter mógłby zorganizować dla niego wstęp do Ca' Dario. Zaczął sobie zdawać sprawę, że na obecnej sytuacji można by wiele skorzystać. Był głupcem, siedząc i czekając, aż zaczną się sypać należne mu jakoby nagrody.

– Nie zawiedź mnie – powiedział Massiter. – Ani siebie.

Uśmiechnął się, patrząc w jego zimną twarz. Zastanawiał się nad nocą, którą spędziła tu Amy, nad argumentami, których użył, by ją uwieść, a przede wszystkim nad tym, jaką jeszcze posiada siłę zniewalania ludzi.

– Nie zawiodę. Zamierzam owocnie spożytkować ten dzień. Będziesz ze mnie dumny. Wyjdziesz z koncertu jako bohater większy niż ja, bo powiem im, że to wszystko byłoby niemożliwe bez twojej pomocy i jesteś dobroczyńcą nieodzownym prawdziwemu artyście, czyli mnie. Lecz ma to swoją cenę, Hugo, którą dodatkowo zapłacisz. Musisz się na to zgodzić. Nie będę się targować. Ja ci ją podam, a ty zapłacisz i będziesz się wciąż miło do mnie uśmiechał.

– Co to za cena? – wymamrotał Massiter.

– Podyskutujemy o tym po pogrzebie – odparł Daniel miłym głosem – kiedy wreszcie uspokoi się mój umysł, a Scacchi spocznie w grobie.

Anglik spojrzał na niego ponuro. Tym razem nie krył niezadowolenia.

Daniel wstał i powiedział:

– A teraz chodźmy. Świat się niecierpliwi. Nie możemy pozwolić na siebie czekać.

Odmowa i zaskoczenie 53

Dobiegała dziesiąta, kiedy znalazłem się u tylnego wejścia do wynajętej rezydencji Delapole'a. Ludzie nocy ruszyli już w swoich interesach wąskimi uliczkami wiodącymi w głąb miasta. Blade oblicza spoglądały wyzywająco z cieni bram, a z knajpianych wnętrz wypadały postacie, które reagowały na ich zew. W tym mrocznym, wyrzuconym poza nawias prawa świecie poczułem się słaby. Delapole był wysokim, mocno zbudowanym mężczyzną. Umięśniony Gobbo posiadał siłę teriera, którego spuszcza się do jamy borsuka, by patrzeć, jak chwilę potem pies rozdziera biedne zwierzę na strzępy. Byłbym szczęśliwy, gdyby udało mi się wprosić do środka, porozmawiać i wyjść z Rebeką u boku. Marchese powinien już minąć Padwę. Przy jego pomocy Delapole znajdzie się pod kluczem jutro, czyli w dniu, w którym Wenecjanie mieli go ogłosić bohaterem, my zaś zbiegniemy z miasta.

Pociągnąłem sznur dzwonka. Pyskata pokojówka otworzyła mi i wpuściła do pustej kuchni. Gdy tylko wszedłem, przybiegł Gobbo zdziwiony moim widokiem. Siadł przy stole i wskazał mi miejsce, po czym rozłożył ręce, jak gdyby mówiąc: „Co mogę dla ciebie zrobić?".

Odmówiłem, gdy zaproponował kubek wina. Wtedy rzekł:

– Sądziłem, że zabawisz w Rzymie nieco dłużej, Lorenzo, by dopilnować interesów swego pana.

– Chyba już nie mam pana. Ty i Anglik zadbaliście o to.

– O czym mówisz?

– Porwano Rebekę. Rozmawiałem z jej bratem. Nie wróciła od dwóch dni, a wy niebawem opuszczacie miasto. Leo nie zyska na tym wiele i kogo będzie winić, jeśli nie mnie?

– Wyolbrzymiasz sprawy. Siedzimy tutaj od siedmiu miesięcy, a Delapole to człowiek, który szybko się nuży.

Musiałem zachować ostrożność, by nie zdradzić, ile wiem.

– Wyobrażam sobie.

– Nie, Lorenzo, nie wyobrażasz. Posłuchaj... – Pchnął ku mnie kubek. Sądzę, że w pewnej mierze Gobbo faktycznie chciał mojego dobra. – Chcę ci coś poradzić. Grałeś przy jednym stole z bogaczami, a to nie jest miejsce dla ciebie czy mnie. Zabieraj się, póki możesz. To nie jest gra dla amatorów. Można tu źle skończyć.

– Powierzyłem ją twojej pieczy, Gobbo, byś ocalił ją od zakusów mojego wuja. Teraz jednak dowiaduję się, iż choć uniknęła złego losu, ma przed sobą o wiele gorszy. Dowiaduję się...

Trzasnął pięścią w stół.

– Daj spokój, Scacchi! Nie jest tak źle. Ona żyje. Jest syta. Ogląda świat. Tworzy te swoje piękne nutki i ma za nie coś w zamian, choć na okładce widnieje nazwisko starego. Mogło nie być tak różowo. U Leona wcale nie wiodłoby się jej lepiej, a zapewne znacznie gorzej.

Trudno porównywać te dwie możliwości, a zresztą nie było sensu argumentować za

którąkolwiek z nich.

– To się nie uda, Gobbo! Ludzie wyczuleni na oszustwa zaczną zadawać pytania. Poproszą go, by zagrał, dyrygował.

– Sądzisz, że nie potrafi? Gdy Delapole siądzie za klawesynem, całkiem udatnie tłucze w klawisze. Zaś co do tego cyrku z wymachiwaniem rękami... Według naszego francuskiego pieska Rousseau to zdumiewające, ile człowiek może osiągnąć – albo udawać, że osiągnął – jeśli tylko spróbuje.

– Ale...

– Nie ma żadnych ale – przerwał. – Czasami doprawdy powoli idzie ci rozumienie ludzi. To niebezpieczna wada. Czy ty pojmujesz, jakim rodzajem człowieka tak naprawdę jest mój pan?

Pojmowałem, lecz nie mogłem się przed nim zdradzić.

– Jest Anglikiem. Arystokratą. Dżentelmenem. Tak przynajmniej sądziłem.

– E tam! Opowiem ci historię, którą od niego usłyszałem. Kiedy był szczeniakiem – miał może dziesięć lat, nie więcej – jego ojciec, wdowiec, ożenił się powtórnie. Wymalowana łajza, wszyscy tak na nią mówili. Pewnej nocy, miesiąc po ślubie, małego obudziły krzyki w domu. Spał jak zawsze w pokoju obok sypialni ojca, więc zerwał się i pobiegł sprawdzić, co się dzieje. Gdy wszedł, zobaczył nową mamę ujeżdżającą staruszka, a oboje wyli jak zwierzęta.

Przypomniało mi się coś, co Marchese mówił o źródłach ludzkich zachowań.

– Cóż to ma wspólnego z nami?

– Bardzo dużo! Bo widzisz, on umarł. Serce mu pękło na oczach dzieciaka. Dwa miesiące później kobieta była już w widocznej ciąży, lecz nie z ojcem Delapole'a, przynajmniej on tak twierdzi. Minął niecały rok i domostwu przybył nowy syn, zaś pierworodny został zesłany gdzieś na irlandzkie bagna, gdzie musiał żyć za psi grosz. Teraz widzisz?

– Rozumiem, że poczuł się oszukany przez tę kobietę.

– Nie! Poczuł się oszukany przez świat i to dlatego gra w te gierki. Mieszasz się do tego na swoją zgubę, Lorenzo. On nawet mnie umie przerazić, gdy się postara, a niewielu jest ludzi, którzy to potrafią.

Nic nie można było zmienić. Delapole już zdecydował, niech więc tak będzie.

– Kiedy wyjeżdżacie? – spytałem Gobba.

– Za dzień lub dwa, nie później. Po tym małym spektaklu w La Piecie, który jak sądzimy, przyniesie nam trochę grosza. Chociaż sprawy nie idą za dobrze. Ona nie potrafi odtworzyć nut. Nie zdążymy przed koncertem, chyba że uda nam się jakoś wydobyć rękopis od Leona i pobiec z nim do kopistów. W przeciwnym razie znajdziemy się w opałach. Vivaldi będzie musiał zagrać własne melodie i tłumaczyć się głupio z zaginięcia nut. Trzeba będzie poszukać pieniędzy gdzie indziej. Ludzie nas za to pokochają, nieprawdaż? Już mam dość odprawiania wierzycieli spod drzwi. Jeśli szybko się nie zwiniemy, resztę partii rozegramy w więzieniu dla dłużników. Przypuszczam, że ty nie wiesz, gdzie on schował te nuty?

– Leo mi się nie spowiada. Sami go spytajcie.

– Pytaliśmy! Jest uparty jak osioł. Ma dla nas tylko żałosne wymówki, że papierów nie ma tam, gdzie je położył. I my mamy w to uwierzyć. – Dopił wino i popatrzył na mnie wyczekująco. – Mam sprawy do załatwienia. Nie mogę plotkować tu całą noc.

– Muszę się z nią zobaczyć – poprosiłem.

Spojrzał na mnie ponuro.

– Chyba nie słyszałeś, co ci mówiłem. Idź już i zapomnij o nas.

– Tylko raz, Gobbo, i sprawa załatwiona. Obiecuję.

Westchnął.

– Sam nie wiem, czemu na to pozwalam. Jeśli zgodzę się na tę jedną rzecz, nie będziesz

już się nam więcej naprzykrzał?

– Masz moje słowo.

– Będziesz musiał się zobaczyć także z Delapole'em. Są w tej chwili razem. Najpierw z nim porozmawiam, żeby nie było żadnych niedomówień.

Wyszedł z pokoju. Usłyszałem ciche słowa dobiegające z wielkiej sali wychodzącej na kanał. Gobbo wrócił i wpuścił mnie. Rebeka siedziała na zdobionym taboreciku plecami do mnie i wpatrywała się w noc za oknem. Przy niej stał Delapole – jak zawsze uśmiechnięty angielski dżentelmen w każdym calu.

– Scacchi – rzekł i zachęcił gestem, bym podszedł. – Twój plan zatoczył pełne koło. Rebeka znalazła miejsce w moim domu i jej talenty obficie zaprocentują. Będzie mieć wszystko prócz imienia, choć w tych okrutnych czasach jest to, obawiam się, nie do uniknięcia.

Starałem się dostrzec jej twarz, lecz siedziała tyłem do mnie.

– Chciałbym pomówić z panną Guillaume na osobności, panie, jeśli to możliwe.

– Guillaume? Ach, chodzi ci o pannę Levi. Daj spokój, między nami nie ma już tajemnic.

– Więc tak się rzeczy mają. Mimo to prosiłbym o kilka chwil, panie Delapole.

Anglik spojrzał na nią z góry, a ja znienawidziłem się w tym momencie. W blasku świec odbijającym się w szybach ujrzałem go takim, jakim był naprawdę: zimnym okrutnikiem widzącym w otaczających go ludziach jedynie zabawki, ludzkie pionki na własnej szachownicy, które można przestawiać i poświęcać. Zdumiałem się, że wcześniej tego nie dostrzegłem. Patrzył na nią i chyba cieszył się z tego, co widzi: bezbronną i piękną niczym schwytanego w dłoń kolorowego motyla.

– Ja i Gobbo mamy pewne interesy do załatwienia – rzekł mi. – Masz godzinę, nie więcej, zanim wrócę. Nie nadużywaj mojej gościnności, chłopcze. To sprawy dorosłych i tobie nic do nich.

Uprzejmie skinąłem głową. Z aroganckim uśmieszkiem na twarzy Delapole wyszedł z pokoju, a Gobbo podążył w ślad za nim. Dziewczyna wciąż siedziała odwrócona plecami do mnie. Nie było czasu na bzdurne żale. Stanąłem między nią a szybą, nachyliłem się i chwyciłem ją za ramiona.

– Rebeko – odezwałem się. – Nie wiem, co myślisz o tej sprawie, lecz błagam cię, uciekajmy stąd. Delapole to wcielenie diabła. Byłem w Rzymie i dokładniej, niżbym chciał, poznałem jego prawdziwą naturę. Jeśli z nim zostaniesz, niebawem odbierze ci życie, uwierz mi.

Wciąż wpatrywała się w migoczące światła i ruch na kanale, aż zaczął wzbierać we mnie gniew.

– Chodź! – Chwyciłem ją mocno za ramię i pociągnąłem, by wstała. – Musimy biec!

– Nie! – Wyrwała mi się i utkwiła we mnie wzrok pełen czystej nienawiści. – Dlaczego mnie tak dręczysz, Lorenzo? Czy już nie dość wycierpiałam z powodu twojej zazdrości?

Osunąłem się i oparłszy o szybę, zamknąłem oczy. Jakim byłem głupcem, sądząc, że ją odzyskam, jeśli tylko się z nią zobaczę.

– Racja – rzekłem. – Cierpiałaś i przepraszam cię za to całym sercem. Lecz uwierz mi, najdroższa: ten człowiek to diabeł przebrany w jedwabie. Podczas swej podróży przez pół Europy mordował i kradł, zaś jutro przybędą dowody jego przewin. Chodź ze mną teraz, a uciekniemy z Wenecji w chwili, gdy jego pochwycą straże.

O jeden raz za dużo podniosłem fałszywy alarm. W jej oczach była pogarda.

– Każdy, kto na mnie spojrzy, zamienia się w demona – oznajmiła. – Każdy. Dobrze poznałam naszego angielskiego przyjaciela przez ostatnie dwie noce, gdy jasno wyłożył warunki, na jakich ja i Jacopo będziemy mogli zachować wolność, jeśli zaś nam się poszczęści, także okruchy godności. On wcale nie zamierza mnie zabić, Lorenzo. Ma zupełnie inne zamiary, choć

może powinnam życzyć sobie śmierci, skoro przyjdzie mi się na nie zgodzić.

Było jasne, co ma na myśli.

– Więc ruszaj – błagałem – i ucieknij temu potworowi! Co cię tutaj jeszcze trzyma?

– Brak wyboru! Akurat ty ze wszystkich ludzi powinieneś rozumieć to najlepiej.

– Wyborów będzie w bród, Rebeko, gdy tylko staniemy na stałym lądzie.

– Jak to możliwe? – Wyraz porażki w jej martwym spojrzeniu zmroził mi krew w żyłach. – Jedno słowo do władz i nigdy nie opuścimy Wenecji. To jest wyspa, Lorenzo. Jeśli ktoś ich ostrzeże, ujmą nas w czasie próby wynajęcia łodzi. Nie tylko mnie, lecz także Jacopa, któremu wyrządziłam wielką krzywdę, wplątując go w całą tę aferę. Myślał, że wreszcie znaleźliśmy dom. Nie może się pogodzić z kolejną ucieczką.

Właśnie to dostrzegłem w jego pełnej rozpaczy pijanej twarzy. Jacopo był zawsze najprzezorniejszy z naszej trójki.

– W Rzymie – oznajmiłem – Delapole zamordował kochankę noszącą jego dziecko. Zrobił to w sposób, którego nie śmiałbym ci opisać. To samo stało się w Paryżu oraz Genewie. On jest śmiertelnie niebezpiecznym człowiekiem, Rebeko.

Przesunęła dłonią przez ocean loków i spojrzała na mnie, niepewna, co powiedzieć.

– Po cóż miałby to robić, skoro wystarczyłoby wyprzeć się dziecka lub uciec?

– To tkwi w jakiś sposób w jego przeszłości. Albo w naturze. Nie jestem pewny, mówię tylko, co wyjdzie na jaw, kiedy jutro przybędzie tu sędzia śledczy z nakazem aresztowania. Gdy to nastąpi, wszyscy będziemy w niebezpieczeństwie, najdroższa. Delapole pociągnie za sobą na szafot wszystkich, których zdoła.

– Będzie mi się należało – odparła. – Fałszerstwo, bluźnierstwo, defraudacja, jako że skrzypce nie zostały spłacone, a na rachunku jest moje nazwisko. – Zawahała się. – Oraz kurewstwo, gdy trzeba było.

Tymi słowami chciała mnie skłonić do ucieczki dla mojego własnego dobra.

– Rozmawiałem z Jacopem. Wiem, co robiliście, by przetrwać.

Ciemne oczy zamigotały przede mną.

– Nic nie wiesz, Lorenzo. Nie masz pojęcia, kim jestem i do czego jestem zdolna. Gdy na mnie patrzysz, widzisz doskonałą damę. Bardzo się mylisz.

– Widzę kobietę. Kobietę, która pocieszyła mnie w chwili rozpaczy i dzięki której dostrzegłem świat poza własnym nosem. Kobietę, która nosi moje dziecko.

Potrząsnęła głową.

– Dziecko? Cóż to za niestworzone historie? – spytała, lecz jej policzki zaróżowiły się.

– Widziałem cię we śnie, gdy byłem w Rzymie...

– We śnie?

– W taki sposób, jak sądzę, mój umysł przetłumaczył sobie, co zaszło między nami, gdyśmy się ostatnim razem spotkali. Ty byłaś zakłopotana, a ja wściekły. Będziesz mieć ze mną dziecko, Rebeko, i ukrywasz ten fakt, żeby mnie ochronić, podczas gdy to ty jesteś w niebezpieczeństwie.

Zamknęła oczy i spod jej powiek pociekły łzy.

– Och, Lorenzo. Jeśli to prawda, to tylko jeszcze jeden powód, by przyjąć propozycję Delapole'a. Jaki los spotkałby nas z dzieckiem? Musielibyśmy żebrać albo robić gorsze rzeczy.

– Wiedlibyśmy życie kochających się ludzi – odpowiedziałem natychmiast. – Czy można chcieć czegoś więcej?

– Nie! – łkała, a ja czułem wstyd. – To niemożliwe. Jeśli odmówię Anglikowi, wszyscy będziemy zgubieni: Jacopo, ja i ty, jeśli okażesz się głupcem i zostaniesz.

– Nigdy cię nie porzucę.

– A więc zmuszę cię do tego – powiedziała stanowczo. – Proszę, Lorenzo. Jeśli kiedykolwiek coś dla ciebie znaczyłam, idź, uciekaj z miasta i szukaj szczęścia gdzie indziej, bo żadne z nas go tutaj nie znajdzie.

– On cię zabije!

– Więc będę mieć spokój, prawda? – odrzekła poważnym tonem.

Wyraz pięknej twarzy Rebeki przeraził mnie. Padłem na kolana i ująłem jej dłonie.

– Nie mów tak!

Wtedy, jak gdyby po raz ostatni, nachyliła się i objęła mnie. Poczułem, jak jej wilgotny policzek dotyka mojego. Trzymałem ją mocno w ramionach, lecz jednak zbyt słabo, ponieważ uwolniła się i otarła łzy z twarzy.

– Kobieta taka jak ja musi nauczyć się różnych sztuczek, by uniknąć takiego losu – powiedziała, nie patrząc na mnie. – Musi zadowolić mężczyznę i uniknąć konsekwencji, jakie to zadowolenie ze sobą niesie. Przy tobie zapomniałam o tych umiejętnościach i pozwoliłam, by dotarło do mnie, że szczęście może być po obu stronach. W dodatku twój urok i niewinność przypomniały mi, że kiedyś byłam taka sama. Oboje widzimy, czym się to skończyło. Być może Delapole okaże mi litość, jeśli przekonam go, że dziecko jest jego.

– Poderżnie ci gardło, a płód wyrwie z ciała, tak jak to uczynił w Rzymie.

Pobladła.

– Tak mówisz... Więc miejmy nadzieję, że sędzia śledczy zapuka jutro do jego drzwi i jakiś cud ocali nas przed jego gniewem.

– Jedyne cuda, jakie się zdarzają, sprawiamy my sami, Rebeko! Chodź ze mną. Bądź bezpieczna.

– Bezpieczna? Nikt nie jest bezpieczny, póki on chodzi wolno. Jutro, kiedy już będzie w kajdanach, spróbujemy uciec z miasta. Oby nam się udało, zanim Delapole wskaże nas oskarżycielskim palcem.

– Teraz!

– Nie mogę – odrzekła – i nie proś mnie więcej. Idź, Lorenzo. Jeśli Bóg istnieje, może ulituje się nad nami i wybaczy nam grzechy. Szybko – ponagliła – zanim on wróci i zrozumie, co planujemy. Będę grać w La Piecie na tym widowisku, które zorganizował. Zobaczysz mnie tam, jeśli będziesz tak niemądry, by nie posłuchać mojej rady.

Złożyłem na jej policzku gorący pocałunek i poczułem, jak Rebeka wyślizguje się z moich objęć. Później wyszedłem z Ca' Dario i ruszyłem w śpiące miasto, nieustannie obmyślając plany. Gdy dzwon na kościele Świętego Kasjana wybił pierwszą, dotarłem do ciemnego bocznego wejścia prowadzącego do magazynu przy Ca' Scacchi, by potajemnie znaleźć się w domu. Leo zasługiwał na wyjaśnienia i przeprosiny, zanim wyrzuci mnie bez grosza na ulicę.

Wszedłem po tylnych schodach, przedostałem się przez okno do części mieszkalnej i znalazłem się w swoim dawnym pokoju – trzecie drzwi na trzecim piętrze. Chłopiec z Treviso, który kilka krótkich miesięcy wcześniej przybył tutaj podekscytowany i nieprzygotowany na wejście w ten nowy świat, wydawał mi się teraz kimś obcym. Tkwił w mojej pamięci jako inna, nieznajoma i niezgłębiona postać. Zabrałem to, co wydało mi się przydatne na nowej tułaczej drodze mojego życia, które miało się rozpocząć następnego dnia – trochę ubrań, pakiet listów od drogiej Lucii, konterfekcik przedstawiający matkę oraz łańcuszek ze srebrną gwiazdą Dawida od Rebeki. Kiedyś zdjąłem go w chwili gniewu, ale teraz znów zapiąłem na szyi.

Potem tak cicho, by nie wydać żadnego dźwięku, zszedłem po schodach. Ogień w kominku dogasał. Na stole skwierczała świeca. Wuj siedział nieruchomo w mroku, pochylony nad butelką wina i kubkiem. Nie był to najlepszy moment na rozmowę, lecz musiała się odbyć.

Skrzywdziłem Leona – uznałem, że jest okrutnym mistrzem z malowidła w kościele Świętego Kasjana. W rzeczywistości był tylko smutnym człowiekiem usiłującym ułożyć sobie życie najlepiej, jak umiał.

– Wuju – powiedziałem miękko z nadzieją, że się obudzi. Podszedłem doń od tyłu i położyłem mu dłoń na ramieniu.

Przechylił się w dziwny, straszny sposób. Jego głowa padła bokiem na stół z pełnymi krwi otwartymi ustami i otworem ziejącym w miejscu, gdzie powinny być przednie zęby. Z gardła pociekła krew. Zamiast jednego oka Leon miał ciemny wilgotny oczodół. Prawa ręka, ta ze szponem, kończyła się kikutem. Usłyszałem, jak zimny wewnętrzny głos zaczyna we mnie krzyczeć, i w jednej chwili pojąłem, kto dokonał tej potwornej zbrodni.

– Lorenzo – zabrzmiał przede mną znajomy głos z angielskim akcentem. Postać Delapole'a wyłoniła się z kałuży mroku obok kominka. Gobbo stał przy nim z opuszczonym wzrokiem, jakby zawstydzony. – Twój wuj był doprawdy dziwacznym jegomościem. Ile byśmy nie nagabywali tego nędznika, piszczał tylko: „Nie wiem, panie, nie wiem". No i wciąż nie mamy rękopisu. Już i tak za późno na kopistów. Lecz ja go zdobędę. Jest mój, a ja zawsze dostaję, co do mnie należy. Biedny Leo twierdził, że nuty muszą być ukryte. Powiedz mi gdzie.

– Nie wiem – odrzekłem i cofnąłem się ku schodom za plecami.

Twarz Delapole'a wysunęła się do przodu, żółtawa i trupia w blasku świecy. Uśmiechał się sardonicznie.

– Och, cóż za kłamstwa, i to wobec człowieka, który okazywał ci tyle względów. Przeraża mnie wenecka skłonność do mijania się z prawdą. Nie przyniesie ci to żadnego pożytku. Nawet Leo przekonał mnie ostatecznie, że nie kłamał, kiedy odciąłem mu te podkurczone palce. I tak ich nie potrzebował, prawda? Na tym etapie naszej rozmowy tak bardzo hałasował, że aż bolały mnie uszy, a więc wyciąłem mu także to, żeby w końcu zrobiło się cicho. Łap, chłopcze, łap!

Machnął ręką. Coś małego poleciało ku mnie i otarło się o mój policzek. Było zimne i mokre. Przypomniałem sobie ziejącą w gardle Leona krwawą dziurę i domyśliłem się, czym Delapole we mnie rzucił. Marchese miał rację: w skórze tego człowieka mieszkał demon, który właśnie wydostał się na wolność.

– Bierz go, Gobbo – rozkazał Anglik, ziewając. – W pięć minut wyciągniemy wszystkie tajemnice z tego kościstego ciałka, a potem to, co z niego zostanie, przyzna się do zabicia swego pana. Doskonała symetria. Później będą już tylko żagle, pod którymi popłyniemy do Wiednia.

Mała brzydka postać człowieka, którego kiedyś zwałem przyjacielem, zaczęła się do mnie zbliżać wśród cieni, mijając okaleczone ciało Leona, jak ogar tropiący lisa. Niewiele myśląc, zmówiłem modlitwę.

Public relations 54

Siedzieli na podium, na wpół oślepieni światłem reflektorów: Daniel, Massiter, Fabozzi i pobladła wystraszona Amy jako przedstawicielka orkiestry. Na twarzy wypisane miała poczucie winy, a może wstyd. Między konferencją prasową a pogrzebem Scacchiego było niewiele czasu, lecz Daniel zdecydował, że porozmawia z nią po konferencji, zanim wyjdą z sali.

Sprawy związane z koncertem nabrały wielkiego rozmachu. Historyjka okazała się świetnym materiałem na news dla pogrążonego w letnim marazmie przemysłu informacyjnego. Wokół tematu unosiła się w dodatku aura tajemnicy wytworzona przez to, że aż do dziś Daniel nie wypowiadał się publicznie. Wzmagała ją też śmierć jego dwóch bliskich znajomych. Reporterzy węszyli, pewni, że sprawa ma drugie dno, i gdyby dać im cień szansy, zrobiliby wszystko, by przyłapać go z opuszczoną gardą. W sali było ich ponad pięciuset plus armia fotografów nieustannie błyskających fleszami. Kiedy w elektrycznej chmurze reflektorów kamer z uprzejmym, zastygłym na twarzy uśmieszkiem zajmował swoje miejsce, miał pewność, że nikt na widowni nie spodziewa się nagłówków, jakie ukażą się w gazetach jeszcze przed końcem weekendu.

Massiter wstał i powitał wszystkich krótką mową. Poświęcił w niej kilka słów samemu miejscu, które już wcześniej gościło wielkich muzyków. W 1877 roku podczas pobytu w tym hotelu Czajkowski skomponował *IV Symfonię*, utwór, który bezpośrednio poprzedził jego operę *Eugeniusz Oniegin* i powstawał w czasie, gdy kompozytor balansował na skraju szaleństwa, a jego życie pogrążone było w chaosie. Daniel z przykrością pomyślał, że w apartamencie gdzieś nad jego głową Czajkowski rozpaczał z powodu nieudanego małżeństwa, czekającej go ciężkiej długotrwałej pracy nad operą i własnego homoseksualizmu. Jeszcze jeden duch krążący nad Wenecją, a zarazem kolejny powód, dla którego Daniel nigdy nie mógłby założyć maski, w jakiej z chęcią widziałby go Massiter – brak mu było skłonności do samoudręczania się. Wraz z geniuszem często przychodzi cierpienie i to zapewne z jego powodu koncert noszący teraz jego imię leżał niepodpisany w ukryciu w Ca' Scacchi przez niemal trzysta lat. Za tą muzyką stała ludzka istota pragnąca powstać z prochów.

Zachował swoje przemyślenia na później i wstał, kiedy Massiter usiadł wśród szmeru oklasków. Zamrugał, patrząc na rzędy oceniających go niewyraźnych twarzy. Naiwny Daniel Forster, który tego lata wsiadł na motorową Sophię przy molo obok lotniska, roztopiłby się w ogniu ich uwagi. Jednak on ledwie pamiętał tamtego Daniela. Skromnie skinął głową publiczności i przedstawił się jako kompozytor, lecz nie mówca, po czym poprosił o pytania, na które obiecał szczerze odpowiadać. Przez pół godziny zadawano je ze wszystkich końców sali. Niektóre były inteligentne, inne głupie lub niezrozumiałe. Odpowiadał, łgając uprzejmie, i przy okazji podziękował Massiterowi za mecenat, a Fabozziemu i Amy jako wykonawcom za wsparcie. Kilka natarczywych pytań dotyczących śmierci Scacchiego i Paula zręcznie wyciszył,

proponując, by skierować je do policji.

Kiedy pewien angielski reporter zbyt mocno naciskał, głos Daniela trochę się załamał. Chłopak zamilkł na chwilę, po czym powiedział:

– To byli moi przyjaciele. Dziś pochowam signora Scacchiego, człowieka, który okazał mi tyle życzliwości, że jedynie pan Massiter go w tym względzie przewyższa. Bez signora Scacchiego nigdy nie przyjechałbym do Wenecji. Gdyby mnie nie przedstawił panu Massiterowi, nie znalazłbym tak wspaniałego dobroczyńcy i nie wyszedłbym ze swojej naiwnej ciemności w rażące światła reflektorów. Szanowni państwo, zróbcie mi przyjemność. Jutro, po tym, jak dopełnię swojego smutnego obowiązku, a wy usłyszycie pełne wykonanie koncertu, spróbuję znowu odpowiedzieć na wszystkie pytania. Jednak teraz proszę was o cierpliwość. Oceniajcie mnie po tym, co usłyszycie wieczorem, a nie po moich nieskładnych wypowiedziach.

Przez salę przebiegł szmer podziwu. Daniel poczuł ulgę. Szykował się na ciężką, pełną pułapek przeprawę.

Reporterka z jednej z dużych amerykańskich stacji skoczyła na nogi i wycelowała mikrofon w Amy.

– Panno Hartston!

– Słucham? – odparła dziewczyna, nie wstając z krzesła.

– Co pani jako muzyk sądzi o tym wszystkim?

Amy zerknęła na Daniela, niepewna, co powiedzieć.

– W jakim sensie? – spytała.

– To ja chciałabym wiedzieć – odrzekła dziennikarka ze źle skrywaną agresją. – Jak to jest grać utwór napisany przez człowieka niemal w pani wieku? W dodatku nie współczesny, tylko brzmiący tak, jakby napisał go jakiś duch sprzed trzystu lat, jeśli wierzyć w całą tę reklamę, którą nas karmią.

Amy skinęła głową.

– Nie rozmawiałam z Danielem na ten temat.

Reporterzy zamilkli, mając nadzieję na sensację.

– Nigdy z nim pani o tym nie rozmawiała? – Kobieta wydawała się zdumiona. – Ale to przecież kompozytor, prawda?

– Ja... – Oczy Amy poszukiwały jego spojrzenia z błaganiem o pomoc.

Massiter wstał i klasnął w dłonie.

– Droga pani – oznajmił głośno. – U steru przedsięwzięcia stoi Fabozzi, znakomity dyrygent. Kiedy dyskutowaliśmy, w jaki sposób zabierzemy się za to nieoczekiwane dzieło, jemu oczywiście, a nie Danielowi, przypadło w udziale prowadzenie orkiestry. Była to decyzja w pełni przez ciebie poparta, prawda, Danielu?

Dziennikarze patrzyli na niego zaskoczeni, może nawet urażeni. Daniel potaknął.

– Oczywiście. Po co miałbym komplikować sprawy i wtrącać się między muzyków a dyrygenta?

– Właśnie, po co? – odrzekła Amerykanka.

– Racja! – szybko powiedział Massiter. – A teraz przejdźmy do spraw praktycznych. Dla państwa z akredytacją krytyków muzycznych mamy, rzecz jasna, wejściówki. Poza tym jest jeszcze kilka biletów, które pójdą do kapelusza. Zostaną rozlosowane.

Daniel starał się ocenić nastrój dziennikarzy. Działają jak wataha, pomyślał. Przypominają nienasycone psy – żal, że czegoś nie zdobyli, znacznie przewyższa wdzięczność za te kawałki, które udało im się dostać. Nad koncertem unosiła się nerwowa aura, czego żałował, ponieważ Fabozzi i jego muzycy ciężko pracowali i zasługiwali na uznanie.

Massiter stał i patrzył na wychodzących reporterów, po czym przysunął się do Daniela,

chwycił go za ramię i szepnął mu głośno do ucha:

– Wspaniale! Są w ciebie zapatrzeni.

– Tak sądzisz, Hugo? – Chyba faktycznie miał rację. – Może zaczynają coś podejrzewać.

Zimne oczy wpatrywały się w niego.

– Bzdura. Są za tępi, by spostrzec cokolwiek, co nie uderzy ich prosto w twarz. Mimo to grajmy ostrożnie, dobrze? Jutro podrzucę cię, gdzie tylko będziesz chciał. Może załatwię ci pokój w hotelu Cipriani na weekend. Będziesz miał trochę ciszy i spokoju.

Myśl o zamieszkaniu w pałacu na Giudecce natychmiast nasunęła mu wspomnienie Laury, która wrzeszczała na niego w pokoju wizyt więzienia dla kobiet po drugiej stronie wyspy.

– Albo może Werona? Nieważne, trzeba tylko uwolnić cię od tych pasożytów. Przemyśl to.

– Przemyślę – obiecał.

Amy zatrzymała się przy drzwiach po przeciwnej stronie sali i szukała wzrokiem jego spojrzenia.

– Później porozmawiamy, Hugo – powiedział Daniel.

Starszy mężczyzna spojrzał mu w oczy.

– Ach, no tak. Kiedy już omówimy sprawę twojej nowej ceny.

– Właśnie.

Nieoczekiwanie Massiter obdarzył go szerokim konspiracyjnym uśmiechem.

– Jesteś naprawdę niezwykły – stwierdził.

– Słucham?

– Roztrzepany na pokaz... W rzeczywistości w środku twardy jak bazalt.

Chłopak uprzejmie lekko się ukłonił.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Byłbyś dobrym uczniem. Czasem się zastanawiam, czy nie przydałby mi się czeladnik zamiast gromady pochlebców.

– Ale ja jestem kompozytorem, Hugo, nie zapominaj o tym.

Massiter zaśmiał się krótko, po czym klepnął go mocno w ramię.

– Jasne! Zechciałbyś mi teraz towarzyszyć w taksówce w drodze na tę nieszczęsną ceremonię?

– Dziękuję, ale nie. Chciałbym przejść się pieszo. Pomyśleć.

– Tak. O twojej cenie.

Zawahał się.

– Nie, o Scacchim.

Massiter, nic już nie odpowiadając, wymknął się na zewnątrz. Daniel przeszedł przez salę i podszedł do stojącej przy drzwiach Amy. Jest inna, pomyślał. Brakowało entuzjazmu, który dostrzegał w jej twarzy, kiedy spotkali się po raz pierwszy.

– Przepraszam – powiedział. – Na jakiś czas straciłem kontakt z rzeczywistością. Powinienem był zadzwonić.

– Po co? – spytała, nie patrząc mu w oczy.

– Bo byłem ci to winien.

Westchnęła i zapatrzyła się w długi korytarz otwierający się przed nimi. Stali sami w dźwięczącym echem pomieszczeniu.

– Chcę zagrać ten koncert i zjeżdżać stąd, Dan. Nie pytaj mnie dlaczego, ale czuję, że coś jest naprawdę nie tak. Chyba zaczynam wariować albo coś.

Dotknął jej ramienia.

– Nie zwariowałaś, Amy.

Duże oczy dziewczyny spojrzały na niego.

– Naprawdę? Powiedziałam mu, że nie mogłeś napisać tego utworu, nie byłbyś do tego zdolny. A dzisiaj zachowujesz się w taki sposób... To jesteś chyba prawdziwy ty, mam rację? Rzecz w tym, że nigdy tego w tobie nie dostrzegłam. Reporterzy jedli ci z ręki.

– Być może.

– Naprawdę, Dan... Nie wiem, czemu tak mylnie oceniam ludzi. Czasem sama siebie nie umiem rozszyfrować.

– Cierpliwości. Wszystko się ułoży.

Założyła ramiona.

– Już się ułożyło. Jesteśmy parą z Hugonem, jeśli jeszcze nie doszły cię nowiny. Będę gwiazdą tak jak ty. – Daniel usłyszał w jej głosie gorzki ton, jakby źle myślała raczej o sobie niż o Massiterze.

– Wszyscy popełniamy błędy, Amy, ale to nie znaczy, że ich konsekwencje zostają na całe życie.

– Nie? Ale wszystko jest już zaplanowane. Będę za jego pieniądze studiować w Juilliardzie[11]. Zamieszkam w jego nowojorskim apartamencie. Można stamtąd dojść na piechotę do Lincoln Center. Już jestem ustawiona, nie widzisz?

– To świetnie – odparł z wahaniem w głosie.

– Pewnie. W zamian muszę się tylko pieprzyć, kiedy przyjdzie mu ochota. Wcale zresztą nie chodzi o seks. On tylko znaczy swoje terytorium.

Ostatnie zdanie zabrzmiało bardzo trafnie.

– Amy, nie musisz robić nic, czego sobie nie życzysz. Twoi rodzice...

– Już z nimi gadał – odrzekła gwałtownie. – Dla nich to cudowna sprawa. Nagle ich tępa córeczka robi karierę. Ma bogatego podstarzałego lowelasa z angielskim rodowodem. Nie chodzi im o pieniądze, ale o klasę. Tego nie można kupić.

– Jeszcze wszystko można zmienić.

Spojrzała na niego chmurnie.

– Tak ci się zdaje? Jesteś pewny, że wszystko rozumiesz? Oboje jedziemy na tym samym wózku. On nas posiada, tak jak posiada się obraz albo rzeźbę. To go kręci. Jesteśmy, stoimy na półce i czekamy, aż czegoś zechce. I... – Zaklęła cicho. – Jezu, z tego nie ma wyjścia. Kiedy dostrzegasz drzwi, a przynajmniej tak ci się wydaje, on od razu zatrzaskuje ci je przed nosem. Teraz jesteśmy jego własnością. Już zawsze tak będzie.

Daniel nachylił się i pocałował ją lekko w czoło. Amy wpatrywała się w niego zdziwiona.

– Czemu to zrobiłeś?

– Bo potrzebowałem. Ale też po to, by ci powiedzieć, że jestem twoim przyjacielem, Amy, i że ci pomogę. Bądź cierpliwa. A dziś wieczorem graj jak nawiedzona, kochanie. Nie dla mnie, na pewno nie dla Hugona. Dla siebie samej.

Przez chwilę wyglądała jak dawna Amy. W jej twarzy pojawiła się nadzieja i niewinność. Powoli otoczyła ramionami jego szyję i położyła mu głowę na piersi. Poczuł nutę perfum na jej włosach, zapach dla dorosłych. Prezent od Hugona, pomyślał.

Daniel zapytał:

– Co teraz zamierzasz?

– Nie wiem. Wrócę do hotelu. Jesteśmy gotowi. Nie potrzeba już kolejnych prób, tak twierdzi Fabozzi. Wszystko ustalone.

– Na pewno się nie myli.

– Idziesz na pogrzeb, prawda? – spytała.

Popatrzył na podłogę i nie odpowiedział.

– Mam iść z tobą? Spotkałam go tylko kilka razy w życiu.
– Więc zrób to dla mnie, Amy – powiedział. – Proszę.

Różne myśli kołatały mi się w głowie, gdy pędziłem schodami na pierwsze, a potem drugie piętro, obmyślając plan ucieczki. Cóż za głupia pewność siebie... Powinienem był myśleć tylko i wyłącznie o wydostaniu się z domu, a dopiero gdyby się to udało, zastanawiać nad trasą ucieczki z miasta. Już prawie dobiegłem do końca ostatniego odcinka schodów, gdy niemal przy drzwiach sypialni z używanym już wcześniej przeze mnie wyjściem usłyszałem za sobą tupot nóg i poczułem, jak na mojej kostce zaciska się ręka. Jednym szybkim gwałtownym ruchem Gobbo chwycił mnie i przewrócił na drewniane schody. Tam na dole kopnąłem go z całej siły, ale ocknął się natychmiast i gonił za mną, aż udało mu się mnie chwycić. Leżałem niczym zwierzę w sidłach. Krótkie silne ramię odwróciło mnie na plecy, ręka chwyciła za gardło. Przez okno w dachu sączyła się wodnista poświata księżyca. Z brwi Gobba, w którą trafił mój but, lała się krew. Dyszał. Jednak w wyrazie jego twarzy było coś nietypowego – jakby zakłopotanie, może wręcz żal, że do tego doszło.

– Trzymaj go! – zawołał Anglik z dołu. – To będzie moja przyjemność, nie twoja.

Gobbo wpatrywał się we mnie z mieszaniną politowania i pogardy.

– Czemuś nie posłuchał, Scacchi? – wyszeptał, dysząc. – Przez cały czas chciałem jakoś wyprowadzić cię z niebezpieczeństwa i za każdym razem robiłeś odwrotnie, niż ci radziłem.

Poruszyłem głową, lecz jego ręce były szybkie. Nie mogłem uciec.

– Podążam tam, gdzie wskazuje mi serce, Gobbo – odpowiedziałem. – Ty również byś tak robił, gdybyś sam sobie był panem, a nie sługusem.

– No i proszę – rzekł ponuro. – Znowu pogarszasz swoją sytuację.

– Skończę gorzej niż księżna Longhena w Rzymie?

Jego oczy zwęziły się. Był najwyraźniej zaskoczony.

– A co ty o tym wiesz? Powiedział mi, że tylko się bronił, a ta kobieta była szalona.

– Kłamał! Rozmawiałem z sędzią śledczym, Gobbo. Twój pan zamordował ją w najpotworniejszy możliwy sposób. Wydarł jej dziecko z brzucha i rzucił obok zmasakrowanego ciała. Stare sprawy wychodzą na wierzch: sędzia śledczy przyjedzie tu powozem z Rzymu dzisiejszej nocny z rozkazem zatrzymania twojego pana. Jeśli nie postąpisz sprytnie, skończysz obok niego na szafocie.

Tłuste paluchy rozluźniły nieco uchwyt na mojej szyi.

– Kłamiesz.

– Nie. To prawda. Skąd inaczej znałbym nazwisko Longheny? Nie pozwolę, żeby to samo zrobił z Rebeką.

Kroki wchodzącego na górę Delapole'a zabrzmiały teraz wyraźniej. Minął już drugie piętro i wchodził ku nam na ostatni odcinek schodów.

– Okradam i zabijam tych, którzy się o to proszą – przyznał Gobbo – ale kobiety w mojej

sztuce roli nie mają.

– Kata nie przekonasz – syknąłem, gdy za jego krępą sylwetką pojawił się na ścianie cień rzucany przez idącego Delapole'a.

– Kłamiesz! – warknął i sięgnął do kieszeni po krótki wąski nóż pokryty krwią mojego wuja. Miałem ostatnią szansę. Wziąłem głęboki oddech, uderzyłem go kolanem w podbrzusze i wolną ręką pchnąłem z całą mocą, tak że poddał się sile ciążenia i stracił równowagę. Na jedną chwilę zamarł, trzepocząc rękami w ciemnościach i usiłując utrzymać się na nogach, a wtedy uwolniłem prawą stopę, ugiąłem nogę w kolanie i kopnąłem. Przeklął mnie, runął w dół schodów na swego pana i obaj stoczyli się, wrzeszcząc, z powrotem na drugie piętro. Padli na podłogę. Wyglądali jak plątanina kończyn.

Nie mogłem liczyć na kolejną okazję. Oczyściłem umysł ze zbędnych myśli i wbiegłem do pokoju. Przez otwarte okno przelazłem do przyległego magazynu. Znalazłszy się w nim, pognałem w dół, skacząc po cztery stopnie naraz, po czym wybiegłem na ulicę. Obawiałem się, że mogą mnie dostrzec, jeśli będę szedł mostkiem nad *rio*, którym dostarczano przesyłki, więc strwożony zanurzyłem się w czarnym szlamie laguny.

Przez cały swój pobyt w mieście nigdy nie wszedłem w ten ohydny płyn. Był zimny, wstrętny i w ogóle nie przypominał wód oceanu. Cuchnął jak ścieki. Z okna nade mną dobiegły mnie głosy moich prześladowców zastanawiających się, w jaki sposób uciekłem i jak można mnie złapać. Anglik był wściekły, wrzeszczał, nie bacząc, czy ktoś słyszy.

– Albo go znajdziemy, albo wrobimy w zabójstwo wuja. Jeśli nie pojmamy go w ciągu pięciu minut, biegnij na posterunek straży nocnej. Powiedz, że odkryłeś zbrodnię i widziałeś, jak sprawca ucieka w noc.

A więc tak czy inaczej byłem skazany. Brudna woda oddała mi przynajmniej jedną przysługę: jej chłód zdusił w moim gardle krzyk furii. Nabrałem głęboko powietrza do płuc, zanurkowałem i uderzając mocno rękami, z głową pod powierzchnią popłynąłem w kierunku Canal Grande. Wynurzyłem się cicho przy mostku łączącym Calle dei Morti z placem przy kościele. Bacząc, by znaleźć się po północnej stronie, z daleka od Ca' Scacchi, chwyciłem się kamiennego słupka, podciągnąłem nieco i zacząłem nasłuchiwać, ale nic nie wzbudziło moich podejrzeń. Z naszego *campo* wiodło wiele wyjść, które Gobbo musiał przebadać. Ryzyko, że wybierze właśnie to, było niewielkie. Wydostałem się ze szlamu, wspiąłem na wąski mostek i niczym wiatr pognałem do Santa Croce.

Poznałem zasady – sam słyszałem, jak Delapole je sformułował. Jeśli nie znajdą mnie w ciągu pięciu minut, straż dowie się, że jestem zabójcą swego mistrza. Odczekałem więc dobre pół godziny, po czym wróciłem okrężną drogą, mijając San Cassian od południa, i ruszyłem w kierunku Rialto, jedynej drogi do Cannaregio, gdzie cumowały łodzie z Mestre. Moje serce mocno biło, gdy szedłem wśród szwędających się tu i ówdzie łotrzyków i dziwek. Gobbo mógłby mnie tutaj łatwo dopaść, jednak był sługą całym sercem, więc teraz cedził przez zęby kłamstwa idiotom ze straży.

Ociekając cuchnącą wodą z postawionym kołnierzem kurtki, by zasłaniał moją twarz, przeszedłem na drugą stronę Canal Grande i podążyłem znajomą drogą, z której wystarczyło zboczyć na północ, by dotrzeć do getta. Nie wiedziałem, gdzie Marchese spędza noc, lecz nie mogło to być daleko od przystani promów z Mestre. Gdybym tylko zdołał go odnaleźć, mógłbym stworzyć jakąś historię i przetrwać nadchodzący dzień.

Wszystkie te myśli krążyły mi po głowie, lecz przepędziły je złe nowiny z ust przewoźnika. Popatrzył na mnie przemokniętego, z ubraniami potarganymi jak u żebraka, po czym wymamrotał:

– Powóz z Rzymu się spóźni. Jego pasażerowie nie przypłyną przed południem. Ponoć za

Bolonią zgubili koło i musieli stanąć w polu.

Musiałem sprawiać przykre wrażenie. Gdy poprosiłem o kawałek papieru i ołówek, bym mógł napisać wiadomość dla przyjaciela, poszedł do najbliższej tawerny i przyniósł to, czego potrzebowałem.

– Skąd tyś się wziął, chłopcze? – zdziwił się. – Żeby prosić marynarza o rzeczy do pisania...

Podziękowałem mu, po czym bez grosza przy duszy, a do tego bardzo głodny, dołączyłem do innych łazęgów i zacząłem zbierać resztki ze znajdującego się za rogiem targu dzielnicy Cannaregio: kawałek brudnego chleba, nadgryzione jabłko. Ukradłem z wózka kilka pomarańczy i odbiegłem w ciemność, gdy straganiarz mnie zobaczył. W uliczce opodal getta pochłonąłem wszystko, co udało mi się zebrać. W blasku świec płonących pod figurą Dziewicy w ściennej niszy podarłem kartkę na kilka kawałków i na każdym napisałem – starając się zmieniać charakter pisma – podobną wiadomość. Następnie wyczerpany, z piaskiem pod oczami, przeszedłem przez miasto do San Marco i z powrotem, by w każdej napotkanej lwiej paszczy z brązu złożyć donosik. Liczyłem na to, że w ten sposób dam ludziom doży do myślenia oraz odsłonię szczelinę w zbroi Anglika.

Ostatni liścik wrzuciłem do paszczy przy samym pałacu, a potem, by unaocznić sobie, o jaką stawkę toczy się gra, przeszedłem blisko wieży więziennej położonej przy Moście Westchnień. Zza zakratowanych wysokich okien dobiegły mnie jęki i skargi. Noc spędziłem w wilgotnej bramie opodal, śniąc koszmarne sny. Widziałem w nich ulotną postać Delapole'a zakradającego się do pełnego luster ciemnego pokoju, w którym śpi Rebeka. Wpełzł na nią ukradkiem jak zwykły gwałciciel i choć ona walczyła pod nim jak lwica, wziął ją brutalnie, rycząc przez cały czas niczym zwierzę.

Po dopełnieniu aktu zawisł nad nią nieruchomo, tocząc ślinę na jej białą szyję, po czym uniósł twarz i spojrzał w lustro. Ujrzałem w nim siebie w przebraniu Delapole'a. To ja byłem prawdziwym sprawcą gwałtu do spółki z diabłem, który stał za nami i przyglądał się z aprobatą, aż w pewnej chwili zaczął bić brawo niczym panicz oglądający przedstawienie teatralne.

Zbudziłem się przerażony z głową wciąż pełną tych strasznych obrazów. Wraz z nimi naszły mnie słowa angielskiego poety, co do którego sądziłem niegdyś w swojej niewinności, że jego dzieła mógł czytywać Gobbo.

Szatan śmie nam cytować Pismo. Duch skażony,
Zastawiający się świętem świadectwem,
Jest jak złoczyńca z uśmiechem na ustach,
Jak jabłko z wierzchu piękne, wewnątrz zgniłe,
O, jak błyszczący pozór fałsz przybiera.[12]

Słońce właśnie wstało. Trząsłem się, gdyż ubranie wciąż miałem wilgotne po nocnych przygodach, lecz nie była to jedyna przyczyna dreszczy. Sądzę, że we śnie wejrzałem na chwilę w prawdziwą tożsamość Delapole'a. Kim był w swoich własnych oczach? Z braku lepszego słowa diabłem. Czego pragnął? Tego, by trzymać w garści życie innych ludzi, robić z nimi, co mu się podoba, oraz gasić je, gdy chce. Ponad wszystko pożądał on prawa do tej cząstki ludzkiej istoty, którą każdy uznaje za swą niezbywalną własność. Jeśli to pominąć, jego kłamstwa, chciwość i żądza były banalnymi grzechami, których dopuszcza się wielu ludzi. W swej wyobraźni nosił je niczym trofea, tak jak tubylcy z Gwinei mocują u pasa głowy pokonanych przeciwników. Im więcej, tym radośniej. Rebeka nie była pierwsza, nie będzie też ostatnia. Pragnienia Delapole'a nie dało się ugasić.

Przegoniłem te ponure myśli z głowy i wyglądając od stóp do głów jak żebrak, powlokłem się na nabrzeże niecałe sto metrów od La Piety. Zacząłem rozważać kolejny ruch.

Zapowiadał się wielki dzień. Przekupnie głośno zachwalali swoje towary. Wznoszono znaną mi platformę dla Canaletta na promenadzie po stronie Arsenale, a sam malarz wykrzykiwał rozkazy do nieszczęsnych robotników. Na ukończeniu miał kilka płócien dla zleceniodawców. Stojąc w pewnej odległości, rozpoznałem wśród malowideł to, które widziałem kilka miesięcy wcześniej, gdy on dopiero je zaczynał, a ja byłem chłopcem. Nie chciałem przyglądać mu się bliżej w obawie, że przywiedzie bolesne wspomnienia.

Do jednego z drewnianych pieńków przy brzegu, do których cumowano gondole, żołnierz przybijał jakieś ogłoszenie. Odczekałem, aż skończy, po czym z ciekawości podszedłem, by je przeczytać, choć wiedziałem, czego się spodziewać. Było to wezwanie do zatrzymania niejakiego Lorenzo Scacchiego, czeladnika z San Cassian, który zeszłego wieczora zamordował w straszny sposób swego mistrza. Dalej następował opis szubrawca oraz obietnica nagrody z pieniędzy nowego weneckiego dobroczyńcy z Anglii. Skoro nie udało mu się pojmać mnie osobiście, Delapole postanowił zapłacić Republice, by wyświadczyła mu tę przysługę. Spojrzałem raz jeszcze na opis – teraz nawet ci, którzy wcześniej nie widzieli zbiega, mogliby go od razu rozpoznać.

Przekląłem tak jego, jak Wenecję, po czym, nie zważając na niebezpieczeństwo, podszedłem, by obejrzeć płótno Canaletta. Artysta stał akurat po drugiej stronie drewnianej konstrukcji i zajmował się łajaniem cieśli. Obraz był wspaniały, lecz bił od niego chłód. Między tą zamrożoną w czasie chwilą a moją obecną niedolą leżały długie rozdziały szczęścia i nędzy, zaś to, co ukazywał malarz, stanowiło jedynie świadectwo splendoru i wielkości. Rzuciłem okiem na obraz po raz ostatni i ponownie zapadłem między cienie, by śnić o naszej ucieczce.

Nieoczekiwana transakcja 56

Daniel przymknął oczy i kołysał się lekko w upalnym słońcu, wdychając zapach cyprysów i chemicznych wyziewów laguny. Na ceremonię popłynęli gondolą pogrzebową, na której złożono trumnę, żałobnicy stali zaś na rufie, usztywnieni i skrępowani. Początkowo doskwierało mu, że przy jego boku w lśniącej czarnej łodzi brakuje Laury. Później, kiedy gondola pokonała wąski pas wody dzielący San Michele od miasta, Amy wzięła go za rękę i delikatnie zacisnęła palce. Daniel odpowiedział w ten sam sposób i poczuł wielką wdzięczność, że dziewczyna jest przy nim. Nie chciał być sam, a w dodatku miał sprawę do załatwienia.

Kiedy zacumowali przy molo, prawie oślepił go ostry blask południowego słońca odbijający się od zbudowanych z istryjskiego kamienia ścian kościoła stojącego przy nabrzeżu wyspy. Za ich plecami Wenecja tętniła życiem. Vaporetti dobijały do pomostów i odbijały od nich w nieprzerwanym strumieniu opływającym miasto. W dali widać było ceglanoczerwony kontur wyspy Murano, z której hutniczych pieców wyjeżdżały zdobione wyroby ze szkła chętnie kupowane przez turystów. Scacchi przemierzał zapewne tę trasę wielokrotnie, by grzebać przyjaciół i krewnych na cmentarzu, gdzie mogli leżeć tylko przez dziesięć lat, po czym trzeba było szukać innego miejsca na ich prochy. Osobliwy sposób na odejście, pomyślał Daniel, lecz Scacchi nalegał na to w testamencie. W starcu odezwał się wenecjanin – nie mógł odejść w żaden inny sposób.

Wysiedli z gondoli i szli za trumną powoli, w tempie wyznaczanym przez karawaniarzy. Na nabrzeżu zebrała się grupka ludzi. Massiter stał osobno, ubrany w czarny garnitur. Daniel rozpoznał kobietę wydającą wejściówki przy wejściu do La Piety oraz miejscowego sklepikarza, z którego usług od czasu do czasu korzystała Laura. Była też Giulia Morelli w czarnym kostiumie z beznamiętną miną i wzrokiem ukrytym za dużymi okularami przeciwsłonecznymi. Powinien był się domyślić, że policjantka się pojawi. I wreszcie wśród uczestników Daniel dostrzegł potężną postać w lśniąconiebieskim garniturze. Zamrugał, osłaniając oczy przed słońcem, by rozpoznać tego człowieka, i zdał sobie sprawę, czego mu w nim brakuje: spaniela u boku.

Piero wyszedł naprzód ze łzami w oczach i otoczył go wielkimi ramionami.

– O rety, rety – powiedział, pociągając nosem. – Co za niedobra okazja.

Wielkolud popatrzył na Amy, puścił Daniela, ujął jej dłoń w swoje i potrząsnął.

– A to nasza przyjaciółka z Ameryki, panna Amy. Tyle było śmiechu. I nagle to...

Pocałowała go w policzek i powiedziała:

– Tak mi przykro.

Daniel był z niej dumny. Ruszyli i przeszedłszy pod starodawnym kamiennym łukiem, wkroczyli na teren cmentarza. Skręcili w prawo i minęli rząd lśniących nowością trumien skrytych do połowy w cieniu magazynu. Kiedyś zamierzał przypłynąć tu i powłóczyć się po cmentarzu jak zwykły turysta w poszukiwaniu grobów co sławniejszych mieszkańców. Lecz to

był inny Daniel Forster. Po tym wszystkim pozostało tylko wspomnienie chwili na brązowej ziemi San Michele. Przysiągł sobie, że cokolwiek się stanie, wróci tu za dziesięć lat, kiedy ciało na krótko wynurzy się na powierzchnię. Scacchi z pewnością na to zasługiwał, bo choć oszukiwał i kłamał – a Daniel doznał wielu oszustw i kłamstw starego – obdarzył go również życiem.

Grupa żałobników odeszła od zabudowań i wkroczyła na tereny umarłych, gdzie nagrobki, większość z kolorowym zdjęciem przymocowanym do marmurowej powierzchni, biegły rzędami aż do przeciwległej tylnej ściany cmentarza. Rzucił okiem na tabliczkę z oznaczeniem strefy: *Recinto 1, Campo B*. Każdy grób z numerem rzędu i parceli przekopywano co dziesięć lat – w takim nieustającym cyklu ludzie przemieszczali się pod rdzawą wyschniętą ziemią.

Zatrzymali się przed pustym grobem. Karawaniarze obeszli dół i położyli ostrożnie trumnę na pasach nośnych. Zabrzmiał płaski monotonny głos księdza. Daniel przymknął oczy, a w jego umyśle zapisała się ta chwila: zapach cyprysów, suchy ziemisty pył i senne okrzyki mew nad głową. Poczuł dłoń Amy na ramieniu. Starał się nie myśleć o Laurze i o tym, gdzie mogła teraz być. Wiedział, że nigdy nie zrozumie, co mogło ją powstrzymać przed przyjściem na tę ceremonię. Usłyszał za sobą łkanie kobiety oraz głośny nieopanowany szloch Piero, który po latach spędzonych przy pracy w mieście do tego stopnia uprzedził się do śmierci, że postanowił nigdy więcej nie postawić nogi na San Michele. Scacchi znów, zza grobu, przeciągnął ich na swoją stronę.

Ksiądz nachylił się, podniósł garść ziemi i rzucił ją do dołu, gdzie zagrzechotała na wieku trumny. Chłopak przyglądał się, jak w ślady księdza idzie Massiter, ale sam nie odczuwał wcale potrzeby, by uczynić to samo. Piero miał rację. Więź między ludźmi wygasa, gdy jeden z nich wydaje ostatnie tchnienie, a obrzędy mają sens dla żywych, nie zmarłych. Daniel nie odczuwał potrzeby uczestniczenia w nich. To, co było między nim a Scacchim, znieruchomiało w bursztynie jego pamięci. Zmienna była tylko przyszłość.

Piero wpatrywał się w niego i wydawało się, że aprobuje jego zachowanie. Gdy ceremonia dobiegała końca, poszedł odebrać Kserksesa od dozorcy cmentarza. Inni żałobnicy także rozchodzili się stopniowo. Daniel stał przy Amy.

Massiter podszedł do nich, otoczył oboje ramionami i powiedział:

– Ciągle nie bardzo mogę w to uwierzyć. Staruszek chorował, wszyscy byliśmy tego świadomi... Ale człowiek chyba nigdy się tak naprawdę nie spodziewa...

– Czego? – przerwał mu, gdy wypowiedź zdryfowała w banał.

– ...że to się może stać tak nagle. Tak brutalnie.

– Scacchi chyba się spodziewał. On tego niemal oczekiwał.

Za nimi rozległ się głos.

– Czy można?

Daniel odwrócił się i stęknął. Zobaczył Giulię Morelli.

– Słucham? – spytał.

Podeszła do nich z profesjonalnym uśmiechem.

– Chciałam tylko złożyć kondolencje, nic więcej.

– Nie przydadzą się za bardzo Scacchiemu, nieprawdaż? – warknął Massiter. – Podejrzewam, że nie złapała pani jeszcze łotrów, którzy są odpowiedzialni za tę tragedię?

– Nie – odparła, zdjęła okulary i na całej trójce spoczęło intensywne spojrzenie błękitnych oczu kobiety. – Lecz zawsze jest nadzieja, signor Massiter. Czym byłby policjant bez nadziei?

Zapadło milczenie. Giulia skinęła im głową.

– *Ciao*. Dziękuję za bilet, Danielu. Przyjdę. Nie mogę się doczekać.

Massiter patrzył w ślad za oddalającą się policjantką.

– Cholerna baba. Mogłaby się ruszyć i złapać jakiegoś przestępcę, zamiast nachodzić ludzi takich jak my.

– Na tym polega jej praca – zauważyła Amy.

– Być może. – Massiter klepnął ją lekko w pośladek. – A teraz uciekaj, kochanie. Odpocznij, proszę. Dziś będziesz gwiazdą. Liczymy na ciebie.

Popatrzyła na niego ponuro, lecz mimo to odwróciła się, by ruszyć w kierunku wyjścia.

– Chwilkę – rzucił Daniel i delikatnie ją zatrzymał, chwytając za ramię. – Musisz coś usłyszeć, Hugo. To nie może dłużej czekać.

Massiter zerknął na niego.

– Myślałem, że porozmawiamy na osobności.

– Tak, lecz później. Nie wiem, jak to powiedzieć, więc powiem wprost. Ta niepoważna sprawa między tobą a Amy musi się skończyć. Ona należy do mnie. Byliśmy razem w zeszły weekend, chociaż na pewno nie powiedziała ci o tym. Fakt, zaniedbałem ją trochę po śmierci Scacchiego. Ale po prostu nie pozwolę, by to między wami trwało.

Zobaczył, jak opalona twarz Massitera zmienia nieco odcień. Amy mocno zacisnęła rękę na nadgarstku Daniela.

– To wszystko nie tak, Hugo. Juilliard? Amy potrzebne są zagraniczne inspiracje. Pogadam z ludźmi z Guildhall i akademii muzycznej w Londynie. Będzie jej tam znacznie lepiej, blisko mnie. Po co ją więzić w jakimś nowojorskim apartamencie.

– Ach tak – mruknął Massiter.

– Nie chciałbym, byśmy się źle zrozumieli, staruszku – dodał chłopak ożywionym tonem. – Nie jestem żadnym zazdrośnikiem. Nie czuję urazy z powodu tego, co między wami zaszło. Gdybyście zechcieli kiedyś w przyszłości odnowić przyjaźń, nie będę mieć nic przeciw temu. Teraz jednak musisz powstrzymać swoją chciwość. Ona nie może żyć według twojego planu. Jutro gdzieś znikniemy, musimy pobyć trochę razem. Za kilka tygodni, kiedy całe zamieszanie przycichnie, będziemy musieli znowu o tym pomówić i upewnić się, że to nie miało złego wpływu na naszą przyjaźń. Wiele ci zawdzięczam, bardzo cię podziwiam, jednak w tej sprawie muszę pozostać nieustępliwy.

Massiter zakołysał się na obcasach.

– Faktycznie, jesteś.

– Tak. Amy przyszła do ciebie w chwili słabości. Takie są fakty, lecz nie powinieneś czuć przez to żadnych kompleksów. Jestem pewny, że w twoim wieku też czułbym się świetnie, gdyby jakaś młódka rzuciła się na mnie. A więc bez urazy?

Wyciągnął rękę. Massiter zamknął ją w mocnym suchym uścisku.

– Oczywiście – odrzekł. – Masz rację. Sam nie wiem, co sobie myślałem.

Amy przesunęła dłonią po ramieniu Daniela i pocałowała go w policzek. Zerknął na nią z aprobatą w spojrzeniu.

– Jesteś przemiły, Hugo – powiedziała – tylko że sprawy zaszły za daleko. Możemy wciąż być przyjaciółmi?

Massiterowi wrócił urok negocjatora, a na twarzy znów pojawił się dyplomatyczny uśmiech.

– Oczywiście! W końcu to Wenecja. Trzeba sobie wybaczyć odrobinę szaleństwa, prawda?

Cała trójka stała przez chwilę obok grobu w niezręcznym milczeniu, które przerwał Daniel.

– Hugo ma jednak rację, kochanie – powiedział. – Musisz iść, wypocząć. Dziś wieczorem

zadziwisz nas wszystkich.

Patrzyli, jak dziewczyna idzie w kierunku odległego molo. Gdy była już daleko, chłopak zwrócił się do Massitera:

– W ogóle nie walczyłeś, Hugo. Rozczarowałeś mnie.

Starszy mężczyzna przyglądał się odchodzącej Amy z błyskiem chciwości w oku.

– Dałeś zbyt dobre przedstawienie. Wątpię, czy w twoim wieku umiałbym zagrać lepiej.

Daniel zepchnął stopą nieco piachu na trumnę Scacchiego. Zbliżało się dwóch spoconych grabarzy. Mieli robotę do wykonania.

– Ale i tak nie stawiałeś oporu. Niech cię. Ona nie była dla ciebie wiele warta, zgadłem?

Massiter wzruszył ramionami.

– Amy jest piękna i ma większy talent, niż myśli, ale prawdę mówiąc, trochę mnie nudziła. Jest taka... bierna. Ja chyba wolę, gdy się trochę szarpią. Ty nie?

Daniel zamyślił się nad słowami Anglika i zapamiętał je na przyszłość.

– Nie widzisz, do czego zmierzam?

– Szczerze mówiąc, nie.

– Szukam właściwej ceny, Hugo. Zabrałeś nam bardzo wiele, prawie skradłeś nasze dusze. Chcę posmakować czegoś podobnego. Zamierzam pozbawić cię czegoś tak cennego, że poczujesz ból. Myślałem, że to będzie Amy, ale...

– Zrobiłeś świetny interes – ostrzegł Massiter.

Zaśmiał mu się w twarz.

– Co takiego? Nie dostałem nic, czego nie mógłbym sam sobie wziąć w każdej chwili, gdyby mi przyszła na to ochota. Nie. To nie wystarczy.

– Uważaj, Danielu.

Popatrzył w jego szare oczy, lecz już nie dostrzegł potęgi, którą kiedyś w nich widział.

– Dlaczego? Musisz zapłacić moją cenę. Coś wartościowego. W przeciwnym razie jutro wszystko im powiem. Co takiego może mnie spotkać? Parę pogardliwych słów i najwyżej kilka miesięcy w pudle, to wszystko. Tak czy inaczej, nie mogę już wrócić do życia, jakie prowadziłem wcześniej. Natomiast ty...

– Nie groź mi.

Daniel szeroko rozłożył ręce.

– Nikomu nie grożę, Hugo. Ja tylko proszę o sprawiedliwe wynagrodzenie.

Massiter zamilkł. On zawsze będzie chciał znać koszt, pomyślał Daniel. Taka jest jego natura.

– Co to dokładnie ma być?

– Scacchi mówił mi o tajnej kryjówce. Powiedział tak: „Massiter musi mieć gdzieś swój skarbiec, w którym trzyma co piękniejsze przedmioty”.

Hugo nie odpowiedział.

– Sądzę, że nie przyjeżdżasz do Wenecji tylko po to, by napawać się muzyką. Ty jesteś handlarzem, kupujesz i sprzedajesz. W grę wchodzi cała gama przedmiotów. Robisz coś takiego jak Scacchi, ale na większą skalę.

– Mów, czego chcesz – mruknął Anglik.

– Chcę cząstkę twojego skarbu. Chcę, byś mnie tam zabrał, żebym mógł sam wszystko obejrzeć. A gdy już obejrzę, wybiorę jedną rzecz, której zapragnę. Oto moja cena. Zapłacisz ją i będziemy kwita.

Massiter odsunął się i zapatrzył na stojących bezczynnie grabarzy opartych o łopaty w oczekiwaniu, aż obaj mężczyźni oddalą się od grobu.

– Przemyślę to.

– Dziś w nocy, po koncercie. Kilka kieliszków szampana, a potem prywatne zwiedzanie. – Popatrzył na Massitera. – Nie obraziłem cię, prawda?

– Ależ skąd – odparł. – Przeciwnie, pochlebia mi to. Szybko się uczysz, Danielu.

– Oczywiście – zgodził się. – W końcu mam najlepszego nauczyciela.

Nie mam pieniędzy, chłopcze. Idź nękać kogoś innego.

Chwyciłem Jacopa mocno za połę marynarki i wciągnąłem w cień obok La Piety. Nietrudno było go wypatrzeć. Żółtą gwiazdę na piersi widać z odległości mili nawet pośród ciżby ciągnącej tłumnie na koncert.

– Ejże! – Oczy miał przekrwione, a policzki zapadnięte, lecz w wyrazie jego twarzy nie było już rozpaczy, w której trwał pogrążony dzień wcześniej, gdy próbował utopić smutki w winie. Spojrzał na mnie w mroku uliczki. – Lorenzo?

Ładnie musiałem wyglądać: od stóp do głów żebrak. Umorusałem sobie twarz – nie wymagało to wiele dodatkowej pracy – i potargałem ubrania. Żaden szanujący się Wenecjanin nie zwraca uwagi na obdartych włóczęgów. Taką przynajmniej miałem nadzieję.

– Mów cicho, bracie – wyszeptałem. – Teraz jestem poszukiwanym zbiegiem.

Oparł się o ścianę i połowę jego twarzy oświetliły promienie letniego słońca. Westchnął.

– Ponoć również mordercą. Pomyśleć, że zawierzyłem ją takiemu szubrawcowi.

– Z szubrawcem ona przebywa w tej chwili, Jacopo, i ty to wiesz.

Spojrzał na tłumy mrowiące się na brzegu. Panowały mieszane nastroje. Ludzi zaczynała męczyć ta gra. Delapole zbyt długo trzymał nagrodę w ukryciu. Łaknęli więc teraz szybkiego wyjaśnienia.

– Być może. Nie zabiłeś biednego Leona, prawda?

Teraz nadeszła moja kolej na afektowane westchnienie.

– A jak sądzisz? Wiesz z ogłoszeń, co tam zaszło, a przynajmniej tyle, ile uznali, że można wydrukować, bowiem prawda jest znacznie gorsza. Tak, byłem tam, i moje gardło również by poderżnęli, gdybym nie rzucił się do ucieczki. Lecz to robota Delapole'a. A ja was ostrzegałem.

– Więc dla nas wszystkich gra skończona.

– Nie! Zbyt szybko tracisz ducha. Z Rzymu jedzie tu sędzia śledczy z dowodami, dzięki którym Delapole trafi za kraty. Już wcześniej chciałem ci to uświadomić.

Oczy Jacopa pojaśniały nieco.

– Gdzie on jest?

– Spóźnia się. Jego powóz miał po drodze awarię. Lecz w końcu dotrze, a gdy to nastąpi, będziemy musieli wspiąć się na wyżyny sprytu, Jacopo. Anglik na pewno spróbuje pociągnąć nas za sobą na dno.

W spojrzeniu Jacopa zabłysła iskra nadziei.

– Pomówię z Rebeką po koncercie. Uciekniemy. Jestem już gotów opuścić to przeklęte miasto. Wcale mi się tu nie podoba.

Wiedziałem, że to niemożliwe.

– On jest na to zbyt cwany, Jacopo. W miejscu publicznym będzie jej strzegł jak jastrząb. Ponadto zanim zostanie zdemaskowany, może nas okrzyknąć przestępcami, a wtedy praktycznie nie będzie szans na ucieczkę. Te ulice są pełne ludzi doży.

Potarł swą rzadką brodę.

– Co teraz?

– A co będziecie robić po koncercie?

– Anglik kazał mnie i Rebece stawić się w Ca' Dario. Mamy się pakować. Zapewne wypływamy dzisiejszego wieczora.

– Zatem tam wykonamy nasz ruch. Straże z pewnością przyjdą po niego do Ca' Dario. Zanim to nastąpi, musisz znaleźć dobrą drogę ucieczki z domu. Spotkamy się na Salute i poszukamy sternika, którego przekupimy w zamian za kurs na Zattere.

– W twoich ustach to brzmi tak prosto, Lorenzo... Masz pojęcie, jak przebiegły jest ten człowiek?

Obraz biednego zmaltretowanego Leona stanął mi przed oczami.

– O, tak – mruknąłem. – Większe, niż możesz sobie wyobrazić.

Nic nie rzekł.

– Czy coś nie tak?

– Zamyśliłem się tylko. Pamiętam, jak byłeś chłopcem.

Chwyciłem go za ramię.

– To było dawno temu, przyjacielu.

Jacopo Levi uścisnął mnie i dziwnie się poczułem. Odniosłem wrażenie, jakbym obejmował jego siostrę. Stojąc blisko siebie, obaj czuliśmy ciepło, przyjaźń i obawę o to, co przyniesie przyszłość. Ze wstydem poczułem łzy wzbierające pod powiekami. Jacopo spojrzał w moją twarz i miłosiernie ich nie zauważył.

– Przepraszam – wyjąkałem – że do tego doprowadziłem. Że tak wam zrujnowałem życie. Oddam wszystko, by to naprawić.

Zaśmiał się jak dawny Jacopo.

– Na Boga, jakież ty czasem bzdury wygadujesz!

Czułem się fatalnie. Nie potrafiłem znaleźć właściwych słów, moją duszę przepełniał jedynie smutek.

– Wszystko jest grą, Lorenzo – rzekł z uśmieszkiem. – Zawsze o tym pamiętaj. Zresztą utyłem już i rozleniwiłem się w getcie, a Rebeka nie mogła się doczekać wyjazdu, o czym sam dobrze wiesz. Człowiek jest w głębi duszy wygodnickim zwierzęciem. Niekiedy trzeba nim potrząsnąć, żeby wyszedł z letargu.

– Ale...

– Żadnych ale. Już się zmęczyłem leczeniem weneckich matron i uzupełnianiem kuracji łóżkowymi zabiegami. Życie może być ciekawsze. Poza tym...

Zerknął w stronę tłumu na promenadzie, po czym jednym gwałtownym ruchem zerwał żółtą gwiazdę ze swojej ciemnej marynarki i rzucił ją w rynsztok. Zaległa tam jak mały żałosny strzęp przeszłości.

– Jednego się nauczyłem od ciebie i Rebeki. – Rozchylił poły marynarki na modłę weneckich modnisiów, tak by było widać rozpiętą do piersi białą koszulę. – Zdałem sobie sprawę, że ja sam wszedłem do getta, pomogłem im zatrzasnąć za sobą drzwi i przekręcić klucz. Władzę nad nami daje im nasze przyzwolenie. Jesteśmy tym, kim wierzymy, że jesteśmy. Jakikolwiek będzie mój następny port, stanę się tam, do licha, kim zechcę: Żydem czy gojem, Szwajcarem czy Włochem, lekarzem, znachorem czy żigolakiem. Skoro Delapole może, to

czemu nie my?

Jego pewność siebie mnie zaniepokoiła.

– Nie wiem, czy on stanowi właściwy przykład do naśladowania. Nie wiem też, czy to dobrze, jeśli człowiek odrzuca swoje dziedzictwo, gdy tylko najdzie go ochota.

– Pewnie nie. Lecz skoro my, Żydzi, jesteśmy niby tak bardzo odmienni od gojów, po co każą nam naszywać dla odróżnienia znaki na ubraniach?

Jacopo w swym umyśle zaczął już tworzyć siebie na nowo i sam odpowiedział na własne pytanie:

– Ponieważ to oni żyją w strachu, nie my. Fakt, że w ich gronie znajduje się człowiek, który mówi inaczej, modli się inaczej czy co najważniejsze, myśli inaczej, budzi ich przerażenie. Oznaczają nas, byśmy ich nie skazili naszą odmiennością, by to pozłacane państwo nie zawaliło im się na głowy.

W uliczce było zimno, pomimo późnoletniego słońca. Lekko drżałem. Jacopo raz jeszcze mnie objął. Poczułem, jak cząstka jego siły i intelektualnego wigoru przepływa do mnie. Chwilę później znów wmieszał się w tłum z na wpół rozpiętą marynarką, w której wyglądał jak typowy młody wenecki chojrak. Głowę niósł wysoko i potrząsał czarnymi lokami w nieświeżym powietrzu unoszącym się znad wód laguny.

Miał rację. Nikt, kto go nie znał, nie rozpoznałby w nim Żyda. Tak właśnie dał mi do zrozumienia, że przekonał się do naszych poglądów. Zresztą tak czy inaczej, nasze losy miały się odmienić jeszcze przed końcem dnia.

Zmierzwiłem sobie włosy, postawiłem kołnierz i zanurzyłem w morzu przepychających się ludzi. Koncert miał się zacząć lada moment. Po drugiej stronie brukowanej promenady na nabrzeżu zapanowało poruszenie. Wspiąłem się na palce, ciekaw, co się dzieje. Ku swemu niezadowoleniu ujrzałem krępą postać Marchesego. Przepychał się naprzód z uniesioną ponad głowami ręką, w której trzymał pergamin. Jego skrzekliwy głos z rzymskim akcentem niósł się nad hałasami ciżby. Sędzia przesuwał się ku La Piecie, gotów samodzielnie aresztować Delapole'a, gdyby zaszła taka potrzeba.

Ale przecież to było za wcześnie. Sądziłem, że najpierw coś mnie ostrzeże, że ujrzę drużynę strażników z miejskim urzędnikiem na czele idącą pojmać Delapole'a z dopełnieniem wszelkich należnych formalności. Rebeka pozostawała w garści Anglika.

Nie zwracając uwagi na okrzyki niezadowolenia oraz towarzyszące im szturchnięcia i kopniaki, skoczyłem w tłum i zacząłem przedzierać się do Marchesego. Było to największe zbiorowisko, jakie w życiu widziałem: lita niewzruszona masa ludzi walczących o widok na platformę ustawioną u szczytu schodów do La Piety, na której z założonymi z tyłu rękami stał szeroko uśmiechnięty Delapole, mistrz ceremonii.

Hałas był tak wielki, że nikt nie słyszał słów wykrzykiwanych przez Marchesego. Przedzierałem się wytrwale ku niemu i wreszcie udało mi się chwycić go za ramię. Poprosiłem, by się uspokoił. Dyszał ciężko, a twarz miał czerwoną z gniewu i wysiłku.

– Panie! – zawołałem. – To ja, Scacchi!

– Scacchi?

Wycofał się wraz ze mną ku brzegowi, gdzie hałas był mniej dokuczliwy.

– Przybywasz za wcześnie – ostrzegłem go. – Musisz stawić się ze strażą u boku, inaczej on na pewno ucieknie.

– Straż? – spytał ironicznie. – Są jeszcze mniej użyteczni niż ci w Rzymie. Czekają na kapitana, który pewnie schlał się w jakiejś karczmie. Dopiero wtedy będą mogli przejrzeć papiery, które przywiozłem. I... – Popatrzył na mnie. – Co ci się stało, chłopcze?

– Anglik zamordował mojego pana, a winą obciążył mnie.

– Znaczy, że ruszył do gry i nie spocznie, aż nie skończy. Czy wyrwałeś swą dziewczynę z jego rąk?

Podium było poza zasięgiem mojego wzroku. Rebeka stała tam bez wątpienia zgodnie z instrukcjami Delapole'a. Mogłem się tylko modlić, by Jacopo dał sobie radę.

– Jeszcze nie. To kolejny powód, dla którego należy poczekać na straż. Może wziąć ją na zakładnika.

Spojrzał na mnie jak na głupca.

– Ona już jest zakładnikiem, czy tego nie rozumiesz? Niech diabli porwą ten powóz, gdybym przyjechał na czas...

– Panie! – Chwyciłem go za ramię. Uznałem, że za chwilę pozbiera myśli na tyle, by docenić moją radę. – Ja...

– Niech to szlag, Scacchi! – krzyknął, wskazując palcem w tłum. – Tam jest jego sługus. A jaki pewny siebie. W takim razie...

Nagle zamilkł. Gobbo bowiem przecisnął się przez gromady ciał i stanął przed nami z małpim uśmiechem na twarzy.

– Signor Marchese – rzekł, kłaniając się grzecznie. – I mój drogi przyjaciel Lorenzo. Sam nie wiem, który z was ma gorsze towarzystwo. Morderca i sędzia śledczy. Jakież ciekawe konwersacje musicie prowadzić.

– Położysz głowę na pieńku, nim ten dzień się skończy – obiecał groźnie Marchese. – Podobnie jak twój obmierzły pan.

– Och, nie sądzę, drogi panie. Dopiero weszliśmy na tę barkę życia i nie byłoby godnie ani uprzejmie tak szybko wysiadać z kursu na przygodę.

– Ty kanalio – warknął sędzia.

– Takie słowa nie przystoją rzymskiemu dżentelmenowi – powiedział Gobbo, po czym odwrócił się od nas, jakby chciał wrócić w tłum.

Stary człowiek kipiał wściekłością.

– Już ja...

Umysł czyni dziwne sztuczki. W jednej sekundzie pojąłem, co zamierza Gobbo, lecz oglądanie tego trwało całe wieki. Sędzia nachylił się i chwycił go za ramię. W tym momencie Gobbo odwrócił się na pięcie, jego lewe ramię odskoczyło za plecy, a potem ruszyło w przód i w górę. Marchese westchnął miękko, głowa opadła mu w tył, a w ustach pojawiła się krew. Jego krępe ciało zsunęło się z ostrza mordercy i osunęło w moje ramiona, lecz okazało się dla mnie zbyt ciężkie i padło na bruk. Na piersi rzymianina rozlewała się ciemnoczerwona plama. To był cios wytrawnego zabójcy: pojedyncze pchnięcie w górę, w głąb klatki piersiowej, do serca.

Ciekawscy ludzie, pomrukując, kręcili się wokół nas, zaintrygowani. Nie rozumieli jeszcze potworności tego, co właśnie zaszło. Chwila zawisła w próżni. Gobbo stał wciąż nade mną, zbyt zuchwały, by uciekać. Nie umiałem się poruszyć.

– W czym rzecz, Scacchi?! – zawołał nad ciałem biednego starego człowieka. – Przeraża cię parę kropel krwi?

Faktycznie byłem przerażony, lecz nie dlatego się wahałem.

– To był dobry człowiek, Gobbo – powiedziałem. – Dzięki jego dowodom dopadnie was sprawiedliwość.

Sztylet splamiony krwią trzymał w ukryciu przy boku. Za mną gęstniał tłum. Ludzie zaczęli się oglądać ku nam. Zabójca uśmiechnął się do mnie szyderczo.

– Sprawiedliwość! Czy twój przyjaciel zrobił kiedy coś dobrego, co? Zabieraj tę swoją śnieżnobiałą duszyczkę, Lorenzo, i uciekaj. Tylko do tego ludzie tacy jak my się rodzą.

Nie miałem zamiaru grać w jego grę. Potrząsnąłem głową.

– Dopilnuję, by wymierzono sprawiedliwość. Będę ścigał was obu jak ogar, póki się to nie stanie.

Zdeformowana kreatura wzruszyła ramionami i spojrzała na mnie niemal z czułością, jakby był to jeden z tych dni, kiedy się poznawaliśmy i gdy w pewnym stopniu miał mnie pod swoją opieką.

– Tym głupszy jesteś, chłopcze. Wychodzi na to, że cię niczego nie nauczyłem. Łap.

Jego broń błysnęła w powietrzu. Nie myśląc, chwyciłem ją w locie. Krew Marchesego pociekła po rękojeści na moją rękę.

Gobbo skoczył w ciżbę.

– Morderstwo! Morderstwo! – zaczął wrzeszczeć. – To ten szubrawiec Scacchi, obywatele! Niezaspokojony zabójstwem swego pana, zasztyletował jakiegoś nieszczęśnika w biały dzień! Morderstwo! Morderstwo! Łapcie go, nim stanie u waszych drzwi!

Upuściłem sztylet, lecz było już za późno. Ludzkie twarze wpatrywały się we mnie z wyrazem przerażenia i nienawiści. Cofając się, poczułem na ramieniu czyjąś rękę. Gobbo zbiegł. Słyszałem tylko jego śmiech oddalający się jak suche liście porwane wiatrem.

Nagłym ruchem zanurkowałem pod ramieniem człowieka, który mnie chwycił, rozepchnąłem ludzi i pobiegłem ku krawędzi nabrzeża. Następnie, już drugi raz tego dnia, skoczyłem z molo w rozpościerające się pode mną wody laguny. Czarne fale zamknęły się nad moją głową, a ja, mocno wymachując rękami, popłynąłem na wschód w kierunku dalszej części promenady, za La Pietę. Liczyłem na to, że tam do ludzi nie dotarła jeszcze wieść o losie sędziego.

Gdy biegłem jak szalony w kierunku pasa nieużytków w dzielnicy Arsenale, dobiegły mnie znajome nuty pierwszych taktów jednego z ulubionych utworów Vivaldiego, który zaczęła właśnie grać orkiestra. Mimo zgiełku usłyszałem chyba guarnera Rebeki. Po chwili muzyka utonęła wśród buczeń, gwizdów i krzyków. Nie oglądając się za siebie, wskoczyłem między krzaki ostrężnic oraz suche karłowate drzewka. Szczękając zębami, usiłowałem dojść do siebie.

I wtedy nędzarz Lorenzo Scacchi zaszlochał z żalu za swym przyjacielem Marchesem, którego przyjaźnią cieszył się zbyt krótko, gdyż jego zniknięcie uczyniło ten dzień jeszcze mroczniejszym i bardziej złowrogim, niż się dotąd zdawał.

Udana premiera 58

Harmider przed La Pietą kończył się dopiero na schodach kościoła wśród kamer telewizyjnych i spóźnialskich gości mających nadzieję na bilet za każdą cenę. Wewnątrz panował cichy szmer podnieconych głosów. Ubrani na czarno muzycy orkiestry znajdowali się na końcu nawy. Górował nad nimi stojący na podium Fabozzi. Amy stała osobno, pomiędzy dyrygentem i ścieśnionymi rzędami publiczności.

Daniel przeszedł przez kościół, odpowiadając lekkim uśmiechem na powściągliwe brawa. Skinął głową Fabozziemu i całemu zespołowi, po czym zajął miejsce z przodu obok Massitera. Trzy rzędy za sobą zauważył Giulię Morelli. Policjantka wpatrywała się w niego z poważną miną. Po chwili dyrygent stuknął kilka razy batutą o pulpit, zapowiadając początek koncertu. Daniel przymknął oczy i po raz pierwszy w życiu wysłuchał w całości *Concerto Anonimo.* Słuchając, zatracił się wśród wirujących motywów i meandrujących zawiłości utworu.

W Ca' Scacchi, kiedy przepisywał nuty bezpośrednio z tajemniczego rękopisu, słyszał muzykę w głowie jako serię osobnych partii instrumentalnych: skrzypce, altówka, bas i obój brzmiały oddzielnie i walczyły o własne miejsce w całości. Zdumiewał go umysł, który zdołał nadać klarowność brzmieniu każdego pojedynczego instrumentu, ogarnąć je wszystkie równocześnie i stopić w większe harmonijne dzieło, znacznie wspanialsze niż suma poszczególnych części. Daniel znów zamyślił się nad tajemnicą prawdziwej tożsamości kompozytora. Utwór był za nowoczesny jak na Vivaldiego i jeśli wierzyć dacie powstania na pierwszej stronie, zbyt przepełniony energią jak na dzieło człowieka ponadpięćdziesięcioletniego, którego życie dobiega końca.

Jednak twórcą nie mógł być też żaden inny znany Danielowi kompozytor i w tym kryła się największa tajemnica. Nie zachowała się żadna inna praca tego muzyka, w przeciwnym razie stałaby się sławna. Koncert musiał powstać w wybuchu płomienia inspiracji, który później zgasł samoistnie lub został stłumiony przez nieszczęśliwy wypadek bądź czyjeś świadome działanie. Daniela zastanawiało coś jeszcze. W utworze brzmiał dystans, wyobcowanie, jakby kompozytor słuchał dzieł Vivaldiego i sycił się nimi, a potem z poczuciem ironii i humoru przetworzył je w muzykę podobną, lecz jednak inną niż wszystko, co było wcześniej. To twór wielbiciela, ale nie akolity. Wątpił, czy ktokolwiek z kręgów bliskich Vivaldiemu odważyłby się stanąć na podium obok niego i wykazać tak impertynencką maestrię.

Kiedy otworzył oczy, ujrzał wokół siebie zachwycone twarze. Amy dotarła do pierwszej solówki i mocne dzikie brzmienie jej starodawnego guarnera poszybowało pod sklepienie La Piety, przepełniając Daniela poczuciem cudowności. Pamiętał słowa Massitera skierowane pod adresem dziewczyny. Być może uwierzyła w uwalniającą moc muzyki, dzięki której zdoła od niego uciec, jeśli zagra jak nigdy wcześniej. W uniesieniu przyglądał się skoncentrowanej Amy

przyciskającej guarnera do szyi, jakby był częścią jej ciała, i smyczkowi mknącemu po strunach. Gdy powolne melodyjne otwarcie dało drogę wznoszącej się nieubłaganie fali dźwięków pierwszej części koncertu, Amy, jak wszyscy w sali, pozwoliła się porwać wszechogarniającemu uniesieniu.

Daniel, wsłuchany w brzmienie każdej nuty wygrywanej przez orkiestrę, przestał odczuwać wstyd z powodu oszustwa. Gdyby nie on, ten cud muzyki pewnie na zawsze pozostałby za ścianą zaniedbanej weneckiej rezydencji. Równie dobrze mógłby w ogóle nie istnieć.

Amy z wirtuozerią przebyła jeden z najtrudniejszych pasaży, pełen dwu- i trójdźwięków, które chwytała na wąskim gryfie guarnera. Ktoś w pobliżu westchnął i był to jedyny dźwięk, jaki dobiegł od strony widowni w czasie całego koncertu. Massiter słusznie przewidywał, że to wydarzenie przejdzie do historii. O ile Danielowi było wiadomo, utwór obecnie po raz pierwszy wykonywano publicznie. Miał nadzieję, że duch twórcy słyszy ten wspaniały koncert i odczuwa choć cząstkę uniesienia, które stało się udziałem szczęściarzy przybyłych na premierę.

Utwór zamknął słuchaczy w kapsule własnego czasu i świecie własnych wizji. Nagle Daniel ze zdziwieniem rozpoznał ostatnie już takty trzeciej części, wykonywane przez Amy z desperackim wysiłkiem. Usiłował złożyć kompozycję w logiczny ciąg od początkowych taktów do szybko zbliżającego się zakończenia, lecz okazało się to niemożliwe. Dzieło stanowiło bowiem zarazem pojedynczą prostą całość, jak i zbiór złożoności precyzyjnie wplecionych w tkaninę muzycznego materiału. Solistka zbliżała się już do finału. Podobnie jak ludzie wokół niego, Daniel nie miał odwagi głębiej odetchnąć. Wreszcie dziewczyna podsumowała utwór furiacką serią dźwięków, które wyrwały się pod sklepienie La Piety i wybrzmiewały echem w głowach słuchaczy oraz ścianach kościoła jeszcze długo po tym, jak przestała grać.

Gdy ostatnia nuta wydana przez guarnera rozpłynęła się miękko w pustce, zapadła chwila ciszy. Kilka sekund później La Pietà eksplodowała brawami. Ludzie powstali tłumnie, nie wiedząc, kogo oklaskiwać. Daniel szybko pochylił się, przecisnął bez słowa obok Massitera i ukrył w cieniu jednej z masywnych kolumn. Wobec braku kompozytora tłum zwrócił się ku Amy, która stała przed nim jak porażona, z wilgotnymi oczami, niezdolna do wypowiedzenia choćby słowa. Dziewczynka w białej sukience podeszła do niej i wręczyła bukiet czerwonych róż. Muzycy orkiestry odłożyli instrumenty i dołączyli się do braw z Fabozzim na czele.

Daniel z ukrycia patrzył na ich twarze i rozmyślał. Nawet Hugo wydawał się poruszony – stał i klaskał entuzjastycznie. Takiej chwili nigdy się nie zapomina. Dzieło było tak niezwykłe, że nikt, ani teraz, ani w przyszłości, nie mógłby zakwestionować jego znaczenia. Gra Amy okazała się znacznie ważniejszym krokiem ku dorosłości niż zwykły fizyczny akt. Daniela znów uderzyła mroczna myśl, że być może za swoją wielkość dziewczyna będzie musiała cierpieć i zapłaci straszną cenę. Zastanawiał się nad rolą, którą sam odegrał, dostarczając jej klucza do bram ukrytego w niej geniuszu.

Po chwili brawa przeszły w innego rodzaju dźwięk. Nasłuchiwał go z przerażeniem. Niskie natarczywe skandowanie biegło od strony widowni i jak echo odpowiadali mu muzycy orkiestry, wszyscy z wyjątkiem Amy, która stała samotnie, być może przestraszona, i poszukiwała spojrzeniem jego skrytych w cieniu oczu.

„Forster, Forster, Forster, Forster...!”.

Dawny Daniel uciekłby z sali. Przypomniał sobie rozmowę ze Scacchim pod obrazem przedstawiającym weneckiego Lucyfera. Wyszedł z cienia z uniesioną głową oraz szerokim uśmiechem na ustach i idąc, oklaskiwał muzyków. Słyszał, jak z każdym jego krokiem narasta jazgot tłumu i poczuł się niczym fałszywy bóg wkraczający do raju.

Śledziło go zdumione spojrzenie Amy. Podszedł do niej, wyjął z jej rąk bukiet róż i rzucił

go na podłogę, po czym wśród huku braw uścisnął ją w ramionach i pocałował w wilgotne policzki.

– Daniel? – wyszeptała.

– Zasłużyłaś na to, Amy – powiedział cicho. – To twoja chwila.

– Ale...

Znów patrzyła na niego podejrzliwie. Tej nocy zżyła się z koncertem i znała go lepiej niż ktokolwiek inny. Zrozumiała, co natychmiast zauważył, że jej pierwsze podejrzenia były słuszne. On nie mógł być twórcą. W jej spojrzeniu kryło się zdziwienie i oskarżenie.

– Jutro musisz wyjechać – powiedział i znów odwrócił się z uśmiechem do publiczności. – Nie czekaj na mnie. Wsiądź w samolot do Rzymu, a stamtąd leć do domu.

– Nie mogę. Musimy porozmawiać.

Tłum wrzeszczał. Domagał się od niego choć kilku słów.

– Nie teraz – powiedział i znów ją pocałował, po czym teatralnym gestem ujął jej prawą dłoń i uniósł wysoko, budząc szał publiczności.

– Przyjaciele! – starał się przekrzyczeć hałas. – Przyjaciele!

Gwar powoli zamilkł, ludzie uciszali się nawzajem.

– Przyjaciele – powtórzył i usłyszał echo własnego głosu odbijające się od ścian. Wszyscy usiedli w oczekiwaniu. Spojrzał na Massitera, a później na Giulię Morelli. Na wszystkich twarzach widział jednakowy wyraz głębokiego zainteresowania.

– Co mogę wam powiedzieć? Jak mam się wytłumaczyć?

– Brawo, maestro! – wykrzyknął Massiter i zaczął klaskać, wzniecając falę braw, którą Daniel szybko uciszył.

– Wasza uprzejmość jest niezwykła. Nie jestem mówcą. Gdy słucham gry Amy i innych członków orkiestry pana Fabozziego, zastanawiam się, czy ja sam w ogóle jestem muzykiem.

– Co za skromność! – zawołał ktoś z widowni i Daniel nie był pewny, czy to komplement, czy kpina.

– Nie – zaprzeczył. – Nie jestem skromny. Dałem tym muzykom farbę i pigment z nadzieją, że będą umieli się nimi posłużyć. To, co usłyszeliście, było w równej mierze dziełem ich jak kompozytora. Jestem im winien moje podziękowania i gratulacje. Lecz teraz bardzo proszę, byście pozwolili mi odpocząć. *Ciao!*

To rzekłszy, odwrócił się i poszedł na tyły kościoła. Zapuścił się w wąskie korytarze, aż dotarł do małej pustej przebieralni. Z tego miejsca aplauz tłumów był tylko odległym buczeniem. Usiadł na niskiej ławce, skrył twarz w dłoniach i żałował, że nie ma odwagi płakać. Czuł się tak, jakby w jego żyłach płynęła trucizna.

Na korytarzu zabrzmiały kroki, po czym rozległo się pukanie do drzwi. Weszła Amy. Wyglądała na wyczerpaną.

– Dan? – powiedziała. – Powinieneś wrócić. Chyba nie pójdą, jeśli tego nie zrobisz.

Potrząsnął głową, jakby chciał ją oczyścić z myśli, i zmusił się do uśmiechu.

– Powiedz im, że bardzo się przejąłem ich ciepłym przyjęciem, Amy, ale źle się poczułem. Proszę, znajdź jakąś wymówkę.

– Okej – odparła miękko, lecz zatrzymała się przy drzwiach. – Mówiłeś poważnie o moim wyjeździe?

– Oczywiście. Przecież tego właśnie pragnęłaś, prawda?

Zbliżyła się do niego.

– Od samego początku pragnęłam ciebie, Danielu. – Zawahała się. – Jeśli nawet jesteś oszustem, ciągle cię pragnę. Nic mnie to nie obchodzi.

Podniósł głowę i spojrzał na nią.

– Oczywiście, że cię to obchodzi. Musi.

– Pozwól sobie pomóc – poprosiła.

– Już mi pomogłaś. Niebawem to zrozumiesz.

Znowu była bliska łez.

– Nie mów tak. To mnie przeraża.

Wstał, ujął jej twarz w dłonie i pocałował.

– Idź do bileterii. Tam się spotkamy. A jutro z samego rana złap samolot.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Przyjdziesz na przyjęcie? Bądź tam ze mną, Dan. Potem pojadę, obiecuję.

– Jak sobie życzysz. Teraz już idź i powiedz coś ludziom. To twoja noc, Amy. Masz Wenecję u swoich stóp.

– Wiem – odparła. – I żałuję, że nie umiem poczuć większej wdzięczności.

Odeszła, a on czekał, aż wszyscy sobie pójdą. Kwadrans później hałas widowni ucichł. Muzycy zmierzali do swoich przebieralni, rozmawiali cicho i śmiali się, a on z bólem poczuł, że zasłużone brawa, które otrzymali, nie należały się jemu. Po chwili wszedł Massiter, przyciągnął sobie wolne krzesło i usiadł.

– Zaniepokoiłem się tam w sali, Danielu – oznajmił. – Proszę cię, nie rób sztuczek. Nie znoszę czegoś takiego.

– Przepraszam, Hugo, tak wyszło.

– Oczywiście – skwitował sucho. – No cóż, nie ma sensu zwlekać. Chyba nie zamierzasz sączyć ciepłego szampana i wdawać się w pogaduszki z nudziarzami? Co prawda wszyscy będą na nas czekać, ale szczerze mówiąc, my chyba zrobiliśmy już swoje.

Daniel zastanawiał się, jakie są zamiary Massitera. Spodziewał się większego oporu, tymczasem Hugo najwyraźniej poddawał się jego żądaniom. Chłopak wahał się też, czy opowiedzieć Amy o łączącej ich umowie. Pewnie nigdy by mu nie wybaczyła i chyba miałaby rację.

Massiter zerknął na niego. Wydawał się zmartwiony, co Daniel widział u niego po raz pierwszy.

– To będzie z mojej strony wielki przywilej. Niewielu ludzi widziało to, co zamierzam ci pokazać.

– Twoje zaproszenie wiele dla mnie znaczy, Hugo.

– Tak jakbym miał jakiś wybór...

– Oczywiście, że miałeś wybór. Nawet kilka. Robisz to, ponieważ chcesz.

Potaknął.

– To prawda. Jesteś ciekawym człowiekiem, Danielu. Scacchi dobrze cię przygotował. I chyba mimo woli także miałem w tym udział.

Forster wstał.

– Jednak nic za darmo. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Wyszli z kościoła bocznymi drzwiami. Była ciepła noc, rozświetlona czystym blaskiem księżyca. Laguna migotała, w jej wodach odbijały się gwiazdy. Siedząc z tyłu taksówki wodnej, Daniel zamknął oczy i próbował śledzić tok swoich myśli. W jego głowie wciąż jednak rozbrzmiewała muzyka – krążyła nieustannie jak zagadka niemająca rozwiązania.

Wjednym Delapole miał rację: wenecjanie umieją stać się naprawdę nieprzyjemni, gdy się ich zirytuje. Liściki wrzucone do lwich paszcz zadziałały. Postanowiłem nie oskarżać w nich Delapole'a o zabójstwo Leona, gdyż takiej rewelacji nie dałoby się utrzymać bez dowodów, a anonimowy donosiciel zostałby okrzyknięty mącicielem lub kimś jeszcze gorszym. Zamiast tego wybrałem temat, na który każdy szanujący się urzędnik Republiki musiał zwrócić uwagę: autorstwo tajemniczego koncertu.

Używając w każdym z donosów nieco innych sformułowań, ostrzegłem, że Delapole będzie próbował przypisać autorstwo samemu sobie i w ten sposób oszuka miasto. Jest on, pisałem dalej, złodziejem, jeśli nie kimś gorszym. Zamierza popełnić przestępstwo na niczego niepodejrzewających wenecjanach – chce ogołocić obywateli z pieniędzy i przepaść jak kamień w wodę. Dla umocnienia swej argumentacji zaproponowałem w jedym z liścików rozpuszczenie plotki na ten temat i namówienie słuchaczy koncertu, by zażądali od Anglika dowodu uczciwości, kiedy pojawi się na scenie obok muzykantek Vivaldiego. Jeśli uda mu się poprowadzić je przez uwerturę koncertu – lub jakikolwiek inny jego kawałek – niechaj odbierze należne mu brawa. W przeciwnym razie miasto powinno wyciągnąć wnioski i zadziałać zgodnie z nimi.

Gdy pisałem donosy, byłem święcie przekonany, że Marchese lada moment zjawi się w mieście i przybędzie na czele oddziału straży, by aresztować Anglika. Jednak dzisiejsze zdarzenia przekreśliły moje plany. Brałem udział w partii szachów, gdzie pionkami byli ludzie. Przewidujące posunięcie mogło przeważyć na korzyść jednej ze stron wiele ruchów po tym, jak zostało wykonane. Tłum był rozwścieczony. Morderstwo Marchesego obniżyło już i tak złe nastroje. Wśród ludzi rozeszła się plotka, że wyczekiwany koncert jednak się nie odbędzie.

Chodzący niecierpliwie po scenie Delapole z coraz większym zdenerwowaniem przyglądał się, jak triumf przeradza się w katastrofę.

– Cóż to, maestro! – zawołał jakiś kpiarz. – Czyżby skołowaciał ci twój angielski język?

Ten skłonił się swemu dręczycielowi i odszedł w drugi koniec sceny. Nie znalazł tam jednak więcej zrozumienia. Tłum był nieubłagany. Vivaldi stał bez ruchu i nie kwapił się z pomocą. Muzykantki nerwowo przewracały strony leżących przed nimi nut. Nagle z ludzkiej masy wynurzył się jakiś pijak, wgramolił się na platformę i przeczytał napisy na pierwszej stronie partii wiolonczelistki.

– To nie ten koncert! – zakrzyknął. – Przeczytałem, co jest na okładce! Oszwabili nas! Będą grać starocie Rudego Księdza! Tyle się już tego nasłuchałem, że mi bokami wyłazi!

Vivaldi popatrzył na Delapole'a. Anglik słuchał jeszcze przez chwilę wycia ciżby, po czym wystąpił do przodu z przyklejonym do twarzy uśmiechem i gestem poprosił o ciszę.

– Szanowni państwo... – zaczął błagalnie.

Grupka mocno już podpitych płatnerzy z Arsenale zgromadziła się pod sceną, by kpić z Anglika.

– Zjeżdżaj, wypomadowana łajzo! – odezwał się największy z nich. – Przyszliśmy słuchać dziewczyn, a nie patrzeć, jak tu paradujesz niczym paw, co szuka samki.

– Zagramy, panie, w odpowiednim czasie.

– Ale nowy kawałek! – wrzasnął inny. – Żadnych starych śmieci!

– Ach – westchnął Delapole. – Gdybym tylko mógł nim służyć...

Na te słowa tłum ucichł, czekając na wyjaśnienie.

– To ty jesteś ten, co napisał koncert, prawda? – zawołał jeden z płatnerzy. – Lepiej będzie dla ciebie, jeśli go dziś wysłuchamy.

Anglik rozłożył szeroko ramiona.

– Miałem poczekać, zanim wyjawię tę nowinę. Lecz tak, to ja jestem autorem.

Obdarzył ich swoim czarującym uśmiechem. Nie zaklaskała nawet jedna para dłoni.

– Udowodnij! Dyryguj dziewczynami, gdy będą grać twój śliczny utwór, i niech to wszystko się wyjaśni.

Delapole pokręcił głową.

– Nic by mi nie mogło sprawić większej przyjemności, panie. Lecz padliśmy ofiarą przestępcy. Skradł nasze dzieło i nie dał dość czasu, bym zdążył je odtworzyć dla orkiestry. Obiecuję, że przygotujemy je na przyszły tydzień. Zagramy dla wszystkich, a ci, którzy dziś zapłacili, wejdą za darmo.

Na te słowa nad tłumem zapadła cisza jeszcze posępniejsza. Delapole przeczuł, co się święci.

– Drodzy państwo, obrabowano nas! – zaklinał się. – To ten szubrawczyk Scacchi, zabił własnego mistrza – i wuja! – zeszłej nocy, by wykraść mój manuskrypt ze skrytki, gdzie trzymał go jego pan, który miał go na dziś wydrukować. Nie ma nut, nie ma inspiracji dla naszych słodkich muzykantek. Cóż innego mi pozostaje, jak błagać mojego przyjaciela Vivaldiego, by grał dla nas, podczas gdy sam oddalę się i do świtu zdzierać będę skórę z palców, odtwarzając dzieło, wszak już wcześniej przeze mnie napisane, o czym przecież dobrze wiecie!

– Nic nie wiemy! – zakrzyknął spod sceny nieubłagany prześladowca. – Masz nam to udowodnić. Każ im grać!

Na te słowa Anglik stracił zimną krew. Takiego rozwoju wydarzeń nie przewidział.

– No tak, panie, lecz ja nie znam tego dzieła tak dobrze jak mój przyjaciel. Nie oddałbym utworowi sprawiedliwości.

Tłum chłonął z radością każde słowo tej rozmowy.

– Och, dajże spokój! – zawołał jakiś głos. – Jesteś wielki kompozytor czy nie? Skoro niby napisałeś takie cuda, to chyba nietrudno ci też pomachać rękami, żeby dziewczyny grały, jak należy.

Delapole zerknął nerwowo na Vivaldiego, szukając pomocy.

– To byłby afront wobec mojego przyjaciela.

Rudy Ksiądz podszedł do niego i uprzejmym gestem wręczył mu batutę, po czym powrócił na miejsce.

Ciżba ryczała: „Graj! Graj! Graj!”.

Muzykantki skupiły się na batucie trzymanej przez Anglika w oczekiwaniu na jego dyrygenckie wskazówki. Delapole chyba zdał sobie sprawę, że nie ma już ucieczki. Odwrócił się plecami do tłuszczy, wykonał gest dłonią i rozpoczął utwór.

Zastanawiam się, co później nastąpiło. Czy poniósł porażkę przez własne nieudane

wysiłki, czy zawiodły siedzące przed nim młode dziewczęta? Jedynie Rebeka znała prawdę o utworze. Reszta, jak sądzę, musiała się jej domyślić w tej samej chwili, gdy Delapole posunął się o krok za daleko. Zdradził się, gdy zaczął desperacko wymachiwać rękami, a dziewczyny odkryły, że może on być anonimowym kompozytorem w takim samym stopniu jak każdy z kpiarzy wyśmiewających go z tłumu. Był oszustem i co pieczętowało jego perfidię, zamierzał wciągnąć muzykantki w swe machinacje.

Grały więc tak, by zachować jedynie nieco godności, nie dbając zupełnie o precyzję wykonania. Każda nuta, znakomita, jeśli chodzi o ton i trwanie, wybrzmiewała więc ułamek sekundy za wcześnie lub chwilkę za późno, a koncert chwiał się to w przód, to w tył, aż runął w chaotycznej, prowadzącej donikąd kakofonii niczym stado mustangów pozbawionych przewodnika.

Tłum zapragnął krwi. Gobbo wskoczył na scenę i wyszeptał coś swemu panu do ucha. Zapewne zdał sobie sprawę, iż Marchese przed śmiercią mógł porozmawiać z paroma osobami. Władze zaczynały powoli interesować się oszustwem Delapole'a, które wyszło na jaw przy okazji koncertu. Gdyby dołożyć do tego jeszcze inne donosy, apetyty ludzi doży mogłyby wzrosnąć na tyle, że naszłaby ich nieodparta chęć zaproszenia obu panów na rozmowę do jakiegoś ciemnego pomieszczenia w pałacu, gdzie przy użyciu tortur zaczęto by zadawać pytania o przeszłe sprawki.

Ze swej kryjówki opodal Arsenale usłyszałem wściekłe wycia ciżby. Skorzystałem z okazji, że uwaga ludzi skierowana jest na trwające na scenie zamieszanie. Na wpół przemoknięty, zakradłem się znów na nabrzeże i zachowując ostrożność, ruszyłem w stronę tłumów zebranych pod kościołem. Canaletto nie powstydziłby się takiej sceny, pomyślałem. Na jego płótnie stałaby się ona dalekim pięknym obrazem weneckiej pompy i ceremonii. Z odległego punktu widzenia, który zwykle przyjmował, nie byłoby widać wściekłej nienawiści rozpalającej ten straszny tłum i nie dałoby się odgadnąć, jaki makabryczny plan lęgnie się w głowie Delapole'a.

Coś działo się na podium. Ktoś się tam poruszał, lecz niewiele mogłem dostrzec. Ludzka masa zebrała się przy scenie, po czym ruszyła naprzód. Ujrzałem skrawek jedwabnego kaftana Delapole'a i chyba także czarną suknię jednej z muzykantek Vivaldiego. Ścigani uciekali ku nabrzeżu, skąd wskoczyli do oczekującej na nich łodzi. Nie przejmując się, czy mnie ktoś rozpozna, podbiegłem na skraj promenady i zobaczyłem, jak w deszczu jaj, zgniłych owoców i przedmiotów mniej nieszkodliwych Anglik rejteruje z Wenecji. Gobbo siedział po lewej, zaś po prawej owinięta peleryną – Rebeka. Zamknięte w futerale skrzypce trzymała w ręce, a twarz miała bladą niczym księżycowa poświata.

Delapole odczekał, aż łódź oddali się poza zasięg pocisków rzucanych przez tłum, po czym stanął na rufie i wzniósł rękę w krótkim pozdrowieniu. Szczeknął na gondolierów, którzy energicznie naparli na wiosła i skierowali łódź w stronę Canal Grande. Anglik stał wyprostowany, bez mrugnięcia okiem, z ustami zaciśniętymi w wąskim zimnym uśmiechu. Może to była tylko moja wyobraźnia, a może faktycznie przez cały czas patrzył prosto w moją twarz.

W oczekiwaniu na telefon 60

Giulia Morelli wślizgnęła się niepostrzeżenie na wieczorne przyjęcie wieńczące premierę. Odbywało się ono na parterze hotelu Londra Palace tuż obok sali, w której tego ranka policjantka na konferencji prasowej wysłuchała słów Daniela Forstera. Chłopaka nie było na przyjęciu, podobnie jak Massitera. Giulia zamieniła kilka słów z przejętą wydarzeniami skrzypaczką. W zasadzie niczego nie chciała się od niej dowiedzieć, po prostu zaczęły toczyć miłą rozmowę nad szklaneczką prosecco, w którym dziewczyna najwyraźniej zamierzała się utopić. Amy Hartston nie miała pojęcia, gdzie zniknęli Daniel i Massiter. Policjantka wysłuchiwała jej alkoholowych wynurzeń o męskiej perfidii i nienawiści do muzyki, zastanawiając się, czy to ta sama osoba, która tak ich dzisiaj zachwyciła. Muzycy, stwierdziła, są chyba najdziwniejszym gatunkiem ludzi, z jakim kiedykolwiek miała do czynienia.

Gdy impreza zaczęła ją nudzić, Giulia wyszła na zewnątrz i stanęła opodal przystanku vaporetto. Zapaliła papierosa, zadowolona z udanego wieczoru. Była jedenasta. Grupki turystów zaczynały wychodzić z kafejek na placu. Ucichł atonalny jazgot bandów jazzowych i nic niewartych muzyków grających klasykę.

Za kwadrans dwunasta zaczęła się niecierpliwić. Wyciągnęła z torebki telefon komórkowy i właściwie bez konkretnego powodu zaczęła myśleć o Rizzu, hardym chojraku, którego tak łatwo dało się nastraszyć. Jego śmierć w chwili, gdy mógł się jeszcze przydać, była dla niej jak obraza.

Popatrzyła na ekranik telefonu. Biagio pewnie nie mógł zadzwonić. W innym mieście, w innym wydziale nie potrzebowałaby uciekać się do trików. Mogłaby zaufać kolegom i złożyć grupę zadaniową wykonującą jej polecenia. Ale to była Wenecja, miasto, w którym linie podziału się zacierają. Dopóki mocno nie zaciśnie ręki na tym, czego poszukuje, nie odważy się ryzykować ujawnienia.

Wyrzuciła papierosa w falujące wody laguny. Zgasł z krótkim sykiem. Jej wewnętrzny głos zaczął powtarzać jedno zdanie jak mantrę: „Zadzwoń do mnie, Biagio. Zadzwoń do mnie”.

Gdy dzwon na kampanili wybił północ, telefon odezwał się. Szybkim ruchem wdusiła przycisk, przeklinając własną niecierpliwość.

– Tak?

– Nie uwierzy pani. Ma go pani prawie pod nosem.

– A Forster?

– Razem z nim. Obaj są w środku. To niedaleko kościoła San Niccolò Mendicoli. Zaraz obok *campo*. Poczekam na panią na zewnątrz. Pełno tu opuszczonych miejsc.

Próbowała przywołać w pamięci okolicę, o której mówił Biagio. Znała ten średniowieczny kościółek stojący przy wąskim *rio* na południe od Piazzale Roma. Mogła złapać

taksówkę wodną i być tam w ciągu dziesięciu minut.

– Co mam teraz robić? – spytał.

Jak on to delikatnie ujął, pomyślała. Oboje wiedzieli, gdzie jest pies pogrzebany. Dwóch mężczyzn, obaj szanowani, weszło do budynku w opuszczonej części miasta. Nie było mowy o wzywaniu wsparcia. Nikt nie popełnił przestępstwa. A jeśli popełnił, wówczas sprawa dotarłaby do niewłaściwych uszu.

– Czekaj na mnie – zarządziła. – Zadzwoń po ludzi za piętnaście minut. Powiedz, że zauważyłeś coś podejrzanego, co powinni sprawdzić. To da nam kilka chwil, zanim przyjadą.

– Dobra – odparł niepewnym tonem. Był w cywilnym ubraniu i na zwolnieniu lekarskim, podejmował duże ryzyko. Wiedziała, że będzie musiała go bronić, gdyby grunt zaczął palić im się pod stopami.

– Nie martw się, Biagio – powiedziała. – Powiem im, że to z mojego rozkazu, jasne?

– To pani jest szefem.

– Racja. Więc dzwoń po nich niezależnie od tego, czy przyjadę, czy nie.

– A co potem?

Słyszała wahanie w jego głosie.

– Potem otworzymy parę trumien i zobaczymy, co z nich wyleci poza kurzem.

Błagałem trzech kolejnych gondolierów, by zabrali mnie na drugą stronę wąskiego pasma wody, i trzy razy usłyszałem „nie". Człowiek pozbawiony pieniędzy przestaje istnieć. Miałem przy sobie tylko jeden wartościowy przedmiot: małą gwiazdę Dawida, którą Rebeka zapięła mi na szyi całe stulecia temu. Zaproponowałem ją gondolierowi przy *traghetto*. Przyjrzał się cennemu kawałkowi srebra, schował go i kiwnął głową, bym wsiadał do łodzi. Nie miałem wyboru. Mógłbym najwyżej popędzić bocznymi uliczkami dzielnicy San Marco i wykonać długą pętlę, przez most Rialto, a później na południe przez całe Dorsoduro. Musiałem jednak działać szybko, choć bez tej małej pamiątki czasów, gdy nasze losy wyglądały inaczej, czułem się zupełnie nagi.

Wrześniowe popołudnie ustępowało wieczorowi, gdy znalazłem się w alejce przy *rio* prowadzącej do tylnego wejścia Ca' Dario. Nad stertą śmieci oczekujących przy brzegu na wywózkę uniosły się chmary much. Z ciemnych szczelin miejscowych spelun spozierały na mnie błyszczące oczy. Miasto cuchnęło. Mój czas w nim dobiegał końca, był jak piasek wysypujący się z kielicha klepsydry. Przysiągłem, że jeśli uda mi się uwolnić Rebekę z diabelskiego uścisku i zabrać ją w bezpieczne miejsce, padnę na kolana, ucałuję stały ląd i nigdy więcej go nie opuszczę.

Przed nadejściem tej szczęśliwej chwili trzeba było jeszcze wiele dokonać przy skąpych środkach. Nie miałem pieniędzy, broni – sztylet porzuciłem na bruku opodal La Piety – ani planu i mogłem się jedynie łudzić, że Jacopo znalazł sposób, by wyprowadzić Rebekę na wolność. Gdy na brzegu Canal Grande zobaczyłem znajomy, otoczony wysokim murem dom z lasem lejkowatych kominów na dachu, zdałem sobie sprawę, jak płoche były moje nadzieje. Delapole wybrał sobie dobre miejsce do zamieszkania. Z tyłu domu, czyli od strony dzielnicy Dorsoduro, znajdowało się tylko jedno wejście, podobnie jak od frontu, od strony kanału. Od zachodu płynął *rio*, szeroki w sam raz dla gondoli, lecz tam wejścia nie było, od wschodu zaś Ca' Dario oddzielał od sąsiedniej rezydencji kanalik jeszcze węższy, ale przejścia bronił mur. Dom wydawał się niedostępny i nie pozostało mi nic innego, jak czekać. Tak też zrobiłem. Usiadłem bezczynnie w cieniu łukowej bramy do sąsiadującego z rezydencją ogrodu.

Pokojówka i kucharz opuścili dom – i to chyba na dobre, gdyż przechodząc obok mnie, mamrotali gniewnie o skąpstwie Delapole'a. Popatrzyłem w okna i nie odezwałem się do nich. Do tej pory uważałem Ca' Dario za dom raczej mały. Rzeczywiście taki był w porównaniu do sąsiadujących z nim pałaców, ale w przeciwieństwie do nich było tam wystarczająco wiele miejsca, by ukryć w środku przed ludzkim wzrokiem co najmniej kilka osób. Miał trzy piętra, a na każdym mieściło się pewnie od sześciu do ośmiu normalnej wielkości pokojów. Widziałem tylko parter, gdzie znajdował się wielki salon z oknami wychodzącymi na kanał. Domyślić się,

gdzie w tej małej twierdzy Delapole czynił ostatnie przygotowania do ucieczki, było niemożliwością. Mogłem liczyć jedynie na to, że będzie działać w pośpiechu. I znów się myliłem.

Dwaj mężczyźni o czerwonych twarzach – zapewne wierzyciele – podeszli do drzwi i zostali odprawieni przez Gobba kilkoma szorstkimi słowami oraz okazaniem pustych kieszeni. Nic więcej się nie stało. Po ponadgodzinnej bezczynności moja cierpliwość się wyczerpała. Jeśli strażnicy miejscy nie zwrócili jeszcze uwagi na informacje pozostawione przez Marchesego – a zważywszy na jego tragiczną śmierć, było to mało prawdopodobne – wkrótce mogli to uczynić. Nawet gdyby tak się nie stało, Delapole nie mógł zwlekać zbyt długo. Wyglądało na to, że tak czy inaczej jesteśmy zgubieni. Wychyliłem głowę z cienia, by spojrzeć do wnętrza ogrodu, i przemyślałem sytuację. Ca' Dario wydawał się co prawda niedostępny, lecz istniała chyba niewielka szansa, by dostać się do środka. Z tyłu domu znajdował się skromny ogródek otoczony murem oddzielającym ogród sąsiedniej posesji, gdzie *rio* kończył bieg lub płynął pod ziemią. Widziałem listowie jaśminu czy oleandrów wyrastających ponad mur. Nieco dalej, w ogrodzie sąsiada dostrzegłem drzewko pomarańczowe o malutkich owocach, którego gałęzie wystawały nieco nad teren posesji Ca' Dario.

Nacisnąłem ostrożnie na klamkę kutej bramy do ogrodu. Dopisało mi szczęście – nie była zamknięta. Pchnąłem ją niecierpliwie i wszedłem w zieloną przestrzeń. Nie miałem czasu do stracenia. Wydawało się, że w domu przy tej posesji nikogo nie ma. Zacząłem się wspinać na drzewko pomarańczowe, aż zrównałem się ze szczytem muru, a wtedy przetoczyłem się górą i spadłem na skąpą trawę po drugiej stronie. Serce zamarło mi w piersi. W pobliżu usłyszałem szorstkie męskie głosy. Ukryłem się w krzakach i zacząłem przemyśliwać sytuację. Dźwięk rozmów dobiegał od frontu rezydencji, od strony należącego do posesji pomostu na kanale. Jeśli Delapole zamierzał uciekać, to najpewniej tą trasą. Więcej przypadkowych osób kręciło się w pobliżu wychodzących na kanał drzwi Ca' Dario, lecz trudno było się do nich dostać od strony lądu. Poza tym wydostanie się z miasta wymagało łodzi, która na zdrowy rozsądek powinna zacumować właśnie tam, w najwygodniejszym miejscu, by zabrać Anglika z ładunkiem i pasażerami do Mestre albo na pokład okrętu czekającego w dokach.

Rozważyłem możliwości działania. Z uwagi na kraty odpadało wejście przez boczne okna na parterze domu. Pierwsze piętro i szykowny salon, gdzie wydałem Rebekę Anglikowi, były poza moim zasięgiem. Jeśli chciałem dostać się do wnętrza, musiałem wślizgnąć się od przodu tym samym łukowatym wejściem, którego Delapole zamierzał użyć do załadunku swego dobytku oraz wyprowadzenia pasażerów.

Nie było innej możliwości. Przywarłem plecami do zawilgotniałej bocznej ściany budynku i zacząłem przesuwać się po wąskim kamiennym gzymsiku biegnącym wzdłuż *rio* ku kanałowi. Gdy dotarłem do rogu, wyjrzałem ostrożnie. Dzięki Bogu za pospolitych wenecjan. W łodzi, z której unosiły się kłęby nikotynowego dymu, trzech mężczyzn siedziało wygodnie wśród załadowanych na pokład skrzyń. Zwróceni do mnie plecami przewoźnicy klęli na humory bogaczy, co to zamawiają łódź na piątą, a o szóstej wciąż jeszcze nie chcą wsiadać. Ulżyło mi. Wówczas jeden z nich podsunął:

– Może facet liczy na małe fiku-miku z tą panienką. Nie można go winić. Wcale ładniutka z niej sztuka. Moim zdaniem mają dobry powód, żeby siedzieć na górze.

Sposępniałem. Gdy tak plotkowali, przesunąłem się wzdłuż mokrej białej marmurowej fasady, aż dotarłem do wąskiego pomostu. Cicho wskoczyłem w rozwartą paszczę wejścia. Nikt mnie nie zauważył. Zatrzymałem się i oparłem o ścianę, by uporządkować myśli. U stóp zabłoconych schodów prowadzących do wnętrza zobaczyłem młotek. Nie chciałem znaleźć się w obecności Gobba lub Delapole'a z gołymi rękami, a żadna inna broń nie wpadła mi w oczy.

Podniosłem znalezisko. Zawisło ciężko u mojej dłoni niczym wahadło. Chwilę później wbiegłem na górę, pokonując po dwa stopnie naraz, i znalazłem się w korytarzu otaczającym salon. Z rozmów przewoźników na łodzi wynikało, że Delapole i Rebeka powinni być gdzieś tutaj, lecz nie miałem pojęcia, gdzie może być Gobbo. Nagle usłyszałem znajomy dźwięk i wstrzymując oddech, mocno zacisnąłem dłoń na trzonku. Z góry dobiegał niemożliwy do pomylenia z czymkolwiek ton skrzypiec Rebeki, na którego tle słychać było zimny głos Delapole'a.

Znajdowali się na piętrze dokładnie nad moją głową. Deski skrzypiały w rytm jego kroków. Tylko jeden odcinek schodów dzielił mnie od Rebeki. Wytężyłem słuch, by rozpoznać jeszcze jakieś dźwięki – na próżno. Gobbo nie mógł być w pobliżu – możliwe, że wymknął się z domu tylnym wyjściem, gdy ja potajemnie zakradałem się od przodu. Wydawało się, że jesteśmy sami, nie licząc znudzonych wioślarzy daleko w dole, którzy jednak nie przekroczyliby progu bez wezwania.

Zatknąłem trzonek młotka za pas, przycisnąłem mocno do brzucha żelazny obuch i cierpliwie, stopień za stopniem, wspiąłem się po schodach. Obie linie dźwięków, ton skrzypiec i rozkazujący głos, stawały się coraz głośniejsze. Piętro tonęło w półmroku. Znajdujące się naprzeciw schodów drzwi do salonu zasłaniała zawieszona w wejściu długa aksamitna kotara. Na ułamek sekundy ujrzałem przez jej rozchylone poły plecy przechadzającego się Anglika. Stanąłem tuż za materiałem i wreszcie ujrzałem Rebekę. Siedziała na krześle z instrumentem w rękach, przed stojakiem na nuty, na którym spoczywała pojedyncza zapisana strona. Delapole kroczył wokół niej niczym nauczyciel.

– Nie sądzę – mówił. – Jakaś część muzyki wypływa prosto z głowy, zanim się ją usłyszy, jest jak często powtarzane powiedzenie. Tej podręcznikowej definicji należy unikać za wszelką cenę.

– Panie – odparła znużonym głosem – jestem zmęczona. Sądziłam, że dziś w nocy wyruszymy.

– Tak, gdy tylko Gobbo znajdzie tego twojego brata. Daję im jeszcze trzydzieści minut i wypływamy. A do tego czasu pobawię się swą nową zabawką, jeśli zechcesz wyświadczyć mi tę przysługę. Graj, dziewczyno!

Stał odwrócony do mnie plecami. Odsunąłem zasłonę z twarzy, by mogła mnie zobaczyć, lecz jej umysł gdzieś błądził.

– Mam już dość – oznajmiła. – Nie będę więcej grać.

Podszedł do niej i ukląkł obok krzesła.

– Będziesz, moja droga, dla własnego dobra. Mamy powiedzenie, że diabeł zawsze gra najlepszą muzykę. Z twoim talentem do komponowania, a moim do... wygładzania, kto wie, jak daleko zajdziemy.

– Dość tego – powiedziała i ostrożnie ułożyła skrzypce w futerale.

– Ach tak. – Spojrzał na nią z wyrazem twarzy, który kiedyś określiłbym jako miły. Teraz już nie. – Więc znajdę sobie inną rozrywkę.

Chwycił ją jedną ręką i brutalnie zrzucił z krzesła na podłogę. Krzyknęła i chwyciła się za podbrzusze. Nie uczyniła tego jednak, by chronić swą cześć, lecz z bólu. Okrutnik nie zauważył tego. Zaczął rozpinać ubranie. Nagle szybkim ruchem poderwał połę sukni Rebeki i przesunął lubieżnie dłońmi po jej ciele. Czując ciężar młotka w garści, żałowałem, że nie wiem, czy Gobbo wrócił już do domu z Jacopem. Mieliśmy szansę na ucieczkę. Nie zamierzałem pozwolić, by Delapole znów nam ją odebrał, i postanowiłem uwolnić nas od niego jednym mocnym ciosem.

Nagle Rebeka zrobiła coś, co mnie zupełnie zaskoczyło. Odsunęła się od niego i splunęła mu w twarz. Delapole znieruchomiał na chwilę, po czym otarł policzki z plwociny ze złośliwym uśmiechem, z którego można było wnioskować, że słono zapłaci za swoją impertynencję.

– Nie dotkniesz mnie nigdy więcej – powiedziała zimno. – Jeśli spróbujesz, wydrapię ci oczy. Będę znosić tę farsę i komponować pod twoim nazwiskiem tylko po to, by zapewnić bezpieczeństwo mojemu bratu i Lorenzowi. Nic więcej nie dostaniesz. Noszę w sobie dziecko Lorenza. Nie pozwolę, by tacy jak ty kalali je w moim brzuchu.

W głowie zabrzmiały mi ostrzegawcze słowa Marchesego. Poczułem, jak siły wyciekają z moich kończyn i oparłem się o ścianę. Ledwie mogłem utrzymać młotek. Anglik wstał natychmiast i zapiął rozporek.

– Dziecko Lorenza? – spytał z twarzą pozbawioną wyrazu. – Jakież to słodkie. Nigdy wcześniej nie powiedziałaś mi o tym ani słowa, moja miła.

Wygładziła suknię i usiadła nieruchomo na dywanie. Ramionami otoczyła kolana. Walczyłem o to, by wziąć oddech i wykrzesać choć jedną rozsądną myśl.

– Mówię teraz. Dobrze to sobie zapamiętaj. Nie dopuszczę do tego, by twój jad zatruł to, co ma się ze mnie narodzić.

– Dziecko... – powiedział cicho, zamyślony. Znów próbowałem przyciągnąć uwagę Rebeki, lecz ponownie mi się nie udało. Gdyby zaszła taka konieczność, musielibyśmy zaatakować go wspólnie. Delapole podszedł do okna i zapatrzył się na Canal Grande.

– Przyznam, że nie sądziłem, iż tak szybko będę się musiał z tym zmierzyć ponownie. Pospieszyłaś się, dziewczyno. Zwabiłaś mnie w to prokrustowe łoże, choć jeszcze nie jestem gotowy. Co za strata.

Wstała powoli i zaczęła się wycofywać w kierunku drzwi, wciąż nieświadoma mojej obecności.

– Już późno – rzekła. – Musimy jechać.

Odwrócił się i machnął ręką.

– Och, nie w tej chwili. Mamy tu sprawę do dokończenia. Sama się o nią prosiłaś. Dziecko... – Wyraz jego twarzy zdumiał mnie. Wydawało się, że panuje nad sobą, lecz był odległy, jak gdyby inny Delapole wiódł życie pod jego skórą i teraz wychynął na powierzchnię, by na kilka chwil zająć to smukłe angielskie ciało.

– Słyszę czyjeś kroki na schodach, panie – ostrzegła Rebeka.

Nie było żadnych kroków. W domu panowała grobowa cisza. Nie mogła już odsuwać się dalej, jeśli nie chciała wyjawić planu ucieczki z pokoju. Czekałem i szykowałem się do działania.

– O nic się nie prosiłam – zauważyła. – O nic z wyjątkiem odrobiny przyzwoitości.

– Doprawdy? – Uczynił krok w jej stronę z dłońmi wciąż przyciśniętymi do piersi. – Och, dajże spokój. Oboje dobrze wiemy, jak się sprawy mają. Na świecie jest ni mniej, ni więcej tylko jedna kobieta. Możesz ją nazwać Ewą albo Lilit, wszystko jedno. Wyciąga życie z męskiego nasienia, żeby zasiać sobie w brzuchu śmierć mężczyzny. Gdybym dowiedział się o tym wcześniej, wydarłbym ten mały zalążek z twojego ciała, nim zaczął wzrastać. Lecz wówczas nie byłoby nam dane zaznać tylu wspólnych przyjemności. To byłaby wielka szkoda.

– Panie...

Potrząsnął jej pięścią przed nosem i postąpił dwa kroki naprzód. Zacisnąłem mocno dłoń na trzonku młotka i śledziłem każdy jego ruch.

– Cisza, dziecko! Nie pozwolę, żeby to się stało. O nie. – Sięgnął pod połę marynarki i coś wyjął. Przyglądałem się z niedowierzaniem. W jego zaciśniętej ręce tkwił długi wąski nóż podobny do chirurgicznego lancetu. – Zawsze przez was tak to się kończy. Zawsze to samo kłamstwo. I zawsze jednakowe remedium. A teraz nie ruszaj się, bo tylko pogorszysz sprawę. Zamierzam...

Ruszył ku niej. Wyskoczyłem zza zasłony, trzymając oburącz toporną broń.

– Lorenzo – powiedział miękko łotr, wpatrując się we mnie dziwnym wzrokiem. – Taka

nieproszona wizyta zupełnie ci nie przystoi.

Młotek trafił go w prawe ramię. Bark wyskoczył ze stawu. Nóż upadł na ziemię, a ja kopnąłem go mocno, posyłając w drugi koniec pokoju. Delapole osunął się na kolana i chwycił za ramię, gdzie krwawy kleks na koszuli zaczął się wnet rozrastać do rozmiaru wielkiej okrągłej plamy.

Chwyciłem Rebekę za rękę. Wpatrywała się w Anglika. Nie potrafiła lub nie chciała się poruszyć.

– Musimy iść – powiedziałem. – Teraz.

– Gdzie Jacopo? – spytała.

Delapole wił się, lecz nie krzyknął ani nie wydał jęku, choć musiał czuć potworny ból.

– Nie wiem. Miał tutaj być i pomagać ci w ucieczce. W domu chyba nikogo nie ma.

– Załatwił go na cacy, och, mój dobry piesek Gobbo. – Delapole zaśmiał się i nagle, ku mojemu zaskoczeniu, stanął na nogi, potrząsnął zakrwawionym ramieniem, jakby to miało je wyleczyć, po czym skłonił się nam z gracją. – Wystarczy mi jeden Żyd na utrzymaniu. Naprawdę sądziłaś, że jego też będę karmił? Gobbo poszedł, by go znaleźć, ale nie zamierzał z nim tu przychodzić. A teraz wróćmy do naszych spraw...

Podbiegł do leżącego w kącie noża, pochylił się i podniósł go zdrową ręką. Następnie odwrócił się ku nam i zaczął się zbliżać, markując ciosy w powietrzu.

– Lorenzo... – szepnęła Rebeka. – To nie może być prawda.

– Widziałem. A teraz uciekaj – rzekłem.

Skoczyła w bok ku kominkowi i chwyciła długi pogrzebacz.

– Nie bez ciebie – odparła – i nie bez mojego brata.

Delapole nie mógł się zdecydować, które z nas najpierw zaatakować. Stał tam po prostu, uśmiechając się, jakby to była jakaś gra.

– Nie uciekasz? Świetnie. Podoba mi się taki hart ducha. Podoba mi się...

Rzuciłem się na niego całym ciałem. Uskoczył w bok i przeciął powietrze długim ostrzem tak zawzięcie i z taką szybkością, że trudno było uwierzyć, iż jest ranny. Gdy dostrzegłem pędzącą ku mnie stalową ostrą kreskę, zasłoniłem się kotarą. Zobaczyłem, jak nóż tnie materiał niczym lancet miękką tkankę. Uderzyłem młotem w twarz napastnika. Delapole stracił równowagę i zachwiał się, a wtedy pogrzebacz Rebeki zatoczył długi łuk i trafił go w głowę. Anglik jęknął z bólu jak ranny kot i padł na kolana. Nie mogłem tego dłużej znieść.

– Chodź! – krzyknąłem. – Zostawmy tu tego szaleńca, policzy się z nim miasto.

Chwyciłem ją za rękę i spojrzałem jej w oczy. W tej sekundzie poczuliśmy między sobą bliskość, jakiej nie zaznaliśmy od wielu dni. Poruszyła się, ale wtedy leżąca na podłodze kreatura zawyła:

– Nie!

Diabelskie ostrze znów przecięło powietrze, a Rebeka krzyknęła i upadła na kolana, trzymając się za udo. Nóż wbił się głęboko w ciało. Ciemna krew wezbrała wokół rany i zaplamiła sukienkę. Chwyciłem za rękojeść i wyciągnąłem ostrze. Tuż nad kolanem widniało czerwone rozcięcie szerokie na dobre pięć centymetrów, z którego obficie płynęła krew.

Oddarłem z jej sukienki pas materiału.

– Obwiąż to – powiedziałem naglącym tonem. – Trzeba zatamować krwawienie. Musimy już iść.

Nie patrzyła na mnie, lecz skupiła wzrok na czymś za moimi plecami. Domyśliłem się wnet, co się dzieje.

– Lorenzo – wyszeptał Anglik. Doznałem pewnej satysfakcji, słysząc ból w jego zachrypłym głosie.

Odwróciłem się ku niemu. Przedstawiał sobą żałosny widok, z głową i ramieniem pokrytymi krwią. Jednak stał sztywno, wyprostowany niczym żołdak na paradzie, i wiedziałem, że za chwilę, z bronią czy bez, rzuci się na mnie.

Zasłoniłem Rebekę ciałem.

– Jesteś uparty, Angliku – rzekłem. – Co jeszcze mam ci zrobić? Połamać nogi, byś nie mógł chodzić? Pobić do nieprzytomności?

Znów się skłonił i uśmiechnął w znany mi sposób.

– No cóż, chyba musisz mnie zabić, chłopcze, inaczej ja wyświadczę tę przysługę tobie. Dzisiaj, jutro, za tydzień, za rok. To dla mnie bez znaczenia. Mam cały czas tego świata.

Młotek leżał między nami na podłodze. Delapole przysuwał się ku niemu. Nie mogłem uwierzyć, że znów trzeba będzie walczyć.

– Jesteś szaleńcem – powiedziałem. – Może skończysz w domu wariatów, co ocali cię przed śmiercią na szafocie, na którą zasłużyłeś.

– Zasługi, zasługi. Komuż się je przypisuje? Zwykle wszystkim, tylko nie prawdziwie zasłużonym.

Skoczył ku broni, lecz zdołałem kopnąć ją poza jego zasięg. Upadł na podłogę i spojrzał na mnie z przylepionym do ust uśmiechem.

– Twoje pojęcie wygranej jest bardzo wąskie – stwierdził – jak u każdego Włocha.

Nie zamierzałem dłużej tego słuchać. Chwyciłem Rebekę w pół. Słaniała się na nogach z bólu.

– Lorenzo! – szczeknął Delapole. – Spytaj ją, kto jej najlepiej dogadza. Czyj język jest najzręczniejszy i wyszukuje najwspanialsze kąski. Kto wchodzi w nią tak rozkosznie, że wyrywa się z jej ust błaganie. Spytaj, czyje dziecko tak naprawdę nosi...

Krzyknęła i spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami, które nie mogły kłamać. Odwróciłem się i popatrzyłem na zakrwawionego nędznika na podłodze.

– Ty głupcze – prychnął. – Jak sądzisz, ile kosztowały te skrzypce? Położyłem je na jej kolanach, które chwilę potem rozsunąłem. Lecz muszę przyznać, że zarówno jej rasa, jak i inne umiejętności pozostawały dla mnie sekretem, póki ty ich nie ujawniłeś.

Szukałem zaprzeczenia w jej spojrzeniu. Nic nie powiedziała, tylko wysunęła się z moich ramion.

– Biedny Lorenzo. – Delapole uśmiechnął się szyderczo. – A teraz...

Jeśli coś jeszcze mówił, nie usłyszałem. Poczerwieniało mi przed oczami jak nigdy wcześniej. Skoro tego sobie życzył, widocznie tak miało być.

– A teraz zakończę to na zawsze – odrzekłem, podnosząc młotek.

Rozpocząłem rzeź, a Rebeka przez chwilę przyglądała mi się, po czym z powodów, których z początku nie rozumiałem, dołączyła do mnie. Tam, na drugim piętrze Ca' Dario, młotkiem i nożem zmasakrowaliśmy człowieka znanego nam pod nazwiskiem Delapole, postępując metodycznie i uważnie, tak jak on zapewne postępował, zarzynając kobiety, które nieszczęśliwy przypadek postawił w przeszłości na jego drodze. Tłukliśmy i dźgaliśmy w stałym równym rytmie, aż powietrze przepełnił zapach krwi i mięsa, a z Anglika wyciekł duch. Wiedziałem, że już nigdy nie ujrzę pustej czerni przed zamkniętymi oczami. Zamiast tego zawsze widział tam będę czerwone plamy i słyszał plaskanie metalowego obucha o mięso.

Śmiał się z nas wśród ciosów, zupełnie jakby sam zaaranżował tę przemianę, która stała się naszym udziałem. Pod koniec, gdy krew wzbierała mu w gardle i nie mógł już mówić, mamrotał coś cicho. Dopiero później, kiedy szybko przebraliśmy się z zaplamionych krwią ubrań w czyste i potykając się, biegliśmy do wyjścia z tego przemienionego w trupiarnię domu, uświadomiłem sobie, co mamrotał Anglik, choć równie dobrze mogły to być jedynie majaki

mojego rozgorączkowanego umysłu. Cytował słowa, które John Milton zawarł w *Raju utraconym*.

Kto zwycięża mocą, ten pokonał
Wroga w połowie.[13]

Tamtego wieczora w Ca' Dario umarła tylko część Delapole'a. Reszta tkwi teraz w naszym wnętrzu niczym infekcja krwi i zapładnia nas jego diabelskim nasieniem. Czyniąc z nas swoich morderców, stał się naszym panem. Rebeka przyłączyła się do rzezi po to, aby dzielić ze mną wstyd.

To wszystko objawiło się przede mną w wielkim salonie nad Canal Grande, gdy długi wenecki dzień skłaniał się ku nocy. Oszalały i zrozpaczony przypadłem do wysokiego, wychodzącego na wodę okna, jakby za szybą czekało na mnie odkupienie. Roztoczył się przede mną przedziwny widok. Nie była to Wenecja, jaką poznałem i znienawidziłem – bliska, pozbawiona serca i zimna niczym grób. Powitała mnie za oknem panorama tak nieziemska, że zrozumiałem, iż ogarnęło mnie szaleństwo. Nie było już rozświetlonych, podobnych nawodnym ważkom gondoli. Zamiast nich po wodzie pływało mnóstwo różnych statków niosących na swych pokładach dziesiątki dziwnie ubranych ludzi. Wielki prom przesuwał się ociężale w poprzek kanału. Wokół niego mrowiły się inne łodzie, większe niż gondole i dwukrotnie szybsze, zaś na żadnej z nich nie było wioślarzy.

Kontur miasta rysował się na tle osobliwej żółtej poświaty jaśniejszej niż blask najjaśniejszych pochodni. Dziwaczne konstrukcje podobne do szkieletów gigantycznych stworzeń majaczyły na zachodnim krańcu San Marco i zdawało się, że chcą zamknąć stojące pod nimi budynki w swych wielkich szczękach. Za ołowiowymi szybami Ca' Dario rozpościerał się inny świat, zarazem znajomy i niedotykalny.

Poczułem, jak krew ścina mi się w żyłach. Może miałem przed oczami mgnienie raju, a może wizję nadchodzącego piekła. Stałem sparaliżowany i jakby przymocowany do okna, żałując, że nie mogę sięgnąć przez szkło i dotknąć owego zjawiska. Gdzieś tam w innym wszechświecie żyli i oddychali ludzie zupełnie nieświadomi mojej obecności. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Nagle pod sobą, na rufie jednego z tych wielkich żelaznych statków, ujrzałem wpatrzone we mnie oczy. Dziewczynka w białej sukience popatrzyła w górę – podobnie jak ja wiedziona przekleństwem jakiejś magicznej mocy – i spojrzała mi prosto w twarz poprzez dzielącą nas niezwykłą przestrzeń. I wtedy ta zjawa z przyszłości zobaczyła coś, co wywołało u niej atak przerażenia... a była to moja postać.

Jednego życia nie starczy. Niektórzy z nas muszą doświadczyć więcej, niż może pomieścić rozpiętość lat danych człowiekowi. Zobaczyłem porażone spojrzenie dziewczynki, popatrzyłem na własne zakrwawione ręce i jak bestia zawyłem.

W kryjówce 62

Massiter polecił taksówkarzowi, by wysadził ich na zachodnim krańcu promenady Zattere. Był to rejon, gdzie wiekowe zabudowania miasta stykały się ze skrajem dzielnicy pełnej współczesnych bloków ciągnących się od portu w kierunku północnym ku Piazzale Roma. W powietrzu unosił się wyczuwalny zapach paliwa okrętowego oraz smród spalin samochodowych z pobliskiego parkingu znajdującego się w granicach miasta, lecz już na stałym lądzie. Stare kamienice stały także tutaj – ich niskie krępe kształty czaiły się przy kiepsko oświetlonych ulicach.

Mężczyźni oddalili się od kanału Giudecca, przeszli przez mały mostek, zagłębili się w pełną smoliście czarnych cieni uliczkę, po czym wyszli na brukowany *campo* opodal kościoła o nieciekawej bryle. Massiter zatrzymał się na placu obok kolumny zwieńczonej figurą skrzydlatego lwa, który był ledwie widoczny w słabym poblasku żółtych reflektorów podświetlających kościół. Rozejrzał się wokół i wziął głęboki oddech.

– Widzisz kogoś? – mruknął.

Daniel przesunął wzrokiem po okolicy i stwierdził, że nie dostrzega żywej duszy.

– Chyba masz rację – przyznał Massiter. – Nie wiem, czy masz świadomość, że to jedna z najstarszych części miasta. Gdyby zrobić tu jakieś wykopaliska, kto wie, co można by znaleźć. Kościół Świętego Mikołaja – ten tutaj – ma prawie bizantyjską architekturę, został tylko trochę unowocześniony przez wandali.

– Jest późno – odparł chłopak. – Załatwmy nasze interesy, Hugo.

Starszy mężczyzna raz jeszcze rozejrzał się po *campo*.

– Oczywiście. Nie zawiedziesz mnie, prawda?

– Co masz na myśli?

– Ech, Danielu. Zrozum, wyświadczam ci w tym momencie wielki zaszczyt. Mam ten swój osobisty składzik od ponad dziesięciu lat i nie był tu praktycznie nikt spoza moich kręgów. Są tacy, którzy daliby wszystko, by poznać jego położenie. Złodzieje.

– Nie znam żadnych złodziei.

– Naprawdę? Więc policja.

– Nie widzę tu żadnych policjantów.

– Fakt.

Massiter ruszył energicznie w kierunku północnego rogu placu. Daniel podążył za nim.

– Miałem kuzyna w branży filmowej – wyjaśnił Anglik. – Pracował przy jednym filmie Roega[14]. Kręcili go głównie w tym kościele. Spotykaliśmy się przy różnych okazjach i... – Przeszli przez mostek, kierując się ku ciemności. – Rzecz w tym, że człowiek w dzisiejszych czasach potrzebuje ostoi. Jakiegoś miejsca, gdzie można przyprowadzać dziewczyny, zapalić coś,

mieć trochę prywatności. A później...

– Co się stało z twoim kuzynem?

– Zmarł – oznajmił głosem pozbawionym emocji. – Miał wypadek. Kiepsko mu szło w interesach. Naprawdę tragiczna sprawa. Byłem bardzo załamany.

Skręcili za róg w wąską uliczkę i po kilku krokach stanęli przed nowoczesnymi stalowymi drzwiami, które Massiter zręcznie otworzył. Daniel wszedł za nim do środka. Zaświecił się szereg jarzeniówek. Stali przed kontenerami ciągnącymi się rząd za rzędem.

– Interes przewozowy mojego przyjaciela. Ja sam nie mam z tym nic wspólnego. Chodź tędy.

Skręcił w lewo i dotarł do zielonych drzwi zabezpieczonych ciężkimi kłódkami i sztabami, które zaczął odsuwać, uzbrojony w pęk kluczy. Przez chwilę majstrował przy zamkach, klnąc na ich zapieczone mechanizmy, aż wreszcie udało się otworzyć dzwi. Namacał włącznik światła i Daniel ujrzał wąski, prowadzący w głąb ziemi ceglany tunel o wydeptanych kamiennych stopniach.

– Lubię sobie wyobrażać – powiedział Massiter – że kiedyś był tutaj skład win. Może powstał z przerobionej starożytnej krypty, kto wie? Zatrzasnąłeś zewnętrzne drzwi, te od magazynu, prawda? Cholera, nie będę się znowu szarpał z tymi wszystkimi kłódkami. Zamknę, jak będziemy wychodzili.

– Jasne.

– Dobrze. – Anglik sięgnął do kieszeni i wyjął mały czarny pistolet. – Trzymaj. Gdyby nam ktoś przeszkodził, zastrzel drania.

Daniel wpatrywał się w broń.

– Hugo, to nie mój interes.

Oczy starszego człowieka zapłonęły.

– Jak to nie? To jest absolutnie twój interes. W czym problem? Jeśli wykonam jeden telefon, wszystkie dowody wyparują stąd w ciągu sekundy. W dodatku nie będzie to pierwszy raz.

– Rozumiem.

– Mój drogi – powiedział z uśmiechem. – Pamiętaj, że jesteś oszustem, podszywasz się pod kogoś, kim nie jesteś. W poniedziałek byłbyś już w więzieniu, gdybyś zdecydował się ciągnąć dalej tę bzdurę z publicznym wyznawaniem grzechów. Proszę, nie udawaj teraz niewiniątka.

Daniel odsunął od siebie pistolet.

– Nie użyję tego.

– To po prostu mi go potrzymaj – odparł i ruszył schodami w dół. Daniel podążył za nim. Zostawił drzwi otwarte, podobnie jak wrota magazynu. Na razie nie słyszał za sobą żadnych dźwięków. Morelli ostrzegła go, że może jej być trudno zgrać wszystko dokładnie w czasie. Pistolet leżał w ręce zimnym ciężarem.

Gdy przeszli dwadzieścia stopni, niski sufit zniknął i pojawiła się przed nimi pogrążona w mroku przestrzeń. Massiter pstryknął włącznikiem na ścianie. Daniel wstrzymał oddech ze zdumienia. Znajdowali się u progu rozległej półokrągłej krypty o sklepieniu wspartym na lesie kolumn. Od szczytu każdej z nich odchodził łagodny łuk z cegieł. W krypcie było absolutnie czysto, jakby niedawno ją wysprzątano. Wydeptany bruk miał matowy połysk. Na podłodze leżały rozmaite przedmioty ponakrywane płachtami materiału – widać było prostokątne obrysy obrazów i mebli oraz inne trudne do rozpoznania kształty. Daleko w rogu stał zupełnie tu niepasujący współczesny tapczan, na którym leżała kupka szmat. Kiedy mężczyźni podeszli bliżej, Massiter pociągnął nosem. Na środku bawełnianej płachty widniał niedający się z niczym

pomylić kontur krwawej plamy.

– A niech to. Kłopot z tajemnymi kryjówkami jest taki, że od czasu do czasu człowiek sam musi w nich sprzątać. Zapomniałem to zabrać po pogawędce z twoim kolegą Rizzem. Nie spodziewałem się gości.

Danielowi zawirowało przed oczami.

– Rizzem?

– Ach, więc nie poznałeś jego imienia? Cholerny złodziejaszek, który sprzedał ci mojego guarnera. Sam mi to w końcu wyznał, chociaż i tak zgadłem wcześniej. Nigdy nie ufaj wenecjanom. W ostatecznym rozrachunku zawsze cię oszwabią.

Daniel milczał, a Massiter zaśmiał się i poklepał go po ramieniu.

– Spokojnie, nie gniewam się o to. Byłem nawet zadowolony. To mnie przekonało, że mam w rękach dobrego ucznia.

– Nie jestem...

– Jasne, nie jesteś. A teraz, czym mogę służyć?

Ruszył przez salę, ściągając po drodze płachty ze swoich skarbów.

– Mam tu naprawdę pokaźną kolekcję. Może interesuje cię rosyjskie złoto wyzwolone przez nazistów? Ikona z Bośni? Bizantyjski relikwiarz? A może pamiątka z Szanghaju, chińska porcelana? Nie...

Przebiegł przez salę i zdjął płachtę z wielkiego obrazu. Daniel zapatrzył się w potężne, osadzone w złoconej ramie dzieło. Stworzył je bez wątpienia wenecjanin, w dodatku temat był znajomy. Obraz namalowany ze swobodą i gracją przedstawiał dwóch nagich mężczyzn walczących na śmierć i życie, z których jeden wznosi nad drugim połyskujący srebrzysty nóż.

– Tycjan, czy raczej Tiziano, jeśli wolisz – objaśnił Massiter. – *Kain zabija Abla*. Lepszy niż ten w Salute, na pewno się zgodzisz. Tamten był tylko rozgrzewką przed namalowaniem mojej ślicznotki.

– Skąd ty bierzesz te rzeczy, Hugo?

Popatrzył na niego spod oka i znów przyjrzał się obrazowi.

– Och, Danielu, nigdy nie zadawaj kolekcjonerowi takiego pytania. Zdecydowanie wolę Kaina, co chyba nie jest dla ciebie niespodzianką.

Chłopak stał pomiędzy nim a tunelem prowadzącym do wyjścia. Na górze rozległ się bardzo cichy dźwięk.

– No dobrze, a teraz znajdziemy jakiś prezent dla ciebie. Tycjan nie wchodzi w grę, rzecz jasna. Gdyby wypłynął, spowodowałby masę problemów dla nas obu, a ty chyba nie jesteś gotowy – jeszcze – na posiadanie własnej kryjóweczki. Jednak są tu i takie przedmioty, które nie mają skomplikowanej przeszłości. To ma być rzecz dla ciebie, prawda? Nie chcesz wystawić jej na aukcji? Sam czasem co prawda sprzedaję, ale obraziłbym się, gdybym odkrył, że chodzi ci po prostu o pieniądze.

Znów usłyszał szmer dochodzący z góry. Miał nadzieję, że tylko on.

– Po co trzymasz te wszystkie przedmioty, Hugo? Co z nich masz, skoro leżą tu w ukryciu?

Anglik zamrugał.

– Są moje. Co jeszcze miałbym z nich mieć?

– Ludzie także są twoi?

– Jeśli ich potrzebuję. I, oczywiście, jeśli sami proszą. Nie umiałbym skusić świętego. Idę tylko tam, gdzie mnie zapraszają. Ty akurat powinieneś dobrze o tym wiedzieć.

Daniel popatrzył na stojący w rogu tapczan. Massiter powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem.

– To zwykłe łóżko.

– Tutaj?

– Ma wiele funkcji. Przede wszystkim służy dostarczaniu przyjemności. Przynajmniej mnie.

– Powiedz mi, Hugo, ta dziewczyna dziesięć lat temu... Jej ciało znaleziono niedaleko stąd. Zabrałeś ją do tego łóżka?

– Susannę Gianni? No pewnie. – Wzruszył ramionami. – Przynajmniej próbowałem. Była piękna. Dużo mi zawdzięczała, a gdyby żyła, jej dług wobec mnie byłby jeszcze większy.

Daniel przypomniał sobie o broni, którą trzymał w ręku.

– Nie zrozum mnie źle – wyjaśnił Massiter. – Już ci mówiłem, że lubię, jeśli trochę walczą. Ale ona wciąż oddychała, kiedy z nią skończyłem. Gdyby posłuchała mojej rady i doszła do siebie przed wyjściem, na pewno ciągle by żyła. Nie wiem, kto wrzucił tę biedaczkę do kanału, ale to nie byłem ja. Wcale nie życzyłem jej śmierci. W końcu miała jeszcze tyle do zaoferowania. A poza tym...

Dotknął podbródka, szukając odpowiednich słów.

– Szczerze mówiąc, ja wcale nie skończyłem z tą dziewczyną. Ciągle czuję się oszukany. Jest w tym wszystkim jakaś tajemnica, która nie przestaje mnie intrygować. – Stanął przed nim, popatrując na pistolet. – Musisz wybrać coś dla siebie. Po to tu przyszliśmy.

Daniel spojrzał w jego twarz, lecz nie dostrzegł w niej żadnych ludzkich uczuć.

– Chciałbym oczywiście odzyskać guarnera. A także nuty, które znalazłem. Wszystkie.

– Ha! Scacchi był sprytny. Zobaczył w tobie potencjał znacznie wcześniej niż ja. Myślałeś kiedyś o tym w ten sposób?

W umyśle Daniela Forstera zapłonął płomień gniewu nieznanego mu wcześniej rodzaju.

– Skrzypce i trochę nut... Zabiłeś Paula za takie drobiazgi? I Scacchiego także?

Hugo ryknął śmiechem.

– Doceń mnie. Jestem w pełni odpowiedzialny za ich śmierć. Pewien knypek na moje zlecenie wślizgnął się do szpitala na Lido i delikatnie udusił Scacchiego, kiedy głupie pielęgniarki ucinały sobie akurat drzemkę. Zresztą byli jak papużki nierozłączki. Zostawić przy życiu tylko jednego to grzech. Zrozumiałem to tamtej nocy, kiedy ich odwiedziłem. Amerykanin nie był łatwym przeciwnikiem, gdy tylko zorientował się, po co przyszedłem. Nie dał mi wyboru.

Wściekłość, która obudziła się w Danielu, pozbawiła go słów. Massitera jego reakcja chyba rozbawiła.

– Nie gniewaj się. Zabiłbym Scacchiego z grzeczności własnoręcznie, ale ryzyko okazało się zbyt duże. Nie zrobiłem tego ze złośliwości, zrozum. Nie mogłem jednak pozwolić, by obudził się i zaczął rozpowiadać wszem wobec, jak to na nich napadłem, prawda?

– Ale czemu w ogóle to zrobiłeś? To nie byli liczący się ludzie. Umierali. Czy takie zachowanie nie jest za niskie jak na ciebie?

Hugo wydawał się rozczarowany.

– Dziwię się, że o to pytasz. Zrobiłem to, bo ukradli coś cennego, co należało do mnie, i nie chcieli tego oddać. Jaka może być większa zbrodnia? Zostałem obrabowany i oszukany przez tego starca. To się wcale nie musiało zdarzyć.

Daniel uniósł broń i wymierzył w jego twarz.

– Mogę cię zabić. Nie obchodzą mnie konsekwencje.

– Oczywiście! – Wzruszył ramionami. – Ale ja i tak nie mogę oddać ci ani guarnera, ani nut. Oni ich nie mieli. Zdążyli je upłynnić, do czego przyznali się dopiero wtedy, gdy Scacchi zaczął rzęzić, a Amerykanin dostał kilka klapsów na zachętę. Narobili przy tym sporo hałasu i musiałem się szybko ulotnić. Usłyszałem czyjeś kroki na schodach. Myślałem, że to ty

schodzisz, a ja nie mam w zwyczaju zostawać, kiedy sprawy się komplikują. Poza tym na moje oko kłamali. Chcieli się mnie pozbyć. Ale instrumentu naprawdę tam nie było, prawda? Teraz widzisz, co mam na myśli, mówiąc o tajemnicy?

Daniel czuł ciężar pistoletu w dłoni. Massiter wciąż miło się uśmiechał, kiedy lufa znajdowała się kilka centymetrów od jego czoła.

– No i co? Nie mamy całej nocy. Jaka jest twoja cena? Na pewno nie guarner, nie mam go. Chcesz w zamian mnie?

Chłopak popatrzył w szare oczy mężczyzny i ujrzał w nich rozbawienie. Wiedział, że Massiter go prowokuje. Opuścił broń i rzekł:

– Tak, ale nie martwego.

– Więc to tak? – Wyraz zadowolenia na jego twarzy w ogóle się nie zmniejszył.

Na schodach zabrzmiały kroki. Massiter odwrócił się teatralnym gestem ku wejściu. Giulia Morelli wkroczyła energicznie do sali, a za nią pojawił się wysoki ciemnowłosy mężczyzna w dżinsach i białej koszuli z długim policyjnym rewolwerem w wyciągniętej ręce.

– Pani kapitan? – powiedział miłym głosem Anglik. – Chyba pani nie podsłuchiwała? To bardzo brzydki zwyczaj.

Podeszła ku nim szybko, nakazała podnieść ręce i obszukała go. Uniósł ramiona, rozbawiony. Poły jego marynarki rozchyliły się i odsłoniły gruby skórzany portfel tkwiący w wewnętrznej kieszeni.

– Ile? Niech pani bierze, ile chce.

– Co? – warknęła.

– Moja droga, mogę panią przekupić. A jeśli nie panią, to pani zwierzchnika. A jeśli nie jego, to tego, kto stoi nad nim. W tym mieście jedna pchła ssie krew drugiej. Pani pozycja w tej hierarchii jest mało ważna. A jaka to zbrodnia panią tu przyciągnęła? Mały przemycik?

– Trzy zabójstwa, signor Massiter. I Susanna Gianni.

– Ach tak...! – odparł, jakby coś sobie przypomniał. – Pani ciągle się piekli o tę dziewczynę. Przecież to już historia.

– Jest pan wpływowym człowiekiem, ale z tego się nie wywinie, wręczając łapówki. Mam nadzieję, że będziemy się zachowywać z godnością. Jeśli pójdzie pan teraz ze mną na komisariat, unikniemy zamieszania. I rozgłosu.

– Raczej nie pójdę – oznajmił. – Nie chciałbym pani rozczarować.

Przestąpiła nerwowo z nogi na nogę. Daniel spojrzał ku schodom. Nie było tu nikogo więcej, a Morelli chyba oczekiwała wsparcia.

– Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu – powiedziała. – Idziemy.

– Biagio! – Massiter odwrócił się do jej towarzysza. – Jak się masz?

Popatrzyła na swojego partnera stojącego naprzeciwko. Nie od razu zrozumiała sens tych słów. Młody policjant trzymał pistolet luźno przy boku.

– Dobrze, signor Massiter.

Anglik skinął głową.

– Cieszę się. Rzecz jasna, wciąż jestem twoim dłużnikiem za wieści na temat Rizza i całą twoją pomoc. Jestem niezmiernie wdzięczny.

– Biagio...? – wyjąkała Giulia.

Massiter ziewnął.

– Na litość boską, człowieku, zabijże tę sukę. Nudzi mnie.

Daniel ujrzał, jak policjant unosi rewolwer. Skoczył na niego, usiłując wydobyć własną broń, lecz w tej samej chwili Anglik ruszył do przodu i uderzył go mocno w kark, przewracając na podłogę i zakleszczając w uścisku mocnych ramion.

W sali zabrzmiał ogłuszający huk wystrzału, którego echo odbiło się od nagich ceglanych murów. Giulia Morelli zrobiła chwiejny krok w tył, w jej żakiecie ziała czarna dziura. Z otworu lała się krew. Biagio przyglądał się uważnie, gotów strzelić po raz drugi, gdyby było trzeba. Policjantka oparła się o ścianę i osunęła na podłogę. Wykrztusiła jakieś nieartykułowane słowo, po czym krew wypłynęła jej z ust i ściekła po podbródku.

– Przeklęta baba – Massiter zaklął gniewnie i szarpnął chłopaka, tak by ten stanął na nogach. Pistolet był znowu tam, gdzie być powinien: w dłoni Anglika. – Co ty sobie wyobrażałeś, do diabła?! Trzymałeś z nią, chociaż mogłeś ze mną! Ze mną! Jedynym człowiekiem, który nigdy cię nie okłamał!

Daniel dostrzegł wściekłość w jego spojrzeniu. Zupełnie jakby dopuścił się wobec niego potwornej, okrutnej zdrady.

– Dokonałem wyboru – odparł. – Nie był to wybór ani dobry, ani zły, tylko mój własny.

– A ja ci wyjawiłem takie rzeczy. Powiedziałem, że zamordowałem twoich przyjaciół, że zabijam, kiedy mam ochotę. Miałeś w ręku pistolet, ale go nie użyłeś.

Massiter popatrzył na broń, uniósł ją i wycelował w jego twarz. Biagio stanął obok nich. Spod ściany naprzeciwko dobiegło jęknięcie. Morelli wciąż żyła, choć była w ciężkim stanie.

– Stanowisz dla mnie zagadkę – stwierdził Hugo. – W jednej sekundzie widzę w tobie wielki potencjał, a w następnej...

Nagle uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Jasne! Już wiem! Wydaje ci się, że to wszystko moje sztuczki. – Wylot lufy dotknął jego skroni. – Kuszę cię pustymi obietnicami, na mecie nie ma nagrody. Och, Danielu.

Cofnął nieco pistolet.

– Zupełnie mnie nie rozumiesz.

Z palcem na spuście wykonał nagły obrót i w sali ponownie zabrzmiał ogłuszający grzmot wystrzału. Daniel zobaczył dziurę w czole Biagia, który poleciał do tyłu rażony siłą pocisku. Ciało zwaliło się na ziemię i zamarło w bezruchu. Massiter patrzył na trupa.

– Jestem dobrym panem – mruknął – ale ci policjanci... Dla nich liczy się tylko forsa, nic więcej.

W powietrzu unosił się zapach krwi i gryzący smród spalonego prochu. Daniel zamknął oczy i poczuł metal na policzku.

– Możemy posprzątać ten bałagan – powiedział Massiter. – Jeden telefon. Zajmą się tym moi ludzie. Przez chwilę trzeba będzie trzymać się z daleka od Wenecji. Zniknąć z oczu. Sprawy się uspokoją, to kwestia czasu i pieniędzy.

Chłopak milczał.

– Wynagrodzę cię. Dostaniesz więcej, niż jest w tej sali.

– Idź do diabła – szepnął świadom tego, że się trzęsie. – Nie jestem taki jak ty.

Massiter chwycił go za włosy i mocniej przycisnął lufę do policzka.

– Każdy jest taki jak ja. To tylko kwestia proporcji.

Próbował myśleć o Laurze i Amy, tak wspaniałej w nawie La Piety, wydobywającej cudowne dźwięki ze skrzypiec. W jego głowie istniał spójny, uporządkowany, kompletny świat. Mógł w nim przebywać przez wieczność i Hugo Massiter nigdy nie miałby tam wstępu.

Rozdygotany, lecz oczyszczony z lęku, stał prosto w podziemnej sali i oczekiwał na śmierć. Nagle uchwyt rozluźnił się. Nie było huku, nie nastąpił nagły ból ani nie nadeszła czerń. Wreszcie otworzył oczy.

Hugo Massiter bezgłośnie opuścił salę. Na podłodze obok rewolweru Biagia znajdował się teraz także pistolet. W drugim końcu pomieszczenia leżała w bezruchu, z trudem chwytając powietrze, Giulia Morelli. Słyszał jej urywane oddechy.

Podbiegł do niej i wyjął z torebki telefon. Nie było zasięgu, musiał wyjść na zewnątrz. Dotknął jej chłodnego czoła i wtedy Giulia otworzyła oczy.

– Daniel? – powiedziała zduszonym głosem.

– Nic nie mów. Massiter zniknął. Jesteś bezpieczna. Idę na zewnątrz wezwać karetkę. Wyzdrowiejesz.

Przysunęła rękę do piersi, poczuła na palcach lepką wilgoć, popatrzyła na niego i spróbowała się roześmiać.

– Nie mów bzdur. Chcę ci coś powiedzieć. Daniel? – Chwyciła go za rękę. Czekał. Coś zmieniało się w jej oczach. Gasły, wypływało z nich życie.

– Nie, poczekaj tu chwilę.

– Daniel...

Wyszeptała jedno enigmatyczne zdanie, a potem nie powiedziała już nic.

Z dziennika kapitana Giuseppego Cornara, oficera straży nocnej, 17 września Roku Pańskiego 1733.

Szubrawiec Lorenzo Scacchi nie żyje. Osobiście zaciągnąłem jego przeklęty zewłok pod pieniek i z zadowoleniem przypatrywałem się, jak kat doży posyła go do piekła, gdzie jego miejsce. Przez wszystkie lata, jakie poświęciłem na chronienie Republiki przed pozbawionymi moralności diabłami, nie spotkałem tak zuchwałego łotrzyka. Jego cwaniactwu dorównywało chyba tylko zamiłowanie do brutalnej przemocy. Ach, ileż zła wyrządził! Przez tego podłego przestępcę miasto wiele straciło. Zabił wydawcę o znacznej renomie będącego ni mniej, ni więcej, a jego wujem. Następnie, w swoich ostatnich godzinach na tej ziemi, odebrał życie człowiekowi, który pragnął wzbogacić Republikę dzięki swym talentom i hojności. Dobrzy i pokorni lgną do piersi Boga, a posyłają ich tam źli i podli. Nie będąc księdzem, nawet nie próbuję odpowiedzieć na pytanie, czemu takie straszne czyny mają miejsce. My, żołnierze straży nocnej Dorsoduro, widzimy tylko, jak łotrzy próbują wcielać w życie swe plany, i staramy się temu z całych sił zapobiec.

Fakty związane z morderstwem drukarza są powszechnie znane, jednak zdarzenia mające związek ze śmiercią angielskiego dżentelmena Olivera Delapole'a stanowią w mieście przedmiot plotek, z których wiele zapewne rozpuścił sam Scacchi. Dokumenty przy nim znalezione zapisane są bardzo podobnym charakterem pisma co kilka anonimowych donosów, które trafiły w nasze ręce. Jako przedstawiciel władz zapisuję tu wszystko i czyniąc to, zapewniam czytających ten raport, że dalsze dochodzenia nie dostarczą już żadnego więcej wartościowego materiału. Rzeczony zbrodniarz nie żyje. Straszny plon jego czynów trwa. Nie traćmy więcej czasu i pieniędzy Republiki, by dopisywać kolejne zarzuty do listy jego przestępstw.

By uczynić zadość sprawiedliwości i pamięci pana Delapole'a (oraz by ukoić gniew angielskiego konsula), pozwolę sobie złożyć oświadczenie, iż wyjąwszy kłamstwa łotra, nie znajdujemy żadnych dowodów jego domniemanych przewin. Były co prawda długi, lecz czy jest taki dżentelmen, który od czasu do czasu nie musi wesprzeć się nieco na zaufaniu banku? Podnoszono też kwestię autorstwa tajemniczego koncertu. Ja nie jestem artystą, panowie, a jedynie tropicielem faktów. Wobec tego stawiam następujące pytanie: skoro Delapole nie napisał tego dzieła, któż to uczynił? Nie pojawił się bowiem nikt, nawet najbardziej ewidentny oszust, by zażądać umieszczenia swego nazwiska na okładce. Z miejsca też odrzucam paplaninę, jakoby na dziele ciążyła klątwa. Gdyby kompozytor żył – a wtedy z pewnością umiałby odtworzyć utwór z pamięci – po cóż miałby milczeć? Gdyby nawet nie postawił już w życiu ani jednej nuty, za to jedno dokonanie zyskałby sławę i bogactwo. Delapole na pewno był twórcą dzieła, zaś oszukańcze pogłoski, które rozpuszczał jego morderca, miały służyć tylko

zrujnowaniu Anglika. Tragedia jest tym większa, że szubrawiec, zaszlachtowawszy autora na śmierć, najprawdopodobniej zniszczył własnoręcznie wszystkie arkusze nut.

Słowa zabitego rzymianina odrzucam, jako że był on szaleńcem. Przesłuchałem wszystkich, którym po swym przybyciu do Wenecji naopowiadał o rzekomej przeszłości Delapole'a, wysuwając otwarte, a niczym niepoparte oskarżenia pod jego adresem. Ten człowiek był niezrównoważony. Znał Scacchiego, który to gościł u niego w Rzymie, i może tam właśnie tak bardzo rozchwiał jego poczucie rzeczywistości, że starszy pan ruszył za nim do Wenecji, gdzie wszczął rwetes. Przybycie Marchesego wiązało się z ryzykiem, że gra mordercy wyjdzie na jaw – i wszyscy wiemy, czym się to skończyło. Mam armię świadków, którzy widzieli, jak Scacchi stał nad ciałem starego człowieka z wciąż ociekającym krwią nożem. Czy trzeba jeszcze innych dowodów?

A gdzie logika w tym wszystkim? – zapyta ktoś słusznie. Mroczne głębie uczynków Scacchiego są dobrze udokumentowane, lecz wciąż nie znamy ich przyczyny. Odpowiedzią musi być, rzecz jasna, kobieta. I faktycznie, kobieta się pojawia. Kiedy poszliśmy z wizytą do Delapole'a, by omówić kwestie oskarżeń wysuwanych przez Marchesego, i znaleźliśmy zmasakrowane zwłoki gospodarza, postanowiłem porozmawiać z innymi osobami, które mieszkały w jego domu. Młoda piękna dziewczyna gościła tam przez kilka dni. Ją także znał Scacchi. Zniknęła. Zapewne jej ciało spoczywa teraz na dnie laguny wrzucone tam przez tego zawistnego łotra. Brak możliwości, by się tego dowiedzieć, ja zaś śmiem twierdzić, że nie ma to większego znaczenia. Znamy naturę uczynków oraz tożsamość ich sprawcy. Spotkał go zasłużony los. Reszta to próżne gadanie, a ja, jako strażnik obywateli Republiki, nie mam na nie czasu. Potwór nie żyje, a ja raz w życiu nie pomodlę się za duszę zmarłego. Widziałem jego dokonania. Trudno było mi uwierzyć, że kupa mięsa leżąca na podłodze wśród podartych szmat, kiedyś chodziła, mówiła i tworzyła piękną muzykę. Nawet w to, że w ogóle była człowiekiem.

Przedstawię tu jeszcze krótko sprawę pojmania Scacchiego. Jak wspomniałem, posłano mnie, choć nie było to pilne, do Anglika, bym pomówił z nim o kilku sprawach, a po przybyciu zobaczyłem wcześniej opisany koszmar. Opodal domu, w uliczce nad kanałem, moi ludzie znaleźli człowieka, który jak twierdzili, ujął łotra, gdy ten próbował zbiec. W wyniku bójki między nimi młody Scacchi – rozpoznany przez owego jegomościa, który widywał go wcześniej w okolicy – został poważnie ranny w pierś i twarz, w wyniku czego nie był w stanie wymówić choćby jednego zrozumiałego słowa. Nie było zresztą o czym rozmawiać. Na własne oczy ujrzeliśmy ogrom jego przestępstw i zatrzymalibyśmy go nawet bez nakazu wydanego po tym, jak w brutalny sposób zamordował swego wuja.

Nie muszę chyba dodawać, że nie było potrzeby organizowania pełnego procesu. Znakomity sędzia śledczy Cortelazzo wybiegł z proszonej kolacji i pospieszył, by wysłuchać szczegółów sprawy, podczas gdy półżywy Scacchi chwiał się na krześle, pilnowany w celi przez młodzieńca, który go pojmał. Jest to zresztą znakomity człowiek. Gdyby jeszcze poczekał, zaproponowałbym, aby wynagrodzić go wysoką sumą z miejskich funduszy. Pracuje jako lekarz. Wracał właśnie od pacjenta, kiedy spotkał porażonego strachem i pokrwawionego Scacchiego, który zażądał odeń pieniędzy i zaatakował go. Raz jeden trafiła kosa na kamień. Profesja tego dżentelmena okazała się zresztą bardzo przydatna, jako że szubrawiec, gdyby nie opieka medyczna, nie dożyłby zapewne momentu, gdyśmy go zaciągnęli pod pieniek. Jak to czyni wielu Wenecjan w chwili próby, lekarz ten odpowiedział na wezwanie i nie żądał nagrody. Przyglądałem się, jak kat toporem odrąbuje głowę Scacchiego, a gdy się odwróciłem, tamtego już nie było. Zapamiętałem jednak jego nazwisko – Guillaume – oraz adres w Cannaregio. Pewnego dnia, gdy nastaną spokojniejsze czasy, odwiedzę go i podziękuję. Z takich właśnie ludzi – samych dobrych chrześcijan – składa się Wenecja.

Pora na podsumowanie. Świat pozbył się kolejnego łotra, lecz stracił z jego krwawych rąk dwóch dobrych utalentowanych mężczyzn. Diabelski wąż nawiedził nas, a my byliśmy gotowi. Choć nie ma powodu do świętowania, ufam, że możemy czuć się w pewnym stopniu usatysfakcjonowani. Do jednej sprawy muszę jednak zgłosić zastrzeżenie. Pojmalibyśmy Scacchiego znacznie wcześniej, gdybyśmy byli lepiej poinformowani. Opisy na listach gończych rozwieszonych w mieście – nie wiem, kto był ich autorem – mówiły o młodziku przeciętnej budowy i miłego oblicza. Zapewne sam je spreparował, gdyż w rzeczywistości Lorenzo Scacchi, pokrwawiony i poraniony, był najbrzydszym osobnikiem, jakiego miałem przywilej odesłać do Hadesu. Nawet gdyby jego twarzy nie szpeciła rana po pionowym cięciu noża, i tak byłaby potworna. Co więcej, na plecach wyraźnie zaznaczał się garb podobny do tych, jakie noszą kaleki lub trędowaci. Gdyby młody Guillaume nie potwierdził jego tożsamości, obawiam się, że łotr mógłby się wymknąć mimo wszystkich naszych wysiłków.

Może to słodki Jezus uśmiechnął się do nas w tamtej chwili i poprzez dobrego doktora zesłał promień, który prześwietlił przebranie potwora. W przyszłości jednak wolałbym otrzymać kilka ścisłych faktów, by nie trzeba było fatygować Pana.

Na krańcu laguny 64

Daniel Forster dość niemrawo odpierał zarzuty. Dwóch oficerów policji nie żyło. Duże sumy pieniędzy wyłudzono od kilku znanych instytucji muzycznych świata. Zarówno opinia publiczna, jak i prokuratorzy wiedzieli, że prawdziwym sprawcą jest Hugo Massiter. Nie można go było jednak znaleźć, zniknął z powierzchni ziemi tamtej nocy, gdy zginęli Giulia Morelli i Biagio. Daniel natomiast, jedyny winowajca, jakiego wymiar sprawiedliwości miał w garści, pozostał i przyznał się do współuczestnictwa w niektórych przestępstwach Massitera. Ponieważ nie udało się go powiązać z zabójstwami, prokuratorzy wytoczyli sprawę o defraudację i zagrali wysoko, żądając trzech lat więzienia, co – ku ich wściekłości – przyjął z pokornym wzruszeniem ramion.

Nie widział powodu, aby się sprzeciwiać. Wciąż odczuwał potrzebę odkupienia win. Potrzebował także czasu na rozmyślanie. W małej nowoczesnej celi w Mestre, którą dzielił z przemiłym gangsterem z Padwy o imieniu Toni, zaczął poszukiwać wyjaśnienia zdarzeń, jakie stały się jego udziałem w czasie tego długiego, pełnego niebezpieczeństw lata. Był lubianym więźniem. Udzielał Toniemu lekcji angielskiego i zawarł z nim głęboką przyjaźń, o której obaj wiedzieli, że przetrwa czas odsiadki. W więzieniu dowiedział się również wielu przydatnych informacji. Potwierdziły się słowa Giulii – Scacchi nie był nikomu winien pieniędzy, a dom, którego obecnie był właścicielem, nie został wcale zastawiony. Biorąc pod uwagę jego wartość, Daniel stał się człowiekiem zamożnym i pozostał nim nawet po tym, jak uiścił grzywny nałożone przez sąd. Po czterech miesiącach, kiedy władze więzienia zrozumiały, że nie zamierza uciec, zaczął wychodzić na przepustki, by kontynuować edukację. Nikt jednak nie wiedział, że planuje przeciąć i tak już słabe więzy z Oksfordem i poświęcić się innego rodzaju badaniom.

Po pierwsze, zainteresował się posiadłością. Sprzedał niemal zrujnowany, przylegający do budynku magazyn i za uzyskane pieniądze opłacił remont głównej części domu. W ciągu roku w Ca' Scacchi powstały trzy apartamenty, z których dwa wykupili Amerykanie. Wchodziło się do nich odnowionym mostkiem nad *rio*. Podczas nadzorowania prac remontowych oraz przebudowy piwnicy Daniel zaczął stopniowo coraz bardziej interesować się kwestią autorstwa koncertu. Dzieło szybko osiągało status standardu w repertuarze orkiestr świata. Skandal związany z tajemnicą pojawienia się utworu w Wenecji nie przeszkodził w inkasowaniu pieniędzy. Mimo wszystko nigdy nie miał najmniejszych wątpliwości, że koncert zasługuje na podziw. Były w nim lżejsze momenty i gdzieniegdzie bezwstydne wybuchy fajerwerków mających zadziwić słuchacza. Jednak towarzyszyły im również głębie, którymi Daniel nigdy nie przestał się zachwycać, choć znał już chyba każdą nutę tego dzieła.

Przy pomocy i dzięki wsparciu ze strony naczelnika więzienia udało mu się uzyskać nieograniczony dostęp do Archivio di Stato, biblioteki zawierającej wszystkie ocalałe dokumenty

z czasów Republiki Weneckiej. Budynek ten znajdował się za Frari, rzut kamieniem od kościoła Świętego Rocha. Spędzał w archiwum całe poranki, przerzucając tysiące stron zapisanych przez urzędników miejskich w roku 1733. Po kilku tygodniach zaczęło to wyglądać na beznadziejne przedsięwzięcie. I nagle, pół roku od chwili skazania, Daniel natrafił na fragment raportu sporządzonego przez strażnika ze straży nocnej Dorsoduro. Większą część dokumentu zniszczyła wilgoć i pleśń. Z całości pozostał czytelny tylko jeden akapit, lecz to wystarczyło. Było tam odniesienie do „tajemniczego koncertu" oraz zabójstw związanych z dziełem. Pojawiło się także nazwisko pewnego Anglika, który, co potwierdzał ów raport, był bez wątpienia autorem utworu. Po śmierci kompozytora wszystkie arkusze z nutami zostały zniszczone z nieznanych przyczyn. Nie było tam żadnej wskazówki, dlaczego oryginał ukryto za cegłami w piwnicy Ca' Scacchi, lecz wydawało się prawdopodobne, że jednemu z przodków Scacchiego zlecono druk manuskryptu.

Daniela czekało wiele interesujących badań, zanim te fragmenty informacji można będzie przetworzyć w coś przypominającego fakty. W dni powszednie wychodził na przepustkę, brał autobus na Piazzale Roma, po czym szedł do archiwum, gdzie przeczesywał kilometry półek w poszukiwaniu śladów. Nazwisko Delapole pojawiło się jeszcze kilkakrotnie, lecz nigdy w związku z muzyką. Był on człowiekiem zadłużonym, tak jak to opisał oficer nocnej straży. Autorzy kilku fragmentów prywatnych listów komentowali także jego charakter, uznając go jednogłośnie za człowieka kulturalnego i czarującego. W ciągu kilku tygodni Daniel zebrał każdą, nawet najkrótszą wzmiankę o Delapole'u. Kiedy chciał porozmyślać, szedł za róg do San Rocco, siadał w cieniu Lucyfera i pozwalał faktom krążyć w swojej wyobraźni. Zastanawiał się, w jaki sposób można je poukładać, by do siebie pasowały.

Po dziesięciu miesiącach udało mu się stworzyć mniej więcej spójną historię i zdał sobie sprawę, że dopełnić ją może inną opowieścią – o odnalezieniu zaginionego koncertu. I tak, obok tragicznych losów Olivera Delapole'a, w jego umyśle zaistniał jeszcze jeden wątek. Była to historia pewnego oszustwa, człowieka nazwiskiem Hugo Massiter oraz jego przyjaciela, który za swoje sztuczki zapłacił życiem. Kilku zainteresowanych wydawców wskazało istniejące w niej braki, lecz Daniel był nieustępliwy – to fakty, a nie powieść sensacyjna. Historia nie mogła mieć eleganckiego, ładnego zakończenia. Musiały w niej pozostać tajemnice. Wątpił, czy nawet Hugo Massiter potrafiłby je wszystkie rozwiać, gdyby się pojawił.

Podpisano umowę. Książka poszła do druku zaskakująco szybko. Anonimowy koncert, jak go teraz nazywano, znów zaczął wzbudzać sensację na świecie. Żaden wydawca nie chciał pozostać na bocznym torze. Po dwudziestu miesiącach od wyroku, w chwili gdy Daniel Forster mógł zacząć ubiegać się o przedterminowe zwolnienie, jego książka stała się międzynarodowym bestsellerem. Był dość bogaty, miał przed sobą obiecującą karierę pisarską i posiadał rezydencję w sercu miasta. Myśl o powrocie do Oksfordu nawet nie pojawiła się w jego głowie. Miał teraz ważniejsze zadania.

W pewien wrześniowy poniedziałek zadzwonił Toni. Podał adres. Miał też parę uwag. Szukał przez kilka tygodni, ale wciąż nie był do końca pewny. Ludzie się zmieniają. Brakowało bieżących fotografii. Byłoby więc rozsądnie przyjrzeć się jej najpierw w miejscu publicznym, zanim podejmie się ryzyko odwiedzin w domu.

Następnego dnia Daniel wsiadł do vaporetto linii numer jeden, który powoli przeniósł go na drugi koniec laguny do Lido. Przypomniał sobie swoją pierwszą podróż przez te niepewne wody, która odbyła się zaledwie dwa lata wcześniej na wspaniałej Sophii pod dowództwem, przynajmniej chwilowym, Kserksesa. Wówczas nikt jeszcze nie rozpoznawał Daniela. Dziś nosił cienki wąs i miał krótko przycięte włosy, dzięki czemu udawało mu się zmylić ciekawskich.

Niepewny własnych uczuć, przyglądał się zbliżającemu się molo. Gdy wyszedł na brzeg,

skierował się na południe ku odległej o dwa kilometry dzielnicy z targiem. To była inna strona Wenecji, zwyczajna, podobna do reszty świata. Na Lido jeździły samochody i autobusy. Smród spalin mieszał się z aromatem oleandrów.

Przeszedł nad kanałem wiodącym do kasyna, po czym ruszył szeroką, wysadzaną drzewami aleją w kierunku nabrzeża. Miasto majaczyło na horyzoncie po drugiej stronie laguny, jego kontur z dominującą kampanilą na placu przyciągał spojrzenie. Ulica ustąpiła miejsca tłocznemu bazarowi. Daniel założył okulary przeciwsłoneczne i chwilę później zagubił się w pulsującej hałaśliwej masie ludzi wykłócających się żywiołowo nad straganami, na których rozłożono ubrania, warzywa, ryby i sery.

Znalazł ją w ciągu kilku minut. Laura stała przy ladzie obok małej ciężarówki i targowała się o cenę wielkiego kawałka parmezanu. Miała na sobie biały nylonowy fartuch. Tak jak wcześniej, włosy wiązała z tyłu głowy. Z wyglądu nie postarzała się nawet o jeden dzień. Pamiętał jej zapach, gładkość jej skóry. Nagle ruszyła w kierunku głównej drogi i zniknęła mu z oczu. Poszedł za nią, lecz zdążyła już wsiąść do jednego z pomarańczowych autobusów, których trasy przecinały zygzakiem Lido, łącząc małe lotnisko na północnym krańcu wyspy z plażą Alberoni na południowym. Drżącą ręką wyciągnął kartkę z adresem od Toniego, opuścił targ i złapał następny autobus jadący na południe.

Podróż do Alberoni trwała dziesięć minut. Nigdy nie był tak daleko w głębi laguny. Otaczały go warzywne poletka i połacie suchej trawy, małe restauracje i hoteliki oraz, tu i ówdzie, sklepy. Podmiejskie wille stały za murkami ogradzającymi posesje. Miały pomarańczowe okiennice, a przed nimi w ogródkach rosły róże.

Spytał o drogę młodą kobietę z dzieckiem w wózku spacerowym. Dom znajdował się na końcu ślepej uliczki biegnącej ku nadmorskiej części wąskiego skrawka lądu. Daniel poszedł w jego kierunku dziurawą szutrową drogą i znów zobaczył nylonowy fartuch. Stała za dwuskrzydłową metalową bramą, świeżo pociągniętą zieloną farbą. Był z nią młody przystojny blondyn w białym podkoszulku i dżinsach, o szlachetnych rysach opalonej twarzy. Daniel domyślił się, że zajmował się przycinaniem ozdobnych krzewów róż uformowanych w eleganckie kształty przy bramie, kiedy przyszła Laura z zakupami. Zamienili kilka słów, po czym człowiek nachylił się i pocałował ją w oba policzki, a ona podała mu siatki.

Myśli zawirowały mu w głowie. Zatrzymał się w pół kroku i zaczął się w nich wpatrywać. Mężczyzna odwrócił się w jego stronę i patrzył z zaskoczeniem. Laura także się odwróciła. Była za daleko, by mógł dostrzec wyraz jej twarzy. Kiedy podszedł do bramy, zasłoniła usta dłonią. Blondyn powiedział do niej coś, czego Daniel nie usłyszał, uchwycił jedynie amerykański akcent w głosie.

W tym momencie z domu wyszedł drugi mężczyzna, niższy, ubrany tak samo jak ten, który pocałował Laurę, lecz znacznie od niego starszy. Nosił okulary grube niczym denka od butelek. Popatrzył na niego i otworzył bramę, zachęcając go gestem, by wszedł. Daniel zrobił to, nie mogąc oderwać wzroku od dziewczyny.

– Chyba czas się zbierać, John – powiedział młodszy z mężczyzn, ostrożnie otaczając ramieniem starszego. – Laura ma gościa.

– Facet?

– Na to wygląda. Masz jakieś imię, przyjacielu?

– Daniel – wtrąciła Laura. – Nie widzieliśmy się przez jakiś czas. To są John i Michael.

– Pierwszy mężczyzna, jakiego tutaj widzę – odezwał się zmieszany John. – No cóż, to się musiało kiedyś stać. To co, idziemy na tę premierę czy nie?

– Jasne, już wychodzimy. Festiwal filmowy – dodał Michael tytułem wyjaśnienia. – Można powiedzieć, że siedzimy w tym biznesie.

John zamachał kluczykami do samochodu.

– A więc zostawmy młodych samym sobie. Ty prowadzisz. Ja będę pił.

Po tych słowach skierował się w stronę garażu, pod którym stała lśniąca alfa romeo.

– Lauro – rzucił Michael ze złośliwym uśmiechem – możesz go zabrać do środka. Mnie to nie przeszkadza, nie będę liczył noży po powrocie.

Rzuciła mu karcące spojrzenie, które Daniel natychmiast rozpoznał, po czym powiedziała:

– Chodź!

Wziął siatki z zakupami. Gdy wchodzili do wnętrza domu, dobiegł ich basowy warkot silnika samochodu. Laura poprowadziła go do dużego przestronnego salonu, w którym pod oknem stało błyszczące pianino Bechsteina, po czym usiadła w fotelu, położyła nogi na stoliku do kawy i popatrzyła na niego. Daniel przysiadł na taborecie przy pianinie.

– Postarzałeś się – stwierdziła.

– Ty wyglądasz dokładnie tak samo.

– Pochlebstwo. Zaniedbałam się. – Sięgnęła za głowę, rozwiązała włosy i potrząsnęła nimi, by je uwolnić. – Prawda?

Teraz, kiedy rozpuściła włosy, zauważył, że są dużo dłuższe.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Za sięgającymi podłogi oknami znajdował się ozdobny ogród w angielskim stylu pełen różowych, białych i błękitnych roślin. Była tam też pergola obrośnięta dziką czerwoną różą, a pośrodku zbudowano zegar słoneczny. Daniel przez chwilę podziwiał ogród, po czym powiedział:

– Skąd ty ich bierzesz? Znowu przerabiasz historię z Paulem i Scacchim.

– Nieprawda – stwierdziła stanowczo. – Ci są zupełnie inni. Michael jest producentem filmowym. A John... pomaga mu. Mają pieniądze. Mają dobry gust. Są uczciwi. Przez większą część roku ich nie ma i sama opiekuję się domem.

– Podoba ci się taki układ? – spytał, żałując nuty dezaprobaty, która wybrzmiała w jego głosie. – To, że jesteś sama?

Popatrzyła na niego bez urazy, nie spodziewał się jej zresztą.

– Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało. Kiedy poszedłeś do więzienia, byłam naprawdę wściekła. Dlaczego się nie broniłeś? Chyba tamtego lata wszystkich nas ogarnęło jakieś szaleństwo. Mnie zresztą największe, o czym sam się przekonałeś. Zresztą nieważne... – Zawahała się i uciekła spojrzeniem w stronę ogrodu. – Nie chciałam cię znowu widzieć – dodała. – Żałuję, że udało ci się mnie odnaleźć.

– Rozumiem – odparł miękko.

– Przykro mi. Mam tu nowe życie. Nie chcę, by coś je zakłócało.

– Oczywiście.

Jej nozdrza rozszerzyły się – rozpoznał kolejną znajomą reakcję.

– No cóż – powiedziała cicho. – Tak to wygląda. Teraz masz swoją karierę pisarską i Ca' Scacchi.

– Nie chciałem Ca' Scacchi. Pół domu ciągle należy do ciebie. Nawet cały, jeśli chcesz.

– Ha, więc po to przyszedłeś! Zamierzasz mnie przekupić!

Zaśmiał się, a ona usiłowała powstrzymać chichot.

– Wcale nie. Przyszedłem, żeby cię wkurzyć. Chyba ostatnio nikt tego nie robił. Kiedyś bardzo to lubiłaś.

Odsunęła się z fotelem i jej twarz znalazła się w cieniu.

– Proszę, nie graj ze mną w żadne gry. Nie chcę niczego ani od Scacchiego, ani od ciebie.

Ta część mojego życia jest zakończona. Zostaw mnie w spokoju.

– Zostawię, ale musisz najpierw coś dla mnie zrobić.

– Co?

– Zagraj. Zagraj na guarnerze. Musisz go mieć, także nuty. Miałem dużo czasu na przemyślenia w więzieniu. Proszę, zagraj.

Wynurzyła się z cienia.

– Zwariowałeś? O czym ty mówisz? Ja na niczym nie gram. Jestem pokojówką.

– Nie – powiedział stanowczo. Wyjął z kieszeni stary wycinek z gazety i położył go na stoliku między nimi. Nie popatrzyła na artykuł opatrzony krzykliwym nagłówkiem i zdjęciem dziewczyny. Teraz, gdy miała dłuższe włosy, podobieństwo między nią a nastoletnią Susanną było uderzające, lecz z pewnością nie stuprocentowe. Mimo to Daniel rozumiał, dlaczego Scacchi trzymał Hugona z dala od swojego domu. – Udajesz, że jesteś pokojówką, ale ja znam twoją prawdziwą tożsamość, Susanno Gianni. Jesteś dziewczyną, którą Massiter próbował posiąść dwanaście lat temu i prawie zabił. Która od tamtego czasu się ukrywa i żyje samotnie, ponieważ błędnie wierzy, że inaczej nie przetrwa. I może również po to, by mnie ochronić. Jesteś taka jak Scacchi: oszukujesz, by chronić. Dlatego wbrew mojej woli pchnęłaś ku mnie Amy. Ją także chciałaś ocalić przed Massiterem. A to nie tak, Lauro. Każdy musi mieć możliwość wyboru, nauczenia się czegoś od czasu do czasu.

– Daniel! – Potrząsnęła głową i popatrzyła na niego. – O czym ty mówisz? Ta dziewczyna nie żyje!

Wspomniał dzień, kiedy uświadomił sobie to wszystko. Był właśnie w kafejce opodal Frari i myślał o zaginionych skrzypcach oraz o tym, jak bardzo Massiter ich pożądał.

– Nie. To jedyne sensowne rozwiązanie. Morelli też się tego domyślała i próbowała mi o tym powiedzieć przed śmiercią.

– To jakieś bzdury.

Miał to wszystko poukładane w głowie, podobnie jak historię Olivera Delapole'a.

– Massiterowi udało się mnie zwieść, przez co uznałem, że chodzi mu o guarnera. Ale on nie interesował się instrumentami, żadnego nawet nie posiadał. Tym, co miało dla niego największe znaczenie, byli ludzie. Sprawa śmierci Susanny Gianni wydawała mu się dziwna. Wiedział, że jej nie zabił. Sam mi to powiedział.

Nawet nie drgnęła, siedziała tylko spokojnie z założonymi rękami i przyglądała mu się, jakby zwariował.

– Z tego właśnie powodu kazał Rizzowi otworzyć grób – ciągnął. – Nie mógł tam, rzecz jasna, przyjść osobiście, bo to zwróciłoby na niego uwagę. Jednak musiał rozwiać swoją niepewność, czy Susanna faktycznie zginęła. Nie miał pojęcia o guarnerze w trumnie, więc nie wiedział, że jego chłopak na posyłki go wykradł. Ale kiedy instrument pojawił się na rynku, zobaczył w tym okazję. Chciał je zdobyć, by przekonać się, czy są to te same, które kupił dziesięć lat wcześniej. To z kolei mogło oznaczać, że przeżyłaś i sprzedałaś je z konieczności. A skoro tak, mógłby znów zacząć cię szukać, starając się odzyskać to, co według niego było jego własnością.

Sceptycznie uniosła brew.

– Planujesz napisać kryminał?

Zignorował tę kpinę.

– W dodatku Scacchi natychmiast zrozumiał niebezpieczeństwo. Wiedział o skrzypcach, bo sam z niechęcią umieścił je w trumnie na skutek twoich nalegań. Dowiedział się, że trumnę ktoś odkopał przed czasem, posługując się fałszywymi papierami, które załatwił Massiter. Scacchi potrzebował tego instrumentu, ale wcale nie po to, by pokryć koszta leczenia albo spłacić

jakichś gangsterów. Mieliśmy tak myśleć, podczas gdy on wciąż zamierzał cię chronić, co robił już od dziesięciu lat. Zapragnął, żebyś pewnego dnia znów mogła stać się sobą. Ten dzień chyba właśnie nadchodził, kiedy Massiter go zabił. Na Sant' Erasmo powiedziałaś, że Scacchi zamierza podzielić się z tobą jakąś tajemnicą. A co innego mogłoby to być, jeśli nie skrzypce? Znał cię i kochał, Lauro. Nie chciał, byś ukrywała się do końca życia w przebraniu.

Spojrzała na niego z kwaśną miną.

– To zwykłe brednie. Wszystko ci się w tym więzieniu pomieszało.

– Wcale nie – odparł. – Tam sobie właśnie wszystko poukładałem. Oszustwo Scacchiego zadziałałoby, gdyby nie Rizzo. Massiter odkrył jego zdradę i torturował, aż złodziej wszystko wyznał przed śmiercią. Wtedy Massiter wiedział już, że Scacchi jest w posiadaniu instrumentu i nie zamierza go sprzedawać. Po co człowiek taki jak on miałby w ten sposób postępować? Było tylko jedno wyjaśnienie: Susanna wciąż żyła, a jej tożsamość utrzymywana była w tajemnicy. Z tego właśnie powodu Massiter odwiedził w nocy Scacchiego i Paula: chciał z nich wydobyć prawdę. Zginęli, by cię ochronić.

– Uszanuj ich pamięć – powiedziała suchym tonem. – Opowiadasz jakieś smutne bajki. Zresztą skoro ja mam być tą zamordowaną biedaczką, to czyje ciało leży w trumnie?

Uśmiechnął się. Natychmiast wykryła słaby punkt w jego rozumowaniu.

– Tego nie wiem. W zeszłym tygodniu spytałem Piera...

– Piera? – zapytała rozgniewana. – Zamęczasz tego wieśniaka swoimi fantazjami?

– Spytałem go, co się wtedy stało i czy przypadkiem Scacchi nie dał mu czegoś na przechowanie. Oczywiście zaczął krzyczeć i udawał obrażonego. Tak jak ty teraz.

– Piero to człowiek niespełna rozumu!

– Nie, tak jest w wersji, którą podtrzymujecie. W rzeczywistości jest on dobrym lojalnym przyjacielem, jakim był od samego początku. To on – popraw mnie, jeśli chcesz – powierzył cię opiece Scacchiego tej nocy, kiedy Massiter cię napadł. Może to on cię znalazł, a może ty znalazłaś jego. Tego nie wiem. Scacchi wysłuchał twojej opowieści. Znał Hugona i wiedział, że nie odpuści i będzie cię ścigał. Myślę także...

Przerwał, nie chcąc jej niepotrzebnie zranić.

– Ta historia staje się coraz bardziej fantastyczna – powiedziała ponuro. – Proszę, kontynuuj.

– Twoja matka zmarła rok później. Nie chcę przysparzać ci więcej bólu.

Popatrzyła na niego rozszerzonymi oczami, w których chyba pojawił się strach.

– Co wiesz o mojej matce?

– Jak sądzę, uznała, że powinnaś być z Massiterem. Żyłyście w ubóstwie. Zapewne widziała w tym szczęśliwy zbieg okoliczności. Twoje uczucia były dla niej drugorzędne. Przerażał cię, napastował i chciał zrobić z ciebie swoją własność, ale to się dla niej nie liczyło. Amy także starał się usidlić poprzez jej rodziców. Podobna sztuczka.

– Teoryjki! Bajeczki! Usiłujesz rozebrać przeszłość na części, jakby to było coś, o czym przeczytałeś w jednej z tych swoich książek. A jednak w trumnie ciągle leży trup dziewczyny.

– Oczywiście – zgodził się. – Piero dostarczył ciało. Przecież pracował w kostnicy. Przejrzałem gazety z tamtego okresu. Na lagunie w ten sam weekend zatonęła mała łódź wioząca imigrantów z Bośni. Zginęło dwoje ludzi – nastolatka i młody chłopak. Scacchi, gdy chciał, potrafił manipulować ludźmi równie skutecznie jak Hugo. Z pomocą Piera załatwił odpowiednie dokumenty i w ten sposób ciało dziewczyny znalazło się w *rio*, a nie w krematorium. A potem po prostu zidentyfikował je jako Susannę Gianni. Nieraz widziałem go w akcji.

– Jasne. I sądzisz, że policja dałaby się zmylić?

– Nie na długo. Lecz tutaj natura Massitera zadziałała na twoją korzyść. Gdy zaczął się

obawiać, że prawda wyjdzie na jaw, wykorzystał wszystkie swoje wpływy, by obciążyć winą biednego dyrygenta i doprowadził do zamknięcia sprawy. Mógł zostawić jakieś ślady na ciele dziewczyny, więc zadbał, żeby nikt go nie oglądał.

Milczała. Daniel poczuł suchość w ustach. Przedstawił wszystkie dowody zgodnie z opracowywanym przez wiele miesięcy planem. Gdyby jednak Laura zdecydowała się uparcie wszystkiemu zaprzeczać, nie mógłby wiele więcej zdziałać.

– Nie wiem, czy przed tamtą nocą byłaś jego kochanką jak Amy – ciągnął niepewnie. – Ale on nie tylko cię wtedy pobił. Musiało stać się coś więcej. Coś tak koszmarnego, że zdecydowałaś się zamienić w inną osobę i wyzbyć się całej swojej tożsamości. Poprosiłaś nawet Scacchiego, by pochował twój instrument w trumnie.

Odwróciła się od niego i utkwiła spojrzenie w ogrodzie.

– Miał wątpliwości co do tej ostatniej sprawy, ale o tym pewnie sama wiesz. Kupując guarnera, próbował ukryć cię przed Massiterem i, jak sądzę, liczył na to, że w pewnej chwili odzyskasz swoją prawdziwą tożsamość, a przynajmniej jej część. I wydaje mi się...

Zawahał się znowu, bo skuliła się mimowolnie, jakby przed atakiem.

– Kochana – odezwał się po chwili pewnym głosem. – Byłem w tamtym miejscu. Zszedłem tamtym tunelem, stałem w tamtej podziemnej sali. Widziałem obrazy i cały jego dobytek, i tapczan w rogu...

– Przestań! – Laura ukryła twarz w dłoniach. Podszedł do niej, ukląkł i dotknął jej ciepłych miękkich dłoni.

– Przepraszam – powiedział cicho. – Nie zamierzałem cię dręczyć. Chciałem tylko ci powiedzieć, że ja także wejrzałem w głąb umysłu Hugona Massitera. Wiem, co tam czyha.

Odsunęła ręce i spojrzała na niego. Wyglądała teraz na osobę, która doświadczyła czegoś, czego jemu oszczędzono. Daniel poczuł się winny, że sprowadził na nią takie cierpienie.

– Nic nie wiesz. Nie masz bladego pojęcia, jak to jest, kiedy pochłonie cię ten człowiek, a ty nie widzisz szans na uwolnienie.

– Mam pojęcie. Widziałem to w twarzy Amy.

– A ona jest teraz wolna. – W głosie Laury zabrzmiało zdziwienie. Przesunęła dłonią po jego włosach, palcami musnęła wąsik.

– Chyba tak – odparł. – Wolna na tyle, na ile to możliwe. Zastanawiam się, czy ktokolwiek z nas zdołał wymknąć mu się w zupełności. On już cię nie posiadał, ale naznaczył twoje życie do tego stopnia, że stałaś się inną osobą i ukryłaś się w Ca' Scacchi.

Spojrzała na niego zimno.

– Tak sądzisz? Czy tego właśnie ode mnie oczekujesz? Spowiedzi?

Milczał. Zrobiło mu się głupio.

– Jeżeli to wszystko prawda, jaki ty masz w tym interes?

– Wiesz jaki.

– Nie – odparła. – Nie zamierzam w to brnąć. Przeszłość to przeszłość i nie ma potrzeby do niej wracać. Czemu z ciebie taki bystrzak, Danielu...? Czemu Scacchi nie wybrał jakiegoś głuptaska?

– Nie można zanegować tego, co się stało, Lauro. Nie można tego wymazać.

– Naprawdę? Więc sądzisz, że powinniśmy z Pierem przy każdej rozmowie wspominać o tamtej nocy, kiedy znalazł nagą, ledwie żywą nastolatkę i uratował jej życie? A ja, ilekroć spotkam jakiegoś kruchego staruszka, powinnam opowiadać, jak Scacchi leżał w fotelu i jak wypływała z niego strumieniem zwariowana historia o Massiterze, tobie i skrzypcach, podczas gdy Paul leżał obok nieżywy, a ty spałeś w moim łóżku?

Usiłował coś powiedzieć, ale nie potrafił znaleźć słów, chociaż czuł się tak, jakby głowa

miała mu zaraz eksplodować.

– Nie podoba mi się ta fryzurka – stwierdziła. – Za krótka, sterczy. Nie da się nawet wsunąć w to ręki. Wąsik też musi zniknąć. W pewnym sensie masz zdumiewająco zły gust.

– Dziękuję – powiedział, uśmiechając się.

– Jak się tego wszystkiego domyśliłeś, Danielu?

– Myślałem o dniu na łodzi Hugona. Siedziałem tam z nim i Amy. Gdy odbijaliśmy od molo, obejrzałem się za siebie i zauważyłem cię w parku. Miałaś na sobie czerwony podkoszulek, dżinsy i okulary przeciwsłoneczne. Wpatrywałaś się intensywnie w łódź. Na początku myślałem, że to z mojego powodu...

– Mężczyźni! – prychnęła. – Cały świat kręci się wokół waszych pępków.

– Właśnie. Ale oczywiście chodziło o Massitera. Chciałaś popatrzeć na niego z daleka i przekonać się, czy wciąż jest tak odrażający.

– Miałam ochotę wejść na pokład i wydrapać mu oczy. Nie podobało mi się, że siedzisz obok niego. Jednak bałam się. Wciąż się boję.

– Jechałaś wtedy zobaczyć się ze swoją matką.

– Ach... – powiedziała tylko.

– Kiedy nudziłem się w więzieniu, wyobrażałem sobie, jak układa się twoje życie. Zastanawiałem się, co robisz w danej chwili. Myślałem też o tym, co robiłaś tego lata, kiedy cię przy mnie nie było. Na przykład te wycieczki do Mestre...

– Wyznaję – powiedziała szybko – miałam kochanka. Kierowcę ciężarówki, który pchał wszędzie łapy i cuchnęło mu z ust. Chodziło tylko i wyłącznie o seks.

– Bzdura! – zawołał. – Przemyślałem to dokładnie. Nie mogłaś grać w Ca' Scacchi, żeby nie kłopotać starego. Dlatego jeździłaś do Mestre na spotkania jakiegoś kółka muzycznego. Może to był kwartet smyczkowy? Wypożyczyłaś tanie skrzypce, grałaś poniżej swoich możliwości, ale grałaś, i tylko to się liczyło.

Jej zielone oczy zwęziły się.

– Nie chcę już więcej słyszeć o pańskich przemyśleniach, panie Forster. Stoją za tym nienaturalne zdolności.

– Proszę mi wybaczyć.

– Poza tym ciągle przepraszasz za wszystko. Zresztą faktycznie miałam kochanka. Raz. Nie jestem jakąś wstydliwą dziewicą.

Dotknął jej policzka, po czym delikatnie, ze zdenerwowaniem, przesunął dłonią po jej włosach.

– Znowu masz kochanka.

– Och, Danielu. – Odwróciła się szybko, lecz zdołał dostrzec zmianę w jej nastawieniu.

– Proszę, zagraj dla mnie, Lauro. Bardzo długo na to czekałem.

Nachyliła się, pocałowała go lekko w czoło, zmierzwiła krótkie włosy karcącym gestem i wyszła z pokoju. Po dziesięciu minutach, które wydawały mu się wiecznością, pojawiła się znowu. Nie miała już na sobie białego fartucha. Długie włosy rozpuściła na ramiona, dokładnie tak, jak na zdjęciu w gazecie. Trzymała grubego brązowego guarnera, którego Daniel miał w rękach całe wieki temu, w jakimś innym życiu, gdy stał w magazynie w dzielnicy Arsenale.

Kiedy na nią patrzył, zabrakło mu słów. Wyglądała jak nowa, odmieniona osoba, jak gdyby Susanna Gianni wyślizgnęła się spod skóry Laury.

– Nie zawsze noszę mundurek – powiedziała. – Nie jestem zakonnicą. Przestań rozdziawiać usta jak ryba. Nie dodaje ci to uroku.

– Ja tylko...

– Cicho! Siedź i słuchaj, proszę.

Laura stanęła przy pianinie wyprostowana, z determinacją na twarzy. Panowała cisza. Umieściła skrzypce pod brodą i opuściła smyczek na struny. Wybrała najtrudniejszy fragment – wirtuozerski finał koncertu. Daniel zamknął oczy i słuchał jej gry. Pozwolił, by pełne mocne brzmienie guarnera wypełniło każdy centymetr jego świadomości.

Amy grała ten kawałek znakomicie, lecz przy Laurze była zaledwie amatorką. Teraz w muzyce słychać było intensywność i dzikie dojrzałe piękno, którego brakowało we wcześniejszych wykonaniach. Laura opanowała każdą kadencję i harmonię do takiej perfekcji, że nie pozostało już miejsce na zmiany. W jej muzyce brzmiała ulotna, niemal nadprzyrodzona doskonałość.

Kiedy skończyła, a on wciąż milczał, ze zdumieniem uniosła brwi.

– Czemu jesteś taki zaskoczony? Mogę tu ćwiczyć. Nie muszę już jeździć do Mestre i ukrywać się za każdym razem, gdy najdzie mnie ochota wyjąć smyczek. Jak sądzisz, w jaki sposób spędzam te długie samotne miesiące, kiedy Johna i Michaela nie ma w domu?

Wstał i za jej pozwoleniem wziął guarnera do rąk. Instrument był osobliwy, wielki i świetnie wykonany. Ale dźwięk, który się z niego wydobywał... Daniel oddał jej skrzypce. Przypomniał sobie tamten dzień w Arsenale i nagły rozbłysk kolorów w głowie. Rizzo bał się instrumentu. On chyba trochę też.

– Dobrze zagrałam? – spytała.

– Niesamowicie.

– Dziękuję! Naprawdę sądzisz, że to Anglik napisał taki cudowny utwór? Czytałam twoją książkę.

Daniel zirytował się.

– Wszystkie dowody prowadzą do takiego wniosku. Czemu niby nie miałby tego napisać?

Laura zaśmiała się.

– Nie bądź taki obrażalski. Po prostu według mnie ta muzyka do niego... nie pasuje. To raczej dzieło kobiety.

– Masz na myśli: dzieło dedykowane kobiecie?

– Nie. Dzieło kobiety. Czuję to, gdy gram. To ty jesteś historykiem. Powiedz, czy to bzdura.

– To byłoby na pewno... powiedzmy... niezwykłe.

Wzruszyła ramionami.

– Może i tak. Czasem za dużo śnię na jawie. Ty też?

– Tylko o tobie – odparł. – Chciałbym usłyszeć cię w Ca’ Scacchi, Lauro.

Spochmurniała.

– Nie mogę. Pomyśl tylko. Na pewno wiesz dlaczego.

– Nie mam pojęcia. Posiadam dom, który oboje uwielbiamy i w którym bez ciebie jest pusto. Tak samo jak w całym moim życiu. I to od dnia, kiedy pierwszy raz płynęliśmy łodzią Piera, ale wtedy byłem za głupi, by zdać sobie z tego sprawę.

Wtuliła twarz w jego szyję, objęła w pasie, a potem na jego skórę popłynęły jej ciepłe łzy. Wyszeptała mu do ucha:

– Według Scacchiego wszyscy walczymy o drogę do nieba. Wypierałam tę myśl, bo tak było lepiej i dla mnie, i dla niego, ale odkąd cię poznałam, czułam, że urodziłam się, by walczyć o drogę do ciebie.

– Więc to nas łączy...

– Nie – zaprzeczyła. – Tak być nie może. Nie rozumiesz, kim ten człowiek jest naprawdę? Diabłem. Żyje. Czeka. Pewnego dnia przyjdzie po nas. Przyjdzie nas pochłonąć, bo uważa, że daliśmy mu takie prawo.

– Massiter zniknął. Nikt nie wie, gdzie jest.

– On nas obserwuje. Ciebie szczególnie. Jesteś teraz bogaty i sławny, piszesz książki. Nie zastanawiałeś się nad tym? Odniosłeś ze związku z Massiterem więcej korzyści niż ktokolwiek inny.

Ciąg rozumowania Daniela, tak dotychczas spójny, załamał się.

– Po co miałby wracać? Chce się zemścić?

– Nie! Czy ty tego nie rozumiesz? Posiąść nas, Danielu. Posiąść nas do cna, włącznie z duszą.

Za oknem, ponad odległym horyzontem Adriatyku, rozpościerało się doskonałe bezchmurne niebo.

– Mogłeś go zabić. – W jej głosie zabrzmiało oskarżenie. – Czytałam o tym. Dlaczego tego nie zrobiłeś?

Od czasu do czasu sam zadawał sobie to pytanie i nigdy nie wahał się przed odpowiedzią.

– Bo gdybym to zrobił, stałbym się taki jak on. Zstąpiłbym do jego piekła. I straciłbym cię na zawsze, zresztą zasłużenie.

Była nieporuszona.

– Ten diabeł będzie nas ścigał. Taka jest jego natura.

– I co z tego? Nie ma nad nami władzy, chyba że mu ją damy. Jeżeli posiądziemy się nawzajem pełniej, niż Hugo Massiter potrafi sobie wyobrazić, nie pozostanie dla niego nic, co mógłby zawłaszczyć. Nie będzie takiej przestrzeni w naszym życiu, którą mógłby zająć.

Laura cofnęła dłonie, unikając jego spojrzenia.

– Mimo to przyjdzie – powiedziała miękko. – Pewnego dnia.

– Być może – przyznał. – Lecz gdybym wyszedł stąd bez ciebie, to i tak nie miałoby dla mnie znaczenia.

W głębi jej oczu zapłonęły ognie.

– To ma być szantaż, którym chce mnie pan odzyskać, panie Forster? I przychodzi tu pan w tym celu ze sterczącą fryzurką i wąsikiem?

– Taką miałem nadzieję – przyznał niepewnie.

– Ha!

Odwróciła się i wyszła do innego pomieszczenia, chyba do kuchni. Daniel podszedł do okna i zaczął podziwiać widok. Dzikie kaczki przecięły niebo rozkwakanym klinem, kierując się na północ w stronę Sant' Erasmo i jeśli miały pecha, ku szczękom pewnego czarnego psa. Istniały gorsze miejsca niż Alberoni. To przynajmniej był jeszcze obszar laguny.

Usłyszał znaczące chrząknięcie. Laura trzymała dwie szklaneczki pełne krwistoczerwonego płynu. Uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

– Chwileczkę – powstrzymała go.

W rogu pokoju mały zdobiony zegar wybił szóstą. Gdy kurant dobiegł końca, wręczyła mu szklankę.

– Spritz! – uśmiechnęła się. – Czas jest ważny, Danielu. Lubię, kiedy moje dni są uporządkowane, a nie biegają w tę i we w tę, jak im się podoba. Powinieneś to o mnie wiedzieć.

– Spritz! – Wzniósł szklaneczkę. – Już to odgadłem, prawdę mówiąc.

– To dobrze. A czy ja powinnam dowiedzieć się czegoś na twój temat?

– Tylko tego, że nigdy nie przestanę cię kochać, cokolwiek się stanie. I nigdy cię nie porzucę, bo to tak, jakbym porzucił samego siebie.

Przechyliła głowę, jak gdyby się nad czymś zastanawiała.

– O co chodzi? – spytał.

– Wspominam chwilę, kiedy pocałowałeś mnie po raz ostatni. Cuchnęło wtedy od ciebie

węgorzem.

Zaskoczyła go tym wspomnieniem, jemu umknęło.

– Nie. To akurat pierwszy pocałunek. Ostatni był kilka godzin później.

Zapadło milczenie. Laura rozglądała się po pokoju, jakby zamierzała z niego wyjść. Wreszcie wydawała się spokojna. W tej chwili Daniel mógłby chyba przekonać sam siebie, że ich ponowne połączenie uzasadniało każdy, najbardziej nawet bolesny moment z przeszłości.

Odwróciła się ku niemu i otoczyła go ramionami. Drżała w zanikającym cieple wieczoru. Ich ciała złączyły się jak dwa pasujące do siebie klocki.

– Boję się – powiedziała.

– O co?

– O nas. O to, co leży przed nami. I tego, jak się czuję przy tobie.

Popatrzył w dal na płaskie bagna i szary pusty horyzont. Nagle samotna postać przeszła przez kamienistą plażę i zniknęła wśród pokrytych trawą wydm. W cieniach zawsze będą się czaić kształty. Laura także ją widziała.

Przylgnęli mocno do siebie.

Rozbrzmiał dzwonek przy drzwiach i dziewczyna zadrżała w jego ramionach.

Daniel energicznym krokiem wyszedł przed dom. Stał tam chłopiec, może dziewięcioletni, sprzedający jabłka i gruszki z sadu. Daniel wręczył mu kilka monet i wziął parę owoców. Dzieciak szybko się oddalił i zniknął w głębi uliczki.

Laura czekała w holu z małym kuchennym nożem w ręku. Kiedy wyjął go z jej dłoni, szepnął:

– Chodź ze mną, proszę.

– Masz rację – przyznała zdenerwowana i szybko zdjęła srebrny łańcuszek, po czym związała włosy z tyłu głowy i zaczęła przetrząsać torebkę w poszukiwaniu okularów przeciwsłonecznych. Czekał, zastanawiając się, czy zabierze też nylonowy fartuch. Wreszcie wziął ją delikatnie za ręce i pokręcił przecząco głową.

– Nie. – Zachwycony urodą dziewczyny, delikatnie rozwiązał jej kasztanowe włosy i ułożył z powrotem na ramionach.

Na progu domostwa głęboko odetchnął powietrzem późnego lata, po czym wyprowadził ją na zewnątrz. Ramię przy ramieniu, powoli, bez słowa minęli kilka restauracyjek i małych hoteli, po czym usiedli przy nabrzeżu.

W lagunie odbijało się złociste niebo. Był wspaniały wieczór. Ostatnie jaskółki przecinały powietrze nad ich głowami. Dorośli bawili się z dziećmi na wąskiej plaży. Pary spacerowały po betonowej promenadzie, trzymając się za ręce. W dali na horyzoncie migotał w mgiełce kontur miasta.

Laura położyła mu głowę na ramieniu. Poczuł ciepło jej ust na szyi.

– Kim my jesteśmy?

– Ludźmi błogosławionymi – odparł Daniel, wiedząc, że od tej chwili nic i nikt, nawet Hugo Massiter, już ich więcej nie rozdzieli.

Z dziennika Jeana-Jacques'a Rousseau, kwiecień 1743.

Nareszcie oddano mi sprawiedliwość. Obejmuję obecnie wysokie stanowisko i podróżuję jako sekretarz przy ambasadorze Francji rezydującym w Wenecji, tej grzesznej norze. Na pracę skarżyć się nie mogę, jedynie na miejsce jej wykonywania. W swych poprzednich pamiętnikach wiele o tym mieście nie napisałem, choć spędziłem w nim trochę czasu dziesięć lat temu. Sporo tam do zwiedzania, jest też grono artystów. Lecz mimo że posiadam pamięć, w której nawet twarz czy zdarzenie sprzed lat pozostaje świeże, z mojego epizodu w La Serenissimie nie umiem przywołać nic, choćby jednego mgnienia. Nic, ma się rozumieć, prócz odoru kanałów, którego nie zapomniałby nawet kretyn.

Niekiedy dziwne wyroki losu pozwalają uzupełnić luki spowodowane zapomnieniem. Jadę do Wenecji z Genewy, gdzie widziałem się z garstką moich żyjących jeszcze krewnych. Ważne interesy jednak sprawiły, że nie mogłem obrać najprostszej drogi, lecz musiałem spędzić trzy męczące dni wśród pyskatych mieszczan Zurychu. Później wsiadłem w powóz do Chur i ruszyłem, przez Lugano i Como, ku górskiej przełęczy prowadzącej do Mediolanu, a używanej od czasów tak zamierzchłych, że mila za milą jechałem śladami Cezara i jego batalionów.

Jest to długa i męcząca podróż, wobec czego z konieczności dzielić ją muszę na tyle krótszych odcinków, ile uznam za stosowne, inaczej musiałbym dzień i noc tkwić na twardym siedzeniu zimnego obskurnego powozu i słuchać pokasływania i sapania mojego współpodróżnika. Chur to miejsce dobre jak każde inne na krótką przerwę, by rozprostować kości. Jest to ciekawe miasteczko położone w głębokiej, wyżłobionej przez Ren dolinie. Tubylcy, ludność zamieszkująca kanton, który my nazywamy Grisons, oni zaś Graubünden, uważają się za potomków Etrusków i mówią dziwnym językiem znanym jako romansz. Znajduje się tu kilka czarujących domów, parę dobrych hoteli i karczm oraz stara *Kathedrale* z jednym z tych gotyckich ołtarzy, które wyrzeźbiono w taki sposób, że człowiekowi zaczyna się kręcić w głowie, jeśli wpatruje się weń zbyt długo.

Mając wreszcie trochę pieniędzy w kieszeni oraz potrzebę zjedzenia przyzwoitego posiłku i znalezienia miękkiego łóżka, wynająłem pokój w Drei Könige, wygodnym przybytku położonym niedaleko miejsca, gdzie zatrzymują się powozy. Zjadłem tam wspaniałą kolację złożoną ze znakomitego szwajcarskiego dzika, ziemniaków, czerwonej kapusty oraz lekkiego jasnego piwa, po czym poszedłem do salonu z tyłu karczmy, skąd dobiegły mnie nieoczekiwanie dźwięki niedużego występu muzycznego. Przyciągnąłem sobie krzesło, dołączyłem do sześciu innych podróżnych przebywających w pomieszczeniu i zapadłem w rozmyślania. Muzykanci grali świetnie, choć repertuar mieli dość banalny – ot, melodie do tańca, właśnie takie, jakich można się spodziewać w przydrożnej karczmie. Lecz tym, co zwróciło najbardziej moją uwagę, byli sami wykonawcy. Odziana w szkarłatną suknię trzydziestokilkuletnia kobieta uderzającej

urody o rozwichrzonych ciemnych włosach grała na wielkich skrzypcach dających głęboki mocny dźwięk z taką maestrią, jakby się z nimi urodziła; sprawiający tajemnicze wrażenie mężczyzna, nieco młodszy od żony, trudził się nad klawesynem z mniejszym od niej powodzeniem, zaś ciemnowłosy, przesadnie poważny chłopiec w wieku lat nie więcej niż dziewięciu całkiem fachowo pracował smykiem na mniejszych skrzypcach u boku matki.

W jednej chwili rozpoznałem tę parę. Spotkaliśmy się na krótko i właśnie w Wenecji. Byłem dotąd przekonany, że jedno z nich, po popełnieniu serii strasznych czynów, zginęło. Widzieć ich wraz z potomkiem, żywych i w pełni sił, było ciekawym i budzącym dreszcz doznaniem, które dodatkowo nabrało smaku w chwili, gdy spostrzegłem, w jaki sposób odpowiadają na moje badawcze spojrzenia. Grali jeszcze kwadrans, po czym, gdy opadła fala szczerych oklasków, odwrócili się do mnie plecami i zaczęli pakować instrumenty. Poruszony takim niegrzecznym traktowaniem, postanowiłem zagrać w tę ich grę. Przeszedłem przez salę ku małej estradzie, by nawiązać rozmowę z „nieznajomymi".

Mężczyzna popatrzył na moją wyciągniętą dłoń, jakby należała do trędowatego.

„Gratuluję występu twojej małej kapeli, panie", rzekłem z uśmiechem. „Nigdy bym się nie spodziewał tak świetnego muzykowania na prowincji. Z pewnością jedziecie ku cywilizacji, by tam odebrać laury, które wam się słusznie należą!".

Jegomość spojrzał na mnie w tak nienawistny sposób, że serce zamarło mi na chwilę w piersi. W owej chwili wciąż nie umiałem sobie jeszcze dokładnie przypomnieć okoliczności naszego spotkania. Kobieta, jak zapamiętałem, była muzykantką. Doszły mnie jednak niedobre pogłoski na temat jej męża, chociaż gdyśmy się po raz pierwszy spotkali, uznałem go za dżentelmena, może tylko nieco nadętego. Postąpiłbym jednak niemądrze, lekceważąc opowieści o jego przestępczych skłonnościach tylko dlatego, że połowa informacji na temat jego losu okazała się nieprawdziwa.

„Muzyka to muzyka, panie, niezależnie od tego, gdzie się ją gra", odrzekł, zaciągając po wiejsku. „Nie potrzeba miejskiego imprimatur, by udowodnić innym swą wartość".

„To prawda, lecz ileż jest wart diament ukryty pod ziemią, drogi kolego? Nabiera on wartości dopiero wtedy, gdy górnik wydobędzie go na powierzchnię, jubiler oszlifuje, a dama założy... Wówczas staje się najcenniejszym klejnotem świata!".

Jeśli dobrze zauważyłem, po tym, jak wypowiedziałem tę przenośnię, zabłysły mu oczy. Dziwny objaw lęku, bez wątpienia, jako że cała nasza trójka zdawała sobie sprawę, iż toczy się tu gra.

Dama spakowała olbrzymi instrument, równie niemiły oku co cudowny dla ucha, i rzekła z grymasem, który można by wziąć za uśmiech:

„Jesteśmy prostymi ludźmi, panie. Starcza nam, że muzykowaniem i udzielaniem lekcji zarobimy na strawę i miejsce pod dachem. Więcej nie potrzebujemy. W tumulcie miasta utonęlibyśmy, a nasze talenty okazałyby się skromnymi próbami, którymi zresztą są".

Tymi słowy umniejszyła własne umiejętności i wiedziała o tym.

„Ależ skąd!", zaprzeczyłem. „Słuchałem bardzo uważnie i muszę powiedzieć, że grałaś, pani, jak anioł. W dodatku bardzo oryginalnie, bowiem takich melodii jeszcze nigdy nie słyszałem, a byłem zmuszony znosić hałasy niejednej karczmianej kapeli w czasie swych podróży".

Na te słowa uśmiechnęła się szeroko – i słusznie, gdyż były szczere. Kobieta, muszę odnotować, utykała wyraźnie, co psuło nieco jej poza tym piękny wygląd.

„Dziękuję, panie. W wolnych chwilach lubię czasem coś skomponować".

„Muzyka do tańca", wtrącił się mężczyzna. „Nic, czym dałoby się zapełnić salę inną niż karczmę".

„W dodatku nie wszystko jest mojego pomysłu”, dodała kobieta. „Mój brat niedawno objął stanowisko lekarza na rosyjskim dworze. Szczęśliwa to okoliczność, gdyż niekiedy przysyła nam różne popularne melodie z Moskwy”.

Uśmiechnęła się, najwyraźniej dumna z osiągnięć swego brata, po czym jej mąż zepsuł tę przyjemną chwilę w rozmowie, wtrącając kwaśno:

„Znamy nasz zawód, monsieur. Jesteśmy podróżującą kapelą i w ten sposób zarabiamy na chleb”.

Cóż za fałszywa skromność!

„Doceń, przyjacielu, siłę ludzkiego ducha”, odpowiedziałem. „Händel był synem golibrody, a uczył się na prawnika. Skoro jemu udało się zrzucić owo podwójne jarzmo, z pewnością i wy możecie wywalczyć sobie drogę z karczm ku publiczności, która was pełniej doceni”.

Popatrzyli na siebie wzajem, a ja z właściwą sobie spostrzegawczością zauważyłem, że poruszyłem temat będący powodem pewnego napięcia. Byłbym okrutnikiem, przedłużając tę niezręczną chwilę, toteż nachyliłem się i zmierzwiłem ciemną grzywkę dzieciaka, za co otrzymałem z jego strony niechętne spojrzenie.

„Jak ci na imię, mój chłopcze?”.

„Antonio”, odparł pyskatym tonem prawie jak uliczny chuligan.

„A więc, Antonio, pozwól mi coś sobie powiedzieć. Twoi rodzice to dobrzy ludzie, którzy właściwie cię wyuczą, jak postępować w życiu. Trzeba ci jednak wiedzieć, że każdy z nas jest wolnym człowiekiem i musi sam podejmować decyzje. Skoro grasz tak wspaniale w swoim wieku, gwarantuję, że zajmiesz miejsce w orkiestrze jeszcze przed dwudziestką”.

Chłopak popatrzył na ojca. W tej małej kapeli wyczuwało się napięcie, którego źródeł nie znałem.

„Chciałbym tylko nauczyć się grać tak dobrze jak mama, panie. A jak dorosnę, chciałbym zasłużyć sobie na jej skrzypce”.

„A potem?”.

„No jak to?”. Przysięgam, że chłopczyk popatrzył na mnie, jakby miał do czynienia z głupcem. „Na to samo zasłuży sobie mój syn, a potem jego syn. Tak będzie, aż stworzymy najznakomitszego skrzypka świata, a będzie on grał na instrumencie mamy. Nawet jeśli wszyscy do tego czasu obrócimy się w proch, jakaś cząstka nas będzie przekazywana z pokolenia na pokolenie. Tata twierdzi, że to najlepszy rodzaj nieśmiertelności, na jaki może liczyć człowiek”.

Biedny szczeniak, pomyślałem. Taki usztywniony i stary jak na swój wiek... Był przy tym ładnym dzieckiem: miał szczęście odziedziczyć wygląd po matce, nie po ojcu. Nie mogłem się jednak oprzeć wrażeniu, że ta trójka zamieszkuje jakieś więzienie, które sama sobie stworzyła i o którego ściany obija się przy każdym ruchu.

„Sam będziesz uczył swego syna, jak sądzę?”, zaciekawiłem się.

„A jakże, panie. Nauczę go wszystkiego tak samo, jak mama uczy mnie”.

Nadszedł czas na podchwytliwe pytanie.

„A co powiesz mu o Bogu?”.

To rzekłszy, zauważyłem, że cała trójka wpatruje się we mnie, i zacząłem się zastanawiać, czy nie przeciągnąłem struny. Jeśli plotka mówiła prawdę, ojciec miał na swych rękach krew, a czym jest jeszcze jedna czerwona plamka, skoro skóra już zbrukana?

Dzieciak popatrzył na rodziców w poszukiwaniu wskazówki. Matka skinęła mu głową.

„Odpowiedz panu. Mów, co uznasz za właściwe”.

Wyprostował się, wziął głęboki wdech i wyrzekł, jakby recytował mozolnie wyuczone zdanie w przedszkolu.

„Sądzę, że Bóg jest na tyle potężny, by poradzić sobie bez mojego dlań uwielbienia, panie. Zawsze wie, gdzie mnie szukać, jeśli będę mu potrzebny".

Sprytnie powiedziane. Poklepałem malca po głowie i wręczyłem mu monetę, którą spojrzawszy znów krótko na rodziców, zręcznie schował.

„Wspaniałeście mnie rozerwali tego wieczora", rzekłem z uśmiechem. „Jestem w drodze do Wenecji. Czy mogę wam odpłacić, przedstawiając was impresariom?".

W jednej chwili krew odpłynęła z twarzy mężczyzny i kobiety. Dzieciak popatrzył na nich z lękiem. Poczułem się winny. To było z mojej strony podłe i nie powiedziałbym tych słów, gdyby nie potraktowali mnie przedtem tak niewdzięcznie. Każda historia ma więcej niż jedną stronę. Czy miałem prawo mniemać, że hałaśliwe brukowce wypisują samą prawdę?

„Wystarczy nam to, co mamy", odparł zimno mężczyzna, po czym cała trójka zaczęła pakować się jeszcze szybciej. Odszedłem więc, trochę niespokojny, muszę przyznać, o swój los. Po mojej ostatniej uwadze oczy mężczyzny nabrały bowiem tak bezlitosnego wyrazu, że zacząłem się lękać o życie.

Tej nocy zaznałem ledwie kilku chwil snu. W głowie powtarzałem sobie w kółko tę dziwną rozmowę. Przypomniałem też sobie coś więcej na temat okoliczności naszych spotkań w Wenecji przed mniej więcej dziesięcioma laty. Jak mówiłem, nic wówczas nie zapowiadało tragedii, choć gdy teraz spoglądam wstecz, zastanawiam się, czy nie można było zauważyć, jak jej nasiona kiełkują w upalnym słońcu nad Adriatykiem.

Nic dziwnego, że dziesięć lat później spotkani przeze mnie ludzie usiłują wyrwać się z gąszcza kłamstw. Gdy zbudziłem się następnego ranka, w sali jadalnej panowało poruszenie wywołane ich nagłym zniknięciem. Właściciel karczmy i jego żona zdawali się tym faktem zasmuceni, lecz nie z powodu niezapłaconych rachunków, jak to zwykle w takich razach bywa. Polubili oni tę niezwykłą utalentowaną rodzinę i patrzyli na mnie pytająco, gdy przypomniawszy sobie moją z nimi rozmowę, zaczęli się zastanawiać, czy aby nie miałem nic wspólnego z ich decyzją o nocnej ucieczce. Lud prowincji! Czy miałbym się z tego powodu samooskarżać? Czy wisielec ma winić sznur?

Wyjechali. Nikt nie wie dokąd, nikt też się tym po prawdzie nie interesuje. Na świecie pełno takich tułaczy. Człowiek życzy im dobrze, bo choć ich historię skrywają cienie, przyszłość, dobra czy zła, spoczywa całkowicie w ich własnych rękach. Ta trójka nie miała jednak włóczęgowskiej natury. Poznać to można było po ich zachowaniu i impertynencji, jaką okazywali.

Zbieg musi szukać nowego nazwiska za każdym razem, gdy odnawia swe istnienie. Z jakim ubóstwem wyobraźni przystąpili oni do tworzenia nowego przebrania! Po nocy pełnej spokojnego snu następnego wieczora przypomniałem sobie wreszcie, skąd znam tego człowieka. Zajmował się drukarstwem – był rzemieślnikiem od książek, człowiekiem o palcach wciąż ubrudzonych tuszem. I pod jakim nazwiskiem będzie teraz znany? Otóż ukradł je jednemu ze swych rywali w przemyśle wydawniczym! To nazwisko starego domu, który w czasie swego krótkiego istnienia wydał sporo książek po arabsku i hebrajsku. Wciąż zdobią one półki w domach wielu antykwariuszy.

Takie błędy nie służą uciekinierom. Życzę szczęścia rodzinie „Paganini". Będzie jej potrzebne.

Przypisy

[1] Lorenzo odwołuje się do historii i postaci z *Kupca weneckiego* Williama Shakespeare'a (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

[2] Scacchi mógł zacytować na przykład ten fragment z *Italian Hours* (Godzin włoskich) Jamesa, który tak mówi o *Ukrzyżowaniu* Tintoretta: „Patrząc na tę wielką kompozycję, patrzy się w istocie na wiele obrazów; jest tu nie tylko mnogość postaci, lecz i wątków; człowiek przechodzi od jednego do drugiego, jakby zwiedzał galerię. Chyba żaden inny obraz na świecie nie zawiera w sobie więcej ludzkiego życia; jest w nim wszystko, w tym także niezwykłe piękno. To jedno z największych dzieł sztuki; zawsze interesujące".

[3] Na podstawie *Otella* Williama Shakespeare'a w tłumaczeniu Józefa Paszkowskiego.

[4] *Ritornello* (wł.) – przygrywka grana między poszczególnymi częściami partii wokalnej, w operach występująca przed lub po arii.

[5] Wykonał Giuseppe Guarneri w Cremonie w roku...

[6] *Matto* (wł.) – wariat.

[7] *Grand Tour* (ang. Wielki Objazd) – popularna od XVII wieku zwłaszcza wśród brytyjskich klas wyższych podróż po najważniejszych miastach Europy, którą młodzieńcy podejmowali w celach edukacyjnych, a także jako swojego rodzaju rytuał przejścia z wieku dziecięcego w dorosłość.

[8] *Succes d'estime* (fr. prestiżowy sukces) – określenie na dzieło, które zdobyło uznanie krytyki, lecz nie zyskało szerokiej popularności.

[9] *Encore* (fr.) – jeszcze.

[10] Z wiersza *O poezji* Jonathana Swifta (w przekładzie tłumacza).

[11] Juilliard – The Juilliard School, prestiżowa szkoła kształcąca muzyków, tancerzy i aktorów mieszcząca się w Lincoln Center w Nowym Jorku.

[12] Z *Kupca weneckiego* Williama Shakespeare'a w tłumaczeniu Józefa Paszkowskiego.

[13] Z *Raju utraconego* Johna Miltona w przekładzie Macieja Słomczyńskiego.

[14] Massiter mówi o *Nie oglądaj się teraz*, thrillerze psychologicznym Nicolasa Roega z 1973 roku.